

SPRAWDŹ, CO KRYJE SIĘ  
PO DRUGIEJ STRONIE RZECZYWISTOŚCI.

FÉLIX J. PALMA



MAPA CHAOSU



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

FÉLIX J. PALMA

# MAPA CHAOSU

Z języka hiszpańskiego przełożyły  
Patrycja Zarawska i Iwona Michałowska-Gabrych



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA



Tytuł oryginału:

EL MAPA DEL CAOS

Copyright © 2014 Cronotilus, S.L.

Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Małgorzata Kryszkowska, Mariusz Kulan

ISBN: 978-83-7999-410-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

*Dla moich rodziców i ich dzieła,  
które z każdym dniem ma więcej stron*



# PRZEWODNIK DLA CZYTELNIKA

**B**iorąc pod uwagę stopień skomplikowania spraw i relacji łączących liczne postacie zaludniające tę powieść, czuję się zobowiązany już na początku przedstawić życzliwemu czytelnikowi najważniejsze z nich. Moją powinnością jest jednak ostrzec go, że podana poniżej lista bohaterów może mu ujawnić niektóre wątki fabuły, zatem jeżeli ktoś woli zapuścić się w gąszcz stronic książki z opaską na oczach, doradzam, aby tę listę z elegancją pominął. Nie będzie to dla mnie żadną ujmą. Mniej odważnym czytelnikom prezentuję postacie w ścisłym porządku pojawiania się w książce. Jak następuje:

**Wells Obserwator** - wybitny biolog, alternatywna wersja pisarza H.G. Wellsa w jakimś innym świecie.

**Jane Obserwatorka** - żona Wellsa Obserwatora, kierowniczka projektów jego laboratorium, alternatywna wersja Amy Catherine Robbins w jakimś innym świecie.

**Dodgson Obserwator** - profesor matematyki, alternatywna wersja pisarza Lewisa Carrolla w jakimś innym świecie.

**Newton** - pies rasy border collie, wykorzystany przez Wellsa Obserwatora jako królik doświadczalny w eksperymentach.

**Herbert George Wells** - pisarz brytyjski, bardziej znany jako H.G. Wells, uważany za ojca fantastyki naukowej, autor wielu powieści, m.in. *Wehikułu czasu*, *Wojny światów* i *Niewidzialnego człowieka*. Jeśli przeczytaliście dwa poprzednie tomy tej trylogii, nie ma potrzeby dodawania niczego więcej, może z wyjątkiem tego, że w 1970 roku na jego cześć nazwano jeden z kraterów uderzeniowych na Księżycu.

**Amy Catherine Robbins** - żona pisarza H.G. Wellsa, przez męża pieszczotliwie nazywana Jane.

**Cornelius Clayton** - agent Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, zajmującego się badaniem zjawisk nadprzyrodzonych. W swej pierwszej misji stracił prawą rękę i od tamtej pory posługuje się wymyślną protezą z drewna i metalu.

**Angus Sinclair** - kapitan Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Nie wiadomo, w jaki sposób stracił prawe oko, dlatego nie należy odrzucać możliwości, że depilował sobie brwi.

**Valerie de Bompard** - piękna francuska arystokratka, zamieszkała w przeklętej miejscowości Blackmoor, będąca przedmiotem miłosnego zainteresowania agenta Clayтона.

**Armand de Bompard** - małżonek hrabiny de Bompard, naukowiec wyprzedzający swoje czasy.

***Muscardinus avellanarius*** - mały rudy gryzoń, powszechnie nazywany orzesznicą, zamieszkujący zachodnią część Wielkiej Brytanii.

**Lady Amber** - słynne londyńskie medium, specjalistka w dziedzinie materializacji ektoplazmatycznych.

**Sir Henry Blendell** - architekt w służbie Jej Królewskiej Mości, projektant najwspanialszych w historii sekretnych przejść i mebli ze skrytkami, człowiek wielkiego moralnego formatu - do momentu, gdy się okaże, że jest wręcz przeciwnie.

**Theodore Ramsey** - wybitny chirurg, chemik i biolog, z upodobaniem strzelający palcami.

**William Crookes** - ceniony naukowiec i badacz zjawisk paranormalnych. Przede wszystkim znany z obrony medium Florence Cook, która porozumiewała się z duchem Katie King, córki legendarnego pirata Henry'ego Morgana.

**Catherine Lansbury** - staruszka o tajemniczej przeszłości, wdowa, miłośniczka spirytyzmu, wynalazczyni Mechanicznego Służącego, wielka amatorka ciasteczek Kempa.

**Niewidzialny Człowiek** - czarny charakter tej historii, bezwzględny zabójca, którego tożsamości, rzecz jasna, nie zamierzam ujawnić już na pierwszych stronach książki. Wystarczy powiedzieć, że znany jest jako M.

**Clive Higgins** - lekarz neurolog zajmujący się psychoanalizą i wszelkimi przypadłościami duszy.

**Gilliam Murray** - znany jako Pan Czasu, zanim sfingował własną śmierć w czwartym wymiarze. Od tamtej pory ukrywa się pod fałszywą tożsamością Montgomery'ego Gilmore'a; cierpi na lęk wysokości.

**Emma Harlow** - młoda dama z Nowego Jorku, narzeczona milionera Gilmore'a. Nie zna jego prawdziwej tożsamości i nie daje się zdobyć takimi strategiami, jakie skutkują w przypadku reszty kobiet.

**Dorothy Harlow** - ciotka Emmy, zgorzkniała stara panna, nieuchronnie skazana na śmierć w samotności.

**Baskerville** - stangret Gilmore'a, co najmniej osiemdziesięcioletni, wykazujący skrajną niechęć do psów.

**Arthur Conan Doyle** - szkocki lekarz i pisarz, zwolennik spirytyzmu, podobno obdarzony zdolnościami telepatycznymi, znany jako twórca postaci Sherlocka Holmesa, najsławniejszego detektywa świata.

**Jean Leckie** - ukochana Arthura Conan Doyle'a.

**Egzekutor 2087V** - cybernetyczny twór zaprogramowany do zabijania tych, którzy mogą przeskakiwać pomiędzy światami. Swą misję realizuje skutecznie, jednak z powodu wady fabrycznej nie potrafi uniknąć zalewającego go poczucia winy.

**Cleeve** - kamerdyner w rezydencji Undershaw. Nie znamy jego życia prywatnego.

**Alfred Wood**, alias **Woodie** - stoicki sekretarz Doyle'a, mający znakomitą rękę do krykieta oraz rzadko spotykany talent brzuchomówczy.



**Wielki Ankoma**, znany także jako **Amoka** lub **Makoma** - niezwykle medium, człowiek wychowany w Afryce Południowej przez plemię Bantu, specjalizujący się w automatycznym pisaniu. Jego imię, jeśli się je wypowie poprawnie, oznacza ostatnie narodzone dziecko, zastrzegamy jednak, że jest to tłumaczenie przybliżone.

**Alicja Liddell** - sześciolatka dziewczynka, jedna z córek dziekana Liddella. Jej prawdziwa postać posłużyła jako inspiracja do stworzenia głównej bohaterki powieści *Alicja w Krainie Czarów*.

**Lewis Carroll** - pseudonim brytyjskiego pisarza Charlesa Dodgsona, autora książek *Alicja w Krainie Czarów* i jej kontynuacji *Po drugiej stronie lustra*. Pod własnym imieniem i nazwiskiem Dodgson opublikował wiele artykułów i książek matematycznych, a był także uznanym fotografem, nieszkodliwym marzycielem i uroczym jakałą. Choć wykładał w oksfordzkim Christ Church College, odmówił przyjęcia święceń kapłańskich. Powody nie są znane.

**Elmer** - kamerdyner Gilmore'a, szczęśliwie żonaty z Daisy, amatorką biszkoptów z jagodową konfiturą.

**Eric Rücker Eddison** - brytyjski pisarz znany głównie ze swego pierwszego dzieła, *Wąż Uroboros*, będącego hołdem dla mitów skandynawskich. Wielu badaczy uważa, że utwór ten otworzył drogę współczesnej literaturze fantasy.

**Mapa chaosu** - książka, w której zawarto zbawienie świata: tego i wszystkich, jakie można sobie wyobrazić. A także książka, którą właśnie zamierzacie przeczytać.

Nie wierzę w duchy, ale napawają mnie  
strachem.

MADAME DU DEFFAND

Gdybyśmy w jakiś sposób potrafili  
kontrolować  
prawdopodobne możliwości, moglibyśmy  
dokonać  
wyczynów nieodróżnialnych od magii.

MICHIO KAKU

*Wszechświaty równoległe*

Bóg wie, że śniłem, czuwałem i znów śniłem,  
aż nie wiem zbyt dobrze, co jest snem, a co  
rzeczywistością.

ERIC RÜCKER EDDISON

*Wąż Uroboros*

# CZEŚĆ PIERWSZA

**N**aprzód, drogi Czytelniku, zapuść się w gąszcz stronic ostatniego tomu naszego melodramatu, w którym czekają cię przygody jeszcze bardziej niewiarygodnie niż w poprzednich!

Jeżeli podróże w czasie i marsjańskie inwazje nie poruszyły twojego serca wystarczająco silnymi emocjami, teraz możesz się zagłębić w świat duchów i innych potworów zrodzonych w ludzkim umyśle.

Może zechcesz dobrze się zastanowić, zanim przejdiesz do pierwszej strony, ale moją powinnością jest ostrzec cię, że jeśli się nie odważysz, nigdy nie poznasz tego, co kryje się po drugiej stronie znanej ci rzeczywistości.

## PROLOG

Piętnaście minut dzieliło ich od rozpoczęcia debaty, kiedy dostrzegli Pałac Wiedzy rysujący się na złocistym płótnie zmierzchu. Obłożone płytkami kopuły imponującej budowli, wyróżniającej się dostojnie wśród szpiczastych dachów londyńskiego horyzontu, rozszczepiały ostatnie promienie zachodzącego słońca, zamieniając je w dziesiątki rozbłysków. Wokół gmachu niczym chmara owadów kołysały się pośród obłoków pękate sterowce, aerostaticzne barki, skrzydłowce i latające kabriolety. Właśnie w jednym z owych skrzydlatych powozów, które zbliżały się do budynku, majestatycznie szybując z wiatrem, podróżował wybitny biolog Herbert George Wells w towarzystwie swojej pięknej małżonki. Nie, wróć: swojej inteligentnej i przepięknej małżonki.

W pewnej chwili biolog spojrział przez okno w dół. Na ulicach, które w postaci wąskich chodników biegnęły wśród smukłych wież hojnie ozdobionych witrażami i połączonych wiszącymi mostami, kłębił się podenerwowany tłum. Panowie w cylindrach i pelerynach rozprawiali z ożywieniem przez przytknięte do ust rękawiczkofony, damy przechadzały się ze swoimi mechanicznymi pieskami, dzieci uganiały się na elektrycznych hulajnogach, a w tym zalewie ludzi, z obliczoną elegancją omijając przechodniów, uwijały się automatyczne komary śpieszące dokądś pilnie ze swoimi zleceniami. Z wód Tamizy, które zachód słońca zabarwił na złoto, raz po raz wynurzały się małe „Nautilusy” wyprodukowane przez Zakłady Verne’a - jak składające ikrę ryby rozdymki wypuszczały swoich pasażerów na obu brzegach rzeki. Ale im bliżej South Kensington, gdzie wznosił się pałac, tym wyraźniej owa mrówcza krzątanina zdawała się przybierać jeden kierunek. Wszyscy wiedzieli, że tego

wieczoru odbędzie się najważniejsza debata z licznych, jakie miały miejsce w Pałacu Wiedzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W tym momencie, jakby po to, żeby przypomnieć o tym pasażerom skrzydłowca, przeleciał tuż obok nich mechaniczny ptak, obwieszczając wydarzenie przesadnie napuszoną mową, a następnie poszybował w stronę najbliższego budynku, gdzie przysiadł na głowie kamiennego gargulca, aby tam kontynuować swą litanię.

W latającym powozie Wells westchnął, próbując się uspokoić, i wytarł sobie spocone dłonie o spodnie.

- Myślisz, że jemu też pocą się ręce? - spytał żonę.

- Oczywiście, Bertie. Podejmuje ryzyko tak samo jak ty. Poza tym nie powinniśmy zapominać, że jego problem sprawia...

- Jego problem? O, daj spokój, Jane! - przerwał jej mąż. - Od lat pracuje nad nim najlepszy logopeda w królestwie. Nie sądzę, byśmy nadal mieli uważać to za problem.

I jakby w ten sposób zamknął sprawę, rozparł się na siedzeniu i rozkojarzonym wzrokiem powiódł po rzędzie słonecznikowych domów stojących licznie w Hyde Parku i obracających się na swoich filarach w poszukiwaniu ostatnich promieni słońca. Nie chciał przyznać przed żoną, że jego rywal ma ten podstępny, zdradziecki problem - który, z drugiej strony, zamierzał wykorzystać, jeśli się to okaże potrzebne - ponieważ jeżeli to tamten wygra, jego klęska będzie podwójnie żalosna. Jednak Wells ani myślał przegrać. Czy panował nad swoim m a ł y m problemem, czy nie, był znacznie lepszym mówcą niż tamten staruszek. Jeżeli trafi mu się jeden z jego natchnionych wieczorów, pokona go bez wysiłku; wygra zresztą nawet i bez natchnienia. Obawiał się jedynie, że jego przeciwnik zyska sobie uznanie publiczności jednym z tych sylogizmów, którymi ma zwyczaj ozdabiać swe wywody, ufał jednak, że słuchacze nie dadzą się zaślepić pospolitymi słownymi fajerwerkami.

Biolog uśmiechnął się sam do siebie. Szczerze wierzył, że jego pokolenie jest najważniejsze z licznych, które do tej pory stąpały po Ziemi, jako że w przeciwieństwie do poprzednich miało w swych rękach przyszłość własnego gatunku. Decyzje, które podejmą, czy



będą trafne, czy nie, odbiją się grzmiącym echem w nadchodzących stuleciach. Ten cel natchnął go szczęściem. A pomyślawszy o nim, Wells nie mógł ukryć entuzjazmu, którym napawało go to, że znalazł się w tak emocjonującym momencie dziejów ludzkości, gdy przesądza się jej ocalenie. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, tej nocy jego nazwisko być może stanie się nierozdzielalną częścią historii.

- Jane, jeżeli chcę wygrać, to nie z powodu próżności - odezwał się nagle do żony. - Po prostu uważam, że moja teoria jest prawdziwa i nie możemy tracić czasu na udowadnianie jego tezy.

- Wiem, kochanie. A ty wiesz, że mogłabym ci zarzucić wiele rzeczy, ale na pewno nie próżność - skłamała. - Szkoda, że nie wystarcza środków na rozwinięcie obydwu projektów. Konieczność dokonania wyboru wiąże się z ryzykiem. Jeżeli się mylimy... - nie dokończyła zdania, a jej mąż też już niczego nie dodał.

Jeśli on ze swoją teorią wyjdzie z debaty zwycięsko, to znaczy, że się nie mylą. Tego był pewien. Chociaż czasami, zwłaszcza nocą, kiedy przez wielkie okno swego gabinetu patrzył na oświetloną metropolię, zadawał sobie pytanie, czy mimo tej całej pewności wszyscy nie są w błędzie; czy ten świat - w którym pogoń za Wiedzą dotyczy wszystkiego, kieruje wszystkim, jest wszystkim - czy to aby na pewno najlepszy świat, jaki mogli zbudować. W takich chwilach słabości, jak je potem nazywał w świetle dnia, rozważał, czy przypadkiem Niewiedza nie byłaby bardziej pożądana od Wiedzy. Może lepiej byłoby pozwolić, żeby przyroda i jej prawa pozostały ukryte w ciemnościach nocy, by nadal uważano, że przelot komety zwiastuje śmierć królów, a poza zasięgiem map mieszkają smoki... Lecz życiem ludzi rządzi Kościół Wiedzy, którego święta siedziba znajduje się w Londynie. To jedyna religia planety, wyznanie, w którym stopiły się filozofia, teologia, polityka i wszelkie nauki. Od momentu, kiedy powstała, popychała ludzi, aby rozszyfrowywali dzieła Stwórcy, starali się pojąć ich funkcjonowanie, dowiedzieli się, jak jest skonstruowany świat i jakiego rodzaju siły utrzymują go w spójności. Sprowokowała ich nawet, żeby rozwiązali zagadkę własnej egzystencji. Prowadzony przez jedyną religię człowiek sprawił, że dążenie do Wiedzy stało się wyłącznym powodem jego istnienia, a w swoim gorliwym zapale do rozpracowywania każdej

urozmaicającej świat tajemnicy ostatecznie wciąż zaglądał za zasłonę. Być może teraz nie pozostaje nic innego, jak zapłacić cenę za tę śmiałość.

Przed wejściem do pałacu rozłożono czerwony dywan. Wzdłuż jego brzegów tłoczył się teraz rozkrzyczany tłum, wymachujący wszelkiego rodzaju transparentami, a tymczasem z tuzin policjantów starało się dopilnować, aby ferwor nie wymknął się spod kontroli. Katedralna budowla, odkąd ją wzniesiono, była sceną doniosłych debat. Dyskutowano tu nad skalą wszechświata, nad początkiem czasu czy istnieniem superatomu. Wszystkie owe rozprawy przeszły do legendy, ich wypowiedzi, zwody słowne i żarty przeniosły się do potocznego języka i stały częścią codzienności.

Skrzydłowiec okrążył wieże pałacu, odwlekając moment lądowania na wolnym skrawku ulicy, który w tym celu otoczono kordonem. Pajaki sprzątające wypucowały pałacowe witraże na połysk, a mechaniczne pelikany połknęły śmieci z chodników, tak że ta część metropolii lśniła nieskazitelną czystością, którą wstyd byłoby splamić. Kiedy skrzydłowiec w końcu opuścił się na ziemię, zbliżył się do niego automatyczny komar w lokajskiej liberii i otworzył drzwiczki powozu. Wells, zanim wysiadł, rzucił żonie spojrzenie pełne determinacji i strachu, ona zaś odpowiedziała mu uspokajającym uśmiechem. Gdy biolog wyszedł z kabiny, tłum jednogłośnie wybuchnął radosną wrzawą. Wells usłyszał okrzyki dodające otuchy przemieszane z drwinami i gwizdami tych, którzy popierali jego przeciwnika. Pod ramię z Jane ruszył za automatem i przemierzył wąwóz, w jaki zamienił się czerwony dywan. Pozdrowiał przy tym ręką publiczność i silił się na spokojne zachowanie typowe dla kogoś, kto się uważa za znacznie lepszego od swojego rywala.

Przeszli przez portyk, na którym ogromne litery z żelaza i brązu głosiły: „Nauka bez religii jest kaleka. Ale religia bez nauki jest ślepa”. Wewnątrz automat poprowadził ich wąskim korytarzem do drzwi garderoby, po czym zaproponował damie, że ją zabierze do łoża honorowej. To był moment rozstania. Jane przysunęła się do męża i poprawiła mu krawat.

- Spokojnie, Bertie. Pójdzie ci bardzo dobrze.

- Dziękuję, kochanie - wymamrotał.

Oboje zamknęli oczy i na kilka sekund zetknęli się łagodnie czołami, oddając wzajemnie cześć swoim umysłom. Po tym intymnym geście, którym pary przekazywały sobie to, co niezbędne, a zarazem deklarowały swoją wspólną podróż w drodze do Wiedzy, Jane utkwiała wzrok w mężu.

- Dużo szczęścia, kochany - rzekła, a potem wyrecytowała: - Chaos jest nieunikniony.

- Chaos jest nieunikniony - powtórzył gorliwie Wells.

Wolałby pożegnać się z żoną hasłem, którego używano w czasach jego rodziców: „Jesteśmy tym, co wiemy”, a które tak wiernie odzwierciedlało aspiracje ich świata. Ale odkąd odkryto fatalny los, jaki czeka wszechświat, Kościół narzucił wyznawcom to drugie motto, aby uświadomić ludności, że koniec jest bliski.

Po pożegnaniu Jane podążyła za automatem do swej łóży. Patrząc, jak się oddala, Wells po raz kolejny zachwyił się cudowną kombinacją genów, która uformowała tę kobietę, drobną i piękną niczym figurka z porcelany miśnieńskiej, kombinacją, co do której nie potrafił się oprzeć i w swoim laboratorium po kryjomu próbował ją rozpracować, mimo że czuł, iż robi coś wielce nieprzyzwoitego, kiedy sprowadza swą żonę do abstrakcyjnego kłęбка danych i wzorów. Zanim Jane zniknęła na końcu korytarza, posłała mu ostatni krzepiący uśmiech i naszło go nieoczekiwane pragnienie, by ją pocałować w usta. Natychmiast sam ofuknął się za tę myśl. Pocałunek, co to za pomysł? Ten gest od dawna był już przestarzały, od kiedy Kościół Wiedzy skreślił go jako bezproduktywny i destabilizujący. Biolog ze zniechęceniem powiedział sobie, że po debacie będzie musiał na spokojnie przeanalizować swoją reakcję. Od dzieciństwa Kościół namawiał ich, żeby analizowali wszystko, nie wyłączając własnych uczuć, mapowali się od środka i uczyli się powstrzymywać wszelkie emocje, jeśli nie dało się z nich zrobić użytku albo ich okiełznać. Miłość, pasja czy przyjaźń nie były zakazane. Miłość do ksiązek lub pasja badawcza spotykały się z szerokim uznaniem, pod warunkiem że sprawował nad nimi kontrolę rozum. Ale miłość między osobami powinna się odbywać

pod ścisłym nadzorem. Można się było poddać jej z całą swobodą - w istocie, Kościół zachęcał młodych ludzi, żeby szukali sobie pary w celu podtrzymania gatunku - ale codziennie należało poświęcać czas na analizę tego stanu. Trzeba się było dogłębnie zastanawiać nad swoimi ukrytymi motywami, rysować tabele ewolucji własnych doznań, zestawiać je z wynikami swojego partnera i regularnie przedkładać raporty o powstaniu, rozwoju i zmianach uczuć kapłanowi swojej parafii, który miał pomóc w wypreparowaniu owych zdradzieckich emocji i zrozumieniu ich, ponieważ tylko zrozumienie pozwala utrzymać wszystko pod kontrolą. Jednak żadne z tych uczuć nie przeżywało takiej wiwisekcji. Im lepiej były rozumiane, tym bardziej słabły.

Wells nie mógł wyjść z podziwu nad sposobem, w jaki Kościół Wiedzy rozwiązał tak niewygodną sprawę. Wymóg zrozumienia miłości był idealną szczepionką przeciw niej. Jakikolwiek zakaz tylko dodałby jej blasku, uczynił ją bardziej pożądaną, zdolną do wzniesienia rebelii, wojen i aktów zemsty. Krótko mówiąc, zapoczątkowałyby długi okres ciemności, który spowolniłby postęp. A co by się z nimi wówczas stało? Wells uważał, że nigdy nie znaleźliby się tu, gdzie są obecnie, gdyby pozwolili, by rządziły nimi uczucia. Na pewno nie zdołaliby zgromadzić całej tej Wiedzy, która może się okazać ich jedynym wybawieniem. Tak, był przekonany, że akt prawny nakazujący powściągnąć porywy duszy, wyzwolić się od uczuć, tak jak człowiek wyzwolił się od instynktów tysiące lat temu, stanowi klucz do przetrwania gatunku. Chociaż czasami, gdy patrzył na śpiącą Jane, nie mógł się oprzeć i kwestionował ten pomysł. Przyglądał się łagodnej rezygnacji malującej się na jej pięknej twarzy, nieskończonej delikatności ciała tymczasowo pozbawionego zachwycającej woli, która napępiała je życiem, i wątpił, czy droga do wybawienia pokrywa się z drogą do szczęścia.

Ruchem głowy odegnał od siebie te myśli i wszedł do swej garderoby - pokoiku, w którym miał spędzić ostatnie minuty dzielące go od wystąpienia na scenie. Wolał nie siadać w fotelu, stał więc wyczekująco na środku pomieszczenia. Drzwi naprzeciwko tych, przez które wszedł, prowadziły do amfiteatru. Przenikał przez nie rozgorączkowany ryk publiczności i głos słynnego prezentera

Abrahama Freya. W tym momencie spiker witał różne obecne na widowni osobistości. Wkrótce wygłosi jego nazwisko, a on będzie musiał wyjść na scenę. Wells z niejakim smutkiem spojrział na ścianę po lewej. Wiedział, że tam, po drugiej stronie, w sąsiedniej garderobie, znajduje się jego rywal i być może wsłuchuje się w okrzyki wypełniającej amfiteatr publiczności z taką samą udawaną determinacją jak on.

Wtem usłyszał swoje nazwisko i drzwi się otwały, zachęcając go, by opuścił kryjówkę. Biolog zaczerpnął powietrza i zdecydowanym krokiem wyszedł na tylną część sceny. Widownia przywitała go gorącymi brawami. Dwie z kulistych nagrywarek, które kręciły się po amfiteatrze, podleciały do Wellsa i zaczęły wokół niego krążyć. Podniósł ręce i przywitał zebranych, a jednocześnie przywołał na usta swój najspokojniejszy uśmiech, wyobrażając sobie, jak powielają go ekrany komunikatorów w tysiącach domostw. Skierował się do swojej mównicy i położył dłonie na jej powierzchni, z której wystawał pręt wzmacniacza głosu. Jeden z reflektorów wiszących nad sceną skąpał jego wątłą postać w złotym świetle. Pięć czy sześć metrów od niego stała druga mównica, jeszcze pusta. Dziękując za aplauz, biolog skorzystał z okazji, by przyjrzeć się rzędom widowni, od której odgradzał go kanał orkiestrowy, gdzie mechaniczna orkiestra odgrywała nastrojową melodię. Muzyka tworzy porządek z chaosu - przypomniał sobie, co pewnego razu powiedział sławny skrzypek pobłogosławiony przez Kościół. Wśród publiczności dostrzegł transparenty i plakaty ze swoim zdjęciem i swoimi najbardziej znanymi hasłami. On również wyrzekł w życiu kilka zdań, które zyskały rozgłos albo go zyskają w przyszłości, gdy jego śmierć przyda im blasku. W górze, u szczytu widowni, pod ogromnym sztandarem z ośmioramienną gwiazdą - osiem strzał wychodzących z koła i przebijających się przez większy, koncentryczny okrąg - znajdowała się królowa Wiktoria: zasiadała na tronie na kółkach, którym ostatnio zwykle się przemieszczała. Obok mniej ozdobny tron zajmowała kardynał Violet Tucker, sprawująca najwyższą władzę w Kościele Wiedzy i przewodnicząca debacie. Po lewej tłoczyła się jej świta: hurma biskupów i diakonów o poważnych, cierpkich minach; wraz z panią kardynał tworzyli oni Komisję Budżetową. To ta wysuszona staruszka ubrana w czarną sutannę z guzikami ze złocistego jedwabiu



- w kolorze Wiedzy - ostatecznie zadecyduje o jego losie. Wells zauważył, że pani kardynał trzyma w ręce kieliszek; jeśli wierzyć pogłoskom, zawiera on syrop zapobiegający powstawaniu nowotworów. Po bokach sceny mieściły się łoże zarezerwowane dla władz i osobistości, wśród których dostrzegł francuskiego magnata Juliusza Verne'a, Clarę Shelley, bogatą dziedziczkę Zakładów Prometeusza, wiodących na rynku produkcji automatów, a także innych członków naukowej kurii. W łoży honorowej zobaczył Jane. Rozmawiała z doktor Pleasance, małżonką jego rywala, piękną około czterdziestoletnią kobietą, która - tak samo jak Jane - piastowała funkcję kierowniczkę projektów w laboratorium męża. Kilka metrów dalej siedziała reszta jego zespołu. Wszyscy dodawali mu otuchy uśmiechami. Na szczęście nie przynieśli z sobą królików doświadczalnych.

Na scenie, między mównicami a kanałem orkiestrowym, przechadzał się Abraham Frey w brązowym kasku, z którego z prawej strony wystawał wzmacniacz głosu, dzięki czemu prezenter miał wolne ręce i mógł wykonywać swoje charakterystyczne gesty. W tej chwili przedstawiał współzawodnika Wellsa. Wymieniał liczne dokonania jego długiego życia poświęconego Wiedzy. Gubiąc się w tym łańcuszku dat, Wells wyłowił tylko nazwę oksfordzkiego Knowledge Church College, gdzie jego przeciwnik udzielał swych słynnych lekcji matematyki i fizyki - uczelni, na której studiował on sam. Tam, konwersując pośród zabytkowych ścian i spacerując po przyległych aksamitnych łąkach, zbudowali ubogającą więź opartą na relacji mistrz-uczeń. Później on wybrał biologię zamiast fizyki, lecz nadal regularnie się widywali, niezdolni do zerwania przyjaźni, którą obydwaj uznali za wystarczająco produktywną, by ją podtrzymywać. Żaden z nich dwóch nie podejrzewał, że z upływem lat los zamieni ich w przeciwników. Sytuację tę każdy z osobna przyjął z rozbawieniem, choć zarazem obaj walczyli dzielnie o swoje idee, zażarcie broniąc własnych poglądów w licznych debatach poprzedzających tę dzisiejszą, podczas której to Kościół zdecyduje, czyj projekt wydaje się lepiej nadawać do uratowania świata.

- A teraz, wasza wysokość, pani kardynał, przywódcy Kościoła Wiedzy Najwyższej, panie i panowie, powitajmy sławnego fizyka

i matematyka Charlesa Lutwidge'a Dodgsona.

Zwolennicy Dodgsona, słysząc nazwisko swojego idola, zaczęli wiwatować. Otworzyły się drzwiczki jego garderoby i wyszedł przez nie starszy, około sześćdziesięcioletni człowiek, po czym, witając się z publicznością, ruszył do swojej mównicy, podobnie jak kilka minut wcześniej Wells. Był wysoki i szczupły, białe włosy miał starannie uczesane, a jego twarz emanowała zanikającym pięknem wyczerpanego archanioła. Wells bezwiednie przyglądał mu się z niejakim współczuciem. Nie ulegało wątpliwości, że Charles wolałby spędzić to uroczne złociste popołudnie na jednej ze swych zwyczajowych wycieczek łodzią po Tamizie, zamiast dyskutować publicznie nad sposobem uratowania świata ze swym byłym uczniem, żaden z nich nie mógł się jednak uchylać od ciężącej na nich odpowiedzialności. Obaj spięci, pozdrowili się nawzajem skinieniem głowy i pozostając przy swoich mównicach, czujnie wyczekiwali sygnału moderatora. Frey gestem, jakby gładził po grzbiecie powietrze, poprosił o ciszę.

- Panie i panowie! - zawołał barytonem, któremu zawdzięczał sławę. - Jak wszyscy wiemy, nasz drogi wszechświat kona. Umiera od milionów lat. Od swoich gwałtownych narodzin, kiedy wyłonił się z ognistego kataklizmu, nieustannie rozszerza się niepomierne, ale także stygnie. I właśnie ów proces stygnięcia, sprzyjający życiu, będzie tym samym czynnikiem, który z upływem wieków ostatecznie je podetnie. - Przerwał na chwilę, włożył ręce do kieszeni surduta i zaczął chodzić po scenie ze wzrokiem wbitym w podłogę jak zamyślony, zatopiony w marzeniach spacerowicz. - Jako że kosmos podlega trzem zasadom termodynamiki, galaktyki rozdzielają się. Wszystko się starzeje. Wszystko się zużywa. Zbliża się koniec świata. Gwiazdy się wyczerpią, magiczne dziury ulotnią, temperatura spadnie blisko zera bezwzględne. A ludzie, nie będąc w stanie kontynuować swego dzieła na zlodowaciałej scenie... wymrą. - Frey teatralnie westchnął z żalem, po czym zaczął w milczeniu potrząsać głową, igrając z zaciekawieniem słuchaczy, aż wreszcie ogłosił niemal gniewnie: - Ale my nie jesteśmy rośliną ani bezbronnym zwierzęciem, które musi się z rezygnacją poddać fatalnemu losowi. Jesteśmy Człowiekiem! Właśnie tak! Przyjąwszy do wiadomości straszliwe

odkrycie, Człowiek zadał sobie pytanie, czy miałby szansę przetrwać to, co ma nastąpić, nie wyłączając śmierci samego wszechświata. A odpowiedź, panie i panowie, brzmiała: „Tak!”. Jednak człowiek nie powinien stawiać czoła chaosowi niczym samobójczy wojownik, sprzeciwiający się samej naturze, samemu światu... samemu Bogu. Nie, taki niedorzeczny popis brawury nie miałby najmniejszego sensu. Wystarczyłoby... uciec. Tak, wystarczyłoby wyemigrować do innego wszechświata. Ale czy to możliwe? Czy możemy zbiec z tego skazanego na śmierć wszechświata do innego, bardziej gościnnego, i tam zacząć od nowa? I jak to zrobić? Tablice we wszystkich laboratoriach naszego świata zapisano wzorami, które usiłują odkryć nadający się do tego świat. Lecz może nasze wybawienie zależy od jednego z dwóch wyjątkowych umysłów, które są tutaj z nami teraz.

Wells przyglądał się publiczności, która przemowę prezentera nagrodziła huczną owacją. Transparenty i plakaty kołysały się jak drzewa na wietrze. Podobnie jak on wszystkie te osoby urodziły się w świecie skazanym na śmierć i chociaż żadnej z nich nie dane będzie dożyć finału, który tak dosadnie opisał Frey, wiedział, że ich wnuki albo wnuki ich wnuków owszem, ujrzą tak zwany „dzień Chaosu”. Obliczenia szacunkowe mówiły o kilku pokoleniach, ponieważ ochłodzenie wszechświata postępowało szybciej, niż początkowo sądzono. Czy taką spuściznę chcieli zostawić swoim potomkom: zlodowaciały wszechświat, w którym niemożliwe jest życie? Nie, oczywiście, że nie. Bóg postawił im wyzwanie, a oni podnieśli rękawicę. Odkąd zaczął się posługiwać rozumem, matka w pierwszej kolejności powiedziała mu, że wszystko, co widzi - w tamtym momencie podwóreczko na tyłach domu w Bromley, a także skrawek nieba i drzewa widoczne ponad murem - będzie zniszczone, ponieważ świat nie został stworzony po to, żeby istniał wiecznie, choć Stwórca miłym gestem dał człowiekowi na tyle krótkie życie, by ten mógł się ludzić, że wszystko jest trwałe. I podobnie jak większość młodzieży ze swojego pokolenia, Wells pochłaniał książkę za książką, kompulsywnie pożerając wiedzę, zachęcany romantycznym zadaniem ratowania świata. Czy można sobie wyobrazić większe dokonanie? To, co było naiwnym marzeniem chłopca, tego wieczoru może się urzeczywistnić, ponieważ chłopiec ten jest teraz największym

orędownikiem jednej z dwóch najważniejszych teorii dotyczących ocalenia ludzkości.

Zgodnie z tym, co wcześniej ustalono na drodze losowania, moderator przekazał głos Charlesowi, a ten, zanim zaczął przemawiać, pociągnął łyk wody. Dawny nauczyciel Wellsa nigdy nie był jednym z tych rozognionych młodzików tryskających energią i wigorem, podeszły wiek zaś zatarł jego rysy, nadając wątlej postaci bolesną kruchość. Teraz profesor wydawał się wręcz niezdolny do takich wyczynów jak przepędzenie głosem gęsi. Wreszcie odstawił szklaneczkę na pulpit, przywitał stosownie zebranych i rozpoczął swój wywód:

- Od czasu, gdy pojmujemy straszną wieść o tym, że wszystko, co kochamy, ma umrzeć, w powietrzu wisi pytanie: czy możemy wykorzystać naszą potężną naukę, by uciec z tego skazanego na zagładę świata i przenieść się do innego? Owszem, droga publiczności, zdecydowanie tak. A ja jestem tu dzisiaj po to, żeby wyjaśnić wam, jak to zrobić.

Charles mówił spokojnie, aby nie popaść w pasję, która utrudnia wypowiedzenie się, jak zapewne doradził mu jego logopeda. Jeśli będzie kontynuował w tym duchu, jego wywód okaże się cokolwiek chłodny w porównaniu z przemową Wellsa, ponieważ ten mógł bez przeszkód wznieść w swoich słowach tę teatralną zapalczywość, na którą tak łatwo reagują masy.

Coraz mocniej przekonany, że nie przegra tej debaty, Wells pozwolił, żeby starszek przemawiał dalej, a sam czekał na dogodny moment, by mu przerwać.

- Jak wielu z was wie, tego wieczora, kiedy w tym samym miejscu po niewątpliwie pamiętnej debacie ustalono, że wszechświat umrze, zajmowałem się poszukiwaniem sposobu na wstrzyknięcie metanu do atmosfery Marsa. Zamierzałem na Czerwonej Planecie wytworzyć sztuczny efekt cieplarniany, a tym samym podnieść na niej temperaturę i doprowadzić do stopnienia lodu oraz powstania jezior i rzek, aby przygotować warunki dla naszej pierwszej pozaziemskiej kolonii, tak by w razie uderzenia w Ziemię meteorytu albo nastania nowej epoki lodowej mieć w pobliżu miejsce, gdzie moglibyśmy się

schronić. Rzecz jasna, wiadomość o końcu świata zmieniła kierunek moich badań, a nawet mojego życia. Zapomniałem o Marsie, tak samo zdążającym do końca jak reszta świata, i jak każdy odpowiedzialny naukowiec poświęciłem się poszukiwaniu sposobu emigracji do jakiegoś młodszego uniwersum, nad którego głową nie wisi żaden miecz Damoklesa. Wszyscy wiemy, odkąd wielki Newton oświecił nasze umysły - publiczność wzniosła gromki okrzyk: „Cześć Newtonowi!” - że nasz wszechświat nie jest jedyny, stanowi zaledwie bańkę na nieskończonym oceanie, jak wykazały setki badań i eksperymentów przeprowadzonych w tej sprawie. Jakikolwiek prawo czy równanie stojące w sprzeczności z tą prawdą jest skazane na wstyd i upokorzenie. Wiemy również, że w tym wieczystym oceanie bańki stale powstają i ulegają zniszczeniu. Ten fakt, choć jest to dla nas zła wiadomość, że znajdujemy się w jednej z dogorywających baniek, napawa nas nadzieją, ponieważ w tym samym momencie, gdy stoję i opowiadam o nich, bańki pączkują, dając początek nieskończonej liczbie wszechświatów. Gdzieś tam czeka na nas młody, jasno oświetlony świat, idealny, by jakaś pozbawiona ojczyzny cywilizacja uczyniła go swoim nowym domem. Jak się doń jednak dostać? Jak przeprowadzić coś, co bez wątplenia stanie się największym exodusem wszech czasów? Bardzo prosto: z wykorzystaniem tradycyjnej metody tworzenia tunelu, o czym wie nawet najmniej rozbudowany więzień. Jak objaśniałem w moich licznych artykułach, wszechświat jest pełen magicznych dziur, które ze względu na swą nieskończoność silną grawitację pochłaniają wszystko, co się do nich zbliży. Cóż, może owe dziury są tam z jakiegoś powodu. Może to właśnie subtelna podpowiedź od Stwórcy, który w ten sposób wskazuje nam drogę ucieczki z jego własnej pułapki. Ale co znajduje się za tymi dziurami? Teorii na ten temat jest wiele, nieskończenie, jeśli mi pozwolicie na ten żarcik. Żywię jednak przekonanie, że w środku każdej z nich mieści się tunel prowadzący do kolejnej, identycznej dziury w innym wszechświecie. Nie jesteśmy jeszcze gotowi na podróż żadną z tych dziur, ponieważ niestety znajdują się one daleko od naszej planety i panują w nich zbyt niestabilne warunki. Nie stanowi to jednak problemu, jako że proponuję stworzyć sztuczną magiczną dziurę w moim laboratorium. Jestem pewien, że w kontrolowanych warunkach...



- Ale taka dziura byłaby za mała, drogi Charlesie - przerwał mu wreszcie Wells. - Nie wyobrażam sobie, jak cała ludzkość przechodzi przez nią gęsiego. Sam Stwórca by się znudził. Poza tym nie wiem, co sądzi nasza publiczność, ale ja nie chciałbym być połknięty, ani przez magiczną dziurę, ani przez nic innego. Wiesz równie dobrze jak ja, że te siły nas zmielą. Grawitacja będzie tak potężna, że nieuchronnie pociągnie nas do samego środka, gdzie zginiemy zmiażdżeni. - Zrobił teatralną pauzę, a potem dodał z sarkastyczną miną: - Właściwie jedyne, do czego posłuży twoja dziura, to pozbycie się dowodów zbrodni.

Żart ten, tysiąc razy przećwiczony przed lustrem, wywołał na widowni przewidziane chichoty. Dodgson jednak nie stracił rezonu.

- O, nie obawiaj się, George. Nie dojdzie do tego, jeżeli dziura się będzie obracać, jako że siła dośrodkowa zniesie siłę grawitacji. A jeśli się zapuścimy w dziurę, nie zostaniemy zgnieceni na śmierć, tylko wciągnięci do sąsiedniego wszechświata. Trzeba tylko zrównoważyć obie te siły, by nie dopuścić do uszkodzenia dziury. I, rzecz jasna, nie powinna przez nią przechodzić cała ludzkość. Wystarczy wysłać pewną liczbę automatów z zakodowaną w ich pamięci informacją genetyczną każdej jednostki z naszej planety. Kiedy będą już po drugiej stronie, zbudują laboratorium i wszczepią tę informację żywym komórkom, aby w pełni skopiować całą ludzkość.

- Na Kodeks Atlantycki! - udał oburzenie Wells, choć znał to rozwiązanie aż za dobrze. - Miejmy nadzieję, że te mechaniczne laleczki czegoś nie pomylą i nie skończymy wszyscy z żabimi głowami...

Wśród publiczności znowu rozległy się śmiechy i Wells zauważył, że Charles poruszył się nerwowo.

- W t-t-ten sposób ludzkość może przejść przez dziurę wielkości k-k-króliczej nory - próbował wyjaśnić.

- Wiem, wiem. Choć najpierw należy ją stworzyć, przyjacielu. - Wells gestem udał znudzenie. - Powiedz mi jednak, czy wszystko to nie wydaje ci się nieco skomplikowane? Nie byłoby lepiej, gdyby każdy z nas mógł przeskoczyć do tego innego świata samodzielnie?

- Dobrze, George, zrób to. Śmiało, przeskocz do tego innego świata i przynieś mi szklanę wody, bo moja się już skończyła - zadrwił Dodgson.

- Bardzo chciałbym ulżyć twojemu pragnieniu, Charles. Obawiam się jednak, że jeszcze nie mogę spełnić twojej prośby. Aby przeskoczyć do innego wszechświata, potrzebuję funduszy od Komisji Budżetowej.

- Chcesz zatem powiedzieć, że dziś nie możesz przeskoczyć, lecz jutro może tak? - spytał profesor, patrząc nań z rozbawieniem.

Wells spoglądał na niego zmieszany.

- Tak, to właśnie chciałem rzec - odparł z ostrożnością.

- Wobec tego obawiam się, że nigdy tego nie zrobisz, mój drogi George'u, ponieważ nigdy nie znajdziemy się w „jutrze”, zawsze będziemy w „dzisiaj”.

Publiczność wybuchnęła śmiechem, słysząc grę słów, jaką na poczekaniu wymyślił Charles. Wells przeklął się za to, że tak łatwo wpadł w jego pułapkę, ale nie stracił ducha.

- Chciałem powiedzieć, że dokonam tego w dniu, w którym otrzymam środki od Komisji Budżetowej - odrzekł wolno, upewniwszy się, że ta wypowiedź nie zawiera żadnego słabego punktu, który dałby Charlesowi możliwość popisania się kolejną z jego słynnych gier słownych. - Jak wiesz, pracuję obecnie nad cudowną surowicą, wirusem nazwanym „kronotemią” na cześć eksperymentów z przeszłości, gdy ludzie renesansu wierzyli, że można podróżować w czasie. Po wstrzyknięciu do ciała wirus wejdzie w kontakt z naszą krwią i płynem mózgowym, powodując mutację genetyczną, która pozwoli nam przenieść się do innego wszechświata bez potrzeby rozkładania nas i ponownego składania przez jakieś automatyczne zabaweczki. Jestem o krok od udoskonalenia go, od zrównoważonego rozwiązania, które niemal niedostrzegalnie przemodeluje architekturę molekularną naszego umysłu, pozwalając nam widzieć to, czego nie widzimy obecnie. Jak bez wątplenia wie nasza niezwykle inteligentna publiczność, cała materia pochodzi z jednego i tego samego źródła, pierwotnej eksplozji, która stworzyła

świat, toteż atomy naszego ciała są powiązane z jakimiś atomami z drugiego końca kosmosu. I jeśli jakaś cząsteczka drgająca na odległym krańcu naszego wszechświata może się z nami skomunikować, oznacza to, że istnieje sposób, byśmy mogli sięgnąć wzrokiem przez ową otchłań, zobaczyć, co jest za nią, i przeskoczyć do niej. Czy tego chcemy, czy nie, jesteśmy połączeni z innymi światami niewidzialną pępowiną. Musimy tylko wpaść na pomysł, jak można to połączenie przenieść z poziomu atomowego do naszej rzeczywistości makroskopowej.

Dyskusja toczyła się dalej przez resztę godziny wśród umiejętnie rzucanych żartów czy cierpkich i ciętych uwag wymierzonych w przeciwnika w celu ośmieszenia go lub pomieszenia mu szyków. Matematyk denerwował się coraz bardziej, widząc, że jego były uczeń zdobywa sobie uznanie publiczności, a raz nawet stracił panowanie nad sobą. Biolog, przeciwnie, stale zachowywał spokój i uśmiechał się do siebie, obserwując, jak w miarę upływu czasu jego rywalowi ubywa cierpliwości, narasta w nim egzaltacja, a jąkanie sprawia, że objaśnienia wynalazków stają się wręcz niezrozumiałe. Wreszcie, kiedy do zakończenia debaty pozostały już tylko dwie minuty, Wells, świadom, że ktoś, kto zabrał głos, powinien podsumować swe słowa, wyłuszczył to, co sygnalizował już przedtem:

- Jedno ukłucie. Jedno maleńkie ukłucie, zastrzyk mojej surowicy i staniemy się nadludźmi, nadnaturalnymi istotami będącymi w stanie zamieszkać w jakimkolwiek wymiarze. Wasza Wysokość, proszę zawierzyć mojemu projektowi. Proszę pozwolić, abym przemienił ludzi w bogów, i zostawmy mego drogiego przeciwnika, by nadal bawił się swymi króliczymi norami.

Charles chciał odpowiedzieć, ale przeszkodził mu dzwon. Debata dobiegła końca. Wzmacniacze głosu schowały się w mównicach i było słycać tylko Freya rozwodzącego się nad intensywnością dyskusji oraz zachęcającego władze Kościoła Wiedzy do wydania werdyktu. Orkiestra znów zaczęła wygrywać nastrojową melodię, a tymczasem duchowni rozprawiali ze sobą szeptem wysoko na swoich miejscach. Jednak kardynał Tucker natychmiast podniosła się z pomocą swego pastorału i w sali znowu zapadła cisza.

- Po wysłuchaniu naszych dwóch kandydatów ubiegających się o fundusze na projekt „Zbawienie ludzkości” - wygłosiła swoim słabym głosem - podjęliśmy następującą decyzję: mimo godnej szacunku wiedzy profesora Dodgsona, uważamy, że odpowiedzialność za ratowanie nas wszystkich należy złożyć w ręce obiecującego biologa Herberta George’a Wellsa, któremu niniejszym z tego miejsca gratuluję. Niech Wiedza pana prowadzi, panie Wells. Chaos jest nieunikniony!

Wells poczuł się słabo, jakby miał zemdleć, gdy po ogłoszeniu werdyktu sala eksplodowała triumfalnym okrzykiem, a widownia zaczęła machać chorągiewkami z gwiazdą chaosu, tworząc z nich wzburzone morze. Podniósł ręce, w które właśnie złożono losy ludzkości, i pozdrowił rozgorączkowaną publiczność, a ona wśród wiwatów skandowała już jego nazwisko. Zobaczył Jane i cały swój zespół - bili brawo i ściskali się nawzajem w łoży honorowej, podczas gdy żona Dodgsona nie ruszyła się z miejsca, tylko siedziała w fotelu z dłońmi splecionymi na podolku, nie zwracając uwagi na otaczającą ją zgielk. Utkwiła wzrok w mężu, który pochylił głowę w geście porażki. Wells pragnął go jakoś pocieszyć, ale taka postawa nie wydawała się temu sprzyjać. Na znak dany przez Freya zwrócił się w stronę prezentera i pozwolił, by ten podniósł jego prawą rękę, a tymczasem publiczność wywoływała jego nazwisko. Wśród wrzasku i zamieszania tylko on dosłyszał za swoimi plecami gniewne słowa Charlesa:

- *Eppur si muove!*

Zignorował go i uśmiechnął się szeroko, dając się wielbić widowni, która zaczęła opuszczać swe miejsca. Na scenę wspięła się grupa dziewcząt, z prośbą, by złożył autografy w podręcznikach do nauk ścisłych. Wells rozdawał podpisy uradowany, a równocześnie dostrzegł Jane, która utknęła w tłumie zgromadzonym przed sceną, chcąc go pozdrowić i przesłać mu znaczący uśmiech. Nie widział Charlesa, jak ten opuszczał mównicę ze spuszczoną głową i kierował się do drzwi swojej garderoby, ani też ogromnego typa, który się doń zbliżył, gdy zdołał się przepchnąć przez ludzi. Był zbyt zajęty - napawał się własnym triumfem, ponieważ niech sobie Charles mówi,

co chce, ale to on będzie tym, który uratuje ludzkość. Tak już zostało przesądzone.

Wynalezienie magicznego eliksiru, który pozwoli człowiekowi uciec do sąsiedniego wszechświata bez konieczności wydłubywania tunelu, zajęło osiem miesięcy. Osiem miesięcy, podczas których on i Jane wraz z resztą zespołu pracowali dniem i nocą, właściwie mieszkając w zaawansowanym laboratorium urządzonego i wyposażonego dzięki funduszom przyznanych mu przez Komisję. Gdy wreszcie orzekli, że zsyntetyzowali wirusa, Wells poprosił żonę, by przyprowadziła Newtona, szczeniaka rasy border collie, którego nabyli trzy miesiące temu. Biolog postanowił, że to pies będzie miał zaszczyt stanięcia na czele exodusu zaplanowanego dla ludzkości, a nie żaden szczur, świnka morska czy małpa, ponieważ - mimo że to ostatnie zwierzę słynie z wyższej inteligencji - wszyscy wiedzą, że psy mają lepszy instynkt od pozostałych gatunków, jeśli chodzi o powrót do miejsca, które uważają za swój dom, i czasami potrafią w tym celu przebyć duże odległości. Oznaczało to, że jeżeli przeskok się uda, istnieje pewna, choć mała możliwość, iż pies przeskoczy następnie w przeciwnym kierunku, niejako po własnych śladach, a jeśli tak się stanie, będą mogli zbadać długofalowe skutki działania wirusa oraz wpływ tych przeskoków na organizm ssaka. Zdaniem Jane ufność, jaką jej mąż pokładał w rozpowszechnionej opinii o wierności psów, niewiele miała wspólnego z nauką. Jednak kiedy ujrzała szczeniaka baraszkującego w boksie, jego wesołe ślepki i uroczą białą plamkę w kształcie serduszka na czole, jej obiekcje znikły. I tak mały Newton zjawił się w domostwie Wellsów z misją ulotnienia się po kilku miesiącach, a tymczasem nic mu nie przeszkadzało w odgrywaniu roli pupila.

Gdy Jane przybyła ze szczeniakiem, Wells umieścił je na stole laboratoryjnym i nie bawiąc się w ceremonie, ukłuł go w grzbiet, by wstrzyknąć wirusa. Następnie zamknęli psa w przygotowanym w tym celu małym pomieszczeniu z przeszklonym oknem i cały zespół zorganizował się, aby czuwać przy nim na zmianę. Przypuszczali, że - jeśli się nie pomylili - wirus z krwią dostanie się do mózgu, gdzie wniknie w komórki jak przebijak i zostawi w nich nowe czynniki, one zaś w ten sposób wyostrzą wrażliwość jego mózgu, że - by to wyjaśnić



najprościej - będzie mógł zobaczyć nić Ariadny łączącą tę część jego odosobnionego jestestwa z przeciwnym krańcem wszechświata.

Pełnili więc sześciogodzinne warty, siedząc przed pomieszczeniem, choć Jane wolałyby spędzać ten czas w środku, by bawić się z pieskiem i obsypywać go pieszczotami. Mąż ostrzegł ją, żeby się zbytnio nie przywiązywała do malucha, bo ten wcześniej czy później zniknie, a ona stwierdzi, że głaszcze dywan. Ale mijały dni, a niefortunna przepowiednia Wellsa nie sprawdzała się. Kiedy upłynął okres wyznaczony na dokonanie przeskoku, wkroczyli w margines czasu, w którym prawdopodobieństwo błędu rosło w postępie geometrycznym. Pewnego dnia Wells zrozumiał, że dalsze siedzenie przy oknie i oczekiwanie na zniknięcie psa jest bardziej kwestią wiary czy uporczywości niż czego innego, i ogłosił, że eksperyment się nie powiódł, a w ten sposób przywrócił życie pozostałym członkom zespołu.

W kolejnych tygodniach rozpatrywali krok po kroku każdą czynność, jaką wykonali przy fabrykowaniu wirusa. Tymczasem Newton, ułaskawiony i wypuszczony ze swojego zamknięcia, bawił się pod ich nogami bez najmniejszych objawów pogorszenia zdrowia, a zarazem bez najmniejszego zamiaru dokonania cudu, który wstrząsnąłby społeczeństwem. Jednakże na papierze wszystko wyglądało dobrze. Przekłęty wirus powinien zadziałać. Czemu eksperyment się nie powiódł? Próbowali zmodyfikować szczep, ale żadna z kolejnych odmian nie charakteryzowała się taką niezawodnością jak pierwsza. Wszystko wskazywało na to, że udało im się stworzyć właściwego wirusa, jedynego możliwego. Gdzie wobec tego popełnili błąd? Wells poszukiwał go rozpaczliwie, ogarnięty coraz większą obsesją znalezienia wady, a tymczasem ludzie z jego zespołu, w tym Jane, zaczęli rozumieć, że teoria, na której opierał się eksperyment, okazała się niepoprawna. Mimo to Wells nie był skłonny przyjąć tego do wiadomości i nawet rozsierdził się, gdy któryś z członków zespołu wysunął taką sugestię. Nie mógł sobie pozwolić na porażkę, dlatego niestrudzenie kontynuował dociekania, z dnia na dzień popadając w większą drażliwość, przez co wielu współpracowników opuściło jego ekipę. Jane patrzyła na pracującego w milczeniu męża, coraz bardziej wzburzonego

i samotnego, i zastanawiała się, jak długo jeszcze nie będzie chciał przyznać, że zmarnował kościelne fundusze z winy błędnej teorii.

Pewnego ranka otrzymali od Charlesa zaproszenie na herbatę do jego domu w Oxfordzie. W ciągu ostatnich miesięcy wymienili ze sobą kilka listów, w których starszy profesor uprzejmie wyrażał zainteresowanie postępami badań, Wells jednak odpowiadał na to mętnie. Postanowił, że nie powie Dodgsonowi nic, póki nie zdoła zsyntetyzować wirusa, wstrzyknąć go Newtonowi i przekonać się, że to działa. Wówczas napisałby do swojego byłego nauczyciela albo zadzwonił rękawiczkofonem i zaprosił go do siebie, przyznając mu przywilej, by jako pierwszy naukowiec spoza jego zespołu zobaczył, że to on, Wells, znalazł sposób na ratowanie ludzkości. Ale Newton nie zniknął, jak powinien był, toteż zaplanowane zawiadomienie o sukcesie nie doszło do skutku. Dwa pełne frustracji miesiące później przyszło zaproszenie od profesora. Wells chciał je odrzucić, ponieważ nie był w nastroju do takiego spotkania - nie miał najmniejszej ochoty przyznawać przed Charlesem, że jego wirus nie spełnia oczekiwań - lecz Jane powiedziała mu, że może przydadzą mu się rady od starego przyjaciela. Ponadto Charles nadal mieszkał w Knowledge Church College - uczelni, na której studiował Wells. Może wspomnienia zamknięte w jej szacownych murach natchną go nowym zapalem, nie mówiąc już o tym, że będą się mogli przespacerować po pięknej okolicy; nie zawadzi zażyć odrobiny świeżego powietrza. Biolog przyjął więc zaproszenie bardziej po to, żeby nie dyskutować z własną żoną, niż dlatego żeby naprawdę uśmiechał mu się taki plan. Nie sprzeciwił się nawet, gdy Jane nalegała, aby zabrali psa - pozostawiany sam w domu, zwierzak miał zwyczaj dla rozrywki drzeć jakiś jasek, książkę czy inny przedmiot przez nieuwagę zostawiony w zasięgu jego pyska.

I tak pewnego chłodnego styczniowego popołudnia skrzydłowiec wysadził ich dwoje oraz psa przed wejściem do kolegium, gdzie Charles czekał na nich, pozwalając, by śmigła latającego powozu zburzyły jego starannie ułożoną fryzurę.

Kiedy skrzydłowiec ponownie wzbił się w powietrze, Wells i Charles patrzyli na siebie przez kilka sekund w milczeniu, jak dwaj mężczyźni, którzy umówili się o świecie na pojedynek, po czym

roześmiali się obaj. W końcu podeszli do siebie i uścisnęli się serdecznie, klepiąc się mocno po plecach, jakby się chcieli nawzajem rozgrzać.

- Bardzo mi przykro, że przegrałeś debatę, Charles - czuł się w obowiązku powiedzieć Wells, kiedy skończyli z poklepywaniem.

- Nie, wcale nie jest ci przykro - poprawił go Dodgson. - Tak samo jak mnie nie byłoby przykro, gdybyś to ty przegrał. Każdy z nas uważa, że ten drugi się myli, ale wystarczy mi, że twoim zdaniem myślę się błyskotliwie.

Wells z uśmiechem rozbawienia stwierdził, że słowa wciąż są żywiołem i chlubą jego byłego nauczyciela, a on jak dawniej potrafi zrobić z nimi, co zechce. Z drugiej strony najwyraźniej panował również nad swoim jękaniem.

- W rzeczy samej, Charles - odrzekł. - Nie ująłbym tego lepiej.

Starszy pan następnie przywitał się nadzwyczaj serdecznie z Jane i przeprosił za swoją żonę, Pleasance, która w tej chwili miała zajęcia na uczelni. Jeśli uczniowie nie zatrzymają jej zbyt długo, może zdąży spotkać się z gośćmi, zanim się pożegnają.

- A co my tu mamy? - zagadnął, zwracając się do psa, który zaczął machać ogonem.

Zanim Wells zdążył odpowiedzieć, że to nieustające przypomnienie jego porażki, Jane rzekła:

- Na imię mu Newton, mieszka z nami od pięciu miesięcy.

Charles przyklęknął, pogłaskał łatkę zdobiącą psie czoło i skierował do psiaka kilka słów, które zdawał się rozumieć tylko Newton. Wymieniwszy poufałości z psem, profesor przeczesał sobie zmierzwione włosy rękami i poprowadził gości przez niewielki ogródek do swojego mieszkania, usytuowanego koło wieży katedralnej. W jednym z najbardziej przestronnych pokoi, którego ściany oklejono tapetą ozdobioną słonecznikami dużymi jak torty, automatyczny służący rozstawiał właśnie serwis herbaciany na wymyślnie rzeźbionym stoliku otoczonym czterema krzesłami chippendale'a. Usłyszawszy, jak wchodzi, automat odwrócił się,

opuścił swoje metalowe ręce ku podłodze i ruszył ku grupie, podpierając się nimi, po czym przyjął pozycję właściwą hominidom i powitał przybyłych z teatralną rewerencją, zdejmując niewidoczny kapelusz.

- Widzę, Charles, że wciąż nie możesz się oprzeć i przeprogramujesz swoje automaty - zauważył Wells.

- O, to mój sposób na to, by nadać im pewną osobowość. Nie mogę znieść nudnego programu fabrycznego - odpowiedział profesor z uśmiechem. Potem zwracając się do Mechanicznego Służącego, rzekł: - Bardzo dziękuję, Robercie Louisie. Nikt nie rozstawia tak filizanek wokół cukiernicy jak ty.

Automat podziękował mu za komplement i wyglądał prawie jak zarumieniony - niewątpliwie kolejny wkład Dodgsona w jego oryginalny program. Wells z rozbawieniem potrząsnął głową, a tymczasem Robert Louis, trzaskając spawami kolan, zmierzał już ku swojemu miejscu przy drzwiach, gdzie stanął, czekając na nowe rozkazy. Służący automat Wellsa też był modelem R.L.6 Prometeusza, lecz biologowi nigdy nie przyszło do głowy, aby go ochrzcić imieniem nawiązującym do tych inicjałów, a tym bardziej otwierać mu czaszkę i za pomocą kilku regulacji nadać duszę cyrkowego akrobata. Charlesowi zaś owszem, oczywiście. Starszy matematyk nie potrafił zaakceptować rzeczy takimi, jakimi są, musiał zmieniać ich wygląd i cechy charakterystyczne, i właśnie z tego powodu Wells cenił go bardziej od pozostałych swoich nauczycieli.

Podczas gdy profesor i Jane kończyli nakrywać do stołu, Wells skorzystał z okazji, by się rozejrzeć po pokoju. Najświeższe technologiczne nowinki - takie jak podgrzewacz żywności, rękawiczkopis, promiennik ciepły, a nawet na jednym stoliku kurzochłonna myszka z wnętrzościami na wierzchu, jakby Charles poddał ją wiwisekcji, a potem nie zwracał już na nią uwagi - współistniały tu z przedmiotami innego rodzaju, które dawały wgląd w bardziej ekstrawaganckie zakamarki duszy starego nauczyciela: garścią zabytkowych zabawek oraz stłoczoną na półkach regału kolekcją pozytywek. Wells podszedł do nich i poglądził niektóre, jakby były drzemiącymi kotami, choć nie odważył się ich otworzyć;

nie chciał uwalniać ich muzyki ani maleńkiej tancerki, która być może spoczywa zamknięta we wnętrzu. W głębi pomieszczenia zaciągnięta gruba zasłona odgradzała wytworną część pokoju od *terra incognita*, gdzie mieściło się laboratorium profesora.

Wells przyglądał się ścianom ozdobionym wykonanymi przez samego Charlesa rysunkami ilustrującymi rozmaite książki z dziedziny logiki matematycznej, które napisał dla dzieci. Mimo ich wesołego charakteru Kościół - tak gorliwie nakładający na profesora kary za jego ekscentryczność - pobłogosławił te dzieła, ponieważ uznał, że pomagają dzieciom rozwijać inteligencję od małego. Mimo to, obawiając się, że wpłyną one na jego reputację naukowca, Charles z ostrożności opublikował je pod pseudonimem Lewis Carroll. Większość ich stronnic napisał, siedząc oparty o drzewo na brzegu Tamizy w karmelowym świetle wiosennych dni, ponieważ profesor miał zwyczaj pływać po rzece łodzią, leniwie rozcinając powierzchnię wody wiosłami. Wells, kiedy był jego uczniem, nieraz miewał przywilej towarzyszenia mu w tych wycieczkach.

- Usiądź obok mnie - powiedział mu pewnego popołudnia - i wyobraź sobie coś, co nie ma najmniejszej wartości użytecznej.

- Coś bez wartości użytecznej? - powtórzył Wells, siadając przy pniu. - Obawiam się, że nie potrafię. Poza tym, jaki to miałyby mieć sens.

- O, większy, niż sądzisz. - Charles uśmiechnął się, a widząc, że jego uczeń nie pozbył się wątpliwości, dodał: - Mam coś, co ci może pomóc.

Wyjął z kieszeni marynarki barokowe porcelanowe puzdereczko na pigułki, którego wieczko otwierało się po zwolnieniu sprężynki jak w kieszonkowym zegarku. W środku znajdowała się kupka delikatnego złocistego proszku. Wells uniósł brwi.

- Czy to... elfi pyłek?

Ku jego zaskoczeniu Charles przytaknął. Wellsowi nigdy by nie przemknęło przez myśl, że jego nauczyciel zażywa tę substancję. Kościół zakazał tego ponad dziesięć lat temu, gdyż uznał, że



negatywnie stymuluje ona ludzki umysł, zachęcając do snucia bezproduktywnych wyobrażeń.

- Weź sobie trochę i rób to, co ja - zachęcił go Charles, biorąc szczyptę i unosząc ją do nosa. Potem podsunął pudełeczko Wellsowi, ten się jednak zawahał. - O, daj spokój, George, śmiało. Myślisz może, że powód istnienia ludzkiego nosa to wachanie kwiatków na łące?

Wells wziął odrobinę proszku, przytknął sobie do nosa i wciągnął przy zachęcającym uśmiechu profesora, który po dopełnieniu rytuału schował puzderko, oparł się o drzewo i błogo zamknął oczy.

- A teraz, George, pozwól swemu umysłowi ulecieć - polecił łagodnym szeptem. - Odkryj, dokąd jest w stanie dotrzeć.

Wells też oparł się wygodniej o pień i zamknął oczy. Przez kilka minut próbował wyobrazić sobie coś bezużytecznego, jak mu powiedział Charles, ale jego umysł uparcie zastanawiał się nad tym, czy da się wykrywać choroby na podstawie analizy wydychanego powietrza, jak to się robi z krwią i moczem - możliwością, nad którą rozmyślał od paru dni. Cokolwiek rozczarowany, miał już oznajmić profesorowi, że elfi pyłek na niego nie działa, wołał jednak pozostać w niezmienionej pozycji z zamkniętymi oczyma do czasu, gdy Charles da jakiś znak życia. Nie chciał mu przeszkadzać, jeśli jego umysł szybował jak puszczony przez dziecko latawiec. Tymczasem napawał się więc świeżością ciągnącego od rzeki orzeźwiającego powiewu, a żeby się nie nudzić, starał się znaleźć jakąś regułę w bzczeniu owadów, które dobiegało do jego uszu. Aż poczuł, że przysypia. W półśnie zauważył, że jego umysł zaczyna po trosze oscylować, a myśli krążą tam i siam, z wolna pozbywając się jakiegokolwiek logiki. Gdy spostrzegł, że wszelka sformułowana myśl zboczy z kursu jak łódź, która zerwała cumy, ogarnęła go panika. Mimo to później zdołał się uspokoić, mówiąc sobie, że jego mózgowi nie stało się nic złego, a ten umysłowy bałagan jest dziełem zażytego proszku, i poddał się jego skutkom bardziej z ciekawości niż ze strachu. W jego głowie zaczęły kiełkować dziesiątki pozbawionych sensu obrazów, tyleż niemożliwych co inspirujących, wirowały i nawlekały się na siebie nawzajem w kazirodczych kombinacjach. Widział zbliżające się do

Ziemi marsjańskie statki powietrzne, niewidzialnych ludzi i dziwne stworzenia będące mieszkańcami świni i hieny. I poczuł nagłą ekscytację. To było jak jazda na dzikim koniu bez siodła.

Zafascynowany pozwolił, by wrażenie się wzmagало, bo chciał sprawdzić, czy uda mu się dosiąść też smoka. Nie wiedział, jak długo trwało składanie historii i ponowne ich rozkładanie bez logicznego porządku, jedynie według reguł dyktowanych przez zamroczenie. Przypuszczał, że Charles obok niego robi to samo, ale gdy się zaczął otrząsać i otworzył oczy, ujrzał, że nauczyciel przygląda mu się z uśmiechem rozbawienia.

- To, co właśnie robiłeś, mój drogi George'u, to używanie wyobraźni. I choć wielu uważa, że nie służy ono niczemu, zapewniam cię, że tak nie jest. Jesteśmy tym, co sobie wyobrażamy - rzekł, parafrazując stare powiedzenie. - Z czasem sam się o tym przekonasz.

I tak się stało. Tamtego wieczoru, podczas gdy Jane spała, biolog zamknął się w swym gabinecie i włączył rękawiczki. Ale teraz nie zamierzał pisać esejów ani artykułów pomagających w rozwikłaniu tajemnic świata. Tym razem miał zamiar spisać historie podsunięte przez obrazy, które zarysowały się w jego głowie pod wpływem złocistego proszku. Zaczerpnął głęboko powietrza i spróbował przywołać je w pamięci, lecz mu się nie udało. Jego umysł, kiedy odzyskał swoją zwyczajową sztywność, nie tolerował ich. Odrzucał je, nie dopuszczał do głosu. Po kilku godzinach spędzonych na bezowocnych próbach wyciśnięcia z siebie czegokolwiek Wells dał za wygraną i wyszedł na taras. Nocne niebo było usiane sterowcami, ale bez trudu dało się pośród nich rozpoznać sylwetkę „Albatrosa” - wyposażonego w śmigła statku powietrznego, który Zakłady Verne'a wyprodukowały na zamówienie jednego z najbogatszych mieszkańców planety, Gilliana Murraya, nazywanego Panem Wyobraźni. Choć na swoim bilecie wizytowym napisał, że jest sprzedawcą antyków, wszyscy wiedzieli, że to on syntetyzuje elfi pyłek i handluje nim. Ten chełpliwy grubas rządził swoim coraz większym imperium ze swej latającej rezydencji, przez co kościelna policja nigdy nie zdołała przeniknąć stworzonej przezeń gęstej sieci łapówek, wymuszeń i gróźb. Tak więc wszechobecna sylwetka „Albatrosa”, nie podlegając najwyższej władzy tego świata, plamiła

londyńskie zachody słońca i przypominała człowiekowi, że aby poznać granice własnego umysłu, wystarczy wciągnąć nosem szczyptę złocistego proszku.

Wells nigdy nie podejrzewał, że pewnego dnia zainteresuje się substancją produkowaną przez tego nikczemnika, ale dokładnie tak się stało: następnego dnia poszukał jej, nie bez pewnego zawstydzenia. Nie chciał prosić o nią swego nauczyciela, toteż zapuścił się do Limehouse, jednej z dzielnic, w których gromadzą się Ignoranci, z wyboru odrzucający Wiedzę. Słyszał, że tam łatwo można się zaopatrzyć w proszek, i nie mylił się: wrócił z pełnym po brzegi pudełeczkiem. Nocą zamknął się w swym gabinecie, wciągnął nosem szczyptę, przygotował rękawiczki i czekał. Jego umysł nie zwlekał z wymknięciem się spod kontroli, jak podczas złocistego popołudnia spędzonego nad rzeką z Charlesem. Trzy godziny później, mając jedynie mętne wspomnienie palców intensywnie stukających po papierze, odkrył, że udało mu się sklecić opowiadanie. Następnej nocy powtórzył tę ceremonię, i następnej, i kolejnej także, i tak oto gromadził po kryjomu coraz większy zbiór historyjek powstających ze swawolnego kaprysu. Nie wiedział, dlaczego je pisze, skoro potem psuły się jak owoce w szufladzie jego biurka, jako że nie odważył się pokazać ich nikomu, nawet żonie. Nie wydawały mu się też przejawem sztuki użytecznej, takiej, która by mogła odkryć coś wartościowego. Występowali w nich naukowcy babrający się dziwnymi, chorymi eksperymentami bez żadnego pożytku dla społeczeństwa, ludzie ambitni, próbujący posłużyć się nauką dla własnych korzyści, starający się osiągnąć niewidzialność lub przemieniający zwierzęta w ludzi. Wells wątpił, czy Kościół dałby im błogosławieństwo. I może był to powód, dla którego lubił je pisać.

Wiedział jednak, że wytwarza coś grzesznego, w dodatku robi to celowo i regularnie, dlatego coraz częściej za dnia dopadał go strach, zwłaszcza kiedy na ulicy mijał się z jakimś funkcjonariuszem kościelnej policji. Niepokój w końcu stał się nie do zniesienia, aż którejś nocy Wells zebrał wszystkie swe opowiadania - mimo że dostrzegał w nich więcej mądrości niż w nudnych traktatach, jakie pisywał - i spalił je w kominku. Garść popiołu położyła kres kilku miesiącom, w ciągu których zachowywał się jak nieodpowiedzialny

szalencie, a nie jak uznany biolog, którym był. Od tamtej pory ograniczał się do takich działań, jakich oczekiwało od niego społeczeństwo, i dyskretnie unikał kolejnych złocistych popołudni spędzanych z nauczycielem. Od tamtych nieobliczalnych nocy minęło dziewięć czy dziesięć lat. Przez ten czas niczego już sobie nie wyobrażał. Przynajmniej niczego, co nie miałoby funkcjonalnego wkładu w naukę, tak jak przekłety wirus kronotemii.

Potrząsnął głową, by się uwolnić od tych wspomnień, i podszedł do stołu, żeby przy nim pomóc. Gdy podwieczorek był już gotowy, usiedli i nawiązali przyjemną rozmowę o wszystkim i o niczym, rozmowę, w której Wells uczestniczył rozkojarzony i pełen obaw, ponieważ wiedział, że jest to tylko kulturalny wstęp, a zaraz potem profesor ośmieli się zapytać o to, co go tak naprawdę interesuje. Kiedy pogawędka wreszcie zdawała się gasnąć, ustępując miejsca milczeniu, Charles odchrząknął i Wells zrozumiał, że przyszedł moment, którego się lękał.

- A w-więc, George, jak tam twoje b-badania? - zagadnął nauczyciel, starając się nie jękać. - W l-listach byłeś dość powściągliwy.

Biolog zerknął na żonę, a ta skinieniem głowy zachęciła go, by się otworzył przed Charlesem.

- O, bardzo dobrze - odparł z wysilonym entuzjazmem. - Zapewniam cię, że robię ogromne postępy.

Charles popatrzył na niego sceptycznie.

- Ogromne p-postępy? Czy aby na pewno? Dobrze cię znam, George, a ton twojego głosu i mowa ciała, nie wspominając już o tym spłoszonym spojrzeniu, które wymieniłeś ze swoją drogą małżonką, zdają się zdradzać coś wręcz przeciwnego. Spójrz na te plecy sztywno oparte o krzesło, spójrz na te nogi założone jedna na drugą i na tę wiszącą w powietrzu stopę, która nie przestaje się kiwać niczym serce dzwonu... Z-założę się, że jeszcze nie osiągnąłeś żadnych zadowalających rezultatów.

Wells, cokolwiek zawstydzony, zmienił nieco pozycję, jeszcze raz rzucił okiem na Jane, która ponownie kiwnęła głową, tym razem

bardziej nagle, a następnie zwrócił się do swego nauczyciela, wciąż uśmiechniętego. W końcu westchnął bezradnie.

- Masz rację, Charles - przyznał z przygnębieniem. - Jestem w rozpacz. Udało się nam zsyntetyzować wirusa, ale on nie działa. Wypróbowaliśmy go na tym psie. - Wskazał leżące na dywanie nieustające przypomnienie jego porażki. - Bez najmniejszego rezultatu. Sprawdziliśmy wszystko tysiąc razy i nie wiem, co poszło źle.

- Tysiąc razy? Przypadkowo tyle samo, na ile kawałków rozbija się filiżanka, kiedy upadnie na ziemię... - zażartował Charles. Jednak zauważywszy, że Wells nawet nie próbuje roześmiać się z uprzejmości, spoważniał i dodał: - Rozumiem wszakże, co pragniesz mi przekazać, przyjacielu. I czuję, że mało brakuje, byś się poddał.

- Poddać się? Absolutnie nie! Ani o tym myślę! - wykrzyknął Wells, dostrzegając, że Jane przybrała zrozpaczoną minę, co jeszcze utwierdziło jego postawę. - Zapewniam cię, że będę kontynuował badania, aż ustalę, gdzie popełniłem błąd. Zamierzam wykryć tę przekłętą pomyłkę i naprawić ją. Kościół powierzył mi ratowanie ludzkości i nie chcę zawieść tego zaufania. W przeciwnym razie nigdy nie umiałbym spojrzeć na siebie w lustrze.

- W t-takim razie bardzo trudno byłoby ci się golić, George. Ale cóż, nie dramatyzuj tak. Pewnie masz rację - dodał mu otuchy profesor. Wells uniósł brew. - Powinieneś tylko uważnie cofnąć się ścieżką, którą przeszedłeś, znaleźć błąd i go naprawić. - Uśmiechnął się przekornie. - Ch-chociaż to oznacza posunięcie się dalej w tył, niż byś sobie życzył, prawda?

Wells nie odezwał się.

- To prawda, Bertie - wtrąciła łagodnie Jane. - Może już pora przyznać, że... prawdziwa jest teoria Charlesa.

Biolog popatrzył na żonę, a potem znów na swego byłego nauczyciela, który czekał na jego odpowiedź. Wciągnął go w pułapkę, lecz mimo to Wells nie zamierzał się poddać.

- Obawiam się, że nie mogę powiedzieć tego, co chciałbyś usłyszeć, Charles - odrzekł z najwyższą delikatnością. - Moja porażka jest



jedynie chwilowa. Wprawdzie mój wirus nie zadziałał, ale wciąż jestem absolutnie przekonany, że podążamy właściwą drogą, a tobie nie uda się stworzyć magicznej dziury, choćbyś dysponował funduszami od Rady Budżetowej.

Charles przez kilka sekund patrzył na niego ze spokojną miną, ale na jego ustach powoli rozkwitał uśmiech.

- Tak sądzisz? Bo ja nie byłbym tego taki pewien.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał ostrożnie Wells.

- Uwielbiam wasze towarzystwo - zaczął profesor, spoglądając na nich z sympatią - ale zaprosiłem was tu nie tylko z tego powodu. Chciałbym wam coś pokazać. C-coś, czego „nie uda się stworzyć”.

Biolog patrzył na niego, nie rozumiejąc, a Charles dał sygnał automatowi.

- Z łaski swojej, Robercie Louisie, czy mógłbyś odsunąć kotarę?

Mechaniczny Służący odwrócił się do zasłony, ujął jej rąbek i idąc ku przeciwnemu końcowi - tym razem w tradycyjny sposób - zaczął ją odsuwać. Kotara odsłoniła wówczas to, co do tej pory skrywała. Na ten widok Wells zerwał się z krzesła, jakby ktoś krzyknął: „Pożar!”, a Jane upuściła swą filiżankę na spodek. Nawet Newton spał się na dywanie. Wszyscy dopiero po kilku sekundach oswoili się z tym, co mieli przed sobą, ponieważ nie było to coś, co można łatwo pojąć. Ktoś zrobił w płótnie rzeczywistości dziurę - dwumetrowej średnicy otwór, który zdawał się wolno obracać. Otaczał ją drżący obrąbek z lśniącej, ziarnistej mgły, nieco wystrzępiony na brzegach. Pośrodku widniała absolutna ciemność, czerń z wyglądu tak lodowata jak ta, która wypełnia wszechświat. Wokół dziury rzeczywistość wydawała się lekko zakrzywiać, jakby chciała zostać wchłonięta przez ten wlot rynny. Szczelina chwiała się pół metra nad podłogą, gdzie znajdowała się metalowa płyta najeżona dźwigniami i zaworami. Rozstawione dookoła liczne wyglądające na skomplikowane urządzenia najwyraźniej utrzymywały dziurę w stabilnym stanie.

- Cóż to takiego, u licha? - wymamrotał Wells.

- George, oto magiczna dziura - odparł Charles.



Wells bardzo powoli podszedł do tajemniczego dziwu, a za nim Jane, tymczasem Charles przyglądał się im ze swojego krzesła z uśmiechem zadowolenia. Pozwalając, by pomruk maszyn ukołysał jego zdumienie, biolog studiował rozdarcie powietrza, nie odważył się jednak przekroczyć niewidzialnej granicy, którą wyznaczała zasłona. Brzegi dziury zdawały się utworzone z gazowej materii, a ponieważ były zakrzywione nieco do wewnątrz, otwór sprawiał wrażenie bramy do jakiejś głębi. Z jej otchłani nie dobiegał żaden dźwięk, nie można w niej było rozróżnić nic innego, jak tylko zwartą, gładką czerń.

- Udało ci się... - zauważył Wells z niedowierzaniem.

Charles wstał i dołączył do nich.

- Zgadza się, przyjacielu: udało mi się.

- Ale jak? Jak tego dokonałeś? I skąd wzięłeś pieniądze, żeby kupić tę technologię? - zapytał biolog, wskazując liczne urządzenia stabilizujące dziurę. - Sam materiał musiał kosztować co najmniej siedemset tysięcy funtów.

- Dokładnie: osiemset tysięcy - poprawił go profesor.

- Ale taka kwota przewyższa fundusze Komisji Budżetowej! - wykrzyknął Wells, coraz bardziej zaskoczony. - O ile nie dostał ci się spadek po kilku bogatych wujkach, nie rozumiem, jak zdołałeś zgromadzić tyle...

- Mój drogi George'u, to, że Kościół nie powierzył mi swoich środków, nie oznacza, że nie uczynił tego nikt inny - rzekł tajemniczo profesor. - Wiele osób uważa, że mam rację, i jedna z nich jest na tyle bogata, by sfinansować moje badania. Bo ta osoba uwierzyła w nie, czego, tak na marginesie, nigdy nie zrobił mój przyjaciel i były uczeń Herbert George Wells.

- A kim, u diabła, jest ten człowiek? - wybełkotał Wells.

Charles przez kilka sekund uśmiechał się tylko.

- Gilliam Murray.

- Murray, Pan Wyobraźni? To on ci pożyczył pieniądze?

Profesor skinął głową, a jego uczeń złapał się za głowę. Nie mógł uwierzyć. Zaskoczyło go to bardziej niż sama magiczna dziura. Gilliam Murray... Na brodę Keplera, co ten Charles zrobił! Murray jest jednym z najbogatszych ludzi tej planety i jedynym, z którym nie powinno się wchodzić w interesy. Wszyscy to wiedzą.

- Chyba oszalałeś, Charles? - wybuchnął. - Przecież znasz reputację tego przestępcy! Bardzo wątpię, czy naprawdę wierzy w twoją teorię. A jeśli nawet uwierzył w tę dziurę, myślisz może, że chciałby ją wykorzystać do czegoś dobrego? Na Boga, Charles, twoja naiwność jest jeszcze większa od twojego geniuszu!

- Co miałem zrobić? - bronił się profesor. - Kościół odwrócił się do mnie plecami... dzięki tobie, drogi przyjacielu. Murray stał się dla mnie jedyną szansą na kontynuowanie badań. Jedyną!

- Ale za jaką cenę, Charles, za jaką cenę - wytknął mu Wells.

Starszy nauczyciel zacisnął usta w grymasie rezygnacji. Najwyraźniej jemu też nie podobało się to, co musiał zrobić.

Wells zlitował się nad staruszką, który stał przed nim, potrząsając głową i wbijając wzrok we własne buty jak dziecko zawstydzone swoją ostatnią psotą. Biolog westchnął i zadał pytanie mniej wzburzonym tonem:

- Kiedy masz mu zwrócić pieniądze?

- Cóż... - zająknął się Charles. - Miałem... kilka tygodni temu.

- Co?!

- Ale to nieistotne, George! - pośpiesznie zapewnił go profesor. - Ważne, że mi się udało. Stworzyłem magiczną dziurę! Patrz na nią, oto ona. To ja miałem rację, a nie ty, George. To ja! Ale nie po to cię zaprosiłem, żeby się przed tobą cieszyć zwycięstwem - rzekł, spoglądając poważnie na swego byłego ucznia. - Tylko po to, abyś wstawił się za mną przed Kościołem. Dziura nie jest jeszcze skończona. Zachowuje się stabilnie przy niewielkich przesyłkach, nie wiem jednak, co się wydarzy z czymś o tak skomplikowanej informacji i energii jak człowiek.

Wells spojrział na profesora, który oparł swą starczą dłoń na jego przedramieniu i patrzył na niego wyczekująco. Potem nieufnie utkwiał wzrok w dziurze.

- Co się może stać? - spytał.

- Nie wiem - wyznał Charles. - Wyobrażam sobie, że ktoś, kto próbowałby się przez nią przeprawić, mógłby zostać brutalnie zgnieciony. Ale jeśli przekonasz Kościół, żeby mnie finansował, mógłbym ją w końcu ustabilizować, a wtedy nie musiałbym się martwić o pieniądze, które jestem winien Murrayowi, ponieważ miałbym ich więcej, niż zdołałbym wydać przez resztę życia. Zrobisz to, George? Pomożesz mi? Musisz przyznać, że moja teoria okazała się prawdziwa.

Wells powiódł zrezygnowanym spojrzeniem po laboratorium swojego byłego nauczyciela. Odstawiona do kąta, pokryta warstwą kurzu niczym symbol starych nadziei człowieka, widniała makietka kolonii, którą Charles zamierzał zaprojektować na Marsie, na wschód od Olympus Mons. Potem spojrział na dziurę i na Newtona, który wciąż leżał na dywanie; dwa symbole przygnębiającej rzeczywistości.

- Masz rację, Charles - przytaknął ze zniechęceniem. - To ty miałeś rację, nie ja. I nie martw się: porozmawiam z kardynałami.

- Dziękuję, przyjacielu - odrzekł Charles. - Jestem pewien, że za trzy czy cztery miesiące będzie gotowa. Muszę tylko wprowadzić kilka drobnych poprawek.

- Tylko kilka drobnych poprawek? Nie wie pan, jak bardzo mnie to cieszy, profesorze - odezwał się jakiś głos za ich plecami.

Stwierdziwszy, że nie są sami w pokoju, Wells, Charles, Jane, a nawet Newton odwrócili się zaskoczeni.

Przy drzwiach stało trzech ludzi. Jeden z nich, oflankowany przez pozostałych dwóch, jako jedyny nie był uzbrojony. Mimo to wyglądał najgroźniej z trójki. Swą słynną posturę Minotaura ukrył pod luksusowym płaszczem, którego poły niemal zamiatały podłogę, a na jego mięsistych wargach igrał bezczelny uśmiech. Po jego lewej stronie sterczał rudzielec niemal tak wielki jak on, choć sprawiał wrażenie znacznie silniejszego, zdolnego do zonglowania wołami.

Typek po prawej, o smukłym podbródku i intensywnym spojrzeniu, był młodszy i zdawał się bardziej zwinny niż silny, jakby potrafił uchylać się przed wołami, którymi ciskałby w niego ten pierwszy. Obaj dzierżyli w rękę po pistolecie, po czym można ich było rozpoznać jako siepaczy tego pośrodku, ten zaś celował w Roberta Louisa jakimś dziwnym urządzeniem. Automat wcześniej, po odsunięciu zasłony, cofnął się i ustawił pod ścianą, gdzie pozostał, wyglądając jak obolały czy okaleczony. Zwiesił głowę, ramiona opadły mu bezwładnie po bokach ciała, a czerwony blask oczu przygasł. Wells przypuszczał, że ten rupieć mógłby powalić skrzydłowca, i bezwiednie zastanawiał się nad tym, jakiego rodzaju obwody kryje pod swą obudową.

- Panie Murray, jak miło znów pana widzieć! - zawołał Charles, udając radość, ale nie robiąc ani kroku w stronę gości. - Został nas pan akurat przy herbacie, więc jeśli ma pan ochotę, proszę usiąść z nami.

Pan Wyobraźni schował swe urządzenie do kieszeni płaszcza i nie ruszając się z miejsca, przez kilka sekund przyglądał się gospodarzowi, a jednocześnie uśmiechał niemal tkliwie.

- To bardzo miłe, profesorze, ale nie przyszedłem tu po to, by pić z panem herbatę.

- Tak, oczywiście - odrzekł Charles, rzucając nerwowe spojrzenie Wellsovi i jego żonie, którzy wciąż trwali obok siebie kilka metrów od dziury, również nie mając odwagi wykonać żadnego ruchu. - W-wyobrażam sobie, że przyszedł pan po swoje pieniądze. W-wiem, że powinienem był zwrócić je kilka tygodni temu, ale naukowcy są najbardziej roztargnionymi ludźmi na świecie - zażartował, skubiąc palcami brzeg surduta. - Choć z mojej strony jest to niewybaczalne spóźnienie, jak był pan łaskaw uprzejmie przypomnieć mi w swoim miłym i bynajmniej nie zawierającym pogroźek telegramie... Ale cóż, zapomnijmy o tym! - zaproponował z ożywieniem. - Jak pan widzi, m-magiczna dziura jest prawie gotowa i przyniesie mi dużo p-pieniędzy, tak więc zwrócę panu w dwójnasób kwotę, którą tak hojnie mi pan pożyczył... w ramach zadośćuczynienia za kłopoty spowodowane opóźnieniem.

- W dwójnasób, co? - Murray uśmiechnął się spod drzwi. - Jest pan doprawdy szczodry, profesorze. Ale, niestety, pieniądze mnie nie interesują.

To powiedziawszy, ruszył ku regałowi z pozytywkami, uśmiechając się i udając zaniepokojenie. Szedł nieśpiesznie i mimo potężnego ciśnienia zdawał się poruszać z niemal zmysłowym wdziękiem. Charles, patrząc, jak intruz gładzi jego muzyczne zabawki, starał się zapanować nad zdenerwowaniem.

- Wie pan, na ile wycenia się mój majątek, profesorze? - zapytał milioner, otwierając hebanową skrzyneczkę i uwalniając muzyczkę sprowadzoną z dzieciństwa. Pozwolił, żeby melodia przez kilka sekund przewijała się przez powietrze, po czym na powrót zamknął ją w jej więzieniu. Potem spojrzał na nauczyciela, który przecząco pokręcił głową. - Nie wie pan? Ja też nie. To nieprzeliczalna kwota. - Zaciśnął usta, robiąc przygnębioną minę. - Jednak nawet nieprzeliczalna kwota pieniędzy nie umożliwia spełnienia wszystkich pragnień. Niestety, jest mnóstwo rzeczy, których nie mogę kupić. Wyobraża pan sobie, o jakie rzeczy mi chodzi, profesorze? Nie, widzę, że nie... Być może dlatego, że pan nigdy nie musiał ich kupować. Mam na myśli godność, ludzki podziw, szacunek... - Roześmiał się niewesoło, a tymczasem Charles patrzył na niego coraz bardziej zaniepokojony. - Wydaje się pan zaskoczony, profesorze... Może uważa pan, że ktoś taki jak ja nie przywiązuje wagi do tego rodzaju spraw, skoro poświęcił się temu, czemu się poświęcił. Lecz owszem, są dla mnie ważne, jak pan widzi, i to bardzo. - Westchnął teatralnie. - Jestem zmęczony hipokryzją tego świata. Pan i wielu panu podobnych zażywacie narkotyki, którym pokątnie handluję...

Charles i Wells wymienili niespokojne spojrzenia. Tak jak wszyscy w Londynie, wiedzieli, że Murray nie wzbogacił się na sprzedaży krzeseł z epoki elżbietańskiej, ale - również podobnie jak wszyscy - dla własnego dobra woleli udawać, że tego nie wiedzą. Teraz jednak karty zostały odkryte i nagła szczerłość Pana Wyobraźni nie wróżyła niczego dobrego.

- Kościół potępia mnie ze swoich ambon - ciągnął płacząco Murray - choć w stosownym momencie odwraca wzrok, aby moim

interesom zapewnić niezbędną bezkarność. A częstokroć robi coś więcej niż odwracanie oczu... Ale mam dość prania sutann kleru, samej kardynał Tucker i jej bezwstydną świty starych pierników! - wykrzyknął z nagłym przyływem wściekłości. - Potrzebują mnie, ponieważ p r a g n ą władzy nad swoim ludem, którą mają dzięki mnie, a lud potrzebuje mnie, bo p r a g n i e radości, której mu dostarczam. Dla wszystkich jednak jestem p e r s o n a n o n g r a t a! Złem Wcielonym! Co za paradoks, nieprawdaż? - zakończył z przesłodzonym uśmiechem.

Wells przełknął ślinę. Bez najmniejszych wątpliwości zanosilo się na to, że ta scena zakończy się dla nich fatalnie. Mimo wszystko analizował niespodziewaną spowiedź milionera z pewną fascynacją, ponieważ jego słowa potwierdzały, że Kościół jest pokątnie zamieszany w handel elfim pyłkiem. Nietrudno mu było pójść w dociekaniach nieco dalej i zrozumieć resztę. Kościół, podobnie jak zrobił to ze zdolnością do kochania, za pomocą błyskotliwego planu powstrzymał człowieka od używania wyobraźni: rozumiejąc, że zakaz jedynie zachęci do sięgania po zabronioną rzecz, wolał sprawić, by ludzie zwątpili w rzeczoną zdolność, stworzył zatem substancję sztucznie wyostrzającą fantazję, a następnie potępił jej zażywanie, tak aby w oczach człowieka stała się ona tyleż fascynująca, co groźna. W ten sposób człowiek uzależnił się od elfiego pyłku, przekonany, że potrzebuje go do fantazjowania, choć przypuszczalnie naturalny dar wyobraźni wcale nie zniknął z jego głowy.

Mimo zakazu Kościół Wiedzy dokładał starań, aby substancja docierała do jego wyznawców, ponieważ nie życzył sobie zupełnego wyplenia owej zdolności, która - tak samo jak miłość - mogła prowadzić człowieka do Wiedzy. Jednakże zapoczątkował i podtrzymywał brudne, skrywane uzależnienie w celu uzyskania wszelkich korzyści, bez utraty kontroli nad przedmiotem. I tutaj wkraczał Murray, Pan Wyobraźni, pokątny handlarz uwalniający Kościół od wszelkiej zmy. A jednak Murray nie był pierwszym, który odgrywał tę rolę, zarówno odpychającą, jak i niezbędną. Wcześniej istnieli inni pośrednicy, ciemne postacie, wcielenia wszystkiego, co w świecie godne pogardy, celowo fabrykowani przez Kościół dla każdego pokolenia. Do tej pory żadna z owych osób nie



zbuntowała się przeciw swemu przeznaczeniu; wszystko wskazywało na to, że teraz zdarzy się to po raz pierwszy.

- Jestem już zmęczony odwalaniem brudnej roboty dla tej bandy przemądrzałych starców - ciągnął Murray - kiedy tymczasem oni udają, że mną pogardzają albo mnie potępiają ze swoich ambon. Tak, jestem zmęczony miażdżeniem elfów w moim mózdzierzu po to, by świat mógł sobie puszczać wodze fantazji. - Zaśmiał się gorzko. - Nie chcę być dłużej Panem Wyobraźni. Nie chcę po śmierci zapisać się w historii jako łotr. Nie, jest pewien tytuł, który podoba mi się znacznie bardziej. Chcę być zapamiętany jako Wybawiciel Ludzkości! Czy można osiągnąć coś większego? - Uśmiechnął się i powiódł wzrokiem od Charlesa do Wellsa i z powrotem. - A zatem, mimo całej pańskiej mądrości, profesorze, wykazuje się pan ogromną naiwnością, jeżeli pan myśli, że poprzestanę na przyjęciu pańskich pieniędzy i dyskretnie odstąpię na bok, aby panu przypadła cała chwała. Nie, ta historia nie potoczy się takim torem. - Murray patrzył na Charlesa uporczywie, wyczekując jego reakcji.

- A j-jak się p-potoczy? - spytał w końcu staruszek.

- Powiem panu - odparł milioner spokojnie, wciąż przykuwając go wzrokiem. - Potoczy się następująco: wybitny profesor Charles Dodgson popełni samobójstwo, strzelając sobie w głowę wieczorem czternastego stycznia 1898 roku, to jest właśnie dzisiaj, po kilku miesiącach bezskutecznych prób wyjścia z depresji, w którą popadł, gdy jego były uczeń, przypadkowo tutaj obecny - posłał Wellsowi uśmiech - pokonał go w ważkiej debacie na temat ratowania wszechświata.

- Mój Boże - jęknęła Jane i wtuliła się w męża, a on otoczył ją ramionami, ze strachem obserwując siepaczy, którzy w miarę postępów wywodu ich szefa coraz wyraźniej napinali mięśnie.

- Będzie to wielka strata - mówił dalej Murray, rozciągając usta w sarkastycznym uśmiechu. - To, że nie potrafił pan znieść porażki, profesorze, zaskoczy wszystkich, ale po kilku miesiącach zupełnie zapomną o sprawie. Wówczas milioner Gilliam Murray ogłosi, że jego prywatny zespół naukowców z sukcesem stworzył magiczną dziurę w swoim laboratorium, jakby sobie tego życzył wielki profesor

Dodgson, dziurę, przez którą ludzkość będzie mogła uciec przed swoim smutnym przeznaczeniem.

- Co?! - oburzył się staruszek. - To moje dzieło! N-nie pozwolę, żebyś je sobie przywłaszczył!

- Posłuchaj, Charles... - próbował go uspokoić Wells, widząc, jak obaj zabójcy celują do niego z broni.

- Nie pozwoli mi pan? - Murray wybuchnął śmiechem, tak donośnym, że musiał rozorać mu gardło, a tymczasem profesor poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. - Nie przyszedłem prosić o pozwolenie, jeśli jeszcze do pana to nie dotarło. Jestem Gilliam Murray: po prostu biorę to, czego chcę. - Dał znać rudemu osiłkowi. - Martin, z łaski swojej. W skroń. Pamiętaj, że to ma wyglądać na samobójstwo.

Zabójca skinął głową i nieśpiesznie ruszył w stronę Charlesa, który tkwił w miejscu jak skamieniały. Wells zrobił ruch, aby przyjść mu z pomocą, ale drugi zbir zatrzymał go, mierząc doń z pistoletu. Biolog ponownie objął więc żonę i oboje patrzyli, jak rudzielec z teatralną delikatnością przystawia lufę do skroni staruszka. Profesor, nazbyt zdumiony i dezorientowany, żeby zareagować, przestąpił jedynie z nogi na nogę.

- Jakies ostatnie słowo przed odejściem, profesorze? - spytał rozbawiony Murray.

Charles uśmiechnął się gorzko i powoli przechylił głowę, jakby się opierał na pistolecie, który miał go zabić.

- J-jeżeli nie wiesz, dokąd się wybierasz, to obojętne, którą pójdziesz drogą - odrzekł.

W tym momencie Wells zasłonił żonie oczy i świat zalała ciemność. Jane nie widziała, co się wydarzyło potem, słyszała tylko detonację, a zaraz po niej głucho łupnięcie, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. I zapadła cisza. Kilka sekund później ciemność spękała, gdy mąż odjął palce od oczu żony, i Jane ujrzała Murraya patrzącego obojętnie na rozciągnięte na podłodze ciało profesora, u jego boku zaś rudzielca z pistoletem, z którego unosiła się nitka dymu.

- Mój Boże, Bertie... - załkała, kryjąc twarz na mężowskiej piersi.

Murray zwrócił się do nich dwojga.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się pana tutaj zastać, panie Wells, wraz z pańską małżonką i... - spojrzał na Newtona, który groźnie ujadął - państwa pupilem, dlatego nie mam dla was żadnej roli w moim małym przedstawieniu. Ale jak państwo rozumiecie, nie mogę was zostawić przy życiu, toteż obawiam się, że was też muszę zabić. Potem wrzucimy wasze ciała do dziury. Jak sam pan powiedział, magiczna dziura jest idealnym narzędziem do pozbycia się dowodów zbrodni.

- Przeklęty sukinsynu! - wypluł Wells z grymasem oburzenia i obrzydzenia, z całej siły przyciskając do siebie Jane. - Oby twój „Albatros” nie był w stanie unieść twojego ciężaru i rozbił się, najlepiej o siedzibę Kościoła.

Murray ryknął śmiechem i dał znak opryszkowi mierzącemu w biologa.

- Dalej, Tom. Nie ma potrzeby, żeby to wyglądało na samobójstwo, więc celuj w nich, jak chcesz. Ach, i zabij też tego przeklętego kundla.

Chłopak o imieniu Tom przyjrzał się malowniczej grupie, na której miał wykonać wyrok. Postanowił zacząć od biologa. Podniósł broń i z wyprostowanym ramieniem wycelował w głowę mężczyzny. Ale Wells nie dał się zastraszyć. Zamiast błagać o litość, zamknął oczy, spuścić wzrok czy na oczekaniu rzucić jakiś argument, wytrzymał spojrzenie tamtego. Przez kilka sekund obaj twardo mierzyli się wzrokiem. Chłopak zdawał się zaskoczony jego męstwem, a może śmiał się w duchu z tego głupiego przejawu odwagi. Tak czy inaczej, jego palec zwlekał z pociągnięciem cyngla. Biolog wywnioskował, że mimo doświadczenia, które zapewne młodzieniec zgromadził jako najemny zbir, najwidoczniej nigdy nie musiał strzelać do kogoś wykazującego się taką godnością wobec własnej bezbronności, w dodatku ze szlochającą żoną w ramionach i zaciekle ujadającym pieskiem pod nogami. Uświadomił sobie wtedy, że czas, jaki chłopakowi zajmie podjęcie decyzji o naciśnięciu spustu, to dla niego moment do działania. Obrócił się raptownie, chwycił Jane za ramię

i pociągnął ją w stronę dziury. Jeśli się mają przez nią przeprawić, to lepiej żywi niż martwi.

- Skacz, Jane, skacz! - zawołał, osłaniając ją własnym ciałem, kiedy pokonywali krótką odległość dzielącą ich od otworu, który Charles wydłubał w powietrzu.

Bał się, że w każdej chwili może otrzymać kulkę w plecy. Jednak gdy poczuł szarpnięcie i jego ciało zaczęło się przeprawiać przez dziurę, wiedział, że siepacz nie będzie już miał czasu, by trafić. Newton podążył za nimi - wskoczył do wnętrza otworu sekundę przed tym, jak ten raptownie skłębił się w sobie, bucząc przy tym ogłuszająco. Następnie pokój omiotło coś, co mogło być porywem kosmicznego wiatru, a towarzyszył temu biały rozbłysk, który oślepił trzech pozostałych w laboratorium ludzi. Po grzmiącym huku w pokoju zapanowała grobowa cisza. Murray musiał kilka razy zamrużyć, zanim odzyskał wreszcie wzrok i zobaczył, że dziura znikła. Nad metalową platformą unosiły się strzępki mgły. Minęło kilka minut, nim dotarło do niego, że nie ma tu nic do sprzedania, że nie zostanie wybawcą świata.

Najwyraźniej historia nie potoczyła się również takim torem, jak on sobie wyobrażał.

„Najwyraźniej historia nie potoczyła się również takim torem, jak on sobie wyobrażał” - przeczytała Jane. Dobre zdanie na zakończenie rozdziału - powiedziała sobie z uśmiechem zadowolenia, po czym dmuchnęła na kartkę, żeby osuszyć atrament. Oparła się wygodniej na krześle i z przyjemnością patrzyła na bukiet świeżych róż stojący na rogu stołu. Ścięła je dziś rano w ogrodzie, gdy niebo przybierało kolory świtu, a kwiaty jeszcze zachowały w płatkach chłodny oddech nocy.

W tym momencie do jej gabinetu wszedł mąż swoimi nieodmiennie pełnymi uniżeniami kroczkami, jakby swą męską obecnością bał się splamić zalegającą w pokoju delikatną kobiecą atmosferę. Przez kilka sekund napawał się otaczającym go uroczym, subtelnym porządkiem, którego alchemia była mu tak obca, a gdy zauważył leżące na stole zabazgrane kartki, zaświeciły mu się oczy.

- Co piszesz, kochanie? - zapytał z udawaną obojętnością.

Odkąd żona mu powiedziała, że w jednym z wolnych pokoi chce urządzić sobie gabinet, Wells część swego wolnego czasu, którego miał tak mało, poświęcał próbom dowiedzenia się, co też ona tam robi. Bezpośrednie pytania zbywała wzruszeniem ramion. Żarty też nie przyniosły rezultatu. „Zamykasz się tam, żeby rysować zwierzęta?” - rzucił pewnego razu, lecz nie doczekał się nawet chichotu, którym zwykle reagowała na te słowa. Jane nabrała wody w usta, a jako że tortury nie wchodziły w grę, Wellsowi pozostały niespodziewane wtargnięcia. Dzięki nim dowiedział się, że żona zamyka się, by pisać, co w gruncie rzeczy nie było wielkim odkryciem, zdążył się bowiem tego domyślić bez naruszania jej przestrzeni. Trudno było sobie wyobrażać, że hoduje tam króliki, przywołuje diabła lub tańczy nago. Zresztą kiedyś już zagroziła mu półzartem, że zacznie pisać. Pozostawało jednak dowiedzieć się, c o pisze.

- Och, nic takiego - odpowiedziała, pospiesznie chowając kartki do szuflady biurka, do której Wells już wcześniej bez powodzenia usiłował się włamać. - Dam ci do przeczytania, gdy skończę.

Gdy skończę? To nie jest żadna odpowiedź. A jeśli nigdy nie skończy? Jeżeli z jakiegoś powodu postanowi nie kończyć? Albo świat skończy się wcześniej? Wtedy on nigdy się nie dowie, czym zajmuje się Jane, kiedy na dwie lub trzy godziny dziennie zamyka się w gabinecie. Pisze pamiętnik? Książkę kucharską? Nie. Gdyby chodziło o to ostatnie, nie byłaby tak skryta.

- Jedną z rzeczy, które najmniej mi się podobają na tym świecie, jest to, że pary mają przed sobą tajemnice - obwieścił z zamierzonym dramatyзмом.

- Myślałam, że najmniej ci się podoba to, że nikt jeszcze nie wynalazł elektrycznej brzytwy - zażartowała Jane, po czym ujęła męża pod rękę i poprowadziła do drzwi, udając, że wcale go nie wyrzuca. - Och, przestań się bocyć. Jakie ma znaczenie, co piszę? Ważna jest twoja praca, Bertie, więc nie trwój czasu na szpiegowanie mnie, tylko bierz się do roboty.

- Przynajmniej ty wiesz, że piszę - narzekał. - Jestem dla ciebie przejrzysty, ty jednak jesteś...

- ...dla ciebie niezgłębioną tajemnicą i tego nie możesz znieść - dodała Jane. - Wiem, wiem. Ale już ci to kiedyś mówiłam: to jedyny sposób, aby twoje zainteresowanie dla mnie nie zgasło. Muszę się starać, żebyś mnie nie rozgryzł, kochanie. Jeśli mnie poznasz do końca, szybko się znudzisz, poszukasz sobie innych tajemnic i twoje wielkie dzieło, to naprawdę ważne, nigdy nie zostanie napisane... A zatem wracaj do swojego gabinetu i zostaw mnie z moimi banalnymi rozrywkami. Nie mają żadnego znaczenia. Nie mogą się nawet równać z twoimi dawnymi historiami.

- To powinienem osądzić ja, nie uważasz? - odrzekł bardziej zaskoczony niż rozzłoszczony tym, że nagle znaleźli się poza jej pokojem. - Chociaż przypuszczam, że masz powód, jak zawsze. Lepiej wróć do mojej pracy i...

- Wspaniale, kochanie.

Jane, mrugnawszy okiem na pożegnanie, schroniła się w swym sanktuarium. Wells wzruszył ramionami do nikogo, zszedł na parter i też zaszył się w swym gabinecie. Siedząc na krześle, powiódł apatycznie wzrokiem po otoczeniu. Mimo że rozmieścił na półkach swoje książki i rzeczy osobiste z taką samą dbałością jak Jane, jego miejsce pracy nie tchnęło niczym innym jak aseptyczną formalnością. Choćby nie wiedzieć jak przestawiał przedmioty, nie chciały emanować ciepłem. Wells westchnął i popatrzył na leżący przed nim stos czystych kartek. Postanowił sobie, że spisze tu wszystko, co wie, że będzie to owoc wszystkiego, co w życiu widział. Może ta wiedza zmieni losy świata, mówił sobie i zastanawiał się, ile w tym pragnieniu jest odpowiedzialności, a ile próżności. Lepiej jednak, by pewne pytania pozostały bez odpowiedzi. Wziął pióro i zabrał się do pisania swojego „wielkiego dzieła”, jak je nazwała Jane, a tymczasem przez okno sączyły się dźwięki z ulicy i pobliskiego parku, odgłosy świata, który toczy się swoim torem w błogim przekonaniu, że jest jedyny...



# I

Agent specjalny Cornelius Clayton wolałby, aby kolacja wydana przez Valerie de Bompard dla uczczenia szczęśliwego rozwiązania jego pierwszej sprawy zakończyła się nagłą niestrawnością wszystkich gości, z wyjątkiem jego samego, tak żeby jak najwcześniej został z piękną hrabiną sam na sam. Dlaczego coś takiego nie miałoby się wydarzyć? - rozmyślał, mechanicznie unosząc widelec do ust. Bądź co bądź, ten rodzaj nieszczęśliwych wypadków mieści się w zakresie tego, co możliwe, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że zamkowa kucharka ma doświadczenie na tym polu, jako że trzy miesiące temu zatrula całą służbę zepsutym jedzeniem. Jednak doszli już do drugiego dania, a żaden z gości nie wykazywał objawów złego samopoczucia, tak więc Clayton z rezygnacją postanowił wytrwać na przeklętej kolacji do końca. Może będzie mu łatwiej, powiedział sobie, jeżeli na chwilę zapomni o hrabinie i poprzestanie na rozkoszowaniu się pochwałami, którymi obsypywali go współbiednicy między jednym a drugim kęsem. Czyż nie zasłużył na nie? Oczywiście, że tak: przybył tu jako uczeń legendarnego Angusa Sinclaira, kapitana tajemniczego Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, lecz przeprowadził własny genialny plan i nie chępił się zbytnio prestiżem swego przełożonego, a ostatecznie uwolnił miasteczko Blackmoor od okropnego przekleństwa, które wisiało nad nim od kilku miesięcy.

Wysłano ich tu po pojawieniu się pierwszych ludzkich ciał tak brutalnie rozerwanych, że odbiło się to echem nawet w londyńskiej prasie. Do budzących grozę zabójstw dochodziło co miesiąc podczas pełni księżyca, a zaczęło się to kilka dni po tym, jak kucharka naraziła na szwank życie zamkowej służby. Do tamtej pory spragniona krwi

bestia poprzestawała na patroszeniu krów i owiec czy jakiegoś nieuważnego leśnego zwierzęcia. Jednak zaciekle okrucieństwo, jakim wykazywała się ta istota, nigdy nieobserwowane u żadnego znanego drapieżcy, sprawiło, że przez kilka miesięcy mieszkańcy Blackmoor żyli w obawie, iż pewnego strasznego dnia stwór postanowi spróbować ludzkiego mięsa. Może z tego powodu Valerie de Bompard miała trudności z zatrudnieniem naprędce nowej służby, do czasu gdy poprzednia wydobrzeje po zatruciu. Większość młodzieży z miasteczka odrzuciła ofertę pracy, nie tylko dlatego, że hrabina nie płaciła punktualnie, jak można by się spodziewać po tak zamożnej damie, lecz także z powodu strachu przed zatrudnieniem w zamku wznoszącym się pośrodku lasu.

Clayton doskonale to rozumiał, ponieważ rezydencja tej kobiety - wielka odpychająca bryła - zdawała się zbudowana z kamieni przeniesionych z jakiegoś mrocznego koszmaru. A wewnątrz okazało się jeszcze bardziej przerażające. Na przykład jadalnia, gdzie odbywała się wspomniana kolacja, była ponurym pomieszczeniem o tak wysoko usytuowanym suficie, że kominek, nad którym wisiał portret właścicielki, ogrzewał ogromną komnatę zaledwie odrobinę. W posępnej jak krypta sali, obwieszanej gobelinami i wyblakłymi tarczami herbowymi, znajdował się arcydługi dębowy stół, przy którym wszyscy czuli się nie tylko cokolwiek zanadto rozrzuceni, ale też zmuszeni natężyć głos niczym występujący na scenie tenorzy. Clayton przyglądał się czwórce ludzi, z którymi kapitan i on spożywali kolację; ich niewiele znaczące biografie zmieściłyby się na odwrocie karty do gry: pękaty szeryf Dombey, chudy jak tyka ojciec Harris, układny i akuratny doktor Russell oraz krzepki miejscowy rzeźnik, niejaki Price, który w okolicznych lasach prowadził naganki z psami. Kiedy agenci przybyli z Londynu, by zająć się sprawą, żaden z nich nie okazał im, że są mile widziani, lecz teraz, po trzech tygodniach, czterej mężczyźni wyraźnie z determinacją udawali, że o tym zapomnieli, i zgodnie współpracując, wciągali go w zasadzkę pochlebstw. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę przeciwnego krańca nieskończenie długiego stołu, gdzie siedziała jedyna osoba, na której podziwiał mu zależało - hrabina de Bompard. Przyglądała mu się z rozbawieniem. Czy w jej oczach wyglądał na próżnego, gdy tak łaskawie przyjmował pochwały? A może powinien okazać obojętność

wobec własnego wielkiego czynu? Kto to może wiedzieć. Pod spojrzeniem hrabiny zawsze się czuł bezbronny, jak żołnierz, który wobec niespodziewanego ataku wroga musi wyjść ze swojego namiotu niekompletnie uzbrojony.

Zerknął z ukosa na siedzącego tuż obok przełożonego, bo może coś w jego postawie mogłoby mu służyć wskazówką, ale kapitan Sinclair pochłaniał swą pieczeń, najwyraźniej nie zwracając uwagi na toczącą się rozmowę. Jedynie od czasu do czasu w zamyśleniu potrząsał głową, przy czym kilka kosmyków włosów opadało mu na zakrywającą prawy oczodół złowieszczą soczewkę emitującą czerwony poblask. Najwidoczniej weteran służby specjalnej postanowił trzymać się na drugim planie, zostawiając podwładnego własnemu losowi. Clayton przeklinał go w duchu za niewzruszone milczenie, w którym trwał akurat teraz, podczas gdy w trakcie śledztwa perorował na okrągło, przy każdej okazji popisując się wiedzą i doświadczeniem i zmieniając swoje splątane hipotezy, ilekroć jakiś szczegół sprawy na nowo ożywił w nim natchnienie. Chociaż najgorsze nastąpiło wtedy, kiedy pozwolił sobie na luksus udzielania mu rad natury romantycznej i urządził ojcowską scenę, która okazała się nadzwyczaj kłopotliwa, głównie dlatego, że kapitan, wierny swojemu zwyczajowi nienazywania rzeczy po imieniu, uciekał się do takiej ilości metafor i eufemizmów, że zakończyli rozmowę, nie wiedząc zbyt dobrze, o czym, u licha, gadali.

- Krótko mówiąc, agencie Clayton, mimo pańskiego młodego wieku - rzekł szeryf podsumowującym tonem - posiada pan ponadprzeciętną inteligencję. Sądzę, że nie może w to wątpić nikt z nas obecnych przy tym stole. Choć muszę przyznać, że początkowo pańskie postępowanie wydało mi się ee... nieco impulsywne - oznajmił, uśmiechając się do Clayтона z przesadną uprzejmością.

Agent dopiero po niespełna sekundzie odpowiedział uśmiechem. Wiedział, że szeryf nie mógł się oprzeć pokusie, aby zakończyć swoją perorę krytyką i wyraźnie zaznaczyć przed obecnymi, że chociaż dwaj paniczycy z miasta rozwiązali sprawę, zrobili to tylko dlatego, że sięgnęli po mało ortodoksyjne metody, do czego on nigdy by się nie zniżył. Gdyby nie to, agenci nadal usiłowałiby schwytać winnego trzech przerażających morderstw.

- Rozumiem, że moje działania mogły się wydawać impulsywne, szeryfie - odparł pobłaźliwie Clayton. - W rzeczywistości chciałem, aby dokładnie takie wrażenie odniósł nasz wróg. Jednakże każde z moich działań było rezultatem głębokich przemyśleń i najściślejszej metody dedukcji. Wszystkiego tego nauczyłem się od mojego mistrza, kapitana Sinclaira, więc to jemu należy się wdzięczność - zakończył z udawaną skromnością, lekko skłoniwszy głowę ku swemu zwierzchnikowi, który skinął mu z roztargnieniem.

- A ja to rozumiałem od pierwszej chwili! - pośpiesznie wtrącił doktor Russell. - Nie na darmo lekarz musi na co dzień posługiwać się w swojej pracy sztuką dedukcji. W przeciwieństwie do szeryfa nie dałem się zwieść pańskiej młodości i pozornemu niedoświadczeniu, agencie Clayton. Gdy tylko pana ujrzałem, umiałem rozpoznać umysł naukowca.

Szeryf wybuchnął śmiechem, od którego zadrgały jego monumentalne wnętrzości.

- Kogo próbuje pan oszukać, Russell! - wytknął mu, kierując w niego widelec. - Jego naukowa metoda polegała na systematycznym podejrzewaniu wszystkich mieszkańców miasteczka, nie wyłączając starszej pani Sproles, która ma prawie sto lat i porusza się na wózku inwalidzkim.

Doktor miał odpowiedzieć, ale ubiegł go rzeźnik:

- Może skoro zaczął pan wyliczać błędy innych, szeryfie, mógłby pan również przypomnieć sobie własne i przeprosić za tak pochopne oskarżanie bliźnich.

- Zapewniam pana, że nie doszłoby do tego, gdyby pański pupil był kotem, a nie tym ogromnym psem, który...

Zanim szeryf zdążył dokończyć swoją wypowiedź, z drugiego końca stołu dobiegł głos hrabiny. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę zachwyceni, ponieważ dźwięczny głos Valerie de Bompard przebił się przez ich słowa z delikatnością gołębiczy przelatującej przez stado kruków.

- Panowie, sądzę, że wszyscy czujemy się wyczerpani ostatnimi wydarzeniami, to chyba logiczne. - Wymowa damy zdradzała lekki

francuski akcent, który nadawał jej słowom wysmakowaną frywolność. - Niemniej agent Clayton jest moim honorowym gościem i obawiam się, że możemy mu się naprzykrzać naszymi parafialnymi sporami. Jak pan widzi, agencie - zwróciła się do niego z niemal dziecięcym entuzjazmem - mówię o n a s, ponieważ mimo że jestem cudzoziemką i przybyłam dość niedawno, już czuję się Angielką. Nie na próżno dobrzy ludzie z Blackmoor przyjęli mnie prawie tak, jakbym się tu urodziła. - Choć mówiła łaskawym tonem, jej zjadliwe słowa padały na obecnych jak zimna, dokuczliwa mżawka. - Dlatego chcę panu jeszcze raz podziękować, w imieniu wszystkich, za to, co pan dla nas zrobił, dla naszego drogiego Blackmoor. - Wstała i wzięła w swe szczupłe palce kieliszek z taką delikatnością, że wydawało się niemal, jakby kazała mu lewitować samą siłą umysłu. Pozostali natychmiast do niej dołączyli. - Panowie, dla wszystkich były to mroczne, straszliwe miesiące. Przez dwa lata żyliśmy w przerażeniu, prześladowani przez spragnioną krwi bestię - ciągnęła teatralnym tonem niczym trubadur przed grupką dzieci. - Ale koszmar nareszcie się skończył, a złowrogi stwór został pokonany dzięki nadzwyczajnej inteligencji agenta Clayтона. Myślę, że nikt z nas tu obecnych nie zapomni nocy piątego lutego 1888 roku, kiedy agent uwolnił nas od tego przekleństwa. A teraz, panowie... - Jej uśmiech błysnął spoza wzniesionego kieliszka, figlarny i nonszalancki. - Wypijmy wreszcie za Corneliusa Clayтона, dzielnego młodzieńca, który zdołał pokonać wilkołaka z Blackmoor!

Wszyscy podnieśli swoje kieliszki, jako że niepokonana odległość stołu nie pozwalała im się stuknąć szkłem. Clayton podziękował hrabinie za jej słowa skłonieniem głowy, wysilając się na uśmiech wyrażający zadowolenie, a zarazem skromność. Następnie szeryf zaproponował kolejny toast, tym razem na cześć gospodyni, co zobowiązało ją do spuszczenia wzroku ze słodką minką - a w Claytonie, jak zwykle, zadrzała dusza.

Może tu wypadaloby wyjaśnić, że agent nie uważał się za eksperta w przestawianiu z damami, wręcz przeciwnie. Jednakże owszem, czuł się na tyle dumny ze swoich studiów nad ludzkim zachowaniem, by z niejakiem autorytetem twierdzić, że Valerie de Bompard różni się absolutnie od jakiegokolwiek innej przedstawicielki rodzaju żeńskiego,

a nawet, skoro już o tym mowa, od całej reszty ludzkości. Każde z jej zachowań stanowiło dla niego mroczną zagadkę. Na przykład minka, którą właśnie zareagowała na toast szeryfa, wydawała mu się czymś więcej niż przejawem godności typowym dla dam z towarzystwa - zdradzieckim bezruchem, jaki obserwuje się u mięsożerne rośliny, zanim zamknie się ona na nieszczęsnym owadzie, który na niej przysiadł.

Gdy siadali z powrotem, Clayton przypomniał sobie niepokojące wrażenie, jakie go ogarnęło, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy. Poczuł, jakby się znalazł przed czymś niespotykanym, przed istotą tak fascynującą, że trudno uwierzyć, iż należy ona do otaczającego ją pospolitego wszechświata. Tamtego dnia hrabina wybrała ze swej garderoby strój z niebieskiego jedwabiu oraz sportowe rękawiczki, a zwieńczyła go słomkowym kapeluszem przyozdobionym wymyślną plecionką gałązek z liśćmi i leśnymi jagodami, wśród których modystka, zgodnie z najnowszym trendem, ukryła małą wypchaną myszkę i kilka motyli o pomarańczowych skrzydłach, zdających się wcieleniem przekornych myśli zapewne kłębiących się w głowie damy. Nie, tamtego pierwszego razu Clayton nie wiedział, co myśleć o hrabinie, i tak samo nie wiedział tego teraz. Udało mu się tylko zakochać w niej do szaleństwa.

- A proszę nam opowiedzieć, agencie - odezwał się pastor, przerywając jego marzenia na jawie - czy od samego początku było dla pana jasne, że podczas śledztwa należy podążać tą właśnie ścieżką? Pytam, ponieważ wyobrażam sobie, że w obliczu spraw ponadnaturalnych wachlarz możliwych teorii otwiera się niemal w nieskończoność.

- Nieskończoność nie jest zbyt praktycznym pojęciem, kiedy się z nią pracuje, ojcze, przynajmniej nasze zarobki nie są nieskończone - odparł Clayton, wzbudzając wokół siebie śmiechy, wśród których, jak sądził, usłyszał brzęk dzwicznych dzwoneczków. - Dlatego gdy mierzymy się ze sprawą, którą tak jak straszliwe zbrodnie z Blackmoor, trudno pogodzić z ustalonym porządkiem natury, na początku musimy wyeliminować racjonalne wytłumaczenia. Dopiero wówczas możemy rozpatrywać zdarzenie jako ponadnaturalne,



a właśnie dla takich ewentualności, oczywiście, założono nasz wydział.

- Właśnie to powinniśmy byli zrobić! - zawołał z ubolewaniem lekarz. - Pomyśleć logicznie. Ale jak wszystkie małe miasteczka, Blackmoor jest pełne ludzi przesądnych i wiemy, że...

- O, niech pan nie mówi tak, jakby pan był inny, Russell! - znowu upomniał go szeryf. - Jestem pewien, że był pan wśród tych, którzy się bali najbardziej. Pańska służąca powiedziała mojej, że zaczął pan przetapiać srebrne łyżeczki na kule, bo tylko takimi można podobno zabić likantropa. Skąd, u diabła, przyszło panu do głowy coś tak głupiego?

Lekarz zrobił ruch, jakby miał zaprzeczyć, ale po sekundzie milczenia wybuchnął śmiechem.

- O, do licha, przekłeta plotkara! Tak, zrobiłem to. Stopiłem łyżeczki od herbaty. I gdyby mnie pan posłuchał choć raz w ciągu tych ostatnich miesięcy, szeryfie, nie pytałby mnie pan teraz, skąd mi to przyszło do głowy. - Zostawił Dombeya i zwrócił się do Claytona znacznie bardziej powściągliwym tonem, jakby rozmawiał z równym sobie. - Wie pan, agencie, pewien mój francuski znajomy, z którym kiedyś korespondowałem, opowiedział mi, że w minionym stuleciu w regionie Gévaudan siała postrach okropna bestia. Wielu się zarzekało, że był to wilkołak, a udało się go położyć trupem za pomocą srebrnej amunicji. Dlatego przetopiłem prawie wszystkie sztucce, czego moja żona nie przyjęła zbyt dobrze...

- A więc niepotrzebnie naraziłeś się na reprimendę - roześmiał się Price.

- Tak, teraz wiem - odpowiedział markotnie doktor. - Ale kto by pomyślał, że wilkołak nękający nasze miasteczko to Tom Hollister w niedorzecznym przebraniu?

Wszyscy spojrzeli w stronę kąta jadalni, który wskazał lekarz. W sali natychmiast zapadła melancholijna cisza. Clayton obserwował, jak goście, każdy zatopiony we własnych wspomnieniach, powoli kręcą głowami, przyglądając się ogromnej wilczej skórze rozciągniętej na drewnianej ramie i połyskującej

w świetle nielicznych świec rozstawionych w wielkim pomieszczeniu. Sinclair umieścił ją tam jako trofeum, aby wszyscy mogli ją sobie obejrzeć tuż po wejściu. I tak też zrobili, wśród zgrozy i podziwu, ponieważ przebranie było złowieszczym dziełem sztuki, godnym doświadczonego taksydermisty. Skóra, którą ze względu na ogrom początkowo uznano za należącą do olbrzymiego wilka, została pozszywana ze skrawków wielu skór. Ów Hollister połączył je starannie, po czym wygarbował, a w niektórych miejscach wypchał pakułami i słomą, tak aby wybrzuszenia przypominały mięśnie imponującej bestii. Ponadto rozciągnął skórę przednich łap na rusztowaniu z połączonych przegubami patyków, żeby z grubsza osiągnąć wrażenie porośniętych gęstym futrem ludzkich ramion, a na ich końcach przyszył rękawice najeżone ostrzami na podobieństwo szponów. Całość zwieńczył głową jednego z wilków, której paszczę celowo zdeformował, nadając jej grymas wściekłej zaciekłości. Nic dziwnego, że przywdziewając to przebranie, przywiązując je sobie do ramion i nóg za pomocą doczepionej skórzanej uprząży oraz nakładając na głowę łeb zwierzęcia jak hełm, ów Hollister, chłopak na tyle silny, by unieść na sobie tę konstrukcję, mógł się w oczach zaskoczonego widza przekształcać w przerażającego wilkołaka. Zwłaszcza jeśli się pokazywał tylko nocą przy pełni księżyca, garbił się przy tym groteskowo i warczał jak zwierzę.

On, Clayton, również uległ zbiorowemu złudzeniu, że widzi przed sobą wyprostowaną bestię, potężną i przerażającą. A kiedy biegł za nią przez las wraz z pozostałymi, przecinając mroczne ostępy, z krwią dudniącą w skroniach i sercem walącym, jakby się chciało wyrwać z piersi, był przekonany, że ściga prawdziwego likantropa, a to ze straszliwą łatwością zatarło jego inne dotychczasowe podejrzenia. Tak, ścigali wilkołaka, ponieważ mimo dwuznacznych odpowiedzi, jakich udzielał mu Sinclair po tym, jak go przyjęto do Wydziału Specjalnego, fantastyczne stworzenia, owszem, istnieją. Lecz potwór okazał się oszustwem i Clayton nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to nieco osłabia jego zwycięstwo. W tamtym momencie nie był już taki pewny, czy dobrze zrobił, wstępując do Wydziału Specjalnego. Może się pośpieszył z przyjęciem oferty Sinclaira, podekscytowany myślą, że otwiera się przed nim świat zakazany dla reszty śmiertelników. Bo oto jego pierwszy „specjalny” przypadek sprowadzał się do polowania

na kmiotka przyodzianego w pozszywane skóry. Do tego zakochał się w kobiecie mieszkającej w ponurym zamczysku.

- Jak to możliwe, że nawet teraz przyprawia mnie o strach? - zwierzył się niespodziewanie doktor, przerywając ciszę. Wstał i niewątpliwie ośmielony kieliszkami, które już wlał w siebie, podszedł do przebrania krokami pingwina.

- Czekaj, Russell, weź z sobą srebrną łyżeczkę, na wszelki wypadek!  
- zawołał za nim Price, wywijając swoją.

Lekarz zbył radę rzeźnika pijackim machnięciem ręki, od którego zatoczył się na skórę.

- Ostrożnie! - wykrzyknął Sinclair, zrywając się z miejsca niczym niania doglądająca bawiących się w parku dzieci, a jednocześnie jego mechaniczne oko zabuczało alarmująco.

Kapitan zamierzał przewieźć to przebranie do Londynu, żeby je złożyć w Krypcie Osobliwości, magazynie znajdującym się w podziemiu Muzeum Historii Naturalnej, gdzie jego wydział przechowywał dowody ze spraw, które - ponieważ urągały zdrowemu rozsądkowi - trafiły do jego rąk. Chciał, aby ta skóra, tak cenna dla pamięci jego wydziału, dotarła na miejsce cała i nieuszkodzona. Kiedy patrzył, jak lekarz odzyskuje równowagę bez większych następstw, jak tylko śmiechy obecnych, rozluźnił się i uśmiechnął pobłaźliwie, ale - jako że już był na nogach - wolał też podejść do przebrania. Szeryf Dombey natychmiast poszedł w jego ślady, a za nim Price i Harris. Doktor Russell zaczął się wówczas naukowo rozwodzić nad metodami fabrykowania takiego majstersztyku. Grupa, włącznie z Sinclairem, nie miała innego wyboru, jak pilnie kiwać głowami, podczas gdy konował popisywał się swoją wiedzą.

Tymczasem, gdy wokół przebrania odbywała się zaimprovizowana konferencja, przy zapomnianym stole Clayton odważył się wreszcie poszukać oczu hrabiny, od której oddzielała go niemal mila szacownego dębowego drewna. Od pierwszego dnia i w ciągu tygodni, jakie zajęło dochodzenie, kiedy się widywali w pełnym ludzi salonie lub w labiryntach ogrodu, oczy Clayтона zawsze w końcu spotykały się z jej oczami - tymi oczami, które zdawały się czekać na

niego od zawsze i których enigma zaczęła go dręczyć po nocach, ponieważ agent, szcząc się tym, że potrafi odczytać myśli człowieka na podstawie węzła jego fularu, nie był w stanie odcyfrować jej spojrzenia. Mogło zarówno wyrażać słodki podziw, jak i skrywać najokrutniejszą pogardę, a nawet jakąś wewnętrzną udrękę, jakiej on nigdy nie umiałby sobie wyobrazić. Albo wszystko naraz. I takie były te oczy, w których tonął również w tej chwili, gdy ją podziwiał, a ona dawała mu się podziwiać. Nie przestawała się przy tym uśmiechać i owijała go ciemnym urokiem swojej urody, pod której wpływem głosy gości zamieniały się w niezrozumiałe poszept, jadalnia w mgliste dekoracje, a cały wszechświat w odległe, być może wyobrażone miejsce.

Clayton nigdy nie widział Valerie tak olśniewająco pięknej jak tej nocy ani też tak boleśnie delikatnej. Ubrana była w czerń i srebro: szyja o nieskalanej bieli wylaniała się z welwetowego gorseciku, który podkreślał jej wyniosłą pierś i pasował do długich rękawiczek z czarnego safianu, a srebrzysta spódnica, opadająca po bokach w spienionych jak fale fałdach, mieniła się konstelacją maleńkich brylancików. Patrząc na nią siedzącą tam daleko, oświetloną drżącym blaskiem świece, Clayton nie mógł się oprzeć myśli, że mimo swojego nieokreślonego wieku hrabina bardziej niż kiedykolwiek wygląda jak dziewczynka, kapryśna dziecięca królowa, okrutna jedynie z powodu prawa do krwi i tronu. Zauważył wówczas, że ściska swój kieliszek zdecydowanie za mocno i - bojąc się, że go zgniecie albo w końcu zrobi coś znacznie głupszego, na przykład wskoczy na stół i pobiegnie do tej kobiety bez konkretnego celu, popychany wyłącznie zalewającym go, mącącym w głowie pożądaniem - oderwał od niej wzrok i przywrócił światu jego ruch, dźwięk i upartą spójność.

- Rzecz w tym, że im dłużej jej się przyglądam, tym bardziej wydaje mi się godna podziwu - usłyszał słowa doktora. - Panowie, to znakomita robota. Spójrzcie na to. Skóra została idealnie wyprawiona i odznacza się niesłychaną giętkością. - Nachylił się i powąchał jedną z łap. - Powiedziałbym, że wygarbowano ją z wykorzystaniem arszeniku i kredy, tak jak w dawnych czasach.

Rzeźnik, na którego wyjaśnienia lekarza zaczynały już działać jak kołysanka, potrząsnął głową i parsknął głośno.

- Wszystko pięknie, ładnie, doktorze, ale nie mogę się nadziwić, jak ktoś taki jak Hollister mógł zмайstrować podobne przebranie, a przede wszystkim, dlaczego zabił te trzy osoby. Niestety, z powodu swego tragicznego końca już nigdy nie odpowie na te pytania - rzekł, po czym zwrócił się do Clayтона. - Ale pan, agencie, obiecał, że to zrobi, i sądzę, że wszyscy nie możemy się już doczekać wyjaśnień.

- Z chęcią udzielę panom odpowiedzi. - Clayton uśmiechnął się, świadom, że wreszcie nadeszła chwila, na którą czekał przez całą kolację.

Wstał powoli od stołu, starając się nie zerkać na hrabinę, i patrzył, jak jego słuchacze, wyglądający, jakby pozowali przy przebraniu do rodzinnego zdjęcia, szykują się na jego opowieść.

- Cóż, przypuszczam, że będziecie chcieli, panowie, bym zaczął od pierwszego pytania: jak ktoś o tak ograniczonej kulturze jak Hollister mógł spreparować taki cud taksydermii? Odpowiedź jest bardzo prosta: studiując. Jak wiecie, po odkryciu, że to on jest wilkołakiem z Blackmoor, kapitan Sinclair i ja przeszukaliśmy jego chatę i tam znaleźliśmy podręczniki taksydermii, bestiariusze z ilustracjami likantropów i wszelkiego rodzaju substancje oraz narzędzia niezbędne do wypychania zwierząt. Jednakże to postawiło nas wobec kolejnego pytania: czemu ktoś zadawałby sobie tyle trudu, żeby popełnić zabójstwo? Są przecież znacznie prostsze sposoby. - Rozłożył ręce i przywołał na usta grymas przygnębienia, jakby nie umiał znaleźć odpowiedzi, a tymczasem Sinclair uśmiechnął się sam do siebie nad słabością swojego ucznia do efekciarskich gestów. - Poświęćmy chwilę i przyjrzyjmy się temu, co wiemy o jego charakterze. Do momentu, gdy Hollister rzucił się w czeluść wąwozu, wszyscy panowie uważaliście go za nieszkodliwego prostaka, choć na tyle inteligentnego, by patrzył z urazą na złe karty, jakie rozdało mu życie; zazwyczaj narzekał na to, kiedy sobie wypił. Musiał porzucić szkołę, bo rodzice odumarli go, gdy był bardzo młody, zostawiając mu tylko kupę długów i gospodarstwo z kamienistymi polami, których uprawianie było ciężką harówką. Ponadto był młodzieńcem wielce urodziwym, ale niestety żadna z dziewcząt, do których się zalecał, nie zainteresowała się nim, a każda z nich była wysoko urodzona. Zdaje się, że mierzył zbyt wysoko jak na biedaczną bez

przyszłości. Cóż, teraz skupmy się na jego ofiarach. Co mieli ze sobą wspólnego Anderson, Perry i Dalton? - Z uśmiechem powiódł wzrokiem po swoich słuchaczach. - Ich grunty graniczyły z ziemią Hollistera, ale w przeciwieństwie do niej były żyzne. Rzecz jasna, moje dochodzenie poszło w tym kierunku. W ten sposób odkryłem, że Hollister, pragnąc zapewnić sobie lepsze życie, zamierzał kupić te grunty, lecz jego sąsiedzi nigdy nie chcieli o tym rozmawiać. Dwóch z nich, będących wierzycielami starego Hollistera, zagroziło nawet młodemu, że jeżeli nie spłaci długów ojca, wywłaszczą go z rodzinnego domu. Zapewne to wówczas chłopak, mając dość wszystkiego, powziął swój plan. Plan, moim zdaniem, znakomity: zabije swych głupich sąsiadów i zrobi to w taki sposób, że nie tylko oddali od siebie wszelkie podejrzenia, lecz także zmusi rodziny zmarłych do sprzedania ich gruntów w wielkim pośpiechu i za bardzo niską cenę. Dlaczego? Ponieważ będą przeklęte. Ponieważ zaczną na nich grasować straszny potwór, co miesiąc przy pełni księżyca wydzierający komuś życie. Oczywiście jest jednak, że przemiana w likantropa wykraczała poza jego możliwości, toteż uciekł się do przebrania, które aby nie wzbudzać podejrzeń, musiał wykonać sam. I właśnie tak, panie i panowie, biedny, przyzwoity Tom Hollister przekształcił się w wilkołaka z Blackmoor.

Zapadła pełna podziwu cisza. Nawet Sinclair, który aż nadto dobrze znał ten wywód, zdawał się zachwycony wystąpieniem agenta. Clayton, zadowolony z rezultatu, złowił spojrzenie hrabiny i odniósł wrażenie, że w jej oczach płonie nieopisany blask.

- Znakomicie, agencie Clayton. - Dama uśmiechnęła się. - Wywód zarówno inteligentny, jak i zajmujący. Nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że w Scotland Yardzie czeka pana wielka przyszłość.

Clayton podziękował jej za komplement lekkim skłonieniem głowy. Wolał nie dodawać niczego, co mogłoby zepsuć urok jednogłośnego podziwu, z jakim patrzyli na niego słuchacze, a tymczasem zadawał sobie pytanie, czy ostatecznie udało mu się olśnić hrabinę. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z taką kobietą jak ona, a poza tym nie znał nawet najbardziej podstawowych zasad zgodnego z kurtuazją zabiegania o względy damy. Bądź co bądź był tylko prostym



policjantem, może dla niej zbyt nieznaczącym, może za młodym, za mało obytym; z całą pewnością nazbyt zakochanym. Nie wiedział też, czy taką kobietę jak Valerie de Bompard można uwieść inteligencją ani czego ona mogłaby chcieć od kogoś takiego jak on. Namiętnej nocy, wytchnienia w jej samotności, a może to po prostu kaprys ekstrawaganckiej damy? Miał nadzieję, że czegoś znacznie więcej. Lecz po co snuć domysły. Wkrótce obietnice, które Valerie de Bompard rozpyliła wokół niego, urzeczywistnią się albo rozwieją na zawsze, ponieważ sprawa została rozwiązana. Schwytali wilkołaka i rano ich powóz odjedzie do Londynu... Choć może będzie nim podróżował tylko jeden agent. Wszystko będzie zależeć od tego, co się wydarzy, gdy ta kolacja dobiegnie końca.

I chociaż Claytonowi nie przeszkadzałoby, gdyby został uwięziony w tej chwili na całą wieczność, ze wzrokiem wplecionym we wzrok hrabiny, z przebłyskującą w jej uśmiechu obietnicą szczęścia, w którego istnienie nigdy nie wierzył, akurat tę chwilę wybrały służące, które być może czekały za drzwiami, aż on skończy swoją perorę, by wtargnąć do jadalni z tacami uginającymi się od ciast, owoców, sera i butelek likieru. Agent, przyglądając się im, jak rozstawiają cały ten arsenał na stole, próbował ukryć rozdrażnienie. Goście podeszli wówczas do swoich miejsc, bardziej oszołomieni przepychem wystawnego deseru niż błyskotliwymi dedukcjami, które zaledwie kilka sekund temu wychwalali z takim entuzjazmem, Clayton zaś, uświadomiwszy sobie, że został pokonany przez górę ciast, skierował się do swojego krzesła z ironicznym uśmiechem. Mijając portret hrabiny, nie mógł się oprzeć i posłał mu poirytowane spojrzenie. Lecz gdy tylko położył dłonie na oparciu krzesła, coś w jego wnętrzu zmusiło go, żeby się znów obrócić przodem do obrazu. Stał jak wryty kilka kroków przed płótnem, nie bacząc na to, że tak nagle zainteresowanie może zaintrygować hrabinę i pozostałych obecnych. Niespodziewanie świat zniknął dla niego za całunem mgły. Istniał tylko on i to malowidło, znienacka przeszywające niepokojem, którego powodu nie potrafił pojąć.

Podczas gdy za jego plecami wciąż postukiwały talerze i dzwoniły szklanki, agent skrupulatnie przyglądał się każdemu centymetrowi płótna, na którym Valerie de Bompard w całej krasie promieniowała

swą wspaniałą urodą, stojąc obok wielkiego stołu z ułożonymi w idealnym porządku książkami i zwojami. Kiedy przybyli do zamku i oprowadzano ich po jego licznych pomieszczeniach, Sinclair wypowiedział pod adresem tego portretu szereg zagmatwanych pochwał, a hrabina poinformowała agentów, że obraz wyszedł spod pędzla zaginionego hrabiego de Bompard, człowieka biegłego, jak się okazało, w niezliczonych dyscyplinach, nie wyłączając malarstwa; tak się złożyło, że namalował on portret żony we własnym gabinecie. W tle płótna, bardzo niewyraźnie oddanym przez artystę, Clayton zauważył ogromną biblioteczkę, której górne półki niknęły w cieniach padających od sufitu. Na jej regałach grube tomy i księgi o połyskliwych grzbietach współlistniały z wszelkiego rodzaju aparatami, tak dziwnymi i niezwykłymi, że niektóre Clayton ledwie potrafił rozpoznać. Dostrzegł złocisty teleskop, kolekcję fiolek, buteleczek i lejków poukładanych według wielkości i kształtu, ludzką czaszkę, sferę admirałną i... Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego to, co ujrzał obok czaszki na trzeciej półce. Kiedy pojął, co widzi, po całym jego ciele niczym jad węża rozszedł się lodowaty niepokój, a w mózgu zaczęło coraz głośniejsz trzeszczeć zrozumienie.

W tym momencie służące wyszły wreszcie z pokoju i Clayton skierował się do swojego krzesła, czując, że dokonane właśnie odkrycie wywołuje w głębi jego umysłu wielki zamęt. Obawiał się, że drżące kolana nie utrzymają go w pozycji stojącej. W końcu jakoś udało mu się usiąść. Chwilę wcześniej w jego głowie połączone kawałki układanki tworzyły spójny rysunek, lecz teraz po tym, co odkrył na obrazie, wszystkie pomieszały się, jakby je roztrącono, a on - nie mogąc już nic innego zrobić, jak tylko pomóc w dokonaniu cudu - układał je z powrotem w całkiem inny sposób. Wystarczyło zobaczyć, jak osadzają się pierwsze elementy, żeby przewidzieć wynik owej nowej kombinacji. Oparł się o krzesło i usiłował zachować spokój, bo każdy kolejny kawałek odczuwał niczym bolesny cios w brzuch. Kiedy skończyły się wreszcie wpasowywać, musiał przyznać, że nowy układ ma więcej sensu niż poprzedni. I na wpół zdumiony, na wpół przerażony, zrozumiał, że to wszystko zmienia. Miał już niemal pozwolić, by przepełniające go niedowierzanie przebrało czarę i ujawniło się histerycznym śmiechem, lecz zdołał się od niego powstrzymać. Pociągnął długi łyk ze stojącego przed nim

kieliszka. Alkohol nieco go uspokoił. Agent odetchnął głęboko kilka razy. Rzekł sobie, że się nie może załamać. Musi się opanować, jak najszybciej przyswoić to, co właśnie pojął, i odpowiednio zadziałać.

Na szczęście pozostali goście wciąż byli pogrążeni w błahej rozmowie o tym, jak wyśmienicie smakowała kolacja, co pozwoliło Claytonowi powoli otrząsnąć się z letargu, w jaki wtrąciło go jego odkrycie. Ukradkiem otarł pot, który wystąpił mu na czoło, i zdołał nawet odzyskać uśmiech, a tymczasem udawał, że przysłuchuje się pogawędce, i starał się z nikim nie krzyżować spojrzeń, szczególnie z hrabiną. Gdy swego czasu Valerie pokazywała mu portret namalowany przez hrabiego de Bompard, agent nie widział niczego poza nią. Hrabina przyćmiewała wszystko, zarówno na płótnie, jak i w rzeczywistym świecie. Lecz teraz dostrzegł szczegóły. Szczegóły... A właśnie szczegóły decydują o wyniku śledztwa.

- Wyobraźcie sobie, ile czasu Hollister musiał poświęcić na zrobienie takiego przebrania - mówił Price. - Upolować tyle wilków i pozszywać skóry w domu, w samotności... I wszystko tak, żeby nikt niczego nie podejrzewał! Zdumiewające, nie uważacie? Znałem trochę chłopaka. Czasami pomagał mi w rzeźni i nieraz rozmawialiśmy. Mimo to nigdy bym nie przypuszczał, że... - nie dokończył zdania i wzruszył ramionami.

Wszyscy pokiwali głowami, dzieląc zdziwienie rzeźnika. Wszyscy z wyjątkiem Clayтона, który, siłą woli przewyciężywszy strach, utkwiał oczy w hrabinie, zainteresowany jej reakcją. Kobieta, podobnie jak reszta obecnych, ze smutkiem skinęła głową, po czym spojrzała na agenta i, jak miała w zwyczaju, zatrzymała na nim wzrok, przywołując na usta lekko figlarny uśmieszek. Clayton wiedział, że w pierwszej kolejności powinien postanowić, jak posłużyć się informacją, którą odkrył, że należy spróbować opracować jakiś plan, zanim kolacja dobiegnie końca, ale wobec uśmiechu hrabiny nie mógł uniknąć ogarniającej go wściekłości. „Nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że w Scotland Yardzie czeka pana wielka przyszłość” - tak mu powiedziała i te same słowa, które przedtem sprawiły mu wielką radość, teraz wbiły się w jego duszę jak tłuczone szkło. Poczuł, że krew się w nim gotuje.

- Ludzie nigdy nie są tacy, jakimi się wydają - rzekł, nie spuszczać wzroku z damy. - Wszyscy mamy swoje sekrety, a jednak wciąż dajemy się zaskoczyć tym, że inni też je mają. Czy zgodzi się pani ze mną, hrabino?

Valerie ciągle się uśmiechała, lecz Clayton odniósł wrażenie, że w jej oczach dostrzega leciutki ślad zmieszania. Nie był to jeszcze strach, jeszcze nie. Ale będzie.

- Oczywiście, agencie, wszyscy mamy jakąś sekretną cząstkę, którą nigdy się nie dzielimy z innymi - odparła, muskając szkło swego kieliszka pieśczętą tyleż delikatną, co ulotną. - Ale jeśli pozwoli mi pan na ocenę, istnieje duża różnica między niemal koniecznymi kłamstwami, po które sięgamy, aby ochronić swoją prywatność, a posiadaniem podwójnej osobowości zabójcy.

Clayton kiwnął głową, podobnie jak reszta gości, ale dopilnował, aby hrabina nie przeoczyła ironicznego błysku, jakim przyprawił swe spojrzenie.

- Tak czy inaczej, jest coś diabelskiego w tym, że Hollister zajął się sztuką taksydermii - odbiegł od tematu pastor, z policzkami zaróżowionymi już od likieru. - Cała ta mroczna wiedza ukryta w jego domu... Słoje pełne dziwnych, trujących substancji, księgi alchemiczne, średniowieczne traktaty... Przypominają mi się stare historie o czarnoksiężnikach i ich konszachtach z diabłem. Mimo że straszliwe morderstwa mają wytłumaczenie ludzkie, moim zdaniem działania młodego Hollistera noszą na sobie odcisniętą pieczęć zła.

- Obawiam się, ojczcie Harris - wtrącił wyraźnym głosem kapitan Sinclair - że ręka zła jest w tej sprawie cokolwiek nazbyt fantastycznym elementem, nawet jak na nasze sądownictwo.

To wywołało kilka nieśmiałych chichotów, lecz Clayton zignorował je. Oparty prosto w swym krześle, wciąż krzyżował spojrzenia z hrabiną. Przyglądała mu się z rozbawioną miną, ale nie ulegało wątpliwości, że postawa agenta wzbudziła w niej ciekawość. Gdy tylko umilkły śmiechy, zwróciła się do Sinclaira.

- Jestem tego samego zdania co pan, kapitanie. Zło... Odrzucam pogląd, jakoby to, co odciąga ludzi od ich naturalnych więzi i od

Słowa Bożego, przyjmowało postać kozła przewodniczącego sabatom czarownic. W rzeczywistości zawsze opierałam się myśli, że wszystko dzieje się dokładnie tak, jak opowiadają legendy. Dlatego uważam waszą pracę za wielce inspirującą: to musi być fantastyczne prowadzić śledztwa w sprawie potworów i odkrywać, co za nimi stoi, poznawać autentyczną prawdę mitów, ich najprawdziwszą fantastyczną istotę. Kapitanie, proszę nam opowiedzieć o swojej pracy.

- Ee... obawiam się, że nie mogę, hrabino - tłumaczył się Sinclair nieco zaniepokojony. - Nasza praca wymaga poufności i...

- O, niech pan nie będzie taki skryty, kapitanie! Nie jest pan na żadnym zgromadzeniu mędrców druidów, tylko w Blackmoor! Proszę, niech pan zrobi dla nas wyjątek - dopraszała się z uwodzicielską miną. - Jestem pewna, że wszyscy tu obecni chcieliby wiedzieć, jak działa wasz szczególny wydział. Proszę powiedzieć, czy korzystacie z nowatorskich, rewolucyjnych metod, czy wręcz przeciwnie, bronicie się krucyfikami i święconą wodą, kiedy wyruszacie przeciwko wampirom uzbrojeni w osinowe kołki? Podobno te stwory umieją się przemienić w nietoperze albo nawet w mgłę.

- I nie mogą stąpać po poświęconej ziemi - zauważył pastor.

- I od urodzenia mają pewne znamiona, takie jak wystająca kość krzyżowa - dodał doktor.

- I rodzą się w czepku, z głową częściowo owiniętą łóżyskiem matki, jak w turbanie - dorzucił szeryf, wywołując u wszystkich rozbawienie.

Gdy śmiechy przebrzmiały, hrabina znów zaczęła nalegać, obdarzając kapitana spojrzeniem kapryśnej dziewczynki.

- Czy to wszystko prawda, kapitanie? Osobiście trudno mi uwierzyć, że można je przestraszyć zwykłym zębkiem czosnku albo że mają kolec na końcu języka. - Język hrabiny wysunął się zalotnie spomiędzy jej warg.

- Cóż... - Sinclair odchrząknął, próbując ukryć swoje poruszenie. - Obawiam się, że większość z tych wierzeń to nic innego, jak tylko

oszukańcze bajeczki, hrabino.

Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco, spodziewając się, że rozwinię ten interesujący temat. Kapitan westchnął z rezygnacją i wyprostował się na krześle, a Clayton zrozumiał, że jego przełożony zamierza uraczyć tych biednych ludzi tym samym wywodem, który zaserwował jemu, gdy go przyjmował do wydziału, rozsiadł się zatem wygodniej, zadowolony, że Sinclair jeszcze bardziej przedłuży tę ciągnącą się w nieskończoność kolację. Oby kapitan opowiadał do rana albo do następnego tygodnia lub nawet przez cały miesiąc, dzięki temu on będzie miał dość czasu, żeby uporządkować myśli i zdecydować się na dalsze działania. W tej chwili jedyne, co do czego miał jasność, to że nie podzieli się z nim swoim odkryciem. Chciał sam przepytąć właścicielkę zamku, tak aby odpowiedziała na kłębiące się w jego głowie pytania, choć większość z nich nie była związana ze sprawą.

- Jak państwo wiedzą, nasz wydział zajmuje się badaniem tego, co nadnaturalne, wszystkiego, co się wymyka ludzkiemu pojęciu - zaczął wyjaśniać Sinclair, gładząc palcami smocze insygnia widniejące w klapie marynarki jego garnituru. - Niestety, tak jak zdarzyło się również w tym przypadku, większość dochodzeń kończy się wykryciem zwyczajnego oszustwa. Jest to coś, czego agent Clayton właśnie zaczyna się uczyć, prawda, synu? - Młodzieniec poczuł się zmuszony do kiwnięcia głową. - Lecz nawet sprawy, których nie możemy wyjaśnić inaczej, niż schodząc na grunt fantastyki, pokazują nam, że to, co ponadnaturalne, rzadko się zgadza z ludowymi wierzeniami. By daleko nie szukać, przykładem może nam tu posłużyć likantropia. Mówi już o niej mitologia grecka, choć opowieści o wilkołakach mnożą się dopiero w średniowieczu. W naszych archiwach mamy wycinek z niemieckiej gazety datowany na... - Zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć datę.

- Rok 1589 - podsunął mu niechętnie Clayton.

- Właśnie, tak, 1589. Mowa w nim o dzieciach poćwiartowanych przez domniemanego wilkołaka we wsi Bedburg. To najstarszy ślad, jaki mamy, ale nie odosobniony. Podobnych historii jest wiele. Setki, tysiące spraw, które jedynie wzbogacają legendę wilkołactwa. Ale



legendy nie są niczym więcej jak realnymi faktami przepuszczonymi przez sito ludowej wyobraźni, podatnymi na wpływ teatralnego, przyprawiającego o mdłości romantyzmu, który zniekształca i zafalszowuje rzeczywistość wręcz nie do rozpoznania. Dzięki takim legendom i publikowanym w odcinkach opowieściom, jak *Wilkołak Wagner*<sup>2</sup> czy *Człowiek wilk*<sup>3</sup>, ludzie na ogół postrzegają likantropa jako nieszczęśnika, który przy każdej pełni księżyca wbrew własnej woli zamienia się w wilka i owładnięty straszną żądzą krwi, jest skazany na bezlitosne zabijanie. Mówi się też, oprócz wielu innych bredni, że można się stać wilkołakiem, pijąc deszczówkę zebraną w odcisku wilczej łapy, używając pasa wykonanego z wilczej skóry albo na skutek ugryzienia przez likantropa. Cóż, jako że o fałszywości dwóch pierwszych metod mogą się państwo przekonać sami, pozwólcie, że wam wykażę niemożliwość zastosowania ostatniej z nich, wynikającą z prostego rachunku: jeżeli wilkołaki, podobnie jak wampiry, zamieniają w likantropa każdego, kogo ugryzą, to za niewiele lat nie będziemy już mieć na świecie do czynienia z populacją ludzką. Proszę sobie policzyć: wystarczy, że co miesiąc ugryzą jedną ofiarę, a ona przy następnej pełni zarazi kolejną osobę, i tak dalej. A ja wciąż jeszcze jestem człowiekiem i mogę was zapewnić, że agent Clayton też. - Clayton przykładowo kiwnął głową, aby potwierdzić swoje człowieczeństwo. - Zatem co najmniej my dwaj w tej jadalni jesteśmy ludźmi, co podważa tę część legendy. Posiłkując się logiką, możemy również rozpracować pozostałe sympatyczne cechy, jakie folklor nadał owym istotom. Na przykład wpływ księżyca, element wywodzący się z legend południowej Francji. Jestem pewien, że wszyscy zgodzicie się ze mną co do tego, iż przy pełni księżyca biegnie się przez las znacznie łatwiej niż w bezksiężycową noc, tak więc przypuszczalnie pierwsze morderstwo przypisane likantropowi zdarzyło się w jasną noc, ponieważ zabójcy po prostu było tak wygodniej. Tak czy inaczej wpływ księżyca jest znany od starożytności i nie neguje się go, gdy chodzi o morskie pływy, klimat, rolnictwo, nasz stan ducha czy... ee...

- Pewne niedyspozycje płci pięknej - zasugerował Clayton.

- Tak, pewne niedyspozycje płci pięknej... Tak więc, w przypadku gdyby wilkołak istniał, oddziaływanie naszego satelity na jego

zachowanie byłoby najmniej fantastyczną cechą jego natury. - Zrobił przerwę i z ironicznym uśmiechem popatrzył na lekarza. - Odnośnie do tego, czy srebrne kule są niezawodną bronią przeciw wilkołakom, doktorze Russell, obawiam się, że jest to przypuszczenie, o którym wie tylko pan i kilka innych osób. Może pewnego dnia stanie się to kolejną cechą tych istot, uznawaną za niekwestionowaną prawdę. Wystarczy, by któryś z naszych pisarzy postanowił wykorzystać ten szczegół w swoich fikcyjnych utworach. Chociaż, szczerze mówiąc, jest to pomysł tak dziwaczny, że bardzo wątpię, by się komuś udało.

- Chce pan wobec tego powiedzieć, że wilkołaki nie istnieją? - spytał Price, najwyraźniej zwolennik prostych, definitywnych konkluzji.

- Tego nie powiedziałem, panie Price - odrzekł Sinclair, ku jeszcze większej dezorientacji rozmówcy. - Nigdy nie odważyłbym się twierdzić, że coś nie istnieje, tylko dlatego że tego czegoś nie widziałem. Tak czy inaczej, jestem przekonany, że gdyby istniały, nie byłyby zbyt podobne do zwyrodniałych istot, jakimi uczyniła je legenda - zakończył, wskazując ręką na przebranie zdobiące jeden z kątów jadalni.

Oczywiście, że nie - pomyślał Clayton, spoglądając na kobietę wiodącą prym przy stole.

To położyło kres sprawie i rozmowa szybko zdryfowała na błahostki. Hrabina pod wpływem wezbranego potoku słów, jakimi podchmielony doktor Russell wychwalał każde z serwowanych dań, poleciła przywołać panią Pikerton, służącą, aby wszyscy mogli pogratulować jej osobiście. Kobieta podziękowała za pochwały z ulgą: bała się, że biesiadnicy uznali któreś dania za niesłone, jako że kilka miesięcy wcześniej jakiś wandal wdarł się do zamkowej spiżarni i zrabował parę worków soli, których do tej pory nie uzupełniono. Goście musieli ją gorąco zapewniać, niemal zarzekając się na Biblię ojca Harrisa, że żaden z nich nie zauważył takiego braku, co jeszcze bardziej wywyższyło jej talenty kulinarne.

Kiedy pani Pikerton podążyła tam, skąd przybyła, Clayton zadumał się w głębi duszy. Zniknęła sól... Ten ostatni kawałek układanki był prezentem, na jaki nie liczył; niemniej wpasował go w odpowiednie

miejsce. I nie miał już żadnej wątpliwości, że rozwiązał sprawę. Do tej pory żywił maleńki strzęp nadziei, że się myli, ale ten strzęp właśnie został porwany przez wiatr. Zdawało mu się niemal, że wszyscy obecni słyszą, jak łamie mu się serce - z takim trzaskiem jak orzech pękający pod butem.

## II

Podczas pożegnania Clayton przyjął od gości ostatnie gratulacje, mając niepokojące wrażenie, że nie wie, czy na nie zasługuje, a tymczasem stojący obok niego Sinclair odbierał je z widocznym zadowoleniem. Agent mimowolnie patrzył na niego ze smutkiem: biedny kapitan nie wiedział, że sprawa dopiero ledwie się zaczyna. Gdy goście wreszcie się rozjechali, w ogromnym zamkowym westybulu, u stóp majestatycznych marmurowych schodów, które jękaniną stopni pięły się na górną kondygnację, zostali tylko hrabina i dwaj funkcjonariusze, cokolwiek onieśmieleni ciszą, jaka zapadła po niedawnym tumulcie.

- Cóż, chyba najwyższy czas na spoczynek - oznajmił kapitan. - Jutro mamy bardzo wczesnie wyjechać. Kolacja była fantastyczna, hrabino, tak samo jak łaskawość, z którą gościła nas tutaj pani przez te dni.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kapitanie - odpowiedziała Valerie de Bompard z kurtuazyjnym uśmiechem. - Dwaj z najinteligentniejszych ludzi w kraju kwaterowali pod moim dachem! Zapewniam pana, że trudno mi to będzie zapomnieć.

Wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń, a Sinclair złożył na niej przesadnie cnotliwy pocałunek. Następnie podała ją Claytonowi, lecz ten nie miał najmniejszego zamiaru jej całować. Trwał nieruchomo, przyglądając się, jak ręka kobiety wisi w powietrzu - niczym człowiek wychowany przez wilki, nic niewiedzący o dobrych zwyczajach.

- Niech pan idzie, kapitanie - rzekł w końcu, patrząc w oczy hrabinie. - To był wieczór pełen emocji, wciąż jestem nazbyt

podeksycytowany, żeby się kłaść spać. Może hrabina nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wypić ze mną ostatni kieliszek.

Zdezorientowanie hrabiny trwało zaledwie sekundę. Zaraz potem dama uśmiechnęła się figlarnie.

- Oczywiście, chętnie się z panem napiję, agencie. Mam wyśmienite porto, zarezerwowane na specjalne okazje.

- Ta niewątpliwie taka jest - odpowiedział Clayton, zagłębiając się jeszcze bardziej w jej oczy.

Sinclair poczuł się zobligowany do lekkiego odchrząknięcia, żeby rozplątać warkocz, jaki tworzyły już ich spojrzenia.

- Ech... Cóż, zatem ja się położę... - rzekł. - Jutro czeka nas długa droga i...

Jego słowa spotkały się z brakiem zainteresowania, zostawił więc zdanie niedokończone, skierował się na schody i zaczął się po nich wolno wspinać, jak aktor, który wzbrania się przed opuszczeniem sceny w kulminującym momencie. Hrabina oderwała wzrok od Clayтона i, spowita w szelest jedwabiu, ruszyła do jadalni. Agent podążył za nią, lecz ledwie zrobił kilka kroków, zatrzymał go głos kapitana.

- Agencie Clayton...

Popatrzył na szczyt schodów, skąd krągła, imponująca postać kapitana przyglądała mu się badawczo poprzez gęsty mrok, w niewielkim stopniu rozpraszany przez znaczące westybul kandelabry.

- Tak, kapitanie?

Sinclair przyglądał mu się przez kilka sekund w milczeniu, a czerwonawy poblask sztucznego oka pulsował na jego twarzy, migając, jak gdyby jego myśli były utworzone ze światła i krwi. Czy zdawał sobie sprawę, że coś idzie nie tak?

- To była dobra robota, synu - mruknął. - Dobra robota... - I odwróciwszy się, poczłapał do swego pokoju.

Clayton nie bez pewnej ulgi nadal patrzył na schody, dopóki kapitan nie zniknął, wessany przez ciemność. Przypomniawszy sobie, z czymś na podobieństwo melancholii, rady natury sentymentalnej, jakich przełożony udzielił mu w ostatnich dniach. Gdybyż wszystko to sprowadzało się do frywolnej, nieszkodliwej sprawy spódnicowej. Jednak Sinclair nie miał najmniejszego pojęcia, co tak naprawdę ma się wydarzyć w jadalni, a być może nie wiedziała tego również hrabina i - gdyby go zapytano - nawet on sam. Nikt nie mógł podejrzewać, do czego dojdzie tam w środku, nikt nie przewidziałby kierunku, w jakim potoczy się rozmowa, gdy Clayton wyłoży swe karty, ani wstrząsów, których bez wątpienia dozna jego dusza w trakcie pogawędki. Może nawet będzie mu potrzebny rewolwer, powiedział sobie, sprawdzając delikatnym muśnięciem, czy ma go w kieszeni.

Westchnął głęboko i skierował się do jadalni. Po drodze minął się ze służącymi, które kończyły zbieranie talerzy po deserze. Valerie de Bompard stała przy mahoniowym stoliku, nalewając do dwóch kryształowych kieliszków obiecane porto. Płonący na kominku ogień roziskrzył tysiąc diamentowych gwiazdeczek naszytych na jej spódnicy, ozłocił skórę jej ramion i pleców oraz zamienił w złoto lejący się z butelki alkohol.

- Agencie Clayton! - zawołała dama ze swym żartobliwym francuskim akcentem. - Przez chwilę bałam się, że obietnica spędzenia razem nocy została mi odebrana i że pobiegł pan na górę, czepiając się spódnicy swej niani.

Clayton podszedł do hrabiny, a ta spojrzała mu w twarz, podając jeden z kieliszków. Agent poczuł, że balansuje na krawędzi ciemnej, niezgłębionej otchłani jej oczu, i po raz enty pomyślał, że ta kobieta nie jest piękna po prostu dzięki właściwemu połączeniu rysów i proporcji, lecz ze względu na coś znacznie głębszego i o wiele trudniejszego do wyjaśnienia. Valerie de Bompard była ładna, niewiarygodnie ładna, ponieważ tak postanowiła, ponieważ takie miała pragnienie. A Clayton był pewien, że nie istnieje w świecie nic, co mogłoby się oprzeć życzeniu hrabiny. Wziął od niej kieliszek i odpowiedział beztrąsko niczym światowiec.



- Spódnicy mojej niani... - Uśmiechnął się na myśl o kapitanie wepchniętym w strój guwernantki. - Muszę wyznać, że gdyby mój przełożony, ubrany w coś tak pięknego jak pani suknia, rozkazał mi kłaść się do łóżka, trudno byłoby mi go nie posłuchać. Dziś wieczór wygląda pani olśniewająco, hrabino.

- Czy tylko na taki komplement pana stać? - zadrwiła. - Szczerze mówiąc, spodziewałam się czegoś więcej po człowieku o tak niesamowitej inteligencji. Ponadto nie powinien pan próbować flirtować ze mną, agencie. Jestem niebezpieczną kobietą. Sądziłam, że już pan to odgadł.

- Niebezpieczną? - powtórzył, ukrywając niepokój. - Dlaczego miałbym tak myśleć?

Hrabina stuknęła swoim kieliszkiem o jego szkło i upiła łyk porto, nie patrząc mu w oczy.

- O, niech pan da spokój i nie udaje przede mną, agencie!

- Ja... - Clayton przełknął ślinę.

- Nie mogę uwierzyć, że nie słyszał pan krążących w miasteczku pogłosek na mój temat! - wykrzyknęła, pozorując uśmiech niedowierzania. - Hrabina de Bompard, ta Francuzica o ciemnej przeszłości! Łowczyni majątków, która wyszła za starego hrabiego de Bompard dla jego tytułu i pieniędzy i która, kiedy on zniknął w tajemniczych okolicznościach, uciekła pośpiesznie ze swojego kraju, żeby uniknąć skandalu i prześladowających ją okropnych plotek! Jestem pewna, że podczas swojego śledztwa słyszał pan to wszystko i jeszcze więcej.

- Bardzo dobrze znam opinię, jaką mają o pani sąsiedzi - odrzekł krótko Clayton.

- I nie wydaje się panu okrutna? Byłam tylko biedną wdową, która chciała przeżyć swój ból w spokoju. Szybko jednak uświadomiłam sobie, że to okazuje się niemożliwe: znieślawnienie ma skrzydła, i niezasłużona potwarz wyprzedziła mnie w drodze do Anglii... Do diabła! Kiedy przybyłam do tej miejsciny z zamiarem objęcia w posiadanie zamku angielskiego hrabiego, tutejsze kobiety

w pierwszej kolejności zamknęły pod kluczem swych mężów... Jakby mnie mógł zainteresować któryś z tych prostaków!

Clayton nigdy nie słyszał, żeby jakaś kobieta złorzeczyła z taką zajadłością. Może jakiś kocmołuch z dzielnic nędzy, ale oczywiście nie dama, a tym bardziej nie taka pełna wdzięku, trzeba przyznać. Po tym czarującym pokazie wulgarności hrabina upiła kolejny łyk ze swojego kieliszka i zdawała się uspokajać.

- Nie, interesują mnie tylko inteligentni ludzie. Tacy jak Armand - dodała znacznie słodszy głosem. - Albo jak pan.

Odchyliła lekko głowę do tyłu i przyglądała się Claytonowi spod przymkniętych powiek z igrającym na ustach eterycznym uśmiechem, czekając na to, jak agent odbierze jej słowa. Wytrzymał jej spojrzenie, starając się, żeby jego twarz nie odzwierciedlała żadnych emocji. Po kilku sekundach milczenia hrabina uśmiechnęła się żartobliwie, jakby jego opór wydawał jej się godzien podziwu. W jej spojrzeniu był taki magnetyzm, że agent musiał sobie przypomnieć, iż chociaż bardzo pragnie poznać smak jej ust, ani ta kobieta nie jest taka, na jaką wygląda, ani to spotkanie nie może się już potoczyć w tak przyjemny sposób. Odsunął się od niej bardziej gwałtownie, niż zamierzał, i podszedł do obrazu wiszącego nad białym marmurowym kominkiem, przed którym drzemały dwa miękkie fotele. Wbił wzrok w pełne ironii oczy, którymi hrabina patrzyła na świat z płótna, i rzekł sobie, że nadszedł czas, by zacząć rozgrywkę.

- Niech mi pani o nim opowie. Proszę mi opowiedzieć o Armandzie.

Za jego plecami zabrzmiał słodki śmiech hrabiny.

- O Armandzie? Agencie, zapewniam pana, że musi się pan jeszcze wiele nauczyć o uwodzeniu dam. Prośba o rozmowę o innym mężczyźnie nie jest zbyt odpowiednia.

- Nie byłbym tego taki pewien, hrabino. Nic nie określa lepiej kobiety niż mężczyźni, których dotąd kochała. Proszę mi więc o nim opowiedzieć - zażądał z zamierzoną szorstkością. - To on namalował ten portret, prawda? - zapytał, nie odwracając się.

Zapadła cisza. Clayton wyobraził sobie konsternację damy i ucieszył się, że ona nie może zobaczyć smutku, jaki niewątpliwie dominuje na jego twarzy. Po dłuższej chwili usłyszał jej głos:

- Zgoda, agencie. Jeśli takie jest pańskie życzenie, opowiem panu o nim. Armand był niezrównanym człowiekiem! Prawym i mądrym, bardzo mądrym. Przypuszczam, że jedyną jego wadą była intelektualna duma, jeżeli można ją uznać za wadę. Uwielbiał mnie malować... - Clayton zauważył westchnienie zmęczone melancholią. - Portretował mnie wiele razy. Mawiał, że moja uroda nie jest z tego świata, a on uważa się za skromnego kronikarza, który powinien zachować ją dla potomności, że to jego święty obowiązek. - Agent usłyszał, jak Valerie robi kilka kroków, by stanąć obok niego, lecz nie obejrzał się, wciąż trwając ze spojrzeniem utkwionym w płótnie. - Ten obraz jest dla mnie jednak wyjątkowy, szczególny, jako że mąż namalował go na kilka dni przed... Cóż, zna pan jego tragiczny koniec. - Słowa utknęły hrabinie w gardle, zdawała się bliska płaczu.

- Namalował go w swym gabinecie, prawda? - dopytywał Clayton, nieczuły na jej ból.

- Tak, to była jego pracownia.

Agent zacisnął usta z mieszaniną wściekłości i smutku, przypominając sobie zaskoczenie, jakiego doznał, gdy w skromnej, walącej się chacie Hollistera, gdzie szczury i inne paskudztwa hasały sobie bez troski, odkrył kwitnący sekretny bastion wiedzy. Długi czas stał, zaabsorbowany widokiem licznych podręczników do taksydermii uporządkowanych na półkach według wielkości, a nawet koloru, obok niezliczonych słoików z różnymi substancjami i niepokojących narzędzi: opróżniacza czaszek, szczypców, barwników w proszku, kłębów waty, skrzynek ze szklanymi oczami, wyglądających jak makabryczne bombonierki... Wszystko pięknie poukładane, co do milimetra, tworzyło zwartą wyspę harmonii pośród panującego w chacie nieładu.

- Jakie dyscypliny opanował hrabia de Bompard?

- Wszystkie - odpowiedziała hrabina, nie ukrywając dumy, coraz bardziej zdumiona nagłym zainteresowaniem agenta. - Wszelkie

dziedziny wiedzy i sztuki. Był wielkim badaczem, naukowcem absolutnie wyprzedzającym naszą epokę. Może w poprzednich wiekach zostałby potępiony za czarownictwo i skończyłby spalony na stosie, ale na szczęście żyjemy w innych czasach: teraz kogoś, kto jest inny albo w czymś lepszy od pozostałych, potępia się tylko z zazdrości i zniesławia - zakończyła z ironią.

- Kochała go pani? - zapytał agent, nadal nie śmiejąc na nią spojrzeć.

Zawahała się.

- Podziwiałam go niezmiernie. I byłam mu bardzo wdzięczna za...

- Ale czy go pani kochała? - powtórzył Clayton szorstko.

Valerie de Bompard milczała przez kilka sekund.

- Mogłabym odpowiedzieć, że to nie pańska sprawa, agencie - odparła łagodnie, lecz nie bez stanowczości.

- Mogłaby pani. Ale ja chciałbym jedynie wiedzieć, czy jest pani zdolna do miłości - odrzekł dokładnie tym samym tonem, odwracając się, żeby na nią spojrzeć.

- Nie kochałam go, agencie. Nie oznacza to jednak, że nie mogę kochać innego. - Uśmiechnęła się, a jej małe zęby rozblęły jak najpiękniejsze perły. - Powinien pan jednak zrozumieć, że Armanda i mnie nigdy nie łączyły takie stosunki jak w normalnej parze.

- Rozumiem.

- Wątpię - odrzekła ze śmiechem. - Kiedy poznałam Armanda, byłam bardzo młoda. Można powiedzieć, że byłam zaledwie dziewczynką, dzikuską żyjącą w ciemności i niemającą ani odrobiny ogłady czy wykształcenia. Armand rozpalil w mojej duszy płomień wiedzy. Kształcił mnie, ale nie tylko tak, jak naucza się panienkę, lecz jak osobę równą sobie, jak mężczyznę. Przekazał mi całą swą wiedzę. A kiedy przyszedł czas, nauczył mnie również miłości i radości, ponieważ według Armanda de Bompard, ktoś, kto nie kocha i nie umie się cieszyć, nie może aspirować do prawdziwego poznania. Nie wiem, czy pojął mnie za żonę, bo zakochał się we mnie, czy dlatego, że nie uważał edukacji za kompletną bez dyscypliny miłości,

przewyższającej inne sztuki. Pewne jest jednak, że ukoronował swoje mistrzowskie dzieło, czyniąc mnie swoją małżonką. A pan pyta, czy ja go kochałam? Nawet nie wiem, czy on mnie kochał! - Przygryzła dolną wargę i spojrzała na niego prowokująco. - Nie, chyba go nie kochałam. Choć może to, co nas łączyło, było większe niż miłość.

Zapadła cisza, której oboje pozwolili dojrzeć, tymczasem patrząc sobie w oczy.

- Zatem opowiedziałam panu o Armandzie - odezwała się w końcu Valerie. - Zgodnie z pańską teorią powinien pan znać mnie teraz lepiej niż pięć minut temu. Niech więc mi pan powie, agencie: kim jestem?

- Chętnie oddałbym jakąś część swego ciała, gdybym dzięki temu mógł rozszyfrować, kim pani jest, hrabino.

Zaśmiała się gorzko.

- Cóż, nie wymagam od pana tak wiele. I wystarczy już mowy o przeszłości. Dość opowieści o Armandzie. Tej nocy świętujemy - rzekła, odzyskując dawny entuzjazm. Zauważyła, że ma pusty kieliszek, i podeszła do stolika, by go napełnić. - Nie wie pan, jaka jestem wdzięczna za to, że schwytaście tego Hollistera. Ten głupiec przebrany w skóry zawsze popełniał swe zbrodnie w te same noce, gdy urzędzałam przyjęcia. Zaczynało już być zwyczajem, że pomocnicy szeryfa wpadali do mojej sali balowej, by zawiadomić swego szefa. Orkiestra cichła, a oni krzyczeli o rozszarpanych ciałach z wywleczonymi wnętrznościami. Wyobraża pan sobie taki brak dobrego smaku? Choćbym nie wiedzieć ile starań włożyła w zabiegi upiększające i w uzyskanie triumfalnego wyglądu, który wszystkim zaprze dech w piersi, takie raptowne wtargnięcia rujnowały każde przyjęcie. Potem trudno było przywrócić dobry nastrój. Sam pan się o tym przekonał, gdy był pan na ostatnim raucie. - Podeszła do niego rozkołysanym krokiem. - Choć wyznam panu, że dlatego naprawdę żałowałam, kiedy ten gbur Hollister zabił drogiego pana Daltona, iż zrobił to akurat wtedy, gdy pan najwyraźniej zebrał się na odwagę, żeby mnie poprosić do tańca. Jaka to była szkoda! Ale cóż, przynajmniej wykorzystał pan tę odwagę do schwytania zabójcy i rozwiązania sprawy.

Hrabina patrzyła na agenta w oczekiwaniu na jakąś reakcję z jego strony. Clayton uniósł swój kieliszek i opróżnił go jednym haustem, próbując wzbudzić w sobie hart konieczny do tego, co zamierzał powiedzieć, a co w najmniejszym stopniu nie pokrywało się z tym, czego spodziewała się Valerie.

- Nie, hrabino, myli się pani: sprawę rozwiązałem dopiero dziś wieczór. Armand podsunął mi podpowiedź.

Spojrzała na niego rozbawiona.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Clayton odsunął się od niej z westchnieniem i wskazał podbródkiem obraz.

- Trzecia półka po prawej. Trudno to dostrzec, jeśli się dobrze nie przyjrzy, ale ja mam paskudny zwyczaj zwracania uwagi na szczegóły.

Kobieta patrzyła na niego nieco zdezorientowana. Znów skinął w stronę portretu, zachęcając ją, by poświęciła mu więcej uwagi, a ona w końcu posłuchała i zbliżyła się do kominka, bardziej zdumiona niż zaintrygowana.

- Obok czaszki. Co widać?

Spojrzała we wskazane miejsce.

- Trzy myszki tańczące w kółku.

Agent w przygnębieniu kiwnął głową.

- Właśnie. Trzy wypchane myszki, których sympatyczny wygląd świadczy o niezwykłych umiejętnościach taksydermisty.

Nie odezwała się, wciąż odwrócona do niego plecami, i Clayton uświadomił sobie, że hrabina usiłuje odtworzyć ciąg przemyśleń, które przewinęły się przez jego głowę, od kiedy zauważył myszki, i próbuje stwierdzić, dokąd go te rozważania powiodły. Nie chodzi jednak tylko o te przekłete gryzonie. Jasne, że nie.

- Trudno je dostrzec, prawda? Założę się, że widzi je pani po raz pierwszy. Ale one tam są. Zawsze były. Rudawe, stojące na tylnych łapkach... Zachwycające i oskarżające zarazem.



- Obawiam się, że nie rozumiem, co chce mi pan powiedzieć, agencie - odpowiedziała ostrożnie, zwracając się ku niemu.

- Naprawdę? Cóż, niech się pani nie martwi, mogę wyjaśnić krok po kroku. - Uśmiechnął się ironicznie. - Pamięta pani mój wywód, ten, który wygłosiłem podczas kolacji? Proszę o nim zapomnieć. Ten będzie znacznie lepszy. Jestem pewien, że gdy go pani usłyszy, nie będzie pani wątpić, że w Scotland Yardzie czeka mnie wielka przyszłość. - Szukał u niej potwierdzenia, ale nie odezwała się ani słowem. - Cóż, zacznijmy od dnia, w którym się poznaliśmy. Przypomina sobie pani kapelusz, który wtedy miała na głowie? Nie? A ja tak. Niestety, nigdy niczego nie zapominam. Był to ogromny słomkowy kapelusz ozdobiony kilkoma motylami i małą orzesznicą. I pamiętam też, że kiedy kapitan Sinclair wychwalał to niezwykle gustowne nakrycie głowy, pani odrzekła, że je przysłano z Ameryki. Było w tej odpowiedzi coś, co mnie zdziwiło. Zawsze lubiłem studiować wiele różnych dziedzin i dlatego mam pewne pojęcie o zoologii, choć jestem jedynie pasjonatem, nie znawcą. Oczywiście, zauważyłem, że motyle na pani kapeluszu są odmianą monarchy, gatunku typowego dla Ameryki Północnej. Jednakże *Muscardinus avellanarius*, czyli orzesznica, to gryzoń europejski. I to właśnie nie dawało mi spokoju. - Założył ręce na plecach i zaczął zataczać małe kółka wokół punktu, w którym podjął swój wywód, a minę miał przy tym tak zaabsorbowaną, jakby nagle zapomniał o swojej rozmówczyni, salonie, a nawet o sobie samym, i wędrował teraz po korytarzach własnego umysłu, gdzie myśli wisiały jedna przy drugiej, starannie uporządkowane niczym pościel na sznurach. - W tamtym momencie nie przywiązałem większej wagi do tego szczegółu. Sądziłem, że aby popisać się oryginalnością, poleciła pani swojej modystce, by odnowiła kapelusz, każąc angielskiemu gryzoniowi współlistnieć z amerykańskimi motylami. Lecz teraz wiem, że nie ma pani na tyle pieniędzy, żeby sobie pozwolić na modystkę. W trakcie naszego śledztwa wyszły na jaw trudności, wobec których stanęła pani przy dziedziczeniu francuskich dóbr hrabiego, jako że toczyło się dochodzenie w sprawie pani zniknięcia. Zatem musiała pani zrobić to sama... Tak, to właśnie pani dodała orzesznicę do swojego kapelusza i jestem pewien, że nie okazało się to dla pani zbyt skomplikowane. Szeptnęły mi o tym dziś wieczorem tamte trzy myszki z portretu.

W sztukę taksydermii wprowadził panią wielki mistrz... I, rzecz jasna, wypreparowała pani również to przebranie, które tak zachwyciło doktora, a zrobiła to pani nieco ponad trzy miesiące temu. Z tego powodu zniknęła cała sól z zamkowej spiżarni, ponieważ zużyła ją pani do wyprawienia skór. Nie trzeba też przeszukiwać piwnic, aby odgadnąć, że tam znajduje się pani pracownia, na tyle blisko pomieszczeń dla służby, by zatruć ludzi wyziewami arszeniku i pozostałych toksycznych substancji, którymi musiała się pani posłużyć. Pani chroniła się maską, ale szedłbym o zakład, że coś przydarzyło się pani ręką, dlatego wciąż nosi pani rękawiczki. Lecz odchodzimy od sedna sprawy. Po co sporządziła pani ten wilczy kostium? Cóż, pozwoli pani, że odpowiem i na to. Bądź co bądź, do tej pory zadowalała się pani zabijaniem bydła i zwierząt domowych, chociaż wiedziała pani, że ta dieta nie wystarczy na dłuższą metę i wkrótce będzie pani musiała mordować sąsiadów. Obawiała się pani, że te zgony w końcu rzucą na panią podejrzenie o zbrodnie, jak przypuszczalnie stało się wcześniej we Francji, skąd zmuszona była się pani wynieść. Wprowadziła pani zatem na scenę fałszywego wilkołaka, ogromną bestię będącą w stanie zadawać ofiarom straszliwe rany, których sprawczynią była pani sama. Tom Hollister, wielki chłop, silny i chciwy, dostarczający pani skór, wydał się odpowiedni do tej roli. Zapewne bardzo łatwo było go uwieść, skłonić do tego, by się zwierzył ze swych rozczarowań i pragnień, a potem zaproponować mu obmyślony przez panią plan zdobycia upragnionych gruntów. Ponieważ ten plan, który wcześniej określiłem jako znakomity, był pani dziełem, hrabino, a nie biednego Hollistera, będącego jedynie zabawką w pani rękach. Bez wątpienia, aby mu udowodnić swoją bezgraniczną miłość, sama zaoferowała mu pani, że pozabija jego sąsiadów, przekonawszy go, że oboje będziecie mieli doskonałe alibi, jeżeli on ukaże się ludziom w lesie w przebraniu wilkołaka dokładnie w te wieczory, kiedy pani urządza przyjęcia. - Potrząsnął głową niemal z niedowierzaniem, jakby go zdumiewało, jak łatwo wszystko do siebie pasuje. - Przyjęcia organizowane zawsze przy pełni księżyca, na które pani pod pozorem przygotowania swoich triumfalnych wejść przybywała, gdy się już rozpoczęły, po dokonaniu strasznych zbrodni. Wyobrażam sobie, że wchodziła pani przez któreś z licznych tajnych wejść, jakie

najprawdopodobniej są w tym zamku. Potem, kiedy odkrywano kolejne zabójstwo, musiała pani już tylko udawać równie przerażoną jak pozostali, ponieważ otaczali panią liczni świadkowie, w tym przedstawiciele władz miasteczka, a na ostatnim balu nawet dwaj agenci Scotland Yardu. Jednak tej nocy, gdy Hollister runął w przepaść, wszystko się zmieniło. Kiedy do zamku dotarła wiadomość, że zamierzamy wydobyć ciało domniemanego likantropa i wkrótce poznamy tajemnicę jego natury, zrozumiała pani, że natychmiast poweźmiemy podejrzenie, iż miał współnika, jako że inaczej nie można by wyjaśnić, jak taki nieokrzesany człowiek mógł przygotować tak świetne przebranie. Zatem podczas gdy my próbowaliśmy wydostać z przepaści ciało, pani pobiegła do jego chaty i umieściła tam niezbędne dowody, aby nie powstała najmniejsza wątpliwość, że wszystko to zrobił sam, bez niczyjej pomocy. Jednak nabyte w dzieciństwie nawyki są silniejsze od dzikszego instynktu przeżycia, dlatego bezwiednie poukładała pani wszystko z najwyższą starannością, w takim samym porządku, jaki dziś rozpoznałem na obrazie Armanda. Skrupulatnym, cokolwiek maniakalnym porządkiem mędrca kochającego swe instrumenty i książki. Miłością, którą zapewne starał się przekazać swojej uczennicy. To był pani błąd, hrabino. Choć, jeśli to panią pocieszy - zakończył Clayton z pogardą - przypuszczam, że hrabia byłby z pani dumny... przynajmniej w tym aspekcie.

Podczas jego szybkiego wywodu Valerie stopniowo traciła swój wyniosły wyraz twarzy. Teraz w jej obłąkanym spojrzeniu strach mieszał się z szaleństwem.

- Nie sądzę - odrzekła. - To był głupi błąd. A Armand nienawidził głupich błędów.

- Jednak sam popełnił największy z nich, zakochując się w pani - odparł Clayton. - Tak jak ja.

W pokoju znów zapadło milczenie. Hrabina uporczywie patrzyła na agenta. Wyglądała jak złapana w pułapkę pantera, rozwścieczona i zarazem piękna w blasku gwiazd. Wszystko w jej postawie wołało o to, by uznać, że jest wspaniałym okazem, na jaki nie zasługuje żaden myśliwy.

- Sprawiała pani, że bardzo pragnąłem zrobić na pani wrażenie - powiedział w końcu Clayton - wywołać pani podziw, aż przestałem zwracać uwagę na głos, który krzykiem odzywał się w moim wnętrzu za każdym razem, gdy coś nie pasowało. Sprawiała pani, że liczyła się dla mnie tylko ta chwila, kiedy zaprezentuję się przed panią jako bohater. Sprawiała pani, że podszedłem do tej podręcznikowej sprawy, jakbym był ślepy i głuchy, nie przywiązywałem najmniejszej wagi do szczegółów ani do licznych w tym śledztwie pozornych zbiegów okoliczności. Sprawiała pani, że po raz pierwszy w całej karierze kierował moimi krokami nie płomienny zapal do wyjaśnienia tajemnicy, ale pragnienie, by w pani oczach odbiła się w końcu jakaś emocja, którą mógłbym bezbłędnie zinterpretować. Jednak tego wieczoru z moich oczu opadła zasłona. I zobaczyłem panią taką, jaka pani jest.

Valerie de Bompard nic na to nie rzekła. Podeszła do mahoniowego stolika, drżącymi rękami naląła sobie kieliszek porto i odchylając gwałtownie swą wdzięczną szyję do tyłu, opróżniła go jednym haustem. Następnie przez kilka sekund trwała zagubiona w labiryncie własnych myśli, po czym nagle zdecydowanym ruchem odstawiła kieliszek na stół, niemal z wściekłością zdjęła rękawiczki i rzuciła je do stóp Claytonowi. Agent ujrzał wówczas jej ręce - pocięte bliznami, czerwonymi plamami oraz brzydkimi naroślami. Nie zaskoczyło go to, lecz poczuł w piersi dziwne ukłucie. Spojrzał hrabinie w oczy i zrobiło mu się słabo. Valerie de Bompard uśmiechała się dzielnie, usiłując jak zwykle wyglądać żartobliwie i wyzywająco, ale po jej policzkach płynęły łzy.

- Gratulacje, agencie Clayton. Jak pan widzi, rozwiązał pan sprawę. Tym razem trafnie. A ponadto, w przeciwieństwie do Hollistera, ja nie jestem żadnym oszustem. Powinien pan być podwójnie zadowolony.

Patrzył na nią ze smutkiem.

- Czym pani jest, Valerie? - zapytał prawie szeptem.

- Naprawdę chce pan wiedzieć? Może nie być pan przygotowany na szczerą odpowiedź.

- Faktycznie, przypuszczalnie nie jestem. - Westchnął. - Mimo to muszę wiedzieć.

- Proszę bardzo. Wobec tego teraz ja opowiem panu historię, i to piękną. Historię potępienia i wybawienia. Historię mojego życia. Może po jej wysłuchaniu sam odpowie pan sobie na swoje pytanie. - Zaczęła mówić spokojnie, jakby recytowała dobrze wyuczoną lekcję lub trudną do zapamiętania starą modlitwę. - Pewnego dnia francuski szlachcic przewodził grupie myśliwych polujących w lesie okalającym jego zamek, gdy nagle jego koń zatrzymał się niespodziewanie, by nie potraćić brudnej, obdartej dziewczynki, która krążyła zbłąkana wśród drzew, mamrocząc w nieznanym języku. Hrabia Bompard i jego ludzie doszli do wniosku, że zapewne porzuciła ją grupa wędrownych cyganów, która obozowała w okolicy zeszłego tygodnia, i postanowili zabrać znajdkę do zamku, ponieważ cierpiała na jakieś choroby skóry i wykazywała poważne oznaki niedożywienia. To ja byłam tą dziewczynką, agencie. Gdy wcześniej mówiłam panu, że Armand poznał mnie jako dzikuskę, nie była to żadna metafora. Zanim zdążyłam wydobrzeć, hrabia przywiązał się do mnie i postanowił, że mnie zatrzyma przy sobie, pod swoją opieką, jako uczennicę. Zachowałam niewiele wspomnień z tamtych pierwszych miesięcy w zamku i oczywiście, żadnych z lat poprzednich. Nie wiem, skąd wzięłam się w tamtym lesie, a jeśli naprawdę pochodzę z cygańskiej rodziny, nie pamiętam tego. Nie istnieje dla mnie nic przed Armandem i bez niego nie istniałoby też nic później, ponieważ nie przeżyłabym sama w lesie ani też nie stałabym się tym, kim jestem, gdyby on tak nie postanowił. - Milczała przez kilka sekund, jakby szukała słów odpowiednich do tego, by zacząć drugą część swojej historii, tę, na którą być może Clayton nie był przygotowany. - Armand dał mi wszystko, agencie. Wszystko. Oprócz jednej rzeczy: lekarstwa na me potępienie. Musiało mi wystarczyć, że dzielił ze mną mój straszliwy, mroczny sekret: był moim przyjacielem, moim towarzyszem, moje lęki stały się jego lękami. Inni podobni do mnie nie mieli tyle szczęścia... Ale pewnego dnia Armand musiał odejść. Nie powiedział mi dokąd ani po co, jednak zarzekł się pod przysięgą, że to jego powinność, i prosił mnie, bym nie zadawała pytań. A ja posłuchałam, jak zawsze. I zostałam sama. Sama w obliczu tego, czym jestem. Gdy przyszło pragnienie, wszystkie obietnice, jakie

dałam mężowi przed jego odejściem, na nic się zdały. Nie może pan zrozumieć, agencie, jak to jest być czymś takim jak ja, ta okropna tortura wypełnia każdy dzień mojego istnienia. Nie może pan także pojąć straszliwej samotności nękającej mnie w świecie, do którego nie należę, który uważa mnie za przeklętą... Myśli pan, że nie chcę umrzeć? Codziennie całą duszą pragnę śmierci... Lecz obiecałam Armandowi, że się nie zabiję, że oprę się temu pragnieniu, że postaram się znaleźć sposób na to, by jakoś znosić swe potępienie. Przysięgam panu, że się starałam. O, tak, próbowałam z całą determinacją, na jaką było mnie stać, ale się nie udało... Początkowo starałam się poprzestać na zabijaniu bydła i małych zwierząt, jak pan zresztą wywnioskował, ale zaraz zrozumiałam, że to nie zaspokoi mojego pragnienia na długo, że wkrótce będę musiała znaleźć pożywienie, którego naprawdę potrzebuję...

Clayton patrzył na nią w milczeniu, z twarzą bez wyrazu.

- Może wszystko byłoby prostsze, gdybym nosiła pas z wilczej skóry, nie wydaje się panu? Bo wystarczyłoby go spalić. Ale niestety to, co sprawia, że jestem, czym jestem, tkwi we mnie - próbowała żartować. - Mimo że to nie ja, mogę przysiąc. Nie, to nie ja. Zapewniam, że ciąży mi na sumieniu każda śmierć, do której się przyczyniłam.

- O ile ma pani sumienie - mruknął Clayton.

Uśmiechnęła się słabo.

- Lecz czego nigdy sobie nie wybaczę, to tego, że zawiodłam człowieka, który dał mi wszystko - ciągnęła, nie zwracając uwagi na sarkazm agenta. - Który mnie uważał za piękną, wiedząc, czym jestem; który sprawiał, że się nie czułam jak potwór, tylko jak cenna istota, najcenniejsza w całym wszechświecie... - Głos jej się załamał, a oczy napełniły łzami. - A pan tak mi go przypomina... Pierwszy raz, gdy pana ujrzałam, miałam wrażenie, że znowu patrzę w oczy męża... - Podeszła do Clayтона wolno i wyciągnęła rękę ku jego twarzy. Poczł, jak ogniste gorąco liże mu plecy, ale wydało mu się, że palce tej kobiety palą jeszcze mocniej niż jego własny płomień. Nie mając sił ani hartu ducha, by się oprzeć, pozwolił, żeby przesunęły się po jego policzku rozżarzoną pieśczętą, która skończyła się na wargach,



muskając je ledwie. - Ma pan oczy starca, agencie, oczy, które patrzą na świat z odległej, niedosiężnej baszty, starają się go zrozumieć, ale trzymają się odeń z daleka. A jednak... - Hrabina przysunęła twarz. Clayton wdychał słony aromat skóry przesiąkniętej łzami. - Pańskie usta są stworzone do miłości.

Agent chwycił ją mocno za nadgarstek, powstrzymując od dalszych pieszczot.

- Niech pani nawet nie próbuje - ostrzegł. - Nie zdoła mnie pani odwieść od tego, co zamierzam zrobić. Wydam panią, hrabino. To mój obowiązek. Zabiorę panią do Scotland Yardu w kajdankach, a nawet w łańcuchach, jeśli będzie trzeba... i mam nadzieję, że Bóg będzie miał panią w swojej opiece - wymruczał, udając chłód, który był bardzo daleki od tego, co czuł naprawdę. - Nie zaprzeczę, że pani smutny los przejmuje mnie pewną zgrozą. Nasi naukowcy pozbawią panią tych luksusowych ubrań, przywiążą panią nagą do krzesła i będą panią badali jak zwierzę. Nie spoczną, aż odkryją, jaki rodzaj potwora mieszka w pani wnętrzu, a następnie na resztę życia zamkną panią w klatce.

Uśmiechnęła się tylko, jak człowiek uśmiechający się na wspomnienie bajek, którymi go straszono w dzieciństwie. Clayton przyglądał się z bliska jej oczom i odkrył, że nie są zupełnie czarne: obie tęczówki otaczał cieniutki złocisty pierścień, co wyglądało jak zaćmienie słońca.

- To prawda, co pan mówił przedtem, agencie - usłyszał, czując jej usta w odległości pocałunku od swoich. - Manipulowałam panem, mąciłam panu w głowie każdym swym uśmiechem. Ale starając się pana olśnić... sama się zakochałam.

- Nie wierzę pani - rzucił przez zęby.

Zrobiła rozbawioną minę, jak gdyby żartował.

- Dlaczego mnie pan kocha, Clayton? Ponieważ mnie pan nie rozumie, ponieważ jestem enigmą dla pańskiego umysłu. Intryguję pana, dezorientuję, odbieram sen i apetyt. Chce mnie pan rozszyfrować, bo jest to najgłębsza forma posiadania, jaka istnieje. A ja po raz pierwszy w życiu odczuwam to samo - zwierzała się,

a oddech wciąż jej przyśpieszał. - Tak, odkąd pana ujrzałam, czułam potrzebę odkrycia, co się kryje za pańskim spojrzeniem... Zakochałam się w panu, Clayton, czy pan w to wierzy, czy nie. Zobowiązałam się jednak walczyć z tymi coraz intensywniejszymi uczuciami. Potwór tego rodzaju co ja nie może sobie pozwolić na luksus kochania. Lecz nie chcę się więcej opierać samej sobie, agencie. Już nie. Ja też zasługuję na to, by poznać miłość, przynajmniej raz. Proszę, agencie, tej nocy zapomnijmy o naszych rolach i zróbmy to, na co naprawdę mamy ochotę. Przysięgam, że jutro wrócimy do tego, kim jesteśmy: agentem Scotland Yardu i jego zatrzymaną... Ale wciąż jeszcze jest noc.

Gdy to mówiła, Clayton czuł na twarzy jej palącej oddech, wdychał słodki, leśny aromat jej włosów, zauważył dzikie pulsowanie krwi w szczupłym nadgarstku, który wciąż wiewił w dłoni. I może dlatego, że w tym momencie nie mógł się zdobyć na inną formę oporu, ścisnął jej rękę z całych sił, pragnąc zrobić krzywdę, poczuć, jak kruche kosteczki łamią się pod jego palcami. Kobieta jęknęła, ale nie przestała. Jej płonące usta prześliznęły się po jego policzku i zmierzały uparcie do jego ust.

- Chcę tylko poznać miłość, zanim przyjdzie świt i zakończy wszystko... - szepnęły, nim złączyły się z jego ustami.

Clayton uwolnił nadgarstek hrabiny - rozwierał palce powoli, prawie nieświadom tego, co robi, jak gałąź puszczająca owoc, który dźwigała przez kilka miesięcy, i przez dłuższą chwilę trwał z osieroconym, wyciągniętym bez celu ramieniem. Stał tak, aż go objęła. Wówczas, po małym wahaniu, chwycił ją w pasie z zachłannością, jakiej nigdy by u siebie nie podejrzewał. Wznieciła w nim pożądanie tyleż nowe, co potężne, ogień, który wypalał mu wnętrzności, przepełnił żyły i rozognił umysł, grożąc, że rozsądzi jego ciało od środka, sprawi, że wybuchnie ono jak baryłka z prochem strzelniczym. Pragnąc nade wszystko ugasić ten pożar, przycisnął się do niej desperacko, jakby chciał przeniknąć przez granice jej ciała i zatonać gwałtownie w tkance duszy. Zrozumiał, że chce ją osiąść, zdusić w swym ciele ogarniające go nagłe pragnienie. Hrabina oddaliła usta i Clayton poczuł, jak jej rozpalone wargi przebiegają po jego szyi, znacząc ją delikatnymi muśnięciami zębów. Niezdolny do

zebrania racjonalnych myśli, odsunął kobietę od siebie, gotów położyć ją na dywanie i uczynić swoją, wziąć ją dziko i wreszcie zaspokoić palącą go od środka dojmującą żądzą. Wówczas spotkały się ich oczy i agent zawahał się. Spojrzenie hrabiny nie było takie, jak się spodziewał. W jej oczach płonął ogień spokojny i chłodny, zaprzeczający zatraceniu ciała.

- Nie mogę pozwolić, żeby mnie pan wydał - usłyszał, a jej głos dobiegał jakby z dużej odległości. - Największe dzieło Armanda de Bompard nie może skończyć w brudnej klatce. Ale nie mogę też pana zniszczyć, najdroższy Corneliusie, bo kocham pana, jak jeszcze nigdy nie kochałam nikogo. Zatem pozostaje mi tylko jedno... Wybacz mi, błagam.

Clayton zareagował szybko, ale nie zdążył uniknąć ciosu. Zdołał jedynie uchylić się na tyle, żeby pogrzebacz, który hrabina wzięła z haczyka przy kominku, kiedy się całowali, nie trafił go prosto w głowę. Oszołomiony, próbował chwycić się jej, by nie upaść, ale udało mu się tylko musnąć przelotnie jej biodro, po czym wbił się kolanami w podłogę i osunął bardzo powoli, z niedorzeczną zmysłowością, na ten sam dywan, na którym kilka sekund wcześniej chciał ją osiąść.

### III

Na szczęście brutalny cios nie okazał się na tyle silny, żeby wywołać w jego umyśle mgłę nieświadomości, toteż z podłogi Clayton słyszał pośpieszne kroki hrabiny wychodzącej z jadalni, a następnie stukot obcasów oddalających się w holu, niczym melodię przetykaną momentami ciszy narzuconej przez dywany. Z obolałą głową, jeszcze zbyt otumaniony, by nakazać swojemu ciału powstanie na nogi, usłyszał, jak dama wychodzi z zamku, a wyobraźnia pokazała mu ją zbiegającą z frontowych schodów, ze spódnicą w dłoni, uciekającą od niego, zagłębiającą się w las, który rozbijał się o bramę jej domostwa niczym złowrogi ocean. Jeżeli nie wyjdzie za nią natychmiast, już jej nie dogoni. Z najwyższym wysiłkiem obrócił swe obolałe ciało, wsparł dłonie na podłodze i zaczął się podnosić. Gwałtowne mdłości kazały mu przez kilka sekund pozostać na kolanach, z głową ukrytą w ramionach, jakby adorował jakiegoś pradawnego bożka. W końcu udało mu się odzyskać pionową postawę i opierając się na mijanych meblach, opuścił jadalnię.

Drzwi zamku niczym ziewające usta ziały upiornym oddechem nocy. Clayton wyszedł przez nie, maszerując z rosnącą determinacją, w miarę jak nocny wietrzyk rozjaśniał mu w głowie. Na schodach zaskoczył go widok butów i klejnotów hrabiny, rozrzuconych w nieładzie po stopniach. Najwyraźniej pozbywała się ich w trakcie ucieczki. Jeśli była to część jakiejś erotycznej gry, Clayton jej nie rozumiał; raczej wydawała mu się niepokojąca. Noc była ciemna i zimna i musiał zakutać się dobrze w surdut, jako że nie miał czasu wrócić do zamku po płaszcz. Wziął jedną z latarni oświetlających początek schodów i zapuścił się w las, podążając za odcisniętymi na ziemi śladami bosych stóp hrabiny.

Przez nieokreślony czas szedł jej tropem. Trząsał się z zimna, lecz w głowie mu wrzało, szczególnie w miejscu, którego dosięgnął zdradziecki cios hrabiny, a które teraz go narywało. Od czasu do czasu oczy zasnuwała mu mgła i musiał się opierać o najbliższe drzewo, próbując odzyskać wyraźne widzenie. Potem wznawiał swój pościg, z zaciętością zaciskał szczęki, a zarazem do granic możliwości wyostrzał zmysły, czujnie nasłuchując każdego leśnego poszeptu. Wietrzyk niczym smyczek potrącał gałęzie drzew, wydobywając z nich przeciągłe szelesty, a ciemność falowała dookoła niego, jakby go chciała oblec w całun. Wtem dostrzegł na ziemi coś na podobieństwo ciemnej kałuży, w której odbijały się gwiazdy z nieba. Gdy ją oświetlił latarnią, stwierdził, że to naszywana brylancikami suknia hrabiny, porzucona pośród opadłych liści. Przyklęknął i z czcią wziął ją w ręce. Delikatne ubranie tchnęło jeszcze ciepłem i zapachem kobiety. Zauważył, że w kilku miejscach jest potargane, jakby zdarła je z siebie bez żadnej ostrożności. Wstał i skrzepowany powiódł wzrokiem po otoczeniu, a tymczasem zimny mech strachu zaczął mu wypełniać stawy między kośćmi.

Podążył dalej ścieżką, starając się zachować spokój. Wkrótce spostrzegł, że ślady hrabiny zaczynają przyjmować dziwny kształt i jeden od drugiego dzieli coraz większa odległość. Początkowo sądził, że zgubił trop, ale po kilku metrach znalazł go niemal przez przypadek, po czym znów stracił nieco dalej. Szedł jednak wciąż przed siebie, kierując się bardziej instynktem niż czym innym. Od czasu do czasu napotykał jakiś samotny ślad na ścieżce, ślad, który nie wyglądał już na ludzki, albo znajdował drzewo z połamanymi gałęziami. Wszystko to pobudzało do snucia domysłów, ale Clayton wolał je odrzucać od siebie, żeby zachować zdrowy rozsądek, przynajmniej dopóki był w stanie. W pewnym momencie rozpoznał ścieżkę, którą podążała hrabina, i serce w nim zamarło. Sam biegł wtedy dwie noce temu w towarzystwie kilku ludzi z miasteczka... Droga wiodła do wąwozu, w którego przepaść rzucił się Tom Hollister.

Znów widział się, jak prowadzi tę bandę prostaków przez nieprzeniknioną czerń lasu, ogarnięty podnieceniem wywołanym łowami i fantastyczną możliwością, że ściga prawdziwego wilkołaka. Ale okoliczności się zmieniły. Teraz przemierzał ten przeklęty las

w pojedynkę, czując się okropnie bezsilny wśród tych mrocznych drzew, które zdawały się szeptać przeciw niemu. Owładnęła nim straszna melancholia na myśl o tym, że w ciągu jednej kolacji świat, który znał, zniknął na zawsze. Niezwykła skala tej straty niemal zapierała mu dech w piersi. Mimo wszystko nadal zdązał tą ścieżką krokami lunatyka, mając świadomość, że nigdy nie doprowadzi go ona tam, gdzie chciałby dojść: do przeszłości, do pokrzepiającej, racjonalnej przeszłości, a dokładnie do dnia, w którym legendarny kapitan Sinclair zaproponował mu wstąpienie do swego Wydziału Specjalnego. Agent pragnął tego, aby móc tę ofertę odrzucić, powiedzieć z kategorycznym gestem, że nie interesuje go ona w najmniejszym stopniu, że woli pozostać w mdłym, ale dającym otuchę świecie, którego mechanizm dobrze zna, gdzie ponadnaturalne istoty nigdy nie wąż się uciekać ze stronic bestiariuszy, ponieważ istnieje także ryzyko zakochania się w którejś z nich. Jednak było już na to za późno, przypomniał sobie zniechęcony. Teraz mógł tylko podążać tropem Valerie de Bompard, żeby do końca odegrać rolę, która mu przypadła w tym szalonym przedstawieniu.

Bezwiednie wolną ręką zaczął gładzić klucz, który nosił powieszony na szyi; nerwowo przebiegał palcami po zdobiących go dwóch anielskich skrzydłach. Ten klucz otwierał Kryptę Osobliwości i odkąd powierzono mu go zaledwie miesiąc temu, stał się dla niego czymś w rodzaju talizmanu, symbolem tego nadnaturalnego świata, który kulił się w jakimś załamku rzeczywistości i ku któremu najwyraźniej agent zmierzał tej nocy. Był jednak pewien, że czeka go tam taki rodzaj wiedzy, na jaki nie jest przygotowany. Wiedzy, która może rozstroić człowieka na zawsze.

Clayton, starając się przywrócić swym myślom krzepiący logiczny bieg, zastanawiał się, co zamierza Valerie de Bompard, skoro go wiedzie w to miejsce. Bo jedno było jasne: hrabina prowadziła go dokładnie tam, gdzie chciała, jak to robiła zawsze, jak zawsze robiła to z całym światem. On zaś nie miał innego wyboru, jak stawić się na jej wezwanie. Nigdy go nie miał.

Nagle noc przeszło długie, smutne wycie. Dochodziło z wąwozu. Agent, z twarzą wykrzywioną przerażeniem, wyjął z kieszeni



rewolwer i pobiegł w tamtą stronę, unosząc przed sobą latarnię, aby rozsuwała po drodze zasłonę ciemności. Zdyszany dotarł na małą polanę rozciągającą się przed przepaścią. Tu zauważył wiele dziwnych śladów. Zdawały się zmierzać do skraju obrywu, a potem znikwały. Clayton postawił latarnię na ziemi, przełknął ślinę i ostrożnie zbliżył się do krawędzi wąwozu. Próbował zebrać się na odwagę i spojrzeć w dół, nie mogąc wyprzeć ze swego umysłu wizji roztrzaskanego na dnie pięknego ciała Valerie de Bompard, chociaż nie wiedział, czy byłaby to najstraszniejsza rzecz, jaką mógłby znaleźć. Ale na dnie wąwozu panowała nieprzenikniona ciemność i nie zdołał niczego tam dostrzec. Mimo to został na krawędzi jeszcze przez kilka sekund, uparcie badając wzrokiem czern, z ubraniami smaganymi przez lodowaty wiatr, który podniósł się z głębi niczym niemy krzyk wściekłości i rozpacz. Po chwili skonsternowany odsunął się kilka metrów od brzegu przepaści. I wtedy usłyszał za plecami miękki pomruk, tak nieuchwytny, że przez moment sądził, iż mu się zdawało. Po jego ciele rozproszył się dreszczem strach, jak mrówki pierzchają w popłochu z uszkodzonego mrowiska. Agent zaczął się bardzo wolno odwracać, na wpół unosząc rewolwer, jak gdyby nie chciał jeszcze przyznać, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Z małego występu skalnego obserwowała go wilczyca, potężna niczym pradawny sfinks. Jej sierść o miękkim, złocistym odcieniu, lśniła w świetle księżyca, jakby była wyrzeźbiona z brązu.

- Valerie...? - szepnął niemal bezwiednie.

Wilczyca lekko skinęła głową i znów wydała tamten miękki pomruk, jakby się z niego śmiała. Wtem Clayton uświadomił sobie ciężar trzymanego w ręku rewolweru. Prawie ze zdumieniem odkrył, że jest uzbrojony, że ten zimny, metalowy przedmiot, który niesie z sobą, to broń palna, urządzenie wynalezione przez człowieka, żeby wydzierać życie wrogom i zachować własne. Mimo to wzbraniał się przed wymierzeniem w wilczycę. Wolał zaczekać i przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę człowiek i zwierzę patrzyli na siebie w milczeniu, tak jak w zamkowej jadalni spoglądali na siebie agent i hrabina, oddzieleni ogromnym dębowym stołem. Zaraz potem wilczyca rozwarła pysk, skoczyła na człowieka i powaliła go swym

ciężarem na ziemię. Cios okazał się tak brutalny, że pozbawił go oddechu. Clayton upuścił rewolwer - broń wymknęła mu się pomiędzy palców, jak gdyby żyła własnym życiem. Zanim zdołał cokolwiek zrobić, wilcza paszcza uwięziła jego gardło, unieruchamiając je na ziemi. Poczul ostre szpice kłów zagłębiających się lekko w jego skórze niczym śmiertelny potrzask, który zaraz miał się zamknąć na jego szyi. Nie poruszył się. Drżąc pod ciężarem wilczycy, ze wstrzymanym oddechem czekał na jej decyzję. Ona trwała przez kilka sekund w tej pozycji, z człowiekiem zdanym na jej łaskę, aby zrozumiał, że jego los zależy od zwykłego drgnienia jej szczęk. I nagle raptownym, płynnym ruchem odskoczyła od niego.

Clayton wypuścił powietrze, zdziwiony, że wciąż żyje. Jak to możliwe? Nie wiedząc, czy mokra strużka, którą czuje na szyi, to krew, czy po prostu pot, i nie przejmując się zbyt tym, czy jedno, czy drugie, podniósł się nieco. Zwierzę czaiło się zaledwie kilka metrów od niego, napięte, gotowe, by w każdej chwili znów doń doskoczyć. Agent przyglądał mu się w milczeniu, zawstydzony, że nie umie powstrzymać drżenia. Ta wilczyca, powarkująca jak wilczyca, pachnąca jak wilczyca i poruszająca się jak wilczyca, czy to naprawdę jest kobieta, w której się zakochał? Jakaś jego część wzdrygała się przed przyjęciem do wiadomości tak nedorzecznego pomysłu, może dlatego, że zgoda na ten absurd byłaby równoznaczna z rzuceniem się w jeszcze głębszą przepaść - w otchłań szaleństwa. Jednakże inna część jego umysłu, ta wyćwiczona w łączeniu kawałków układanki, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Kątem oka dostrzegł swą broń, bardzo blisko miejsca, gdzie leżał, i mimowolnie zaczął obliczać szanse. Jeśli się przetoczy wystarczająco szybko, może dosięgnie rewolweru, zanim wilczyca go dopadnie. Czy ona się tego spodziewa? Nie miał czasu, by sobie odpowiedzieć, ponieważ nagle wilczyca ryknęła i skoczyła na niego jak miedziana strzała. Zareagował bez zastanowienia: wyciągnął lewe ramię po broń, a prawe instynktownie uniósł, żeby odeprzeć atak zwierzęcia. Palce lewej dłoni objęły rękojeść rewolweru w tym samym momencie, w którym wilczyca gwałtownie zatopiła zęby w jego prawym przedramieniu. Ogarnięty palącym, intensywnym bólem, agent wycelował w ogromny wilczy łeb, lecz nie wystrzelił. Trwał

nieruchomo z palcem wskazującym na wklęsłej powierzchni cyngla. Człowiek i bestia patrzyli sobie w oczy, zastygli w bezruchu niczym tama z kamieni i drewna niejako blokująca przepływ czasu. Z tej odległości Clayton dostrzegł cieniutki złocisty pierścień okalający tęczę oczu wilczycy na podobieństwo zaćmienia słońca. Wydało mu się, że widzi w nich błaganie. Ale teraz nie będzie posłuszny jej życzeniom. Nie tym razem.

Trzymał lufę przytkniętą do skroni zwierzęcia, a jednocześnie obserwował, jak z jego uwięzzonego w uścisku szczęk przedramienia wytryskują strumyki krwi i rozlewają się po rękawie surduta, tworząc ciemną plamę. Doskwierał mu przeszywający ból ręki, lecz był to ból do zniesienia. Ona też najwyraźniej to zrozumiała, bo jeszcze mocniej wbiła kły w jego ciało, aż agent poczuł, jak brutalnie rozcina mu mięśnie przedramienia. Zacisnął szczęki, by nie krzyknąć, ale przez palisadę jego zębów przedarło się niehumaniczne wycie. Nastąpiło krótkie wahanie, jednakże wilcza paszcza nadal szarpała jego ciało, i to ze zdwojoną furją. Clayton wykrzywił twarz w grymasie udęczenia. Odczuwał coraz silniejsze cierpienie. Mimo to nie pociągnął za spust; gdyby to zrobił, ona by wygrała. Rozległ się trzask łamanych kości. Targnął nim straszliwy ból, przepelnił go, pociągając na skraj utraty przytomności. Jednak agent nie strzelił. Zrobił to jego instynkt przetrwania. Zaskoczony Clayton usłyszał wystrzał - suchy, nagły - i ciało, które go przygniatało, osunęło się na bok miękkim ruchem, niczym kochanka po miłosnym zapale.

- Nie... - mruknął.

Patrzył na rozciągnięte u jego boku ciało zwierzęcia, a dojmujący ból jak rozżarzona lawa rozpływał się z jego prawej ręki po całym ciele, rozgałęziając się w gorejącą, postrzępioną pajęczynę. Mimo mgły zasnuwającej mu umysł uświadomił sobie, że ma do czynienia z bólem zbyt trudnym do zniesienia, by pochodził od zwykłej rany. Zebrawszy resztki sił, zdołał podnieść głowę na tyle, by spojrzeć na swe ramię. Widok przeraził go: na końcu prawego ramienia nie było już żadnej ręki. W jej miejscu znajdował się broczący krwią kikut, z którego zwieszała się płatanina ścięgien. Ręka leżała kilka metrów dalej, porzucona jak ochłap, odpadek niemający już żadnego związku z jego ciałem. Powstrzymując mdłości, Clayton pozwolił, by jego

wzrok przenosił się od tej osamotnionej ręki do skrwawionego kikuta zajmującego jej miejsce, próbując przyswoić fakt, że w owej emancypacji jest coś błędnego i wbrew naturze, że ten kawałek mięsa należy do niego, że ta odłączona ręka to część jego ciała.

Kiedy zdołał się wreszcie oderwać od hipnotyzującego widoku, odwrócił się w stronę ciała wilczycy, wciąż leżącego w kręgu światła latarni, i przyjrzał się mu dokładnie, tymczasem ściskając kikut drugą ręką. Zauważył, że jej łapy mają pokaleczoną, pokrytą bliznami skórę, ale gdy zajrzał w oczy zwierzęcia, ta ostatnia wskazówka okazała się niepotrzebna - z jego prawej skroni ściekała strużka krwi, a w spojrzeniu brakowało drwiącego blasku, którego agent nie umiał odszyfrować. Teraz oczy te miały wyraz absolutnej, prawdziwej śmierci.

- Dopięłaś swego, prawda, hrabino? Osiągnęłaś to, czego chciałaś...  
- powiedział głosem pełnym żalu, nie wiedząc, czy próbuje zganić, czy pochwalić jej zachowanie.

Pomyślał z goryczą, że hrabina de Bompard zawsze umiała spełnić swe pragnienia. Wybrała taką formę pożegnania się z życiem, która nie naruszała danej mężowi obietnicy, i nie miało dla niej znaczenia, że Clayton będzie musiał odtąd żyć z przekleństwem tego, co uczynił.

Mimo odczuwanej wściekłości agent musiał przyznać, że miała rację, kiedy tuż przed tym, jak uderzyła go w głowę, powiedziała, że pozostaje jej tylko jedno. A może myślał, że fakt, iż kochają się z wzajemnością, wystarczy? Na jaką przyszłość dla nich dwojga miał nadzieję? Nie był przygotowany na to, by się uśmiechać, jakby się nic nie stało, w noc, kiedy wracałaby w podartym ubraniu, z sytym spojrzeniem kogoś, kto zaspokoił swój najintymniejszy apetyt, ani nazajutrz przy śniadaniu nie umiałby się powstrzymać od drżenia, czytając w gazecie notatkę o brutalnym morderstwie, nie potrafiłby udawać, że nic nie łączy biednej ofiary z kobietą, którą on kocha. Nie, nie był na to gotowy. I może Armand de Bompard też nie był. Niewykluczone, że właśnie dlatego ją opuścił, bo odkrył, że mimo całej jego wiedzy istnieje tylko jeden sposób na to, żeby położyć kres jej okropnemu złu. Lecz Armand za bardzo ją kochał, by zrobić to, co uczynił Clayton.

Wydał z siebie straszliwe wściekłe wycie, wbijając swój ból w serce nocy. Krzyczał i krzyczał, aż opadł z sił. To nieco go w końcu uspokoiło. Niemal z niechęcią rozważył możliwość zabicia również siebie. Ile to w końcu trzeba? Musiałby tylko unieść broń, przyłożyć sobie lufę do skroni i pociągnąć za spust. Jeszcze raz. Potem jego ciało osunęłoby się obok zwłok Valerie i tak spoczywaliby oboje, człowiek i zwierzę, przyobleczeni w ciemność, niczym zagadka, której nikt nie potrafi rozwiązać. Lecz zamiast tego zaczął drzeć na sobie surdut, by zaimprovizować opaskę uciskową i zatamować buchającą z kikuta krew - działanie tak odruchowe, jak wszystko, co robił tej nocy. Nie wiedział, dlaczego nie pozwala sobie umrzeć, skoro nie chce żyć życiem, które mu pozostało, skoro widzi w nim tylko torturę, łańcuszek dni i lat spędzanych na marzeniach o Valerie de Bompard. Nie, nie wiedział. Mimo to mocno obwiązał sobie kikut strzępem materiału, który udało mu się oderwać od surduta.

Podczas tej czynności przypomniał sobie, jak w pewnym momencie tej długiej nocy powiedział hrabinie, że oddałby jakąś część swego ciała, żeby zrozumieć, kim ona jest. Uśmiechnął się gorzko. Teraz to wiedział. Teraz wiedział, czym była Valerie de Bompard. A nade wszystko - rzekł sobie, przyglądając się swej okaleczonej prawej ręce - wiedział, którą częścią własnego ciała zapłacił za tę wiedzę mogącą rozstroić człowieka na zawsze.

## IV

Na końcu prawego ramienia miał teraz rękę z metalu i drewna. Było to wymyślne urządzenie wyposażone w nity, kółeczka i cieniutkie brązowe druty, które rozgałęziały się na nadgarstku, biegnąc do palców i pozwalając na ruchy w poszczególnych stawach. Proteza miała też zainstalowany innowacyjny mechanizm, który reagował na każdy skurcz mięśnia ramienia, przekładając jego zamiary na ruch mechanicznej ręki. Wynalazek ten był prezentem od królowej, która zamówiła go u swego osobistego chirurga, u sławnego zbrojmistrza oraz u jednego z najlepszych praskich twórców automatów - wszyscy oni połączyli swoje talenty wraz z naukowcami pracującymi w służbie Wydziału Specjalnego, aby najbardziej obiecujący podopieczny kapitana Sinclaira nie wyszedł na bezużytecznego kalekę. Zakłopotany Clayton podziękował za ten gest najlepiej, jak umiał: całymi dniami ćwiczył, by móc ująć królewską dłoń w swą protezę i złożyć na niej podyktowany etykietą pocałunek. Jednakże powitanie to nie okazało się szczególnie delikatne, jako że metalowy dodatek do ciała nie odpowiadał na polecenia z równą wiernością jak prawdziwa ręka.

Od tamtej pory niewiele się poprawiło na tym polu, co zauważał z goryczą za każdym razem, gdy wykonywał jakąkolwiek nic nieznaczącą codzienną czynność: właśnie odkrył, że protezie brakuje zręczności, kiedy przychodzi do zaplombowania okna. „Cierpliwości - rzekł sobie z westchnieniem. - Z czasem nauczę się posługiwać nią naturalnie”. Jeżeli nie zaniedba ćwiczeń, niedługo będzie w stanie utrzymać kufel piwa i nie rozbić go lub ująć dłoń królowej i nie połamać jej przy tym palców. Bądź co bądź, dopiero mija siedem miesięcy, odkąd ma sztuczną rękę. Siedem miesięcy od czasu, kiedy

hrabina de Bompard pozbawiła go prawdziwej, upokarzając go pod więcej niż jednym względem.

- Dobrze się pan czuje, agencie? - zapytał Sinclair, patrząc, jak jego podwładny z roztargnieniem spogląda na okno, które właśnie zaplombował z takim trudem.

- A... tak, kapitanie, dobrze się czuję... Gotowe.

Sinclair z zadowoleniem skinął głową, podszedł do okna i jako przedstawiciel komisji śledczej postawił na plombie zamaszty podpis. Potem dał sygnał głową i obaj skierowali się na środek obszernego salonu, gdzie znajdowali się pozostali członkowie komitetu, tego wieczoru biorący udział w seansie spirytystycznym Lady Amber.

- Dobrze. Wszystko przygotowane, żebyśmy mogli sprawdzić fakty w warunkach możliwie jak najbliższych do prawdziwych i autentycznych - ogłosił Sinclair, posyłając urozmaiconej grupie zebranych poważne spojrzenie. - Jak państwo wiedzą, sir Henry Blendell, architekt w służbie Jej Królewskiej Mości, projektant najwspanialszych w historii sekretnych przejść i mebli ze skrytkami, człowiek, którego prawość pozostaje poza wszelką wątpliwością, skrupulatnie sprawdził rezydencję Lady Amber, szczególną uwagę poświęcając tej sali, gdzie się odbędzie seans, i potwierdził certyfikowanym dokumentem, że miejsce to jest wolne od jakichkolwiek mechanicznych sztuczek. W tym pokoju, podobnie jak w całym domu, nie ma zapadni ani ukrytych sprężyn, a żaden z mebli nie zawiera podwójnego dna czy obrotowej ścianki lub półki. Co do stołu, przy którym odbędzie się seans, nie ma on pod blatem ruchomych haczyków ani innych podnoszonych czy uchylnych elementów. Agent Clayton i ja zapieczętowaliśmy kominek i zaplombowaliśmy oba okna w sali. Przywiązaliśmy również dzwoneczki na brzegach zasłon, na podłodze zaś rozsypaliśmy trociny, na wypadek gdyby otwarły się jakieś tajne drzwiczki, które umknęłyby uwadze sir Blendella, a my byśmy tego nie zauważyli. Obecni tutaj doktor Ramsey i profesor Crookes rozstawili po całym salonie wszelkie swoje aparaty: termometry rejestrujące odczyt, mierniki ciemności i urządzenia reagujące na podczerwień, do czego



dodaliśmy fonograf, na którym nagramy dźwięki z seansu i którego cylinder zostanie złożony w naszym archiwum, tak by w razie potrzeby można było później odsłuchać nagranie. W świetle tego wszystkiego sędzę, że nie przesadzę, jeśli was zapewnię, że nigdy do tej pory żadne pomieszczenie, w którym miał się odbyć seans spirytystyczny, nie zostało tak drobiazgowo sprawdzone jak ten pokój. Obawiam się, że jeżeli tej nocy jakiś duch zapagnie się tu zmaterializować, będzie musiał być autentyczny.

Zebrani przytaknęli kapitanowi, kiwając głowami i pochrzając z aprobatą, a jednemu z nich pod wpływem emocji wyrwał się nawet nerwowy chichot.

- Cóż, czekamy już tylko, by damy skończyły sprawdzać Lady Amber, i rozpoczynamy seans - zakończył Sinclair, kierując wzrok ku ustawionemu w kącie sali parawanowi.

Pięć- czy sześciometrowej długości rozkładany japoński ekran prezentował się znakomicie. Zrobiony był z drewna mahoniowego i bambusa, a składał się z czterech części wypełnionych haftowanym jedwabiem, na którym przedstawiono cztery pory roku. Jednak zebrani panowie nie patrzyli na parawan zauroczeni delikatnością wyczarowanych igłą obrazów, tylko zmysłowym szelestem jedwabiu, jakim zdawał się tchnąć ekran, ponieważ po jego drugiej stronie miała miejsce jedna z tych scen, na które mężczyzna nie przywykł patrzeć bez zapłaty: jedyne dwie damy z komisji rozbierały do naga Lady Amber. Poprzez siateczkę ograniczającą ekran od dołu było widać dwie małe, blade stopy medium, niczym białe myszki igrające wśród ciężkich butów pozostałych kobiet.

Clayton także spoglądał na parawan, prawie go nie widząc, chociaż z zupełnie innych względów. Wyobrażał sobie, jak jego głos demaskujący Lady Amber zostanie na zawsze wyryty na cylindrze fonografu. Nie przestawało go fascynować, że jego słowa będą utrwalone na tak długo, że pozostaną uwięzione na tej pokrytej woskiem kartonowej rolce, podczas gdy on będzie się starzał i z wiekiem stanie się kimś, kto nie będzie miał nic wspólnego z chłopakiem, który je wypowiedział. Teraz, gdy wiedział, że cylinder nada jego słowom skromną nieśmiertelność, przyszło mu do głowy, iż

powinien w porę odchrząknąć i sformułować swoje oskarżenie głosem donośnym i czystym, jak na teatralnej scenie. Bo, rzecz jasna, uda mu się zdemaskować Lady Amber. Co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości.

Agentowi wydawało się cokolwiek nieuczciwe przybycie tutaj z takim zamiarem, podczas gdy ktoś z kancelarii jakiegoś ministerstwa zarekomendował kapitana Sinclaira i jego najlepszego agenta z Wydziału Specjalnego, by weszli w skład komisji w dokładnie przeciwnym celu. Od czasu gdy w 1848 roku w ubogiej północnoamerykańskiej miejscinie Hydesville siostry Fox nawiązały kontakt z duchem za pomocą ustalonego kodu stukania, świat ogarnęła istna epidemia spirytystyczna. Do tego stopnia, że w połowie wieku rzadko kiedy wieczorem po kolacji jej uczestnicy rozchodzili się od stołu - podekscytowani zostawali, żeby się komunikować ze zmarłymi.

Z tego powodu, jak Clayton przeczytał w „Yorkshiremanie”, do dobrego tonu należało zapraszanie na „herbatę i ruchomy stolik”. Rozmawianie ze zmarłymi stało się nową rozrywką i zrobiło furorę w Stanach Zjednoczonych, a w latach sześćdziesiątych moda przybyła do angielskich wybrzeży za sprawą Daniela Douglasa Home’a, który postanowił przenieść się do Anglii w celu wyleczenia dolegliwości płucnych. Home uchodził za największe medium, jakie do tej pory widział świat. Mówiono, że obok innych cudownych zdarzeń, jakie zachodziły w jego dzieciństwie, był ten, że kolebkę Daniela często kołysał duch opiekuńczy czuwający nad nim podczas snu, oraz że duch matki nawiedził go, aby mu donieść o jej zgonie. Ciotka, która wzięła następnie chłopca pod opiekę, rychło wygnała go z domu, uznawszy, że jest opętany przez diabła. Od tamtej pory Daniel wędrował od miasta do miasta, a jednocześnie rozwijał się jego mediumizm. Kiedy Home przybył do Anglii, był już smukłym, bladym młodzieńcem o eleganckich manierach i nadzwyczajnych zdolnościach: wydobywał dźwięk z dzwonów, nie dotykając ich, siłą umysłu podnosił ogromne meble, które - gdy wiosną trzeba było przetrzepać dywany - dźwigało wspólnym wysiłkiem sześciu ludzi, a nawet lewitował podczas swoich sesji, robiąc ołówkiem znaczek na suficie salonu, żeby przekonać obecnych, że nie padli ofiarą żadnej

halucynacji. „A teraz rozkażę duchowi, żeby mi przyniósł bukiet fiołków z pianina” - rzekł, odrzucając głowę na oparcie fotela, i natychmiast bukiet ruszył w jego stronę, unosząc się nad zdumionymi zebranymi, po czym wylądował łagodnie na jego kolanach. Nic dziwnego, że po tym, jak dokonania Home'a oszołomiły świat, liczba praktykujących mediów rosła z roku na rok. Tylko w Londynie działała ich ponad setka - przewoźników bez łodzi, gotowych przeprowiać żywych na drugi brzeg, gdzie będą mogli pomówić ze swoimi zmarłymi za znacznie skromniejsze wynagrodzenie niż to, którego żądał Charon. A jako że z koniunktury korzystało wielu szarlatanów, usiłujących zbić fortunę kosztem naiwności obywateli, nieuniknioną koleją rzeczy pojawiły się komitety. Ktoś powinien oddzielić ziarno od plew. Problem polegał na tym, że chociaż komitety składały się z osób godnych szacunku i znanych z nieposzlakowanej moralności, determinacja, z jaką ścigano hochsztaplerów - jak dowodzili obrońcy sprawy - wywoływała mur złych wibracji, którego duchy nie były w stanie przeniknąć, dlatego niektóre media z konieczności uciekały się do oszukańczych sztuczek.

Zdaniem Claytona argument ten był wyjątkowo dziecinną wymówką, choć trzeba było przyznać, że rację mieli ci, którzy krytykowali postawę przyjmowaną przez członków komitetów. Gdy się natknęli na coś niemożliwego, nie przyjmowali tego do wiadomości, choćby stali w obliczu nie wiadomo jak wielu niepodważalnych dowodów. Clayton czytał niektóre z ich kuriozalnych raportów, oscylujących między dyskredytacją niemal obraźliwą dla medium a wzruszeniem ramion, gdy nie udało się wykazać fałszerstwa. Czasami nawet próbowano wyjaśnić jakieś zjawisko parapsychologiczne przyczynami, w które jeszcze trudniej było uwierzyć niż w interwencję duchów. Wszystko, byle nie przyznać racji medium.

I czy nie było absurdem tworzyć grupę badającą zjawiska spirytystyczne, złożoną z ludzi pełnych uprzedzeń co do materii, którą powinni rzetelnie przeanalizować? Właśnie z tego powodu on i Sinclair zostali zaproszeni, by dołączyli do tego komitetu i swą gotowością do rozważenia ponadnaturalnej obecności jako jednego

z możliwych wyjaśnień zrównoważyli nieugięty sceptycyzm większości członów grupy, oczywiście pod warunkiem, że nie znajdą żadnego innego wytłumaczenia. Bądź co bądź, agenci z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, którzy dosiadałi jednoróżców i spoczywali z wrózkami, będą się znacznie mniej krygować, kiedy przyjdzie się pogodzić z odkryciem, że duchy rządzą sobie wycieczki do naszego świata. I taką właśnie gotowość Clayton zamierzał okazać... Do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył afisz, na którym piękna, eteryczna Lady Amber z fałszywie marzycielskim, niewinnym uśmiechem zachęcała klientów, żeby odwiedzili jej gabinet. Wówczas zrozumiał, że dane mu będzie zdemaskować ją, położyć kres błogiemu wieloletniemu oszustwu, podczas którego paradowała po najlepszych salonach Londynu, wzbudzając podziw obecnych, i żyła jak bogini pośród biednych, głupich śmiertelników, z uśmiechem na ustach opróżniając ich kieszenie. Tak, to jemu przypadnie w udziale demistyfikacja, bo tylko on potrafi dostrzec przebijające z jej pięknych oczu przebiegłość i egoizm. Bo tylko on potrafi dostrzec prawdę kryjącą się za czarującym obliczem kobiety, która przywykła zawsze osiągać to, czego chce.

Korzystając z tego, że wszyscy skupili uwagę na parawanie, agent po raz kolejny przyjrzał się członkom komitetu. Uprzednio dokładnie zapoznał się z ich dossier, ponieważ fałszywe media zazwyczaj miały współników wśród uczestników seansu. Jednakże żadna z obecnych tu osób nie wydawała się podejrzana, jako że większość z nich opublikowała już jakiś artykuł albo uczestniczyła w debacie, wypowiadając się przeciw spirytyzmowi. Urozmaicony skład komitetu tworzyli: tyczkowaty lekarz o końskiej twarzy - doktor Ramsey, profesor wydziału medycyny, uznany chirurg, wybitny chemik i znakomity biolog, a także najwyraźniej wielki entuzjasta strzelania palcami, co robił systematycznie co jakiś czas; krzepki, pełen energii pułkownik Garrick, szef służb sanitarnych przy ministerstwie obrony; powściągliwy inżynier Holland; chorowity profesor Burke, wykładający na wydziale prawa; oddany iluzjonizmowi ekstrawagancki arystokrata nazywany hrabią Dugganem, którego obecność w tej grupie tłumaczyło to, że podstawowe zjawiska parapsychologiczne wykorzystywane w mediumizmie można wywołać za pomocą tricków

iluzjonistycznych; oraz William Crookes, naukowiec o podkreślonych wążach i arystokratycznej bródce, odznaczony Złotym Medalem Towarzystwa Królewskiego w uznaniu za jego liczne cenne odkrycia.

Oprócz dwóch agentów i ostatniego członka grupy, którego zaraz poznamy, Crookes jako jedyny wykazywał wobec spirytyzmu otwartą postawę, chociaż nie zawsze tak było. Wybitny naukowiec rozpoczął badania nad zjawiskami parapsychologicznymi z moralnej potrzeby ujawnienia wiążących się z nimi oszustw, co wśród jego kolegów z naukowej społeczności spotkało się z wielkim uznaniem, ponieważ nie mogli się już doczekać, by ktoś jego formatu nareszcie dał nauczkę tej coraz liczniejszej sekcji. Jednak po przebadaniu Home'a Crookes nie wydał spodziewanego osądu. W artykule opublikowanym przez „Quarterly Journal of Science” przyznał, że istnieje jakaś nowa siła, którą pompatycznie nazwał „siłą parapsychologiczną”. Wnioski te wywołały w społeczności naukowej głęboki wstrząs, skazując Crookesa na lodowaty ostracyzm zawodowy. U jego boku pozostali jedynie najwierniejsi przyjaciele, tacy jak obecny tu Ramsey, chociaż zachowywali pełne rezerwy milczenia wobec jego entuzjastycznych twierdzeń. Mimo to cóż innego powiedzieć mógł Crookes, jeżeli widział Home'a wznoszącego się do sufitu z leżaka, na którym odpoczywał, lub rzeźbiącego w powietrzu dziewczęcą rączkę, która następnie oskubała z płatków kwiatek w jego butonierce.

Jednak największy skandal dopiero miał nadejść. Po tym, jak jego studia nad sławnym Home'em ujrzały światło dzienne, Crookesa odwiedziła nie mniej sławna Florence Cook, piętnastoletnia dziewczyna skromnego pochodzenia, która osiągnęła spory prestiż jako medium dzięki swoim materializacjom ektoplazmatycznym, a konkretnie dzięki przywoływaniu ducha niejakiej Katie King, twierdzącej, że jest córką legendarnego pirata Henry'ego Morgana. W ciągu trzech lat Florence wywoływała ducha Katie w obecności licznych świadków i - jak to się zdarzało z mediami - im wspanialsze były jej dokonania, tym bardziej narastał wokół niej cień podejrzenia. By się od tego cienia uwolnić, przybyła do eleganckiego domu, który Crookes zajmował przy Mornington Road, i zaproponowała, co następuje: jeśli naukowiec wykaże fałszywość jej mocy, będzie mógł zdemaskować ją publicznie przed prasą, ale jeżeli przeciwnie,

udowodni jej wiarygodność, zobowiąże się rozpowszechnić to w całym świecie. Crookes przyjął wyzwanie i poprosił dziewczynę, żeby na czas eksperymentów zatrzymała się w jego domu wraz ze swą liczną rodziną - śmiały gest, który wstrząsnął społecznością, i to nie tylko naukową, jak można sobie wyobrazić. Przez trzy miesiące badał Florence w swoim gabinecie, a także organizował seanse publiczne, na które zapraszał po kilku swoich kolegów. Podczas tych spotkań zawsze działo się to samo: dziewczyna leżała na podłodze gabinetu związana i cienkimi przewodami podłączona do galwanometru, jej czarna welwetowa suknia była przyszpilona do podłoża, a twarz zakryta szalem, żeby nie rozpraszało jej światło; po kilku minutach wpadała w trans i ku zaskoczeniu wszystkich w pomieszczeniu ukazywała się piękna odziana na biało dziewczyna, która twierdziła, że jest zjawą Katie King. Z zabawną kokieterią dawała się Crookesowi fotografować za pomocą zbudowanego przez niego samego aparatu, przechadzając się z nim pod ramię, opowiadała mu historie o Indiach, gdzie kiedyś wiodła pełen przygód ziemski żywot, a nawet przysiadła na kolanach co bardziej sceptycznych panów, by im swawolnie gładzić brody. Nie brakowało ludzi, którzy utrzymywali, że Katie i Florence są jedną i tą samą osobą - z powodu ich ogromnego podobieństwa fizycznego oraz z uwagi na fakt, iż nigdy nie zdarzyło im się jednocześnie przebywać w tym samym pomieszczeniu - toteż Crookes czuł się zobowiązany dokonać porównań i określić szereg odróżniających je cech: w przeciwieństwie do Florence, Katie nie miała przekłutych uszu, była od niej wyższa, włosy i skórę miała jaśniejsze, a na jej szyi nie widniała żadna mała blizna. Pewnego dnia, gdy Florence się przeziębila i lekarz wykrył w jej płucach szmery, poproszono, aby osłuchał również Katie, ale jej klatka piersiowa okazała się zupełnie od nich wolna. Jakby nie było tego dość, Crookes przekonał Katie, by pozostała w tym samym pokoju co Florence i pozwoliła się sfotografować razem z nią. I choć nie odważył się odkryć twarzy medium w obawie, że przerwie jej trans, było jasne, że ma do czynienia z dwiema różnymi kobietami.

Zapewnienia Crookesa potwierdziły prawdziwość mocy Florence i umocniły reputację młodej medium, chociaż niestety nie można tego powiedzieć o naukowcu. I to nie dlatego, że naraził na szwank własną wiarygodność, broniąc istnienia życia pośmiertnego, tylko

z tego powodu, że w swoich artykułach nie był w stanie ukryć, że się zakochał beznadziejnie w Katie King, córce pirata, która od kilkudziesięciu lat była martwa. Słowa Crookesa, które Clayton czytał z ironicznym uśmiechem, bardziej przypominały wiersze miernego poety niż aseptyczny wywód naukowy: „Fotografia jest nieodpowiednia, aby ujawnić doskonale piękno twarzy Katie, podobnie jak słowa są zbyt ubogie, by odkryć jej atrakcyjność. Jej urzekająca obecność sprawia, iż odczuwasz, że należy oddawać jej cześć na kolanach”.

Było oczywiste, że znakomity naukowiec, odkrywca talu oraz wynalazca radiometru i spintaryskopu<sup>4</sup>, dał się uwieść czarującej zjawie, z którą przechadzał się po gabinecie niczym z narzeczoną w parku. Zrobił z siebie przez to pośmiewisko na salonach Londynu, a nieliczni przyjaciele, jacy mu pozostali, w tym Ramsey, odwrócili się od niego zażenowani, być może mając dość bronienia czegoś, czego się nie da obronić, albo też obawiając się, że szydercza opinia przylgnie również do nich.

Jednakże wiosną 1874 roku Katie opuściła na zawsze swe medium i Crookesa. Powiedziała, że wypełniła misję - objawiła sceptykom istnienie życia po śmierci - i może już spoczywać w pokoju. Od tamtej pory Crookes już jej więcej nie widział ani z nią nie rozmawiał, a miłosierny jak zawsze upływ czasu sprawił, że kpiny ucichły. Było oczywiste, że ta ponadnaturalna miłość, prócz tego, że wywołała skandal w połowie Londynu, złamała Crookesowi serce, ale przynajmniej pozwoliła mu zachować autorytet naukowca: choć jego obecność wciąż wzbudzała litościwe uśmieszki, większość kolegów nadal podziwiała jego odkrycia, mówiło się nawet, że w niezbyt dalekiej przyszłości może się doczekać szlacheckiego tytułu. Mimo wszystko Claytonowi wystarczyło, że dostrzegł płonącą w oczach naukowca udrękę, by zrozumieć, że nie zapomniał on Katie King. Agent mógłby się nawet założyć o swą drugą rękę, że choćby Crookes nie wiedzieć jak ukrywał swoje spirytystyczne śledztwa za zwykłym naukowym zainteresowaniem, w głębi duszy pragnął znowu się z nią spotkać.

Clayton wreszcie skupił uwagę na ostatnim członku grupy - wątłej staruszce tak oddanej spirytyzmowi, że traktującej go niemal



z czułością. Ona jedyna nie należała do komitetu, ale zdobyła pozwolenie na uczestnictwo w seansie dzięki hojnej darowiźnie, którą zasilila jego skromną kiesę. Ów szczodry datek pozwalał jej brać udział we wszystkich dochodzeniach komitetu i w ciągu roku, jak się przekonał Clayton, pani Lansbury, bo tak się nazywała, uczestniczyła w co najmniej dwunastu seansach urządzonych w Londynie i okolicy.

Dziwiło go to zainteresowanie spirytyzmem, ponieważ mimo typowego dla starszych osób kruchego wyglądu pani Lansbury wyróżniała się pełnym determinacji spojrzeniem, które nie miało nic wspólnego z dobrotliwym zdezorientowaniem, jakiego można by się spodziewać u kogoś, kto dobiega osiemdziesiątki. Przeciwnie, jej oczy błyszczały duchem stanowczości i przytomną inteligencją, była wszak wynalazczynią Mechanicznego Służącego - urządzenia, które podbiło co zamożniejsze angielskie domostwa. Z tego powodu Claytonowi trudno było zrozumieć, że postanowiła roztrwonić fortunę na coś tak wątpliwego jak spirytyzm.

- Od dawna wyczekiwałam uczestniczenia w seansie Lady Amber - zwierzyła się rozemocjonowana podczas krótkiej rozmowy, jaką odbyli po przybyciu do tego domu. - Lista oczekujących jest taka długa, aż nie mogę uwierzyć, że ten dzień wreszcie nadszedł. Lady jest naprawdę dobra we wszystkich przejawach spirytyzmu, ale mówią, że jej materializacje są nadzwyczajne. Może tym razem będą prawdziwe współrzędne malstromowe, kto wie... od dawna nie spotkałam się z żadną.

Agent nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Mam nadzieję, że się pani nie rozczaruje - odparł tylko.

Co innego mógł odpowiedzieć? Najwyraźniej władze umysłowe staruszki nie były tak nienaruszone, jak sugerowałoby bystre spojrzenie, i zmartwiło go, że pozbawieni skrupułów ludzie są gotowi to wykorzystać. Chcąc nie chcąc, pozwolił, by ów smutek odbił się w jego oczach. Jednak ku swemu zaskoczeniu w oczach pani Lansbury znalazł identyczne współczucie dla niego, jakby przez jego źrenice dostrzegła spustoszoną, szerniałą duszę i pojęła, że przykrywająca ją warstwa popiołu nie jest niczym więcej jak

spuścizną spektakularnego ognia, który płonął w nim siedem miesięcy temu.

Do rzeczywistości przywrócił go głos profesora Burke'a.

- Ach, jakże bym chciał osobiście skontrolować Lady Amber! - szepnął tak, żeby kobiety go nie słyszały, szukając zrozumienia u pozostałych mężczyzn. - Możliwe, że nie będziemy mieć w życiu innej możliwości dotknięcia tak pięknej kobiety. Nie uważacie, panowie?

Wszyscy natychmiast pokiwali głowami, z wyjątkiem profesora Crookesa i inżyniera Hollanda. Pierwszy nie przytaknął, ponieważ jego spektralny romans najwidoczniej wyniósł go ponad pokusy cielesne, a drugi dlatego, że jego żona była jedną z dam, które znajdowały się za parawanem i rozbierały medium.

- Bez najmniejszej wątpliwości, profesorze - zgodził się z zalem hrabia Duggan, też przyciszonym głosem. Potem najwyraźniej zreflektował się, bo dodał: - Choć może powinienem zaproponować, że na końcu sam ją jeszcze obszukam, ponieważ najbardziej prawdopodobne jest, że jej koszula nocna zawiera jakąś ukrytą kieszeń. Nie sądzi pan, kapitanie, że powinniśmy się upewnić...?

- Obawiam się, że nie mogę panu na to pozwolić, hrabio - uciał Sinclair z pewną surowością.

- Ale jest taka piękna! - jęknął. - Panowie nie możecie sobie wyobrazić jak bardzo, bo nie widzieliście jej z bliska na balu u hrabiny Colesberry. Lecz ja owszem i zapewniam panów, że wygląda jeszcze ładniej niż na fotografiach.

Burke poprosił wówczas, żeby go przywiązali do krzesła, gdyż wątpił, czy może odpowiadać za swoje czyny. Wszyscy się roześmiali, wspólnie po męsku wychwalając urodę medium.

- Nie pozwólcie, panowie, żeby jej urok rozproszył was podczas doświadczenia naukowego - doradził Clayton, nie mogąc się powstrzymać przed okazaniem pogardy, jaką w nim wzbudziło to, że ci ludzie nie potrafią ukryć swych słabości.

Rozmowę mężczyzn przerwało nagłe poruszenie za parawanem i wszyscy popatrzyli, jak wychodzą zza niego dwie damy z komitetu. Za nimi po celowym kilkusekundowym opóźnieniu, niczym aktorka pragnąca wzbudzić wśród publiczności nastrój wyczekiwania, ukazała się Lady Amber. Za sprawą świetlistych wstążek, które do jej koszuli nocnej przyszyła pani Jones, przełożona Szkoły Pielęgniarstwa imienia Florence Nightingale przy Szpitalu Świętego Tomasza, oraz pani Holland, zażywna inżynierowa, medium zdawało się błyszczeć, jakby było zrobione z pospłatanych promieni słońca. Z subtelnym uśmiechem błędzącym na ustach Lady zatrzymała się na kilka sekund przy ekranie, pozwalając się podziwiać. Następnie w eskorcie dwóch kobiet ruszyła ku grupie, przy każdym kroku wzbudzając muzyczkę dzwoneczków. Miała na sobie obcisłą jedwabną koszulę nocną, która bardziej niż odziewać, zdawała się ją obnażać, a kiedy szła, pod materiałem to rysowały się, to zacierały jej małe, sterczące piersi, jakby raz za razem pojawiał się i znikał jakiś czar. Jej blond włosy, tak intensywnie jasne, że niemal białe, rozdzielał przedziałek biegnący zygzakiem przez czaszkę, a dwa pasma opadały wdzięcznymi wolutami na delikatne blanki jej ramion. Była drobna, niezbyt wysoka, a wystudiowana powolność ruchów dodawała eteryczności jej dziecięcemu ciału. Dotarłszy na środek sali, zatrzymała się i pozdrowiła obecnych wyniosłym uśmiechem, co Clayton uznał za część przedstawienia. Sprawiała wrażenie tak lekkiej, że stojące u jej boków kobiety zdawały się wyrzeźbione z ciężkiej, szorstkiej skały. Spowijał ją zapach fiołków, a jej twarz, trójkątna i blada, miała tę uwodzicielską właściwość cnoty stojącej u progu zepsucia. Jednak bardziej niż jakakolwiek inna cecha uwagę Clayтона przykuły jej ogromne, okrągłe oczy, które Stwórca pomalował na niemal przezroczyście kolor niebieski.

- Panowie, sprawdziliśmy Lady Amber - oznajmiła profesjonalnym pielęgniarskim tonem pani Jones - i możemy zapewnić, że niczego nie ukrywa w swojej koszuli, uzębieniu ani włosach.

Sinclair skinął głową na wpół oczarowany, na wpół ucieszony i gestem zaprosił grupę, by zasiadła przy stole do seansu, lecz tu wtrącił się Clayton.

- Jestem pewien, że poddałyście ją panie skrupulatnym oględzinom, ale pozwólcie, że wam przypomnę, iż kobieta posiada również inne naturalne zagłębienia oprócz ust - rzekł poważnie.

Damy spojrzały na niego zdumione i nawet niektórzy panowie okazali zgorznienie z powodu jego słów. Lady Amber zrobiła oburzoną minę, którą natychmiast zmieniła na cnotliwy uśmiech męczennicy gotowej z pokorą znieść wszelkie poświęcenia.

- Może chciałby mnie pan zbadać osobiście - zwróciła się do agenta z dziecięcą minką, która sprawiła, że niektórzy z obecnych panów musieli poluznić sobie krawaty.

Clayton przyglądał jej się obojętnie.

- O, obawiam się, że jedna z moich rąk nie wykazuje wystarczającej delikatności - odparł z lekkim wzruszeniem ramion. - Mogłaby pani zrobić krzywdę.

- A gdyby się pan posługiwał wyłącznie ręką z krwi i kości? - zasugerowała z uśmiechem.

- Właśnie o niej mówię. Drugą po prostu rozszarpałbym panią - odrzekł i z lekką niecierpliwością spojrzał na pielęgniarkę. - Pani Jones, pozwoli pani.

Ta powiodła po grupie pytającym wzrokiem i widząc, że nikt nic nie mówi, wzruszyła ramionami.

- Dobrze... - zgodziła się, nawet nie próbując ukryć, że jej zdaniem jest to tak nieodpowiednie jak zabawa w chowanego pośród cmentarnych nagrobków. - Zrobimy to w pani pokojach, Lady Amber, jeśli to pani nie przeszkadza.

Medium wolno pokręciło głową, posłało Claytonowi lodowate spojrzenie i pozwoliło się poprowadzić kobietom. Agent bez emocji patrzył, jak się oddala.

- Święty Boże, agencie, uważam, że taka gorliwość nie była konieczna - odezwał się inżynier Holland, kiedy zostali sami. - Nie ma potrzeby, byśmy popadali w nieprzyzwoitość ani w grubiaństwo, nie sądzi pan?

- Właśnie - dodał Burke. - To oczywiste, że Lady Amber poczuła się nieco urażona pańskim wymogiem...

- Panowie, nie powinniście zapominać, że mamy tu przeprowadzić eksperyment naukowy - odparł Clayton. - Kobieta mogłaby stać zupełnie naga, a mimo to ukrywać przed naszym wzrokiem jakiś mały przedmiot służący do wykonywania sztuczek, na przykład lekki muślin. Albo wręcz kauczukową maskę.

Nagle zapadła cisza. Nawet Sinclair najwyraźniej nie znajdował słów, którymi mógłby uratować sytuację.

- Agent ma rację, panowie - zabrał głos doktor Ramsey, strzelając kolejno palcami obu rąk. - Naszym celem jest odkrycie prawdy, zawsze tak było. To nieuniknione, że w związku z tym musimy nieraz sprawić mediom pewne ee... kłopoty czy niewygody, mimo że nikomu z nas, rzecz jasna, to się nie podoba. Przypomnijcie sobie na przykład siostry Fox: były zaledwie dziewczynkami, a członkowie komitetu rozbierali je i poddawali znacznie bardziej przykrym próbom. Mając to na uwadze, sądzę, że Lady Amber doskonale zrozumie konieczność sprawdzenia... dogłębnego.

- Też tak uważam - włączył się pułkownik Garrick, do tej pory milczący. - Większość mediów wykorzystuje naszą przyzwoitość, by dokonywać swych niesławnych sztuczek, dlatego powinniśmy być maksymalnie skrupulatni. Nie należy zapominać, że prawie wszystkie media to oszuści, tak jak ten kleryk, który kazał na siebie mówić „doktor Monck”.

- Albo tamten szarlatan Slade - dodał hrabia Duggan, wspominając specjalistę od pisma automatycznego, którego proces o oszustwo wywołał modę na donosy i sprawy sądowe przeciw fałszywym mediom. - Wiecie, że uczestniczyłem osobiście w jednym z jego seansów? Urządzał je w tych samych pokojach w pensjonacie przy Russell Square, w których mieszkał, i brał za nie po dwadzieścia szylingów, mimo że trwały zaledwie piętnaście minut. Slade był prawdziwym naciągaczem, bodaj najsprytniejszym z nich wszystkich.

- Cóż, nie trzeba wielkiego talentu, żeby oszukać tych, którzy są na to podatni - skwitował Garrick.

Słyszając to, Crookes zeszywniał.

- Mam nadzieję, pułkowniku, że ta uwaga nie była skierowana konkretnie do żadnego z nas - zaperzył się.

- Tylko do tych, którzy poczuli się dotknięci... - Garrick wzruszył ramionami.

Podniosły się śmiechy, lecz doktor Ramsey nie pozwolił im się rozpanoszyć.

- Spokój, panowie, spokój... Nie sądzę, byśmy tu mieli zapędzać się do osobistych zniewag.

- O, wielkie dzięki za obronę, Ramsey, drogi przyjacielu - syknął wściekle Crookes. - Chociaż obawiam się, że przybyła z niejakim opóźnieniem i okazała się zupełnie niepotrzebna, ponieważ, jak wiesz, ostatnimi czasy nauczyłem się bronić sam.

- Na Boga, Crookes, nie bierz tego do siebie. Znasz moją opinię o twoich badaniach. Bardzo mi przykro, że w swoim czasie uznałeś ją za zdradę. Niemniej uważam, że niewiele jest mediów wolnych od podejrzeń i obawiam się, że wśród nich nie ma twojej cennej Florence, która, jak wiesz, została zdemaskowana podczas pewnego seansu osiem lat temu.

- Nie było mnie na tym nieszczęsnym seansie, a tylko głupcy wypowiadają się, nie znając faktów - odparł Crookes. - Lecz owszem, mogę mówić o cudach, które dokonywały się pod moim dachem... O, Ramsey, co, u licha, stało się z tobą w tym ostatnich latach? Mogę zrozumieć twój sceptycyzm, a nawet go uszanować, ale nigdy nie pojmę twego zaślepienia. Czy naprawdę odrzucasz możliwość istnienia życia pośmiertnego, podczas gdy tyle jest świadectw ukazywania się zjaw, począwszy od czasów Tertuliana? Zaświaty istnieją i jestem pewien, że są dokładną kopią naszego świata, jak twierdzi Swedenborg, największe ze współczesnych mediów!

- Nigdy nie negowałem ani nie potwierdzałem istnienia zaświatów, czy są podobne do naszego świata, czy też nie - uściślił Ramsey ze znużeniem. Milczał przez kilka sekund, a potem dodał filozoficznym tonem: - Cała rzeczywistość koniec końców powieła samą siebie.

- Powiela samą siebie... Nie wie pan, ile ma pan racji, doktorze Ramsey! - wykrzyknęła pani Lansbury z głośnym wybuchem śmiechu.

Ramsey popatrzył na nią cokolwiek zaskoczony tym wtrąceniem, po czym znów zwrócił się do Crookesa:

- Ale musisz przyznać, Williamie, że tamte dawne zjawienia były sporadyczne i niewyraźne. Lecz jeśli mamy wiarę w wszystkie przypadki współczesne, staniemy bez mała wobec należycie zorganizowanej inwazji, a nawet... wobec epidemii. Ponadto tylko kwestionowałem uczciwość Florence - wyjaśnił, unikając zboląłego, rozwścieczonego spojrzenia swojego starego przyjaciela.

- I niech pan nie zapomina, Crookes - dodał od siebie Holland - że sama Margaret Fox napisała list do „New York Herald”, wyznając, że wszystkie jej seanse były fałszerstwem. Jakichże więcej dowodów potrzebujemy na to, że media są bandą szarlatanów, którzy wykorzystują tragedie i pragnienia obywateli, żeby opróżnić im kieszenie?

- Prasa umie tylko rzucać ochłapy pospółstwu! - wyrzucił z siebie Crookes z pogardą.

- W tym muszę przyznać panu rację, Crookes - wtrącił pułkownik Garrick. - Bądźmy sprawiedliwi, panowie: jeżeli jakiś obywatel wejdzie do redakcji czasopisma, by donieść, że przyłapał medium na oszustwie, fakt ten zostanie opublikowany z fanfarami, a jeśli ten sam obywatel zgłosi prawdziwe zjawisko ponadnaturalne, zapewne nie dostanie w gazecie ani linijki. Ach, prasa nie jest już taka jak kiedyś... Szuka tylko takich sensacji jak tamte dwa zabójstwa prostytutek, do których doszło w Whitechapel...

Rozmowa skupiła się na owych nikczemnych zbrodniach i ich okropnych szczegółach, które prasa rozdmuchiwała bez względu na to, czy były pewne, czy nie, zakłócając dochodzenie policyjne jedynie w tym celu, by zaspokoić chorobliwą fascynację czytelników, jak pośpiesznie wyjaśnił Sinclair. Wszyscy wyrazili swoje opinie na ten temat, z wyjątkiem Clayтона, który zachował milczenie. Kiedy zakończy sprawę Lady Amber, przestudiuje raporty o tych



bezlitosnych morderstwach napisane przez inspektora Reida z Brygady Dochodzeniowej Wydziału Kryminalnego i wyciągnięte własne wnioski, ale na razie wolał się skoncentrować na tym, czym się aktualnie zajmuje.

Pomyślał, że dyskusje takie jak ta wywiązują się obecnie w wielu miejscach w Londynie, a nawet Anglii i na całym świecie. Od czasu, gdy siostry Fox usłyszały pierwszy akord wielkiej spirytystycznej uwertury w swym domu w Hydesville, minęło już ponad czterdzieści lat, zwolennicy i przeciwnicy spirytyzmu zacieurzewiają się w zacieklej walce, a pomiędzy tymi dwiema armiami jest wielu, którzy podobnie jak on ciągle nie wiedzą, jaką zająć pozycję.

Tak samo jak Ramsey czy Garrick, Clayton uważał, że większość mediów to oszuści, choć to nie oznaczało, że nie istnieją media autentyczne, zdolne do dokonywania prawdziwych cudów, jak utrzymywał Crookes. Szczególnie on, noszący na szyi klucz do tajnej krypty pełnej niewytłumaczalnych dziwów, był najmniej odpowiednią osobą, żeby zaprzeczać ich istnieniu. Nie wspominając o tym, że co rano zawiązywał sobie na szyi fular mechaniczną ręką, która stale przypominała mu o istnieniu rzeczy niemożliwych. Tak że nieufność względem Lady Amber nie była owocem żadnego uprzedzenia do spraw ponadnaturalnych, ponieważ pewna hrabina już go na to uodporniła, na całe życie. Choć najwyraźniej również uczyniła go niezdolnym do tego, by znów mógł uwierzyć w niewinność jakiejś pięknej kobiety.

Ale pozwólcie, że skorzystam z tego, iż agent zagubił się w labiryncie własnych refleksji, i zrobię przerwę w naszej historii, aby się wam przedstawić. Chciałem to zrobić wcześniej, jak mam w zwyczaju, ale podobnie do owych przesadnie nieśmiałych osób, które nigdy nie znajdują okazji, by się włączyć w rozmowę, ja także aż do tej pory nie trafiłem na stosowny moment, żeby się wtrącić. Przerwać kolację wydaną na cześć agenta Clayтона byłoby przedwcześnie, a zakłócić rozmowę, którą później odbywał sam na sam z hrabiną - zbyt nie na miejscu; tych dwóch zagrożeń każdy szanujący się narrator powinien się wystrzegać. Później zaś, jak sami widzieliście, wypadki pędziły z zawrotną prędkością. Teraz jednak, w tej spokojnej chwili, jeśli się wystarczająco pospieszę, może zdążę

powitać was w owej sięgającej w zaświaty historii miłosnej, ostatniej, jaką zamierzam wam opowiedzieć. Jestem przekonany, że bohaterowie przypadną wam do serca, bo sami na to zasłużą, podobnie jak ja zasłużyłem przy innych okazjach, mimo moich możliwych niezdarności jako narratora - swoją tożsamość ujawnię wam na końcu opowieści, w ramach słusznej nagrody za waszą cierpliwość i wierność.

Lecz teraz muszę was znów opuścić! Drzwi pokoi Lady Amber właśnie się otworzyły, a ona sama już kroczyła ku gościom, i nie trzeba dodawać, że przykra kontrola, jakiej została poddana, zatarła na jej twarzy dziewiczy uśmiech. Widząc, jak medium wchodzi do salonu niczym delikatny motyl, któremu okrutne dziecko wyrwało skrzydełka, kapitan Sinclair wypiął pierś i rzucił Claytonowi znaczące spojrzenie, nakazując mu bez słów, wyłącznie siłą swego jedyne go oka, że powinien się dobrze zastanowić, zanim wysunie kolejne żądanie. Następnie uśmiechnął się uprzejmie do Lady Amber i zachęcił wszystkich obecnych, żeby usiedli przy stole.

Seans miał się rozpocząć.

## V

**P**rzez kilka minut w przestronnym pomieszczeniu skąpanym w mroku promiennika podczerwieni nie rozlegał się żaden dźwięk, nie było słycać nawet oddechów dwunastu osób zgromadzonych przy stole. Od momentu, gdy kapitan Sinclair nakazał ciszę i wszyscy posłusznie złączyli ręce, nikt nie odważył się odchrząknąć. Nawet proteza oczna kapitana najwyraźniej powstrzymała się od swego tradycyjnego błyskania i brzęczenia i wygasła łagodnie niczym żar zatopiony w wodzie. Wszyscy trwali nieruchomo w owym czerwonym tchnieniu, jak wielki zakrzep w strumieniu krwi czasu. Tylko dwie rzeczy zdradzały, że wciąż uparcie wykrwawia się tutaj życie: spokojne mruczenie uruchomionego w kącie sali fonografu, którego cylinder obracał się, nie przejmując się raną zadawaną mu przez rylec, oraz oczy Claytona, które mimo bezruchu całego ciała obracały się, prędko omiatając spojrzeniem pokój i pilnie sprawdzając każdy zakątek, jakby żyły własnym życiem.

Gdy agent upewnił się, że liczne aparaty funkcjonują poprawnie, przyjrzał się medium. Lady siedziała przed nim z łagodnie zamkniętymi oczyma, przywiązana do krzesła i przykuta w nadgarstkach do doktora Ramseya oraz pułkownika Garricka za pomocą krótkich łańcuchów zaopatrzonych w kłódki. Następnie Clayton powiódł wzrokiem po członkach komitetu, ale nie znalazł u żadnego z nich najmniejszego śladu sceptycyzmu, który okazywali przed chwilą. Końcami palców dotykali dłoni swoich sąsiadów i wszyscy zdawali się przepojeni jakimś uprzejmym, spokojnym wyczekiwaniem, przekonani, że wkrótce wydarzy się coś wstrząsającego, pochodzącego spoza tego świata lub spoza innego,

ponieważ takie wrażenie wywoływała niepokojąca aura roztańczona przez Lady Amber.

Nagle zaskoczył ich głos Sinclaira. Bez uprzedzenia kapitan wygłosił rozpoczęcie nagrywanego raportu z seansu, a zrobił to tak głośno, jakby chciał, żeby jego słowa zostały zarejestrowane przez fonografy nastawione w tym momencie w Paryżu. Po chwili przestraszeni członkowie komitetu pośpiesznie poprawili się na krzesłach, z powrotem przyjmując hieratyczne pozy. Tylko medium trwało nieporuszone jak sfinks, pogrążone w domniemanym transie, w który wprowadziło się na początku seansu. Dziewczyna, z półotwartymi ustami, zatraciła się w głębokim, przerywanym oddechu, który w regularnych odstępach czasu wypychał jej małe piersi ku górze, tak że napierały na cienki jedwab koszuli, przyciągając ukradkowe spojrzenia wszystkich siedzących przy stole mężczyzn, jak światło przyciąga ćmy. W zbyt jednostajnym rytmie - pomyślał Clayton sceptycznie.

- Seans z dwunastego września 1888 roku. Godzina: dziewiąta wieczorem. Lokalizacja: miejsce zamieszkania Lady Amber, pod numerem dwunastym przy Mayflower Road w Londynie. Kontroler po prawej: pułkownik Garrick; kontroler po lewej: doktor Ramsey. Pomocnicy: pani Holland, inżynier Holland, profesor Crookes, hrabia Duggan...

I podczas gdy kapitan skrupulatnie wyliczał rygorystyczne środki naukowe podjęte w celu kontrolowania seansu - a robił to z takim brakiem entuzjazmu, jakby kruszył kromkę chleba podczas przeciągającej się po posiłku nudnej rozmowy - agent utkwiał wzrok w leżących pośrodku stołu trzech przedmiotach, które miały posłużyć do eksperymentów telekinetycznych; były to: złoty dzwoneczek, gardenia i lniana chusteczka. Choć jeszcze trwały w bezruchu i być może nigdy nie zmienią tego stanu, Claytonowi wydawały się pełne niepokoju, jakby już podjęły wewnętrzną decyzję, że się poruszą, i tylko czekały na polecenie Lady Amber. Spuścił głowę, próbując pozbyć się tego absurdalnego wrażenia, bez wątpienia wywołanego sugestią albo tym przeklętym czerwonym blaskiem, nadającym pomieszczeniu połysk nierealności. Przez chwilę pragnął, aby to jego umysł, a nie ręka był mechaniczną protezą, żeby zachował chłód

i spokój w każdej sytuacji, tak niewzruszony jak ta metalowa dłoń, której pulchne palce pani Jones dotykały z niejaką zgrozą.

Kapitan Sinclair zakończył swą prezentację równie niespodziewanie, jak zaczął, i wśród obecnych znowu zapadła cisza. W tym momencie Lady Amber, niczym aktorka, gdy zapowiedziano jej wejście, pozwoliła, by z jej półotwartych ust popłynęła litania słabych jęków, podczas gdy na jej twarzy wciąż malowała się intensywne ekstaza - ekstaza, której alchemii nigdy nie miał zrozumieć żaden ze zgromadzonych tu śmiertelników. Wkrótce jej piękne czoło zachmurzyło się, by zaraz potem odzyskać pierwotną nieskazitelność, jakby leciutki wietrzyk zmarszczył gładką tafłę jeziora. Przez pierścień ludzi przebiegł elektryzujący dreszcz.

Choć wszystko w zachowaniu medium wyglądało na autentyczne, Clayton był pewien, że Lady udaje: głęboko w duszy coś mu podpowiadało, że taka piękność nie może być uczciwa, nie może służyć prawdzie, ponieważ żadna wielka władza nie jest krystaliczna i nieprzekupna, a czyż istnieje większa władza niż ta, którą dysponuje urodziwa kobieta? Rzucił okiem dokoła i przyłapał czterech spośród obecnych mężczyzn na rzucaniu tyleż ukradkowych, co lubieżnych spojrzeń na falującą pierś medium; ku zaskoczeniu agenta należał do nich również kapitan Sinclair. Żaden z nich nie zważał już na kontrolowanie seansu, niezdolni byli oderwać się od widoku tych niemal dziewczęcych piersi, które wolno wznosiły się i opadały, bezbronne i prowokujące. Napotkał wzrok hrabiego Duggana, a ten mrugnął do niego porozumiewawczo. Zniesmaczony myślą, że ten ekstrawagancki typek posądza go o tę samą żądzę, która ogarnęła pozostałych, Clayton rozważył możliwość przywołania ich do porządku, lecz ostatecznie odrzucił ten zamiar. Nie chciał, żeby jego reprimenda została zapisana na cylindrze na zawsze.

I wtedy spoczywający na stole dzwoneczek zaczął brzęczeć, wydając krótkie, wściekłe dźwięki. Wszystkie spojrzenia powędrowały ku temu najzwyczajniejszemu drobiazgowi, który nagle zamienił się w most łączący dwa światy. Zwróciwszy na siebie uwagę, dzwoneczek zaraz na powrót znieruchomiał. Lady Amber znowu wydała z siebie jęki, wygięła plecy w łuk i zaczęła gwałtownie rzucać głową z boku na bok; księżycowe włosy smagały jej twarz jak mewa próbująca

wydziać oczy. W tym momencie dzwoneczek zaczął się bardzo wolno unosić nad stołem, a gdy wisiał już około dwudziestu centymetrów nad blatem, znów rozdźwięczał się wściekle, jakby potrząsała nim bezlitośnie jakaś niewidzialna dłoń. Jednocześnie gdzieś w pokoju zabrzmiały wyraźne odgłosy silnych uderzeń, chociaż nikt nie potrafił dokładnie określić, skąd dobiegały. Clayton do tej pory wysłuchiwał licznych zeznań, w których świadkowie opowiadali o dźwiękach przypuszczalnie wydawanych przez olbrzymie pięści walące w ściany, ale te tutaj odgłosy zdawały się pochodzić od spadających na marmurową powierzchnię drutów do robótek, tyle że zwielokrotnione do granic. Dzwoneczek zatracił się w histerycznym terkocie, jak gdyby chciał zagłuszyć tamtą kanonadę, a pośród tej oszalałej wrzawy gardenia zaczęła sunąć ku brzegowi stołu, aż spadła z rozpędu na kolana pani Jones, która przycisnęła się do oparcia swojego krzesła z taką spanikowaną miną, jakby na jej spódnicę skoczył skorpion. Wówczas uniosła się do lotu lniana chusteczka i z delikatnymi zawijasami, niczym meduza z tkaniny, ruszyła na spacer przed zdumionymi obserwatorami.

Gdy wszystko to się działo, wzrok Clayтона frenetycznie miotał się po pokoju, sprawdzając raz za razem poszczególne punkty kontrolne. Agent był pewien, że przyszyte do zasłon dzwoneczki nie brzęczały, zanim zaczął się ten harmider, i musiał przyznać, że teraz okazały się bezużyteczne: jeżeli coś porusza ciężkimi kotarami, słuch nie pomoże mu tego stwierdzić, tak samo zresztą jak wzrok, z wielkim trudem przebijający się przez półmrok w kolorze krwi. Jednak z miejsca, gdzie się znajdował, Clayton widział termometry rejestrujące odczyt, urządzenia działające na podczerwień i pozostałe rozmieszczone w sali aparaty, a wszystkie one najwyraźniej nie wykryły żadnego ruchu w swoim otoczeniu. Odsunawszy się kilka centymetrów od stołu, na tyle by nie rozerwać ludzkiego łańcucha utworzonego z rąk towarzyszy, zauważył, że rozsypane na podłodze trociny pozostały nienaruszone, podobnie jak deska, którą zabito kominek, oraz plomby na oknach.

Co do obecnych osób, większość z nich najwidoczniej zapomniała o swojej roli rygorystycznych obserwatorów i z fascynacją przyglądała się hałaśliwym podrygiwaniom dzwonka, posuwistym ruchom

chusteczki lub samej Lady Amber, która wierciła się na swoim siedzeniu tyleż nieprzyzwoicie, co przerażająco. Może gdy wszystko to już się skończy, owi niezłomni niedowiarkowie skwitują to, co się działo podczas seansu, jednym z tych mętnych, lekceważących zdań, jakie czytywał w prasie, lecz w tym momencie zachowywali się jak grupka dzieci oczarowanych pokazem sztucznych ogni. Zwłaszcza Crookes zdawał się pogrążony w euforii: zapomniał o swojej obrażonej minie i uśmiechał się otwarcie; zachęcał wręcz towarzyszy, by powąchali chusteczkę, a zarazem zapewniał, że przed rozpoczęciem seansu nie roztaczała tak intensywnego zapachu. Clayton prychnął w duchu. Najwyraźniej złamane serce Crookesa znacznie łatwiej dało się naprawić niż jego własne.

Zirytowany poszukał wzroku kapitana, lecz ten go zignorował. Kiedy zaczął dźwięczeć dzwoneczek, Sinclair podobnie jak jego podwładny kontrolował spojrzeniem sytuację, lecz od chwili gdy w jednym z gwałtownych ataków konwulsji z ramienia medium ześliznęła się nocna koszula, odsłaniając część białej, delikatnej jak płatek śniegu piersi, agent uznał swego przełożonego za straconego.

Jego spokój zdawała się podzielać tylko jedna osoba spośród tych, które zasiadły przy stole: pani Lansbury, obserwująca przedstawienie z czymś, co wyglądało na chłodne, profesjonalne zainteresowanie. Clayton przyjrzał się wątlej staruszce, zastanawiając się, czy ta postawa wynika z absolutnej wiary w spirytyzm, czy raczej z gorzkiego rozczarowania. I jedno, i drugie było możliwe, choć coś mu podpowiadało, że starsza pani podziela jego podejrzenia.

Wtem walenie ustało, i to tak nagle, że od zapadłej ciszy zdawały się pękać uszy. Sekundę później dzwonek opadł na stół, podskoczył kilka razy i kolebał się jeszcze smutno w miejscu, jakby się sam kołysał do snu. Chusteczka poszybowała do Lady Amber, którą tymczasem opuściły konwulsje. Medium spoglądało przed siebie dzikim wzrokiem, chusteczka zaś opadła na jego twarz, układając się miękko i gładko niczym welon panny młodej. Skutek tej łagodnej pieścioty był dla kobiety druzgocący: jej ciało doznało takiego skurczu, że krzesło, do którego było przywiązane, podskoczyło na nogach, a jej głowa odchyliła się gwałtownie do tyłu, jakby ktoś raptownie szarpnął ją za włosy; zaraz potem poleciała do przodu, tak



że chusteczka zsunęła się jej na kolana. Lady trwała tak nieporuszona, z podbródkiem na piersi i włosami zasłaniającymi twarz oraz szyję jak wyszczerbiony hełm z kości słoniowej, tymczasem z jej gardła wydobywały się niesamowite bulgoty i rżenie. Pod bladą skórą przedramion zarysowały się napięte mięśnie i groteskowo nabrzmiące żyły, jakby jej ciało zostało poddane jakimś nieludzkim naprężeniom.

- Święty Boże, ona się dusi! - wykrzyknęła drżącym głosem pielęgniarka pani Jones.

Lecz zanim zdążyła zareagować, dziwne dyszenie ustało. Ciało dziewczyny wyraźnie się rozluźniło, a za nią ukazało się nowe, zaskakujące zjawisko. Nad jej głową pojawiły się fosforyzujące światełka, nieopisanie piękne małe drżące ważki, które natychmiast zaczęły się przemieszczać na podobieństwo maleńkiej konstelacji wirującej wokół czubka głowy medium. Następnie stopiły się w jedną świetlistą, ulotną jak gaz masę, która stopniowo gęstniała i robiła się coraz większa. Niczym eteryczna pijawka błyszcząca chmura zdawała się żywić czymś, co czerpała bezpośrednio z głowy Lady Amber, lub może się z niej narodziła, jakby się wysączyła z jej włosów. Tak czy inaczej mleczna mgiełka rozpościerała się równoległe do podłogi, połączona z medium cienką wicią. Clayton zrozumiał, że Lady Amber właśnie szykuje się do wykonania jednej ze swoich słynnych materializacji, zjawiska nadającego medium największy prestiż, tak skomplikowanego, że dla oszustów stanowiło jedno z najgroźniejszych wyzwań.

- Patrzcie, formuje się twarz! - oznajmił rozemocjonowany Crookes, mrugając uporczywie, jakby próbował dostrzec w obłoku oblicze pięknej córki pewnego pirata.

Agent stwierdził, że naukowiec ma rację. W mglistej kuli coś majaczyło niewyraźnie. Jednak, ku rozczarowaniu Crookesa, wyglądało na ukazaną w trzech czwartych twarz męską, z rozróżnialnym jedynie nosem, wąsami i mięsistymi wargami, które zdawały się ściągnięte, jak gdyby ich właściciel szykował się do pocałunku lub gwizdał.

- Czuję jego oddech! Dmucha mi na rękę! - zawołał na wpół przerażony, a na wpół zachwycony pułkownik Garrick, znajdujący się najbliższej materializacji.

Po obu stronach oblicza pojawiły się dwie idealnie białe dłonie sprawiające wrażenie znacznie bardziej solidnych i określonych niż twarz - nawet poruszały palcami z dziwnym wdziękiem - choć na wysokości nadgarstków znów przyjmowały ulotną postać i rozpląwały się we wnętrzu świetlistej mgiełki otaczającej widmową fizjonomię.

Clayton przyglądał się owej twarzy i rękom z zaciśniętymi ustami, a tymczasem narastało w nim rozdrażnienie. Nie pragnął niczego innego, jak wstać i złapać te mgliste kształty, przekonany, że w ten sposób odkryje istotę tej sprytnej sztuczki. Zmusił się jednak, by zostać na miejscu, jak mu przedtem polecił Sinclair. Kapitan powtórzył to tego dnia kilka razy: pod żadnym pozorem nie powinien przerywać seansu, choćby w jego trakcie powziął nie wiadomo jak wiele podejrzeń. Rozkazy, które dostali z góry, były bardzo jasne: ich misja polega wyłącznie na poświadczeniu warunków kontrolnych, przesłedzeniu sposobu działania medium, wykonaniu nagrania z seansu i przeanalizowaniu pomiarów dokonanych przez aparaty, by potem wyciągnąć odpowiednie wnioski, które następnie pociągną za sobą - lub nie - właściwe postępowanie. Podsumowując, powinni czujnie obserwować wszystko, co się tam będzie działo, ale zakazano im interwencji. W takim razie agentowi nie pozostawało nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i modlić, by Lady Amber popełniła jakiś błąd albo by aparaty zarejestrowały jakąś anomalię, która pozwoliłaby oddać medium w ręce sprawiedliwości. Westchnął niecierpliwie i skupił uwagę na wywołanej przez medium zjawie, która nagle zaczęła się rozpadać. Stopniowo zarówno twarz, jak i ręce rozciągały się aż do deformacji, jakby postać przybierała stan ciekły i w ciągu kilku sekund wylała się na podłogę, po czym zniknęła pod stołem niczym zawieszista mżawka.

Wszyscy tkwili na swoich miejscach wyczekująco, w napiętej ciszy obserwując Lady Amber. Ta zdawała się uśpiona czy nieprzytomna, z głową pochyloną do przodu i ciałem tak zwiotczałym, że sprawiało wrażenie, jakby utrzymywało się prosto tylko dzięki temu, że podtrzymywali z boków dwaj kontrolerzy. Doktor Ramsey

i pułkownik Garrick wymienili zaniepokojone spojrzenia ponad białawymi włosami kobiety. W tej chwili medium słabo spróbowało podnieść głowę. Doktor łagodnie zawołał dziewczynę po imieniu, a ona odpowiedziała przeciągłym jękiem, jak gdyby się budziła z długiego snu. Po kilku próbach zdołała się wyprostować i rozejrzała wokół siebie, mrugając w zdezorientowaniu. Zmarszczyła czoło, zakaszła kilka razy i wyraźnie wyczerpana, opuściła głowę na ramię pułkownika.

- Powinniśmy dać jej trochę wody - zasugerował lekarz. - A ja chciałbym zbadać jej puls.

- Więzy uszkodziły jej skórę - zauważył Garrick tonem znacznie mniej profesjonalnym niż ten, w którym wypowiadał się Ramsey; pułkownik niewątpliwie pozostawał pod wpływem słodkiego ciężaru głowy spoczywającej na jego ramieniu.

- Obawiam się, że wszystko to będzie musiało poczekać - powstrzymał ich szorstko Clayton.

- Woda będzie musiała poczekać - uściślił spokojnie kapitan, posyłając surowe spojrzenie swemu podwładnemu. - Nikt nie może wstać od stołu, dopóki agent Clayton i ja nie odczytamy pomiarów aparatury. Ale możecie ją rozwiązać, a pan, doktorze, może jej zbadać puls. I może... ee... okryć panienkę odpowiednio.

Agent spojrział na przełożonego bez słowa i na jego sygnał obaj powstali równocześnie, ostrożnie podnosząc krzesła, by nie zaburzyć rozsypanych na podłodze trocin. Tymczasem Garrick i Ramsey zaopiekowali się Lady Amber pod baczynym okiem pozostałych. Podczas gdy doktor uwalniał jej nadgarstki, pułkownik lekko poklepywał ją po policzku, niewiarygodnie łagodnym głosem zachęcając, żeby im powiedziała, jak się czuje. Dziewczyna podjęła wysiłek, aby spełnić prośbę, i kilka razy otworzyła usta, lecz okazała się niezdolna do wyartykułowania jakiegokolwiek słowa. Uniosła bladą rękę do gardła i uśmiechnęła się słabo, jakby prosiła o wybaczenie za swoje kłopotliwe, niefortunne wyczerpanie. Naraz jej twarz, którą Clayton wciąż czujnie obserwował, zmieniła wyraz: uśmiech zamarł na wargach, a delikatne rysy ściągnął nagły strach, jakby były z papieru, tak że zamieniły się w nierozpoznawalną,

zgniecioną masę. Agent, zdziwiony, powiódł wzrokiem za spojrzeniem kobiety.

W kącie pokoju, przyobleczone w całun czerwonego półmroku, stała sztywna jak posąg jakaś postać ludzka. Ubrana była w prosty ciemny strój, miejscami podniszczony, pod którym rysowało się muskularne ciało. Z powodu odległości i słabego oświetlenia Clayton ledwie dostrzegał twarz o surowych rysach i zwierzęcym spojrzeniu, zaakcentowaną wydatnym podbródkiem z zaniedbaną brodą. Jednak to nie oblicze było w wyglądzie tej zjawy najbardziej niepokojące: jej sylwetce brakowało tej świetlistej czy ulotnej cechy, jaką przypisuje się duchom - wyglądała na doskonale ukształtowaną i spójną, jak gdyby była zbudowana z tej samej materii co jakikolwiek człowiek. Z wyjątkiem jednego szczegółu: była przezroczysta. Chociaż postać sprawiała wrażenie tak solidnej jak każda istota cielesna, można było zobaczyć przez nią światło lub - tak jak w tym przypadku - ciemność.

Rzekomy duch nie odzywał się ani nic nie robił; stał tylko przed nimi jak słupek z rękami przy ciele i nieruchomym spojrzeniem lunatyka. Mimo to jego postawa emanowała groźbą, a w oczach skwierczała niemal nieludzka nienawiść. Agent przyjrzał mu się z niedowierzaniem, po czym raptownie odwrócił się w stronę Lady, która drżała na swoim siedzeniu z ustami otwartymi w niemym krzyku wyrażającym czysty strach. Clayton nie wiedział czemu, ale intuicja podpowiadała mu, że to uczucie jest, owszem, autentyczne. Reszta grupy też skierowała wzrok w stronę kąta, przy czym nikt nie odważył się wstać od stołu. Zjawy wyraźnie zrobiła na wszystkich wrażenie, a jeszcze więcej emocji wywołał gęsty zapach nieuchronnego nieszczęścia, który sprawił, że w pokoju niemal nie dało się oddychać.

Wtem Clayton zwrócił uwagę na panią Lansbury. Tak samo jak pozostali, staruszka patrzyła na niepokojącą postać ze zgrozą, ale w jej oczach malowało się coś jeszcze, coś innego, coś podobnego do wyzwania.

- Ty! To ty! To jesteś ty! - ryknęła nagle postać, drżąc z gniewu i wyciągniętym ramieniem wskazując jedną z osób siedzących przy stole.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zaskoczeni i przestraszeni, szukając wśród siebie adresata tych słów, oprócz medium i starszej damy, które wciąż miały wzrok utkwiony w nieznanym.

- Znalazłem cię! Wreszcie cię odnalazłem! I zapewniam, że oddasz mi, co moje! - zaryczała zjawą, kończąc zdanie okropnym wyciem.

Wściekłość groteskowo wykrzywiła jej usta, tworząc minę zacieklego gargulca, poprzez którą nedorzecznie prześwitywały wzory z tapety na ścianie. Ku powszechnemu zdumieniu, pani Lansbury wstała z krzesła i stawiała jej czoło - niewysoka, drobna, za jedyną tarczę mając własną drżącą godność.

Począwszy od tej chwili, wypadki potoczyły się błyskawicznie. Następowały po sobie bezładnie, toteż, mimo że zrelacjonowanie ich zajmie mi trochę czasu, byłoby wskazane, żebyście wyobrazili je sobie w jak najszybszym tempie. W każdym razie wszystko działo się tak prędko, że nie mogę was zapewnić, iż moja wersja zdarzeń będzie do końca poprawna. Powiedzmy, że w przybliżeniu było tak: nieznanomy wykrzyknął jakieś przekleństwo i zaraz rzucił się ku obecnym, mijając Claytona, którego pchnął w ramię; potem przeskoczył przez stół i runął na biedną panią Lansbury, a ona nie zdążyła uciec. W tym momencie wybuchła panika - dotąd starannie powstrzymywana, teraz wyskoczyła jak korek z butelki szampana: wszyscy zerwali się z miejsc, nie dbając o to, czy zaburzą rozsypane na podłodze trociny, i zaczęli wrzeszczeć lub wznosić okrzyki niedowierzania, stali jak sparaliżowani albo miotali się nerwowo - każdy na swój sposób okazywał ogarniający ich wszystkich strach. Medium na przykład rzuciło się na podłogę i poczołgało poprzez pokój, żeby się ukryć za parawanem. Clayton i Sinclair zareagowali najbardziej bohatersko, rzucając się równocześnie na plecy napastnika, który zdołał złapać staruszkę za szyję. Wykazując się zdumiewającym refleksem, nieznanomy gwałtownie odchylił głowę do tyłu i trzasnął nią prosto w nos kapitana. Ten osunął się, kreśląc w powietrzu łuk krwią tryskającą ze środka twarzy, a spadając, pociągnął za sobą zdezorientowanego Claytona. Agent podniósł się, gdy tylko dotknął podłogi, i poszukał rewolweru, który właśnie wysliznął mu się z dłoni, ale natychmiast zrozumiał, że nie ma czasu na jego odzyskanie. Życie uciekało z pani Lansbury między silnymi palcami ducha, toteż

Clayton znów się na niego rzucił. Założył na masywną szyję zbira dźwignię, pragnąc go zmusić, żeby wypuścił ofiarę. Przez kilka sekund ze zdziwieniem patrzył na własne ręce widoczne przez ciało, które zamierzał pokonać, mimo że dotykiem wyczuwał coś najzupełniej normalnego, lecz szybko wziął się w garść i mocniej zacisnął dźwignię. Jednak choć włożył w to całą siłę mięśni, a metalową rękę zakleszczył na przezroczystym karku, bez wątpienia zadając nieznanemu nieopisany ból, tamten zdawał się posiadać niewyczerpaną energię szaleńca i agent nie potrafił rozluźnić jego straszliwych obcęgow zamkniętych wokół szyi staruszki, której twarz przybierała już fioletowy odcień. Zaraz ją tu zamorduje, na jego oczach, a on mu nie zdoła przeszkodzić. Wtem za jego plecami rozległ się okrzyk:

- Agencie, na podłogę!

Clayton obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że pułkownik Garrick mierzy doń z rewolweru. Nie namyślając się więcej, padł na ziemię i prawie równocześnie usłyszał strzał. Ledwie dotknął twardej powierzchni, ujrzał, jak tuż przed nim ląduje bezwładnie staruszka, najwyraźniej bez życia.

W tym momencie ktoś zapalił światła. Agent szybko pochylił się nad panią Lansbury. Z ulgą stwierdził, że staruszka oddycha i że nie wydaje się ranna. Podniósł się raptownie i zderzył z panią Jones, która zdążyła podejść, by udzielić pomocy ofierze.

- Niech pani postara się ją reanimować! - polecił.

Pielęgniarka kiwnęła głową i drżącym głosem przywołała doktora Ramseya, który stał sobie dyskretnie w ustronnym kącie, pośpiesznie zapisując coś w notesiku.

Clayton rozejrzał się zaniepokojony, szukając wzrokiem zjawy. Dostrzegł kapitana Sinclaira, jak zdezorientowany, z twarzą pokrytą krwawą maską, z wielkim trudem podnosi się z podłogi, podtrzymywany za oba ramiona przez Burke'a i Crookesa. Małżonkowie Holland obejmowali się, oboje bardzo bladzi, prawie na granicy omdlenia - żona zdawała się podpierać męża, żeby się nie osunął na podłogę. Hrabia Duggan z przeciwnego końca stołu

trzęsącymi się rękami gorączkowo wskazywał na parawan, przed którym zajął pozycję pułkownik Garrick, ściskający w dłoni jeszcze dymiącą broń. Clayton pobiegł tam, łapiąc w powietrzu rewolwer, który kapitan rzucił, gdy agent go mijał. Kiedy dotarł do pułkownika, ten spojrzał na niego ze zmarszczoną brwią.

- Myślę, że ukrył się tam - szepnął, wskazując głową parawan.

Clayton odpowiedział skinieniem. Dwaj mężczyźni porozumieli się gestami i dzierżąc broń, skierowali każdy ku przeciwnemu krańcowi przesłony. Wówczas usłyszeli dobiegające zza niej skrobanie, jakby ktoś lub coś drapało ścianę. Gdy się nieco zbliżyli, rozróżnili też damski głos mamroczący jakąś niejasną prośbę. Agent zwrócił się do pułkownika, by za pomocą milczących sygnałów dać mu znak do ostrożnego przesunięcia parawanu, lecz Garrick niewłaściwie zinterpretował jego gesty i energicznym kopnięciem przewrócił mebel. Rozległ się odpowiedni do tego hałas, a kiedy opadła chmura kurzu i trocin, dwaj mężczyźni znaleźli się naprzeciw nieszkodliwego wieszaka i mierzyli z broni do niedbale wiszących na nim ubrań Lady Amber. Jednakże tajemnicze dźwięki nadal rozbrzmiewały, w dodatku wyraźniej. Bez najmniejszej wątpliwości ktoś drapał jakąś powierzchnię. Clayton nagle rozpoznał głos Lady Amber, raz po raz powtarzającej tę samą rozpaczliwą prośbę:

- Pozwól mi wejść, proszę, otwórz, pozwól mi wejść, otwórz, pozwól mi wejść...

Agent podszedł do kąta pomieszczenia, zbadał go uważnie i odkrył, że dzięki sprytnemu efektowi optycznemu tapeta kryje niewielką szczelinę. Małą szparę, której nikt nie dostrzegł podczas wcześniejszych starannych oględzin pokoju. Ale teraz była. Clayton wprowadził w nią jeden ze swoich metalowych palców i znalazł sprężynkę, którą natychmiast uruchomił. W tej chwili ściany się rozdzieliły, skrzypiąc na kilku niewidocznych zawiasach - okazało się, że to fałszywe przepierzenie. A w otworze, dotąd ukrytym dzięki sprytnemu ciesielskiemu mechanizmowi, ukazała się Lady Amber. Klęczała z twarzą zaczerwienioną od płaczu i zakrwawionymi paznokciami ryła w podłodze, raz po raz powtarzając tę samą prośbę, ten sam rozkaz:

- ... otwórz, pozwól mi wejść, otwórz, proszę, pozwól mi wejść...

Czując, że ciemność jej kryjówki rozjaśniło światło, dziewczyna podniosła wzrok i zaczęła piskliwie krzyczeć, wyciągnawszy przed siebie ramiona, jakby się chciała obronić przed pochylającą się nad nią sylwetką.

- Nie, nie, nie! Nie chcę, żebyście wracali! Nie chcę! Po co wróciliście? Idźcie sobie na zawsze! Wracajcie do piekła, skąd przyszliście!

Clayton bez sentymentów wziął ją za ramiona i popchnął w stronę Garricka, obok którego stał już Sinclair.

- Trzymajcie ją! - rzucił z rozgorączkowanym wzrokiem, nie zdając sobie sprawy z tego, że wydał rozkaz własnemu przełożonemu.

W tym momencie agenta interesował tylko kawałek podłogi, w którym przed chwilą usiłowała dłużyć Lady Amber. Pochylił się, odgarnął ręką resztki trocin, krew, a nawet kawałki paznokci, które kobieta połamała sobie w przyływie szaleństwa, i zbadał uważnie parkiet. Nie znalazł w nim jednak niczego niezwykłego. Musiał przyznać, że dopasowanie jest idealne, znakomitej roboty; choć wiedział, co kryje, nie dostrzegł szczeliny. Uderzył w podłogę swoją metalową pięścią.

- Wiem, że mnie słyszysz! - zawołał. - Tu mówi agent Cornelius Clayton z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. W imieniu Jej Wysokości rozkazuję ci otworzyć klapę i natychmiast wyjść. Kimkolwiek jesteś, wychodź stamtąd z rękami na widoku i zachowuj się spokojnie.

Zapadła gęsta, ciężka cisza. Clayton uniósł pięść, by znów grzmotnąć w podłogę, ale usłyszał męski głos, słaby i wystraszony, który odpowiedział mu wręcz nieśmiało:

- Nie mogę otworzyć. Mechanizm klapy się zaciął i... można ją otworzyć tylko od wewnątrz... Jestem tu na dole uwięziony.

- Kim pan jest? - zapytał Clayton, próbując jakoś pogodzić ten drżący głos z potężną postacią, z którą walczył przed chwilą.

Cisza. I wreszcie z głębin dobiegła odpowiedź:



- Jestem sir Henry Blendell, architekt w służbie Jej Królewskiej Mości, odznaczony Złotym Medalem Królewskiego Cechu Inżynierów Anglii, mianowany honorowym automatykiem przez praskie stowarzyszenie zegarmistrzów i projektantów, twórca słynnego tajnego przejścia w zamku...

Agent, oszołomiony własnym zdumieniem, nie zwracał uwagi na pełne zdziwienia wrzenie, które podniosło się za jego plecami. Sir Henry Blendell? Przywołał wspomnienie architekta Jej Królewskiej Mości, człowieka korpulentnego, muskularnego mimo zaawansowanego wieku, średniego wzrostu, o białych włosach... Tak, niewykluczone, że w odpowiednim przebraniu mógł się przemienić w tajemniczą zjawę, która właśnie napędziła im strachu. Zerknął z ukosa na fonograf. Mimo zamieszania, jakie przed chwilą rozpełtało się w pokoju, urządzenie działało. Agent położył obie dłonie na podłodze i nachylając się jeszcze bardziej, powiedział donośnym, wyraźnym głosem:

- Sir Blendell, czy przyznaje pan, że był w zмовie z Lady Amber?

- Proszę, zaczyna mi brakować powietrza...

Clayton walnął w podłogę obiema pięściami.

- Czy przyznaje pan, że swą wiedzą i znajomościami pomagał pan medium znanemu jako Lady Amber, przygotowując każdy z oszukańczych seansów spirytystycznych rzeczonyj kobiety, wydając fałszywe poświadczenia dotyczące ich warunków oraz dopuszczając się podstępnie i wielokrotnie oszustwa i nadużycia zaufania?

- Tak, tak... Ale proszę, błagam, podważcie podłogę jakimś lewarem lub dłutem. Mam klaustrofobię...

- Przyznaje się pan? Włącznie z seansem, który odbył się dzisiaj, dnia dwunastego września roku pańskiego tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego, w mieszkaniu Lady Amber, usytuowanym pod numerem dwunastym przy Mayflower Road? - nie ustępował Clayton.

- Agencie Clayton - zaintereseniował kapitan - na miłość boską, to wszystko nie jest konieczne...

- Tak, tak... przyznaję się do wszystkiego. Przyznaję się! Ale proszę, wyjmijcie mnie stąd... Brakuje mi już powietrza.

Clayton powstał z uśmiechem nieco obłąkańczego triumfu, który deformował mu twarz. Jego rozgorączkowane oczy szukały niewinnych niebieskich oczu Lady Amber. Chciał spojrzeć na tę kobietę i rzucić jej prosto w twarz całą swoją pogardę, powiedzieć wyraźnie, że jej naiwne zabiegi z udawaniem kotki w rui nie zdały się na nic, że może okazałyby się skuteczne do oszukania takiego żalosnego człeczyny jak ten, który leży uwięziony pod jego stopami, dusząc się powoli, ale nie zwiodą agenta Corneliusa Claytona z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. „Przykro mi, moja droga - chciał jej rzec - nie jesteś tak dobra, jak myślisz, albo może nie byłaś wystarczająco zła. Nie zawsze możesz osiągać to, czego pragniesz, i był już najwyższy czas, żeby ktoś dał ci taką nieuniknioną nauzkę...”

Ale Clayton nic nie powiedział, ponieważ Lady Amber leżała zemdlona z głową na kolanach pułkownika i jedną ręką odrzuconą w stronę kapitana, który próbował ją cucić, nieśmiało poklepując grzbiet jej dłoni, a jednocześnie nawoływał, by przyniesiono dłuto i młotek.

## VI

Mimo że nie spał tej nocy ani minuty, agent specjalny Cornelius Clayton skierował się pieszo pod numer trzeci przy Furnival Street. Miał nadzieję, że lodowaty oddech świtu oczyści jego myśli albo przynajmniej zdusi dojmujący ból, który ulokował się u podstawy czaszki w którymś momencie tej arcydługiej nocy. Dlatego po wyjściu z biur Scotland Yardu nie zdecydował się na dorożkę i podążył piechotą w stronę rzeki, a otulająca ulice wilgotna mgła zmusiła go do postawienia kołnierza płaszcza i schowania rąk w kieszeniach. Gdy znalazł się na Victoria Embankment, zaczął nieśpiesznie przemierzać nabrzeże, zamierzając drogą wzdłuż Tamizy dotrzeć do Strandu.

Lubił patrzeć, jak brzask leniwie oświetla rzekę, jakby ją szkicował drżącym pulsem wśród gmachów metropolii. O tej porze Tamiza, jeszcze spowita strzępkami mgiełki, niosła na swej wodzie pierwsze barki, które - wypełnione po brzegi węglem, ostrygami czy węgorzami - przypominały zrujnowane pływające zamki. Przy obu brzegach cisnęło się pstre mrowie barek, szalup i małych statków, z których rozładowywano na pomostach kosze wypełnione kalmarami, skorupiakami i innym wydartym morzu drobiazgiem, a wiatr roznosił nieprzyzwoitą woń owych skarbów po sąsiednich ulicach. Nie docierając do Waterloo Bridge, w świetle poranka rysującego się w oddali smugami popiołu Clayton przeciął Strand i zapuścił się w Covent Garden. Bezwiednie dostroił rytm kroków do melodii tworzonej przez zgiełkliwą krzątanicę handlarzy, którzy rozkładali swe kramy na targu od czwartej, i zgubił się w hałaśliwym labiryncie uformowanym przez wózki uginające się od kapusty i cebuli, kosze z kwiatami, beczułki piwa i stragany z owocami, gdzie mimo wczesnej pory już kręciła się zgraja obdartych żebraków, dzieci bez dzieciństwa

i majestatycznie wychudzonych kotów rywalizujących między sobą o odpadki. Żadna z tych rzeczy nie zakłóciła marszu agenta i wkrótce zdołał się wyrwać z plątaniny straganów przez szczelinę pomiędzy stoiskiem z pieczonymi jabłkami a kramem kwiaciarki, przy którym mieczyki zderzały się z sobą na wietrze niczym fantazyjne floretty. Szedł zatopiony w myślach, nie omijając kałuż, w które zdawał się wsiąkać blask latarni ulicznych, gasnących na powitanie kolejnego z chłodnych, melancholijnych dni typowych dla londyńskiej jesieni.

Wreszcie, kierując się do swojego celu, Clayton przeciął Kingsway. Mimo że przemierzał ulice marszowym krokiem, myślami był daleko stąd. Wciąż tkwił zamknięty w sali Scotland Yardu, gdzie przez ostatnie godziny przyjmował zeznania Lady Amber, naprawdę nazywającej się Sarah Willard, oraz sir Henry'ego Blendella, architekta Jej Królewskiej Mości, człowieka niezwykle szanowanego i oddanego Koronie, przynajmniej do czasu, kiedy na jego ścieżce życia fatalnie pojawiło się piękne medium o srebrzystych włosach i niebieskich jak morze oczach.

Po raz enty przebiegał w myślach długie wyjaśnienia, jakich oboje udzielili pod dyktando pytań zadawanych przez niego i przez kapitana Sinclaira. Najpierw umieszczono ich w osobnych salkach i z zamiarem wyczerpania ich sił oraz rozstrojenia im nerwów, raz po raz poddawano temu samemu przesłuchaniu, w nawale pytań ukrywając małe pułapki. Agenci uciekli się nawet do klasycznej strategii, zapewniając zatrzymanych, że siedzący bezpiecznie w pokoju obok współnik wydał tę drugą osobę, aby ocalić własną skórę. Później, już prawie o świcie, skonfrontowali ich ze sobą w jednej sali, desperacko szukając oznak załamania się któregoś z podejrzanych.

Wszystko to na nic. Obydwoje przez całą noc powtarzali tę samą wersję wydarzeń, identyczną co do ostatniego szczegółu: przyznali się do swej osobistej relacji i współudziału w działalności przestępczej; w ciągu ostatnich kilku lat dokonali setek oszustw i wzbogacili się na nich ogromnie. Lady Amber nie posiadała żadnych mocy, którymi się szczyciła: miała je w dzieciństwie - przysięgała na Biblię - ale straciła w okresie dojrzewania i od tamtej pory nie zdołała wywołać żadnego ducha, w żadnej możliwej postaci, ani nie doświadczyła żadnego

zjawiska paranormalnego; ale zainspirowana szerzącą się modą na spirytyzm udała, że odzyskuje posiadane w dzieciństwie moce, stwierdziwszy, że dawne lęki, skoro napęlniają koszmarami jej noce, powinny także napęlniać srebrem kieszenie; postanowiła wyjść z biedy, zamieniając się w fałszywe medium, lecz nie jakie bądź, tylko największe i najślawniejsze medium wszech czasów; zaplanowała wszystko z najwyższą starannością, włącznie z uwiedzeniem sir Blendella, ponieważ zrozumiała, że oprócz swych teatralnych zdolności i urody potrzebuje współnika, który pomoże jej w aspektach technicznych; mimo nieskazitelnej moralności sir Blendella uwiedzenie go okazało się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewała: biedny staruszek od pierwszego pocałunku oszalał na jej punkcie i natychmiast godził się na wszystkie jej propozycje, popychany potęgującą się namiętnością, lubieżnym pożądaniem i chęcią zdobycia jej. W tym punkcie następował jedyny rozdźwięk w dwóch zeznaniach, ponieważ sir Blendell zapewniał, że kierował się wyłącznie chrześcijańskim pragnieniem niesienia pomocy tej zagubionej duszy i pokonania dręczących ją traum - architekt oddał na usługi Lady Amber całą swą nadzwyczajną wiedzę, przekształcając jej rezydencję i każde inne miejsce, w którym polecono mu zrobić inspekcję, w zbiór doskonale ukrytych zmyślnych mechanizmów, tak zaprojektowanych, by się wymykały najczujniejszemu nadzorowi: zapadni, sprężyn, wielokrażków, podwójnych denek, nylonowych żyłek, silnych magnesów, kanałów wyrzucających powietrze lub gazy fluorescencyjne, wypchanych rękawiczek, które udawały unoszące się dłonie, kauczukowych masek, druków przedstawiających twarze i ciała zjaw - z kolei Lady Amber wyznała, że jest mistrzynią regurgitacji: potrafi wykorzystać żołądek jako schowek na zdumiewająco wiele przedmiotów i w ten sposób przechytryć najbardziej skrupulatne inspekcje, włącznie z tymi, które wyrządzają jej grubiańską nieuprzejmość, a polegają na przeszukiwaniu jej najintymniejszych zagłębień. Poprzedniego wieczoru, by nie szukać daleko, udało jej się - podczas gdy udawała gwałtowne konwulsje - wypluć połkniętą wcześniej gumową kapsułkę zawierającą fosforowódór, gaz, który, kiedy przegryzła kapsułkę, wszedł w kontakt z powietrzem i dał efekt błędnych ogników oraz świetlistej mgły; następnie z powodzeniem wypluła długie metry lekkiej gazy

z wymalowaną twarzą, a materiał powiewał jak flaga dzięki prądowi powietrza wydmuchiwanemu przez usytuowany pod stołem cieniutki przewód - oddech ducha, który pułkownik Garrick poczuł na ręce - co widzowie zaobserwowali jako pojawienie się widma.

Do tego momentu przesłuchanie nie nastęczyło agentom żadnej szczególnej trudności, ale dotarwszy do owego punktu zeznania, zarówno pani Willard, jak i sir Blendell okazali się tyleż jednomyślni, co niewzruszeni: potwierdzali swoje poprzednie oświadczenie i w razie potrzeby byli gotowi powtórzyć je tysiąc razy; odpowiedzieć na zarzuty, które zostaną im przedstawione w najbliższych dniach, przyjmując oskarżenie o oszustwo, szydzenie z obywateli... Ale nie godzili się na to, by ich sądzono za usiłowanie zabójstwa pani Lansbury. Co to, to nie. Muszą im uwierzyć: ostatnia zjawą, mroczna postać, która próbowała odebrać życie staruszce, nie była ich sprawką. Może są naciągaczami, ale nie zabójcami. To nie oni wywołali przezroczystego ducha.

Clayton kopnął odłamek kamienia brukowego, na który się natknął po drodze. Ta sprawa była diabelsko zagmatwana. Nic do siebie nie pasowało. Kim albo czym była owa postać, którą agent zdążył zakleszczyć ramionami, zanim pułkownik Garrick do niej strzelił? Clayton był niemal przekonany, że złowieszcza zjawą to jeszcze jedna sztuczka z przedstawienia. Otrzymał od niej pchnięcie, poczuł jej mięśnie, gdy założył jej dźwignię, dotyk ubrania, ciepło ciała, a nawet cierpką woń potu... To prawda: przez chwilę mu się zdawało, że tamtą postać cechuje dziwna przezroczystość czy niewidzialność, ale w miarę upływu godzin narastały w nim wątpliwości. Nieznajomy był oczywiście w stu procentach człowiekiem i nie mógł to być nikt inny jak sir Blendell, który przebrał się lub może nasączył sobie ubranie jakąś substancją chemiczną, jakimś eterem wywołującym owo niezwykle wrażenie przezroczystości, a potem z nieznanego powodu wystraszył biedną staruszkę, uciekł przez kłapę i pozbywszy się przebrania, ukrył je w jakimś sekretnym miejscu w domu. Tak, wszystko na to wskazywało, choć agent musiał przyznać, że ma zbyt dużo pytań bez odpowiedzi, tak wiele, że zaraz doprowadzą go do szaleństwa. Na przykład jeśli fałszywa zjawą była częścią spektaklu, dlaczego postanowili ją włączyć? Jaki sens miało atakowanie

bezbronnej staruszki, skoro mogli się ograniczyć do swojego zwyczajnego jarmarcznego występu, z którym odnieśli już tyle sukcesów? I jeżeli dodali nowy trick, dlaczego się wypierają? Wymknął im się z rąk i teraz próbują minimalizować szkody czy raczej chcieli zaatakować staruszkę z jakiegoś powodu? Jeśli to ostatnie, napaść w otoczeniu świadków nie była zbyt mądrym pomysłem. Z drugiej strony Clayton nie mógł zapomnieć, jak szczerze wyglądał strach okazany wówczas przez medium. I właśnie ten strach sprawił, że dziewczyna usiłowała podnieść klapę od zewnątrz, przez co uszkodziła delikatny mechanizm i wielomiesięczny trud pary oszustów poszedł na marne.

Nie miało to żadnego sensu... Clayton odruchowo potrząsnął głową, jak pies podrażniony nagłym zmoczeniem sierści. Pomyślał, że tak naprawdę wszystko mu jedno, czy ma to jakiś sens, czy nie, ponieważ znaczyło to tylko tyle, że nie odnalazł klucza, który by jakikolwiek sens nadawał.

W każdym razie rozumowanie odwrotne było jeszcze bardziej nedorzeczne: gdyby przyjąć, że pani Willard i jej współnik mówią prawdę, kim byłby wówczas tajemniczy mężczyzna, który pojawił się znikąd? Zabójca, który ścigał panią Lansbury i postanowił zamordować ją podczas seansu spirytystycznego w obecności agentów Scotland Yardu? Była to absurdalna hipoteza, chociaż pasowała do enigmatycznych zdań, które nieznajomy skierował do starszej pani, a nade wszystko do jej wyrazu twarzy, ponieważ staruszka najwyraźniej rozpoznała napastnika, choć później zaprzeczyła temu, twierdząc, że to pomyłka. Ale jak ktoś zdołał wejść do tak pilnowanego, opatrzonego plombami pokoju bez współudziału Lady Amber lub sir Blendella? Czy wszyscy troje są zamieszani w próbę zamordowania staruszki?

Wreszcie istniała jeszcze jedna możliwość - jedyna, która sprawiała, że to wszystko stawało się godne interwencji Wydziału Specjalnego Scotland Yardu: zjawą naprawdę była duchem przybywającym z zaświatów. Ale... duch, który ukazuje się na fałszywym seansie spirytystycznym, przywołany przez medium pozbawione odpowiednich mocy? Jednak w dzieciństwie Sarah Willard miała taką moc albo przynajmniej zapewniła ich, że tak było.

Czy należy wobec tego dać wiarę owej historii i uznać, że dawny talent Lady Amber powrócił akurat tego wieczoru, jak zresztą zarzekała się przerażona dziewczyna, i pozwolił jej przywołać owego złowrogięgo ducha? Pod koniec nocy Sinclair przyznał, że ta hipoteza, chociaż nadzwyczaj absurdalna, była w tym momencie najmniej absurdalna ze wszystkich, Clayton jednak zacisnął usta i nic na to nie odrzekł. Stary Sinclair mógł sobie widzieć zjawy w każdym kącie, jeżeli czuł się przez to mniej stary, lecz on w ostatnich miesiącach kilka razy dostał nauczkę, w tym taką, której już nigdy nie zapomni: nie powinno się nie doceniać potęgi kombinacji genialnego przebrania i zbyt pięknej kobiety.

Clayton wykrzywił się z pogardą na wspomnienie twarzy panny Willard, gdy się z nią żegnał o świcie. Dumne medium, które swą eteryczną urodą zjednało sobie niemal wszystkich mężczyzn w Anglii, nie wyłączając członków komisji, w piwnicach Scotland Yardu zamieniło się w drżącą dziewczynkę. Na zakończenie przesłuchania młoda kobieta złapała agenta za kłapy ubrania, wbiła weń swoje niebieskie jak morze oczy i błagała go, by zamknął ją w najciemniejszej celi, jeśli takie jest jego pragnienie, ale żeby oddalił od niej duchy i nie pozwolił im wrócić... Wśród jęków zapewniała go, że nie zniesie, jeżeli odżyją okropne koszmary z dzieciństwa: nie wytrzyma paniki, która ogarniała ją w środku nocy, kiedy czuła, jak lodowate, przezroczyste ciało szukało jej ciepła w pościeli; ona leżała cichutko, wznosząc wszelkie modlitwy, jakie знаła, a tymczasem zmroźony oddech widma jeżył jej włosy na karku; i zwierciadeł - strachu przed spojrzeniem w lustro, w którym za jej plecami odbijała się czyjaś blada postać, przypatrująca się jej uporczywie, choć kiedy się oglądała za siebie, nikogo tam nie było; oraz głosów, o każdej godzinie, głosów... Wypowiedziała tę błagalną litanie, próbując zapanować nad histerycznym łkaniem, które groziło, że lada moment nią zawładnie, a jej głos brzmiał tak rozdzierająco, że nawet pilnująca drzwi strażniczka musiała głośno przełykać ślinę. Mimo to Clayton jedynie spoglądał na nią niewzruszenie przez kilka sekund, po czym, wzięwszy ją mocno za nadgarstki, oderwał jej zaciśnięte pięści od swego surduta i posadził ją na krześle, gdzie pozostała, rozszlochana, podczas gdy on opuścił salę, nie patrząc za siebie.



Kłamała. Oboje kłamali, to pewne. Clayton nie wiedział, czy duchy istnieją, czy nie, bo nie miał wystarczających danych, by dojść do jakiegoś wniosku w tej kwestii, ale był pewien, że postać, którą złapał w salonie Lady Amber, należała do tego samego świata co on. Sinclair mógł sobie polować na zjawy, jeżeli taką miał ochotę, ale on wiedział doskonale, dokąd powinien skierować śledztwo: musi znaleźć to przekłete przebranie; jeśli będzie trzeba, obróci rezydencję Lady Amber w gruzy. Choć zanim zaczną demolować domy, utnie sobie małą pogawędkę z pewną staruszką, wielbicielką spirytyzmu. Intuicja podpowiadała mu, że pani Lansbury wie więcej, niż się wydaje. Był przekonany, że za tymi dobrotliwymi, kpiącymi, żywymi oczyma, które wyzywająco spoglądały na zjawę, znajduje się klucz niezbędny do otworzenia tej skrzyni tajemnic. Dlatego postanowił natychmiast udać się do jej domu, nie zatrzymując się nawet na kilka godzin snu.

Brzask okrzepł już na niebie. W tym momencie, gdy świat rozjaśniały zaledwie skąpe ostrużyny światła, miasto pogrążone było w ciszy, a zdrowy powiew poranka opadał na uśpioną metropolię niczym anielskie tchnienie, jakby powiedział Dickens. To zaś oznaczało, że każda uczciwa osoba może przyjąć wizytę, o ile ta nie okaże się skandaliczną, a tylko niespodziewaną. Zatem agent specjalny Cornelius Clayton skręcił za rogiem Furnival Street i skierował się ku domowi pani Lansbury - smukłej neogotyckiej rezydencji z dachem najeżonym szpiczastymi szczytami oraz fasadą ozdobioną wąskimi witrażowymi oknami. Nie zwlekając, wspiął się po schodkach wiodących na ganek i zadzwonił do drzwi. Następnie, przyjąwszy postawę zaprawionego w bojach funkcjonariusza, z rękami założonymi na plecy i lekko rozstawionymi nogami, przygotował się na spotkanie z lodowatą pogardą jakiegoś kamerdynera, obrażonego tak wczesną porą wizyty. W każdym razie, choćby miał stawić czoło armii rozwścieczonej służby i wtargnąć do sypialni pani Lansbury, by ją osobiście obudzić, porozmawia ze staruszką i zmusi ją, żeby wyznała, na czym polegała jej rola w tym szachrajstwie.

Zaskoczyło go, że otworzyła mu sama pani Lansbury, a poza tym że zrobiła to prawie natychmiast, jakby czekała tuż za drzwiami. Jednak to nie zdziwiło go aż tak bardzo, jak jej niezwykle wygląd oraz nie

mniej niezwykle zachowanie. Catherine Lansbury uchyliła drzwi zaledwie na kilka centymetrów - tyle, by wytknąć przez szparę zmierzwioną małą głowę. Piękny kok, który miała upięty poprzedniego wieczoru, zburzył jej się zupełnie i na oczy spadało kilka siwych kosmyków. Staruszka stała tak, obydwoma rękami trzymając krawędź drzwi, a tymczasem agent rozluźnił się, zmienił postawę nadającą mu nieustraszony wygląd i zdjął kapelusz, nagle czując się cokolwiek głupio pod tym osłupiałym wzrokiem, w którym przez parę sekund strach mieszał się z zaskoczeniem, po czym przeszedł w rozczarowanie, by na koniec ustąpić spojrzeniu niemal taksującemu. Pani Lansbury kilka razy otwarła i zamknęła usta, jakby nie potrafiła wyrazić słowami wirującej w jej głowie karuzeli emocji i myśli. Gdy się wreszcie opanowała, ucięła nieśmiałe powitanie Claytona porywczym gestem nakazującym milczenie, ostrożnie wysunęła się na ganek i badawczo zlustrowała wzrokiem ulicę. Następnie chwyciła agenta za ramię, zmusiła go, żeby wszedł do środka, i pośpiesznie zamknęła za nim drzwi.

Clayton, onieśmielony energiczną gestykulacją, z jaką starsza pani żądała od niego milczenia, podążył za nią przez pogrążony w półmroku korytarz, tłumiąc w sobie niedorzeczną pokusę, by stąpać na palcach, i tak dotarli do drzwi, przez które przeszli oboje. Podczas gdy pani Lansbury zamykała je na klucz i upewniała się kilkakrotnie, czy porządnie to zrobiła, a potem sprawdzała, czy okna są zaryglowane od wewnątrz, agent z ciekawością przyglądał się małemu gabinetowi, w którym się znalazł, korzystając z tego, że pomieszczenie było znacznie lepiej oświetlone niż korytarz. Umieblowano je prosto, lecz gustownie, dwa duże okna przypuszczalnie wychodziły na ogród, a przed nimi widniało urocze biurko zasłane zapisanymi odręcznie papierami, teczkami i przyborami piśmienniczymi, w rogu zaś dominował wazon z kilkoma różami, zapewne całkiem niedawno ściętymi. Pośrodku pokoju samotnie stał stolik, na którym ktoś rozstawił wytworny serwis herbaciany. Po dokonaniu gruntownych oględzin pani Lansbury rozejrzała się jak nerwowa myszka, zapominając o obecności agenta, więc poczuł się zmuszony odchrząknąć.

- Ehem... pani Lansbury...

Staruszka spojrzała na niego, mrugając.

- Och! Proszę wybaczyć, nie spodziewałam się pana... - szepnęła.

- Ale spodziewała się pani kogoś tak wcześniej? - zapytał Clayton ze zdumieniem, wskazując serwis herbaciany i również mówiąc szeptem.

- O, tak, tak... Spodziewałam się pewnej osoby. Bardzo ważnej. Poleciłam ją wezwać już jakiś czas temu. Całą noc zastanawiałam się nad tym, czy to zrobić, czy nie, i w końcu o świcie wysłałam moją wierną służącą Doris do domu tej osoby z pilną wiadomością, w której... błagałam o przybycie. Ale ten ktoś nie przyszedł ani nie odpowiedział na moją wiadomość. Nie wróciła też moja pokojówka... O, moja droga Doris! Jeśli coś jej się przydarzyło z mojej winy, nigdy nie będę mogła... Wie pan, nie mam więcej służących. Nie mogę sobie na to pozwolić. Wszystkie moje pieniądze idą na... Tak więc jedynie Doris troszczy się o mnie. Może nie powinnam była zlecać jej szukania... Chociaż... co innego mogłabym zrobić? - Spojrzała na agenta błagalnie. - Niech mi pan powie: co mogłam zrobić? Nie przyszło mi na myśl inne rozwiązanie. On mnie znalazł, wie, gdzie się ukrywam, i nie zostało mi już wiele czasu. - Staruszka znowu nerwowo potoczyła wzrokiem dookoła i szepnęła sama do siebie: - Nie, nie zostało mi już wiele czasu...

- Pani Lansbury, obawiam się, że nie rozumiem...

- Nie przypominam sobie pana imienia, chłopcze - przerwała mu, ponownie kierując na niego spojrzenie. Żelazna wola tych oczu, wciąż niepasujących do roztrzęsionej, zniedołężniałej właścicielki, znów zaskoczyła agenta.

- Jestem agent Cornelius Clayton, z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Poznaliśmy się wczoraj wieczorem podczas seansu...

- O, doskonale pamiętam, gdzie się poznaliśmy, chłopcze! Tylko zapomniałam, jak się pan nazywa. Nie jestem zgrzybiałą purchawką. Jest pan młodzieńcem o złamanym sercu. Znam pana lepiej, niż pan sądzi. O, tak, znacznie lepiej... Ale proszę, niech pan usiądzie. Napije się pan herbaty?

Nie czekając na jego odpowiedź, pani Lansbury usiadła i drżącą ręką zaczęła nalewać herbatę, a jednocześnie lekko poruszała ustami, jakby recytowała modlitwę. Clayton zajął miejsce z największą ostrożnością, żeby nie trącić stolika szpiczastymi kolanami i nie rzucić filiżanek na podłogę.

- Niech pan się poczęstuje ciasteczkami, chłopcze - powiedziała staruszka, podsuwając mu talerz ze słodkościami. - Ciasteczka Kempa są pyszne. Wypiekane z dodatkiem masła i anyżu, nigdy nie kosztowałam smaczniejszych. Uwielbiam je. Wie pan, tam, skąd pochodzę, ta marka nie istnieje. Cóż, szkoda, że je odkryłam tak późno, bo mogłam się nimi cieszyć zaledwie przez kilka lat... Zobacz pan... - Próbowała uśmiechnąć się dzielnie, choć Clayton zauważył, że zadrżała przy tym. - Obawiam się, że dziś jem je po raz ostatni.

- A to dlaczego, pani Lansbury? - zapytał zdziwiony agent.

Przez kilka sekund patrzyła na niego w milczeniu, znów tym taksującym spojrzeniem, jakby go oceniała, rozważała jego przydatność.

- Ponieważ znalazł mnie Zły, chłopcze - odrzekła w końcu tak cicho, że Clayton musiał się nachylić nad stolikiem, żeby ją usłyszeć. - I zabije mnie.

- Zły?

Staruszka przykazała mu gestem, żeby ściszył głos.

- Tak, Zły. Każda szanująca się historia ma swój czarny charakter, prawda? I nasza też go ma - przypomniała z melancholią. - Najgorszego łotra, jakiego można sobie wyobrazić. A teraz idzie, żeby mnie zabić.

- Jeżeli chodzi o człowieka, który panią zaatakował w domu Lady Amber, zapewniam panią, że z jego strony nic pani nie grozi: jest za kratkami - rzekł Clayton, próbując ją uspokoić.

- Za kratkami? - Staruszka roześmiała się współczująco, jakby ją poruszyła naiwność agenta. - Żadne więzienie nie zdoła zatrzymać Złego, synu. Żadne.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałam! Myśli pan, że mówię kalamburami? Zabije mnie i nie będzie z tym zwlekał. Więc niech się pan nie odzywa. Nie mamy czasu. Proszę tylko słuchać - rozkazała szorstko.

Zdecydowanym ruchem strząsnęła sobie z ubrania okruchy ciastek, wyjęła z zaciśniętej pięści mały kluczyk i podeszła do sekretery. Otworzyła jedną z szufladek i wróciła z książką, którą następnie z przedziwną powagą wręczyła agentowi.

- Co to jest? - zapytał ostrożnie.

- Bierz ją pan. No, już!

Wziął tom do rąk. Książczyna była mała, niewiele większa niż mszał, oprawna w ciemną skórę, a na jej przedniej okładce widniała wygrawerowana na złoto gwiazda o ośmiu ramionach przypominających strzały. Pod nią również na złoto wytłoczono litery układające się w napis: *Mapa chaosu*. Clayton z zaciekawieniem przekartkował książkę, przerzucając jej strony jak wachlarz. Zapełniono je odręcznym pismem, zabazgrano czymś, co wyglądało na skomplikowane wzory matematyczne, z którymi gdzieś gdzieś przeplatały się dziwne rysunki geometryczne. Agent spojrzał zdumiony na staruszkę, a ta zbliżyła się i położyła mu rękę na ramieniu. Zadrżała gwałtownie, jak liście drzewa na jesiennym wietrze, ale z jej wzroku biła odwaga, a głos brzmiał spokojnie.

- Na kartach tej książki zapisane jest ocalenie świata. Świata, który pan zna. - Rozwarła ramiona, wskazując na otoczenie, a potem popatrzyła na niego z powagą. - A także wszystkich tych, które można sobie wyobrazić. Ponieważ powinien pan wiedzieć, synu, że cały wszechświat znalazł się w niebezpieczeństwie. Więc niech mnie pan posłucha, agencie Clayton z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu: mężczyzna, który pojawił się wczoraj na seansie spirytystycznym, szuka tej książki, by ją zniszczyć. Jest złym człowiekiem, już wcześniej zabijał i nie zawaha się znów tego zrobić. Zamordował mojego męża... - Głos jej się załamał na moment. - Ale mnie udało się uciec i uratować książkę... Przez cały ten czas starałam się kontynuować plan, który mój mąż i ja opracowaliśmy, żeby ocalić świat. Ale Zły znalazł mnie, zanim dokończyłam dzieło. I już nie mam czasu. Zatem od tej pory wszystko zależy od pana.

- Ode mnie? - zdumiał się Clayton.

Staruszka ze smutkiem kiwnęła głową.

- Obawiam się, że tak, synu. Zaufać mogę tylko innej osobie, tej, po którą posłałam kilka godzin temu. Lecz ona nie przybyła, nie wiem dlaczego... A ja już nie mam czasu. Może powinnam była wezwać ją wcześniej, lata temu, kiedy tutaj przybyłam. Tak, może to błąd, że nie zrobiłam tego. Może mój mąż i ja myliliśmy się, stawiając wszystko na współrzedne malstromowe... Tak, zapewne myliliśmy się w wielu sprawach, choć to już nieważne... Jedyne, co teraz ma znaczenie, to ratować tę książkę. Niech pan jej strzeże, agencie Clayton. Powinien pan ją chronić, w razie potrzeby ryzykując życie, i przekazać ją tym, którzy przybędą z Drugiej Strony, a...

- Tym, którzy przybędą z Drugiej Strony? - przerwał jej Clayton, nie potrafiąc ukryć zniecierpliwienia. - Ale... o kogo chodzi? I czym dokładnie jest ta książka? I w jakim niebezpieczeństwie znalazł się wszech...?

- Nie wie pan, że to bardzo nieładnie przerywać starszym? - zezłościła się staruszka. - Myśli pan może, że wręcę panu coś tak cennego bez wyjaśniania, co to jest i co należy z tym zrobić? Czy nie mówiłam, że istnieje plan, chłopcze?

- Ja... przepraszam - mruknął Clayton skruszony.

Nagle gdzieś na górze rozległ się głośny hałas. Starsza pani uniosła ku sufitowi szeroko otwarte oczy, a jej twarz pobladła jak śnieg.

- Już tu jest! - zawołała drżącym głosem. - Zły przyszedł, żeby mnie zabić.

Clayton również usłyszał rumor. Wstał i jednocześnie wyjął rewolwer.

- Nie, jeśli do tego nie dopuszczę - uspokoił ją.

Schował książeczkę do kieszeni płaszcza i skierował się do drzwi, a wystraszona pani Lansbury podążyła za nim. Otworzył je bezgłośnie, ostrożnie wyszedł na korytarz i zamknął za sobą, zostawiając staruszkę w środku.

- Niech się pani zamknie na klucz - polecił szeptem - i nie otwiera, dopóki...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, usłyszał, jak staruszka przekręca klucz w zamku. Uśmiechnął się na tę jej niezwykłą gorliwość. Odwrócił się z rewolwerem gotowym do strzału i przyjrzał się schodom ginącym w gęstej ciemności górnej kondygnacji. Jeszcze nie wiedział, co myśleć o tej ekscentrycznej staruszce, lecz jedno było pewne: ktoś dostał się do jej domu, przypuszczalnie przez okno. Sam słyszał łomot wywołany jakimś uderzeniem o podłogę na piętrze. I jeśli pani Lansbury nie zatrudnia więcej służby prócz rzeczonyj Doris - na co wskazywał kurz nagromadzony na barierce schodów, a także barokowe pajęczyny rozpięte między balaskami - ten dźwięk mógł być spowodowany wyłącznie przez intruza. W każdym razie, kimkolwiek on jest, nie wie, że agent tu się znajduje, dlatego Clayton liczył na element zaskoczenia. Ostrożnie zaczął się wspinać na schody, starając się, żeby skrzypnięcie stopni nie zdradziło jego obecności. Jednak natychmiast zrozumiał, że taka zapobiegliwość w ogóle nie jest potrzebna, ponieważ z góry dobiegały hałaśliwe stuki i inne ostre odgłosy, jakby intruz zajął się przeszukiwaniem jednego z pokoi, nie zachowując przy tym najmniejszej ostrożności. Clayton przyśpieszył kroku i wszedł na piętro, gdzie ciągnął się długi korytarz oznaczony licznymi drzwiami.

Staruszka zapewne poruszała się w ciemności z łatwością ślepego, ponieważ jej rezydencja, z wyjątkiem gabinetu, na stałe pogrążona była w zawieszonym mroku. Światło poranka przesączające się przez rozetowe okno na klatce schodowej, strzępiące się na niebieskie, czerwone i zielone nitki, pozwalało mu przemieszczać się bez świeczki czy lampki, ale okazało się niewystarczające, by wyraźnie widział otoczenie. Starając się nie wpadać na meble tarasujące przejście, Clayton wyteżył słuch i zaraz zlokalizował drzwi, zza których dochodziły niepokojące trzaski. Przesunął się na bok, przelożył broń do metalowej ręki, żeby drugą móc manipulować klamką, i zaczął powoli otwierać. Jego oczom z wolna ukazał się widok tonącego w półmroku pomieszczenia. Po meblach, rysujących się zaledwie jako posępne, niewyraźne bryły, wywnioskował, że jest to sypialnia staruszki. Lecz z miejsca, gdzie się znajdował, widział

jedynie część pokoju; druga, w której musiał czaić się intruz, pozostała ukryta za skrzydłem drzwi. Wtem dostrzegł jego sylwetkę odbitą w lustrze usytuowanym pomiędzy łóżkiem a wybitym oknem. Clayton patrzył na niego w milczeniu, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Tamten zwrócony był do niego plecami, skupiony na plądrowaniu szuflad komody. Agent stwierdził, że włamywacz ma podobną budowę ciała do postaci, która pojawiła się w domu Lady Amber. Ale skoro on sam, zanim wyszedł, dopilnował, by sir Blendella zamknięto w celi, jak to możliwe, że jest on teraz tu, u pani Lansbury? A jeśli to nie on, to kto? - zastanawiał się zaskoczony. Jednak najbardziej zdziwiło go, że przez sylwetkę tamtego przezierały części komody, a nawet tapety na ścianie, tyle że bardzo niewyraźnie, jakby widziane przez poruszaną wiatrem firankę. Tymczasem intruz przeklinał pod nosem, coraz bardziej wściekły, a należące do staruszki przedmioty jeden po drugim lądowały w nieładzie u jego stóp. Potem włamywacz przeszedł do sąsiedniego pokoju przez drzwi, których agent nie widział.

Clayton podążył za nim, ale skorzystał z korytarza; namierzył odpowiednie drzwi i otworzył je tak samo ukradkiem jak poprzednie. W głębi pokoju dostrzegł ciemną postać zajętego czymś intruza i ruszył ku niemu powoli, mierząc doń z rewolweru. Jednak gdy zbliżył się do niego na kilka kroków, blask bijący z ulicy ukazał mu, że celuje w urządzenie z kółkami zębatymi, z którego wystają dwa mechaniczne ramiona, zakończone odpowiednio miotłką i kawałkiem zamszu. Zanim agent zdążył sobie uświadomić, że intruz włączył Mechanicznego Służącego staruszki, nieoczekiwanie przechyliła się w jego stronę stojąca przy sąsiedniej ścianie masywna biblioteczka. Wyciągnął rękę, chcąc podtrzymać walący się mebel, ale ten był zbyt ciężki i runął, przygniatając go brutalnie do podłogi. Clayton poczuł, że zaraz popękają mu żebra, a jednocześnie usłyszał dziki śmiech oddalający się, w miarę jak jego właściciel śpieszył dokąds po wyjściu z pokoju. Zapadła cisza. Przez kilka minut agent leżał nieruchomo, oszołomiony nagłym ciosem. Straciłby przytomność, gdyby miotłka Mechanicznego Służącego nie przecierała mu uporczywie twarzy. To go ocuciło i stopniowo zaczął się zastanawiać, jak się wydostać spod masywnej szafy. Przeklinając się za to, że wpadł w tak głupią pułapkę, nadstawił uszu: włamywacz



schodził na parter; zaraz potem dało się słyszeć, jak hałasuje na dole - w przyplýwie wściekłości otwiera drzwi albo w nie wali pięściami.

- Gdzie się schowałaś, do cholery? Jeszcze się nie nauczyłaś, że nikt cię przede mną nie obroni? Wiesz, czego chcę. Daj mi to, a może zabiję cię bezboleśnie!

Zaskoczony bijącą z jego głosu zwierzęcą furią, Clayton zrozumiał, że wcześniej czy później intruz natrafi na drzwi, które się nie otworzą - drzwi gabinetu pani Lansbury. Bojąc się o życie staruszki, którą przyrzekł chronić, zacisnął zęby i mimo dojmującego bólu, nadal napierał na regał, a jednocześnie stale nasłuchiwał odgłosów z parteru, gdzie intruz najwyraźniej porywał i strącał wszystko, co znalazł na swojej drodze. Aż rozległ się jego triumfujący śmiech.

- A, tu się ukrywasz! Otwórz, przeklęta starucho!

To podziałało na Clayтона jak ostroga - najwyższym wysiłkiem zdołał się wydostać spod szafy, pełznąć żałośnie po podłodze niczym dopiero narodzone ciele. Uwolnwszy się, agent wstał z ogromnym trudem, wściekłym kopnięciem posłał na bok Mechanicznego Służącego i niezdarnie, jakby się poruszał na szrudłach, wyszedł na korytarz. Strasznie zamroczony zaczął mozolnie zstępować po schodach, opierając się na barierce, a tymczasem włamywacz z brutalną siłą szarżował na drzwi gabinetu staruszki, atakując je to pięściami, to kopniakami. Clayton zdołał pokonać zaledwie kilka stopni, kiedy usłyszał trzask rozłupywanych desek, a zaraz potem okrzyki strachu pani Lansbury. Zdając sobie sprawę, że Zły rzuci się na nią, zanim on zdąży zejść na dół, zaparł się łokciami o poręcz i wycełował w nieznajomego.

- Stój! - wykrzyknął władczo, z największą pewnością siebie, na jaką go było stać. - Podnieś ręce i poddaj się!

Jego wołanie utonęło w nieludzkim ryku włamywacza. Wobec tego agent podniósł broń i wystrzelił w sufit. Huk uprzytomnił tamtemu, że ktoś celuje do niego ze schodów. Clayton patrzył, jak nieznajomy napina ciało. Jednak zamiast odwrócić się z podniesionymi rękami, jak się spodziewał agent, po chwili wahania rzucił się do ucieczki w stronę wyjścia. Niemniej korytarz był długi i prosty, toteż Clayton,

znajdujący się w dogodnym punkcie obserwacyjnym, wymierzył ze spokojem. Jakby odbywał ćwiczenia na strzelnicy, naprowadził muszkę rewolweru na plecy intruza i nacisnął spust. Nie chciał tamtego zabić, tylko przeszkodzić mu w ucieczce, toteż obniżył broń o kilka centymetrów i dopiero wtedy strzelił. Włamywacz przystanął nagle w biegu i sięgnął ręką do tylnej części uda, gdzie trafiła go kula. Nie zatrzymało go to jednak na dłużej niż kilka sekund. Zaraz potem, jakby ogarnięty jakąś potworną furją, która sprowadzała ranę postrzałową do małej uciążliwości, popędził dalej - tym razem zakosami, miotając przekleństwa. Claytonowi udało się zejść ze schodów bez upadku, po czym pobiegł korytarzem do drzwi wejściowych, które staruszka przedtem odmykała z taką ostrożnością, a teraz otwartych na oścież, i wyszedł przez ganek na ulicę.

Spojrzał na prawo i lewo, ale ku swemu zdziwieniu nie dostrzegł ani śladu nieznanego. Jak ranny zdołał tak szybko przebiec ulicę i zniknąć z pola widzenia, wlokąc za sobą postrzeloną nogę? Clayton obrócił się kilka razy wokół siebie, aż znów stanął przodem do domu staruszki. W ciszy przypatrywał się otwartym drzwiom. Czyżby tamten nadal znajdował się w środku? Wówczas na stopniu wieńczącym schody ganku zaczęło się dziać coś dziwnego: przed oczami agenta nikał pojawiła się wielka plama krwi, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka namalowała ją właśnie w tej chwili. Odnosząc wrażenie, że jest świadkiem magicznej sztuczki, Clayton ze zdumieniem patrzył, jak krwawy kleks powiększa się na drewnie, przyjmując kształt rozdeptanego kraba. Zaledwie sekundę później na drugim stopniu ukazała się nagle następna plama, a na trzecim kolejna i wkrótce w stronę agenta ruszyła czerwona strużka przypominająca krwawy lont; następnie przeszła pod jego nogami i zmusiła go, by się odwrócił, jeśli chciał nadal obserwować to niezwykle kwitnienie. Zjawisko zatrzymało się tak nagle, jak się rozpoczęło, kilka metrów za miejscem, w którym stał Clayton. Przyjrzał się krwawemu śladowi urywającemu się na środku ulicy i odwróciwszy się znów w stronę domu, zaczął podążać za tropem. Zdumiony stwierdził, że łańcuszek plam znaczy drogę ucieczki tamtego typu, niczym płatki róż wskazujące, którą przeszła baśniowa księżniczka. Największa plama brudziła ten odcinek

korytarza, na którym włamywacz otrzymał postrzał, a towarzyszyły jej rzucające się w oczy zachłapania na kolumieście. Agent mógłby przysiąc, że przedtem żadnego z nich tu nie było. Potrząsnął głową i zmusił się, żeby na chwilę zapomnieć o tej tajemnicy i skupić się na staruszce, która zapewne czeka w napięciu po drugiej stronie na wół roztrzaskanych drzwi gabinetu.

- Pani Lansbury, niech pani otworzy! - zawołał uspokajającym tonem, gdy podszedł do wejścia. - To ja, agent Clayton. Intruz uciekł.

Ale z wnętrza gabinetu nie dobiegła żadna odpowiedź.

- Pani Lansbury?

Wciąż milczenie. Powtórzył jej nazwisko kilka razy, a ponieważ nadal nie było odzewu, pośpiesznie dokończył wyważanie drzwi, co nie okazało się zbyt trudne. Wpadł do pokoju, bojąc się, że znajdzie leżące na podłodze poranione ciało starszej pani, ale nikogo nie dostrzegł. Zdezorientowany przeszukał wzrokiem gabinecik, starannie oglądając każdy zakamarek. Biurko, stolik z serwisem herbacianym, podobno pyszne ciasteczka Kempa... Wszystko było na miejscu; brakowało tylko staruszki. Sprawdziwszy, że w zamku wciąż tkwi klucz, a okna są zaryglowane od wewnątrz, Clayton przeczesał pokój, przemierzając go długimi, rozpaczliwymi krokami, ale nie znalazł w nim żadnej kryjówki. Jak pani Lansbury zdołała opuścić gabinet? Kto mógł ją zabrać, jeśli drzwi były zamknięte od środka? Obracając się wolno wokół siebie niczym dziecięcy bąk, zaczął ponownie kontrolować pomieszczenie, przekonany, że coś mu umknęło. Nagle poczuł nasilające się mdłości i zrozumiał, że owe zawroty głowy nie mają nic wspólnego z tym, że go przygniotła biblioteczka. Nie, te nudności były inne, choć zarazem znajome. I wiedział, że to nastąpi znowu.

- Nie, nie teraz... - zaklął.

Zdanie zawisło w powietrzu niedokończone. Clayton stracił przytomność, a kiedy się osuwał na podłogę, strącił z biurka wazon. Leżał tam, w pustym pokoju, oderwany od życia, podczas gdy reszta świata przygotowywała się do konfrontacji z misterium nowego dnia.

Ciemność pachniała świeżo ściętymi różami.

## VII

**A**le nie zawsze tak było. Za pierwszym razem ciemność zwała się na niego, spowijając go nieprzyjemnym odorem końskiego łajna, ponieważ zemdlał w cuchnącym zaułku i uderzył głową w zanieczyszczone kamienie brukowe. Za drugim razem opadała wolno jak stara kurtyna, wydzielając woń zakurzonej tkaniny, drewna i świeżo polerowanej skóry, gdyż stracił przytomność w teatrze, osuwając się niemal zmysłowo z fotela na miękki dywan. Po tamtych omdleniach nastąpiło osiem kolejnych, każde przesiąknięte innym zapachem, aż do aromatu białych róż. To był pierwszy raz, kiedy zasnął podczas pracy.

Pierwsza z owych podróży - bo tak je nazywał: podróżami, nie omdleniami - zdarzyła się tego samego dnia, kiedy go wypisano z Guy's Hospital, gdzie został przyjęty, aby wydobrzeć po okaleczeniu. Ignorując rady pielęgniarek, Clayton wyruszył na miasto, nawet nie czekając na Sinclaira, który zaproponował, że go zabierze do swojego domu, by dokończył rekonwalescencję pod czujną opieką pani kapitanowej. Wyszedłszy ze szpitala, jak gdyby chciał zaznaczyć kolejny krok swojego małego buntu, postanowił nie brać dorożki i pomaszerował pieszo do swego skromnego mieszkania przy Milton Street. Po drodze niemal ostentacyjnie machał okaleczonym ramieniem, nie zwracając uwagi na współczujące spojrzenia przechodniów ani na przejmujące zimno, które mroziło jego fantomowe palce - palce, które wciąż czuł i których nigdy nie będzie już mógł ochronić żadną rękawiczką. Koniecznie chciał się uwolnić od tych kleistych pajęczyn, które spowijały jego mózg przez prawie trzydzieści dni, kiedy zażywał opiaty, a także rozruszać swoje nabrzmiałe ciało. A jednak szybko tego pożałował: było za zimno,

bolały go nogi, fantomowy ból utraconej ręki dręczył go okropnie, a jemu z każdym krokiem bardziej kręciło się w głowie. Skierował się w jakiś zaułek i nabral pewności, że ktoś go śledzi. Wiedział to, chociaż się nie odwrócił ani nie słyszał dobiegającego z tyłu żadnego hałasu. Nagle w środek żołądka wbił mu się lodowaty hak i pociągnął go do góry, tak że agent nic nie mógł zrobić. Nie poczuł upadku ani uderzenia o bruk; tylko ciemność i woń końskich odchodów.

Wtedy po raz pierwszy śnił o Valerie.

Ocuciło go irytujące poklepywanie po policzku. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą spoglądającego nań z troską elegancko ubranego dżentelmena, człowieka w średnim wieku, o miłej twarzy, w której nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie zdobiąca ją czarna bródka, jakby narysowana kawałkiem węgla, a także gdyby nie ekstrawaganckie złote okulary. Mężczyzna przedstawił się jako doktor Clive Higgins i wyznał, że szedł za nim przez kilka ulic, zaalarmowany jego chorobliwą bladością i niestabilnym chodem. W momencie kiedy przyśpieszył kroku, żeby go zapytać, czy nie czuje się źle, on zemdlał. Clayton wymamrotał coś o tym, że właśnie wypisano go ze szpitala, i poprosił, by mu pozwolono pójść w swoją stronę; zapewnił, że już mu lepiej i że jego dom jest niedaleko. Oba te zapewnienia były kłamstwem, lecz pragnął jak najszybciej zostać sam z dziwnymi pięknymi wizjami, które sen pozostawił mu w głowie, by rozkoszować się nimi, zanim znikną. Doktor Higgins zgodził się nie przeszkadzać mu, jednakże nie bez ostrzeżenia - z nadzwyczajną powagą oznajmił, że młodzieniec potrzebuje pomocy, a on może mu ją zapewnić. Potem wetknął mu w dłoń wizytówkę w kolorze kremowym, ze złotymi brzegami, na której widniało jego nazwisko, adres gabinetu oraz tajemniczy tytuł: „Lekarz neurolog, specjalista w dziedzinie psychoanalizy i wszelkich przypadłości duszy”.

Przyrzekłszy, że go odwiedzi, Clayton pośpieszył do domu. Kiedy tam dotarł, zdrową ręką nasypał do miseczki potrójną dawkę tabletek nasennych, które mu wręczono w szpitalu, przepchnął je przez gardło, popijając łykiem brandy, i z rozszalałym sercem położył się do łóżka, nawet nie zdejmując płaszcza. Tak bardzo pragnął odzyskać swój piękny sen w tym samym punkcie, w którym go opuścił, że nie było dlań ważne, iż po takiej ilości leków może się już nie obudzić. Ale

nie udało mu się ponownie śnić o hrabinie. Nie przy tej okazji. Ocknął się kilka godzin później ze straszliwym bólem głowy i dręczącym kacem po przedawkowaniu tabletek.

Musiało minąć dwanaście dni, zanim znów mu się przyśniła, tym razem w teatrze. Ten sam lodowaty hak w żołądku, to samo wrażenie nagłego zawieszenia w próżni, ten sam zawrót głowy i ta sama nagle zapadająca ciemność. A także ten sam sen, tak cudowny i żywy, że kiedy Clayton się ocknął, świat wydawał mu się bardziej oniryczny niż jakiegokolwiek śnienie, przynajmniej przez kilka godzin. I tydzień później wrócił, akurat gdy agent przygotowywał sobie herbatę, co skończyło się tym, że filiżanka roztrzaskała się na podłodze kuchni, a obok niej wylądowało jego nieprzytomne ciało. Nigdy jednak nie zdołał celowo przywołać tamtych snów. Próbował z tabletkami, z alkoholem, z kombinacją jednego i drugiego, pozostając cały dzień w łóżku i recytując z pamięci nudne paragrafy kodeksu karnego albo leżąc na kanapie w salonie i słuchając muzyki aż do świtu. Ale na próżno. Nigdy mu się nie przyśniła, gdy spał snem zwykłych ludzi, by ująć to w jakiś sposób. Nie, ten nadzwyczajny sen nawiedzał go tylko podczas owych przeklętych omdleń, owych głupich omdleń, owych błogosławionych omdleń, które wcześniej czy później ściągną na niego kłopoty. Dlatego nauczył się zarówno ich wyczekiwać, jak i lękać.

I nie było żadnej reguły, niczego, co mógłby przestudiować. Mogło mu się to przydarzyć w każdym momencie, w najmniej spodziewanych sytuacjach, bez względu na to, gdzie się znajdował. Wszystko jedno, czy był zdenerwowany, czy rozluźniony, czy szedł, czy siedział, sam czy w tłumie. Przychodziło ni stąd, ni zowąd: najpierw leciutki zawrót głowy, a potem to nagłe szarpnięcie w żołądku, po którym osuwał się bez przytomności. Podróże, tak to nazywał. A jak inaczej miałby je określić? Ostatecznie, choć jego ciało leżało w tym samym miejscu, gdzie spadło, nieruchome jak melancholijna sterta brudnych ubrań, umysł ulatywał daleko i zawsze trafiał w ten sam punkt.

Ale choć nigdy nie był tak szczęśliwy jak wtedy, kiedy się to działo, owe dziwne omdlenia wkrótce zaczęły go martwić. Pojawiały się z taką częstotliwością, że Clayton musiał przyznać, iż nie da się ich

traktować jako błałych wypadków, lecz trzeba o nich myśleć jak o niedwuznacznym sygnale, że zmieniło się w nim coś istotnego, że jego dusza nie jest już taka sama jak przedtem.

Jednak najbardziej zmartwiła go ostatnia z jego podróży, ponieważ doszło do niej w trakcie śledztwa. On, uznany agent Cornelius Clayton, zemdłał w samym środku miejsca przestępstwa. Co powie Sinclair, gdy się dowie? Co pomyślą zwierzchnicy? I jak długo jeszcze będzie ukrywał te nagłe zapaści? Bo tym razem to doprawdy cud, że nikt go nie znalazł śpiącego w gabinecie staruszki, dzięki czemu mógł ukryć ten haniebny wypadek w raporcie, który złożył, ale następnym razem może nie będzie miał tyle szczęścia. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby odkryto, że cierpi na regularne omdlenia. Przypuszczalnie zwolniono by go ze służby, wysłano do lekarza i nie pozwolono mu wykonywać pracy, dopóki nie ustalono by, jaką dziwną chorobę kryje w środku. A co on by wówczas robił, nie mając nic do zajęcia umysłu? Oszalałby, to pewne. Praca była jedynym uspokojeniem, jakie znał jego mózg. Tylko kiedy zagłębiał się w śledztwie, ogarnięty obsesją na punkcie szczegółów, rozważając hipotezy i przypuszczenia, był w stanie przestać o niej myśleć. Czy raczej prawie.

Na przykład podczas dochodzenia w sprawie Lady Amber ledwie sobie przypominał o hrabinie i to, że śledztwo początkowo nie przedstawiało się tak interesująco, jak rozwinęło się z czasem, okazało się fascynujące. Rutynowa weryfikacja i proste podejrzenie o oszustwo nagle zamieniły się w niezwykłą zagadkę, prawdziwą gratkę dla spragnionego wyzwania umysłu. Na fałszywym seansie spirytystycznym niespodziewanie pojawił się duch zabójcy, a ponadto kilka godzin później ten sam duch podążył za jedną z tam obecnych osób do jej domu, by ukraść tajemniczą książkę, która podobno zawiera przepis na ocalenie świata.

Tej samej nocy, nad ranem, pani Lansbury wysłała swoją jedyną służącą na poszukiwanie pewnej tajemniczej osoby. Nikt się jednak nie stawiał na jej wezwanie. I teraz Clayton wiedział czemu: nieco później w pobliskim zaułku agencji Scotland Yardu znaleźli zwłoki biednej Doris, tak straszliwie rozszarpane, że przerazili się nawet zahartowani policjanci. A przy zamordowanej kobiecie nie było

żadnej wiadomości. Pora zgonu wskazywała na to, że zabójca dopadł służącą, zanim zdążyła dostarczyć liścik, i wydarł go jej, tak że adresat nigdy się nie dowiedział o niepokoju, z jakim wyczekiwała go staruszka, Clayton zaś nie miał sposobu na to, by wywnioskować, o kogo, u licha, chodzi.

Dalsze dochodzenie ujawniło, że pani Lansbury nie prowadziła żadnego życia towarzyskiego wykraczającego poza jej zamiłowanie do spirytyzmu. Agenci musieli się zadowolić przesłuchaniem osób najczęściej bywających na seansach. Jednak żaden z tych ludzi nie miał z tą ekscentryczną staruszką więcej do czynienia, niż wymagało dobre wychowanie, co raczej wykluczało ich jako odbiorców jej wiadomości. Poza tym nie znano jej krewnych ani przyjaciół. Catherine Lansbury pojawiła się w londyńskiej społeczności znikąd kilka lat temu. Wiadomo było, że jest właścicielką sporej fortuny, ponieważ posiada patent na Mechanicznego Służącego, ale nikt nie zdołał dowiedzieć się o niej niczego bliżej prócz tego, że była wdową i przybyła z bardzo daleka - zdumiewający fakt, jeśli się wzięło pod uwagę jej nienaganny londyński akcent. Ostatnie plotki głosiły, że roztrwonila fortunę na swoją obsesję na punkcie zaświatów i że jest tylko kwestią czasu, gdy ją dopadną wierzyciele. Mimo wszystko nie wyglądało na to, żeby staruszka porzuciła swe kosztowne zamiłowanie, a ponadto - według zebranych zeznań - nie uczestniczyła nawet w rzeczonych seansach w poszukiwaniu konkretnego kontaktu, jak to niektórzy mieli w zwyczaju. Na przykład nigdy nie przedłożyła prośby o rozmowę ze swoim zmarłym mężem, a kiedy pewne sprytne medium obwieściło jej entuzjastycznie, że do pokoju zawitał duch jej małżonka i pragnie z nią porozmawiać, pani Lansbury potrząsnęła pomarszczoną dłonią, jakby jej powiedziano nietrafione pochlebstwo, i odparła:

- Nie wierzę. Mój mąż wie aż nadto dobrze, że nie chcę z nim mówić. Tak czy inaczej, to nie jego szukam. Szukam innych. Zaczekam.

A potem siedziała cicho, czekając na tych, którzy najwyraźniej nigdy nie przybyli. Czy chodziło jej o „tych, którzy przybędą z Drugiej Strony”, dla których przypuszczalnie przeznaczona była książka? A co do tego obcego, który ją próbował okraść - kim był? Jak się pojawił



na seansie? I jak to zrobił, że zniknął tak nagle na ulicy, zostawiwszy po sobie krwawy ślad, który stał się widoczny dopiero kilka minut później? Ale nade wszystko jak staruszka zniknęła z pokoju zamkniętego od środka? Za dużo pytań bez odpowiedzi. Pytań, owszem, wytrącających z równowagi, choć zarazem zbawiennych. Pytań, które zaprzętały uwagę agenta, ratując go przed nim samym.

Clayton nie był skłonny pozwolić, by się od niego oddaliły. Potrzebował tych pytań albo jakichś podobnych, ponieważ niczym mur utrzymywały w ryzach tę hordeę dzikich przemyśleń, które gdyby je puścić wolno, najechałyby jego umysł i w końcu go spustoszyły. Dlatego nie pozostawało mu nic innego, jak ukrywać omdlenia. Żaden zwierzchnik nie mógł się o nich dowiedzieć, zwłaszcza kapitan Sinclair. I jeśli oznaczałoby to koniec snów o Valerie, będzie się musiał z tym pogodzić - rzekł sobie, gładząc prawą ręką wizytówkę o złożonych brzegach, która przez sześć miesięcy spoczywała zapomniana na dnie kieszeni płaszcza niczym skarb zatopiony w głębinach oceanu, do czasu gdy ją wyłowili tydzień temu.

Odgłos otwieranych drzwi i przyciszone kobiece szepty oznajmiły mu, że poprzedzający go pacjent zakończył wizytę. Clayton wbił pełne obaw spojrzenie w drzwi małej poczekalni, w której się znajdował. Kiedy godzinę temu przyszedł na konsultację do doktora Higginsa, zażywna pielęgniarka poprowadziła go do tej salki długim korytarzem obrzeżonym licznymi drzwiami i zachęciła, aby zostawił kapelusz na wieszaku, usiadł w jednym z foteli i czekał. Zauważywszy jego bladość, zapewniła, że nikt go nie będzie niepokoił, ponieważ nigdy dwaj pacjenci nie przebywają jednocześnie w tej samej poczekalni, co gwarantuje im absolutną dyskrecję. Z tego samego powodu on również nie powinien wychodzić na korytarz, dopóki pielęgniarka po niego nie przyjdzie. Widocznie przypadłości duszy to sprawy delikatne - powiedział sobie agent, gdy został sam.

Przez kilka minut stał jak wrośnięty w ziemię na środku pokoju, po czym postanowił zdjąć kapelusz i usiąść. Zastanawiał się, kim mogą być jego towarzysze z sąsiednich celek, które zdawały się mnożyć w nieskończoność jak ustawione naprzeciwko siebie lustra. Neurasteniczni dżentelmeni przygnieceni nieznośną presją swoich interesów? A może damy dotknięte zieloną anemią, o skórze

w delikatnym zielonkawym odcieniu, niczym leśne wróżki, w które przestało wierzyć jakieś dziecko? Albo też historyczne panny, pilnie potrzebujące męża lub przynajmniej kochanka? I co, u licha, on tu robi, w tej zbieraninie duchowych cierpiętników? W ciągu godziny spędzonej na oczekiwaniu powtarzał sobie to pytanie kilkakrotnie, wstawał i brał kapelusz, by sobie pójść, mimo ryzyka natknięcia się w korytarzu na innego dezertera. Rzecz jasna, za każdym razem wracał na swoje miejsce, nie bardzo wiedząc dlaczego. A teraz nie było już odwrotu. Pomruk głosów przybrał pożegnalną kadencję, a dźwięk domknięcia drzwi wskazywał na to, że doktor właśnie skończył reperować duszę jakiegoś pacjenta. Następnie rozległ się stukot zbliżających się kroków, drzwi salki otwarły się i w obramieniu wejścia stanęła pielęgniarka.

- Proszę, panie Sinclair! - Clayton przeklął się w duchu za kompletny brak wyobraźni, w momencie gdy podawał fałszywe nazwisko. - Już może pan przejść. Doktor Higgins oczekuje pana.

Doktor Higgins miał zwyczaj podczas rozmowy skubać bródkę palcem wskazującym i kciukiem, który to nawyk mógł odzwierciedlać jakąś nieuleczalną przypadłość duszy i bynajmniej nie pomagał Claytonowi w uspokojeniu nerwów. Raczej wywoływał przeciwny efekt, ponieważ agent musiał siłą odrywać wzrok od twarzy rozmówcy i błądzić nim po przestronnym gabinecie. Przyglądał się zgromadzonym ciasno na półkach książkom - tak grubym, że można by powiedzieć, iż mieszczą na swoich stronicach całą mądrość świata - wiszącym gęsto na ścianach grafikom przedstawiającym warstwy ludzkiego ciała, niewygodnej kozetce oraz ustawionej w kącie witrynie z wyeksponowanymi czaszkami wyszczerzonymi w obłąkańczym uśmiechu, spoczywającymi nad półką pełną skalpeli, strzykawek i innych złowieszczych narzędzi.

- Zatem określiliby je pan jako rodzaj... ee... podróży. Czy tak, panie Sinclair? - zapytał lekarz.

- Tak... mniej więcej. - Clayton poruszył się niespokojnie na niewygodnym skórzanym fotelu, nie mogąc sobie znaleźć pozycji, w której poczułby się lepiej. W końcu wybrał taką, w której skrzyżował swe długie nogi i pochylił się lekko do przodu, a wzrok

utkwiał kilka metrów za swoimi butami. - Nie umiem za bardzo tego wyjaśnić. Widzi pan, tak na dobrą sprawę wiem, że mojego ciała tam nie ma, nawet w pełnym uśpieniu jestem świadomy, że mnie tam wcale nie ma, ale w jakiś sposób również nie czuję, że śnię, nawet kiedy budzę się ze wspomnieniami jak ze snu... Wrażenie jest raczej takie, jakby to miejsce istniało, a ja mógłbym się w nie przenieść umysłem... albo duszą. - Wzruszył ramionami, przygnębiony tym, jak to wszystko brzmi. - Nie sądzi pan, że wygaduję głupoty, doktorze?

- Gdybym poświęcił się leczeniu głupców, miałbym zapelniony grafik przyjęć i dawno bym się wzbogacił. - Doktor Higgins uśmiechnął się do niego uspokajająco.

Clayton patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund i zdecydował, że lepiej nie powie, iż po przesadnych środkach ostrożności stosowanych przez pielęgniarkę wywnioskował, że grafik konsultacji pęka w szwach, a zegarek, pierścień i ekstrawaganckie okulary doktora - bez wątpienia wszystkie ze szczerego złota - obwieszczają wyraźnie, że ich właściciel jest bogaty.

- A niech mi pan powie, panie Sinclair, to miejsce, o którym pan śni... jest zawsze takie samo?

- Tak.

- Proszę mi je opisać - rzekł lekarz. Zdjął okulary i położył je na jednym ze stosów książek, które piętrzyły się na jego biurku. Spoczęły tam jak orzeł na szczycie urwiska.

- Cóż... to niełatwe.

- Niech pan spróbuje, bardzo proszę.

Claytonowi wyrwało się głębokie westchnienie.

- To jakiś obcy kraj, a jednocześnie bardzo znajomy... - zaczął w końcu. - W moich... snach przybywam w okolicę nieróżniącą się zbyt od jakiegokolwiek zakątka angielskiej wsi. Właściwie mógłbym się znajdować gdziekolwiek pośród spokojnych łąk i szmerzących potoków, które opiewał Keats, albo przynajmniej tak to odczuwam, gdy tam jestem. Lecz jednocześnie nic nie jest tam takie samo. Jakby ktoś wziął otaczającą nas rzeczywistość, włożył ją

do kubka jak kości do gry i potrząsnął, żeby później wysypać ją na świat. Rezultatem byłoby tamto miejsce. Wszystko tam jest takie... pomieszane.

- Co pan przez to rozumie?

- No... Osoby nie są osobami albo może są, osobami takimi jak pan i ja, ale zarazem czymś więcej. Tak jakby zawierały w sobie zwierzęta albo może odwrotnie, może są zwierzętami, które mają duszę istot ludzkich... Czasami widuję je pod postacią zwierząt, a w następnej sekundzie okazuje się, że patrzę na kobietę, mężczyznę czy dziecko. Cała przyroda jest poplątana, spleciona: żyjące tam istoty są i zwierzętami, i ludźmi, a może też roślinami, wszystkim naraz. Są mężczyźni-nietoperze i kobiety-ryby, i dziewczynki-motyle, i młodzieńcy-mchy, i staruszkowie będący śniegiem... Ale kiedy tam jestem, żadna z tych rzeczy mnie nie zaskakuje. Wszystko przepływa harmonijnie i naturalnie, i nigdy nie pomyślałem, że mogłoby być inaczej. Ja sam jestem wieloma rzeczami, przy każdej podróży czymś innym: czasami zwierzęciem, czasem wiatrem, a niekiedy deszczem... Gdy jestem wiatrem, lubię mierzwić jej sierść, dmuchając na jej grzbiet, a ona zbiega ze wzgórza i odwraca się, żeby biec pod wiatr, na wskroś mnie; czasami moczę jej włosy, kiedy się na mnie położy, bo jestem rosą na trawie; innym razem biegnę razem z nią: ona jest szybka i tylko wtedy mogę ją przegonić, gdy też jestem wilkiem... Czasem zaś rozmawiamy przy herbacie w pięknym salonie jej domu, ona bierze owoc z mojego ramienia, gryzie go i uśmiecha się szczęśliwa, ponieważ jestem drzewem, a niekiedy ptakiem i latam bardzo wysoko, podczas gdy ona wyje rozzłoszczona, bo mnie nie może dosięgnąć...

- Zawsze śni się panu to samo miejsce, lecz poszczególne sny są różne - przerwał mu doktor.

- Tak - odparł Clayton, rozdrażniony i zmieszany tym wtrętem. - Zawsze podróżuję w to samo miejsce i zawsze spotykam tę samą... ee... osobę.

- Kobietę?

Agent zawahał się przez chwilę.

- Nie jest dokładnie kobietą. Już panu mówiłem, że nie da się zastosować rozróżnień, którymi posługujemy się tutaj. Lecz owszem, jest czymś... ż e ń s k i m.

Lekarz z powagą skinął głową i pogładził swe okulary, a przez jego usta przemknął lekki uśmiech.

- Tak czy inaczej każda podróż jest inna - ciągnął wypowiedź Clayton, pragnąc zmienić temat.

- Dziwne - zadumał się doktor. - Normalnie nawracające sny mają niewiele wariacji...

- Mówiłem panu, że nie wydają się snami.

- Tak, mówił pan. - Lekarz w zamyśleniu kilka razy skubnął sobie brodę niczym aktor wypróbujący, czy sztuczny zarost jest dobrze przyklejony. Potem zerknął do swoich notatek. - I mówił pan też, że zaczęło się to około sześciu miesięcy temu.

- Zgadza się.

- I nigdy przedtem nie zdarzyło się nic podobnego.

- Nigdy.

- Jest pan pewien, że w dzieciństwie nie cierpiał pan na epizody somnambulizmu ani na inne zaburzenia snu, takie jak bezsenność albo lęki nocne?

- Jestem pewien.

- A w jakimś momencie życia, jak pan sięgnie pamięcią, nie zdarzały się nawroty któregoś z następujących objawów: migreny, fobii na tle głośnych hałasów, zaburzeń trawienia...?

Clayton zaprzeczył ruchem głowy.

- ...abulii, chronicznego zmęczenia, depresji, braku apetytu...?

- Cóż, ostatnio bywają dni, w których czuję się zmęczony i nie mam ochoty nic jeść...

- Nie, nie! Interesują mnie okresy poprzedzające owe sześć miesięcy, zanim zaczęły się te pańskie... sny.

- O ile sobie przypominam: nie.
- Halucynacje, urojenia, zawroty głowy...?
- Nie.
- ...zaburzenia aktywności seksualnej?
- Obawiam się, że bardzo nieaktywny ze mnie młodzieniec, doktorze.

Doktor Higgins kiwnął głową i dał spokój swej bródce. Założył okulary i z roztargnieniem napisał kilka linijek w zeszycie.

- A co dokładnie wydarzyło się sześć miesięcy temu, panie Sinclair?
- zapytał, nie podnosząc wzroku.

Clayton wstrzymał oddech.

- Co pan powiedział? Obawiam się, że nie dosłyszałem, doktorze.

Lekarz spojrział na niego sponad złotych oprawek.

- To oczywiste, że coś się musiało stać. Cały ten zespół objawów bez wcześniejszej historii choroby nie pojawił się nagle z niczego, nieprawdaż? Proszę się postarać pomyśleć. Może zdarzyło się coś, do czego w tamtym momencie nie przywiązał pan wagi, jakieś niewielkie uderzenie w głowę albo jakiś inny, na pozór nieszkodliwy wypadek. Może podczas jakiejś podróży zjadł pan coś nieświeżego. Niektóre infekcje krwi dają dziwne objawy. Niewykluczone też, że mamy do czynienia z kwestią natury emocjonalnej, z traumą związaną z przykrym przeżyciem, które poruszyło pana do głębi...

Agent, by zyskać na czasie, udał, że poprawia sobie mankiety surduta. Z jakiegoś głupiego powodu nie przyszło mu do głowy, że powinien opowiedzieć doktorowi o tym, co się zdarzyło w Blackmoor, choć wiedział - zawsze miał tę świadomość, nie potrzeba mu było tego wyrażać słowami - że wszystko zaczęło się właśnie tam. Kwestia natury emocjonalnej? Tak, można by rzec, że tak...

- Sześć miesięcy temu - zaczął - zdarzyło się coś, co... wpłynęło na mnie dogłębnie. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ponieważ chodzi o sprawę, w której obowiązuje mnie ścisła tajemnica służbowa.

- Tajemnica służbowa? - Lekarz znów zajrzał do swoich notatek. -  
Widzę, że jest pan... ślusarzem, panie Sinclair.

- Ee... tak. Tak jest.

- A rękę stracił pan...

- Właśnie w tej sprawie, o której nie mogę mówić.

- Rozumiem - odrzekł lekarz, prostując się w fotelu, w którym jego kości wygniatały wgłębienia, a jednocześnie patrząc na pacjenta cierpliwie. - Wobec tego, panie Sinclair, powinien pan zrozumieć, że nie mogę panu pomóc, jeżeli pan nie...

- Dość już, jeśli łaska! - wykrzyknął Clayton.

Po tym wybuchu doktor zrobił obrażoną minę, a agent natychmiast pożałował, że podniósł głos. Co robi, jeśli ten lekarz wyrzuci go z konsultacji i odmówi mu leczenia? Nie sądził, by mu starczyło odwagi, żeby poszukać innego specjalisty i znieść kolejne, podobne przepytywanie. Westchnął więc głęboko i postarał się mówić gładko, choć słowa to wyrywały mu się z ust, to się zacinały.

- Przepraszam, doktorze, ale nie potrzebuję więcej pytań. Trzeba mi odpowiedzi. Jak już wspomniałem, nie mogę opowiedzieć o tym, co mi się przydarzyło. Dlatego musi pan stwierdzić, co mi jest, bez tej informacji. Niech pan to potraktuje jak wyzwanie, jak dochodzenie detektywistyczne, w którym ma się tylko niektóre ślady, a reszta zależy od naszej wyobraźni. To nie takie trudne. W mojej pracy... ja... Cóż, zapewniam pana, że tak jest z wieloma zamkami, które muszą otworzyć. - Lekarz patrzył na niego w milczeniu, rozważając jego prośbę. - Czy nie ma innych testów, którym mógłbym się poddać? Badanie krwi czy coś takiego? Albo proszę mi przepisać, co pan uważa. Wypróbuję wszelkie sposoby, zapewniam pana. Jeśli pan chce, może pan na mnie eksperymentować. Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu... - Clayton drżącą ręką pogładził się po policzku, a potem spojrział lekarzowi w oczy. - Niech pan robi, co uzna za stosowne. Ale muszę się od tego uwolnić... Błagam pana.

Doktor Higgins milczał przez dłuższą chwilę, spoglądając na pacjenta. Potem wstał, skierował się ku stojącej pod ścianą witrynie i zaczął w niej czegoś szukać, a jednocześnie mówił:

- Proszę podwinąć rękaw koszuli, panie Sinclair. Pobiorę panu próbkę krwi do badania. Zmierzymy w niej zawartość hemoglobiny, kreatyniny, potasu, chloru, sodu... i kilku innych substancji oraz określimy liczbę czerwonych krwinek. - Lekarz odwrócił się do niego z uśmiechem, unosząc strzykawkę, która Claytonowi wydała się ogromna. - Kto wie, może znajdziemy coś interesującego.



## VIII

Agent specjalny Cornelius Clayton dyskretnie podniósł sobie kołnierz płaszcza, zupełnie niedyskretnie rozejrzał się w prawo i lewo i wyszedłszy z bramy, zanurzył się w miękkiej paszczy mgły drzemiącej niczym monstrualny waciany wąż na całej długości Tavinton Street. Lecz ja postanowiłem nie iść za nim. Zamiast go śledzić, pozwolę, by zgubił się w tłumie wypełniającym ulice Bloomsbury, a tymczasem pozostanę jak przykuty przed numerem dziesiątym na Tavinton Street, zahipnotyzowany miękkim blaskiem złotego „X” lśniącego nad nadprożem i zdającego się wskazywać - jak na pirackich mapach - miejsce, gdzie należy kopać, żeby znaleźć skarb. Może to z powodu tego romantycznego szczegółu, a może z racji wnikliwości, jaką nieuniknioną koleją losu rozwinąłem u siebie, przez tyle lat widząc i słysząc wszystko, dość, że tkwię w tym miejscu, uparcie przypatrując się zwyczajnym, prozaicznym drzwiom, za którymi doktor Clive Higgins dzień po dniu stara się doskonalić mniej zwyczajne i prozaiczne londyńskie dusze. I ku mojemu zaskoczeniu, po kilku minutach dostaję nagrodę, jakiej się nawet nie spodziewałem: rzeczony doktor Higgins pośpiesznie wychodzi. Tak, mimo że grafik przyjęć ma pełny, zostawia resztę pacjentów ich własnemu losowi i zagłębia się w lodowatej mgle, choć zmierza w kierunku przeciwnym niż Clayton, co mi nasuwa wniosek, że powodem jego nagłej dezercji bynajmniej nie jest podążanie śladami agenta. Zastanawiacie się zapewne, dokąd kieruje się tak skwapliwie. A ja, który wszystko widzę i wszystko wiem - chociaż czasami nie mam innej możliwości, jak wybrać jakąś jedną melodię z nieskończoności rozbrzmiewającej w mojej głowie - nie potrafię

zostawić tego pytania bez odpowiedzi, toteż niezwłocznie ruszę za lekarzem.

Doktor Clive Higgins przebył kilka uliczek, w miarę swoich możliwości próbując dorównać radosnemu kłusowi źrebięcia, po czym złapał dorożkę na Gower Street, podał woźnicy adres Albemarle Club i opadł na siedzenie z westchnieniem poirytowania. Rozsiadłszy się wygodnie, rozpiął płaszcz i porywczymi ruchami zdjął rękawiczki, szal oraz kapelusz. Następnie, wachlując się tym ostatnim, patrzył, jak powóz toczy się po Oxford Street wzdłuż Soho, a jednocześnie nieustannie sapał, jakby przemierzał nie Londyn w brzydki październikowy dzień, ale skwarną pustynię. Jednak kilka metrów przed wskazanym adresem doktor z powrotem założył wszystko, przybrał spokojny wyraz twarzy i wysiadł z dorożki zakneblowany szalem. Potem wspiał się po schodach do Albemarle Club dziarskim krokiem kogoś, kto jak jeszcze nigdy dotąd pragnie ciepłego kominka i kieliszka brandy.

Będąc już w środku, doktor Higgins na nowo rozebrał się z wierzchniego okrycia, udał dreszcz i wręczył kłęb przepoconych rzeczy usłużnemu lokajowi, po czym, lekkim skinieniem głowy pozdrawiając mijanych po drodze członków klubu, tym samym rączym krokiem skierował się do stolika ulokowanego przy dużym oknie. Przy stole tym, znajdującym się obok jedyne w całej sali wygaszonego kominka, w sprężystych skórzanych fotelach siedziało czterech dżentelmenów - palili i gawędzili sobie spokojnie. Jednak na widok Higginsa zmierzającego przez przestronne pomieszczenie w ich kierunku cała czwórka przerwała rozmowę i przyglądała mu się w pełnym wyczekiwania milczeniu.

- Dzień dobry, panowie - przywitał się sucho doktor, zajmując miejsce obok nich, a jednocześnie niecierpliwym gestem przywołując kelnera.

- Spóźniłeś się, Higgins - zganiał go z uśmiechem jeden z mężczyzn.

- Mój drogi Angierze, być może wszyscy jesteśmy spóźnieni... - burknął doktor, rozpaczliwie szarpiąc sobie bródkę zdobiącą mu twarz.

- Spokojnie, spokojnie! Co ci jest, Higgins? - zapytał pojednawczym tonem inny dżentelmen, którego zapewne rozpoznacie, jeśli uważnie podążaliście za moją opowieścią, ponieważ był to doktor Theodore Ramsey, uznany lekarz, z upodobaniem regularnie strzelający palcami. - Myśleliśmy, że przynosisz dobre wieści...

Higgins porwał kieliszek brandy z tacy kelnera, zanim ten zdążył postawić szkło na stole, po czym łapczywie wypił prawie połowę jednym haustem, zamykając przy tym oczy. Potem westchnął.

- Przepraszam, przyjaciele. Angier, błagam cię o wybaczenie. Ale jestem zdesperowany. Od dzisiejszego ranka mój mechanizm chłodzący nie działa właściwie. - Szarpnął z frustracją za brodę, żeby to pokazać. - Od wielu godzin duszę się z okropnego przegrzania.

Pozostali patrzyli na niego ze zmartwieniem.

- To straszne! I nie udało się tego naprawić? - zapytał Angier, z wyraźną obawą miętosząc sobie płatek prawego ucha.

- Nie miałem czasu. Tak jak podejrzewałeś, Ramsey, przynoszę wieści, ale jeszcze nie wiem, czy dobre, a nie chciałem już więcej zwlekać z przekazaniem ich. W końcu przypuszczam, że jakoś ten wieczór przeżyję, i sądzę, że w laboratorium mam coś, żeby to wyregulować... Żeby przynajmniej nie dręczył mnie ten przeklęty upał!

- Nie narzekaj, Higgins. Na szczęście spotkało cię to na początku okresu zimowego, najchłodniejszego w ich kalendarzu. Mogło ci się przydarzyć w tym piekle, które tu nazywają latem - zauważył trzeci dżentelmen, który gdy mówił, od czasu do czasu mrugał oczami w dość szczególny sposób. - I są gorsze rzeczy. Na przykład mogłyby ci się zepsuć obwody nerwowe, które pozwalają nam powściągnąć lęk przed przypadkowością.

- Święta racja, Melford - przytaknął zapalczywie Ramsey, strzelając jednym po drugim palcami obu rąk. - L ę k p r z e d p r z y p a d k o w o ś c i ą... To rzeczywiście jest coś okropnego.

- Oczywiście. Niemniej awaria układu chłodzącego to prawdziwe utrapienie. Zdarzyło mi się to zeszłego lata - wtrącił Angier, stukając

się lekko w płatek ucha. - I musiałem prosić, by mi wysłano nowy mechanizm, zanim...

- Piekło? Powiedziałeś: piekło, Melford? Czy dobrze słyszałem? - przerwał mu miękkim głosem czwarty dżentelmen, który nie odzywał się do tej pory.

Był to korpulentny mężczyzna o bujnych siwych wąsach z końcami podwiniętymi w górę na kształt byczych rogów, a miał na sobie skromny ciemny garnitur, z którego stonowanym odcieniem kontrastowała efektowna kwiecista kamizelka. Pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Ja... - zawahał się Melford.

- P i e k ł o? Nie mówisz poważnie... Żaden z was nie może mówić poważnie... Uskarżacie się na klimat? Widać, że dawno temu opuściliście Drugą Stronę! Nie pamiętacie już, jak tam jest? - Wodził oczyma od jednego do drugiego, a jego monumentalne wąsy drżały z gniewu, sprawiając, że wszyscy prędzej czy później ze smutkiem spuścili wzrok. - Pozorne utrapienia, które tu stają się naszym udziałem - ciągnął dalej pouczającym tonem, z wprawą podkręcając sobie końcówki wąsów - są niewielkie, maleńkie w porównaniu z tamtymi. Mówi wam to ktoś, kto przybył tutaj zaledwie kilka dni temu. Z miejsca, gdzie wszystko sprowadza się do znoszenia rzeczy nie do zniesienia. - Zadowolony z reprimendy rozparł się w fotelu i jego surowa twarz cokolwiek złagodniała. - Panowie, proszę, nie traktujcie niefrasobliwie pewnych tematów. Po Drugiej Stronie rozpoczęła się era ciemności. Oni nas potrzebują. Rozpaczliwie.

Cała piątka milczała przez chwilę ze spojrzeniami zagubionymi we wspomnieniach.

- Jak się tam mają sprawy, Kramer? - odważył się w końcu spytać Ramsey.

- Robi się coraz zimniej - odparł tamten. - I ciemność jest już absolutna.

Wszyscy jęknęli cicho.

- Może to prawda, że przybyliśmy tu za późno, tak jak powiedział Higgins. - Melford zamrugał po swoim. - Może nic z tego, co robimy, nie ma już żadnego sensu.

- Wciąż jest nadzieja. Ostatnie obliczenia dają nam dziesięć lat - poinformował Kramer.

- Na wszystkie martwe słońca! - wykrzyknął przerażony Angier. - Dziesięć lat? Nie sądzę, żeby to wystarczyło.

- Uspokój się, Angier. Jak wiesz, ten termin nie dotyczy naszego wymarcia, tylko ich... - rzekł Kramer, ruchem głowy pokazując otoczenie. - Nasza straszliwa agonía może się jeszcze przedłużyć o kilkadziesiąt lat, ale oni nie mają tyle czasu. A są jedyną drogą ewakuacji, na jaką możemy liczyć. Zostało nam dziesięć lat na to, żeby uniknąć ich końca. W przeciwnym razie my też będziemy skazani na wymarcie.

- A co mówią ostatnie badania o możliwości otwarcia innych bram? - spytał Melford.

- Nic, co by napawało nadzieją - wyznał ciężko Kramer. - Obawiam się, że nie potrafimy otworzyć żadnej innej. Nie w tych warunkach. Ten świat jest naszą jedyną szansą ratunku.

- Ale zostało już tylko dziesięć lat... - mruknął Angier.

Kramer gwałtownie podniósł ręce, jak odaliska rzucająca płatki róż.

- Panowie, te obliczenia są przybliżone, choć nie ma zbyt dużego marginesu błędu - podkreślił. - Mamy do dyspozycji dziesięć lat, może nieco więcej, by znaleźć sposób na powstrzymanie pustoszącej ten świat epidemii, bo inaczej rozpęta się apokalipsa na kolosalną skalę. A my, po Drugiej Stronie, niczym rozbitek, którego zziębnięte palce fatalnie ześlizgują się z dryfującej deski, pograżymy się na zawsze w wieczystej ciemności i zapomnieniu.

Wszyscy w milczeniu powiedli przygnębionym spojrzeniem po sali. Albemarle Club, założony w 1874 roku, był jednym z najbardziej prestiżowych i uczęszczanych londyńskich klubów, choć o tej porze w przestronnym salonie znajdowało się zaledwie kilka rozproszonych

grupek foteli, tworzących tu i tam wysepki, a nieliczni dżentelmeni palili swe fajki samotnie, z nieobecnym wyrazem twarzy kołysząc w dłoni szklaneczkę brandy lub ze znużeniem czytając gazetę, zadowoleni, że na kilka godzin uciekli ze swoich duszących domostw.

- Spójrzcie na nich... - mruknął z nagłą urazą Melford. - Nie mają najmniejszego pojęcia, jakim piekłem jest ten świat ani że nadchodzi jego koniec. Wręcz przeciwnie: myślą, że się znajdują pośrodku czegoś. Uważają, że są inni od wszystkiego, co istniało przedtem, i od wszystkiego, co nastąpi później. Sądzą, że żyją w szybkich czasach, że dokądś zmierzają tą swoją przyprawiającą o zawrót głowy koleją żelazną. Wierzą w to wszyscy i każdy z osobna. Ci nieszczęśnicy badają świat, zastanawiają się nad nim i zachwycają się. Ale nic nie widzą. Nie dostrzegają, że nadciąga koniec, nawet nie podejrzewają, że wszystkie te ich możliwe pociągi wkrótce się zderzą i przeobrażą w masę wiecznej ciemności, w nicość, w chaos.

- A jak mieliby to sobie wyobrazić, Melford? - odrzekł Ramsey z niejakim wyrzutem. - Są tak niezmiernie daleko od Wiedzy Najwyższej! Czasami czuję się zakłopotany, że wyrobiłem sobie w tym ich świecie prestiż naukowca, podsuwając im w prezencie zaledwie drobiazgi... Niekiedy zaś nie potrafię się powstrzymać i kpię sobie z ich bezdennej ignorancji... - Zaśmiał się cierpko i wypił łyk brandy, by się uspokoić. - Choć prawdą jest, że zdarzają się wśród nich jednostki, których inteligencja błyszczy, którzy przyćmiewają swoich pobratymców i których towarzystwo okazuje się miłym balsamem dla samotności nas, biednych wygnańców... - Zauważył oskarżycielskie spojrzenia kolegów i kiwnął głową, starając się mówić z większym ożywieniem. - Mam na myśli, rzecz jasna, towarzystwo korzystne i przydatne dla naszej świętej misji. Jak wiecie, dzięki mojemu prestiżowi naukowemu i przyjaźni z doktorem Crookesem zdołałem przeniknąć w kręgi spirytystyczne i przeprowadziłem badania nad niezliczonymi zjawami, bardzo cenione po Drugiej Stronie.

M a n i f e s t a c j e e k t o p l a z m a t y c z n e niektórych mediów udzielają nam tylu odpowiedzi...! Chyba czytaliście mój ostatni raport, w którym opracowałem interesującą tablicę porównawczą...

- Znamy twoje badania nad spirytyzmem, Ramsey. I wiemy też o twojej przyjaźni z tym Crookesem, która nas wszystkich naraziła na

niebezpieczeństwo, kiedy o mało nie wyjawiałeś mu naszej misji - zganiał go surowo Kramer.

- Nigdy nie naraziłem na niebezpieczeństwo naszej misji! - rzekł obronnym tonem Ramsey.

- Bez nerwów, przyjacielu. - Tamten zwrócił się do niego z lodowatym spokojem.

- To była tylko chwila słabości... - dodał lekarz, natychmiast spuszczać z tonu. - A potem spełniłem moją powinność. Crookes nic nie wie i nigdy nie będzie wiedział, zapewniam was... I tak powinno być. Żaden z mieszkańców tego wszechświata nie może znać prawdy: nigdy nie zrozumieliby naszej misji. Uznaliby nas za niebezpiecznych najeźdźców. Baliby się nas, jak boją się tego, co nieznanego. Zrobiliby z nas potwory ze swoich koszmarów i próbowaliby nas zniszczyć. Nie możemy im ufać. Ani uczuciom takim jak miłość czy przyjaźń, które zakłócają poznanie - wyrecytował skwapliwie. - Nie zapominam, panowie. Podobnie jak Armand de Bompard, ja też nie zapominam cudownego świata, z którego pochodzę.

- Naszego świata, o, naszego cudownego świata... - wtrącił Melford z bolesną nostalgią, niewolną od ironii. - Teraz po Drugiej Stronie nasza wspaniała cywilizacja skupia się drżąc wokół ostatnich czarnych dziur. Nasze ciała, mądrze zmodyfikowane, by przetrwały w zimnym, martwym oceanie ciemności, wkrótce przestaną funkcjonować. Nasze umysły, zmrożone w długiej, ciemnej nirwanie, nie będą mogły wysnuć z siebie nic więcej, jak tylko nieskończenie długie myśli. I w końcu zamienimy się w pozbawioną życia mgłę złożoną z elektronów, neutrin i fotonów, płynną zupę cząstek śmierci. Tak jest napisane w Drugim Prawie. W swej arogancji uwierzyliśmy, że możemy to prawo ominąć. Ale Drugie Prawo jest nieuniknione. Chaos jest nieunikniony!

- Chaos jest nieunikniony! - bąknęli jednogłośnie jego towarzysze, wyjęli z kieszeni zegarki, otworzyli ich wieczka i pokazali wyrytą po spodniej stronie ośmioramienną gwiazdę utworzoną z ośmiu strzał wychodzących z małego środkowego kółka i przeszywających

większe, koncentryczne. Gwiazdę, która, jestem pewien, że wyda się wam znajoma.

- Chaos jest nieunikniony! - powtórzył Kramer. - Masz dużo racji, Melford, i nie powinniśmy o tym zapominać. Ale wciąż pozostaje nam mała nadzieja. Przypominacie sobie, jak jakiś czas temu udało się nam otworzyć tunel prowadzący na tę stronę? Przez jedną wspaniałą chwilę myśleliśmy, że osiągnęliśmy cel. - Wszyscy przytaknęli, uśmiechając się lekko, a tamta odległa radość odbiła się echem w ich oczach. Było cudownie, prawda? Wiadomość rozeszła się wśród naszych naukowców jak błyskawica. Otwarto stabilny tunel! Możliwe będzie rozpoczęcie wszystkiego od nowa w innym świecie! Młodym, pełnym światła i ciepła. W rozgwieżdżonym wszechświecie. W nowym, ciepłym świecie, gdzie posiejemy ziarno naszej konającej cywilizacji. Gdzie narodzimy się na nowo, z dala od naszej niegościnniej, umierającej ojczyzny...

- Ale ten świat był chory! - Angier uderzył w stół zaciśniętą pięścią, aż podskoczyły szklanki, a kilku bywalców klubu w rozdrażnieniu podniosło wzrok znad czasopism. - Pamiętam też, jak odkryliśmy, że pustoszy go dziwna epidemia rozprzestrzeniająca się na apokaliptyczną skalę, i że jego koniec okazał się jeszcze bliższy niż kres naszej ojczyzny. Tak, to także pamiętam. Jak również to, że mimo wszystko podtrzymujemy wiarę: sądzimy, że potrafimy uleczyć go w porę, by przeprowadzić Wielki Exodus. Ale teraz nikt nie jest pewien, że to się może udać, prawda, Kramer? - zapytał, każde słowo zaprawiając strapieniem. - Minęło tyle czasu, a my wciąż nie osiągnęliśmy żadnego wyniku. Nie wiemy, jak ani skąd przybył ten wirus, ani też kiedy rozpoczęła się infekcja. Nie wiemy, kto był pacjentem zero. Nie wiemy, jak się ją leczy. Jeszcze nie wynaleźliśmy szczepionki. Po tak długim czasie nadal nic o niej nie wiemy, Kramer. Nic. Jak powiedziałeś, jest nadzieja, tyle że coraz bardziej nikła...

- Zostało nam jeszcze dziesięć lat - odrzekł Kramer. - I może egzekutorzy przedłużą to dodatkowo o rok czy dwa.

- Egzekutorzy! - parsknął pogardliwie Ramsey, strzelając palcami. - To okropne, że musieliśmy się uciec do wsparcia tych bezlitosnych morderców. Na wszystkie martwe słońca! Jesteśmy cywilizacją QIII!



Za nami tysiące lat rozkwitu. I teraz, na końcu drogi najwyższym kapłanom Wiedzy przyszło do głowy tylko tyle, by nam rozkazać zabijanie. To będzie nasza wspaniała spuścizna, panowie. Rzeź niewiniątek, taka jak za Heroda, tylko na poziomie wszechświata. - Lekarz zaśmiał się gorzko. - Kiedy nadejdzie nasz koniec, nasze atomy popłyną w wieczystej próżni, w nieskończoność kreśląc dla nikogo symbol barbarzyństwa...

- Egzekutorzy w tej chwili są konieczni - przerwał mu Kramer z niecierpliwą surowością. - Potrzebowaliśmy czasu, dlatego ich stworzyliśmy. Nigdy nie uważaliśmy, że będą świetnym rozwiązaniem, Ramsey. Powinieneś się uspokoić, i to się tyczy również ciebie, Angier. Nie będę tego powtarzać. Uspokójcie się albo zmusicie mnie, żebym o waszym nie zrównoważonym stanie ducha zdał raport na Drugą Stronę. Gdyby nie egzekutorzy, wszystko skończyłoby się już dawno temu. Ograniczamy się do budowania tamy, aby próbować powstrzymać to, co nie do powstrzymania, a tymczasem zajmujemy się badaniami nad chorobą. Jeśli zostało nam jeszcze dziesięć lat, to dzięki ich pracy, panowie. Choć nie zmienia to faktu, że we wszystkich nas budzą niechęć - przyznał z dreszczem.

- Są obrzydliwi - mruknął Melford, też otrząsając się, jakby go przeszły ciarki.

- Przerażający - potwierdził Angier. - Wiecie, że zwierzęta ich dostrzegają? Konie się płoszą, psy ujadają wściekle, koty...

- Nie musicie mieć z nimi nic do czynienia, jeśli taką w was budzą odrazę. Wiecie, że otrzymują rozkazy bezpośrednio z Drugiej Strony - uciał Kramer. - Ale nie zapominajcie, że dzięki nim wciąż mamy minimalną szansę. Pomyślcie: chwila, gdy wygra chaos, może być cennym momentem, w którym ostatecznie naukowcy znajdą rozwiązanie.

- A po czym poznamy, że zbliża się koniec? - zapytał Melford. - Jak sądzisz, co się będzie działo?

Kramer westchnął.

- Przypuszczam, że ujrzymy rzeczy cudowne i straszne. Niezrozumiałe dla tych, którzy nie posiadają Wiedzy Najwyższej.

Urzeczywistnią się najgorsze koszmary człowieka... A kiedy to się zacznie, wówczas faktycznie będzie już za późno... Dziesięć lat, może dwanaście... Ale niewiele więcej.

- W takim razie musimy się śpieszyć - wtrącił doktor Higgins. Przez większą część rozmowy nie odzywał się, wzdychając jak jakaś panienska, której za mocno ściśnięto gorset. - Jak już wspomniałem, mam wam coś do pokazania. W tej chwili nie jest to nic wielkiego... - tłumaczył się, przeszukując sobie kieszenie. Wolną ręką wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć do bródki, ale natychmiast ją cofnął z rozdrażnioną miną. Potem wyjął z kieszeni fiolkę z czerwonym płynem i pokazał ją pozostałym. - Lecz może ostatecznie będą to dla nas dobre wieści.

Wszyscy z zafascynowaniem patrzyli na buteleczkę.

- Czy to krew tego...? - szepnął Melford.

- Tak - potwierdził z satysfakcją Higgins. - To krew młodzieńca, którego okaleczyła młoda suka hrabiego de Bompard.

- Udało ci się! - zawołał entuzjastycznie Kramer.

Higgins z zadowoleniem kiwnął głową.

- Dziś przyszedł do mnie na wizytę. Ale nie martwcie się. Byłem bardzo ostrożny. Niczego nie podejrzewa, mimo że jest niewątpliwie inteligentny. Tak wyszło, że prawie mnie błagał, żebym mu pobrał krew.

- Sądzisz, że dokądś dojdziemy tą ścieżką? - zapytał z nadzieją Angier.

- Może. Młodzieniec cierpi na dziwne epizody. Jego ciało rozpaczliwie próbuje przeskoczyć, ale udaje się to tylko jego umysłowi - wyjaśnił Higgins. - Jakby było w nim coś, czego nie posiadał przedtem, a co być może ona mu wszczepiła przy ugryzieniu, co go popycha do skoku, lecz jednocześnie mocno zakotwicza jego ciało tu, w tym świecie. Choroba i leczenie, wszystko w jednym bycie. Armand zawsze podejrzewał, że istoty takie jak ona mogą mieć w swojej naturze coś, co pozwoli stworzyć szczepionkę. Dlatego przez lata jego dociekania szły w tym kierunku. Nie znalazł jej jednak,

mimo swych licznych badań. Wreszcie musiał przyznać przed Drugą Stroną, że poniósł porażkę, i został zmuszony do opuszczenia swojej podopiecznej, żeby się zająć innymi projektami. Ale było coś, czego nie wziął pod uwagę w swych analizach. Możliwe, że to źródło, którego poszukiwał w naturze swej żony, uaktywnia się dopiero w połączeniu z krwią p e w n y c h ofiar... Rzecz jasna, błędem Bomparda było, że zakochał się w niej. - Ramsey otworzył usta, by zareplikować, ale Kramer uciszył go szorstkim gestem. - Z powodu u c z u ć żywnionych do młodej w i l c z y c y - kontynuował Higgins nie bez pewnego sarkazmu - próbował nie dopuścić do tego, by zdominowała ją zabójcza natura, i ta linia poznawcza pozostała niezbadana. Tak, być może mamy w ręku zarodek potrzebny do szczepionki, jeszcze tego nie wiem. - Schował fiolkę do kieszeni. - Nie mogę powiedzieć nic więcej, póki nie przeanalizuję nowych kołowrotekóv firmy Farlow&Co., stalowych z kabłąkiem z kości słoniowej, idealnych do połowu łososi; nie trafiłem dotąd na sprzęt lepszej jakości.

Wszyscy entuzjastycznie pokiwali głowami, a tymczasem podszedł do nich cicho jeden z kelnerów, nachylił się nad nimi i zagadnął:

- Wybaczcie, panowie, że przerywam, ale kilku członków prosiło mnie, żebym rozpałił ogień również w tym kącie salonu... Zdaje się, że im zimno. Mam nadzieję, że nie będzie to panom przeszkadzać.

- Pójdę już, mam mnóstwo zaległej pracy! - Higgins wstał, nagle pobladłszy. - Obiecuje informować was bezzwłocznie o najświeższych wiadomościach. Panowie... - I pożegnawszy wszystkich krótkim skinieniem głowy, oddalił się jak najprędzej.

Podczas gdy kelner trudził się przy rozpalaniu ognia, który wkrótce zapłonął wesoło kilka metrów od nich, Angier, pocierając sobie płatek prawego ucha, Melford, wściekle mrugając, Ramsey, strzelając kolejno palcami obu rąk, i Kramer, podkrecając sobie końce wąsów, kontynuowali spokojną rozmowę o zaletach różnych kołowrotekóv, które można kupić w znanym sklepie przy Strandzie, jakością przewyższającym wszelkie inne londyńskie firmy, o czym zapewniał ich doktor Higgins.

A ja skorzystam z okazji i wrócę do agenta Claytona. Ale pozwólcie, że przeskoczę dziesięć najbliższych lat, bo tak bardzo chcę się dowiedzieć, czy Kawalerowie Chaosu z pomocą nikczemnych egzekutorów zdołają ostatecznie uratować świat. W ciągu owych dziesięciu lat nie wydarzy się nic dotyczącego sprawy, która nas zajmuje - również w życiu agenta moim zdaniem - dlatego nie straciecie nic ważnego, jeśli przeniesiemy się do poranka pierwszego sierpnia 1898 roku, a data ta niektórym z was zapewne wyda się znajoma. Jest to dzień, w którym po dziesięciu latach toczenia się podziemnym korytem źródło naszej historii znowu wytryśnie na powierzchnię.

## IX

Dziesięć lat później fonograf nadal przechowywał głos agenta specjalnego Corneliusa Clayтона nalegającego na sir Blendella, żeby się przyznał do winy. I podobnie jak wiele razy w ciągu tych minionych lat, słowa, które agent wypowiedział w innym miejscu i o innym czasie, teraz rozlegały się w Krypcie Osobliwości, unosiły się nad zgromadzonymi tam szkieletami syren, zdjęciami wrózek, skórami wilkołaków i głowami minotaurów. W kącie, oparty łokciami o stół i w dramatyczny sposób oświetlony lampką, znajdował się Clayton. W ciągu minionych dziesięciu lat bardzo się zmienił; a kto się nie zmienia... Był bledszy, wychudzony, zdecydowanie bardziej zgaszony i miał większe cienie pod oczami. Jednakże owe zmiany dotyczyły wyłącznie powierzchowności; we wnętrzu doszło zaledwie do pojedynczych zawirowań, nie było wstrząsów o takiej sile jak w jego pierwszej sprawie i z czasem dusza agenta zaczęła przypominać sfatygowaną książkę, która zawsze otwiera się na tej samej stronie. Można by powiedzieć, że w przeciwieństwie do tego, co sam podejrzewał w swoim czasie, nadal rozpoznawało się w nim tego rozczarowanego, napuszonego młodzieńca, do którego należał głos utrwalony na cylindrze.

Może jedyna warta odnotowania różnica polegała na tym, że teraz wykazywał znacznie mniejszą chęć zrozumienia świata, który w ciągu tych lat zamienił się w jeszcze bardziej obłąkane miejsce. Z powodu wielu wydarzeń włos mu się jeżył na karku, plątały się połączenia tyleż zagmatwane, ile bezużyteczne dla jego umysłu, czujnie zwracającego uwagę na szczegóły: po zabiciu pięciu prostytutek Kuba Rozpruwacz, jak sam kazał siebie nazywać morderca z Whitechapel, zniknął bez śladu, zabierając ze sobą tajemnicę swojej tożsamości,

kilka lat później zaś jego papierowa kopia zwana Dorianem Grayem uprawiała swój gorszący proceder w najnędniejszych dzielnicach Londynu, podczas gdy twórca owej postaci marniał w więzieniu oskarżony o sodomie, a dokładniej o karygodną aktywność, na której towarzysze Clayтона ze Scotland Yardu zaskoczyli w męskim domu publicznym przy Cleveland Street księcia Alberta Wiktora, ale wnuka królowej nie pociągnięto do żadnej odpowiedzialności<sup>5</sup>, a Korona wolała przesunąć uwagę poddanych w stronę podboju Afryki Południowej, gdzie jeszcze było miejsce na rycerskie czyny, gdzie porzucono książki i gdzie angielska rasa mogła się wykazać całą swoją walecznością i heroizmem. Do tych wydarzeń należy dodać nieustające bunty robotników, manifestacje sufrażystek oraz konflikty z koloniami; nie zapominając też o innych wypadkach, mających większe znaczenie dla naszej historii: Margaret Fox wycofała swoje oświadczenia przeciwko spirytyzmowi zamieszczone w „New York Herald”, przyznając, że zrobiła to dla pieniędzy; a profesor Crookes, ostatecznie uhonorowany tytułem szlacheckim, jak przepowiadały plotki, w swojej przemowie wygłoszonej w Brytyjskim Stowarzyszeniu Naukowców potwierdził istnienie parapsychologicznej siły, o której mówił już trzydzieści lat wcześniej. Tak więc, chociaż niektórym bardzo to przeszkadzało, dzięki niebezpiecznym incydentom i wielu innym wypadkom w ciągu minionych dziesięciu lat wiara w duchy i ich emisariuszy, czyli media, rozwinęła się wręcz ze zdwojoną siłą, co - jak się wkrótce przekonacie - ma istotne znaczenie dla naszej opowieści.

Ale choć Clayton poddał się wobec zagmatwanej tajemnicy świata, nie zaprzestał prób uporządkowania go w miarę swoich możliwości, jak ogarnięty obsesją gość, który siedząc przy stole, nie może się oprzeć i wciąż nieświadomie próbuje wygładzić róg pogniecionego obrusa. I tak rozwiązywał sprawy jedną po drugiej, jedne śmiertelnie nudne, wręcz obraźliwie oczywiste, inne zaś na tyle interesujące, aby rozruszać jego niespokojny umysł, oderwać go na jakiś czas od przesładujących go demonów. I chociaż niektóre z owych spraw znowu stawiały go przed tym, co niemożliwe, nie będę o nich opowiadał, żeby nie zboczyć z raz wytkniętej ścieżki, bo mógłbym nie wiedzieć, jak na nią wrócić. Dość wspomnieć - nie dlatego, żeby to była najbardziej ekscytująca z jego spraw, ale ponieważ dotyczy

jednego z bohaterów naszej historii - że agent chętnie podjął się dochodzenia związanego z przedsiębiorstwem Podróż w Czasie Murraya.

Tym z was, którzy o tym nie wiedzą albo zapomnieli, przypomnę, że rzeczona firma rozpoczęła działalność jesienią 1896 roku, kilka miesięcy po tym, jak pisarz H.G. Wells opublikował swoją słynną powieść *Wehikuł czasu*. A jej celem najwyraźniej było przemienienie treści owej książki w rzeczywistość, ponieważ za jedyne sto funtów Podróż w Czasie Murraya przenosiły klienta w przyszłość, dokładnie do roku dwutysięcznego, w którym rozgrywała się zaciekle bitwa o planetę, staczana przez dzielnego kapitana Shackletona, przywódcę ludzkiego ruchu oporu, z jego arcywrogiem, automatem Salomonem. Naturalnie Wydział Specjalny Scotland Yardu od samego początku czuł się zobligowany do zbadania tego rzekomego cudu pod kątem możliwego oszustwa, jednak zeznania przesłuchanych pierwszych podróżników w czasie były tak entuzjastyczne, że ani Sinclair, ani Clayton nie wyobrażali sobie, jak ktoś mógłby spreparować hochsztaplerkę takiego kalibru. Jak się wydawało, w mglistą przyszłość przewoził ludzi tramwaj zwany Cronotilusem, który przemierzał czwarty wymiar - różową równinę zamieszkaną przez groźne smoki żywiące się czasem. Jak nietrudno zrozumieć, obaj agenci aż się palili, żeby wsiąść do słynnego tramwaju, ale właściciel firmy, Gilliam Murray, z dnia na dzień stał się bardzo zamożnym człowiekiem i obwarowany armią prawników, zdołał uchronić swoje przedsiębiorstwo przed jakąkolwiek inspekcją. Wreszcie, po ciężkiej biurokratycznej batalii, sąd wydał od dawna oczekiwany nakaz, który pozwalał kapitanowi Sinclairowi oraz jego przyszłemu następcy - w Scotland Yardzie nikt nie wątpił, że kiedy kapitan przejdzie na emeryturę, stanowisko przejmie po nim Clayton - węszyć w jego tajemniczej firmie do woli. Jednak tuż po tym doszło do niefortunnej tragedii, która pograżyła kraj w długiej żałobie: Gilliam Murray, Pan Czasu, człowiek, który mieszkańcom teraźniejszości otworzył drzwi do przyszłości, zginął, pożarty przez jednego ze smoków grasujących w czwartym wymiarze, a jego przedsiębiorstwo zostało zamknięte. Siedziba Podróży w Czasie Murraya nie była teraz niczym więcej jak niszczącym teatrem w Soho, którego pokryta pyłem fasada nie wyglądała, jakby skrywała jeszcze jakiś sekret prócz zgnilizny.

I zawsze, po każdym ze śledztw Clayтона, niczym szum odległego wodospadu powracała echem również nierozwiązana sprawa pani Lansbury. Agent ani na chwilę nie przestawał o niej myśleć; dziesięć lat obmacywał elementy układanki, tasował je na tysiąc różnych sposobów i dopasowywał jeden do drugiego, lecz ciągle bez skutku. Ileż to razy w ciągu owego czasu gorąco pragnął znaleźć taki kawałek, który nadałby sens całości. Ale ani staruszka, ani przezroczystry nieznajomy nazywany przez nią Złym nie pojawili się znowu, czy żywi, czy martwi. Mimo to Clayton od początku robił wszystko, co w jego mocy, żeby ta tajemnica nie zamieniła się w jeszcze jedną ciekawą zagadkę bez rozwiązania, jakie łądowały porzucone w archiwach Scotland Yardu. Po zniknięciu staruszki polecił grupie architektów i cieśli - nie wyłączając sir Blendella, który obiecał współpracować, aby złagodzą mu wyrok - by opukali jej dom od strychu po piwnicę, a zwłaszcza mały gabinet; był przekonany, że jakaś fałszywa ściana, ukryta kłapa czy inny podobny wynalazek pozwolił właścicielce uciec bez otwierania drzwi. Ale w przeklętym pomieszczeniu nie znaleziono nic takiego. Był to normalny, zwykły gabinet. Krew na ulicy, w korytarzu i na schodach też była normalna i zwykła i w końcu wyschła, jak normalna i zwykła krew ma w zwyczaju, mimo przedziwnych właściwości, jakie wykazywała przed oczyma Clayтона, na co on z drugiej strony nie miał żadnego dowodu oprócz własnych wspomnień.

Jako że nie było wiadomo, w którą stronę pokierować śledztwo, wydział - mając dość nieustannego dreptania w kółko wciąż po tych samych nielicznych śladach - ku rozpaczy Clayтона stopniowo odsunął tę sprawę w zapomnienie. Dwa lata później rezydencję staruszki kupił jakiś bogaty przemysłowiec i agent czasami, wracając do domu, przechodził tamtędy, aby popatrzeć z melancholią na niestosowne w jego odczuciu rodzinne sceny rozgrywające się za dioramą okien, w zaciszu wnętrza, w których on kiedyś walczył z przezroczyстым człowiekiem. To wtedy zaczął przyjmować do wiadomości, że być może ta sprawa nigdy nie doczeka się rozwiązania, że pozostanie kolejną zagadką, jakich wiele okrywa ten świat niczym ściółka.



Z czasem bohaterowie tej historii rozmywali się w pamięci i wszystko zaczynało przypominać zamazany miraż. Lady Amber powiesiła się w szpitalu psychiatrycznym, gdzie została umieszczona; nie mogła więcej znieść odwiedzin duchów - jedynych, które według niej zadawały sobie trud, by składać jej wizyty. A sir Blendell, kiedy odsiedział swój wyrok, skrócony dzięki współpracy z policją i dobremu zachowaniu, wyjechał do miejsciny New York, gdzie nikt nie wiedział o jego hańbie. Tam, według informacji, jakie regularnie docierały do Clayтона, prowadził warsztat stolarski, wyrabiający normalne, zwykłe meble dla normalnych, zwykłych obywateli, którzy nie potrzebowali ani szaf, ani spizarek z podwójnym dnem. Pani Lansbury, jak wspominałem, nigdy się nie pojawiła. A co do Złego... Clayton nie odrzucił możliwości, że posiadał on przebranie albo urządzenie pozwalające mu wywoływać dziwy, których agent był świadkiem, ale z upływem czasu zaczął też brać pod uwagę, że mogła to być istota ponadnaturalna. Choć niedorzecznie to brzmiało, takie wyjaśnienie było najprostsze, co Sinclair bądź co bądź dobrze wiedział niemal od samego początku.

I teraz, dziesięć lat później, tylko Clayton zdawał się wysiłkiem podtrzymywać pamięć o tej sprawie. Jego spojrzenie błędziło po Krypcie Osobliwości, podczas gdy fonograf po raz kolejny odtwarzał doskonale znaną scenę: najpierw monotony głos kapitana Sinclaira obwieszczającego początek seansu, potem napiętą ciszę, ledwie przetykaną wstrzymywanymi oddechami obecnych, następnie stłumione okrzyki zaskoczenia, kiedy ożyły dzwoneczek, chusteczka i gardenia, zmysłowe jęki Lady Amber, donośne uderzenia, drżący głos pani Jones, wystraszonej, że medium się dusi, prośbę doktora Ramsey'a, żeby dziewczynie podano szklankę wody, i wreszcie ryk Złego, przesiąknięty złem, jakby się wydobywał z gnijącego gardła:

- Znalazłem cię! Wreszcie cię odnalazłem! I zapewniam, że oddasz mi, co moje! - wykrzyczał nieznajomy w innym czasie i innym miejscu.

„Oddasz mi, co moje...” Przynajmniej teraz wiem, o co chodziło Złemu - pomyślał agent, gładząc książkę, którą staruszka powierzyła jego opiece. To tej książeczyny poszukiwał tamten typ i aby ją zdobyć,

nie wahał się popełniać zabójstwa. Choć jeśli tak mu na niej zależało, czemu po nią nie wrócił?

Przez jakiś czas Clayton przygotowywał się na wznowienie przerwanej w połowie pojedynku, lecz w miarę upływu lat zrozumiał, że Zły zapewne nie wie, iż *Mapa chaosu* przeszła w jego ręce. Prawdopodobnie podczas krótkiego starcia, do którego doszło w pogrążonej w półcieniu rezydencji pani Lansbury, Zły nie widział go wyraźnie ani też nie usłyszał jego głosu, dlatego nie mógł skojarzyć tego niespodziewanego przeciwnika z agentem, który poprzedniego wieczoru udaremnił próbę uduszenia staruszki na seansie spirytystycznym; z pewnością wziął go za zwykłego służącego.

Zatem Zły przypuszczalnie szukał książki gdzie indziej. Może myślał, że wciąż ma ją staruszka, gdziekolwiek się znajduje, albo że *Mapę* przekazano tej osobie, do której skierowana była wiadomość przechwycona przez niego, gdy zabił nieszczęsną Doris. Jeśli tak, ta osoba była w poważnym niebezpieczeństwie, Clayton jednak nie mógł nic dla niej zrobić, jako że nie miał najmniejszego pojęcia, kim ona jest.

Westchnął i z rezygnacją spojrzął na książkę. Staruszka przykazała mu, żeby jej bronił z narażeniem życia, by można ją było wręczyć „tym, którzy przybędą z Drugiej Strony”. I to właśnie robił przez ostatnie dziesięć lat: ukrył książeczkę tu, w Krypcie Osobliwości, miejscu, które nie istnieje dla świata, w nadziei, że ktoś się po nią zgłosi. Ale wyglądało na to, że nikt nie wie o jej istnieniu. I zawsze gdy, tak jak teraz, nie pracował nad żadną sprawą, przychodził tu, włączał fonograf i godzinami kartkował tomik, zastanawiając się nad tym, kto jest autorem, co znaczą te wzory, jakie niebezpieczeństwo zagraża światu i jak go mogą ocalić te zapiski.

Z upływem lat, obawiając się, że ściągnie na siebie straszne konsekwencje, pokazał owe zapiski kilku wybitnym angielskim matematykom. Jednakże żaden z nich nie zdołał rozszyfrować galimatiasu wzorów i rysunków geometrycznych ani wyjaśnić, czym są współrzędne malstromowe, o których staruszka wspomniała dwa razy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nie spotkali się z tym terminem.

Clayton trzymał książkę, jak przystało na rzecz, z którą przez dziesięć lat zdążył się dobrze zaznajomić. Powiódł palcem wskazującym po zdobiącej okładkę ośmioramienną gwiazdą, pogładził kółko, z którego wychodziły barokowe strzały, i koncentryczny okrąg, który przecinały, tworząc kształt przypominający koło sterowe statku; potem przekartkował ją na chybił trafił, jak miał w zwyczaju, ze słabą nadzieją, że to przypadkowe przerzucanie stronic ujawni mu sens tego wszystkiego, a jednocześnie poczuł ciężar odpowiedzialności, który starszka złożyła na jego barkach. Jej słowa wyryły mu się w pamięci lepiej, niż zrobiłyby to na warku fonografu: „Na kartach tej książki zapisane jest ocalenie świata. Świata, który pan zna, a także wszystkich tych, które można sobie wyobrazić. (...) Niech pan jej strzeże, agencie Clayton. Powinien pan ją chronić, w razie potrzeby ryzykując życie, i przekazać ją tym, którzy przybędą z Drugiej Strony”. Minęło dziesięć lat i nikt się po nią nie zgłosił, ale Claytonowi wystarczyło przypomnieć sobie ogień płonący w oczach starszej pani, by się upewnić, że prędzej czy później ktoś się zjawi. Może tym kimś będzie sam Zły - myślał czasami z trwogą - ten przezroczysty morderca, dla którego rana od kuli jest zaledwie lekkim ukłuciem, ta bezlitosna kreatura, co nie przestanie zabijać, dopóki nie zdobędzie książki, którą on ma w tej chwili w ręce.

Dźwięk otwieranych drzwi krypty sprawił, że agent drgnął z zaskoczenia. Kto to może być o tej porze? - zadał sobie pytanie, pośpiesznie rzucając okiem w stronę widniejącego w jednej ze ścian okienka, przez które sączyła się blada jasność świtu. Zaraz otrzymał odpowiedź: na tle wejścia rysowała się pękata postać z czerwonym punktowym światłem błyskającym na wysokości oczu. Kiedy kapitan dostrzegł go siedzącego przy stole, fuknął i skierował się w jego stronę, meandrując wśród nieprawdopodobnych rupieci wypełniających całe pomieszczenie.

Jestem pewien, że każdy z was założyłby się, iż w ciągu dziesięciu minionych lat więzi między Claytonem a jego przełożonym mogły się tylko zacieśnić, biorąc pod uwagę dziesiątki spraw, którymi się wspólnie zajmowali, niebezpieczeństwa, którym razem stawiali czoło, i tajemnicze przygody, jakie zapewne przeżyli. Jednak ktoś, kto

postawiłby na tę kartę, przegrałby z kretesem, ponieważ są takie dusze, których nie można zgłębić bardziej, niż nam na to pozwolą, a zarówno pierwszy z nich, jak i drugi posiadali właśnie ten rodzaj nieprzeniknionych dusz. Toteż ich wzajemne stosunki niewiele ewoluowały od momentu, gdy je poznaliśmy na początku tej opowieści.

I ten deficyt zażyłości w niektórych sprawach działał na korzyść agenta. Na przykład zwalniał go od konieczności wyleczenia się z niewygodnych omdleń - kwestią, nad którą zapewne wszyscy się zastanawiacie, jako że mija dziesięć lat, odkąd zostawiliśmy Clayтона wychodzącego ukradkiem z gabinetu doktora Higginsa.

No cóż, dowiedźcie się, że analizy naszego tajemniczego doktora nie wykazały niczego odbiegającego od normy i chociaż później agent odwiedził jeszcze kilku lekarzy - jeżeli można za lekarzy uznać starego Niemca, który go skłonił, by przez kilka tygodni nosił na prawym udzie magnetyczną opaskę, czy zasuszoną Chinkę, która mu powbijiała w plecy igły - w końcu przestał poszukiwać rozwiązania swojego problemu, ponieważ ten przestał być problemem, przynajmniej w pracy, co Clayтона swego czasu najbardziej martwiło. A jak do tego doszło? Bardzo prosto: dzięki temu, że kapitan Sinclair postanowił przytknąć na to oko.

I rzeczywiście, w ciągu owych dziesięciu lat Clayton wielokrotnie mdlał podczas pracy, w większości przypadków pod samym nosem kapitana, i początkowo, żeby to usprawiedliwić, uciekał się do przeróżnych wymówek - takich jak nagromadzenie snu, dziwne uczucie wywołane przez pracę na nocnym dyżurze, zaburzenia trawienne - ale przekonawszy się, że Sinclair przyjmuje je z obojętnym milczeniem, szybko przestał szermować wykrętami i uśmiechał się tylko głupawo za każdym razem, gdy obudził się tam, gdzie szef go przeniósł, żeby nie zawadzał. Clayton nigdy się nie dowiedział, czy kapitan choć raz uwierzył w jego tłumaczenia ani czy poinformował o tym swoich przełożonych, faktem jest jednak, że agenta nigdy w tej sprawie nie wezwano do żadnego urzędu. Najwidoczniej Sinclair postanowił przejść do porządku dziennego nad jego ekscentrycznym zwyczajem osuwania się bez uprzedzenia w dowolnym miejscu, choć nastroczało to rozliczne problemy. Jednak

mimo względnego spokoju, w jakim się to odbyło, przez jakiś czas Clayтона intrygowały motywy, które kierowały kapitanem. Intrygowały go przynajmniej do tego popołudnia, kiedy pani Sinclair podczas jednego z częstych przyływów szczerości, jakie miewała w porze podwieczorku, wyznała agentowi, że pełne potencjału nasienie jej męża nie może zapaść korzeni w jej jałowym łonie. Głosem przesiąkniętym melancholią Marcia Julia Sinclair opisała młodemu człowiekowi długie lata uciążliwej walki o potomstwo, niezliczone rozczarowania, a nade wszystko ogromny zawód, jaki przeżyli, odkrywszy, że po osiągnięciu pewnego wieku nie da się wygrać żadnej batalii, nawet krwią. Po tych zwierzeniach agentowi nie pozostały już żadne wątpliwości co do tego, czemu kapitan postanowił pomóc mu w niesieniu jego ciężkiego krzyża. Los chciał, by Clayton idealnie wpasował się w ową pustą dziurę, jaką ujawniło przed nim małżeństwo Sinclairów, a to nadało mu immunitet, który - choć o niego nie prosił - okazał się dlań nadzwyczaj dogodny. I codziennie dziękował za to kapitanowi w jedyny sposób, na jaki pozwalał mu wspomniany już brak zażyłości: bez słów, a zwierzchnik odpowiadał mu tak samo, również uciekając się do kodu złożonego z pełnych zakłopotania uśmiechów, subtelnych kiwnięć głową i znaczącego unoszenia brwi, którymi sygnalizowali sobie nawzajem, że obaj wiedzą, że ten drugi wie. I właśnie takim sposobem omdlenia przestały być dla Clayтона problemem, a stały się jedynie pechową komplikacją, z którą trzeba się było nauczyć żyć. W rzeczywistości agent był zachwycony takim obrotem sprawy, ponieważ pozwalało mu to nadal śnić o Valerie.

- Nie wiem, czemu poszedłem szukać pana w domu, w klubie i w wydziale, skoro wiem aż za dobrze, że każdą wolną chwilę zawsze woli pan spędzać tutaj - odezwał się kapitan, gdy już zatrzymał się zasapany przed stołem, a wyrzut w jego głosie skierowany był bardziej do niego samego niż do agenta.

Dziesięć minionych lat przyozdobiło jego włosy białymi pasmami i dodało kilka zmarszczek na twarzy, ale w istocie rzeczy Sinclair zdawał się w bardzo niewielkim stopniu poświadczać upływ czasu, jak te wyniosłe skalne klify, na których działalność erozyjna fal dla ludzkiego oka zaznacza się niedostrzegalnie wolno.

- Dzień dobry, kapitanie - przywitał go Clayton, pośpiesznie wyłączając fonograf, jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku. - Wcześniej pan wstał.

- Pan także, agencie - odparł Sinclair, rzucając pełne wyrzutu spojrzenie na leżącą na stole książkę.

Clayton wzruszył ramionami. Zwierzchnik patrzył na niego przez dłuższy czas, nerwowo zaciskając i rozluźniając usta, ale nic nie mówił.

- Może powinien pan przestać tak obsesyjnie wracać do tej sprawy... - rzekł w końcu. - W gruncie rzeczy ta obsesja do niczego nie prowadzi. W naszym zawodzie raczej nie należy zabierać pracy do domu.

Clayton kiwnął głową z pozorną niechęcią, wyobrażając sobie, co by jego szef pomyślał, gdyby wiedział, że podwładny ma na ścianie w piwnicy swego domu powieszony portret hrabiny de Bompard.

- Jest pan młody, przed panem całe życie - dodał Sinclair, zauważając, że Clayton najwyraźniej tego ranka zamierza pobić własny rekord zwyczajowego długiego milczenia. - Niedługo przejdę na emeryturę i niewątpliwie zarekomenduję pana na swoje stanowisko, zatem niech pan przyjmie radę starca: nie wolno pozwolić, by jakakolwiek sprawa naraziła na niebezpieczeństwo nasze prywatne życie - zakończył, w zamyśleniu muskając dłonią dziwny monokl zakrywający jego prawe oko.

Przez twarz Clayтона przemknął ironiczny uśmiech.

- Dziękuję panu za rady, kapitanie, lecz obaj wiemy, że nie zarekomenduje mnie pan, a ja nie będę miał o to pretensji. Mój mały problem będzie sprawiał wszystkim znacznie mniej kłopotów, jeśli się mnie zamknie w jakimś biurze przy wypełnianiu formularzy, zamiast wysyłać na ulice z garścią młodych podkomendnych. - Sinclair otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale musiał je zamknąć, przyznając z goryczą, że agent znacznie lepiej przepowiedział swoją przyszłość niż on. - A co do mojego życia prywatnego, proszę się nie martwić: nie mam go wcale.

- No właśnie - zripostował Sinclair. - Wszyscy potrzebujemy trochę... ee... damskiego towarzystwa, kiedy zapada noc, nie sądzi pan?

Clayton uśmiechnął się do siebie. Nieodmiennie wzruszały go owe szorstkie, niezręczne uwagi, którymi kapitan od czasu do czasu przypuszczał atak na jego niedostępne serce, ewidentnie na polecenie swej żony.

- Nie interesują mnie wizyty w domach publicznych, jeśli to mi pan sugeruje - odpowiedział fałszywie urażonym tonem.

- Święty Boże, nie, agencie... Chodzi mi o towarzystwo nie tak... ee... krótkotrwałe. Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na to, że moja sekretarka, panna Barkin, kiedy przygotowuje nam kawę, zawsze pamięta, jaką pan lubi, a mnie, wręcz przeciwnie: zawsze przygotowuje taką, jakiej najbardziej nie cierpię.

- Interesujące. To zasługuje na śledztwo. - Clayton udał zastanowienie, rozparł się na swoim krześle i skrzyżował ręce na piersi. - Czy to nowa sprawa, którą przyszedł mi pan powierzyć?

- Nie zaprzeczę, że ani Marcia, ani ja nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby miał pan obsesję na punkcie tej sprawy - mruknął kapitan, zdradzając, że tak naprawdę owe aluzje to bardziej pomysł pani Sinclair niż jego. Potem wzruszył ramionami i parsknął niecierpliwie. Już i tak ponadplanowo wypełnił swoją część zadania, ukazując niewrażliwemu agentowi atencję, jaką obdarza go sekretarka. Najwyższy czas, by przedstawić prawdziwy powód jego obecności w tym miejscu. - Jednak sądzę, że sprawa, którą przyszedłem panu powierzyć, okaże się znacznie bardziej interesująca.

- Jest pan pewien, że jakaś inna sprawa mogłaby mnie zainteresować bardziej niż kapryśna zmienność kawy przygotowywanej przez pannę Barkin, kapitanie? - Clayton uśmiechnął się z widoczną ulgą, wdzięczny, że rozmowa przyjmuje inny kierunek.

- Nie mam najmniejszej wątpliwości - zapewnił Sinclair. - Ponieważ sprawa ta jest powiązana z pisarzem, którego pan tak

podziwia, tym, który opublikował powieść o inwazji marsjańskiej.

- H.G. Wellsem? - wymamrotał Clayton, zrywając się z krzesła.

Kapitan skinął głową, zadowolony, że przynajmniej może złożyć w ręce swego podwładnego nową zabawkę, która go zajmie na jakiś czas.

- Mieszka w Worcester Park. - Poszperał w kieszeni surduta i podał agentowi karteczkę. - Proszę, oto jego adres. Niech się pan stawi w jego domu możliwie jak najszybciej.

Clayton przeczytał napis i kiwnął głową.

- Jaki jest powód, kapitanie?

Sinclair uśmiechnął się. Wiedział, że ta odpowiedź spodoba się agentowi najbardziej ze wszystkiego.

- Tej nocy na pastwiskach w Horsell pojawił się marsjański cylinder - wyjaśnił. - Dokładnie tak jak w powieści Wellsa.



## CZEŚĆ DRUGA

**D**rzysz, drogi Czytelniku, wobec niezliczonych tajemnic, jakie się czają we wszechświecie? Nie obawiaj się - jak w każdej opowieści detektywistycznej, niczego nie pozostawię bez rozwiązania.

Lecz nie samymi tajemnicami żyje czytelnik. Podążaj dalej za wartką akcją i daj się ponieść historii miłosnej, która nie kończy się mimo zapadnięcia ciemnej kurtyny Śmierci. Nie zapominaj jednak, że książki, którą trzymasz w ręku, poszukuje Zły - najstraszniejszy, jakiego można sobie wyobrazić. Strzeż jej i chroń ją; jeżeli to konieczne, nawet z narażeniem życia!

## X

Montgomery Gilmore wolałby nie cierpieć na ten irracjonalny lęk wysokości, od którego żołądek obrastał mu lodowatym mchem. Do tej pory strach trwał ukryty w jego wnętrzu jak pasażer na gapę, a jego korzenie przypuszczalnie tkwiły w jakimś zapomnianym epizodzie z dzieciństwa. Niefortunny upadek z muru w ogrodzie rodziców? Makabryczne przestrogi nadgorliwej guwernantki? Kto wie. Tak czy inaczej, ziarno bezwiednie zasiane w jego duszy w jakimś momencie życia kiełkowało potajemnie, aż wzeszło w najgorszym możliwym momencie: akurat kiedy był zawieszony w powietrzu na sporej wysokości, w koszu pod balonem. Na jego nieszczęście aerostat nie przestawał się wznosić, grożąc, że dosięgnie samego słońca, a przynajmniej taki wydawał się cel kierującego nim człowieka - mrukliwego typu, który na nieustanne pytania Gilmore'a - a dopytywał o to, czy jego zdaniem kierunek jest właściwy, wysokość odpowiednia, wiatr taki, jak trzeba... - co najwyżej wzruszał ramionami albo zmieniał miejsce ułożenia brudnej wykałaczki, którą miał wetkniętą między zęby. Gilmore wyobraził sobie, jak go dusi własnymi rękami, i ta wizja przyniosła mu pewną pociechę. Nie mógł jej jednak jeszcze wprowadzić w czyn, ponieważ zmusiłoby go to do puszczenia brzegu kosza, a na tę nieroztropność sobie nie pozwoli, nawet żeby otrzeć pot obficie spływający mu po skroniach. Poprzestał zatem na tym, by się wpassować w grupę cisnących się na pokładzie cyrkowców - którzy ćwiczyli swój numer akrobatyczny, hasając jak stado rozbrykanych małp - i starał się utrzymać na twarzy uśmiech beztroskiej obojętności, a jednocześnie zadawał sobie pytanie, co sobie, u czorta, myślał, decydując się na taki strój: jasnoróżowy

garnitur, wążący tonę cylinder i muszkę, której obrotowy mechanizm co chwilę groził, że mu poderżnie gardło.

Rozbawić ją. To właśnie sobie myślał: ma ją rozbawić. Wskazówki otrzymane w liście były jasne. Dlatego się tu znajdował, ubrany jak idiotyczny pajac, wznosząc się coraz wyżej w balonie, który nie przestawał się niebezpiecznie chwiać. I dokona tego. Choćby miał przy tym polec. Wyobraził sobie, jak spada z balonu i zostawia odcisk swojego ciała na trawie, ale natychmiast odrzucił ten pomysł jako mało praktyczny: nie zorganizował tego wszystkiego, żeby poświęcić samego siebie. Dlatego jeszcze mocniej zacisnął ręce na brzegu kosza, zdecydowany, że dotrze na pastwiska w Horsell żywy, by za kilka minut rozpocząć najzabawniejszą inwazję marsjańską, jaką można wymyślić, i dzięki niej postarać się zdobyć kobietę, którą kocha. Albo - w razie gdyby Stwórca uznał ten plan za zbyt ambitny - przynajmniej ją rozśmieszyć.

Ponieważ na jego nieszczęście Emma Harlow nie była kobietą, którą łatwo zdobyć, stosując te same taktyki, jakie sprawdzają się w przypadku pozostałych niewiast. Gilmore próbował wszystkiego: podarował jej trzydzieści siedem kapeluszy, został życzliwie przyjęty przez jej rodziców i złożył swój niezmierny majątek u jej stóp, zapewniając ją raz po raz, że może spełnić jej każde życzenie, urzeczywistnić wszystko, na co tylko będzie miała ochotę, choćby nie wiedzieć jak zdawało się to niemożliwe. Ale jedyne, co osiągnął przez swe nalegania, to to, że dziewczyna, zmęczona jego nieudolnymi, uciążliwymi zabiegami, rzuciła mu wyzwanie tyleż okrutne, ile nieosiągalne: poślubi go, jeżeli uda mu się odtworzyć marsjańską inwazję z powieści H.G. Wellsa *Wojna światów*. Rzecz jasna, nie wymagała, by zniszczył Ziemię z wszystkimi jej mieszkańcami. Wystarczy jej, że Gilliam odtworzy początek najazdu z taką wiarygodnością, iż odbije się to echem w całej angielskiej prasie. Jeżeli tego dokona, zdobędzie jej rękę. Lecz jeśli poniesie porażkę, będzie musiał przyznać, że wywiązanie się z zadania przekracza jego możliwości, a tym samym raz na zawsze, u licha, zaniechać swych nedorzecznych zalotów.

Gdy Gilmore usłyszał od niej to kapryśne zlecenie, nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Wells.

H.G. Wells.

Znowu on. Znowu los zmusza go, by stanął do pojedynku z wyobraźnią tego pisarza. Czy nigdy już nie uwolni się od jego obecności? Czy jego życie będzie powiązane z żywotem Wellsa, dopóki śmierć jednego z nich nie rozwiąże tych irytujących więzów?

Gilmore wiedział, że dziewczyna rzuciła mu to wyzwanie tylko po to, by się go pozbyć, żeby oddalić najbardziej nieustępliwego ze swych konkurentów, jedyne, którego nie zdołała zniechęcić impertynencją ani nieprzyjemnymi ripostami. Mimo to podjął rękawicę i udał się do Londynu, gotów sprawić, by świat uwierzył, że Ziemię najechali Marsjanie, choć tym razem chodziło o miłość. Szybko jednak odkrył, że odtworzenie marsjańskiej inwazji z wiarygodnością niezbędną do tego, by się nabrała cała Anglia, nie jest tak łatwe, jak się wydawało na początku, choćby nie wiadomo ile wkładał w to silnej woli. Po licznych nieudanych próbach, gdy wyznaczony termin miał wkrótce upłynąć, Gilmore był zmuszony poprosić o pomoc jedyną osobę w świecie, która mogła mu umożliwić zwycięstwo: samego H.G. Wellsa, autora powieści, której treść miał odtworzyć w rzeczywistości. Popchnęła go do tego desperacja; był pewien, że kiedy pisarz przeczyta jego list, bez wahania zemnie go w kulkę i wyrzuci do kosza. Mimo to jakaś część jego duszy żywiła nadzieję na odpowiedź, bo był przekonany, że Wells uważa się za lepszego niż on i nie przepuści okazji, żeby mu to udowodnić. I tak się stało. Kilka dni później do jego skrzynki pocztowej wpadł list z nazwiskiem H.G. Wellsa jako nadawcy - pojawił się tak cudownie, jak kwiat na śniegu.

Drogi Gilliamie!

Choć pewnie wyda Ci się to dziwne, ciszę się na wieść o tym, że jesteś zakochany. Niestety jedynym, co mogę dla Ciebie zrobić, jest udzielenie Ci pewnej rady: nie staraj się odtworzyć marsjańskiej inwazji. Zamiast tego spróbuj rozbawić ukochaną. Spraw, by się śmiała; by jej śmiech dzwonił w powietrzu niczym worek srebrnych monet. Wtedy zdobędziesz ją na zawsze.

Ściskam serdecznie,  
Twój przyjaciel George

Tak! Wells, jego największy wróg, człowiek, który nienawidził go chyba najbardziej na całej planecie, odpowiedział mu! Co więcej, pobłogosławił jego miłość, dał mu radę i co najbardziej niewiarygodne ze wszystkiego, przesłał mu uściski i sam nazwał się jego przyjacielem. Gilmore nigdy by się tego nie spodziewał, zważywszy na to wszystko, co zaszło między nimi dwoma w minionych latach. Właściwie początkowo, nie potrafiąc się wyzbyć swej starej podejrzliwości, uznał, że za tymi na pozór nieszkodliwymi zdaniem czai się jakaś zakamufLOWANA groźba, szczególnie w pierwszej linijce, w której Wells zwrócił się do niego, używając jego prawdziwego imienia. Czy go ostrzega, że ma nad nim władzę, teraz, kiedy już poznał jego sekret? Zechce go później szantażować, czy nie mając cierpliwości niezbędnej do torturowania, poprzestanie na tym, że go po prostu zniszczy raz na zawsze, ujawniając światu jego prawdziwą tożsamość? W co chciał pogrywać Wells? Ale po tym wybuchu nieufności Gilmore uspokoił się. Jego obawy okazały się absurdalne, przede wszystkim jeśli się wzięło pod uwagę, że to on sam napisał do Wellsa, wyznając mu coś, co ten z drugiej strony przypuszczalnie i tak podejrzewał - wyjawiał mu sekret, którego nie znał nikt oprócz jego najwierniejszych zbirów: że przedsiębiorca Gilliam Murray, właściciel Podróży w Czasie Murraya, sławny Pan Czasu, nie zginął pożarty przez jakiegoś smoka na różowej równinie czwartego wymiaru, jak wszem i wobec rozgłosiła prasa, tylko sfingował własną śmierć, a sam ukrył się pod tożsamością nie kogo innego jak milionera Montgomery'ego Gilmore'a. Żywy i zakochany.

Ale Wells go nie wydał, choć nie wyjaśnił mu także w swoim liście, jak można zmaJstrować Marsjanina tak wiarygodnego jak ci, których opisał w swojej powieści, na co Murray miał nadzieję. Nie, Wells powiedział, że ma ją rozbawić. Tylko tyle. Jakby był przekonany, że to wystarczy. I Murray postanowił tak zrobić. Nie miał już innej możliwości.

Jego rozmyślania przerwała seria silnych wstrząsów. Posłał groźne spojrzenie linoskoczkom, którzy zaczęli się opuszczać z boków

balonu, aż dotarło do niego, że to może oznaczać tylko jedno: zbliżają się do celu. Serce mu przyśpieszyło. Bojaźliwie zerknął w dół i jego podejrzenia potwierdziły się. Za pierzastymi wierzchołkami drzew, nad którymi w tej chwili przelatywali, rozciągały się zielone pastwiska w Horsell, gdzie pod osłoną nocy jego pomocnicy umieścili marsjański cylinder. Otaczał go podekscytowany tłum, a kiedy balon się zbliżył i stracił na wysokości, Murray poczuł woń prochu strzelniczego wiszącą w powietrzu po pokazie sztucznych ogni - on sam zarządził, by wystrzeliły z cylindra na otwarcie spektaklu - usłyszał muzykę graną przez zespół tam w dole i stopniowo zaczął rozróżniać barwną ciżbę koni, słoni, tancerek, iluzjonistów, połykaczy mieczy, klaunów i zonglerów, których wynajął do występu. Na ile mógł ocenić z tej wysokości, publiczność bawiła się świetnie. A kiedy wyteżył wzrok, dostrzegł też rzekomego Marsjanina - kukiełkę, która, wysunięta przez otwartą klapę cylindra, tańczyła w rytm wesołej muzyki, dzierżąc transparent z jakimś napisem. Tego ostatniego Murray nie musiał próbować odczytać, ponieważ sam napisał na nim zamasyście: „Emmo, wyjdiesz za mnie?”.

W tym momencie rozległo się bicie w bębny i wszyscy zaczęli kręcić głowami, rozglądając się wokół siebie, podekscytowani nowym cudem, jaki zapewne ogłaszały werble. Balon obniżył się o kolejne kilka metrów, choć nikt jeszcze nie wpadł na to, by spojrzeć w jego stronę. Murray jednak znajdował się tak blisko tłumy, że mógł rozróżnić niektóre z obracających się na boki twarzy. Serce zabiło mu mocniej, kiedy spoza nieustannie wirującej parasolki ukazała się głowa Emmy z twarzą ozdobioną zachwycającym zdumieniem. Stała tam, dzielna niczym amazonka, delikatna jak kwiat, wierna dacie, na którą sama przystała jako na termin końcowy swojego wyzwania. „Marsjanie pojawią się na pastwiskach Horsell, panno Harlow - zapewnił ją. - Pojawią się, daję pani słowo. Przybędą z Marsa, żeby pani za mnie wyszła”. I stawiała się na umówione spotkanie, gotowa osobiście sprawdzić, jak Gilmore ponosi fiasko przy próbie dokonania tego, co niemożliwe. A na pastwisku zobaczyła cylinder, z którego wnętrza, niczym z rogu obfitości, wysypał się cały cyrk... Murray przełknął ślinę, nie potrafiąc opanować nerwów. Jaka będzie reakcja dziewczyny, gdy on opuści się z balonu, ujawniając się jako twórca tego cyrkowego szaleństwa?

Nie miał czasu, by sobie na to odpowiedzieć, ponieważ kilka metrów od dziewczyny dostrzegł Wellsa. Pisarz miał na sobie krzykliwy garnitur w kwadraty, który tylko on mógł nosić z taką naturalnością, a towarzyszył mu patykowaty mężczyzna odziany w skromny czarny strój, jak gdyby Wells przywłaszczył sobie wszystkie barwy świata. Mimo swojego niepokoju Murray nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Wells nie tylko zechciał dać mu radę, lecz także postanowił przybyć na miejsce, żeby go wesprzeć swoją obecnością. Czy aż do tego stopnia przejął się jego życiem uczuciowym? To poruszyło Murraya bardziej, niż gdyby usłyszał pieśń kaszalota, i wywołało u niego nagły przyływ roztkliwienia wobec pisarza, co rozszerzył na całą ludzką rasę z wyjątkiem nieużytego pilota balonu. Uniesiony wzruszeniem, obiecał sobie, że jeśli Emma zgodzi się wyjść za niego, Wells zostanie jego drużbą, a on nigdy więcej nie będzie już nienawidził żadnego człowieka, jak nienawidził pisarza, ani nie będzie się na nikogo gniewać, ani do końca życia nie zrobi sobie z nikogo wroga. Będzie najhojniejszym mieszkańcem planety, kimś tak przepelnionym szczęściem, że nie będzie zdolny życzyć nieszczęścia nikomu innemu. Człowiekiem oczyszczonym przez miłość, czystą dobroć i czystą filantropię.

W tym momencie ogromny cień balonu prześliznął się po tłumie i setka twarzy teraz, owszem, zwróciła się ku górze. Murray pośpiesznie odsunął się od brzegu kosza. Nie chciał, by ktoś go zobaczył, zanim gondola dotknie gruntu, a on zejdzie na ziemię z majestatycznymi gestami, które w ciągu ostatnich dni ćwiczył przed lustrem. Przypomniawszy sobie, że jego postawa powinna być triumfalna, a tymczasem cyrkowi akrobaci opuszczali się już na kolorowych linach i zawieszeni na nich, z niezwykłą gracją wykonywali swoje fikołki. Gdy balon dotarł nad miejsce, na którym miał wylądować, tuż obok cylindra, linoskoczkowie zeskoczyli na ziemię i - niczym orszak lokajów śmieszniejszych, niż można to sobie wyobrazić - rozproszyli się po trawie i przyjęli pełne wdzięku pozy, którymi mieli z szacunkiem powitać swojego szefa. Murray zaczerpnął głęboko powietrza, włączył w swym kapeluszu mechanizm dymiący, a w muszce - wirujący, i przywołał na usta najbardziej promienny uśmiech, na jaki go było stać: oto nadeszła pora, by sam wystąpił

w przedstawieniu, które zaaranżował, żeby rozbawić kobietę, którą kocha.

Ale podczas gdy scena tak dobrze przebiegała dla Murraya, Wells oglądał ją z ziemi z zupełnie innym nastawieniem. Kiedy olbrzymi cień prześliznął się po jego głowie, nasuwając skojarzenie z zaćmieniem słońca, pisarz i agent Clayton podnieśli oczy ku niebu i w niemym zdumieniu przyglądali się, jak ogromny balon opuszcza się nad cylindrem i przygotowuje do lądowania. Wells z ustami zaciśniętymi w bladą kreskę patrzył na potężną kulę pomalowaną w wesołe kolory, na których tle błyszcząco pompatyczne „G”. Pod spodem kołysał się kosz; z dołu w tej chwili widać było jedynie jego dno, lecz pisarz nie musiał się zastanawiać nad tym, kto podróżuje w gondoli. Wiedział to aż za dobrze. Prychnął na widok opuszczającej się z kosza trupy akrobatów przebranych za lokajów. To wejście, tak jarmarczne i ostentacyjne, mogła zaplanować tylko jedna osoba. Wells zadawał sobie jednak pytanie, jak sam zniesie widok tej tak znienawidzonej twarzy po dwóch błogich latach, gdy myślał, że uwolnił się od jej właściciela na zawsze.

Już miał się odwrócić i odejść, ale przemyślał to sobie i postanowił zostać, ponieważ nie miał jasności co do tego, czego właściwie spodziewa się po nim towarzyszący mu agent Clayton. Ten chudy jednoręki policjant, który teraz oglądał występ cyrkowców, manifestując swe zdumienie lekkim uniesieniem prawej brwi, stawiał się tego ranka w domu pisarza z wiadomością, że na pastwiskach w Horsell pojawił się marsjański cylinder, tak jak zostało to opisane w jego powieści. A Wells wziąłby go za szaleńca albo za żartownisia, gdyby nie to, że miesiąc temu sam otrzymał list zapowiadający ten obłąd.

List, przekłety list... Widząc nazwisko nadawcy, otworzył go z pewnym strachem, ale gdy przeczytał wiadomość, niemal zwierzęca furia przesłoniła mu wszelkie inne emocje.

Szanowny George'u!

Wyobrażam sobie, że nie będziesz zaskoczony, otrzymując list od zmarłego, ponieważ obaj wiemy, że w całej Anglii jesteś jedyną osobą mającą świadomość, że żyję. Zaskoczy Cię



jednak, jestem tego pewien, powód, z jakiego do Ciebie piszę, a nie jest to nic innego, jak prośba o pomoc. Tak, dobrze przeczytałeś: wysłałam do Ciebie ten list, bo potrzebuję Twojej pomocy.

Pozwól przede wszystkim, że nie będę tracić czasu na ukrywanie prawdy. Wiem, że czujesz do mnie absolutną niechęć, podobną do tej, jaką ja żywię do Ciebie. Takie są fakty i obaj o tym wiemy. Nie będzie Ci więc trudno zrozumieć, że kreślenie tych słów jest dla mnie upokorzeniem. Ale upokorzenie, jakiemu postanowiłem stawić czoło, mając nadzieję na uzyskanie Twojej pomocy, da Ci wystarczające pojęcie o moim zdesperowaniu. Jeśli Cię to ucieszy, wyobraź mnie sobie jęczącego przed Tobą na kolanach. Dla mnie to nieistotne. Moja godność nie jest tyle warta, abym jej nie chciał poświęcić. Wiem, że to absurdalne prosić o pomoc kogoś, kogo uważa się za swojego wroga, ale czy nie jest to także przejaw szacunku, sposób uznania własnej niższości? A ja przyznaję się do mojej: zawsze chełpiłem się swą wyobraźnią, wiesz o tym. Lecz teraz potrzebuję pomocy kogoś, kto ma wyobraźnię większą od mojej. I nie znam żadnej osoby, której wyobraźnia mogłaby się równać z Twoją, George. To proste samo w sobie. Jeżeli mi pomożesz, jestem gotów porzucić swą niechęć do Ciebie, choć wyobrażam sobie, że dla Ciebie nie będzie to żadną zachętą. Ale uważam też, że będę Ci wtedy winien przysługę, a jak wiesz, jestem teraz milionerem. Może to byłoby dla Ciebie zachętą. Jeśli mi pomożesz, sam możesz podać cenę tej pomocy. Jaką zechcesz. Masz moje słowo, George.

A do czego potrzebuję Twojej pomocy? - zapytasz. Cóż, to być może rozbudzi w Tobie jeszcze większą niechęć do mnie, ponieważ znowu jest związane z jedną z Twoich powieści, tym razem z *Wojną światów*. Jak niewątpliwie domyśli się Twój błyskotliwy umysł, mam odtworzyć marsjańską inwazję. Zapewniam Cię jednak, że tym razem nie chcę Ci niczego udowodnić ani nie zamierzam się na tym wzbogacić. Musisz mi uwierzyć. Niepotrzebne mi już nic z tych rzeczy. Tym

razem moim motywem jest coś, czego potrzebuję nade wszystko i bez czego umrę: miłość, George, miłość najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widziałem. Jeżeli kiedyś byłeś zakochany, zrozumiesz, o co mi chodzi. Zapewne bardzo trudno będzie Ci uwierzyć, a może nawet wyda się to niepojęte, że człowiek taki jak ja może się zakochać, ale gdybyś ją znał, dziwiłbyś się, jeśli bym tego nie zrobił. Ach, George, nie miałem innego wyboru, jak oszołomiony ulec jej wdziękowi, i zapewniam Cię, że nie należy do nich jej olbrzymi majątek, bo, jak Ci już wspomniałem, mam więcej pieniędzy, niż mógłbym wydać w kolejnych reinkarnacjach. Nie, George, mam na myśli jej czarujący uśmiech, złocistą skórę, dziką łagodność spojrzenia, a nawet zachwycający sposób, w jaki kręci parasolką, gdy się zdenerwuje... Żaden mężczyzna nie byłby odporny na jej urodę, nawet Ty.

Ale aby ją mieć, George, muszę sprawić, że 1 sierpnia na wspólnych pastwiskach Horsell pojawi się marsjański cylinder, a z jego wnętrza wyjdzie Marsjanin, jak w Twojej powieści. I nie wiem, jak to zrobić! Próbowałem wszystkiego, ale - jak Ci wspomniałem - moja wyobraźnia ma swoje ograniczenia. Potrzebna mi Twoja, George. Proszę, pomóż mi. Jeśli mi się uda, ta dama wyjdzie za mnie. I zapewniam Cię, że jeśli tak się stanie, nie będziesz już miał we mnie wroga, ponieważ Gilliam Murray umrze definitywnie. Proszę, błagam, zebrzę, abyś pomógł zakochanemu biedakowi.

Z poważaniem,

G.M.

Nie mógł uwierzyć! Jak Murray miał czelność prosić go o pomoc w odtworzeniu marsjańskiej inwazji z jego powieści? Naprawdę myślał, że istnieje jakaś minimalna szansa na uzyskanie jego rady? Posunął się za daleko w swych rachubach, nawet jak na tak próżną osobę, jaką jest Murray.

Pisarz miał wyrzucić list, ale zanim to zrobił, postanowił pokazać go Jane, zakładając z góry, że żonę ogarnie taka sama złość jak jego i będą mogli oboje pomstować do woli na zuchwalstwo i naiwność

milionera, może przy kieliszku wina, z udającym się na spoczynek wśród drzew zachodzącym słońcem w tle. Ale nie. Jane uznała plan Murraya za jeden z najbardziej romantycznych, jakie można przedsięwziąć, i nawet zachęcała męża, by mu udzielił pomocy. „Ludzie się zmieniają, Bertie - powiedziała. - Ty jesteś niewzruszony, ale reszta ludzkości bardziej się skłania do zmian. To jasne, że Murray się zmienił. I zrobił to z miłości!”. Wells wybuchnął ironicznym śmiechem. Z miłości! Murray nie mógłby znaleźć lepszego argumentu, żeby przekonać Jane o tej wątpliwej przemianie Hyde'a w doktora Jekylla, ani też lepszego, żeby odstręczyć Wellsa. Jeśli się zniży do odpowiedzi, zrobi to tylko w tym celu, by go poinformować, że żywiona przezeń uraza jest tak nieprzemijająca, iż nic nie zdoła jej zatrzeć, a tym bardziej nie zrobi tego taki sentymentalny szczebiot. Ale to oznaczałoby wejście na nowo do gry, która nie przywoływała miłych wspomnień, toteż ostatecznie pisarz wybrał opcję zupełnego braku odpowiedzi, przekonany, że jego obojętność będzie największą obrazą i krzywdą, jaką może temu człowiekowi wyrządzić.

Obojętność... Może taka powinna być jego postawa, kiedy trzy lata wcześniej ten zarozumialec poprosił go o opinię na temat powieści, które stworzył. Jak niektórzy z was zapewne sobie przypominają, Murray nie był wówczas potężnym Panem Czasu, tylko zwykłym nieudolnym pisarzyną z większym bagażem pretensji niż talentu, a pragnął uznania od kogoś, kogo uważał za jednego z największych angielskich autorów. I to prawda, że Wells mógł go zbyć kilkoma ogólnikowymi, uprzejmymi zdaniem. Jednak wybrał nadmiernie cenioną szczerą, nie tylko dlatego że ten bezczelny grubas nie zasługiwał na wysiłek udawania przed nim uprzejmości, ale też z tego powodu, że cała jego osoba głośno prosiła się o lekcję pokory, on zaś sam przyznał Wellsowi prawo do udzielenia mu jej. Czy ktoś mógłby się oprzeć takiej zachęce? On oczywiście nie. Dlatego, pragnąc zobaczyć reakcję Murraya, podzielił się z nim swoją opinią o jego powieści z niewątpliwie niepotrzebnym okrucieństwem i bezwiednie rzucił temu biednemu nieudolnemu pisarzynie wyzwanie, które uwikłało ich dwóch w absurdalny, ciągnący się latami pojedynek.

Opowieść Murraya była naiwnym naukowym romanssem opowiadającym o roku dwutysięcznym, w którym automaty podbiły całą Ziemię, a odważyła im się oprzeć jedynie mała grupa ludzi dowodzona przez dzielnego kapitana Shackletona. Nedorzeczna akcja opowieści pozwoliła Wellsowi zakończyć bezlitosną analizę dzieła stwierdzeniem, że taka przyszłość jest absolutnie nieprawdopodobna, co sprawia, że ten utwór to bezużyteczna szmira, zasługująca na zapomnienie. Według niego wyobraźnia jest darem, który powinien zawsze pozostawać w służbie prawdy. Każdy idiota może sobie wyobrazać rzeczy niemożliwe, ale tylko prawdziwi geniusze są w stanie wysnuć z wyobraźni nieskończone realne możliwości i to oczywiste, że Murray kimś takim nie jest. Ta reprimenda dotknęła nieudolnego pisarzynę do żywego. Urażony wymaszerował z domu Wellsów, lecz zanim to zrobił, zagroził, że sprawi, iż cały Londyn uwierzy w prawdziwość jego fantazji, czego nie potrafi dokonać żaden pisarz, choćby nie wiedzieć jak uzdolniony.

Kilka miesięcy później rozpoczęły działalność Podróże w Czasie Murraya, przenoszące obywateli dziewiętnastego wieku w przyszłość, i to przyszłość, która - ku zdumieniu Wellsa - była dokładnie taka sama jak ta wyobrażona przez Murraya w jego „zjechanej” powieści.

I przez dwa lata pisarz znosił to upokorzenie, regularnie otrzymując zaproszenia na ekspedycje, które Murray organizował do swojej nieprawdopodobnej przyszłości - coraz bogatszy, coraz bardziej wpływowy i jeśli wierzyć pogłoskom krążącym po tawernach portowych, w dodatku coraz bardziej niebezpieczny. Aż pewnego pięknego dnia Pan Czasu postanowił sfingować własną śmierć i Wells mógł wreszcie odetchnąć spokojnie, a całą tę sprawę potraktować jak zły sen.

Lecz nagle, kiedy już prawie udało mu się zapomnieć, w jego skrzynce pocztowej pojawił się ten niedorzeczny list. I choć na niego nie odpowiedział, również go nie wyrzucił. List był na to zbyt piękny. Czasami pisarz ukradkiem wyjmował go z książki, gdzie go ukrył, żeby się delektować słowami, w których Murray ostatecznie uznawał jego wyższość. Mimo że Wells nigdy nie wątpił w tę prawdę, nadzwyczaj mu pochlebiało, że jego przeciwnik w końcu to przyznał.

Ostatnim razem czytał ów list tego samego ranka, kiedy upływał termin, jaki milioner miał na wywiązanie się z zadania postawionego mu przez ukochaną. Stawiając czajnik na ogniu, pisarz wyobrażał sobie frustrację, jaka zawładnęła Murrayem, gdy stwierdził, że mimo całych swoich pieniędzy nie da rady odtworzyć marsjańskiej inwazji, że są na tym świecie rzeczy niemożliwe nawet dla niego. A to napawało go spokojem i satysfakcją, ponieważ wyobraźnia jest najwyższym darem, który stawia człowieka ponad zwierzętami, otwiera ludzkiej rasie bramy poznania, ewolucji i postępu, zatem powinno się ją chronić przed prostackimi imitatorami, aspirantami bez talentu, przed geszefciarzami pragnącymi zbić na niej majątek, a zwłaszcza przed zakochanymi gotowymi wystawiać się na pośmiewisko.

To wtedy do jego drzwi zapukał agent Clayton, by go poinformować, że na pastwiskach w Horsell pojawił się marsjański cylinder. Przeklinając Murraya, który nigdy nie potrafił dać za wygraną, Wells wsiadł do powozu agenta. Co innego mógł zrobić? Bądź co bądź, jeżeli w Horsell pojawił się cylinder identyczny z tym, który on opisał w swojej powieści, było logiczne, że Scotland Yard będzie wymagał jego obecności na miejscu. Nie wydawało mu się natomiast tak logiczne to, że agent wierzył w możliwość, iż mają do czynienia z autentyczną marsjańską inwazją, być może zorganizowaną przez samego pisarza za pomocą jego powieści. Wells musiał mu pokazać list od Murraya, by Clayton zrozumiał, że wszystko to nie jest niczym więcej, jak tylko żartem dawnego Pana Czasu, mającego wielką skłonność do tego rodzaju humoru. Ku zaskoczeniu Wellsa agent wziął od niego list i schował go sobie do kieszeni. Przyznał, że to nadaje sprawie nową perspektywę, ale praca Wydziału Specjalnego Scotland Yardu polega dokładnie na rozważeniu wszelkich możliwości, a jedną z nich jest to, że Wells sam napisał ten list, aby utrudnić śledztwo, obwiniając zmarłego. Wobec tak obłąkańczego argumentu pisarz zaniemówił i reszta podróży upłynęła w pełnym napięcia milczeniu.

- To absurdalne uważać, że mam coś wspólnego z Marsjanami, ponieważ napisałem powieść, aby obwieścić ich inwazję! - zaprotestował w końcu, nie potrafiąc powstrzymać wściekłości.

- Równie absurdalne jak to, że ktoś odtworzyłby marsjańską inwazję, żeby zdobyć damę - odparł z wyrozumiałością agent.

No więc dobrze, powiedział sobie Wells, odrywając wzrok od głupiego dymiącego kapelusza Murraya, by spojrzeć na agenta z uśmiechem satysfakcji; najwyraźniej ktoś urządził to wszystko dokładnie po to, żeby zdobyć damę. To oczywiste, że Clayton winien jest mu przeprosiny. A jednak agent nie wydawał się chętny do tego.

- Zatem Pan Czasu nie umarł... - rzekł jedynie, jak gdyby Wells nie miał już dość tego zdania, powtarzanego przezeń przez całą drogą.

Pisarz przewrócił oczami i wznosił ręce ku niebu, jakby się spodziewał, że przysiądą na nich dwie gołębicę. Tak, Gilliam Murray żyje. Fanfaron, który opuścił się z balonu, to on, chociaż trzeba przyznać, że bardzo niewielu by go rozpoznało, tyle zrzucił kilogramów i twarz miał oprószoną rudą brodą, nie wspominając już o nedorzecznym przebraniu. Lecz jego oczy, oczy przebiegłego zwierzęcia, mogące kryć cokolwiek, jak cylinder magika, pozostały te same. Wells poczuł, jak budzi się w nim stara nienawiść do tego człowieka. Oto znowu był Murray, ośmieszał go, zamieniał jego ostatnią powieść w pospolitą cyrkową pantomimę, tym razem po to, żeby zdobyć damę. A tutaj on, Wells, wyrwany ze swego domostwa rankiem, zanim zdążył wypić filiżankę herbaty, w ubłoconych butach, ogląda przedstawienie pośród rozkrzyczanego tłumu, znowu wleczony magnetyczną siłą tego człowieka, która porywa wszystko na swej drodze, i zmuszony ni mniej, ni więcej, jak bronić się przed oskarżeniem o szpiegowanie i zdradę stanu na poziomie międzyplanetarnym. Czy nigdy już nie uwolni się od obecności Murraya? Czy jego życie będzie powiązane z żywotem milionera, dopóki śmierć jednego z nich nie rozwiąże tych irytujących więzów?

- Interesujące, bardzo interesujące - usłyszał, jak Clayton rozmyśla na głos, nie mogąc oderwać oczu od tego, co się dzieje wokół cylindra.  
- Zmartwychwstanie pana Murraya to nadzwyczaj szczęśliwa okoliczność, ponieważ zanim umarł, nie zdążyłem mu zadać kilku pytań, które niewątpliwie nie straciły ważności. Wielu pytań, tak, do których teraz muszę dodać kilka kolejnych.

Wells spojrzał na niego z zaskoczeniem, a tymczasem na ustach policjanta zaczął się rozlewać złośliwy uśmiezek, zapewne wywołany przewidywaniem momentu, w którym wreszcie tajemniczy Pan Czasu znajdzie się na jego łasce, posadzony w pokoju przesłuchań i zmuszony przez śledczego do wyjaśnienia wszelkich wątpliwości.

- Gratuluję zatem panu szczęścia, agencie Clayton - rzekł Wells cierpko. - A ponieważ nieobecność Marsjan zwalnia mnie z wszelkich podejrzeń, proszę wybaczyć, ale mam ważniejsze sprawy niż sterczenie tu i oglądanie zakończenia tego żalostnego romansidła.

Clayton skinął głową, pogrążony w swoich myślach i zahipnotyzowany spektaklem. A Wells też się nie ruszył. Trudno mu było oderwać wzrok od rozgrywającej się przed nim sceny. Tłum zaczął się rozstępować, aż powstał ludzki korytarz prowadzący od Murraya do kręcącej parasolką czarującej młodej ósóbki, bez wątpienia tej dziewczyny, dla której milioner zorganizował to wszystko. Przyglądając się jej uważnie, Wells musiał przyznać, że Murray zbytńio się streszczał, gdy opisywał jej urodę w liście. Dziewczyna była przepiękna: delikatna i lekka niczym bańka mydlana, jej skóra zdawała się oprószona złotem, a oczy, mimo zdumienia, które sprawiało, że otworzyła je nadmiernie szeroko, promieniowały mieszaniną łagodności i dzikości - idealną, by uwieść jakiegokolwiek mężczyznę. Pisarz patrzył na nią przez kilka sekund długich jak wieczność. Panna stała nieruchomo, nerwowo kręcąc parasolką, podczas gdy po drugiej stronie korytarza utworzonego przez milczącą ciżbę wirowała muszka Murraya. I tylko to poruszało się w całej jego postaci, ponieważ milioner najwyraźniej skamieniał: z rozpostartymi ramionami, zdjętym z głowy kapeluszem w ręce i z szerokim uśmiechem na ustach trwał w oczekiwaniu na to, że Emma, niczym roztargniona Meduza, przywróci mu życie jednym miłosnym spojrzeniem. Ale tak nie będzie - pomyślał Wells, przekonany, że dziewczyna odwróci się i odejdzie tam, skąd przyszła, zostawiając Murraya z jego dymiącym nakryciem głowy i wirującą muszką wśród ogarniętego litością tłumu.

Bo co innego mogła zrobić? Milioner nie zdołał odtworzyć marsjańskiej inwazji, choć bardzo się starał wyciągnąć jakąś korzyść ze swojej porażki, organizując ten barwny spektakl. A Emma Harlow

zdawała się panną zbyt inteligentną, by dać się nabrać na ten lichy numer. Jednakże wkrótce, ku zdumieniu Wellsa, na jej ustach pojawił się uśmiech i chociaż początkowo próbowała mu się opierać, w końcu pozwoliła, by się przerodził w czarujący śmiech. Przez tłum natychmiast przebiegło westchnienie radości. Pisarz z rozczarowaniem patrzył na dziewczynę, gdy szła w stronę Murraya wśród powszechnych wiwatów, i stwierdził, że dość już zobaczył.

Wyraźnie rozdrażniony oddalił się od tłumu w poszukiwaniu powozu, którym zabrałby się z powrotem do Worcester Park, do powieści, którą miał na warsztacie, i do herbaty zapomnianej na kuchennym stole. Do zwykłego, normalnego życia, jakie prowadził, tak odpornego na romantyczne gesty w rodzaju tych, które u Murraya widocznie były na porządku dziennym. Potrząsnął głową. Niech im dopisuje szczęście - pomyślał z pogardą. Dziewczyna będzie go potrzebowała, jeśli rzeczywiście poślubi tego typu. Koniec końców pewnie nie jest aż tak inteligentna, jeżeli uważa, że poczucie humoru może stanowić wystarczającą podstawę związku - rozmyślał dalej, a tymczasem w jego głowie cichy głosik pytał, kiedy ostatnio udało mu się rozbawić Jane w podobny sposób.

Tak czy inaczej radość pary nie potrwa długo, ponieważ nieustraszony agent Cornelius Clayton właśnie szykuje się do wznowienia śledztwa w sprawie Podróży w Czasie Murraya. W końcu ktoś zrobi to, czego pisarz już od tak dawna pragnął. Wells westchnął ze znużeniem, marząc, by jak najszybciej znaleźć się w domu i opowiedzieć żonie o wszystkim, co się wydarzyło, aby zadziałała swoją magią, dorzuciła do sprawy swą rozsądną ironię, odjęła jej wszelką powagę i skłoniła go, by spojrzał na to z właściwej perspektywy, tak żeby mógł te wydarzenia zepchnąć w jakiś zakamarek swojego umysłu, gdzie nie będą mu zawadzały.

Spojrzał w stronę wzgórza, gdzie się tłoczyły powozy, i zamierzał obliczyć odległość, jaka mu pozostała do pokonania pieszo, gdy wtem jego uwagę zwróciła jakaś odległa sylwetka. Przygarbiona postura wskazywała na staruszkę i choć znajdował się on za daleko, żeby rozróżnić rysy jego twarzy, pisarz odniósł wrażenie, że nieznajomy przygląda mu się z identycznym zainteresowaniem. Naraz ogarnął go tak intensywny niepokój, że musiał przystanąć i zgiąć się w pół, jakby



szarpnęły nim mdłości. Poczul, że przewraca mu się żołądek, a duszę przepelnia ciężki smutek. Od dawna już tak się nie czuł. Dlaczego teraz? Wrażenie minęło tak samo nagle, jak się pojawiło, nie pozostawiając po sobie nic więcej jak nieokreślony posmak melancholii. I żadnej odpowiedzi. Kiedy z powrotem podniósł wzrok na wzgórze, spostrzegł, że sylwetka staruszka też zniknęła.

## XI

Gdy Wells, rozdrażniony i wyczerpany, dotarł do domu, Jane właśnie przyjechała z Londynu, gdzie zjadła lunch z Garfieldami. Od razu opowiedział jej o haniebnym spektaklu, którego wbrew swojej woli był świadkiem w Horsell. Opisał żonie każdą z niespodzianek, które się wynurzyły z cylindra, a jego ton dawał jasno do zrozumienia, jak śmieszne wydawało mu się to wszystko. Jednak w miarę jak mówił, twarz Jane coraz bardziej się rozjaśniała. Ku zdziwieniu pisarza, żarliwy gest milionera wzruszył ją, jak mało co w życiu. Uznała to za najbardziej romantyczną rzecz, jaką mężczyzna może zrobić dla kobiety, i to kategoryczne stwierdzenie nie tyle rozpałiło w nim ogień zazdrości, ile go przygnębiło, ponieważ w oczywisty sposób wykazało, jak okropnie rozczarowujące są jego drobne gesty miłosne. On nie przybył balonem, żeby ją zdobyć. Nie, nie zrobił tego, to prawda. Ale jakie to miało znaczenie, jaką wartość prócz czysto logistycznej? Wells zdobył serce Jane podczas długich przechadzek na stację Charing Cross, w trakcie których zafascynował ją słowem, tylko tym, czym sam był; nie musiał wynajmować do tego żadnej grupy fakirów czy akrobatów ani mieć dymiącego kapelusza na głowie. Wybrał trudną drogę, poradził sobie wyłącznie za pomocą własnego dowcipnego, porywającego daru wymowy. Innymi słowy: nie oszukiwał. Ale najwyraźniej Jane tego tak nie postrzegала. Według niej Murray nie tylko zorganizował wszystko z dbałością o najmniejsze szczegóły, lecz także aby zdobyć miłość kobiety, naraził się publicznie na śmieszność. Czy ty byłbyś w stanie zrobić coś podobnego? - zapytała męża. Oczywiście, że nie! Zatem już może iść oskrobać swe serce z dawnych uraz, ogłosiła, bo zaczyna gromadzić

w sobie tyle nienawiści, że prawie nie zostaje miejsca na poczucie szczęścia ani nawet na najzwyklejsze życiowe radości.

To powiedziawszy, wyszła, mocno trzaskając drzwiami, a Wells został jak słup na środku pokoju. Nie cierpiał, kiedy Jane uciwała dyskusje, gniewnie odmaszerowując do innej części domu, nie tylko dlatego, że zostawał wówczas ze słowami, których nie miał do kogo skierować, ale przede wszystkim z tego powodu, że uniemożliwiało to rozstrzygnięcie sprawy tu i teraz i zmuszało go do dyskusowania na raty. Opadł na fotel, nie mając ochoty na ściganie jej z pokoju do pokoju. Niech się pozbędzie dawnych uraz, tak mu powiedziała, powtarzając to, co już raz mówiła, gdy jej pokazał list od Murraya. Od tamtego nieszczęsnego dnia Wells nie wrócił do tego tematu i wobec braku aluzji z jej strony sądził, że żona w końcu o tym zapomniała. Ale może Jane w ogóle nie zapomniała, może tylko udała, że zapomina dla ich wspólnego dobra, a z czasem rzecz niespodziewanie wypłynie na wierzch jak trup, którego ktoś wrzucił na dno jeziora, sądząc, że pozbywa się go na zawsze.

Wells westchnął. Jane to prawdziwa skrzynia niespodzianek. On zaś nie miał w sobie nic, co byłoby dla niej tajemnicze, jak nieustannie mu to powtarzała. Jakby był wyrzeźbiony ze szkła, a serce, żołądek, wątrobę i pozostałe narządy wewnętrzne miał zrobione z powietrza. W istocie, jego żona wykorzystywała każdą sytuację, żeby go przeświecić i studiować, codziennie wysuwając kolejne oryginalne teorie na temat funkcjonowania tego, co czule nazywała „okazem Wellsa”.

Zeszłego tygodnia, by nie szukać daleko, podzieliła się z nim jedną ze swoich hipotez. To mogło się zdarzyć gdziekolwiek, Wells nie potrafił tego przewidzieć. Tym razem jedli kolację w restauracji Holborn, a on prawie co dziesięć minut chwalił wino, które im podano, ale nie otrzymywał potwierdzenia od Jane. Żona tylko słuchała jego panegiryków, uśmiechając się od czasu do czasu i bardziej zwracając uwagę na atmosferę lokalu niż na paplaninę męża. A zatem Wells, który nie znosił, gdy musiał zatrzymać dla siebie jakąś własną opinię na temat świata, a tym bardziej na temat czegoś, co uznał za doskonałe, poczuł się zmuszony zapytać ją wprost, czy nie zgadza się z jego słowami. Jane westchnęła i spojrzała na

niego w milczeniu, zastanawiając się, czy powiedzieć mu, co o tym myśli, czy zachować to dla siebie. W końcu po kilku sekundach wzruszyła ramionami i powierzając się Opatrzności, rzekła:

- Nie jest złe, Bertie. Ale nie wydaje mi się tak znakomite jak tobie. Co więcej, śmiem twierdzić, że tobie również takie się nie wydaje.

To ostatnie stwierdzenie zbiło go z tropu. Jeszcze nie przebrzmiało, a on z coraz większym uporem obstawał przy tym, że wino wywołuje ogromną przyjemność: aksamitnie ześlizguje się po gardle, pozostawia w ustach smak lasu o świcie... Jane pozwoliła mu mówić, a jednocześnie wydawała językiem denerwujący dźwięk, który sprawiał, że egzaltowany wywód jej męża stopniowo przygasał. Wreszcie Wells, cokolwiek rozdrażniony, zgodził się jej wysłuchać. Wówczas ona przemówiła tym autorytarnym tonem, jaki nadawała wielu innym swoim rewelacjom, podobnym do tej, którą zamierzała wygłosić tym razem.

- Wino wydaje ci się znakomite nie z racji jego walorów - wyjaśniła z uśmiechem, który przywoływała na usta zawsze, gdy brała się do rozszyfrowywania męża - tylko z powodu sytuacji.

I pokazując gestem dłoni otoczenie, zachęciła Wellsa do analizy. Znajdowali się w restauracji, która - jak opisywały reklamy - z powodzeniem łączyła atrakcyjność paryskich lokali ze spokojną atmosferą i porządkiem typowym dla obyczaju angielskiego, ponadto tak się złożyło, że akurat tego wieczoru nie było zbyt wielu gości, dzięki czemu toczona w pobliżu rozmowy nie tworzyła uciążliwego gwaru, lecz jedynie przyjemny pomruk. Dostali stolik w głębi, w kącie, z dala od innych biesiadników, na których mogli spoglądać, nie kryjąc się z tym. Kelner, gdy przyniósł im karty, rozpoznał pisarza, a nawet pogratulował mu ostatniej powieści. Wino podano w idealnej temperaturze, a wysoki kieliszek wspaniale pasował do dłoni, dzięki czemu odnosiło się wrażenie, jakby się trzymało w dłoni bańkę mydlaną. Muzyka grana przez zespół brzmiała gładko, on miał za sobą owocny dzień spędzony na pisaniu... Czy powinna ciągnąć to dalej?

- W takich okolicznościach każde porządne wino wydałoby ci się doskonałe, Bertie. I to samo wino nie zasłużyłoby na żadną uwagę

z twojej strony, a nawet wydałoby ci się okropne, gdyby nam dali stolik przy drzwiach i musielibyśmy jeść, znosząc zimne podmuchy, które raz po raz wpadają do sali z zewnątrz, gdy ktoś wchodzi albo wychodzi. Albo gdyby kelner nie był tak uprzejmy. Albo gdyby dyskretne oświetlenie lokalu wydało ci się zbyt natarczywe lub niewystarczające. Albo gdyby...

- Zgoda, zgoda. Ale tak się dzieje u wszystkich... - bronił się bez zbytniego przekonania, jakby ten protest był wymaganą formalnością, której powinien dopełnić, zanim się podda wobec nowej teorii żony.

Jane zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nikt tak łatwo nie ulega sugestiom jak ty, Bertie. Nikt.

Wells tradycyjnie milczał przez chwilę w zamyśleniu, jak zawsze po rewelacjach objawianych przez żonę. Ona zaś zajęła się kartkowaniem menu, udając, że nie może się zdecydować, czy wziąć wołowinę, czy łososia, a tym samym pozwoliła mu dumać do woli, ponieważ wiedziała, że mąż robi to, co zawsze po każdym z wygłoszonych przez nią osądów: rozpatruje sceny ze swojego życia, by zweryfikować, czy i ta zasada się sprawdza. Kiedy po kilku minutach zmęczony tak próżnym trudem, przyznał niechętnie, że może Jane ma rację. A w drodze do domu zastanawiał się, czy żona nie obawia się, że cała jego miłość opiera się na tak kruchych filarach jak przypadkowe okoliczności, które wystąpiły akurat tego dnia, gdy się poznali: dobry humor, z jakim przybył na zajęcia z klasą, żałobna sukienka noszona przez nią po niedawnej śmierci jej ojca, światło wpadające do sali wykładowej i opromieniające jej włosy, znużenie pozostałych studentów, które pozwoliło na swobodną rozmowę ich dwojga... Może gdyby tamtego dnia padał deszcz, a on przyszedłby do klasy przemoczony i w złym humorze albo gdyby ona miała na sobie sukienkę, w której nie wyglądałaby na tak delikatną, nigdy nie doszłoby do dzisiejszej kolacji. Lecz czegoż trzeba więcej - pomyślał. Okoliczności były pomyślne, a oni tu teraz są, razem i szczęśliwi, czy się to komu podoba, czy nie.

Drzwi salonu otworzyły się ponownie, wyrywając go z zadumy; ze swego miejsca widział, jak Jane wchodzi z sekatorem do róz w ręce

i bierze z wieszaka swój słomkowy kapelusz. Nałożyła go i wyszła z pokoju, posyłając mężowi nadąsane spojrzenie, jakby jej przeszkadzało, że siedzi rozwalony w fotelu, zamiast tresować grupę szympansov, żeby dla niej tańczyły. Za każdym razem gdy się posprzeczali, Jane wychodziła do ogrodu i wyładowywała wściekłość na biednych krzewach różanych, a przez kilka kolejnych dni cały dom pachniał świeżo ściętymi różami. Aromat ten Wellsowi nieuniknioną kolejną rzeczą kojarzył się z ich małżeńskimi zadrażnieniami, choć także z pojednaniami, bo wcześniej czy później szedł jej poszukać z uśmiechem rezygnacji stanowiącym pierwszy krok z wielu, które musiał zrobić, zanim ona godziła się na rozejm, czym zresztą zawsze kończyły się ich sprzeczki. Tak jakoś przyjął, że póki róże nie zwiędną, ma czas na naprawienie swego związku. Gdyby z lenistwa lub braku zainteresowania pozwolił, by termin minął, lepiej byłoby pakować walizki.

I po raz kolejny, zanim zabrał się do dzieła, zastanawiał się, czy warto podejmować ten cały wysiłek dla ratowania małżeństwa, które coraz bardziej tonie. Na przykład w czasie tej scysji zauważył, jak w jego wnętrzościach kiełkuje pragnienie posmakowania innych kobiet, odkrycia nowości innych ciał, ruszenia na poszukiwanie zapomnianej już przygody zalotów, uwodzenia kogoś, kto jeszcze nie zna wszystkich jego sztuczek. W pierwszej chwili poczuł się z tym źle, lecz potem zrozumiał, że to nagłe ukłucie pożądania nie zagraża jego miłości do Jane. Miał wielką pewność, że to ona jest kobietą, przy której chciałby umrzeć. Ponadto przyzwyczajanie się do siebie nawzajem zajęło im prawie trzy lata, a nie miał nawet co myśleć o wykuciu podobnego wzajemnego zrozumienia z inną samicą swojego gatunku. Nie, nie zdradzał Jane poprzez doświadczanie takiego apetytu. Poczuł jednak, że zdradza sam siebie, próbując ten apetyt zdusić zabiegami higienicznymi, głosząc porządek cnoty i uczciwości, w który sam nie wierzy.

Kim byli ci geniusze, którzy zmusili mężczyznę do monogamii, kiedy okazuje się bardziej niż oczywiste, że nie jest to jego stan naturalny? On miał potrzeby, których jego małżeństwo nie mogło zaspokoić. Pomyślał, że może powinien porozmawiać z Jane o tym wszystkim, spróbować wyjaśnić jej, że jego duch potrzebuje więcej

emocji, niż ona mu może zapewnić. Poprosiłby ją, żeby od czasu do czasu pozwoliła mu przeprowadzić jakiś wypad poza małżeńskie łóżce, i zobowiązałby się, że nigdy nie zaangażuje się w coś takiego sercem, że będą to wyłącznie przygody przelotne i rozrywkowe i w najmniejszym stopniu nie narażą na ryzyko ich związku; w gruncie rzeczy pragnął ich również dlatego, że zwalniałyby go od stwarzania romantycznego nastroju, którego ona wymagała. Jane zawsze byłaby sterem jego życia, podczas gdy owym przyszłym kochankom musiałaby wystarczyć smutna rola ożywiających przerywników, których z wiekiem potrzebowałby coraz bardziej, aby ta powolna, ale nieunikniona droga ku zniedołężnieniu ostatecznie nie zniszczyła jego męskiego ducha. Wątpił jednak bardzo, czy jego żona zrozumie takie wytłumaczenie, choćby nie wiedzieć jak logicznie brzmiało dla niego samego, zwłaszcza że pociągałoby za sobą zgodę na wprowadzenie nowego układu, w którym jego kontrolowane wypadki byłyby uznawane za korzystne dla nich obojga.

Wstał z fotela i pragnąc powrócić do normalności - co by się nie zdarzyło, gdyby się nie upierał przy swoim zdaniu - poszedł poszukać żony, by prosić ją o wybaczenie. Otrzymał je około północy. Tym razem wyglądało na to, że Jane zapomniała o rozczarującym sposobie, w jaki mąż okazywał jej miłość, albo tylko udawała dla dobra ich pożycia. Lecz Wells nie mógł zapomnieć. I nie dlatego, że miał wyrzuty sumienia, tylko z powodu Murraya. W ciągu najbliższych dni nie było czasopisma, które nie zamieściłoby na swoich łamach jakiegoś pochlebnego artykułu opowiadającego o niewiarygodnym, wspaniałym gościu milionera, ani klubu, w którym nie rozprawiano by z pasją o jego odwadze czy brawurze. Oryginalne oświadczenia na pastwiskach Horsell sprawiły, że Montgomery Gilmore i panna Emma Harlow stali się bardzo modną parą. Mówiono o nich w całym Londynie. Podziwiała ich setki żyjących w nędzy ludzi, którzy cieszyli się, że ktoś mógł spełnić swoje marzenia za nich. Wells jak umiał, starał się znosić to zdumiewające uwielbienie dla postaci milionera - przez kilka tygodni unikał czasopism i spotkań towarzyskich - i nawet mu się udawało.

Ale jego szczęście nie mogło trwać wiecznie i dwa miesiące później los chciał, że się spotkali przypadkiem w operze. Wells wybrał się

z Jane do Opery Królewskiej na *Fausta* i usadowił się wygodnie na swoim miejscu, gotów czerpać radość z chwili i z pomyślnych okoliczności - siedzenie było wygodne, znajdował się wystarczająco blisko sceny, żeby nie wyteęzać wzroku, dzieło Goethego podobało mu się, akustyka była niezrównana... - gdy wtem pojawił się destabilizujący czynnik. Na widowni podniósł się pomruk i wszystkie lornetki teatralne skierowały się na jedną z głównych łóż, do której właśnie wkroczył milioner Montgomery Gilmore w towarzystwie swojej narzeczonej i jej ciotki. Zauważywszy, że znaleźli się pod obstrzałem spojrzeń, Gilmore wzorem rzymskich cesarzy wykonał wielkoduszny gest pozdrowienia i zachęcił Emmę, by z wdziękiem i szacunkiem przywitała się z tłumem, pod pełnym dezaprobaty spojrzeniem ciotki, przerażającej staruszki, u której - jak słyszał Wells - dziewczyna zatrzymała się w Londynie. Wśród publiczności przywitanie pary wywołało entuzjastyczną owację. Bez najmniejszej wątpliwości szczęście zdawało się specjalnie dla nich skrojone, jak garnitur szyty na miarę. Mimo to Wells wzbraniał się przed przyłączeniem się do ogólnej wrzawy. Siedział ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc, jak Jane klaszcze - oboje swoją postawą dali jasno do zrozumienia, że w tej sprawie zawsze będą mieli nieprzejednane poglądy. Gdy podniesiono kurtynę, Wells starał się cieszyć spektaklem, ale - jak kiedyś przewidziała Jane - przeszkodził mu w tym destabilizujący czynnik, czyli obecność Murraya, bo to na jedno wychodzi. Pisarz wiercił się na siedzeniu, nagle czując się niewygodnie, a w jego wnętrzu narastała niemal organiczna nienawiść do całej instytucji opery. Zamknął oczy i z jego wizji zniknęła scena, w której sopran obrywa płatki margerytki przed eleganckim Faustem. Znów je otworzył i kiedy ponownie miał zamknąć, Jane, zauważywszy u męża grymas udręki, łagodnie położyła rękę na jego dłoni i posłała mu pełen otuchy uśmiech. „Nie zwracaj uwagi na destabilizujący czynnik, Bertie - zdawała się mówić. - Ciesz się spektaklem i zapomnij o wszystkim innym”. Wells westchnął. Zgoda, tak robi. Nie pozwoli, żeby obecność Murraya zepsuła mu wieczór. Starał się skupić na scenie, gdzie Faust w ozdobionej piórami czapce i obcisłym fioletowym dublecie kręcił się wokół Małgorzaty, ale rozproszyły go jakieś szepty dobiegające z tylnych rzędów. „Jaka ona piękna” - usłyszał, jak ktoś mówi



półgłosem. „Tak, i podobno on poprosił ją o rękę, odtwarzając powieść niejakiego Geoffreya Wesleya”. Wells musiał zacisnąć zęby, żeby nie zakląć głośno. Ile jeszcze zostało do końca tej głupiej opery?

Podczas gdy znajdowali się w środku, na zewnątrz rozpadała się typowa dla Londynu mżawka - taka, podczas której większość wody wydaje się unosić w powietrzu, jakby jego gęstość nie pozwalała jej opaść - toteż po zakończeniu spektaklu wychodzący z teatru widzowie mieli wrażenie, jakby się nagle zanurzali w olbrzymim akwarium. Lokaje, błyszczący w czerwono-złocistych liberiach, z wysiłkiem starali się zaprowadzić porządek w bezładnym szeregu pojazdów, które z trudem brnęły ulicą ku wejściu do gmachu opery. Damy posyłały swoich towarzyszy - mężów czy amantów - z heroiczną misją popędzenia służących, tak by ci sprawili, że ich powóz przeleci ponad pozostałymi, a tymczasem one chroniły się w portyku i bynajmniej niespieszone, w grupkach wymieniały uprzejme uwagi na temat dzieła, choć większość z nich nie poświęciła mu ani jednego roztargnionego spojrzenia. Każda z nich pragnęła jak najszybciej dostać się do domu, zdjąć przemoczone okrycie, duszący gorset i nieznośne buty i dać odpocząć przemarzniętym stopom przy kominku. A jednak wszystkie uśmiechały się dystygowanie, jakby nie chciały być w tej chwili nigdzie indziej. Ten spektakl był bardziej godzien obejrzenia niż tamten wystawiony w teatrze.

Jednym z dżentelmenów wysłanych na deszcz był Wells. Próbował zwrócić na siebie uwagę najbliższego lokaja, klepiąc go natarczywie po ramieniu, co ten ignorował, zajęty łajaniem sennych woźniców. Pisarz, mając w końcu dość popychania i przyjmowania przeprosin od innych towarzyszy robiących to samo co on, wolał wycofać się do portyku, gdzie zostawił Jane rozmawiającą ze starszym małżeństwem Stamfordów. Dyskretnie ukryty za kolumną, obserwował ocean cylindrów i wymyślnych fryzur w poszukiwaniu głowy Jane, w toczku delikatnie przybranym bladymi różami. Ledwie przy tym podnosił wzrok, ponieważ bał się przypadkowego skrzyżowania spojrzeń z Murrayem. Na szczęście nigdzie nie dostrzegł jego zwalistego cielska wystającego ponad tłum jak zakładka z książki. Może był jednym z tych szczęśliwców, którym udało się już dopaść swojego powozu - pomyślał optymistycznie. Albo może wszedł do pierwszego

z brzegu, wierny swemu dawnemu obyczajowi przywłaszczania sobie cudzych rzeczy. Wypatrzył kasztanowe włosy Jane kilkanaście metrów dalej i skierował się ku niej z wielką ulgą, lecz ledwie zrobił kilka kroków, gdy na ramieniu wylądowało mu czyjeś wielkie łapsko z zamiarem wgniecenia go w ziemię.

- George, do diaska, już myślałem, że cię nie znajdę w tym tłumie!

Wells odwrócił się z przesadną ostrożnością. I oto stał. Naprzeciw niego. Świętej pamięci Pan Czasu. Uśmiechający się z rozbrajającym entuzjazmem jak ktoś, kto właśnie spotkał przyjaciela z dzieciństwa.

- George! - wykrzyknął znowu, poklepując go po ramieniu. - Co za wspaniały zbieg okoliczności! O, nie, proszę, nic nie mów: pewnie uważasz mnie za nikczemnika i masz zupełną rację. - Milioner pochylił głowę na znak skruchy. - Jestem niewdzięcznikiem. Wiem. Ani słowa podziękowania przez te dwa miesiące po tym, co dla mnie zrobiłeś... Chociaż przysięgam, że kilka razy zbierałem się, żeby do ciebie napisać! - Wells spojrział na niego z niewzruszonym wyrazem twarzy pieczonego prosięcia. To nieco ostudziło entuzjazm Murraya. - O, daj spokój, gniewasz się? Dobrze, dobrze, masz do tego święte prawo. Co mogę przytoczyć na swoją obronę? Że przez te dwa miesiące żyłem w chmurze szczęścia, tak że Ziemia i wszyscy jej mieszkańcy wydawali mi się odlegli i nierealni jak we śnie? I wreszcie co mógłbym ci powiedzieć o miłości, której ty nie znasz i nie możesz wyrazić jej piękniej niż ja? O, George, George... - Murray wziął pisarza za ramiona, jakby go chciał sprasować, i obrzucił go tak czułym spojrzeniem, że Wells zaczął się obawiać, iż cała ta euforia zmierza do finalnego pocałunku. - Ale nie pozwolę, żebyś się dalej gniewał! Właśnie jutro miałem do ciebie napisać, żeby cię zaprosić na przyjęcie, które wydaję w przyszłym tygodniu w mojej rezydencji, i uprzedzam cię, że nie istnieje żaden powód, który by mógł tłumaczyć twoją nieobecność. Jednakże Opatrzność chciała, żebyśmy się spotkali dzisiejszego wieczoru i żebym osobiście przekazał ci tę wspaniałą wiadomość. Nie domyślasz się, o co chodzi?

Wells zdołał jedynie słabo zaprzeczyć, przytłoczony egzaltowaną perorą Murraya, który przedłużał chwilę napięcia niczym doświadczony magik.

- Zachwycająca panna Harlow po dwóch miesiącach trzymania mnie w niepewności... zgodziła się! Jesteśmy zaręczeni!

Milioner uśmiechnął się triumfalnie, oczekując reakcji pisarza. Ten do tej pory przyjmował jego paplaninę z mieszaniną zdumienia i strachu, jak ktoś, kto usłyszał gadające magiczne drzewo. Teraz jednak poczuł, że budzi się w nim zadawniona złość. Zrobił krok w stronę Murraya.

- Można wiedzieć, w co sobie pogrywasz, Murray? - wyrzucił z siebie z taką wściekłością, że ledwie mógł oddychać. - Co, u diabła, zamierzasz...?

Milioner nie dał mu skończyć. Wziął go za ramię, zanim Wells zdążył zaprotestować, i pociągnął za kolumnę bardziej oddaloną od ludzi.

- Oszalałeś, George? - spytał dramatycznym szeptem. - Nazwałeś mnie starym nazwiskiem.

- Puść mnie, do cholery! - ryknął pisarz. - Co ty sobie wyobrażasz? I jak, u diabła, miałbym cię nazywać?

Murray miał zakłopotaną minę.

- Wiesz aż za dobrze, George! Teraz dla całego świata nazywam się Montgomery Gilmore...

- O, tak, wiem. Ale nie dla mnie - wycedził Wells przez zęby. - Ja dobrze wiem, coś ty za jeden i do czego jesteś zdolny, G i l l i a m i e M u r r a y.

Milioner przestraszony rozejrzał się dookoła.

- Cicho, George, błagam! - poprosił. - Lada chwila może podejść do nas Emma i...

Wells spojrział na niego z otwartymi ustami.

- Twoja narzeczona też nie wie, kim naprawdę jesteś?

- Ja... - wymamrotał Murray. - Jeszcze nie znalazłem odpowiedniego momentu, żeby jej powiedzieć, ale chcę to zrobić...

Jasne, że jej powiem! Po prostu muszą zajść stosowne okoliczności, żeby...

- Stosowne okoliczności... - powtórzył Wells ironicznie. - Cóż, może zajdą, kiedy odwiedzi cię w więzieniu. Rzecz jasna, jeśli będzie miała ochotę się tam wybrać.

Murray przymknął oczy.

- Co insynuujesz? - zapytał ponuro.

Wells cofnął się o pół kroku.

- O, nic.

- Wiesz coś o tym przeklętym agencie, który nie daje mi spokoju? - szepnął milioner, znowu chwytając go za ramię. - Jasne, oczywiście, że wiesz. Widziałem cię z nim, kiedy wysiadałem z balonu.

- Puść mnie, Gilliamie - zażądał twardo Wells, starając się, żeby jego głos nie przejawiał strachu wywołanego nagłą dzikością źrenic, która zdawała się wynurzać na powierzchnię z głębin dawnego Murraya. Teraz bał się, że rozmowa zmierza do czegoś mniej delikatnego niż pocałunek. - Powiedziałem, że...

- Powiedziałeś mu, kim jestem, tak? - przerwał pisarzowi milioner, jeszcze mocniej zaciskając mu dłoń na ramieniu.

- Tak, powiedziałem mu, do cholery! - burknął Wells, rozdarty między strachem a złością. - Musiałem pokazać mu twój list. Co miałem zrobić? Naszedł mnie w moim domu i oskarżył o to, że zapoczątkowałem marsjańską inwazję. I na miłość boską, Gilliamie, jeżeli nadal chciałeś udawać martwego, czy naprawdę uważasz, że popis, jaki dałeś w Horsell, był najlepszym sposobem, żeby się nie rzucić w oczy?

Murray milczał przez chwilę, pogrążony w jakiejś wewnętrznej walce. Gdy się otrząsnął, zauważył własną dłoń zaciśniętą na ramieniu Wellsa i przyjrzał jej się prawie z ciekawością, jakby nie należała do niego. Szybko ją cofnął, zniesmaczony tym, co dopiero zrobił.

- Przepraszam, George, nie chciałem ci zrobić krzywdy... -  
Przeciągnął sobie rękami po twarzy, starając się zapanować nad irytacją. - Jestem bardzo nerwowy. Wiesz, ten policjant doprowadza mnie do szału. - Patrzył na Wellsa, a na jego twarzy coraz wyraźniej malowało się zakłopotanie. - Naprawdę Scotland Yard uważa, że kierujesz marsjańską inwazją? A ten patykowaty, pompatyczny typek został oddelegowany, żeby nas wszystkich ratować? Chciałbym go zobaczyć, jak walczy z prawdziwymi Marsjanami... Cholerny nudziarz. Uparł się, żeby wziąć pod lupę moją dawną firmę, i zamecza mnie pytaniami... Ale nie martw się, niczego nie znajdzie, bo nie mam nic do ukrycia. A o ile mi wiadomo, nie idzie się do więzienia za udawanie nieboszczyka, no nie? Naprawdę jednak niepokoi mnie to, że przez jego wścibstwo powstały pewne plotki, a nie zniósłbym, gdyby dotarły do uszu Emmy, zanim sam będę mógł jej wszystko opowiedzieć. Na szczęście, przynajmniej na razie udało mi się je uciszyć.

- Wyobrażam sobie, jak je uciszyłeś - warknął Wells z najwyższą pogardą, masując sobie zmaltretowane ramię.

- O, nie, George. Nie to miałem na myśli. Nie robię takich rzeczy. Przynajmniej już nie. Tak jak ci napisałem w liście, teraz jestem nowym człowiekiem. A pieniądze też mogą zamknąć wiele ust, żeby nie powiedzieć: wszystkie. Choć ten policjant wydaje się odporny na przekupstwo. Jest jak prawdziwy pies gończy. Co on, u licha, próbuje wytropić?

- Przypuszczam, że prawdę.

- Prawdę? - Murray uśmiechnął się smutno. - A czym jest prawda, George? Gdzie jest zapisana? W tej chwili w siedzibie Podróży w Czasie Murraya nie ma nic oprócz kurzu i pajęczyn, ponieważ dziura czasowa zamknęła się...

- Dziura czasowa zamknęła się... - powtórzył Wells. - Naturalnie.

- Właśnie tak, George. Zamknęła się. Ale opinia publiczna spragniona sensacji nigdy by się z tym nie pogodziła. Wiesz o tym. Dlatego postanowiłem sfingować własną śmierć, żeby ludzie dali mi spokój. I dokładnie to próbowałem wytłumaczyć temu policjantowi,

twojemu przyjacielowi, George, ale nie uwierzył w ani jedno słowo mojej historii.

- I masz mu to za złe? - bąknął Wells.

- Co się z tobą dzieje, George? - Murray westchnął z konsternacją. - Czemu nagle zachowujesz się jak dziecko? Nic nie rozumiem! Kiedy odpowiedziałeś na mój list, myślałem, że wszystko między nami poszło w niepamięć...

- Co? - Wells spojrzał na niego oszołomiony. - Nie odpowiedziałem na twój cholerny list.

- Ależ odpowiedziałeś - rzekł zdeorientowany milioner.

- Mówię ci, że nie.

- O, daj spokój! Dlaczego się wypierasz? Może nie rozwodziłeś się nad tym zbyt, to prawda, ale przecież odpowiedziałeś. Napisałeś, że nie powinienem wysilać się z odtwarzaniem marsjańskiej inwazji, bo żeby zdobyć Emmę, wystarczy ją rozbawić.

Wells roześmiał się z niedowierzaniem.

- Zwariowałeś. Rozbawić ją? Po kiego czorta miałbym ci doradzić coś takiego?

- Nie mam pojęcia, George! Ale to właśnie napisałeś, a ja posłuchałem tej rady! Dlatego zorganizowałem ten cyrk, żeby ją rozbawić. I zadziałało! Jeszcze jak! Sam byłeś tego świadkiem! Emma i ja jesteśmy zakochani i zamierzamy się pobrać, i całe to szczęście zawdzięczam po części tobie, przyjacielu. - Murray, głęboko wzruszony, popatrzył pisarzowi w oczy. - Jaki inny wniosek mogłem wyciągnąć z twojego listu niż ten, że postanowiłeś zakopać topór wojenny? Nie rozumiem, czemu próbujesz zaprzeczyć... Czyżbyś żałował, żeś do mnie napisał?

- Jasne, że nie! Mam na myśli: nie mogę żałować czegoś, czego nie zrobiłem!

- Bertie?

Obaj mężczyźni odwrócili się pośpiesznie. Kilka metrów od nich stała, przyglądając się im z ciekawością, kobieta w toczku

przybranym bladymi różami.

- Czy coś się stało, Bertie? - zapytała Jane, zaniepokojona nagłym milczeniem, jakie między nimi zapadło. - Nie mogłam cię nigdzie znaleźć, a nasz powóz jest trzeci w kolejce... Wszystko w porządku?

- Tak, Jane, w porządku - odparł Wells.

Pożegnał Murraya wściekłym spojrzeniem i skierował się w stronę żony, zamierzając wziąć ją pod ramię i oddalić się jak najszybciej. Ale milioner wyprzedził go kilkoma energicznymi krokami, stanął przed Jane i zanim ktokolwiek zdołałby mu przeszkodzić, ujął jej dłoń, by złożyć wyrazy szacunku.

- Pani Wells, pozwoli pani, że padnę do jej stóp - rzekł, składając ceremonialny pocałunek na jej ręce. - Montgomery Gilmore, do pani usług. Niewykluczone, że moja twarz wyda się pani znajoma. Możliwe, że przypomina pani człowieka, który kilka lat temu zjawił się w pani domu, by prosić o poradę pani męża w sprawie powieści, którą sam napisał... Jednak pozwoli pani zwrócić sobie uwagę, że to mylne wrażenie: nie jestem tym człowiekiem. Przed panią stoi człowiek nowo narodzony, odkupiony przez miłość. I w imię tej miłości, co do której przyznaję, że jestem jej zupełnie niegodny, zaklinam, żeby się pani wstawiła za mną u swojego upartego męża.

- Chodźmy już w końcu, Jane! - prychnął Wells.

Lecz jego żona zdawała się go nie słyszeć. Wpatrywała się w twarz milionera wytrzeszczonymi oczyma, podczas gdy on czule trzymał jej rękę w dłoniach, jakby była drżącym wróbelkiem. I coś chyba dostrzegła na dnie jego spojrzenia, ponieważ - ku rozpaczy Wellsa - na jej ustach zawitał łagodny uśmiech.

- Ma pan rację, panie... Gilmore - odpowiedziała życzliwie. - Choć jest to pierwszy raz, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni, pańska twarz jest mi znana, ale to zapewne dlatego, że wyprzedza pana pańska sława. Wiem o panu wiele rzeczy i ze smutkiem wyznaję, że nie wszystkie są miłe. Muszę jednak dodać, że pańskie oświadczyły to najpiękniejszy, najbardziej emocjonujący i romantyczny gest, jaki moim zdaniem mężczyzna zrobił dla kobiety.

- Na litość boską, Jane! - wykrzyknął Wells. - Straciłaś rozum? I dlaczego nazywasz go Gilmore? Wiesz równie dobrze jak ja, że...

- Nazywam go tak, jak mi się przedstawił, Bertie.

- Dość tego! - wybuchnął pisarz. - To już szczyt wszystkiego! Idziemy!

Wziął żonę pod rękę, a ona zdążyła tylko posłać Murrayowi przelotny przepaszający uśmiech i została pociągnięta w stronę czekających powozów. Milioner zastąpił im drogę.

- George, błagam cię, nie wydaj mnie - powiedział prosząco. - Jeśli nie chcesz być moim przyjacielem, dobrze, rozumiem. Ale nie zdradź mojego sekretu, przynajmniej do czasu, gdy porozmawiam z Emmą. Sowiec ci wynagrodzę, jeśli...

- Montgomery Gilmore! - zawołał krystaliczny głos za jego plecami. - Czy mogę wiedzieć, gdzie się podziewasz? Miałeś tylko sprowadzić nasz powóz. Mam nadzieję, że nie zamierzasz wynająć balonu. Moja ciotka nie zniosłaby tego.

Cała trójka odwróciła się w zaskoczeniu, niczym troje konspiratorów przyłapanych na gorącym uczynku, mimo że w głosie Emmy wyraźnie pobrzmiwał żartobliwy ton.

- Emmo, moja miłości! - wykrzyknął Murray, podchodząc do niej z wyciągniętymi ramionami. - Gdzie byłaś? Umierałem ze zmartwienia. Zacząłem się bać, że mnie opuściłaś!

- Nie gadaj bzdur! To ja ciebie szukam od ponad piętnastu minut.

- Naprawdę? Przecież tu jestem, gawędzę sobie z moimi drogimi przyjaciółmi, państwem Wells - odparł Murray, zwracając się do nich z uśmiechem nonszalanckiego światowca, od czego pisarzowi zebrało się na mdłości. - Pani i panie Wells, mam zaszczyt przedstawić państwu moją narzeczoną, pannę Emmę Harlow. Kochanie, masz przed sobą znamienitego pisarza H.G. Wellsa i jego czarującą małżonkę.

- Pan Wells! Jakże się cieszę, że mogę pana poznać! - zawołała Emma, wyraźnie miło zaskoczona. - Jestem wielką miłośniczką pańskich dzieł. Przeczytałam je wszystkie.



Wells pocałował rękę, którą Emma podała mu z wdziękiem. W duchu przeklinał zimną krew milionera i jednocześnie próbował zatuszować własny gniew. Miał ogromną ochotę zdemaskować tego oszusta przed naiwną dziewczyną, która miała nieszczęście zaręczyć się z nim. Jednak jego poczucie przyzwoitości, a nade wszystko strach przed pośmiewiskiem okazały się silniejsze od poczucia obowiązku. Chociaż... a gdyby zapomniał o zasadach uprzejmości i obwieścił głośno, że Montgomery Gilmore to tak naprawdę Gilliam Murray, pożarty przez smoka Pan Czasu? Jaką minę zrobiłaby biedna Emma? A ta gruba pani wsiadająca właśnie do swojego powozu z maleńkim pekińczykiem przyciśniętym do wybuchającej piersi i lokaj, który podchodzi, żeby wskazać, że jego powóz jest następny w kolejce, i każdy z tych dżentelmenów z ożywieniem rozmawiających w grupie obok nich? Pod tym portykiem tłoczyła się, przepychając i uśmiechając do siebie uprzejmie, połowa londyńskiej socjety. Był pewien, że jego rewelacja dostarczyłaby pasjonującego tematu do rozmów na długie, nudne zimowe wieczory. A co wszechmogący Murray mógłby zrobić, żeby temu zapobiec?

- Bertie, kochany, panna Harlow zadała ci pytanie.

- Co?

Wells zamrugał zdezorientowany, lecz zanim zdążył się wytłumaczyć, żołądek skurczył mu się w bolesny węzeł. Nie mogąc się powstrzymać, pisarz wydał z siebie przeciągły jęk.

- Bertie, co się dzieje? - wystraszyła się Jane.

Wells pobladł nagle, wyjął chusteczkę i otarł sobie pot z czoła, zastanawiając się, czy nie cierpi na jakąś niestrawność.

- Dobrze się pan czuje, panie Wells? - zaniepokoiła się Emma.

- Tak, tak, nic mi nie jest. Tylko że... ee... buty mnie uwierają - wymamrotał, próbując się wyprostować. - Proszę wybaczyć, panno Harlow, o co mnie pani pytała?

- O, Monty mi właśnie mówił, że może nie będzie pan mógł przybyć na przyjęcie, które wydajemy w przyszłym tygodniu, i chciałam wiedzieć, czy może mam jakąś szansę, żeby pana jednak przekonać. Potrafię być bardzo przekonująca, jeśli mi na czymś zależy.

- Emmo, kochanie - wtrącił pośpiesznie Murray - jestem pewien, że George i jego czarująca małżonka mają poważny powód, by nie...

- Nie wątpię, kochany. Ale poważny powód to coś, co sprawia, że twoja przyszła żoneczka nie może się oprzeć, by nie zaprotestować, jak już zdążyłeś zauważyć - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do Wellsów ze spokojnym urokiem kogoś, kto jest przyzwyczajony do tego, że zawsze stawia na swoim. - Widzi pan, panie Wells, jak pan bez wątpienia wie, pańska ostatnia powieść odegrała bardzo ważną rolę w naszej historii miłosnej, śmiem nawet twierdzić, że decydującą - uściśliła, uśmiechając się do Murraya. - Ponadto Monty darzy ją bezgranicznym uwielbieniem, tak samo jak ja. I jakby tego było mało, wiem, że łączy panów pewna przyjaźń, o której, nawiasem mówiąc, mój skryty i pełen tajemnic narzeczony do tej pory nic mi nie wspominał. Jednak to mnie bynajmniej nie martwi, ponieważ ufam, że od pańskiej czarującej małżonki otrzymam na ten temat więcej informacji. A zatem, jak pan widzi, panie Wells, obecność pana i pańskiej żony na naszym balu nie podlega wymówkom.

Promienny uśmiech dziewczyny drgnął niedostrzegalnie, kiedy zauważyła, że Wells przestał jej słuchać i z uwagą przygląda się czemuś usytuowanemu za nią. Dobre wychowanie panny nie pozwoliło jej się odwrócić, nie mogła więc sprawdzić, co pisarz obserwuje z takim zainteresowaniem, ale ja owszem, mogę i nie widzę przeszkód, by tego nie wyjawić: Wells nie odrywał wzroku od jednego z dżentelmenów, który odłączył się dyskretnie od swojej grupy i w końcu niemal przylgnął do ogromnych pleców Murraya, jak gdyby chciał podsłuchać rozmowę toczoną w tym gronie. A widok tych lekko przygarbionych ramion przyprawił pisarza o niewyjaśnioną trwogę, głęboki smutek tyleż znajomy, ile niepokojący. Emma zerknęła kątem oka na narzeczonego, a on wzruszył na to ramionami.

- Panno Harlow - zainteresowała Jane - George i ja jesteśmy bardzo wdzięczni za państwa uprzejme zainteresowanie i zapewniam, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by spełnić pani życzenie...

- Przykro mi, kochanie, ale nie sędzę, byśmy mogli zaspokoić życzenia panny Harlow - przerwał jej mąż. Dolegliwości, jakie

odczuwał, sprawiły, że jego słowa zabrzmiały zbyt szorstko, dlatego dodał bardziej cywilizowanym tonem: - Błagam, by przyjęła pani nasze przeprosiny, panno Harlow.

- Proszę pana, pański powóz czeka - poinformował go w tym momencie jeden z lokajów. - Gdyby był pan tak uprzejmy...

- Wspaniale, wspaniale! - ucieszył się Murray z widoczną ulgą. - Ale masz szczęście, George: jest twój powóz. Nareszcie dasz odpocząć stopom, które wyraźnie bardzo tego potrzebują. To naprawdę dobry stangret, taki jak za dawnych czasów. Musisz mi dać namiary na agencję, która ci go poleciła, choć możesz sobie darować tę, która podsunęła ci szewca. Nie masz pojęcia, jakiego mam pecha do woźniców! Ten obecny to głupiec, który nic, tylko w kółko zagląda do kieliszka. I z tego, jak się teraz spóźnia, wnioskuje z obawą, że tej nocy jest już pijany jak bela. Naszego przekłętego powozu nie widać nawet na końcu kolejki. To nie pierwszy raz, gdy mnie zostawia na lodzie, chociaż przysięgam, że ostatni! Zwolnię go jeszcze tej samej nocy. Ale idź, George, pośpiesz się, nie każ dalej czekać swojej uroczej żonce na tej obmierzłej mżawce. - Murray ujął dłoń Jane i w swym zdenerwowaniu całował ją raz po raz. Potem ponaglił gestem rąk ich oboje, jak czuły ojciec zachęcający dzieci, by już poszły. - Wsiadajcie do swojego powozu, dalej, bez ceremonii. Miło było cię widzieć, George, jak zawsze. - Zrobił ruch, jakby go chciał poklepać po ramieniu, ale rozmyślił się i w końcu zrobił nieokreślony gest w powietrzu. - Och, i nie martw się o przyjęcie, jesteś usprawiedliwiony. Emma i ja rozumiemy, że pisarz twojego formatu musi mieć setki nieodwołalnych zobowiązań. Nieprawdaż, kochana?

Zanim Emma zdążyła zaprotestować, niespodziewanie zaszło kilka dziwnych zdarzeń: powóz, którym jechała korpulentna dama z małym pekińczykiem, zatrzymał się i wytoczył z szeregu, a jego konie zaczęły się narowić i szarpać z rosnącym zdenerwowaniem. Prawie równocześnie Wells poczuł, że dręcząca jego duszę niewyjaśniona trwoga znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie wiedząc, czemu to robi, poszukał wzrokiem mężczyzny, który wcześniej chował się za Murrayem, i dostrzegł, tyle że daleko, jak tamten, idąc chwiejnym krokiem starszego człowieka, pośpiesznie skręcał za róg budynku. Wówczas pekińczyk zaczął histerycznie

ujadać, a wszystkim koniom zaprzęgowym przed teatrem najwyraźniej udzielił się jego niepokój - zwierzęta rżały i wierzgały gwałtownie, stangreci na próżno próbowali je uspokoić. Następnie, zanim ktokolwiek zdołał zrozumieć, co się dzieje, piesek wyskoczył przez okienko powozu i ogarnięty charakterystycznym przyływem złości, w jaką na ogół wpadają przedstawiciele tej rasy w chwilach paniki, szczekając wściekle, pobiegł pod nogi koni, gotów gryźć każdą kość, która mu wejdzie w drogę. Jego pani wysunęła głowę przez okno i nawoływała go piskliwie, a jednocześnie próbowała otworzyć drzwiczki, utrudniały jej to jednak gwałtowne wstrząsy, w jakie konie wprawiły powóz. Jane, widząc, że rozsierzony pekińczyk zapuszcza się w śmiertcionośny labirynt końskich kopyt, chciała go złapać, żeby nie został stratowany.

W tym momencie kilka osób ujrzało, jak z ciemności na przeciwnym krańcu ulicy wyłania się człowiek niewiarygodnego wzrostu, okryty długą czarną peleryną, w kapeluszu o szerokich skrzydłach. Tajemnicza postać przez kilka sekund tkwiła nieruchomo w plamie światła rzucanego przez uliczną latarnię, po czym, bez uprzedniego ostrzeżenia, puściła się biegiem ku portykowi gmachu opery. Świadkowie tej sceny wyjaśniali później swym znajomym, że wyglądało to dla nich przerażająco, ponieważ olbrzym biegł niemożliwie prędko, ze złowieszczą powiewającą za nim peleryną i z dziwną laską, na której uchwycie niektórzy zdołali dostrzec gwiazdę utworzoną z ośmiu strzał lśniących jak zaczarowane. Jego stopy w ciężkich, nabijanych ćwiekami czarnych butach dudniły po chodniku, tworząc symfonię metalicznych grzmotów. Jednakże nasi przyjaciele, zajęci ratowaniem pekińczyka, nie zauważyli nieznajomego aż do chwili, gdy wpadł między nich jak huragan. Wells otrzymał tak silne pchnięcie, że zawirował jak bączek, choć ostatecznie zdołał utrzymać równowagę i, cokolwiek oszołomiony napaścią, dostrzegł, jak ciemna postać znika za tym samym rogiem, za który chwilę wcześniej skręcił w pośpiechu staruszek.

Przerażający krzyk kazał mu się odwrócić z powrotem w stronę grupy. Jego pełnym niedowierzania oczom ukazała się straszna scena, utrwalona w kropli bursztynu, do której upodobnił się blask latarni: Emma z twarzą zniekształconą ze zgrozy, korpulentna dama

wychylona przez okienko, z pulchnymi dłońmi zaciśniętymi na ramie, konie stojące dęba jak majestatyczne posągi, a pod nimi Jane, jego Jane, leżąca na ziemi, wydana na łaskę kopyt. Przez trwającą wieczność sekundę Wells patrzył na swoją żonę, która za chwilę miała być zmiążdżona, zaraz miała umrzeć, jakby się przyglądał malowidłu okrutnego artysty z wrażeniem, że makabryczne szczegóły tej sceny będą się przeciągały przez całe życie. Wtem fala paniki wyrwała mu powietrze z płuc i duszę z ciała, a czas znowu tchnął życie w ten zastygły obraz. I zanim Wells zdążył zareagować, po ziemi potoczyła się jakaś ogromna postać, siłą rozpędu porwała z sobą Jane i odturlała się na bok spod zwierząt, tuż przed tym, jak końskie kopyta z trzaskiem wylądowały na bruku.

Kiedy Wells zdołał przekazać polecenie swym nogom, pobiegł do żony, a zaraz za nim Emma. Jane nadal leżała na ziemi, pod zwalistym ciałem milionera. Kilku mężczyzn chwyciło już lejce i próbowało trzymać konie jak najdalej od nich, choć one właściwie same uspokoiły się w cudowny sposób, podobnie jak pekińczyk, który po popisie brawury wrócił na pulchne łono swej pani. Wells i Emma uklękli obok swoich ukochanych osób, wciąż jeszcze przejęci grozą po tym, czego byli świadkami. Murray podniósł głowę i dopiero gdy się przekonał, że są naprawdę bezpieczni, odsunął się od Jane, uwalniając ją od zbroi zaimprovizowanej ze swojego ciała. Kobieta miała zamknięte oczy.

- Pani Wells, Jane... - szepnął tkliwie. - Dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową, cokolwiek zdezorientowana, i poszukała wzrokiem twarzy swego męża.

- O, Bertie, tak się bałam... - zdołała wykrztusić. - Konie się spłoszyły, ten człowiek w pelerynie popchnął mnie, straciłam równowagę i upadłam prosto pod... Boże, myślałam, że mnie...

- Nie myśl już o tym, kochanie. Teraz jesteś bezpieczna. Wszystko minęło.

Objęli się wśród szlochów, a jednocześnie obok nich to samo zrobili Murray i Emma. Cisnący się dookoła tłum zaczął wiwatować

i klaskać z zapalem. Wells ponad rozwichrzonymi włosami żony skrzyżował spojrzenia z Murrayem, a ten uśmiechnął się.

- Przeklęty wariat - mruknął pisarz. - Jak ty to robisz, że zawsze wychodzisz na bohatera przedstawienia?

Milioner wybuchnął gromkim śmiechem, nabrzmiałym od szczęścia. Stopniowo cała czwórka, wciąż jeszcze drżąca, pozbierała się z ziemi z pomocą lokajów, nagle zaskakująco usłużnych. Wells otrzepał sobie ubranie, słuchając, jak ludzie gratulują Murrayowi, i zauważył, że Jane daje mu o czymś znać lekkim gestem. Było to zaledwie skinienie głowy i przelotne spojrzenie, ale pisarz zrozumiał. Kiwnął głową z fuknięciem i zwrócił się do milionera.

- Cóż, ee... Myślę, że nawet ja nie potrafiłbym znaleźć słów, żeby wyrazić wdzięczność za to, co zrobiłeś tego wieczoru, więc błagam, abyście przynajmniej, Emma i ty, przyjęli nasz powóz, jako że mówiłeś, iż twój stangret postanowił trzymać się od ciebie z daleka, moim zdaniem wykazując się w ten sposób wielkim rozsądkiem... - Dyskretny kuksaniec w żebra ze strony Jane szybko sprowadził go z tej ścieżki. - Eee... Cóż, pozwólcie, że będziemy wam towarzyszyć w drodze do waszych rezydencji. Zapewne podczas jazdy przyjdą mi do głowy jakieś stosowne wyrazy wdzięczności...

Propozycja została przyjęta z zadowoleniem i we czworo skierowali się do powozu Wellsa, raz po raz z uznaniem poklepywani po ramionach przez publiczność.

Odnaleźli ciotkę Emmy. Wiekowa stara panna ostatnie pół godziny spędziła przyjemnie na rozmowie z przyjaciółkami i krytykowaniu nieznośnego konkurenta swojej siostrzenicy, toteż nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co się wydarzyło za jej plecami. Gdy wsiadła do powozu, skrzywiła się, jakby weszła do chlewu. Kiedy trzy damy siedziały już w środku, przyszła pora na mężczyzn. Murray z uprzejmym uśmiechem przepuścił pisarza przodem.

- George, proszę...

Wells uśmiechnął się na to drwiąco i cofając się o krok, odrzekł:

- Nie, proszę, ty pierwszy. Wolę nie mieć cię za plecami... Monty.

## XII

Czy jesteśmy zobowiązani do przyjaźni z kimś, kto uratował życie naszej żony? A jeśli ta osoba jest naszym najgorszym wrogiem, też? Takie pytania dręczyły Wellsa w ciągu tygodni, jakie nastąpiły po wieczorze w operze, wieczorze, w trakcie którego doznał tylu różnych stanów ducha, że trudno mu było przyporządkować doń odpowiedni przymiotnik. Jane wciąż uparcie przekonywała, że powinni podziękować Murrayowi - Monty'emu, jak go nazywała - za to, że jej uratował życie. Czyż ogląda nie stoi wyżej od urazy? Wells przytaknął ponuro, jak dziecko, które próbuje strawić otrzymaną od dorosłego reprimendę, ale nieugięcie zachowuje milczenie. Jane, widząc, że odniosła sukces, przestała go nękać i pisarz pomyślał, że jego bierny opór w końcu okazał się silniejszy od gorliwego zapału jego żony do kurtuazji. Ale znowu się mylił, ponieważ pewnego ranka poinformowała go z kuchni, jakby ta sprawa nie miała większego znaczenia, że tego dnia w południe Monty i jego narzeczona przyjdą do nich na lunch.

W poszukiwaniu powietrza bardziej dobroczynnego dla delikatnego zdrowia pisarza Wellsowie przenieśli się do Beach Cottage, w Sandgate, gdzie wynajęli domek, który natychmiast okazał się bardziej tymczasowy, niż się spodziewali, ponieważ stał tak blisko morza, że podczas sztormu fale malowniczo rozbijały się o dach. I właśnie do tego domku zbliżał się koło południa powóz z pompatycznym „G” namalowanym na boku.

Nowy stangret Murraya, staruszek o flegmatycznych ruchach, otworzył drzwiczki powozu i ze środka wyszli milioner i jego narzeczona, oboje rozpromienieni i uśmiechnięci. Nastawili się na spędzenie miłego dnia w towarzystwie swych nowych przyjaciół,

Wellsów. Nie trzeba wspominać, że powitanie ze strony pisarza było cokolwiek chłodne. Jane jednak, nie chcąc dopuścić, aby jej małżonek zrujnował posiłek, który tak pieczołowicie zaplanowała za jego plecami, ujęła gości pod ramię i poprowadziła ich do ogrodu, opowiadając im po drodze o zaletach tego miejsca. Wells został w tyle, przeżuwając swą złość. Zauważył, że stangret Murraya uśmiecha się do niego z nedorzecznym porozumieniem, jak współnik, a kilka sekund później nagle zachciało mu się płakać. Ale nie ronić skromne łzy, tylko wylać ich oceany, ponieważ jego wnętrzości zaczęła przeżerać głęboka melancholia. Zaskoczony owym bezdennym smutkiem, którego nie mogła tłumaczyć nawet uprzykrzona obecność Murraya, Wells wycofał się do swojego domu, w obawie, że lada chwila wypłacze się na ramieniu woźnicy. Będąc już w jadalni, doszedł trochę do siebie i uznał za stosowne poświęcić kilka minut na zastanowienie nad tymi powtarzającymi się napadami melancholii, których ostatnio doświadczał, ale nie miał czasu, ponieważ zaraz usłyszał głosy Jane i gości.

Oprowadzanie po ogrodzie i niewielkim domku, nieuniknioną kolejną rzeczą krótkie, zakończyło się w maleńkiej jadalni, gdzie pisarz przywitał ich wystraszoną wyglądem zapędzonej w kozie róg myszy. Murray pośpiesznie nazwał pokój „przytulnym”, a Jane uśmiechnęła się z dumą, jako że tego ranka w całym pomieszczeniu rozstawiła świeżo ścięte róże, by jakoś załagodzić jego surową prostotę. Wells z kolei od samego początku dawał jasno do zrozumienia, że nie włoży najmniejszego wysiłku w to, żeby goście poczuli się tu wygodnie. Wręcz przeciwnie: pierwszym, co wyszło z jego ust, kiedy siadali do stołu, była żartobliwa uwaga o „porywającej młodości” stangreta, którego zatrudnił Murray. Milioner jednak pominął jego impertynencję i stwierdził jedynie, że woźnica prowadzi spokojnie i nie pije, a jemu to zupełnie wystarczy. Było oczywiste, że Murray czuje się zbyt szczęśliwy, by się wdawać w utarczki słowne, i że zrzedliwe nastawienie Wellsa okazało się tyleż bezsensowne, ile nedorzeczne wobec radosnego nastroju, jaki panował przy stole. Emma i Jane szybko znalazły wspólny język niczym przyjaciółki z dzieciństwa, a Murray, zadowolony, że widzi swą ukochaną szczęśliwą, paplał bez ładu i składu to o tym, to o owym, śmiał się z byle powodu, chwalił jedzenie i urodę kobiet i kiedy miał tylko



okazję, rozpływał się w dowodach sympatii dla Wellsa, który przyjmował je z coraz większą złością, poirytowany kierunkiem, jaki obrało spotkanie.

W pewnym momencie Murray wsunął swą wielką dłoń pod marynarkę i gestem prestidigitatora sprawił, że na serwetce pisarza pojawiło się zaproszenie na jego przyjęcie zaręczynowe. Jane zapewniła, że przyjdą, lecz Wells wykonał nieokreślony gest, który mógł oznaczać cokolwiek, i czym prędzej ukrył zaproszenie w swojej wewnętrznej kieszeni, w próżnej nadziei, że wszyscy zapomną o tym, iż je widzieli. Później, gdy Jane porwała Emmę, by jej pokazać hibiskusa w ogrodzie, a mężczyźni zostali sami, paląc przy kominku, Murray uśmiechnął się szeroko do Wellsa i jakby jeszcze pozostawały co do tego jakieś wątpliwości, oznajmił mu, że czuje się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i że całe to szczęście zawdzięcza radzie, której pisarz udzielił mu w swoim liście. Niewiele znaczyło, że ten po raz enty zaprzeczył, jakoby to napisał, ponieważ Murrayowi najwyraźniej jego stanowczy upór w kwestii przyznania się do tego pięknego gestu wydawał się wręcz znakomity.

Kiedy para w końcu odjechała do Londynu, Wells musiał przyznać, że entuzjazm milionera zdołał utworzyć w jego murze wrogości sporą szczelinę. Mimo to nie było powodu do niepokoju: chodziło o szparę bez znaczenia, której poszerzenie zajęłoby całe lata, a on nie zamierzał sobie na to pozwolić. Wkrótce jednak odkrył, że to, co zamierza czy czego nie zamierza, właściwie się nie liczy, nawet w jego własnym życiu, ponieważ kobiety uknuły przy hibiskusie, że ustalą kolejne spotkanie w przyszłym tygodniu, na hipodromie w Ascot, gdzie się gromadzi śmietanka towarzyska Anglii. Wells mężnie przyjął wiadomość o umówionym spotkaniu i przez cały tydzień nawet się nie potrudził, by zaprotestować, ponieważ wiedział, że dyskusowanie z żoną na ten temat równałoby się próżnemu strzępieniu języka. On już okazał swoją niechęć do pogłębiania przyjaźni z tymi ludźmi z powodów więcej niż rozsądnych, a fakt, że jego małżonka podtrzymywała owe sprzeczne z naturą spotkania, dawał jasno do zrozumienia, że jego opinia bardzo niewiele dla niej znaczy.

W umówione popołudnie udał się na hipodrom z miną świadcząca o pełnym godności zrezygnowaniu. Murray, przyodziany w elegancki szary garnitur i cylinder, przywitał ich w doskonałym humorze i poprowadził do swojej łoży, przez cały czas wylewnie dziękując im za ich obecność. By dotrzeć do swej reduty, musieli się przebić przez morze dam i dżentelmenów, którzy snuli się z boku na bok jak apatyczne tancerki, uważając na każdy swój ruch, by się prezentować możliwie jak najwytworniej. Podobnie jak Murray, panowie byli ubrani w nieskazitelne szare garnitury z obowiązkowo wpiętym w klapę białym kwiatem, końce wypomadowanych wąsów mieli podkręcone ku górze, a na szyi każdego z nich dyndała nieodłączna lornetka. Kobiety z kolei dumnie obnosiły piękne suknie, których długich trenów trudno było nie nadebrać, naszyjniki z pereł, obszyte koronką parasolki oraz absurdalne, przeogromne kapelusze.

W łoży czekała na nich Emma, ubrana w białą, ozdobioną po bokach czarnymi pasami suknię, która spowijała jej kształtne ciało od szyi po stopy. Zgodnie z tym, co najwyraźniej należało do obyczaju wyścigów, również miała okazałe nakrycie głowy ozdobione grubą wstążką w biało-czarne pasy, pierzastą białą chmurką i dwoma ognistoczerwonymi kwiatami; kapelusz ten niczym koncha obejmował perłę pięknej głowy dziewczyny. Widząc, jak kobiety witają się z ogromną radością, a milioner promienieje w ich towarzystwie, Wells stwierdził, że najlepiej będzie w końcu porzucić rolę zgorzkniałego, sarkastycznego zrzędy, przy której upierał się do tej pory, i cieszyć się tym wspaniałym popołudniem na wyścigach, tak jak wszyscy dokoła. Co mu z tego przyjdzie, że będzie płynął pod prąd, jeśli jedynym, co osiągnie, będzie pójście na dno? - rzekł sobie. A zatem wpasował się w tłum zamożnych, wyrafinowanych istot i wkrótce sam nawet nie wiedział, jak to się stało, że żartuje z Murrayem na temat przesadzonych, nadętych póż, jakie przyjmują panowie w sąsiednich łożach, i razem z nim bawi się w wyszukiwanie podobieństw, oglądając zadziwiające kapelusze pań.

- Ten wygląda jak dzwon - zauważył milioner.
- A tamten jak płetwa rekina - rzucił pisarz.
- Tamten dalej jak grzyb.

- A jej przyjaciółka ma na głowie ptasie gniazdo - rozochocił się Wells i zanim jego towarzysz spostrzegł kolejną ciekawostkę, uprzedził go, żeby wyraźnie zaznaczyć swoją przewagę w inwencji: - A kapelusz tamtej dziewczyny przypomina paterę z owocami.

Murray spojrział we wskazaną stronę i w milczeniu pokręcił głową, uśmiechając się do siebie.

- Masz może lepsze porównanie? - spytał Wells podejrzliwie.

- O, nie, George. Swoim trafiłeś w dziesiątkę, jak zawsze. Uśmiechnąłem się, ponieważ znam tę dziewczynę. I zapewniam cię, że jest zdolna do znacznie bardziej ekstrawaganckich rzeczy niż noszenie takiego nakrycia głowy. - Pisarz patrzył zaintrygowany na młodą kobietę. - Nazywa się Claire Haggerty, a towarzyszy jej mąż, syn bogatego przedsiębiorcy zajmującego się handlem zamorskim, o nazwisku Fairbank. Przedstawiono nas sobie na przyjęciu w zeszłym tygodniu. Ona mnie oczywiście nie rozpoznała, ale ja nigdy jej nie zapomnę.

- A to czemu? - zainteresował się Wells, domyślając się jakiegoś romansu.

- Ponieważ była pasażerką drugiej zorganizowanej przeze mnie wyprawy do przyszłości - odparł Murray. - I przysięgam ci, że kiedy patrzyłem, jak wsiada do Cronotilusa, nawet przez myśl by mi nie przeszło, że w tej główce roi się szalony pomysł, żeby się odłączyć od grupy i ukryć w ruinach roku dwutysięcznego, zostać tam i zamieszkać. Na szczęście znaleźliśmy ją, zanim posunęła się za daleko. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdybyśmy jej nie odszukali na czas.

- A dlaczego ktoś miałby ochotę zamieszkać w zrujnowanym świecie? - mruknął zdumiony pisarz.

- Myślę, że zakochała się w kapitanie Shackletonie. - Murray uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc, że Wells uniósł brwi. - Zapewniam cię, że nie ona jedna, George. Nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia niektóre dziewczątka potrafią fantazjować.

- Wydaje się, że już znalazła swego bohatera, i to bez potrzeby odbywania podróży w przyszłość - rzekł pisarz, patrząc, jak młoda

dama przytula się do swego zamożnego męża.

Murray kiwnął głową i nie zwracając już uwagi na parę, zaczął czegoś szukać po kieszeniach.

- A przy okazji, coś ci przyniosłem.

- Zaproszenie na wyprawę do roku dwutysięcznego, żeby powiększyć moją kolekcję?

Murray wybuchnął szczerym śmiechem, o mało nie rozsadzając łoży.

- Powinieneś był je przyjąć, George - rzekł. - Wycieczka na pewno by ci się spodobała. Ale obawiam się, że tym razem nie jest to zaproszenie.

Z pełną czci ostrożnością złożył na ręce Wellsa list, którego ten się wypierał. Pisarz rozłożył kartkę i zaczął czytać wiadomość, w której ktoś podpisany jako H.G. Wells doradzał Murrayowi, by ten zapomniał o odtwarzaniu marsjańskiej inwazji, a zamiast tego poprzestał na rozbawieniu Emmy.

- I jak? Co teraz powiesz, George?

Na twarzy pisarza pojawił się uśmiech triumfu.

- To nie jest moje pismo - stwierdził, zwracając list adresatowi. - I mogę to udowodnić, jeśli chcesz. Jak ci mówiłem, ktoś się pode mnie podszył.

Murray złożył kartkę i z najwyższą tkliwością schował ją do kieszeni, po czym spojrzał na Wellsa z uśmiechem rozbawienia.

- A jednak ten podszywacz próbował naśladować twój charakter pisma, nie sądzisz? Ponadto jak wyjaśnisz, że nieznajomy odpowiedział na list, o którego istnieniu wiedzieliśmy tylko ty i ja?

Wells wzruszył ramionami. Przez chwilę wyobraził sobie, jak Jane odpowiada na list, którym on pogardził, ale zaraz odrzucił tę możliwość: żona nigdy nie zrobiłaby nic za jego plecami. I to również nie było jej pismo.

- Wiesz, jaką mam teorię? - zapytał Murray. Wells znowu wzruszył ramionami. - Ta kaligrafia jest niewiarygodnie niezdarna. Wydaje się wręcz nieudolną próbą ze strony autora, jakby się starał ukryć prawdziwy charakter pisma w przewidywaniu, że mógłby się później wyprzeć swojego altruistycznego czynu.

Milioner zakończył swój wywód przymrużeniem oka i o mało nie odgrzebał w ten sposób starych uraz, które Wells z takim trudem niedawno zakopał. Jednak, mając świadomość, że to tajemnicze nieporozumienie w końcu się wyjaśni, pisarz zdołał się powstrzymać i zmienił temat. A pod koniec dnia, wyczerpany przytłaczającą życzliwością tego odnowionego Murraya, zaczął nawet myśleć, że może z czasem, jak zapowiadał ten sfalszowany list, ostatecznie uznać go za swojego przyjaciela.

Tydzień później, podczas ogłaszania zaręczyn, Wells należał do tych gości, którzy klaskali najgłośniej. Jakoś przyzwyczaił się do dowodów sympatii, jakie dawała mu para, i widząc, jak tych dwoje pieczętuje swój związek, cieszył się całym sercem. Murray i Emma postanowili pobrać się w Londynie, mieście najechanym przez Marsjan, które powiązało ich losy na zawsze; jednak data zawarcia małżeństwa pozostała nieustalona do czasu, aż wydobrzeje ojciec dziewczyny, który niedawno przeżył dramatyczny upadek z konia. Mimo że oboje chętnie pobraliby się jak najszybciej, postanowili poczekać, aż rodzice narzeczonej przybędą zza Atlantyku, ponieważ już i tak mocno naruszyli protokół towarzyski.

Życie mimo wszystko biegło do przodu i Wells, po przebaczeniu, jakiego udzielił Murrayowi, zaczął doświadczać czegoś w rodzaju duchowej beczynności, która - co było dlań zaskakujące - sprowadziła na niego pewien spokój. Teraz, gdy nie miał żadnego wielkiego wroga, który by ten spokój regularnie zakłócał, czy na którego wspomnienie jego duszę za każdym razem trawiłby ogień, odczuwał dziwną pogodę ducha. A jeżeli nie odważył się nazwać tego szczęściem, to dlatego, że zawsze wzbraniał się przed kategorycznymi stwierdzeniami. Co się zaś tyczy jego pracy, również zaczęła w niej panować harmonia, jakby w zestrojeniu z duszą. Daleko w tyle zostały nieukończony początki jego pisarstwa z czasów, kiedy próbował znaleźć własny styl, metodycznie czytając swoich

ulubionych autorów jak rozpracowujący ich szpieg, a jednocześnie marzył o wymyśleniu fabuły tak niezwyklej, że nie dałoby się jej porównać z niczym, co do tej pory powstało. I wcale nie wychodził na tym źle: krytyka chwaliła wyobraźnię, którą przesiąknięta była każda jego powieść. No cóż, by uczciwości stało się zadość, musiał przyznać, że niektóre z nich nie wywodziły się z jego oryginalnych pomysłów. *Wehikuł czasu*, podobnie jak *Wyspę doktora Moreau* i *Cudownego gościa*, po części zawdzięczał Josephowi Merrickowi, bardziej znanemu jako Człowiek Słoń, z którym odbył nadzwyczaj inspirującą rozmowę w 1888 roku. *A wojna światów...* Jeżeli któraś z jego powieści miała dziwne pochodzenie, to bez wątpienia ta, dzieło, które zapoczątkowało jego niespodziewaną przyjaźń z Murrayem.

Jej fabułę podarował mu pewien nieznajomy, gdy Wells miał piętnaście lat. Pracował wówczas w znieawidzonym sklepie bławatnym w Southsea, do którego wysłała go matka, żeby zrobić z niego człowieka użytecznego. Co wieczór po skończonej pracy chodził na nabrzeże i spoglądał w czarną wodę, zastanawiając się z rozpaczą, czy utopienie się w niej nie byłoby jedynym sposobem na okpienie mrocznej przyszłości, która go czekała. W jeden z takich pełnych melancholii wieczorów o zmierzchu podszedł do niego nieznajomy mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat i rozmawiał z nim, jakby go znał lepiej niż ktokolwiek inny z jego otoczenia. Mimo początkowej nieufności młody Wells ostatecznie podtrzymał rozmowę, równie krótką, co zaskakującą, podczas której nieznajomy opowiedział mu przerażającą bajkę o Marsjanach podbijających Ziemię. Gdy skończył, dodał, że ta historia to prezent: może ją wykorzystać, kiedy pewnego dnia zostanie pisarzem - co do czego najwyraźniej nie miał żadnych wątpiwości - choć jeżeli tak się stanie, powinien mu obiecać, że wymyśli dla tej opowieści godne, niosące nadzieję zakończenie. Z czasem jego przepowiednia sprawdziła się: ów nastolatek ostatecznie został pisarzem, a po pięciu powieściach wreszcie poczuł się gotowy, by wypełnić zadanie powierzone mu przez tamtego nieznajomego siedemnaście lat temu i - we własnym osądzie - wywiązał się z tego znakomicie. Podobnie jak wcześniej, przy *Wehikule czasu*, odbiorcy, głusi na zawarte w utworze przesłanie społeczne, przyjęli go jak zwykłą historię fantastyczną. Niemniej Wells znajdował pociechę w jednej myśli: jeśli nieznajomy z nabrzeża

żył jeszcze i przeczytał *Wojnę światów*, być może poczuł się usatysfakcjonowany kierunkiem, jaki powieść obrała na koniec.

Jednak poszukiwanie nadzwyczajnych wątków dla planowanych romansów naukowych miało dla Wellsa coraz mniejsze znaczenie, ponieważ w ostatnich miesiącach postanowił radykalnie zmienić kierunek swojej twórczości: porzucić opowieści fantastyczne, dzięki którym odniósł taki sukces, a jako materiał narracyjny wykorzystać własne przeżycia i reakcje na świat. Do tej pory udało mu się jakoś dokończyć powieść *Miłość i pan Lewisham* i niemal nie wypływając na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu, pogрузił się na nowo w *Kippsie*, komediowej powieści w dickensowskim stylu, z mnóstwem zabawnych postaci robiących zwykłe rzeczy. I prawdą jest, że odkrył w sobie niewyczerpaną kopalnię tematów. Przeprowadzka do Sandgate była - nie ulegało wątpliwości - strzałem w dziesiątkę: jednego dnia działo się tutaj więcej niż w Worcester Park w ciągu tygodnia.

Dlatego pięć miesięcy później, kiedy aż nadto wykazano, że powietrze w Sandgate służy mu pod niejednym względem, przenieśli się do Arnold House, domu typu bliźniak, mniej wystawionego na sztormowe fale, do którego morze podpełzało na rozsądną odległość - do ogrodu na tyłach. I tu często składali im wizyty Murray i Emma. Sąsiedzi, państwo Popham, para spokojnie żyjących rentierów o wyszukanych gustach, szybko okazali się idealnym dla nich towarzystwem. Dużo czytali, dzięki czemu mogli z nimi rozmawiać o ostatnich lekturach i swoich ulubionych dziełach, a także byli zapalonymi miłośnikami sportu. Między innymi nauczyli milionera pływać, przywiązując tratwę jakieś trzydzieści metrów od brzegu, żeby starał się do niej dotrzeć.

Z dnia na dzień, chociaż nikt tego nie zamierzał, Arnold House stał się pulsującym ośrodkiem kulturalnego świata, w którym organizowano zebrania przywódców fabianów albo niestrudzenie rozmawiano o polityce i sztuce, choć również o kuchni, sporcie i na każdy temat, który można poruszyć zarówno na serio, jak i dla żartu. W okolicy mieszkało wielu pisarzy i myślicieli, a jako że wszystko zdawało się tam znajdować w odległości rowerowej przejażdżki, wkrótce ustaliła się sieć domów, takich jak siedziba Blandów

w Dymchurch, przez które przewijała się zgiełkliwa gromada pisarzy, aktorów, malarzy i innych istot nawiedzonych przez muzy, uczestników długich pogawędek, które czasami przeradzały się w gorące dyskusje na ten czy inny temat, rozstrzygane partyjką badmintona. Rozmowy te, z zapadnięciem nocy zamieniające się w zaimprovizowane zabawy, przeciągały się do drugiej lub trzeciej nad ranem. Następnego dnia w południe horda nękanym kaczek, upiornie bladych gości wylegała z sypialni, by się objeść jajkami na bekonie, punktualnie serwowanymi w jadalni przez dyżurnego gospodarza.

A Wells, który dzięki sukcesowi swoich powieści nie cierpiał już takich niedostatków jak niegdyś, mógł sobie w kontrolowany sposób pozwolić na tę błogą, na pozór beztroską egzystencję. Cieszył się zwłaszcza, widząc, że Murray i Emma łatwo wpasowali się w krąg jego przyjaciół, napawało go dumą, że mają otwarte drzwi do tego stymulującego, kreatywnego świata, do którego w inny sposób nie miałiby dostępu, a przede wszystkim - nie da się zaprzeczyć - ekscytowało go, że wpada na owe zebrania w towarzystwie sławnego milionera, przedstawia go swoim znajomym jak jakiś okaz egzotycznego ptaka i pozwala, by wszyscy, zaintrygowani, snuli domysły na temat łączących ich więzów czy wymiaru ich przyjaźni. Czasami, w trakcie któregoś z owych spotkań Wells wyłączał się z prowadzonej dyskusji, żeby popatrzeć z upodobaniem, jak Murray swymi ironicznymi uwagami zyskuje sobie sympatię pozostałych albo sprawia, że w ciągu kilku minut wszyscy zapominają o jego pozycji milionera, gdy podwija rękawy i zabiera się do pomocy w jakiegokolwiek czynności, czy chodzi o przycięcie żywopłotu, czy o przyniesienie drewna.

A jeśli coś naprawdę cieszyło Murraya, były to rozmowy z przewijającymi się tam od czasu do czasu pisarzami. Tak poznał Boba Stevensona, kuzyna Roberta Louisa, i Forda Madoxa oraz Józefa Teodora Konrada Korzeniowskiego, niewysokiego, zamkniętego w sobie Polaka, który w trosce o angielskich czytelników zmienił nazwisko i podpisywał się Joseph Conrad. Murray czytał dzieła ich wszystkich i przy każdej okazji wydawał o nich opinie z prostolinijną szczerością, chociaż ku zaskoczeniu Wellsa, znajdującego



drażliwą próżność pisarzy, milioner nie rozpętał w ten sposób żadnej burzy. Wręcz przeciwnie: wielu z nich uśmiechało się, kiedy skrupulatnie rozkładał ich utwory na części, inni w końcu przyznawali mu rację, a jeszcze inni prosili go o poradę w kwestii jakiejś twórczej wątpliwości. Wells nie wiedział, czy to spolegliwe usposobienie okazywane przez jego kolegów brało się z tego, że ogromny majątek służył milionerowi jako zbroja, czy może sprawiała to niezwykła bystrość jego komentarzy, tak czy inaczej było oczywiste, że Murray czuł się wśród nich swobodniej niż on sam, być może dlatego, że nie miał żadnego własnego dzieła, które pozostali mogliby zaatakować, co niestety przydarzyło się Wellsowi.

Owe rozmowy na temat idealnego wysławiania się i dobierania właściwych wyrazów zazwyczaj spychały Wellsa na pozycję obronną. Na przykład niezmiernie irytowała go uporczywość, z jaką Conrad dociekał, co w rzeczywistości zamierza, gdy przystępuje do pisania powieści, na co Wells nigdy nie miał jasnej ani satysfakcjonującej odpowiedzi. To właśnie upór Polaka sprawił, że Wells wreszcie uświadomił sobie, iż przez te wszystkie miesiące Murray stał się jednym z jego najlepszych przyjaciół.

A było to tak. Pewnego popołudnia, kiedy leżeli na plaży w Sandgate, Conrad i on dyskutowali nad najlepszym sposobem opisu rysującej się na horyzoncie łodzi i po kilku godzinach, gdy żaden z nich nie zdołał przekonać drugiego, Polak wycofał się ku brzegowi morza z miną i pozą szermierza, który wyszedł zwycięsko z pojedynku. Murray przysunął się wówczas do Wellsa, usiadł obok niego i próbował go podnieść na duchu, mówiąc, że Conrad pisze tylko o grozie i o odległych zamorskich miejscach, a jeśli się cieszy uznaniem krytyków, to po prostu ze względu na tę nieuniknioną egzotykę, która zawsze ekscytuje anglosaski umysł, gdy cudzoziemiec posługuje się językiem angielskim. Milionerowi proza Conrada wydawała się tak wymęczona i zawila jak indyjski ornament. Wells przyjął to porównanie salwą śmiechu, a potem nieoczekiwanie dla samego siebie zwierzył się Murrayowi, że nieraz już zastanawiał się, czy brak estetycznych ambicji dyskwalifikuje go jako pisarza. Milioner oburzył się na takie wyznanie. To miał być żart? Oczywiście, że nie! Po prostu nie jest takim pisarzem jak Conrad i pozostali

twórcy wymuskaney prozy i nie ma potrzeby, żeby grał w ich grę. Jedynym celem, jaki widzi przed sobą, rozpoczynając pisanie powieści, jest jej ukończenie. Wykorzystuje do tego najprostsze zdania, jakie potrafi znaleźć, i ukazuje w tym procesie własną wizję świata - naturalną, nienaciąganą. Chce tylko utkać zabawne historie i za ich pomocą skrytykować wykryte w rzeczywistości wady, a uwagi czytelnika nie powinny przy tym rozpraszać zawilóści językowe.

Wells, zdumiony tak trafną definicją, jaką milioner określił go jako pisarza, w milczeniu zapatrzył się w morze, po którym wciąż żeglowała sporna łódź. Potem spojrział na Murraya, nadal siedzącego u jego boku, uśmiechniętego i wodzącego wzrokiem za Emmą, która hasała na brzegu z Jane. Poczł nagłą chęć, żeby go objąć, lecz się powstrzymał i poprzestał na słowach. Powiedział mu, że gdy tylko będzie miał okazję, przedstawi go Jamesowi Brandowi Pinkerowi, swojemu agentowi literackiemu, by ten pomógł mu opublikować jego powieść, ten romans naukowy, który rozpętał ich odległą wrogość. O tę przysługę Murray prosił go z górá cztery lata temu, lecz teraz podziękował mu za ten gest, nie wspominając o spóźnieniu, odrzucił jedynie propozycję przeczącym ruchem głowy. Już nie jest zainteresowany wydaniem tej powieści ani nie zamierza pisać niczego innego. Niepotrzebne mu to. Teraz jest szczęśliwy, nie robiąc nic, jedynie ciesząc się miłością Emmy.

To powiedziawszy, wstał i radosnym krokiem ruszył w stronę brzegu, a Wells patrzył na niego z ukłuciem zazdrości. Oto szedł człowiek pełen szczęścia, który nie wymaga już nic więcej od życia. Może tylko tego, by nikt mu nie odebrał posiadanej radości.

## XIII

**T**eraz pozwólcie, że przewinawszy dwa ostatnie lata z prędkością, z jaką wprawny karciarz tasuje talie, przyjrzę się uważnie jednej karcie i położę ją na widoku, by wszyscy ją mogli ujrzeć, ponieważ w naszej historii tak się składa, że następujące fakty warto przedstawić bardziej szczegółowo. Zatrzymajmy się zatem na pewnym zimnym wieczorze na początku lutego 1900 roku, kiedy to Arnold House gościł jednego z najślawniejszych ówczesnych pisarzy. W bezprecedensowym altruistycznym goście Wells zaprosił go, żeby zrobić niespodziankę Murrayowi, zapalonemu miłośnikowi jego twórczości.

O umówionej porze powóz z pompatyczną literą „G” obwieścił swoje przybycie flegmatycznym stukotem kopyt, narzuconym przez sędziwego woźnicę. Gdy wreszcie udało mu się dotrzeć do wejścia domu, Emma i Murray wysiedli, jak zawsze spowici w swoje nieblaknące szczęście. Wellsowie wyszli im na powitanie i po obowiązkowych pocałunkach szykowali się, żeby już wejść do domu, kiedy pisarza zatrzymało przy powozie pytanie stangreta.

- Nie macie psa, prawda? - zagadnął staruszek, ruchem brody wskazując otwartą furtkę od ogrodu.

- Wie pan, że nie - odparł z niechęcią Wells.

Znów spadła nań owa dziwna melancholia, która ogarniała go jedynie z nagłą, potwierdzając jego podejrzenia, że obecność woźnicy ma z nią coś wspólnego. Wydawało mu się to tak absurdalnym pomysłem, że trudno weń było uwierzyć, ale w ciągu ostatnich miesięcy przekonał się, że przybycie staruszka zawsze pociąga za sobą ten niepokój.

- A, prawda, prawda... zapomniałem. Wie pan, to instynktowny strach po tym, jak pies ugryzł mnie w dzieciństwie - tłumaczył się stangret. Znowu spróbował nawiązać z nim nić porozumienia.

- Wobec tego musi pan bardzo źle znosić pracę dla kogoś takiego jak Gilmore, bo przecież ma on bardzo dużego psa - warknął Wells, obserwując staruszkę nieufnie.

- Ee... tak. Bardzo źle. Całymi dniami staram się unikać Buzza. Z jakiegoś powodu ten kundel, ile razy mnie widzi, uparcie obwąchuje, jakby mi robił przegląd. - Wells uśmiechnął się, słysząc imię, jakie milioner nadał swojemu staremu Wiecznemu. - Proszę popatrzeć, to jest blizna, która mi została po tym, jak mnie pies ugryzł w dzieciństwie - mówił dalej stangret, wyciągając do niego lewą rękę.

Wells nie wykazał nią najmniejszego zainteresowania. Przeciwnie, skorzystał z okazji, by zadać pytanie, które nasunęło mu się tamtego dnia, kiedy, cokolwiek zaskoczony, zauważył u staruszki okaleczenie drugiej dłoni.

- A palce, których brakuje panu u prawej ręki... też stracił je pan z powodu psa?

Woźnica spojrział na wspomnianą dłoń i na jego twarzy odmalowało się coś pomiędzy tajemniczością a melancholią.

- Och, nie. To było, kiedy walczyłem z najstraszliwszym wrogiem... - rzekł i zaraz wrócił do interesującej go sprawy. - Ale pokazywałem już panu tę bliznę, prawda? A pan mi powiedział, że pana też kiedyś ugryzł pies, nieprawdaż?

- Nie. W rzeczywistości dwukrotnie odpowiedziałem panu, że nigdy mnie żaden nie ugryzł. Pytał mnie pan już dwa razy.

Staruszek przyglądał mu się uporczywie.

- Nigdy? Jest pan pewien?

- Absolutnie - odpowiedział pisarz, nie siląc się nawet na to, by ukryć złość wywołaną tym głupim dialogiem. - Choćby nie wiedzieć, jaką miał pan pewność, że było inaczej.

- Więc nie ma pan żadnej blizny na lewym nadgarstku... Za to ma pan jakąś na brodzie, a ja nie.

- Spadłem ze schodów, kiedy miałem piętnaście lat - odparł Wells, podnosząc rękę do twarzy, na wpół zakłopotany, na wpół rozdrażniony.

- Taak. Ja przeciwnie, na schodach zawsze bardzo uważałem.

Wells patrzył na woźnicę w milczeniu, rozważając możliwość wypytania go o przyczynę tych absurdalnych rozmów, które uparł się z nim prowadzić, lecz ostatecznie postanowił dać sobie z tym spokój.

- Bardzo się cieszę - odrzekł tylko.

I ruszył ku wejściu do domu. Tam czekali na niego milioner i kobiety, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Widząc, że nadchodzi, wszyscy posłali mu porozumiewawczy uśmiech.

- Co? - zapytał pisarz, bezskutecznie próbując ukryć strapienie.

- Znów buty, George? - zapytał ze śmiechem milioner. - Boże, od dwóch lat znosisz te tortury. Nie sądzisz, że najwyższy czas wysłać je na emeryturę?

- Przestań się z niego śmiać, kochanie - upomniała Emma narzeczonego. - I przekaż mu dobre wieści.

- E, tak, kochana... Słuchaj, George: ojciec Emmy zupełnie już wydobrzeł po tym przekłętym wypadku, który sprawił mu tyle komplikacji, więc w końcu ustaliliśmy datę naszego ślubu, zanim mu przyjdzie do głowy wsiąść na innego konia. Ceremonia odbędzie się w pierwszą niedzielę marca. Rodzice Emmy wkrótce wsiądą na statek do Londynu. Przybędą na kilka dni przed ślubem. I cóż... - Milioner uśmiechnął się pełen emocji, a jednocześnie uszczypnął go w ramię. - Byłoby mi niezmiernie miło, gdybyś zechciał być moim drużbą.

- Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt - odpowiedział Wells, a Jane uśmiechnęła się promiennie.

- Bądź co bądź - ciągnął Murray - Jeżeli jesteśmy razem, zawdzięczamy to tobie. Gdybyś w swoim liście nie doradził mi, że...

- Do licha ciężkiego, nie odpowiedziałem na twój list!

Wszyscy roześmiali się dyskretnie, potrząsając lekko głowami, jakby chodziło o znany tylko im stary żart.

- George, nigdy ci się nie znudzi ta gra?

- Wykazywałem ci już tysiąc razy, że... A, wszystko jedno. - Wells pośpiesznie zamknął sprawę. - Zapomnijmy o tym. Dziś mam dla ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę?

- W rzeczy samej. Tego wieczoru mamy specjalnego gościa: twojego ulubionego pisarza - ogłosił Wells z figlarnym uśmiechem.

Nie dając mu czasu na reakcję, Wells poprowadził milionera i kobiety do salonu. Tam, grzejąc się przy ogniu płonącym w kominku, czekał odwrócony do nich plecami jakiś człowiek. Milioner patrzył na jego sylwetkę z rosnącym zaciekawieniem: był to mężczyzna szeroki w barach, krzepki, niemal tak wysoki jak on i zdawał się osadzony w gruncie z solidnością menhiru. Jego postura, ręce założone na plecach i lekko sztywne ciało, przywoływały na myśl kapitana marynarki wydającego precyzyjne rozkazy, by jego statek przepłynął wśród groźnych raf. Słyszając, że wchodzi, mężczyzna odwrócił się i ruszył ku nim z takim zapalem, jakby śpieszył do gaszenia pożaru. W surowym marsowym obliczu skrzyły się ciemne oczy, z których wзираł rozświetlający go od wewnątrz wulkaniczny duch. Czupryna zaczynała się przerzedzać na skroniach, ale ową rejteradę włosów wynagradzały okazałe wąsy, osłaniające usta i zwieńczone długimi, podkręconymi ku górze końcówkami, cienkimi jak szpic floretu.

- Nie mogę uwierzyć... - wymamrotał milioner.

- To oczywiste, że prezentacje są niepotrzebne - rzekł Wells z uśmiechem. - Mimo to pozwólcie, że uczynię zadość protokołowi. Montgomery, przedstawiam ci Arthura Conan Doyle'a, twórcę postaci Sherlocka Holmesa, twojego ulubionego detektywa. Arthurze, oto Montgomery Gilmore i jego czarująca narzeczona, Emma Harlow.

Z charakterystycznymi dla siebie energicznymi ruchami Doyle ucałował dłoń dziewczyny, podczas gdy ona uprzejmie skinęła mu

głową, a następnie zwrócił się do milionera, który spoglądał na niego, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia. W końcu nie co dzień spotka się w domu u swojego najlepszego przyjaciela najbogatszego w Anglii pisarza, twórcę jednej z ikon historii literatury. W czasach gdy Murray sam chciał zostać pisarzem, zachłannie połykał przygody tego detektywa, ujęty jego charyzmą, a także studiował biografię twórcy tej postaci w poszukiwaniu klucza do sukcesu, by dociec, jak to możliwe, że młody lekarz próbujący zarobić na życie w Portsmouth wytrzasnął znikąd mitycznego Sherlocka Holmesa.

Na to pytanie Doyle musiał odpowiadać częściej, niż miałby ochotę - za każdym razem, gdy spotykał czytelnika zafascynowanego jego bohaterem albo kolegę po fachu, który gorąco pragnął poznać alchemię sprowadzającą tak wielki rozgłos. I trzeba przyznać, że gdyby wiedział, iż wymyślając Sherlocka Holmesa, dokona cudu, którego okoliczności będzie musiał opowiadać raz po raz, w różnych kręgach i środowiskach, zatańczyłby przy tym jakiś taniec przodków w swoim opustoszałym gabinecie albo odprawił pogański rytuał, albo przynajmniej włożył czyste skarpetki. Niestety, proces tworzenia legendarnej postaci przebiegał w sposób znacznie mniej przemawiający do wyobraźni. W rzeczywistości jedyne, co zrobił, zanim wydarzył się ów cud, to było bębnienie palcami po stole, gdy rozpaczliwie poszukiwał sposobu na wyważenie drzwi wydawców.

Był rok 1886 i Doyle, wówczas dwudziestosiedmioletni, od trzech lat prowadził praktykę lekarską w Portsmouth, gdzie aby zabić przeciągający się czas między jednym a drugim pacjentem, szkicował na brudno opowiadania i powieści. Opublikował już kilka krótkich tekstów w lokalnych czasopismach, lecz jego pierwsza powieść, *Firma Girdlestone*, ambitna historia, która przez spory czas marynowała się w jego wnętrzu, nie zdołała zwrócić uwagi żadnego wydawnictwa. Była to dla Doyle'a duża przykrość, ale nie poddawał się. Spróbuje jeszcze raz. Jednak zanim się ponownie zabrał do dzieła, zadał sobie pytanie: a gdyby tak zamiast pisać kolejną ambitną powieść z gatunku tych, którymi nikt najwyraźniej nie jest zainteresowany, poszukać czegoś bardziej nowatorskiego i niezwykłego? Czegoś, co sam chętnie znalazłby w księgarniach. Co wibrowało w jego duszy. Sięgnął do wspomnień i cofnął się do dni

własnego dzieciństwa, jakby się chciał poradzić chłopca, którym był kiedyś, w sprawie upodobań dorosłego, którym jest teraz.

I przypomniał sobie Auguste'a Dupina, mistrzowskiego detektywa z opowiadań Edgara Allana Poe, który swego czasu oczarował go swoim dedukcyjnym rozumowaniem. Dla tej książkowej postaci liczył się każdy szczegół, a to pewne, że detektyw nie byłby złym kierunkiem, ponieważ wystarczyło rzucić okiem na prasę z realnego świata, by stwierdzić, że dowody wynikają z poszlak i że nawet najmniejszy z nich może oskarżonego doprowadzić na szubienicę albo przeciwnie: zdjąć z niego zarzuty. I choć Poe napisał tylko trzy nowele o Dupinie, postać detektywa pojawiła się dyskretnie w powieściach późniejszych pisarzy, takich jak Wilkie Collins czy Charles Dickens. Jakby przez kilkadziesiąt lat nieśmiało próbowała przyjść na świat. A gdyby jej pomóc? - zastanawiał się Doyle. - I uczynić najważniejszym bohaterem powieści? Czy byłby w stanie wzorem dobrej akuszerki przyjąć ten ciężki poród? Tak, oczywiście, że tak. Zrobi to samo, co uwielbiany przezeń Poe, ale znacznie prościej, na miarę możliwości zwykłego czytelnika. Musi tylko wymyślić detektywa, który zafascynuje odbiorców.

Przypomniał sobie wówczas Josepha Bella, chirurga ze szpitala w Edynburgu, u którego pracował jako pomocnik, kiedy studiował medycynę. Jego zadanie polegało na wprowadzaniu pacjentów do gabinetu tego jedyne go w swoim rodzaju lekarza, gdzie odbywało się coś na podobieństwo magicznej sztuczki, najlepszej, jaką do tamtej pory widział: Bell - człowiek o orlim nosie i przenikliwych szarych oczach - przyjmował pacjenta w otoczeniu licznych praktykantów i zanim przystąpił do badania za pomocą tradycyjnych metod, bawił się w odgadywanie zawodu i charakteru każdej osoby, a robił to bez zadawania pytań, na podstawie dokładnych oględzin. Jednego razu na przykład Bell przewidział, że pacjent ma za sobą służbę wojskową, z której go stosunkowo niedawno zwolniono, a nawet, że stacjonował na Barbadosie. Następnie wyjaśnił zafascynowanym słuchaczom, że wydedukował to, ponieważ rzeczony mężczyzna nie zdjął kapelusza, zatem jeszcze nie przestawił się na zwyczaje panujące w społeczeństwie cywilów, i cierpi na słoniowaciznę, przypadłość typową dla mieszkańców Antyli. Mimo tego prostego wytłumaczenia



w ciągu kilku pierwszych minut efekt wywołany jego słowami był piorunujący. Doyle powiedział sobie wówczas, że gdyby stworzył detektywa naukowca stosującego metodę Bella - to znaczy takiego, który rozwiązuje sprawy w oparciu o własne przemyślenia, a nie na podstawie błędów czy szaleństw przestępcy - mógłby sprowadzić zdeorganizowaną sprawę śledztwa do czegoś bardziej przypominającego nauki ścisłe.

Z coraz większym entuzjazmem myślał, że ten detektyw mógłby być konsultantem współpracującym ze Scotland Yardem, ale odrzucającym metody działania tej policji, podobnie jak Dupin nie uznawał metod policji paryskiej. Wtem Doyle poczuł nieodpartą potrzebę, żeby jakoś nazwać ową kopię Bella, ponieważ dopiero nadanie imienia i nazwiska sprawiłoby, że przestałby mu się wydawać bezcielesnym bytem i zaczął przybierać realniejsze kształty. Wziął notatnik i wypisał możliwe imiona z nazwiskami: Sheridan Hope, Sherringford Holmes, Sherlock Holmes i... zatrzymał się. To ostatnie, zapożyczone od ojca teściowej jego wuja Henry'ego, który kierował Galerią Narodową w Dublinie, zdawało się brzmieć najlepiej. „Sherlock Holmes” - szepnął w swym opustoszałym gabinecie. Nie wiedział, że oto po raz pierwszy w historii wymówiono imię i nazwisko nieistniejącej osoby, które wkrótce znajdzie się na ustach całego świata i będzie wypowiedane nawet po jego śmierci...

Doyle pogratulował sobie tak szybkiego załatwienia sprawy imienia, ale zaraz zauważył, że jeśli jego Sherlock będzie się chełpił swoimi dokonaniem, by zafascynować czytelników, powstanie ryzyko, że stanie się przez to antypatyczną osobą. Potrzebny był wobec tego ktoś, kto wychwalałby je za niego, może towarzysz dzielący z nim niewygody czy niedostatki, stale żyjący w uwielbieniu dla możliwości dedukcyjnych detektywa, kto rozgłaszałby historie o jego sukcesach i wznosił dla niego ołtarz, przed którym czytelnicy, zarażeni podziwem, będą klęczeć i oddawać cześć niedoścignionemu umysłowi. I ten towarzysz, któremu Doyle nadałby tak nieistotne nazwisko jak „Watson”, powinien być człowiekiem czynu, by mógł brać udział w dokonaniach detektywa, chociaż na tyle wykształconym, żeby o nich później opowiedzieć, mógłby to być lekarz wojskowy, uczciwy, godzien zaufania i bez skazy, miłośnik

sportu i opowiadań marynistycznych Williama Clarka Russella, podobnie jak on, Doyle. Holmes z kolei czytałby *Męczeństwo człowieka* Williama Winwoda Reade'a, a ta lektura wpłynęłaby na jego oddalenie się od wiary katolickiej, i byłby z pochodzenia Irlandczykiem, sprytnym i dociekliwym, o niezwykle pojemnej pamięci, zręcznym bokserem, jeszcze lepszym szermierzem oraz zdumiewającym strzelcem, wyniosłym w stosunku do możnych, lecz pełnym życzliwości dla ubogich i dotkniętych strapieniem, lubiłby brać kokainę i długimi godzinami dumać, odziany w purpurowy szlafrok, z zapaloną fajką i rękami złożonymi w piramidkę pod podbródkiem, również tak jak on, Doyle. Tak oto pisarz rozdzielił własną jaźń i obdzielił nią dwie fikcyjne, sprzeczne względem siebie postacie, po czym postanowił jednej z nich nadać jakąś cechę spoza swojego zestawu. Może pasowałoby, aby Holmes, na przykład, grał na skrzypcach? Tak, mógł go sobie wyobrazić siedzącego w bujanym fotelu i w roztargnieniu szarpiącego struny stradivariususa czy amatego, a zarazem medytującego nad jakąś sprawą, jakby muzyka odzwierciedlała jego kłębiące się myśli.

Gdy miał już nakreślone osobowości, napisał pierwszą przygodę detektywa, zatytułowaną *Zagmatwana płatanina* i, pełen złudnych nadziei, wysłał ją do wydawców. Ale rękopis, odrzucony przez nich wszystkich, wracał do jego rąk raz po raz niczym gołąb pocztowy. Wreszcie, nieco rozczarowany, zaadresował go do Ward, Lock & Co., wydawnictwa specjalizującego się w literaturze popularnej, które ofiarowało mu za ten tekst dwadzieścia pięć funtów. Dlatego pierwsza powieść o Sherlocku Holmesie, z tytułem zmienionym na *Studium w szkarłacie*, została wydana rok później, chociaż nie zaburzyła spokojnych wód stawu literatury, jak się spodziewał autor. Podobnie było ze *Znakiem czterech*, następną przygodą detektywa.

W czym się pomylił? Nie wiedział, ale w perspektywie tego, że najwidoczniej nigdy nie znajdzie sposobu na to, by żyć z literatury, przeniósł się do Londynu i otworzył praktykę okulistyczną przy Devonshire Place, niedaleko Baker Street, gdzie pod numerem 221B, w równoległym fikcyjnym świecie mieszkał detektyw konsultant Sherlock Holmes. I tam tkwił od dziesiątej do czwartej, zajęty głównie oczekiwaniem, które sprawiło, że znów chwycił za pióro.

Było oczywiste, że im bardziej przekonywał się o swojej zawodowej porażce, tym większe miał możliwości okopania się w świecie literatury. Ale co miałby napisać tym razem? Kolejną powieść historyczną wydawaną w odcinkach? - zadawał sobie pytanie, spoglądając na stertę tygodników, które zakupił do gabinetu, żeby umilić sobie czas oczekiwania na klientów. W Anglii publikowało się ich mnóstwo, mimo że jego zdaniem miały więcej wad niż zalet: na przykład jeżeli czytelnik przeoczył numer i nie miał ciągłości w lekturze, tracił również zainteresowanie dla czasopisma. Dlaczego nikt nie pisze samokończących się historii? Doyle wyprostował się nagle na swym krześle. A gdyby tak on to zrobił? Gdyby zamiast proponować tym czasopismom kolejną powieść do opublikowania w odcinkach, podsunąć krótkie historie z tym samym bohaterem? Poszukał w swoim repertuarze takiej postaci, którą łatwo dałoby się przenieść do serii krótkich opowiadań, i jakby za sprawą szczeliny między wymiarami dosłyszał akordy wygrywane na skrzypcach pod numerem 221B przy Baker Street, po czym ukazało mu się nazwisko Sherlocka Holmesa.

Dzięki swojemu agentowi Doyle opublikował w „The Strand Magazine” pierwszą z owych historii detektywistycznych, zatytułowaną *Niezwykła kobieta*, i już kilka miesięcy później nazwiska Sherlocka Holmesa i Conan Doyle’a były znane we wszystkich domostwach. Nawet matka autora napisała do niego, deklarując się jako wielbicielka detektywa konsultanta. Cud się wreszcie dokonał. Doyle postanowił zamknąć swój bezużyteczny gabinet okulistyczny i postawić wszystko na bohatera, który wprawdzie późno, ale ostatecznie udowodnił, że potrafi zafascynować wszelkiego rodzaju czytelników. Pisarzowi miło się było przekonać, że jego popularność rośnie z każdym nowym odcinkiem, rozprzestrzeniając się również w Ameryce. Mimo to wkrótce odkrył, że coś, co początkowo wydawało się pomysłem na odmienienie życia, lada chwila przemieni się w jego osobiste przekleństwo. Wpadł w sidła, które sam zastawił, ponieważ trudność z Sherlockiem polegała na tym, że każde opowiadanie wymagało tak oryginalnej i precyzyjnie nakreślonej fabuły jak każda dłuższa książka. A Doyle na pewno nie był skłonny do tego, by uznać za wartościowe wątki, które sam jako czytelnik odrzuciłby jako niesatysfakcjonujące.

Kiedy ukończył serię dwunastu opowieści, na którą umówił się ze „Strandem”, był krańcowo znużony. Czasopismo dzięki niemu odnotowało znaczący wzrost sprzedaży, toteż zamówiło kolejną serię, ale Doyle podejrzewał, że detektywistyczna żyła złota jest na wyczerpaniu, a nade wszystko bał się, że jeśli nadal będzie opisywał przygody Sherlocka, odbiorcy utożsamiają go z tym, co jego zdaniem nie reprezentuje najlepszej możliwości jego pisarstwa. Zatem wydawało mu się, że jeśli poprosi o tysiąc funtów szterlingów za pół tuzina opowiadań, będzie to kulturalny sposób rozwiązania sprawy. Jednak czasopismo przyjęło jego żądanie bez obiekcji i Doyle był zmuszony napisać jeszcze sześć historii, a przy tym stał się na owe czasy najlepiej opłacanym pisarzem w Anglii.

Wkrótce potwierdziło się, że żadne możliwe honorarium nie jest w stanie wynagrodzić mu tytanicznego wysiłku, jakiego wymagał odeń Holmes. „Zamierzam zabić Sherlocka Holmesa w jego szóstej przygodzie. Przeszkadza mi myśleć o lepszych sprawach” - napisał do matki. A ona, by nie dopuścić do zakończenia życia tego anioła stróża Londynu, jedyne, który potrafi stawić czoło wiszącej nad miastem zbrodni i niesprawiedliwości, zobowiązała się do wymyślenia nowych wątków, w które będzie go można uwikłać. Przeszukiwała czasopisma, wypytywała sąsiadów i przekazywała synowi każdą sprawę, która go mogła zainspirować. Doyle zgodził się niechętnie i Holmes zyskał odroczenie wyroku. Gdy „Strand” zamówił kolejną serię, pisarz znowu zażądał niebotycznej sumy, a czasopismo, ku jego oszołomieniu, ponownie przyjęło ten warunek bez wahania. Wówczas zrozumiał, że jest tylko jeden sposób uwolnienia się od Sherlocka: zabić go. Zrobi to na końcu owej nowej serii, choćby jego matka nie wiedzieć jak protestowała.

Podczas krótkich wakacji w Szwajcarii pod przerażającym wodospadem Reichenbach pisarz uśmiechnął się przebiegle: znalazł grobowiec godny biednego Holmesa. Strąci go w tę straszliwą przepaść o niezmierzonej głębokości, w którą spada spieniona woda, wywołując ogłuszający, napawający duszę grozą hałas. „Z ciężkim sercem chwytam za pióro, aby zapisać ostatnie słowa z tych, w których uwieczniam niezrównane dary, jakie wyróżniały mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa...” - zaczął Watson, a tymczasem

Doyle uśmiechnął się pełen szczęścia z drugiej strony papieru niczym w odwróconym lustrze. W wieńczącej serię *Ostatniej zagadce*, opublikowanej w grudniu 1893 roku, bohater, który się wspiał na niewyobrażalne wyżyny, kolekcjoner klasyfikujący wycinki prasowe z kolumny kryminalnej i nieukrywający swojego podziwu dla dobrze przemyślanego i dokonanego w artystyczny sposób przestępstwa, który znał się na ludzkiej anatomii i na chemii, a nie wiedział, że Ziemia kręci się wokół Słońca, który umiał rozróżnić popiół ze stu czterdziestu rodzajów papierosów i określić zawód człowieka po obejrzeniu jego paznokci i odcisków na dłoniach, ten geniusz spadł z wodospadu Reichenbach, trzymając w objęciach profesora Moriarty'ego, przeciwnika dorównującego mu na polu intelektualnym, arcywroga stworzonego właśnie w tym celu i na tę okazję. I tam, na dnie tego okropnego wodnego kotła, w wirze i kłębiącej się pianie, detektyw pozostawał od siedmiu lat, Doyle zaś nie miał najmniejszego zamiaru go wskreszać, mimo nieustannych ofert napływających od różnych wydawców oraz uporczywych błagań licznych czytelników, szczęśliwy, że ma czas na pisanie innych rzeczy albo po prostu na spełnianie próśb swoich przyjaciół, takich jak ta wizyta u Wellsa, podczas której miał wreszcie poznać milionera Montgomery'ego Gilmore'a. Ten ostatni, otrząsnąwszy się ze zdumienia, w końcu wyciągał do niego rękę.

- Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, panie Gilmore - rzekł Doyle, ściskając energicznie dłoń milionera. - Ze swoich spektakularnych oświadczeń zasłynął pan w całej Anglii. Sprawił pan, że wszystkie dziewczęta w kraju wymagają od swoich adoratorów czegoś więcej niż zwykły pierścionek.

- Cóż, nie było moim zamiarem stawianie tak wysoko poprzeczki dla innych. Chciałem tylko udowodnić pewnej nieznośnej pannie, że jestem gotów zrobić wszystko, by zdobyć jej lodowate serce - odpowiedział Murray, uśmiechając się porozumiewawczo do Emmy. - Tak czy inaczej, chociaż pochlebia mi, że zechciał mnie pan poznać, mogę zapewnić, że moja radość z poznania pana jest jeszcze większa. Ludzie z czasem zapomną o moim skromnym czynie. Ale pan... Pan stworzył Sherlocka Holmesa, a tego nikt nigdy nie zapomni!

- Zapewniam pana, że Monty mówi najzupełniej szczerze - wtrąciła Emma. - Jest oczarowany przygodami Sherlocka Holmesa, panie Doyle. Jestem przekonana, że żadna kobieta nigdy nie odbierze mi jego uwagi, ale ten pański detektyw zrobi to z łatwością.

- A zatem tym bardziej się cieszę, że go wrzuciłem do wodospadu Reichenbach. Jeżeli mężczyzna przestaje zwracać uwagę na tak urocze damy jak panie, chociażby tylko przez sekundę, uważam to za niewybaczalną zbrodnię - odpowiedział z galanterią Szkot, uśmiechając się również do Jane.

I podczas gdy kobiety dziękowały mu za komplement, Wells uśmiechnął się z zadowoleniem wobec tej jowialnej wymiany miłych słów wśród jego przyjaciół. Jak przypuszczał, dwaj tak podobni do siebie mężczyźni jak Murray i Doyle nie mogli się nie polubić już od pierwszej chwili.

- Racja, to niewybaczalne - przytaknął Murray. - Pięknej damie nie powinno się niczego odmawiać, nie uważa pan?

- Zgadzam się z tym w zupełności - pośpiesznie potwierdził Szkot.

- A gdyby prosiła o wskrzeszenie Holmesa?

Doyle uśmiechnął się na ten żart.

- Obawiam się, że tego życzenia nie mógłbym spełnić - wytłumaczył się. - Holmes został uśmiercony na zawsze. Nikt nie przeżyłby takiego upadku bez uszczerbku dla wiarygodności historii.

- Cóż, nie byłbym tego taki pewien - odparł Murray. - Może znalazłby się sposób.

- Ach, tak? A jakież to? - zapytał Doyle z rozbawieniem i zaciekawieniem. - Co pan by zrobił, żeby czytelnicy zaakceptowali, iż Holmes mógł przeżyć upadek z wysokości ponad ośmiuset stóp?

- O, nie ma żadnego sposobu, żeby przeżyć taki upadek - przyznał milioner. - Faktycznie, odkąd przeczytałem *Ostatnią zagadkę*, zastanawiałem się, jak Holmes mógłby uniknąć swego fatalnego losu, ponieważ nie chciałem uwierzyć, że pan go uśmiercił. Ktoś tak niezwykle jak Holmes nie mógł umrzeć. I proszę mi wierzyć, że przez te ostatnie siedem lat próbowałem znaleźć rozwiązanie, niejako

w ramach rozrywki. Pojechałem nawet nad tamten wodospad, żeby osobiście obejrzyć scenerię. Ze splecionymi na piersi rękami, oparty plecami o ścianę patrzyłem, jak woda pędzi w zionącą u moich stóp przepaść, jakby chciała naśladować ostatnią scenę, w której Watson widział Holmesa. I z wielkim żalem musiałem przyznać, że nikt nie byłby w stanie przeżyć tak przerażającego upadku. Aż zrozumiałem, że Sherlock wcale nie runął do tego wodospadu.

Doyle, który do tej pory z ukrytym rozbawieniem przytakiwał każdemu słowu milionera, nagle uniósł brwi.

- Co pan mówi? Oczywiście, że runął z tego wodospadu!

Murray z szelmowskim uśmiechem zaprzeczył ruchem głowy.

- To Watson tak myśli - rzekł. - Ale... a jeśli tak nie było? Proszę sobie przypomnieć, że nikt tego nie widział. Gdy Watson odkrył, że został oszukany przez Moriarty'ego, wrócił nad wodospad i znalazł jedynie należącą do Holmesa laskę wspinacza, list pożegnalny i dwie linie śladów kończące się na skraju przepaści, z czego wywnioskował, że detektyw i jego arcywróg razem runęli w dół. Lecz proszę sobie wyobrazić, że podczas starcia Holmes, wykorzystując znajomość jujitsu, japońskiej sztuki walki, wyrwał się z uścisku profesora Moriarty'ego, tak że ostatecznie tylko ten drugi spadł w przepaść. Następnie, mając świadomość, że los zesłał mu wyjątkową okazję sfingowania własnej śmierci i możliwość pozbycia się reszty wrogów, wspiął się po skalnej ścianie, by nie zostawić śladów na ścieżce, bo to podsunęłoby Watsonowi myśl, że najlepszy i najbystrzejszy człowiek, jakiego dane mu było znać, okpił śmierć.

Zaskoczenie zdawało się kruszyć rysy twarzy Doyle'a.

- Znakomite rozwiązanie, panie Gilmore - stwierdził, kiedy wreszcie otrząsnął się z zadziwienia. - Muszę przyznać, że to byłoby wystarczająco wiarygodne wyjaśnienie ocalenia Holmesa, choć japońska sztuka walki nie przekonuje mnie zbyt.

- Cieszę się, że pan tak uważa - uradował się Murray. - Teraz może pan naprawić wielki błąd, jakim było uśmiercenie Holmesa, i dalej opisywać jego przygody.

- Wielki błąd? Tak bym tego nie nazwał. Proszę zrozumieć, nie po to zabijałem Sherlocka, żeby go potem wskrzesić. Przeciwnie, zrobiłem to dlatego, by się od niego raz na zawsze uwolnić. Ten przeklęty detektyw przesłaniał resztę mojego pisarstwa, stał mi na drodze do zajęcia wyższej pozycji w literaturze.

Doyle próbował ukryć rozdrażnienie, w jakie wprawiła go ta sprawa, ale jego wysiłki nie pozostały niezauważone przez Wellsa. Gospodarza zaczął niepokoić kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Najwyraźniej Murray wreszcie natknął się na pisarza, który nie był skłonny poddać się wrażeniu, jakie wywoływała bezceremonialna szczerść krytyki, albo może nic sobie nie robił z pozycji milionera, i to odkrycie, które w innych okolicznościach zapewne by Wellsa ubawiło, teraz wywołało wręcz przeciwny efekt.

- Zawsze myślałem, że o miejscu, jakie pisarz ma zająć w literaturze, decydują czytelnicy, a nie on sam. - Murray uśmiechnął się. - Ci, których pozbawił pan cotygodniowej radości, a w niektórych przypadkach przypuszczalnie nawet jedyne powodów, jaki mieli, by podnieść się z łóżka. I zdaje się, że zrobił pan to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Ale nie obwiniam pana: pisarze na ogół są odporni na własną magię i zapewne uważa pan, że to, co cisnął do wodospadu, nie jest niczym więcej jak papierową postacią, garścią słów, a nie bohaterem, który dla wielu czytelników stał się kimś tak realnym jak własny brat czy kuzyn.

- Nie obwinia mnie pan...? - Doyle niedowierzająco potrząsnął głową. - Holmes należy do mnie! To ja go stworzyłem z niczego i dlatego mam prawo zrobić z nim to, na co mi przyjdzie ochota, czy zabić go, czy uczynić z niego karta. -

Murray wybuchnął śmiechem, Wells zaś wymienił zaniepokojone spojrzenie z Jane, a ona takie samo posłała Emmie.

- Byłby to los jeszcze gorszy od śmierci - powiedział milioner. - Tak czy inaczej obawiam się, że się pan myli, panie Doyle: od momentu, kiedy opublikował pan jego pierwszą przygodę, Holmes już nie należy wyłącznie do pana, lecz także do pańskich czytelników.



- Rozumiem. Więc powinienem był poradzić się ich, zanim zabiłem mojego własnego bohatera. I co pan teraz robi, panie Gilmore? Zaproponuje mi pan pieniądze, żebym go wskrzesił? Po to zorganizowałaś to spotkanie, George? - zapytał, zwracając się do Wellsa. Ten wyraźnie zamierzał zaprzeczyć, ale Doyle uciszył go szybkim ruchem ręki. - Dobrze, proszę bardzo, niech pan złoży ofertę, panie Gilmore, ale ostrzegam, że będzie to pana kosztować więcej niż moich wydawców.

Murray patrzył na niego rozbawiony przez kilka sekund.

- Proszę mi wierzyć, mógłbym ofertę pana wydawców pomnożyć przez sto, ale nie zrobię tego. Pozbawiłbym w ten sposób szacunku pana jako pisarza i siebie jako czytelnika, chociaż nie sądzę, by ktoś, kto nie ma żadnego szacunku dla własnych postaci, mógł to zrozumieć.

Wells otworzył usta, żeby się wtrącić, lecz Doyle znów gestem poprosił, by się nie odzywał.

- Zaczekaj, George, zaczekaj. Ta rozmowa staje się coraz bardziej interesująca - odparł, robiąc w stronę Murraya krok, który można było uznać jedynie za groźbę. - Wydaje się panu, że nie mam szacunku dla swojego bohatera, panie Gilmore? Czy właśnie to pan insynuuje?

- Zgadza się - odrzekł Murray, nie tracąc zimnej krwi. - Moim zdaniem znacznie więcej wagi przywiązuje pan do pisania rycerskich romansów niż powieści o detektywie.

Doyle patrzył na niego przez chwilę w milczeniu; potem spojrzał na kobiety i Wellsa, zastanawiając się, czy powinien się poddać ogniowi, który zaczął się w nim rozpalać, czy raczej podjąć próbę zapanowania nad temperamentem, jakim się odznaczał dzięki płynącej w jego żyłach irlandzkiej krwi.

- To prawda, panie Gilmore - przyznał w końcu, ku wielkiej uldze Wellsa wybierając pojednawczy ton. - Ale to nie znaczy, że zaniebduję Holmesa.

- Owszem, to właśnie pan robi - upierał się Murray.

Doyle roześmiał się wymuszonym chichotem, jakby chciał wszystkich przekonać, że ta sprawa ogromnie go śmieszy.

- Ma pan jakiś dowód na to, co pan mówi? - zapytał na pół beztrosko.

- Oczywiście - odpowiedział milioner. - Setki razy przeczytałem każdą przygodę Sherlocka Holmesa i wynotowałem sobie w zeszytach wszystkie błędy i nieścisłości, jakie wykryłem, na wypadek gdybym kiedyś miał okazję rozmawiać o tym z panem.

- Wobec tego szkoda, że nie masz przy sobie swojego zeszytu, Monty - wtrącił Wells. - Ale dobrze, wyślesz mu go jutro, tak że będzie mógł sobie poczytać na spokojnie. A teraz chodźmy...

- Zrobię to, niezawodnie, George - zapewnił go Murray. - Jednak na szczęście niektóre notatki pamiętam. Na przykład miejsce, w którym pojawiają się zwłoki otrutego Drebbera w *Studium w szkarłacie*, nie istnieje. Numer trzy przy Lauriston Gardens nie odpowiada żadnej prawdziwej lokalizacji, prawda, Emmo?

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę, zwłaszcza Doyle, który już się nawet nie silił na uśmiech.

- Prawda. Pewnego wieczoru zabrał mnie na poszukiwania i przemierzaliśmy tę ulicę kilka razy, ale nie znaleźliśmy żadnego domu, który opisał pan w swej powieści - powiedziała Emma z pewnym zakłopotaniem, a w tonie jej głosu słychać było zarówno usprawiedliwienie skierowane do Doyle'a, jak i wspomnienie nużącego wieczoru spędzonego na dochodzeniu, w które bawił się jej narzeczony, nieoczekiwanie zamieniony w samego Sherlocka Holmesa.

- Również w tej powieści - ciągnął Murray, nieświadom rozdrażnienia, które ogarniało Szkota - Watson wspomina, że podczas wojny w Afganistanie kula zraniła go w ramię, podczas gdy w *Znaku czterech* mówi, że był ranny w nogę. Gdzie produkują takie niesforne kule, które mogą zadać dwie niezależne rany, panie Doyle? Chciałbym takie kupić.

- Kula po prostu odbiła się od kości ramienia, ześliznęła po tętnicy podobojczykowej, przeszła przez ciało ciasnym łukiem i w końcu

osadziła się w nodze - wyjaśnił szorstko Doyle.

- Taak... - Murray uśmiechnął się. - Albo może wystrzelili do biednego Watsona akurat wtedy, kiedy poszedł sobie ulżyć w krzaki, w związku z tym ta sama kula mogła mu przejść przez ramię, a zaraz potem przez nogę.

Po tym zarcie powietrzem wstrząsnęła salwa śmiechu milionera, w którym nikt mu nie sekundował. Gdy przestał się śmiać, w grupie z wolna zapadła pełna napięcia cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście Jane szybko objęła stery i zaprosiła wszystkich, żeby usiedli do stołu, jakby dopiero co zakończona dyskusja nie była niczym więcej jak nieprzyjemną halucynacją.

Pięć minut później podawała herbatę z pomocą Emmy, która puściła w obieg talerz z ciasteczkami. Dziewczyna próbowała przegnać ciężącą nad grupą ciszę, chwając wyborny smak słodczy, a Jane skorzystała z okazji, by wyznać, że z powodu idealnego połączenia anyżu z masłem ciasteczka Kempa to jej ulubiona słodka przekąska. Lecz niestety temat cukierniczy nie wystarczył na długo i grupę wkrótce znowu opanowało milczenie, przykrywające wszystko niczym warstwa kurzu.

Wells, coraz bardziej żałując, że zorganizował to spotkanie, nerwowo pogryzał wypieki, które jego żona uważała za cud sztuki cukierniczej. Znał aż za dobrze nienawiść, jaką Szkot żywił do swego bohatera, i doskonale ją rozumiał, ponieważ również nie lubił detektywa, którego jego przyjaciel darzył taką estymą. Historie Sherlocka Holmesa wydawały mu się pomyslową zonglerką, w której Szkot bardziej niż pisarstwem popisywał się magicznymi sztuczkami, a każdy prestidigitator, nawet największy, przestaje zachwycać publiczność, kiedy wyjawia istotę swych sztuczek. Znacznie bardziej lubił drugiego Doyle'a, tego, który podziwiał Waltera Scotta i pisał wspaniałe powieści historyczne, takie jak *Micah Clarke* czy ambitna *Biała kompania*, ten nieco wyidealizowany opis angielskiego rycerstwa. I nikim innym jak jednym z owych postawnych, dzielnych rycerzy z dawnych epok wydawał się Wellsowi ów wielkolud, zbyt honorowy i altruistyczny jak na swoje czasy, człowiek, który poruszał się po świecie, jakby nosił ciężką zbroję, i przestrzegał przestarzałego

kodeksu rycerskiego. Doyle przyszedł na świat z jedną z owych onieśmielających powierzchowności, które wydają się stworzone po to, by przeżywać męskie, niebezpieczne przygody - co wraz z jego nieustraszonym, żywotnym duchem pozwoliło mu wychodzić obronną ręką z wszelkich zasadzek, jakie przygotowywało dlań życie do tej pory - ale również z trudnym do okiełznania temperamentem. Wells westchnął, widząc go sztywno siedzącego na krześle i starającego się nie zdradzić miną odczuwanej urazy. Zdawał sobie sprawę, że jedynie dobre wychowanie powstrzymuje Szkota przed tym, by wstał od stołu i zniknął, toteż próbował wymyślić jakiś temat sprzyjający luźniejszej rozmowie, a jednocześnie nieco głębszy niż smak ciasteczek Kempa. W pewnej chwili gdzieś na piętrze rozległo się silne łupnięcie, od którego wszyscy aż podskoczyli.

- Znów to okno! - wykrzyknęła Jane. - Haczyk puścił i zawsze byle podmuch wiatru... Przepraszam, że cię wystraszyło, moja droga... - tłumaczyła się przed Emmą, która o mało nie wylała sobie herbaty na sukienkę. - Bertie obiecał, że je zreperuje... - i rzuciwszy mężowi ironiczne spojrzenie, dodała: - dwa miesiące temu.

- Moja obietnica pozostaje w mocy - bronił się Wells. - Powiedziałem, że naprawię, to naprawię... kiedy skończę powieść.

- „Kiedy skończę powieść...” - powtórzyła Jane z rezygnacją. - Pisarze myślą, że życie staje w miejscu, podczas gdy oni piszą swoje powieści.

Z góry dobiegło drugie łupnięcie, tym razem ogłuszające.

- Ja na twoim miejscu naprawiłbym to okno jak najszybciej, George, jeżeli nie chcesz, by wśród twoich gości rozeszła się plotka, że masz w domu duchy - zażartował Murray. - Na szczęście nikt z nas tu obecnych nie wierzy w te bzdury.

Zapadło milczenie. Milioner powiódł spojrzeniem po zebranych, nie rozumiejąc, z jakiego powodu Wells i Jane nagle pobledli, a w oczach Doyle'a zapłonęły błyskawice. W końcu to ten ostatni wystąpił z wyjaśnieniem.

- To kłopotliwe milczenie, panie Gilmore, wynika z tego, że od siedmiu lat należę do Towarzystwa Badań Paranormalnych -

oznajmił na poły cierpko, na poły z dumą. - Jestem też prenumeratorem zajmującego się takimi zjawiskami czasopisma „Light”, dla którego napisałem kilka artykułów... W każdym razie, chcę przez to powiedzieć, że kwestię duchów traktuję całkiem poważnie. Choć cenię również dobry żart - zakończył, nie uściślając, czy zalicza humor Murraya do tej kategorii.

Milioner patrzył nań zaskoczony. Nie uważał się za żadnego eksperta w tej materii, ale z wielkim zaciekawieniem czytywał ukazujące się niekiedy w czasopismach artykuły na temat spirytyzmu.

- Chce pan powiedzieć, że uważa pan, iż kiedy ktoś umiera, jego dusza opuszcza ciało i wędruje sobie bez niego jak zółw bez skorupy?

- Monty, proszę... - zaczął Wells, ale Doyle uniósł dłoń w jego stronę, by go ponownie uciszyć.

- Jeżeli ta interesująca wizja odnosi się do życia po śmierci, odpowiedź brzmi: tak. I jestem o tym coraz bardziej przekonany, panie Gilmore - odrzekł Szkot.

Murray uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Wybacz pan, panie Doyle, ale trudno uwierzyć, że twórca tak racjonalnej postaci jak Sherlock Holmes...

- Zapewniam pana, że moje podejście do spirytyzmu jest jak najbardziej racjonalne - przerwał mu Doyle. Nie potrzeba mu było, aby milioner kończył zdanie, które słyszał już tak wiele razy, że odczuwał przesyt. - Jak bez wątpienia George może poświadczyć, nigdy nie twierdzą niczego, dopóki nie jestem dogłębnie przekonany o prawdziwości tej tezy, nawet z uszczerbkiem dla moich własnych interesów albo tak jak w przypadku spirytyzmu, pomimo żartów, które muszę przez to znosić. Tak czy inaczej, nie powinno to być dla pana wielkim zaskoczeniem, że ktoś taki jak ja wierzy w duchy. Od początków spirytyzmu ogromna liczba wybitnych ludzi przekonała się do tej sprawy, a wielu naszych najbardziej zasłużonych naukowców uwierzyło w istnienie zjawisk paranormalnych. Niestety - pożalił się na wpół do siebie - ta długa lista osobistości sprawiła, że nasiliła się jadowitość krytyków tej sprawy. Oponenci zrozumieli, że

nie mają już do czynienia z garstką oświeconych czy głupców, ale z obywatelami, których autorytet może pociągnąć za sobą masy.

- Nie wątpię. Łatwo jest przekonać masy. Ale czy mógłby pan nawrócić jednego człowieka, panie Doyle? - zapytał Murray, z zabawną miną oferując sam siebie jako królika doświadczalnego.

- Arthur nie przyszedł tu po to, Monty - wtrącił Wells, coraz bardziej poirytowany postawą milionera.

- Tak, przypuszczam, George. Lecz skoro już tu jest, może nie zechce zmarnować okazji i postara się skaptować do swojej sprawy sławnego milionera Montgomery'ego Gilmore'a. Jak pan się na to zapatruje, panie Doyle? Odważy się pan spróbować? Religie okazały się dla mnie niewystarczające! Niech mnie pan wybawi z cienistej doliny, w której się znajduję, proszę! Niech pan to zrobi, błagam! Niech pan pomyśli o wszystkich tych pieniądzach, którymi mógłbym wesprzeć fundusze tego towarzystwa, do którego pan należy, jeżeli pan zdoła mnie przekonać - rzucił mu wyzwanie z uśmiechem.

- Dość już, Monty - upomniała go Emma. - Pan Doyle wcale nie musi godzić się na twoje gierki.

- Właśnie - poparł ją Wells.

Murray zaprotestował i wszyscy troje wdali się w małą dyskusję. Wtem usłyszeli wyraźny, mocny głos Doyle'a:

- Niech pan sobie wyobrazi, panie Gilmore, że ktoś z pana bliskich umiera. - Donośny głos Szkota sprawił, że wszyscy stęzeli na swoich krzesłach, przede wszystkim milioner. - Niech pan sobie wyobrazi, że złożył pan tego kogoś w ziemi i oplakuje go. - Prawie bezwiednie Murray wziął Emmę za rękę, z niejakim zaskoczeniem słuchając słów Doyle'a. - Niech pan sobie wyobrazi, że po kilku tygodniach bolesnego cierpienia spowodowanego stratą, po próbach zaakceptowania tego, że nigdy nie porozmawia pan znów z tą osobą, jej duch nawiązuje z panem kontakt. I niech pan sobie wyobrazi, że rozmawia z tym duchem, a on mówi panu coś, o czym wie tylko pan, jakiś szczegół tak intymny, że oszust nie mógłby się czegoś takiego dowiedzieć. Nie uwierzyłby pan wówczas w istnienie duchów, panie Gilmore?

Murray, nadal ściskając rękę Emmy, przez kilka sekund przełykał ślinę, jakby próbował niepostrzeżenie przepchnąć sobie przez gardło piłkę do krykieta. Odpowiedział, siląc się na pogodny ton:

- Mógłbym uwierzyć, gdyby skomunikowała się bezpośrednio ze mną, panie Doyle, ale rzecz jasna, nigdy nie uwierzę, jeśli jej słowa dotrą do mnie za pośrednictwem jednego z tych szarlatanów, którzy każą sobie nazywać mediami.

- W tym muszę przyznać panu rację - odrzekł Szkot. - Większość z nich to kanciarze, oszuści bez skrupułów uciekający się do wszelkiego rodzaju sztuczek i podstępów, aby ktoś nieostrożny uwierzył, że posiadają ponadnaturalne moce, i na ogół robią to w przestępczych celach. Jak to zwykle bywa, fałszywych proroków jest zawsze więcej niż prawdziwych. Ale wystarczy znaleźć autentyczne medium, tylko jedno, aby wykazać, że duch żyje dalej, po śmierci. Wówczas nie miałyby już znaczenia, że istnieją setki, tysiące fałszywych mediów, nie sądzi pan?

- Przypuszczam, że nie - zgodził się milioner.

- Czy przydarzyło się to panu, panie Doyle? - zapytała Emma. - Czy natknął się pan na jakieś medium, które pana przekonało, że jest prawdziwe?

- Tak się składa, panno Harlow, że więcej niż jedno, choć oczywiście nie było to pierwsze medium, z jakim miałem do czynienia. - Doyle rozparł się na krześle i zdawał się rozmyślać. - Jeżeli dobrze sobie przypominam, zacząłem się interesować zjawiskami parapsychologicznymi, zanim wyprowadziłem się z Portsmouth, jakieś dwanaście, trzynaście lat temu, chociaż wtedy nie byłem nikim więcej jak młodym stażystą, który odczuwał jedynie zaniepokojenie owymi dziwami, podobno urągającymi prawom nauki. Z takim sceptycznym nastawieniem uczestniczyłem w kilku seansach, ale żaden duch się do mnie nie zwrócił... Aż jeden to zrobił.

Emma milczała przez chwilę, czując, że coś ścisnęło jej gardło.

- I co powiedział? - odważyła się wreszcie zapytać.

- Żeby nie czytał książki Leigh Hunta.

Widząc zdezorientowanie dziewczyny, Doyle wyjaśnił, że w tamtym czasie od kilku dni zastanawiał się, czy powinien przeczytać *Dramaturgów komicznych okresu restauracji* autorstwa rzeczonoego Hunta.

- Cóż, nie jest to jakiś spektakularny przykład - zauważył Murray.

- Może panu się tak nie wydaje, panie Gilmore, ale ja wcześniej nie wspomniałem nikomu o tej sprawie, dlatego nietrudno wywnioskować, jakie zrobiło to na mnie wrażenie; nawet napisałem o tym do czasopisma „Light”. Tak czy inaczej niewykluczone, że ten epizod był niewiele więcej jak dowodem na możliwość telepatii między osobami. Opowiem panu o innym, który...

- Chwileczkę! Telepatii? - zapytał Murray.

- Tak, telepatii, przekazywania myśli bez porozumiewania się zewnętrznego. W tamtym okresie ćwiczyłem już to ze Stanleyem Ballem, moim architektem, z godnymi uwagi rezultatami.

- Praktykował pan telepatię? - Milioner nawet nie próbował ukryć niedowierzania. - Zdaje się, że przybywa panu pracy, panie Doyle: teraz musi mnie pan przekonać również do tego.

- Kiedy pan tylko chce, możemy razem poćwiczyć przekaz myśli - zaproponował Szkot.

- Ee... Cóż, na razie to może odłożmy... Wróćmy lepiej do sprawy spirytyzmu. Myślę, że kiedy powiedział pan, że ma dowody na istnienie duchów, wszyscy spodziewaliśmy się usłyszeć coś bardziej spektakularnego, jak już wspomniałem. Na przykład czy natknął się pan kiedyś na jedną z tych... jak je nazywają... ekto plazm? Mam na myśli taką autentyczną, nie pospolitą sztuczkę.

- Nie. - Doyle westchnął. - Ale to nie oznacza, że nie rozważam możliwości, iż niektóre media mogą być zdolne do wywoływania ekto plazmy. Wiele z tych osób potrafi ze swojego ciała uwolnić te świetliste chmury, które formują się same, aż przyjmą nieokreślony kształt ludzkiej postaci. I chociaż w mniejszej liczbie, są też takie media, które dokonują materializacji, w jakich nikt w ogóle nie dostrzegłby zarysów ludzkiej sylwetki. Bracia Eddy, ubodzy wieśniacy z Vermontu, umieli sprawić, że pojawiał się olbrzymi czerwonoskóry



Indianin z żoną Indianką imieniem Honto. Pewnego wieczoru świadkowie wazyli tę kobietę dwanaście razy i za każdym razem traciła na wadze, jak gdyby jej ciało było jedynie pozorem dowolnie zmieniającym gęstość. - Przez twarz Murraya przemknął sceptyczny uśmiech, a Doyle dodał: - Naturalnie, nie mam najmniejszej wątpliwości, że ogromny procent tych mediów posługuje się sztuczkami, choć nasi najbardziej poważani naukowcy sprawdzili wiele z tych osób i większość zapewnia w swoich raportach, że w przebadanych niezwykłych zjawiskach nie było żadnego fałszerstwa. Mogę podać w wątpliwość osady niektórych badaczy, ale przez czystą logikę nie da się zakwestionować wszystkich. Ponadto nie zawsze muszę zobaczyć, by uwierzyć.

- Taak. A gdybym zaproponował panu możliwość zobaczenia? - odezwał się Murray ze złośliwym uśmieszkiem. - Zgodziłby się pan?

Szkot nieufnie przyjrzał się jego twarzy, próbując dociec, czy milioner żartuje sobie z niego, czy nie, i zdecydował, że odpowie, jakby jego propozycja była prawdziwa.

- Bez wątpienia.

- Nawet gdyby chodziło o zjawę psa?

- Psa?

- Dokładnie: ogara - uściłił milioner.

- Tylko tyle może mi pan zaproponować? Myślałem, że pański majątek daje możliwość pokazania czegoś bardziej... spektakularnego - zazartował Doyle.

- O, zapewniam pana, że chodzi o wystarczająco spektakularnego ogara. Zna pan okolicę zwaną Dartmoor, w hrabstwie Devonshire?

- Tak - odparł Doyle. - Znajduje się tam słynne więzienie w Princetown.

- Owszem, a także pewien dom, Brook Manor, który według okolicznych mieszkańców jest nawiedzony. Zdaje się, że właśnie ta rezydencja kilkaset lat temu była siedzibą Richarda Cabella, dziedzica Buckfastleigh. Cabell, pasjonat polowań, podobno był niewyobrażalnie złym człowiekiem. Mówią, że taką reputację zyskał

między innymi dlatego, że zaprzedał duszę diabłu. Pewnej nocy, podejrzewając niewierność swej żony, kierowany zazdrością, zaatakował ją. Kobieta uciekła na wrzosowisko, a Cabell ścigał ją ze swym psem myśliwskim, któremu dał do powąchania jej ubranie. W końcu ją dopadł i zabił. Jednak pies zwrócił się przeciwko panu i rozerwał mu gardło, zanim ten zdążył zadźgać zwierzę sztyletem. Zwłoki człowieka, który się okrył największą możliwą niesławą, złożono w ziemi piątego lipca 1677 roku, lecz to dopiero początek historii. Tej samej nocy na jego grobie ukazała się zjawa w kształcie psa, zawyła nad grobowcem i powędrowała na wrzosowisko. Zdarzyło się to dawno temu, ale miejscowi zapewniają, że w niektóre noce duch zwierzęcia krąży wokół rezydencji. Mówią, że wygląda jak ogar, tyle że większy od każdego psa, jakiego kiedykolwiek widziały oczy śmiertelników, i że jego paszcza zionie ogniem, ślepia błyszczą jak rozżarzone do czerwoności węgle, a całe ciało spowija nierzeczywisty blask.

Przejęci słuchacze milczeli, w skrytości ducha wdzięczni losowi za to, że okno, którego Wells jeszcze nie naprawił, nie przerwało opowieści Murraya kolejnym niespodziewanym trzaśnięciem.

- Miałby pan ochotę zobaczyć tego kundla, panie Doyle? - przerwał ciszę milioner.

- Naturalnie, ale obawiam się, że trzeba będzie przekonać właściciela domu, by nam pozwolił złożyć tam wizytę, a takie sprawy nigdy nie są łatwe. Z doświadczenia wiem, że...

- Tym niech się pan nie martwi, panie Doyle - przerwał mu Murray - ponieważ ten dom jest mój. Kupiłem go właśnie dziś rano.

- Kupiłeś nawiedzony dom? - zapytał ze zdumieniem Wells.

- Zgadza się, George, a także kilka innych. Z powodu dziwnych zjawisk, do jakich dochodzi w tej okolicy od wielu lat, nikt nie odważył się kupić tych nieruchomości, toteż wystawiono je na sprzedaż po śmiesznie niskiej cenie. Ale jak wiesz, tam, gdzie inni dostrzegają jedynie zjawy, ja widzę dobry interes. Emma i ja zamierzamy pojechać do tych domów w przyszłym tygodniu, żeby zaprojektować pewne przebudowy. Może nam pan towarzyszyć, jeśli

pan chce, panie Doyle. I wy rzecz jasna też - zwrócił się do Wellsa i Jane. - Moglibyśmy zorganizować przyjemną wycieczkę. Co pan na to powie, panie Doyle? Może dopisze nam szczęście i natkniemy się na tego widmowego ogara?

- Obawiam się, że wszystko to nic więcej jak tylko legendy - odrzekł Szkot. - Nie zaprzeczę, że lubię odwiedzać nawiedzone domy, ale niestety, większość z nich okazuje się po prostu zwykłą posępną scenerią. Istnieją okoliczności bardzo sprzyjające zasugerowaniu się, panie Gilmore, miejsca wywołujące u ludzi złudzenie dziwnych zjawisk, tam gdzie ich naprawdę nie ma...

- No, niechże się pan zdecyduje - nalegał Murray. - Nawet jeżeli nie spotkamy duchów, może moglibyśmy trochę poćwiczyć telepatię, pan i ja.

- Temu nie mogę się oprzeć, panie Gilmore - odparł Doyle, posyłając milionerowi uśmiech.

Emma ze znużeniem potrząsnęła głową, po czym zwróciła się do Szkota:

- Dziękuję, że się pan zgodził, panie Doyle. Będzie dla nas przyjemnością liczyć na pana towarzystwo. I niech się pan nie obawia: zapewniam, że brak uprzejmości ze strony mojego przyszłego męża jest zupełnie nieszkodliwy. W rzeczywistości jego nieuprzejmość nie jest niczym więcej jak niekontrolowaną, nieotemperowaną szczerością. Monty to najbardziej autentyczna osoba, jaką znam. Obok jego innych zalet właśnie to sprawiło, że się w nim zakochałam - wyznała z czarującym uśmiechem. - Choć doskonale rozumiem, że u pana nie wywołuje takiego samego efektu.

I po raz pierwszy, odkąd przybył do Arnold House, Doyle wybuchnął śmiechem. Była to szczerza salwa, radosny rumor toczących się po zboczu kamieni. Wells odetchnął z ulgą. Doyle roześmiał się, a jego reakcja wyraźnie rozluźniła atmosferę. Może od tego momentu wszystko będzie dobrze. Tak, czemu nie. Może Murray i Szkot w końcu porozmawiają bez napięć, a nawet się zrozumieją. W tej chwili Jane zauważyła, że się skończyły ciasteczka, i chciała wstać, żeby przynieść nowe, lecz Murray wyprzedził ją, uprzejmie

proponując, że przyniesie z kuchni pudełko. I podczas gdy milioner ruszył w stronę korytarza, a Doyle zaczął opowiadać kobietom o niezwykłych przygodach, jakie przeżył w Arktyce, gdy miał zaledwie dwadzieścia lat, Wells rozluźnił się na swoim krześle niemal ze zmysłową przyjemnością, zadowolony, że w końcu wieczór obiera właściwy kurs.

Na zewnątrz wiał wiatr, burzył w oddali morze i od czasu do czasu wstrząsał oknem na poddaszu, które wydawało przy tym złowieszczy jęk, przypominając światu o lenistwie gospodarza. Jednak we wnętrzu domu było ciepło, ogień na kominku roztaczał pokrzepiające tchnienie i wszyscy zdawali się cieszyć niespodziewanym spokojem.

Niestety, błogie szczęście trwało zaledwie kilka minut, ponieważ przez okno, które pozostali mieli za plecami, Wells dostrzegł Murraya wędrującego ze spuszczoną głową po ogrodzie, jak gdyby mu kazano odegrać rolę najbardziej przygnębionego człowieka pod słońcem.

- Ee... zdaje się, że Monty nie znalazł ciasteczek. Pójdę mu pomóc - odezwał się Wells do żony.

Jane z roztargnieniem kiwnęła głową, zasłuchana w przygody Doyle'a, i Wells skierował się w stronę korytarza.

- Lecz jeśli wyciągnąłem jakąś naukę z tej podróży, to tę, że aby naprawdę docenić kobietę, mężczyzna powinien spędzić całe sześć miesięcy bez niej - usłyszał jeszcze Szkota, kiedy wychodził na korytarz i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wymknął się do ogrodu.

## XIV

Gdyby w tym momencie ktoś zajmował krzesło, z którego właśnie wstał Wells, mógłby zobaczyć pisarza, jak zamiast pójść do kuchni, przemierza ogród, zakutany jedynie w marynarkę. A gdyby ten obrazek na tyle tego kogoś zaintrygował, by wstać z miejsca, podejść do okna i wygiąć szyję pod odpowiednim kątem, zobaczyłby ponadto, jak pisarz podchodzi do ogromnego człowieka, który przygląda się hibiskusowi, i poklepuje go niepewnie po plecach. Podobnie jak wy, też podejrzewam, że tam na zewnątrz odbędzie się rozmowa znacznie bardziej interesująca niż monolog Doyle'a, zatem pozwólcie, że podczas gdy Szkot opisuje tłumne zgromadzenia, jakie foki urządzają na krach lodowych, by równocześnie wydać na świat potomstwo, ja przybliżę się do Murraya i Wellsa, żeby ich poszpiegować.

- Jeżeli myślisz, że zakopaliśmy pudełko ciasteczek pod hibiskusem, to bardzo się mylisz, Monty - zażartował pisarz.

Murray uśmiechnął się w przygnębieniu.

- Wiem, że je trzymacie w kuchni, w wiklinowym koszyku. Nie dlatego wyszedłem do ogrodu, George.

- W takim razie czemu postanowiłeś sterczeć na tym niemiłosiernym zimnie? Co się stało? Chwilę temu byłeś najbezpieczniejszą gadułą na świecie, a teraz wydajesz się duchem.

- „Monty to najbardziej autentyczna osoba, jaką znam”. Nie słyszałeś Emmy? - odpowiedział milioner, nie odrywając wzroku od kwiatów.

- Owszem, jasne, że ją słyszałem - mruknął Wells.

- Cóż, wobec tego wiesz, jak się myli.

A więc to tym dręczył się Murray. Znowu... Wells zrozumiał, że zanoszą się na kolejną z owych rytualnych rozmów o tym, czy powiedzieć Emmie, kim w rzeczywistości jest milioner, czy nie, i wyrwało mu się westchnienie. Te sporadyczne dyskusje, które z konieczności odbywali za plecami kobiet, służyły tylko temu, by Murray dał upust swym rozterkom, ponieważ nigdy niczego nie rozwiązywały. Obejrzał się przez ramię na okno salonu i ujrzał, jak Doyle unosi ręce, jakby odgrywał taniec kukiełek. Najwyraźniej do tej pory nikt jeszcze nie wyszedł ich szukać.

- Ale Monty - rzekł Wells - rozmawialiśmy już o tym z tysiąc razy. Jeżeli chcesz powiedzieć Emmie, kim naprawdę jesteś, zrób to w końcu, bo im później, tym będzie ci trudniej. Przypominam ci, że minęły już dwa lata, odkąd wysiadłeś z tamtego śmiesznego balonu. A jeśli postanowiasz nic jej nie mówić, powiedz sobie, że to najlepsze wyjście dla was dwojga, żeby tego rodzaju uwagi nie wpędzały cię w przygnębienie.

- Wiem, George, ale problem polega na tym, że nie mam pojęcia, co postanowić. Jedna część mnie twierdzi, że powinienem jej to wyznać. Znaleźć odpowiedni moment i wyjaśnić jej to najlepiej, jak potrafię. Jestem pewien, że mnie zrozumie... Albo przynajmniej chcę w to wierzyć.

- Więc powiedz jej.

- Ale druga część nie chce wystawiać na ryzyko szczęścia, którym się cieszymy. Gdybym stracił Emmę... Gdybym ją stracił, George, to nie wiem, co bym zrobił... Obawiam się, że nie chciałbym dłużej żyć.

- A więc jej nie mów.

- Nie jesteś zbyt pomocny, George - burknął Murray.

- Do licha, Monty, to nie ja mam podjąć tę decyzję, tylko ty! - wykrzyknął Wells. - I zrób to wreszcie, bo jeżeli dalej będziesz nosił w sercu taki ciężar, w końcu oszalejesz.

Milioner kiwnął głową, a jednocześnie ściągnął usta, upodabniając je do świeżo zszytej rany.

- Już prawie jestem szaleńcem, George. Mijają dni wśród wyrzutów sumienia, które nękają mnie na myśl, że ona nie wie, kim jestem, i wśród strachu, że to odkryje. Przypominasz sobie tego agenta Scotland Yardu, który jakiś czas temu prowadził śledztwo w mojej sprawie? Tego patykowatego aroganta, któremu wyjawileś moją tożsamość, żeby ratować własną skórę...

- Tak, tak, pamiętam go - odpowiedział Wells z zakłopotaniem. - Już ci mówiłem, że przykro mi z tego powodu. Ale co miałem zrobić? W tamtych czasach ty i ja nie byliśmy...

- Wiem, George, wiem. A ty wiesz, że cię nie obwiniam. Ale w ciągu tamtych miesięcy, kiedy ten agent węszył, znosiłem to naprawdę źle. Dużo pieniędzy kosztowało mnie ukrócenie wszystkich jego prób i podchodów. Wyraźnie zawziął się na mnie. Przyszedł moment, gdy nie wiedziałem już, co robić. Przekupiłem pół Londynu, a ten przekłety waźniak wciąż się upierał, że mnie przydybie. Gonilem w piętę, możesz mi wierzyć, ale najgorsze było to, że Emma mogła zauważyć moje przerażenie. Aż pewnego pięknego dnia, kiedy już prawie miał mnie na widelcu, przestał mnie nękać.

- Naprawdę?

- Tak, nagle zupełnie stracił zainteresowanie śledztwem i dotąd nie wrócił, żeby mi dokuczać.

- I nigdy się nie dowiedziałeś, czemu cię zostawił?

- Przypuszczam, że jakiś przekupiony przeze mnie zwierzchnik kazał mu zaprzestać tego dochodzenia, choć trudno mi uwierzyć, że ten gość nie próbował protestować. Może odczepił się sam, nie podejrzewając, że jego ofiara już była gotowa się poddać. Kto wie, być może nie był tak uparty, jak sądziłem. Wtedy się uspokoilem, wiesz? I zacząłem nosić się z myślą, że już nikt nie może mnie odkryć, że Emma nigdy nie pozna mojej prawdziwej tożsamości, a przynajmniej że to ja sam mogę zdecydować, czy jej to wyznać. Aż do dzisiejszego popołudnia.

- Do dzisiejszego popołudnia? - zdziwił się Wells.

- Tak, do dzisiejszego popołudnia. Kiedy zobaczyłem, jak się pojawiaasz z Doyle'em, znowu poczułem tamten dawny strach

i zadrzałem. Myślałem, że mnie rozpozna, że wykorzysta swoje zdolności detektywistyczne i zaraz zwróci się do mnie, używając mojego prawdziwego nazwiska.

Wells wybuchnął śmiechem.

- O, daj spokój! Dlaczego Doyle miałby cię powiązać z Gilliamem Murrayem? To tak jakby pomyśleć, że trzymam w domu na strychu wehikuł czasu.

Murray wzruszył ramionami.

- Podobnie jak większość jego czytelników zawsze myślałem, że jest tak bystry jak jego detektyw. - Przerwał na chwilę i zamyślił się. - Kiedy działały Podróże w Czasie Murraya, Doyle był jednym z najbardziej zagorzałych obrońców firmy. Napisał dużo artykułów wymierzonych w tych, którzy mnie oskarżali o oszustwo. Wiedziałeś o tym? Wymieniliśmy nawet kilka listów, w których opowiedziałem mu z wszelkimi detalami o tym, jak podczas wyprawy do Afryki odkryłem dziurę prowadzącą do czwartego wymiaru. Gdy okazał zainteresowanie podróżą do roku dwutysięcznego, nawet napisałem do niego, że w trosce o jego bezpieczeństwo zorganizuję specjalną wycieczkę, wyłącznie dla niego, tak jak dla samej królowej. Ale niestety, podczas przygotowań... Cóż, no wiesz... dziura się zamknęła.

- Tak. Doprawdy, wielka szkoda. Doyle byłby zachwycony, widząc twoją przyszłość.

- I kiedy zobaczyłem, jak się z nim pojawiaasz... - ciągnął Murray, nie zwracając uwagi na komentarz pisarza. - Boże, George, myślałem, że wystarczy mu szybki rzut oka, by odkrył całą prawdę. I to przy Emmie. Jednak mnie nie rozpoznał i fakt, że nie zdołał tego zrobić sam twórca Sherlocka Holmesa, nasuwa mi myśl, że może moja tożsamość jest bezpieczna. Nikt mnie do tej pory nie przejrzał. Wygląda na to, że wszyscy zapomnieli o Panu Czasu. Tak więc Emma nigdy się nie dowie o moim sekrecie, przynajmniej jeśli ja sam go jej nie wyznam.

Milioner powoli opuszczał głowę, coraz niżej, jakby jego myśli były z żelaza, aż w końcu patrzył sobie na buty. Wells cierpliwie czekał na dalszy ciąg zwierzeń.



- Właściwie mógłbym już tej sprawy nie ruszać - odezwał się wreszcie Murray. - Zostawić ją, skoro nie grozi żadnym ryzykiem. I jako że pozbyłem się strachu, musiałbym już tylko zмагаć się z wyrzutami sumienia. Nawet nie wiesz, jaka okropna gorycz mnie zalewa, kiedy sobie uświadamiam, że wciąż kłamię! Nie wiem, co mam, u licha, zrobić. Co mi doradzisz, George?

- Nie jestem kimś, kto mógłby ci dawać rady, Monty.

- O, daj spokój. Dałeś mi w swoim liście najlepszą radę, jaką dostałem w życiu. Powiedz mi, co mam robić, proszę.

- Nie napisałem tego przekłętogo... A, wszystko jedno. - Wells westchnął ze znużeniem. - Zgoda, Monty. Powiem ci, co ja bym zrobił.

Przez kilka sekund Wells nic nie mówił. Czuł, że nie potrafi rozstrzygnąć, która z dwóch opcji jest lepsza, ponieważ obie się jednakowo broniły. Mógł mu powiedzieć, że powinien jej wyznać swój sekret, że ona zasługuje na to, by wiedzieć, kim naprawdę jest jej przyszły mąż. Ale mógł także powiedzieć, żeby tego nie robił, że Emma jest szczęśliwa z takim Montym, jakiego zna, a to, co robił w przeszłości, nie ma znaczenia, ponieważ tak się zmienił, jakby się stał kimś zupełnie innym. Jednak najgorsze z wszystkiego nie jest to, że nie potrafi wybrać żadnej z dwóch opcji - rozważał w duchu Wells - ale to, iż nie umie dostrzec w tym wszystkim dramatu. Mimo że tak bardzo się silił - i to aż przez dwa lata - nie zdołał zrozumieć istoty problemu. Z jego punktu widzenia Emma nie powinna się gniewać o coś takiego. Czy on porzuciłby Jane, gdyby mu wyznała, że zanim go poznała, była sławną połykaczką mieczy Selmą Cavalieri? Oczywiście, że nie. I nie rozumiał też wyrzutów sumienia, które dręczyły Murraya na myśl, że ona nie wie, kim on jest. Był pewien, że gdyby on, Wells, zdecydował, iż aby zatrzymać to, co ma, najlepiej będzie zachować tę sprawę w sekrecie, zrobiłby to bez najmniejszych rozterek. Czemu Murrayowi było z tym tak trudno? Nie wiedział, ale intuicja podpowiadała, że właściwe pytanie brzmi inaczej: dlaczego jemu przyszłoby to tak łatwo? Z powodu braku empatii - odpowiedział sobie. Tego niedoboru, do którego tylekroć czyniła aluzje Jane, aby mu wyjaśnić pewne jego zachowania. Gdyby

posiadał ową zdolność, mógłby się postawić na miejscu Murraya i doradzić mu to, co dla niego najlepsze. Ale takie wejście w czyjąś skórę, które dla większości ludzi było czynnością wręcz odruchową, dla niego okazywało się niedostępne. Murray poprosił go o radę i aby go nie zawieść, jedyne, co może zrobić, to mu ją dać, choćby wybraną na chybił trafił, i tym gestem przyjaźni ukryć fakt, że jakakolwiek sprawa związana z życiem innych dla niego jest pozbawiona znaczenia.

- I jak, George? - zagadnął Murray wobec przedłużającego się milczenia pisarza.

- Powinieneś jej o tym powiedzieć - odparł Wells, choć równie dobrze mógł mu doradzić coś wręcz przeciwnego.

- Tak uważasz?

- Bez dwóch zdań.

- Czemu? - zapytał Murray z nutą bezradności w głosie.

Wells musiał się powstrzymać od wzruszenia ramion.

- Bo jeżeli tego nie zrobisz, wasze szczęście będzie zbudowane na kłamstwie - zaimprovizował. - Myślisz, że ona na to zasługuje? Mnie się wydaje, że nie. Ona ci ufa, Monty. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że możesz coś przed nią ukrywać, a tym bardziej coś takiego, że byłeś Panem Czasu. Jeżeli to odkryje, poczuje się zdradzona przez jedyną osobę na świecie, po której nigdy by się nie spodziewała zdrady. A ty nie będziesz się uważał za mniejszego zdrajcę tylko dlatego, że ona nie może tego odkryć. Czy nie mówisz, że ją kochasz? W takim razie jak możesz pozwolić, żeby twoja miłość nie była do końca szczerą?

Murray zastanawiał się nad jego słowami, podczas gdy stojący obok niego Wells dumiał nad powszechną u ludzi absurdalną praktyką proszenia o radę, wystawiania się na to, żeby ktoś inny zdecydował za nas, badając problem z zewnątrz, czysto teoretycznie, poza zasięgiem jego konsekwencji.

- Chyba masz rację, George - przyznał Murray. - Napawa mnie dumą, że ją kocham, ale moja miłość nie jest doskonała. Ma pewną

skazę, plamę, którą muszę zetrzeć. Ona nie zasługuje na miłość, która nie jest całkowicie szczerą. Powiem jej, George. Będę dzielny i zrobię to. I to przed ślubem.

Po tej obietnicy uściskał Wellsa, a ten się poczuł, jakby go obejmował niedźwiedź grizzly. Wrócili do domu i zajęli miejsca przy stole. Nikt nie pytał o ciastka. Doyle wciąż opowiadał o fokach i oceanach pokrytych krą, a Murray potakiwał tylko od czasu do czasu, wyraźnie zajęty własnymi myślami. Było oczywiste, że głowi się nad tym, co w ogrodzie usłyszał od Wellsa, lecz pisarz zdawał sobie sprawę, że choćby jego przyjaciel w tej chwili nie wiedział jak mocno postanowił pójść za jego radą, minie wiele dni, zanim przyzna się Emmie do swojej dawnej tożsamości.

Po chwili, kiedy się okazało, że przygody Doyle'a mają jednak koniec, w związku z czym Szkot zwięździł swój monolog nieuniknionym morałem płynącym z całej jego opowieści, rozmowa przygasła i nikt nie czynił żadnych wysiłków, żeby ją podtrzymać. Było już bardzo późno i czekała ich długa droga powrotna, zatem najlepiej było zacząć się żegnać i umówić się na przyszłotygodniową wycieczkę do Dartmoor. Jednak zdeterminowane spojrzenie, jakie Murray rzucił Wellswi przy wsiadaniu do powozu, nagle wzbudziło w pisarzu podejrzenie, że tym razem upływ dni nie zdoła stłumić jego postanowienia. Najprawdopodobniej przy ich następnym spotkaniu Emma będzie już wiedziała, że lada dzień ma poślubić Pana Czasu.

Tej nocy trudno mu było zasnąć. Martwiły go skutki, jakie jego rada może ściągnąć na milionera, jeśli ten odważy się pójść za nią do końca. Emma wydawała mu się panną wystarczająco inteligentną i zakochaną, żeby wyznanie narzeczonego nie wyrządziło szkód, a nawet dodatkowo wzmocniło ich związek. Ale jeżeli taka nie jest? Jeśli dziewczyna go zostawi, bo nie będzie mogła mu wybaczyć? Czy on, Wells, powinien wówczas czuć się winnym? Może w jakimś mało uczęszczanym zakamarku jego umysłu tlą się jeszcze niewielkie węgielki dawnej nienawiści, jaką kiedyś żywił do Murraya, i rada, którą mu dał, zmierzała do zniszczenia jego szczęścia, tego promiennego i hipnotycznego szczęścia, którego mu może w skrytości ducha zazdrościł? Nie, w jego umyśle nie przetrwał żaden

żar z tamtego dawnego ognia, tego był pewien. Gdyby tak było, dwa lata temu nie poszedłby porozmawiać z agentem Claytonem.

Wells znalazł agenta tylko z ich krótkiej wspólnej wycieczki do Horsell tamtego ranka, gdy na pastwiskach pojawił się marsjański cylinder, ale coś mu mówiło, że ten zarozumiały, metodyczny młodzieniec nie spocznie w swoim dążeniu do zdemaskowania Montgomery'ego Gilmore'a, bez względu na to, jak milioner będzie próbował go zniechęcić. Dlatego pewnego ranka pisarz stawiał się w biurze policji i opowiedział wszystko, co należało wiedzieć o Podróżach w Czasie Murraya; koniec końców agent i tak prędzej czy później sam by do tego doszedł. I modlił się, żeby pragnienie poznania prawdy okazało się u młodzieńca silniejsze od żądzy chwały. Po tym oświadczeniu Wells zaprzął całą swą elokwencję, by go przekonać do porzucenia tej sprawy. Tłumaczył mu, że ten człowiek w niczym nie przypomina tamtego, którym był kiedyś, że każdy zasługuje na drugą szansę, a także wiele innych rzeczy. Niestety, żaden z jego argumentów nie zdołał poruszyć Claytona. W końcu zdesperowany odwołał się nawet do historii miłosnej z milionerem i Emmą w roli bohaterów, historii, która ujęła całą Anglię, a zaczęła się od przybycia marsjańskiego cylindra. Mówił, że agent nie ma żadnego prawa, żeby ją rujnować, choćby jego działania miały mu zapewnić kolejny medal w kłapie. Jeśli upubliczni to, co teraz wie o Murrayu, Emma bez wątpienia opuści go i nigdy już nie będą razem. „Myśli pan, że mnie przekona ten argument?” - zapytał Clayton z drwiącym uśmiechem, na co Wells odpowiedział, rumieniąc się z powodu własnych słów: „Wątpię, ponieważ aby tak się stało, musiałby pan znać straszliwe potępienie, jakim jest życie ze świadomością, że się skrzywdziło kogoś, kogo się najbardziej kocha”. Agent nie odzywał się przez kilka sekund, a potem poprosił uprzejmie, by pisarz opuścił jego biuro. Wells posłusznie wyszedł, przeklinając sam siebie za swoje żalosne zachowanie. Dla Murraya zamienił się w krzyżowca z miłością wypisaną na sztandarze, jednak na nic się to nie zdało, wyszedł tylko na głupca przed tym napuszonym młodzikiem. Mijały jednak tygodnie, a Murray nie wspominał więcej o agencji Claytonie i stopniowo Wells uświadomił sobie, że choć w jego mniemaniu miłość jest przeceniana, jednak dla wielu ma ogromne znaczenie

i kiedy się na nią natkną, obejdą ją nawet, żeby jej nie zdeptać, traktując jak kwitnącą rabatę.

Tak więc, w skrócie rzecz ujmując, Wells nie dopuścił do tego, by Emma poznała sekret swego narzeczonego. Ale w takim razie czemu, u licha, sam mu następnie doradził, żeby jej o tym opowiedział, skoro mógł mu zasugerować coś wręcz przeciwnego? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, musiałby zbyt głęboko kopać w swojej duszy, toteż wolał już dać sobie z tym spokój.

Zaskoczyło go jednak ogromne podobieństwo tej sceny do pewnego wieczoru z przeszłości, gdy Murray przybył do jego domu, by poznać jego opinię na temat szmirowatej powieści, którą napisał. Wtedy też Wells mógł wybrać jedną z dwóch opcji. Miał w rękach marzenia tego nieznanego, który czekał na werdykt żałośnie wciśnięty w fotel w jego saloniku. I tego wieczoru, pięć lat później, ktoś w podobny sposób rozdał karty koło hibiskusa, przywracając to samo odczucie: że może poprowadzić życie Murraya taką ścieżką, jaką zechce, mimo że teraz milioner jest jego najlepszym przyjacielem.

Wells z dreszczem zadał sobie pytanie, co też spotka Murraya na końcu drogi, którą dla niego wybrał.

## XV

Mimo że znajdowała się w portyku domu ciotki, pod niebem szczelnie zasnutym chmurami, Emma Harlow otworzyła parasolkę, westchnęła i zaczęła ją sobie obracać nad głową. Był to dzień umówionej wycieczki do Dartmoor i mijało już pół godziny, jak Monty powinien był po nią przyjechać. Poprzedniego dnia obiecał jej, że będzie punktualnie. „Ani minuty później!” - zapewniał ją uroczyście, jakby deklamował motto widniejące nad swoim herbem rodowym. Poprosił ją nawet, żeby czekała w portyku kilka minut wcześniej, ponieważ przygotował niespodziankę, coś związanego ze sposobem, w jaki przeniosą się do Dartmoor, co warte było trudu oglądania w całym splendorze. I Emma czekała posłusznie, skrywając uśmiech zadowolenia, bo w głębi duszy nic jej się tak nie podobało, jak teatralna atmosfera, którą jej narzeczony nadawał każdej sytuacji, sprawiając, że czuła się niczym mała dziewczynka na zakazanym strychu niezwykłego magika. Ale sterczała tutaj już od pół godziny, ziębnięta i znudzona, i zaczynała żałować, że go posłuchała. Zmrużonymi oczyma bacznie przyjrzała się alei przecinającej ogrody rezydencji ciotki, po czym rzuciła przelotne spojrzenie na zachmurzone niebo, ponieważ dopuszczała możliwość, że milioner pojawi się, rozdzierając chmury jakimś szalonym latającym urządzeniem.

- Wielkie nieba! Ty wciąż tutaj?

Emma odwróciła się z wojowniczą miną, gotowa wyładować gniew na ciotce, ale gdy ją ujrzała stojącą samotnie pośrodku portyku, otuloną kilkoma warstwami chust i szali, jej irytacja częściowo wyparowała.

- Tak, ciociu Dorothy - westchnęła. - Tak jak wywnioskowałaś dzięki swojej niezwykłej przenikliwości, wciąż tu jestem.

- Mówiłam ci - odezwała się zrzędliwie staruszka, nie zwracając uwagi na ironię zawartą w głosie siostrzenicy. - Nie trzeba było wychodzić i czekać na niego z takim wyprzedzeniem. Nie wiem, czemu jeszcze nie zauważyłaś, że punktualność nie należy do największych cnót twojego narzeczonego. Chociaż... prawda jest taka, że nie umiałabym powiedzieć, jakie są inne jego zalety.

- Ciociu, proszę... Nie teraz.

- O, nie martw się, nie wyszłam na ganek w taki piekielny czas, żeby rozmawiać o twym ukochanym Gilmore. Jest to temat, na który już niewiele mam do powiedzenia albo nawet nic. Szczerze mówiąc, po dwóch latach zupełnie mi się znudził. Wyszłam tylko po to, żeby cię zawołać do środka, dziewczyno. Ziąb jest nie do zniesienia! Służący powiadomią cię, kiedy się zjawi.

- Nie, ciociu. Monty prosił wyraźnie, żebym czekała w portyku. Zdaje się, że ma dla mnie niespodziankę i nie...

- No więc ci ją wręczy, gdy wyjdiesz mu na spotkanie! - przerwała jej ciotka. - Nie rozumiesz, że możesz zachorować? Jest zbyt wilgotno. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co się stanie, jeśli złapiesz chorobę na kilka tygodni przed ślubem. To by była prawdziwa katastrofa! Co bym wtedy powiedziała twoim biednym rodzicom, którzy lada chwila przybędą? Po zmartwieniu, jakie im sprawiłaś swoimi ekstrawaganckimi zaręczynami i wcześniej odmową wzięcia ślubu w Nowym Jorku, i po wyrzutach, jakie muszę znosić...

- Daj spokój, ciociu. Nikt, kto mnie dobrze zna, a zapewniam cię, że rodzice znają mnie doskonale, nie obarczały cię odpowiedzialnością za moje zachowanie.

- Ale to zrobili! I to jeszcze jak! Twoja matka, moja n a j d r o ż s z a bratowa, zadała sobie trud, by dawać mi to do zrozumienia pomiędzy wierszami, z typową dla siebie wytrawną subtelnością, w każdym ze swoich uroczych listów. Jestem pewna, że uważają, iż nie chroniłam cię wystarczająco, kiedy dwa lata temu powierzyli cię mojej opiece, abyś się cieszyła niewinnymi wakacjami

na Starym Kontynencie. Ale jak mogłam sobie wyobrazić, że dziewczyna twojego pochodzenia i wychowania będzie lekceważyć zasady i dobre maniery? Tak czy inaczej, dobrze to czy źle - dodała z rezygnacją cierpiętnicy - za kilka tygodni będziesz już panią Gilmore i w końcu przestanę za ciebie odpowiadać. Ale powiem ci jeszcze jedno, droga siostrzenico: mimo zgrozy, jaką mnie napawa myśl, że kobieta ze znamienitej rodziny Harlow wychodzi za prostaka niewiadomego pochodzenia, który zbił majątek jak zwyczajny kupiec, muszę ci wyznać, że z drugiej strony nie potrafię sobie wyobrazić, po tych dwóch spędzonych z tobą latach, że inny mężczyzna mógłby cię znieść.

- A ja, kochana ciociu, muszę ci przyznać rację. Właściwie zanim poznałam Monty'ego, postanowiłam, że wcale nie wyjdę za mąż, ponieważ wątpiłam, czy ktokolwiek byłby w stanie dać mi szczęście.

Staruszka fuknęła.

- Szczęście jest czymś absolutnie przecenianym, moja droga, i ma się rozumieć, wydaje mi się poważnym błędem powierzanie go niekompetentnym mężczyznom. Kobieta powinna szukać szczęścia sama i w miarę możliwości nie dopuszczać, żeby jej mąż mieszał się do tego przedsięwzięcia.

- Czy dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż, ciociu? - zapytała delikatnie Emma. - Żeby żaden mężczyzna nie umniejszył twego szczęścia?

- Nie wyszłam za mąż, bo nie chciałam! Ale gdybym to zrobiła, to nie po to, żeby zdobyć sympatycznego błazna. Najważniejsze u męża są dobre wychowanie i pieniądze, warunki stanowiące oprawę dla urody i inteligencji żony. Taka rama uwypukla zalety dzieła, ale nie jest nieodzowna, a nade wszystko nie może być utrzymana w złym guście. Gdyby tak miało być, dzieło lepiej się będzie prezentować bez ramy. Tak czy inaczej przynajmniej pociesza mnie świadomość, że dzięki dziedzictwu twojego przyszłego męża i twemu hojnemu posagowi nie zabraknie wam pieniędzy. Powiedz mi jednak, czy naprawdę chcesz wszystko to teraz zepsuć, łapiąc zapalenie płuc? Chcesz, żebym wyszła naprzeciw twoim rodzicom i przekazała im smutną wiadomość, że po to przemierzeli ocean, aby cię pożegnać na łożu śmierci?



Emma przewróciła oczami.

- Nie dramatyzuj, ciociu. Zapewniam cię, że odrobina chłodu nie wyśle mnie zaraz na żadne łoże śmierci, między innymi dlatego, że nie sędzę, żebym kiedykolwiek miała u siebie taki mebel. - Panna uśmiechnęła się do siebie. - Wystarczająco dużo przemawia za tym, by podejrzewać, że moje przyszłe życie u boku Monty'ego na pewno nie będzie zwyczajne. Oboje podzielamy tak wielki strach przed nudą, że z całą pewnością nie umrzemy w zwykłym łóżku. Może zginiemy w paszczy plezjozaura we wnętrzu Ziemi albo walcząc z marsjańską inwazją...

- Młoda damo! - wykrzyknęła zgorszona ciocia Dorothy. - Nie żartuje się ze śmierci. Powszechnie wiadomo, że kostucha nie ma poczucia humoru.

- Przypominam ci, że to ty zaczęłaś - odparła Emma z uśmiechem i zaraz złagodziła ton, zauważywszy bladość staruszki. - Ale bądź spokojna, ciociu. Nigdy nie czułam się zdrowsza. I jestem ciepło ubrana. Poza tym Monty na pewno zaraz przybędzie... - zakończyła, bez przekonania rzucając okiem na aleję.

Lady Harlow z entuzjazmem psa gończego zwęszyła wątpliwości siostrzenicy i z nowym zapalem podjęła temat wad, jakie jej zdaniem obciążają Montgomery'ego Gilmore'a, poczynając oczywiście od braku punktualności, której wydawał się takim zwolennikiem. Wywód staruszki był Emmie doskonale znany, ponieważ wysłuchiwała go bezustannie od dwóch lat, i trzeba przyznać, że zgadzała się z ciotką we wszystkim: jej narzeczony miał każdą z tych denerwujących, niestosownych, męczących dla otoczenia przywar, a nawet jeszcze jedną, która umknęła uwadze starszej pani. Jednak połączenie ich wszystkich dawało w rezultacie mieszaninę wybuchową tak mocną i ekscytującą i o tak niezwykłej energii, że wszystko, co weszło z nią w kontakt, mogło tylko ulec unicestwieniu albo przeobrazić się w coś nowego. Montgomery Gilmore wtoczył się w życie dziewczyny dwa lata temu niczym pociąg na szklany dworzec, nie pozostawiając jej innej możliwości, jak wsiąść albo do końca życia pozostać w uwięzieniu na rozbitej w drobny mak stacji. Emma wsiadła do tego pociągu, nie zastanawiając się wiele. I tak samo

wsiadła do latającego balonu, gdzie tak się zaśmiewała, że ku przerażeniu biednego Monty'ego o mało nie przewróciła kosza. Gdyby ją o to poprosił, wsiadłaby nawet na pomarańczową czapkę, by wzbić się wyżej, ponad gwiazdy.

Nie bez pewnej wesołości Emma zdała sobie sprawę z tego, że im dłużej słucha diatryby swojej cioci, tym mniej złości ją spóźnienie narzeczonego. Ostatecznie wcześniej czy później się zjawi. Nie miała najmniejszej wątpliwości. Wiedziała, że może mu ufać tak, jak nigdy jeszcze nie ufała nikomu. I tylko to się liczyło. Monty przybędzie i zasłoni się najzabawniejszą z wymówek, będzie się plątać w wytłumaczeniach, które bardziej niż usprawiedliwić, pognąbią go z kretesem, a jej nie zostanie nic innego, jak wybuchnąć śmiechem.

Panna zerknęła z ukosa na ciotkę niemal z czułością. Nagle uświadomiła sobie, że będzie jej staruszki brakować, chociaż trochę, i przypuszczała, że ona też będzie za nią tęskniła, kiedy po ślubie znów zostanie sama, a Emma przeprowadzi się, żeby założyć własny dom. Dziewczyna postanowiła nie zapomnieć o cioci i znaleźć w swoim nowym szczęściu czas na to, by ją odwiedzać tak często, jak jej pozwolą obowiązki młodej żony. Młodej żony... Ta myśl wywołała w brzuchu panny gorączkowe trzepotanie, które szybko rozeszło się po całym ciele.

- Mam nadzieję, że ten głupawy uśmieszek nie oznacza, że naśmiewasz się ze mnie, Emmo. I z łaski swojej, zostaw w spokoju tę parasolkę! Zaczyna mi się od tego kręcić w głowie.

Dziewczyna zamrugnęła kilka razy, zanim zrozumiała, że ciotka, przynajmniej na chwilę, zaprzestała okrutnej wiwisekcji jej narzeczonego i zwróciła się bezpośrednio do niej.

- Przepraszam, ciociu. Właśnie... przypomniałam sobie coś zabawnego, co mi się przydarzyło wczoraj.

- Coś zabawnego? Nie wyobrażam sobie, co by to mogło być. Może widok pana Gilmore'a usiłującego poprawnie posłużyć się nożem i widelcem...?

I wtedy, ku zaskoczeniu lady Harlow, Emma wybuchła:

- Dość już, ciociu! Już dość! Nie rozumiesz? Ja go kocham!

Dziewczyna zawahała się wobec zboląlego wyrazu twarzy ciotki, która patrzyła na nią z otwartymi ustami, i rozpaczliwie szukała w myślach mniej wytartego zwrotu, aby spróbować wytłumaczyć staruszce swoje uczucia. Pragnęła znaleźć jakąś magiczną formułę, która dokładnie opisywałaby to, co pulsuje w jej wnętrzu i co każdy by zauważył, gdyby ją w tym momencie położył na noszach i rozciął jej brzuch. Ale nie znalazła takiego określenia. Pokonana jedynie powtarzała te dwa słowa bardzo wolno:

- Kocham go... Kocham go... Nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, jak posługuje się sztucami. Nie ma dla mnie znaczenia, czy się dorobił na handlu sznurówkami, czy czyszcząc ścieki. Nie ma dla mnie znaczenia, że zawsze się spóźnia, że mówi za głośno i że w tańcu wciąż depcze mi po stopach. Zanim go poznałam, nie umiałam się śmiać... Nigdy nie umiałam, nawet kiedy byłam mała. Moje dzieciństwo było najbardziej niedorzeczne i żalosne na świecie: smutna dziewczynka, która nie potrafi się śmiać!

- Mnie zawsze wydawałaś się dziewczynką nadzwyczaj interesującą - obstawała przy swoim staruszka. - Nigdy nie rozumiałam, jak taki diablik jak ty mógł wyjść z łona mojej bratowej. Byłam przekonana, że wyrośniesz wolna od tych wszystkich błahostek związanych z miłością i romansami, i to napawało mnie dumą. Wreszcie w rodzinie Harlow panna z charakterem! Wyznam ci nawet, że trochę przypominałaś mi mnie z czasów mojego dzieciństwa. A teraz wychodzisz mi tu z tymi wszystkimi głupotami o prawdziwej miłości! Jeśli chciałaś się pośmiać, mogłaś pójść do zoo. Małpy są bardzo zabawne. Zawsze mnie rozśmieszają, choć z tego powodu nie biegnę, żeby z nimi brać ślub.

Emma westchnęła, niecierpliwie przygryzając wargi. Jak sprawić, by ciocia zrozumiała powód, dla którego kocha Gilmore'a? Jak jej wyjaśnić, że nie ma innej opcji, jak tylko go kochać? Jak zawrzeć to w jednym zdaniu, w kilku słowach? Wtem przyszły jej one do głowy.

- Monty jest autentyczny.

- Autentyczny? - powtórzyła staruszka.

- Tak, autentyczny - potwierdziła Emma. - Jest autentyczny. Rozejrzyj się dookoła. Wszyscy idziemy przez życie w maskach na twarzach. Ale nie on. Nie ukrywa się za żadną maską. Jest prawdziwy, bez dwulicowości. Można go takim przyjąć albo odrzucić. Lecz jeśli się go przyjmie... - Uśmiechnęła się, choć oczy miała pełne łez. - Och, jeśli się go przyjmie, można być pewnym, że nie ma w nim żadnego oszustwa, że to, co ci ofiaruje, to szczerą prawdą. Nie wiem, czy Monty jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie, ale owszem, wiem, że jest jedynym, który by mnie nie okłamał, żeby na takiego w y g l ą d a ć. I to właśnie sprawia, że staje się cudowny.

- Nie idź tą drogą, kochana - przerwała jej z niesmakiem starszka. - Sprawy romantyczne nadzwyczaj mnie przerażają. Uważam, że wszystkich pisarzy, którzy zajmują się tym nieszczęsnym gatunkiem, należy powywieszać. Oczywiście, zaraz mi powiesz, że nie chcesz żyć w świecie, w którym jego nie ma, albo coś w tym guście...

Emma odetchnęła głęboko. Powiedziała, co chciała powiedzieć, wiedziała, że znalazła właściwe słowa, i nagle odkryła, że już nie ma dla niej znaczenia, czy przekonała ciocię, czy nie.

- W świecie, w którym jego nie ma... - mruknęła z lekkim uśmiechem. - Moja kochana ciociu, cały świat zmniejsza się dokładnie do odległości, jaka nas dzieli w danym momencie.

Właśnie wtedy stłumiony hałas, który od kilku minut dobiegał z oddali i na który żadna z nich dwóch nie zwróciła zbytnej uwagi, zaczął przybierać na sile, zwiastując, że - jakiegokolwiek jest jego pochodzenie - to coś zbliża się szybko do domu. Z pewnym niepokojem Emma i jej ciotka patrzyły na mur oddzielający ogród od ulicy; warkot docierał do nich spoza tej przegrody, zdążając ku głównemu wejściu. Wkrótce rozległ się nowy dźwięk, podobny do syreny okrętowej, i zaraz potem, spowity w symfonię trzasków i ostrych zgrzytów, na główną aleję posiadłości wtoczył się dziwny powóz bez koni, zostawiający za sobą gęstą smugę dymu. Z prędkością, którą można było określić tylko jako diabelską, podjechał pod portyk, gdzie obie kobiety, nie mogąc wyjść ze zdumienia, patrzyły, jak zatrzymuje się z rżeniem konającego zwierzęcia. Emma nigdy dotąd nie widziała takiego powozu. Oglądała

wprawdzie ilustracje pojazdów, w których napęd konny zastąpiono silnikiem, ale jej zdaniem nie różniły się zbyt od powozów z zaprzęgiem. Ponadto z tego, co czytała, wynikało, że owe pojazdy nie rozwijały wielkich prędkości, zaledwie około dwudziestu kilometrów na godzinę, co każdy rowerzysta o mocnych nogach mógł osiągnąć bez większego wysiłku. Jednak imponująca maszyna, która przed nią sapała, przemknęła przez główną bramę jak błyskawica i w sekundę dotarła pod portyk, pokonując te sto metrów w mgnieniu oka. Z drugiej strony wyglądała zupełnie inaczej niż cokolwiek, co dziewczyna widziała do tej pory: białokremowa karoseria ze złotymi ozdobami była wydłużona i płaska, i tak niska, że wystarczyło tylko odrobinę podnieść stopę, żeby pokonać odległość dzielącą ziemię od kozła; przednia część była zbudowana z metalowej konstrukcji podobnej do wielkiej skrzyni z kratą na przedzie, na której opierały się, niczym dziwaczne rogi, dwie rzucające się w oczy lampy; tylne koła były nieco większe od przednich, a nad nimi znajdowała się składana buda, w tej chwili złożona i przypominająca akordeon; pod powozem dawało się zauważyć mnóstwo dźwigni i kół zębatach, którymi najwyraźniej rządził długi lewar sterczący po prawej stronie siedzenia przypominającego dwuosobowy tron; przed siedzeniem wznosił się krótki maszt podtrzymujący kierownicę - spore koło ozdobione klaksonem w kształcie rogu zakręconego jak świński ogonek. A pośrodku tej zwariowanej bryczki siedział bardzo sztywno - z rękami wciąż spoczywającymi na kierownicy, jakby się bał, że w każdej chwili maszyna wyrwie naprzód z własnej woli - Montgomery Gilmore wyposażony w ogromne, dziwne okulary zakrywające mu pół twarzy, oraz skórzany kask z dwoma długimi uchami, które zwisały po obu stronach głowy, nadając mu wygląd monstrualnego, olbrzymiego owada. Mimo to milioner zdołał posłać Emmie promienny uśmiech.

- Wielkie nieba... - wymamrotała lady Harlow. - Obawiam się, moja droga, że twój narzeczony postanowił zerwać ze swoim chwalebny zwyczajem maszerowania przez życie z odsłoniętą twarzą.

Emma puściła mimo uszu uwagę ciotki i zszedłszy dwa stopnie z portyku, zatrzymała się niezdecydowana, nie mając odwagi, by zmniejszyć bezpieczną - jak się wydawało - odległość dzielącą ją od

urządzenia. Narzeczony patrzył na nią z zachwytem. Była tak piękna i czarująca z tym wyrazem zdumienia w czarnych oczach, że milioner mógł tylko jeszcze raz podziękować temu, kto umożliwił ten cud, że ta kobieta tak go kocha.

- Emmo, najdroższa! Jak ci się podoba? - zawołał z entuzjazmem, manipulując niezdarnie klamką u drzwi, by wysiąść z pojazdu, pobiec do ukochanej i wziąć ją w ramiona, póki trwa magia chwili. A jednak klamka odmówiła posłuszeństwa. - Mówiłem ci, że mam dla ciebie niespodziankę! To mercedes, pierwszy nowoczesny samochód w historii! Ale dopiero prototyp, nawet jeszcze nie wszedł do sprzedaży. W warsztacie do ostatniej chwili robili poprawki i musiałem na nie czekać, dlatego się spóźniłem. Ale warto było, nie sądzisz? Przyjrzyj się! Osiąga siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę prawie bez wibracji! Zobaczysz, jaki jest wygodny, kochana: jakby się ślizgać w powietrzu na bezgłośniej chmurce!

Zdesperowany przestał się zmagać z klamką i wstał z siedzenia, żeby przeskoczyć przez drzwiczki. Ale gdy uniósł w tym celu nogę, zahaczył butem o jeden z otworów kierownicy i tak został, uwięziony jak w potrzasku, naciskając obcasem gruszkę klaksonu, którego ogłuszający dźwięk sprawił, że Emma aż odskoczyła. Klakson wciąż ryczał, podczas gdy milioner upadł na siedzenie w groteskowej pozie, wykręcając się na wszystkie strony, żeby uwolnić but z zaimprovizowanej pułapki. Gdy w końcu udało mu się go wyszarpnąć i uciszyć żalosne wycie, wyskoczył z auta. Stał tak, patrząc na narzeczoną i za bardzo nie wiedząc, co powiedzieć, z zaczerwienioną twarzą, w pogniecionym surducie i przekrzywionych goglach na twarzy. Emma uniosła brew.

- Na bezgłośniej chmurce? - spytała.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Siedem miesięcy później lady Harlow na swoim łożu śmierci przysięgłaby, że kiedy tych dwoje zaczęło się śmiać, powietrze między nimi rozświetliło się. Nie było jednak nikogo, kto by jej wysłuchał, ponieważ umierała sama, jedynie w towarzystwie obojętnej pielęgniarki, która wchodziła i wychodziła z pokoju, nie zwracając większej uwagi na bredzenie konającej staruszki. Tak, powtarzała

w kółko sama do siebie to, co widziała na własne oczy tam, w portyku. Na początku myślała, że padła ofiarą jakiegoś złudzenia, efektu optycznego wywołanego mgłą albo może światłami potwornej maszyny. Ale potem i w następnych tygodniach, podczas gdy nieuleczalna samotność domostwa pozbawionego Emmy zatruwała jej duszę, żywiąc guza, który sześć miesięcy później rzucił ją w lodowate objęcia kostuchy niemającej najmniejszego poczucia humoru, przekonała się ostatecznie, że tamtego ranka była świadkiem autentycznego cudu.

- Cały świat ograniczył się dokładnie do odległości, jaka ich dzieliła - bełkotała lady Harlow w swoim ostatnim tchnieniu - ...ograniczył się dokładnie do odległości, jaka ich dzieliła.

I dokładnie w tym momencie, gdy Emma wsiadała do samochodu milionera, pozwalając sobie na rozemocjonowane westchnienie, kilka mil dalej Wells również westchnął, tyle że ze znużenia. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Do tej pory udawał względne zainteresowanie, żeby nie być niegrzecznym, ale w miarę jak powóz podążał do Dartmoor, rozwlekłe sprawozdanie, w którym Doyle opisywał swoje ostatnie dokonania sportowe, pogrążało go w coraz większym zniechęceniu, aż w końcu nabrał przekonania, że ta wycieczka nie będzie taka przyjemna, jak sobie wyobrażali.

Jak wszystko mogło się tak poprzekręcać? - rozmyślał. W ciągu kilku minionych dni czynił przygotowania przekonany, że podczas zaproponowanej przez milionera wycieczki nie tylko miło spędzą czas, lecz także za jednym zamachem zostaną rozwiązane dwie sprawy, jakie go ostatnio trapiły.

Pierwsza z nich dotyczyła Murraya i Doyle'a, których pierwsze spotkanie w Arnold House nie poszło tak, jak się spodziewał. Jako że milioner i Emma mieli się dostać do Devonshire sami, Wellsowie umówili się z Doyle'em, że pojedą powozem we trójkę, co dałoby Wellsowi okazję do uspokojenia Szkota, zanim znów znajdzie się twarzą w twarz z milionerem. Wells sądził, że nie będzie to szczególnie trudne, ponieważ Doyle miał porywcze usposobienie, jak sam otwarcie przyznawał, o co obwiniał płynącą w jego żyłach irlandzką krew, aczkolwiek nie potrafił żywić do nikogo trwałej urazy.

W tym nie był podobny do Wellsa, który posiadał wątpliwą zdolność zachowywania każdego najmniejszego załamka nienawiści mimo zawieruchy upływających lat. Co do Murraya... Co w końcu można by pomyśleć o tym nowym, zakochanym człowieku, który zdaje się gotów ofiarować swą przyjaźń samemu diabłu? Mimo nie najlepszego początku znajomości Doyle i Murray byli skazani na to, żeby się zrozumieć, jako że mieli ze sobą więcej wspólnego, niż chcieli przyznać. Było jedynie kwestią czasu, żeby się wreszcie dogadali. Trzeba im tylko umożliwić drugą szansę. I właśnie to Wells zamierzał zaproponować Doyle'owi podczas podróży do Dartmoor.

Druga sprawa martwiła go bardziej. Z powodu różnych zobowiązań z obu stron miało to być pierwsze spotkanie od tamtego pamiętnego wieczoru, gdy Wells tak niefrasobliwie doradził Murrayowi, by ten zwierzył się Emmie ze swojej prawdziwej tożsamości. Początkowo, zaniepokojony okropnymi konsekwencjami, jakie tak nierozważna rada mogła wywołać, Wells spytał milionera o tę sprawę w kilku krótkich listach, które wymienili ze sobą, by ustalić szczegóły wycieczki, ale jako że Murray swego czasu ostrzegł go, żeby nigdy nie wspominał na piśmie o jego prawdziwym ja, pisarz - aby zagadnąć o interesujący go temat - zmuszony był uciekać się do wszelkiego rodzaju omówień i aluzji i bardzo wątpił, czy zostały prawidłowo zinterpretowane, sądząc po równie enigmatycznych odpowiedziach przyjaciela. Jednak z upływem dni brak wiadomości rozproszył jego obawy. Plan wycieczki krystalizował się, a co najważniejsze, to samo dotyczyło ślubu. To mogło oznaczać tylko dwie rzeczy: albo Murray opowiedział o wszystkim Emmie i nie wywołało to żadnego kataklizmu, albo jeszcze tego nie zrobił. Jeśli zaszło to pierwsze, misja Wellsa podczas wycieczki będzie polegała na pogratulowaniu przyjacielowi i wspólnym radowaniu się z tego, że jego rozsądna rada odniosła pożądany skutek; ale jeśli zaszło to drugie, Wells będzie musiał znaleźć sprzyjający moment sam na sam z Murrayem, by mu przekazać swoje wątpliwości co do udzielonej przy hibiskusie porady i w ten sposób zwolnić się z wszelkiej odpowiedzialności.

Wobec perspektywy rozwiązania obu spraw wyczekiwał tej wycieczki z prawdziwą niecierpliwością, choć musiał jechać do Dartmoor w powozie Murraya - z różnych powodów ani on, ani Doyle



nie dysponowali tego dnia własnym pojazdem - narażony na dziwaczne wypytywanie jego stangreta. To jednak wydawało się niewielką uciążliwością w zestawieniu z tym, jak pomyślnie zapowiadała się podróż, toteż w dniu wyjazdu Wells wstał w doskonałym humorze; zszedł do kuchni na filiżankę dobrej herbaty i w oczekiwaniu na powóz Murraya, który najpierw miał zabrać Doyle'a, przeglądał gazetę, nie podejrzewając, że upływające minuty pracują nad tym, by zgasić jego radosny nastrój.

Pierwszy cios padł ze strony samej gazety. „Nadchodzi Niewidzialny Człowiek!” - głosił nagłówek. Wells musiał kilka razy zamrużyć, jakby mu ktoś prysnął w oczy cytryną. Najwyraźniej autor tej notki prasowej, kolejnej z wielu, jakie poruszały temat licznych paranormalnych zdarzeń obserwowanych w Dartmoor, uznał za zabawne posłużyć się w tytule okrzykiem trwogi, który wydawali bohaterowie jego powieści, gdy przerażeni uciekali przed niewidzialną istotą. Jak możecie sobie wyobrazić, żart ten uraził pisarza, ponieważ Wells nie za dobrze znosił to, gdy inni przywłaszczali sobie jego pomysły. Napisał to zdanie z zamiarem zaskoczenia czytelnika, zagłębiając się w jeden z jego najpierwotniejszych lęków: strach przed czymś, czego nie widać, co można sobie tylko wyobrazić. I zdenerwowało go, że ten dziennikarzyna bez poszanowania dla czyjejś pracy używa tego okrzyku, by wzbudzić uśmiech czytelnika gazety, mimo że reszta jego artykułu nie zawiera ani krzty humoru, ponieważ pod tak p o m y ś l o w y m nagłówkiem ten podrzędny pismak z sarkazmem młócił ograny temat dziwnych zjawisk zachodzących w rzeczonyj okolicy. Jak się wydawało, miejsce to niezmiernie upodobały sobie duchy. Choć jest równie możliwe - autor artykułu z ironią snuł przypuszczenia - że Niewidzialny Człowiek znalazł tam kobietę swoich marzeń, tak samo bezcielesną jak on, i razem dali początek płodnemu, acz eterycznemu rodowi, który potajemnie osiedliwszy się wśród „widzialnych”, próbuje podbić hrabstwo na drodze rządów terroru. Czemu nie? - podsumował swój wywód z domyślnym wzruszeniem ramion. - Jeśli się uwierzy w rozliczne krzesła, które poruszają się same, oraz w talerze przelatujące nagle w powietrzu na tym posępnym terenie, każde wyjaśnienie może być co najmniej tak usprawiedliwione jak absurdalne przekonanie, że połowa duchów

z całej Anglii wybrała sobie ten bezludny obszar na upragniony cel wakacji.

Wells przestał czytać. Zaczął odczuwać pustkę w brzuchu. Czy nie jest to zbyt oczywisty zbieg okoliczności, że właśnie tego ranka prasa odgrzebała tamto zdanie z jego powieści, żeby nim zatytułować artykuł traktujący o miejscu, do którego on wybiera się na wycieczkę? Choćby chciał, nie mógł zignorować takiego budzącego lęk zestawienia elementów. Ale jeśli nawet jest to tylko przypadek, to przecież niektóre ze wspomnianych przerażających zjawisk miały miejsce w Brook Manor, pierwszym z domów, które zamierzają odwiedzić! Miejscowi twierdzą, że widzieli blask świecy wędrujący niczym niesforny świetlik od okna do okna tego podobno pustego domu, a wielu dozorców, którzy przewinęli się przez posiadłość, rezygnowało z tej posady z powodu nieznośnych, stale powtarzających się hałasów: głosów, tupotu stóp i wycia rozlegającego się dniami i nocami w mrocznych korytarzach rezydencji.

I to właśnie jest dom, w którym mają się zatrzymać już za kilka godzin? - myślał Wells, przerażony nie tyle tamtymi starymi opowieściami o duchach, które go ledwie obchodziły, ile straszliwą zaszyfowaną wiadomością, jaką miał zwyczaj przeczuwać w każdym zbiegu okoliczności. Dlaczego ten artykuł ukazał się akurat tego dnia, a nie wczoraj lub jutro? Czy jest w nim ukryta jakaś przestroga? Może nie był to taki dobry pomysł, by się kierować do kryjówki, w której schronił się udręczony wytwór jego wyobraźni po ucieczce ze stronic, gdzie pisarz sam go zamknął...

Próbował powściągnąć rozgorączkowaną wyobraźnię, żeby odzyskać rozsądek. Zgoda - rzekł sobie - nie podoba mu się to, że ktoś zaciera granice między jego powieściami a światem realnym, choćby to robił w żartach, ale nie chodzi o dziecinną reakcję, tylko o logiczne rozumowanie, ponieważ ilekroć tak się działo do tej pory, w taki czy inny sposób wpływało to na jego życie. Po napisaniu *Wehikułu czasu* pojawienie się Podróży w Czasie Murraya nie tylko przysporzyło mu wielu zgryzot, lecz także sprawiło, że zyskał zażartego wroga. Choć z drugiej strony odtworzenie marsjańskiej inwazji z *Wojny światów* zamieniło owego wroga w jednego z najlepszych przyjaciół.

Zastanawiał się, co może mu przynieść możliwe spotkanie z powieściowym niewidzialnym człowiekiem. Zwierzątko domowe? To, że Jane urodzi trojaczki? Trudno było sobie wyobrazić.

Nie miał nawet czasu, żeby się pośmiać z własnego żartu, kiedy rozległ się odgłos końskich kopyt oznajmiający przybycie powozu z pompatycznym „G”. Przez kuchenne okno dostrzegł wysiadającego Doyle’a, a potem z rozdrażnieniem patrzył, jak Szkot pomaga wyjść pannie Jean Leckie. To przepełniło czarę. Nie żeby Wells miał coś przeciwko tej dziewczynie odznaczającej się wyjątkową eteryczną urodą - orzechowozielone oczy, ciemnoblonde włosy, drobna, smukła figura - właściwą przedstawianym na ilustracjach wróżkom, które tak bardzo podobały się Doyle’owi. Raczej wręcz przeciwnie: doceniał jej bystrość i inteligencję oraz szczerze poczucie humoru; w rzeczywistości obie pary starały się spotykać zawsze, gdy miały okazję, odkąd Doyle i Jean zaczęli się pokazywać razem w towarzystwie, chociaż do tej pory dziewczyna zawsze pojawiała się w eskorcie swojego brata Malcolma albo jakiejś innej przyzwoitki, aby zachować pozory. A jednak, mimo że Wells był do niej przyjaźnie nastawiony, postrzegał jej obecność tego ranka jako niewygodną dla swoich planów i przeklinał w duchu Szkota za to, że ją zaprosił. Wiedział aż za dobrze, że Doyle - na ile go znał - przy swojej przyjaciółce nie przyjmie niczyich porad co do tego, jak powinien traktować impertynencje Montgomery’ego Gilmore’a.

I rzeczywiście, nie pomylił się. Podczas długiej podróży do Dartmoor próbował podjąć ten temat przy kilku okazjach, ale za każdym razem ponosił sromotną klęskę. Na szczęście Jane skutecznie rozładowała atmosferę, pytając Szkota o jego uczestnictwo w meczu z Marylebone Cricket Club, rozegranym kilka dni temu na stadionie krykietowym Lord’s - legendarnym spotkaniu, o którym mówił cały świat - i Doyle zaczął rozsnuwać przed nimi niekończącą się kronikę batsmanów, którzy odbijali piłeczkę według kapryśnych, sobie tylko znanych reguł. Na domiar złego jechali niedorzecznie powoli, aż Wells miał wrażenie, że lada chwila ciało drzemiącego woźnicy zwali się z kozła na ziemię.

Przygnębiony wyłączył się, żeby nie słuchać o wyczynach przyjaciela, i rzucił okiem za okno. Choć jeszcze przemierzali piękny

wiejski krajobraz, a droga biegła wśród zielonych pastwisk i liściastych zagajników, usianych zadbanymi, spowitymi bluszczem chatkami, Wells odniósł wrażenie, że pejzaż zaczyna tchnąć jakimś smutkiem, jak gdyby w ten sposób dawała się odczuć bliskość pustkowia. Gdy oparł czoło o okno, ujrzał w oddali posępną grupę wzgórz rysujących się na tle nieba tak ciemnym konturem, że przypominały bagno. I to mroczne władztwo melancholii było jego celem... Nie miał już wątpliwości: to będzie okropny dzień.

Po półgodzinie przemierzania dróg obrzeżonych coraz bardziej złowieszczyymi dębami i jodłami powóz dotarł na szczyt małego wzniesienia i zatrzymał się jak wyczerpany. Doyle przerwał wreszcie swoją niekończącą się kronikę i wszyscy wyjrzeni na zewnątrz. Teren obniżał się tu, tworząc spore zagłębienie w kształcie kielicha, a przed nimi niczym wyświechtany dywan roztaczało się fantasmagoryczne pustkowie. Zdawało się leżeć odłogiem i ciągnąć w nieskończoność, z trzema czy czterema luźno rozmieszczonymi zabudowaniami, oddzielonymi od siebie dużą odległością, tu i tam usiane czerwonymi skrzepami skał albo samotnym, powykręcany drzewem, któremu wiatr kazał w udręczeniu kręcić głową. Rozciągające się przed nimi wrzosowisko zdawało się ziemią utkaną z samotności. Śmierć rozpostarła tutaj swój płaszcz i odtąd chadzała po świecie naga i dzika.

- Brook Manor - oświadczył woźnica posępnym tonem, wskazując batem pierwszy z domów.

Podążyli ku posiadłości w ponurej ciszy, mąconej jedynie odgłosem kopyt i skrzypieniem kół. Po drodze patrzyli, jak wyrasta przed nimi masywna sylwetka: imponująca, wzniesiona z kamienia bryła odcinała się na tle ciemniejszego nieba dwiema bliźniaczymi, zwieńczonymi krenelażem wieżyczkami. Po prawej roztaczało się odludne, oniryczne wrzosowisko, w oddali naznaczone czymś, co wyglądało na małą osadę i kilka zagród. Wells przypomniał sobie, że cztery czy pięć mil stąd znajduje się znane z twardego reżimu więzienie Princetown. Kilka minut później powóz zatrzymał się przed okazałą bramą z kutego żelaza - szalonym kłębowiskiem upstrzonych rdzą prętów oflankowanych dwoma nadgryzionymi zębem czasu kamiennymi filarami.

Zachęceni perspektywą tej pierwszej atrakcji, podróżni wysiedli z powozu z zamiarem rozejrzenia się i rozprostowania nóg, ale gdy tylko postawili stopy na ziemi, uderzył w nich lodowaty poryw wiatru, zmuszając, żeby się szczelniej otulili pelerynami i płaszczami. Drżąc z zimna, podeszli do bramy i ze zdumieniem przyglądali się długiej, obsadzonej drzewami alei, która ciągnęła się w dal za żelaznymi prętami, a na jej krańcu majaczyła przyobleczona w całun mgły rezydencja. Zdawała się pulsować powoli, niczym złowrogi stwór przywrócony do życia jakimś ciemnym zaklęciem. Przez kilka sekund wszyscy trwali w milczeniu, chwyciwszy się prętów bramy, jakby ten złowieszczy korytarz miał zaraz wessać ich dusze. Wicher szarżował gwałtownie, szarpał im ubrania i zamiatał aleję, zamieniając zeschnięte liście w chmarę oszalałych wron.

- Jeżeli diabeł zapragnął mieszać się w sprawę ludzi, nie mógł znaleźć lepszej scenerii - szepnął Wells.

- Nic dodać, nic ująć! - skwitował donośnie Doyle, zwracając się w jego stronę. - Wyznaj, George: mimo całego twego sceptycyzmu, gdyby w tym momencie w tej alei pojawił się jakiś straszliwy pies i z rozwartą paszczą pobiegł prosto na nas, pomyślałbyś, że przybywa z samego piekła.

- Przypuszczam, że tak...

Pisarz z lękiem przebiegł wzrokiem aleję i przyszedł mu do głowy ogromny kudłaty Black Shuck, pies ze słynnej legendy z Norfolk, którego dzikie spojrzenie powodowało śmierć. Murray będzie musiał wydać fortunę na żarówki elektryczne, jeśli chce, żeby go ktoś odwiedzał w tym okropnym domu.

- Gdyby tak na mnie leciał jakiś przeklęty pies, i przepraszam, że się odzywam niepytany - rzekł stangret, który zdążył zejść z kozła i zbliżyć się do nich niepostrzeżenie - najmniej by mnie obchodziło, z jakiego świata przybywa. Zapewniam państwa, że uciekałbym jak dusza przed diabłem do jakichś drzwi, żeby się od niego odgrodzić.

Wszyscy spojrzeli na niego cokolwiek zdziwieni.

- Nie lubi pan psów? - zapytała uprzejmie Jean.

Staruszek zaprzeczył żywo.

- Nienawidzę ich, panno Leckie, nie wyobraża sobie pani jak bardzo. Obawiam się, że ci z nas, którzy zostali pogryzieni przez tak zdradzieckie zwierzę w dzieciństwie, nigdy już nie zaufają żadnemu psu.

- To prawda, że wielu ludzi ma awersję do psów - przyznała Jane, posyłając staruszkowi współczujący uśmiech. - Ale nie da się też zaprzeczyć, że niektóre rasy są urocze i zupełnie niegroźne.

Staruszek patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, uśmiechając się z dziwną czułością.

- Wszystkie mają zęby, pani Wells - zauważył ze śmiechem.

- W tym ma pan rację - odpowiedziała, przyłączając się do śmiechu.

- Tu jest za zimno! - burknął Wells, niezadowolony z porozumienia, jakie jego żona nawiązała z woźnicą. Nagle zadał sobie pytanie, co oni, u licha, robią w środku tej okropnej dziczy, wystawiając się na niemożliwe zimno i rozmawiając ze stangretem o jego lęku przed psami. - Myślę, że lepiej będzie poczekać na Emmę i Montgomery'ego w powozie.

Wszyscy mu przytaknęli i znów szczelnie owijając się w płaszcze, ruszyli, żeby się schronić w powozie.

- Ja nienawidzę psów, a pan nie cierpi schodów w sklepie bławatnym Edwina Hyde'a, prawda? - szepnął woźnica, kiedy Wells go mijał.

Pisarz spojrział na niego oniemiały, próbując sobie przypomnieć, kiedy to opowiedział mu, że w młodości spadł ze schodów właśnie w tym sklepie w Southsea. Staruszek uśmiechnął się do siebie, pokazując miejsce na podbródku, gdzie Wells miał niedużą bliznę. W tym momencie uwagę wszystkich przykuł przenikliwy dźwięk dobiegający ze szczytu wzgórza. Roztaczając blask poprzez mgłę, z przerażającą prędkością toczyła się ku nim z góry dziwaczna maszyna, a jednocześnie pozdrowiała ich czymś w rodzaju ryku, który niósł się po całym wrzosowisku, idąc w zawody z wyciem wiatru.

## XVI

Kiedy drzwi ciężko zamknęły się za ich plecami, odgłos trzaśnięcia przez kilka minut odbijał się od ścian ogromnego holu i grupka osób, które ośmieliły się zakłócić samotność tego miejsca, zbiła się jeszcze ciaśniej. Wszyscy rozejrzeli się z niepokojem, będąc pod wrażeniem tysiąca zim, które barwiły te mury uginające się od broni i herbów rodowych. Murray, z racji tego że to on zorganizował tę wyprawę w głąbiny ciemności i czuł się odpowiedzialny za stan ducha jej członków, postanowił przerwać milczenie.

- Tu, tu i tutaj zainstaluję garść żarówek Edisona - oznajmił, wskazując na chybił trafił kilka punktów w ciemności. - Ściągnę też wszystkie te herby i całą broń, a porozwieszam ładne obrazy...

- Chce pan wyrzucić tę broń? - oburzył się Doyle. - To byłoby szaleństwo, Gilmore. Przecież to kolekcja godna średniowiecznego rycerza. Proszę spojrzeć choćby na tę wekierę! - Pokazał wiszący na jednej ze ścian żelazny, na wpół przeżarty przez rdzę kij zwieńczony sporą kulą najeżoną groźnymi kolcami. - To broń stworzona do walki wręcz, równie szlachetna jak miecz, choć oczywiście wymaga mniej zręczności, a więcej brutalnej siły. A co powie pan o tej kuszy? Ja powiedziałbym, że pochodzi z XIX wieku. - Zwrócił się ku drewnianemu przedmiotowi, który sprawiał wrażenie, jakby na murze przysiadła monstrualna ważka. - Choć prawdą jest, że kusze zawsze wydawały mi się bronią godną pogardy, skoro pozwalają, by byle plebejusz zabił z daleka bieglego w sztuce wojennej rycerza. Władając kuszą, człowiek nie popisuje się męstwem, a jedynie celnością. Nie wspominając już o tym, że ładowanie jej jest tak skomplikowane, że w czasie wojny kusznik potrzebował giermka,

który osłaniał go tarczą, podczas gdy on naciągał cięciwę tego ustrojstwa.

Szkot przystąpił do praktycznej demonstracji - osobiście prezentował, jak się ładuje ten rupieć, czemu towarzyszył wykład złożony z odpowiednich wyjaśnień. Murray przerwał mu, zanim wszyscy zaczęli ziewać.

- Cieszę się, że tak pana interesuje cała ta broń, Doyle. Dla mnie jednak jedynie ilustruje ona ludzką inwencję w zabijaniu bliźnich i gdy tylko będę mógł, pozbędę się jej - odparł, udając skrupuły, których nie miał albo przynajmniej nigdy nie okazywał ich w swoim poprzednim życiu, pomyślał Wells, nie wątpiąc w to, że Murray kiedyś posługiwał się bronią z wielką zręcznością i swobodą. - Na ich miejscu powieszę obrazy Leightona. Co o tym myślisz, Emmo?

Wziął narzeczoną pod rękę i nie zostawiwszy Szkotowi okazji do odpowiedzi, ruszył na zwiedzanie swojej świeżo nabytej nieruchomości, rozwodząc się przy tym nad rozlicznymi zmianami, jakie zamierza wprowadzić. Pozostali nie mieli innego wyboru, jak podążyć za nim.

Z holu przeszli do ogromnego salonu, sprawiającego nieco bardziej przytulne wrażenie dzięki majestatycznemu kominkowi ziejącemu pustym paleniskiem w rogu pokoju oraz za sprawą okazałych witraży, które - choć tego dnia sączyły melancholijne szarawe światło - zapowiadały tęczyowy spektakl w słoneczne dni, o ile takie tu bywały. Jednak dębowe belki u sufitu, poczerniałe od dymu, za bardzo przypominały zwieszające się nad wrzosowiskiem ciemne niebo, a na ścianach wisiały dziesiątki jelenich łbów, które zdawały się śledzić przechodzących ludzi szklanymi oczami splamionymi śmiercią. Z salonu udali się do obszernej jadalni, która bynajmniej nie poprawiała posępnej atmosfery zalegającej w całym domu jak brudna woda w wannie; wręcz przeciwnie: było to pomieszczenie bez okien, wypełnione mrokiem, wydzielające silną woń pleśni i beznadziei. Gdy Murray zapalił jedną ze znajdujących się tam lampek i postawił ją na umieszczonym pośrodku długim stole, ta rozlała zaledwie skąpą kroplę blasku na zakurzone drewno. Mimo to wystarczyło światła, aby w otaczającym ich gąszczu cieni dostrzec krąg czających się



dookoła bladych zjaw. Murray wzdrygnął się, a zaraz potem uniósł lampę i podszedł z nią do jednej ze ścian. Gościom wyrwało się westchnienie ulgi, kiedy się przekonali, że owe widmowe twarze należą do rzędu portretów, przypuszczalnie przedstawiających przodków rodu Cabell. Jeśli się ich oglądało od lewej do prawej, owi dżentelmeni o surowych, stoickich spojrzeniach, odziani w różne stroje: od średniowiecznych zbroi, przez kaftany epoki elżbietańskiej, po stonowane trzyczęściowe garnitury i fulary dandysów z okresu regencji, ilustrowali upływ czasu w znacznie przyjemniejszy sposób, niż robią to słoje przyrostu drzewa. Oprócz tuzina podobizn na ścianie widniały drugie drzwi - dokładnie naprzeciwko tych, przez które weszli - a także jakieś szable skrzyżowane nad upstrzonymi patyną tarczami herbowymi, dwa wyblakłe arrasy przedstawiające zagmatwane sceny mitologiczne oraz gigantyczne lustro, które zamykało cały pokój w barokowej złoconej ramie.

- Niebiosy... - mruknął Doyle, wskazując na portrety. - Chyba nie byłbym w stanie jeść spokojnie w takim towarzystwie.

Puściwszy jego uwagę mimo uszu, Murray zaczął okrężyć stół, zacierając z entuzjazmem ręce.

- Wyobrażasz sobie, Emmo, jak piękny będzie ten pokój, kiedy... - rozejrzał się dookoła, próbując sobie przedstawić, jakiego rodzaju zmiana byłaby odpowiednia, aby w cudowny sposób dodać jadalni uroku - kiedy zupełnie go odmienimy?

- Dla mnie wygląda czarująco tak jak teraz, Monty - odparła Emma ze śmiechem. - Po co w ogóle coś zmieniać? Jest idealnie... Jeśli nie uda ci się sprzedać domu, moglibyśmy go wykorzystać na spotkania towarzyskie. Zapraszalibyśmy wszystkich znajomych, których nie możemy znieść, i zmuszalibyśmy ich, żeby siedzieli w tej jadalni podczas długich, niekończących się kolacji, a w nocy, kiedy poszliby spać, wleklibyśmy po korytarzach łańcuchy i wylibyśmy potępieńczo. W ten sposób zapewnilibyśmy sobie, że nigdy więcej nie przyjęliby naszych zaprosin i my też nie musielibyśmy odpowiadać na ich zaproszenia, w razie gdyby po tym doświadczeniu nie przestali ich nam przysyłać.

- Kochanie, to cudowny pomysł - zachwycił się Murray.

- To prawda, że byłoby nieźle dysponować miejscem przeznaczonym do takiego celu - zgodził się Wells, bo od razu przyszło mu do głowy kilkadziesiąt osób, które chętnie zaprosiłby na tego rodzaju kolacje.

- W takim razie może nie róbmy żadnego remontu ani nie wystawiamy domu na sprzedaż - dodał Murray z humorem. - Jeśli się dobrze zastanowić, znalazłyby się dla tej rezydencji niezliczone podobne zastosowania. Włącznie z... - uśmiechnął się szelmowsko - urządzaniem seansów spirytystycznych. Moglibyśmy wynajmować ten dom medium.

- Monty, nie zaczynaj znowu z... - odezwała się ostro Emma, nagle przybierając poważny ton.

- Ależ kochanie, zobacz, co za a t m o s f e r a! - przerwał jej Murray i zatoczył wokół siebie ręką szeroki gest udawanego podziwu. - Wyobrażam sobie, że mamy to, co pan Doyle nazwał... Jak to było? „Okoliczności sprzyjające zasugerowaniu się”?

Doyle nie odezwał się, tylko rzucił mu nienawistne spojrzenie.

- O, tak! - Milioner rozpostarł ramiona, jakby chciał zamknąć w objęciach całą otaczającą ich ciemność. - Myślę, że właśnie znalazłem nowy wspañiały biznes. Każde medium zapłaci nam, ile zażądamy, żeby urządzać tu swoje seanse. W tak sprzyjającej atmosferze prawie wcale nie musieliby sięgać po te swoje zwyczajowe sztuczki...

- Monty, już dość - upomniała go Emma. - Arthurze, błagam, niech pan nam znów wybaczy. W żadnym razie nie chcieliśmy pana obrazić, wyśmiewając pańskie poglądy, my tylko żartujemy. - Spojrzała surowo na narzeczonego. - Prawda, kochany?

- Jasne, to był tylko niewinny żarcik, Doyle - potwierdził Murray, wzruszając ramionami.

- Dziękuję pani za troskę, panno Harlow - rzekł Szkot, ignorując milionera, a do jego narzeczonej zwracając się z urażoną dumą. - Jak już państwu mówiłem, kiedy się poznaliśmy, cenię dobry żart.

- O, jestem pewna, że pan się na tym zna - odpowiedziała dziewczyna, również nie wyjaśniając, czy uwaga Murraya zasługuje na tę kategorię. - Choć jeśli mowa o posępnej atmosferze, trzeba przyznać, że ten dom z całą pewnością jest niepokojący.

- Ależ ja wcale nie jestem zaniepokojony - wtrącił milioner.

- Daj spokój, Monty - odezwał się Wells, modląc się, żeby Murray i Doyle nie uwikłali się w kolejną nieprzyjemną dyskusję. - Przyznasz chyba, że to miejsce wywołuje dreszcze.

- To oczywiste, że ta rezydencja emanuje niezrozumiałą dla nas energią - zawyrokował Doyle tonem znawcy, wolno przesuując spojrzeniem po ścianach. - Wszyscy ją postrzegamy, chociaż niektórzy z nas nie odważą się do tego przyznać.

- Kto nie odważy się do tego przyznać? - zaperzył się Murray.

- Ty, kochany - odpowiedziała Emma. - To elementarne.

- Ach, tak? I co, miałbym niby wyczuwać, że dusze tej sympatycznej gromadki są tutaj teraz z nami i pilnują, żebyśmy się nie nabijali z ich wąsów? - bronił się Murray, wskazując na obrazy.

- Tego nie powiedziałam, kochany - odrzekła Emma, nie tracąc spokoju. - Ale podobnie jak Arthur uważam, że jest w tym domu coś, co postrzegają nasze zmysły, a my nie umiemy tego rozszyfrować. Może nie są to dusze zmarłych albo przynajmniej nie w tym pojęciu, jakie mamy o duszach. Niewykluczone jednak, że wszystko, co te osoby przeżyły - uniosła rękę ku portretom wiszącym na całej długości ścian, a jednocześnie obracała się wokół własnej osi - wszystko, co wycierpiały i kochały, w jakiś sposób przetrwało, choć ludzie odeszli... - Podeszła do stołu i w zamyśleniu pogładziła oparcie jednego z krzeseł, a przy tym mówiła dalej rozmarzonym tonem. - Wyobraźcie sobie niezliczone sceny, jakie rozgrywały się w tej jadalni: wystawne posiłki, rodzinne dramaty, obwieszczenia o wojnie, radosne wiadomości... Może wszystko to wciąż tu jest, dzieje się wiecznie, wibrując w jakiejś postaci w powietrzu, choć nie jesteśmy już w stanie tego zobaczyć ani usłyszeć, ponieważ nasze umysły postrzegają tylko teraźniejszość... Możliwe, że istnieją jakieś miejsca, takie jak to, gdzie niczym w rozlewiskach rzecznych ze stojącą wodą

czas zwalnia bieg lub nawet się spiętrza i ludzkie przeżycia nachodzą na siebie w ciągu wieków, tworząc wyjątkową, zawiłą teraźniejszość i właśnie tę... sedymentację egzystencji, aby ją jakoś nazwać, teraz odczuwamy. George, może dreszcz, który cię przeszedł, pochodził stąd, że w tym momencie przeniknął przez ciebie na wskroś jakiś lokaj niosący tacę z kieliszkami. - Wells popatrzył na nią wystraszony i dyskretnie zrobił krok w bok. - A ty, Jane, być może teraz stoisz w krzyżowym ogniu spojrzeń dwóch rywali, którzy mierzą się wzrokiem, a o świcie staną do pojedynku. Z kolei na krześle, o które się opieram, siedzi zakochany mężczyzna, gładząc pod stołem stopą nogę swojej wybranki, podczas gdy ona rysuje palcem na obrusie ich inicjały.

Mówiąc to, Emma palcem wskazującym napisała na zakurzonej blacie „M” i „E”. Potem wpatrywała się w te dwie litery z melancholijnym uśmiechem - może zastanawiając się, czy po stu latach, kiedy litery znikną, podobnie jak ona, jakiś gość wyczuje ten jej gest - aż zauważyła, że wszyscy czekają w milczeniu. Podniosła wzrok i jej policzki okraślił uroczy rumieniec.

- O, proszę, wybaczcie mi te absurdalne dywagacje. Urodziłam się w młodym kraju, którego kamienie nie mają wspomnień, dlatego miejsca takie jak to wydają mi się pełne magii...

- Nie tłumacz się, kochana - powiedziała Jane. - To było naprawdę piękne wyjaśnienie.

Wszyscy przytaknęli, z wyjątkiem Murraya, który tylko spoglądał na narzeczoną z podziwem.

- A ponadto - wtrącił Doyle z entuzjazmem - ładnie wyraziła pani to, co zawsze powtarzam: że jakaś część nas musi przetrwać, gdy umrą nasze ciała. Czemuż by nie? Może śmierć polega jedynie na powtarzaniu naszych egzystencji na wyższym planie, jak coś w rodzaju hipersześcianu Hintona, gdzie przeżywamy wszystkie chwile swego życia w tym samym czasie... W końcu media przekazały nam liczne zeznania duchów, które opisują zaświaty jako dokładne kopie ich dawnego życia.

- Myślę, Doyle, że nie zrozumiał pan ani słowa z tego, co powiedziała moja narzeczona - stwierdził Murray.

- Oczywiście, że zrozumiałem - odparł oburzony Szkot. - Mówię tylko, że jest wiele sposobów wyrażenia tej samej koncepcji. Coś z nas zostaje po śmierci i istnieje w zaświatach, coś z naszej woli, naszego postrzegania czasu i przestrzeni (albo to może to samo), z naszej śmierci. Choć ciała znikają, jakaś cząstka nas ma szansę przetrwać na zawsze. I w zupełności się z panią zgadzam, Emmo, co do tego, że są miejsca i oczywiście również ludzie potrafiący skanalizować całą tę energię. Możliwe, że ten dom zalicza się do takich miejsc, ponieważ bez wątplenia teraz każde z nas coś wyczuwa. Pani to czuje, Emmo, i George, i ja. I pani także, Jean, prawda?

Młoda kobieta skinęła głową z miną odzwierciedlającą niepokój.

- To przez wilgoć - orzekł Murray, marszcząc nos i spoglądając w sufit.

- O, Monty, jesteś niepoprawny - stwierdziła Emma doprowadzona do rozpacz. - Obiecuję ci, że jeżeli umrę przed tobą, przyjdę, żeby cię dręczyć noc po nocy.

- Pewnie będziesz musiała znaleźć sobie jakiś o d p o w i e d n i k a n a ł - przypomniał jej narzeczony z uśmiechem.

- W porządku - odrzekła. - Przy całym twoim majątku możemy być pewni, że zatrudnisz najlepsze medium.

- Bez wątplenia, kochana.

Oczy Emmy błyszczały rozbawieniem.

- Ale chcę, żeby seans odbył się tutaj - postawiła warunek, stukając stopą o podłogę. - Jeżeli zostanę duchem, to będzie jedyne miejsce, w jakim mogłabym się ukazać! Tak zachwycająco złowieszczę.

- Jak zwykle, kochana, popisujesz się znakomitym gustem w...

W obawie, że para wda się w jedną z tych dyskusji, których później człowiek się wstydzi, Jane odważyła się przerwać tę wymianę zdań, pytając Murraya, czy faktycznie daje się tu we znaki wilgoć.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział milioner. - Natknęliśmy się na poważne problemy z wilgocią w całym domu. Niektóre podłogi są na w pół przegniłe, ale nie jest to coś, czego nie dałoby się naprawić.

To powiedziawszy, gestem zachęcił grupę, aby podążyła za nim przez drugie drzwi. Wells westchnął i ruszył za pozostałymi, ale zaplątała mu się we włosy zwieszająca się z sufitu ogromna pajęczyna, zmuszając go, by się zatrzymał i spróbował ją z siebie strząsnąć nerwowymi ruchami. Bojąc się, że stworzenie, które utkało tak kolosalną sieć, ma rozmiary proporcjonalne do swojego dzieła architektonicznego i w tej chwili być może przebiega mu po plecach, pisarz podszedł do wiszącego na ścianie lustra i wśród karkołomnych wygibasów zaczął się skrupulatnie oglądać. W tym momencie ujrzał w szklanej tafli coś, co go zatrzymało. W zwierciadle odbijała się opuszczająca jadalnię grupa, ale nie wychodziła przez te drzwi, przez które robiła to w rzeczywistości, tylko przez przeciwległe, którymi kilka minut temu weszła. Wells odwrócił się i jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej. Oto wszyscy przekraczali próg drugich drzwi, na czele z Murrayem perorującym o różnych sposobach walki z wilgocią; za nim podążały Emma i Jane, sprawiające wrażenie, że słuchają z uwagą, za nimi zaś Jean i Doyle - ten ostatni właśnie powierzał uszom swojej towarzyszki komentarz, który wywołał u niej lekki uśmieszek. Wells znów spojrział w lustro i poczuł, że serce mu staje. Tam też znajdowała się grupa, wiernie odbita, tyle że przechodziła przez drzwi naprzeciwko. Pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. A widział, jak w każdym świecie, tym realistycznym i tym odbitym, jego przyjaciele opuszczają jadalnię innym wyjściem.

Wszyscy już wyszli, pisarz jednak trwał oniemiały przed zwierciadłem, które pokazywało teraz pusty pokój z samotnie stojącym wystraszonym człowiekiem. Odwrócił się i mimo że głosy przyjaciół dobiegały wyraźnie zza drzwi, przez które właśnie wyszli w realnym świecie, pobiegł do wyjścia, którym się posłużyli w lustrze. Jak można się było spodziewać, salon z wielkim kominkiem był pusty. Wells przez kilka sekund patrzył ogłupiały na wiszące na ścianach jelenie głowy, spoglądające jedna na drugą z tępym wyrazem typowym dla gości, którzy wyczerpali już wszystkie tematy do rozmowy. Potem pobiegł do drugich drzwi, otwierających się na

duży hol, i tu zastał swoich przyjaciół, którzy wspinali się na piętro po znajdujących się w głębi okazałych marmurowych schodach. Otworzył usta, żeby ich zawołać, ale natychmiast zamknął je z powrotem. Co miał im, u licha, powiedzieć?

Znowu pomknął do lustra. Starając się myśleć logicznie, rzekł sobie, że zapewne padł ofiarą jakiegoś dziwnego zjawiska optycznego spowodowanego przez to, że stał w nieodpowiednim miejscu, albo przez jakąś deformującą właściwość zwierciadła. Przez kilka minut pilnie sprawdzał szkło pod różnymi możliwymi kątami i oglądał otaczającą je złoconą ramę. Odchylił nawet lekko lustro, żeby je obejrzeć od tyłu, ale nie znalazł pod nim nic innego, jak po prostu ścianę. Znowu stanął tuż przy szklanej tafli i przyjrzał się odbiciu pustej jadalni, identycznemu z rzeczywistością: te same portrety na ścianach, te same skrzyżowane szable, ta sama lampa rzucająca swoją drżącą płamę światła na zakurzony stół... Zakurzony stół...! Wells wstrzymał oddech. Oparł dłonie na szkło i zbliżył się do niego z przymkniętymi oczami, aż niemal dotykał go czubkiem nosa.

W miejscu, w którym Emma napisała dwa inicjały, odbity w lustrze kurz na odbitym stole pozostał nietknięty. Pisarz obejrzał się przez ramię i mimo mroku dostrzegł je: obie litery, „M” i „E”, były tam, oświetlone blaskiem lampy, nakreślone w grubej warstwie prawdziwego kurzu. Jasne, dlaczego miałyby ich tam nie być? W pokoju został tylko on, a litery nie mogły się zetrzeć same. Ponownie spojrzął w lustro i znowu się przekonał, że nie odbijają się w nim. Zakręciło mu się w głowie. Czy wciąż ma do czynienia ze zjawiskiem optycznym, którego nie potrafi zrozumieć? Uderzył kilka razy otwartymi dłońmi w chłodną powierzchnię, łagodnie, jakby się tylko chciał upewnić, że ona istnieje, że ma konsystencję prawdziwych przedmiotów, że nie jest owocem halucynacji. I wtedy spostrzegł, że w jego odbiciu brakuje małej blizny na podbródku, która tak go wpędzała w kompleksy. Gdy tak przyglądał się sobie w osłupieniu, czuł, jak po kręgosłupie pełźnie mu strach absolutny i wyślizguje się przez podstawę czaszki niczym żarłoczny wąż, gotów żywić się jego zdrowym rozsądkiem. Ponieważ dla tej nedorzecznosci nie było już żadnego wytłumaczenia jak tylko szaleństwo. Wyczuwał dotykem znaną chropowatość blizny, podczas gdy jego odbicie

wodziło palcami po swej gładkiej, nienaruszonej skórze twarzy wyrażającej przerażenie, które sam właśnie odczuwał.

Wells cofnął się chwiejnie, a jego odbicie zrobiło to samo, podobnie jak on zasłaniając sobie podbródek ręką. I wtedy, gdy miał już zacząć krzyczeć, zmieniło się oświetlenie w pokoju. Zdezorientowany rozejrzał się, pragnąc rozeznąć naturę owej zmiany, nie chodziło bowiem o większe czy mniejsze natężenie światła, tylko o subtelną modyfikację jego jakości, która sprawiła, że wszystko dokoła wydało się nagle mniej straszne. Znowu podszedł do lustra, wstrzymał oddech, a Wells żyjący w zwierciadle spojrział na niego z tym samym wyczekiwaniem, tymi samymi oszalałymi oczyma, z tym samym napięciem ciała i... tą samą blizną na podbródku.

Pisarz wypuścił wstrzymywane powietrze, czując, jak rozluźnia się pod wpływem narastającego spokoju. Potem zobaczył w lustrze litery, które Emma napisała w kurzu, i zachciało mu się śmiać, lecz stłumił w sobie tę chętkę w obawie, że chichot przerodzi się w histeryczny śmiech. Wrażenie normalności było tak przemożne, że zrobiło mu się trochę głupio z powodu strachu wywołanego nieszkodliwym efektem świetlnym. Jak to możliwe, że atmosfera tego miejsca mogła podziałać na niego aż tak sugestywnie? Stał jeszcze przez dłuższą chwilę przed lustrem, oglądając własną twarz pod wszelkimi możliwymi kątami, ale halucynacja już nie wróciła. Wkrótce uświadomił sobie, że nie może trwać tutaj wiecznie, patrząc, jak starzeje się jego odbicie, i postanowił odszukać przyjaciół.

Wyszedł z jadalni przez te same drzwi, którymi opuścili ją pozostali, i starając się uspokoić po tym, co dopiero zobaczył, wspiął się po marmurowych schodach na coś w rodzaju galerii czy wewnętrznego balkonu wychodzącego na hol z obu stron schodów. Naprzeciwko znajdowały się ogromne przeszklone drzwi obramowujące niebo o wyglądzie brudnej wełny, a po ich obu bokach zaczynały się długie korytarze. Nie wiedząc, który wybrać, Wells natężył słuch, aby wyłowić jakiś głos, który wskazałby mu, dokąd udała się grupa, ale spowijała go gęsta cisza, przerywana jedynie sporadycznymi trzaskami, jakimi drewno obwieszcza swój szacowny wiek. Postanowił zatem podejść do przeszklonych drzwi i sprawdzić, czy coś na zewnątrz nie pomogłoby mu zorientować się w sytuacji.



Przez to wielkie okno roztaczał się majestatyczny widok na wrzosowisko, które dumало melancholijnie w popielatym świetle. W oddali, za pasem skał i wrzosów przypuszczalnie rozciągało się bagno, w którym - jak Wells słyszał - utonęło sporo nieszczęsnych kuców, a jeszcze dalej rysowały się rozsiane na obłych wzgórzach menhiry, kamienne chaty i inne zabytki z epoki starożytnych Brytów. Patrząc na bliższe otoczenie, pisarz przekonał się, że spogląda z góry na frontowe rondo, na którym zostawili pojazdy, oraz na ponurą aleję, obsadzoną podwójnym rzędem drzew, których korony wciąż lubieżnie miętosi wiatr. Podniósł wzrok i ponad wyszczerbionym szczytem skalnego urwiska zauważył rysującą się na tle nieba niczym posąg na piedestale jakąś ciemną, posepną postać. Był to mężczyzna imponującej postury. Wsparty na lasce - a może to była strzelba, z tej odległości nie dało się tego rozróżnić - zdawał się czujnie pilnować pustkowie, jak gdyby ono, a także każda dusza, jaka odważy się na nie wkroczyć, należały do niego. Odziany był w wyjątkowo długą pelerynę, która powiewała za nim na wietrze, sprawiając wrażenie, jakby jego ciało zostało obdarzone olbrzymimi skrzydłami, a na głowie miał kapelusz o szerokim rondzie. Wszystko w nim wydawało się tak znajome, że Wells mógł jedynie patrzeć na niego w zdumieniu - i patrzył, dopóki jego uwagi nie przyciągnęła ciekawa scena rozgrywająca się tuż pod oknem.

Na okrągłym podjeździe znajdował się woźnica Murraya. Jego zachowanie zdawało się jeszcze dziwniejsze i bardziej niepokojące niż zwykle: kucał za powozem milionera i wychylał głowę, najwyraźniej szpiegując stojącego na skale strażnika, a jednocześnie starając się przed nim ukryć. Osłupiały Wells obserwował, jak staruszek, rzuciwszy kilka razy nerwowe spojrzenie w stronę tamtego, skulony, na ile pozwalały mu sterane plecy, skierował się w stronę mercedesa, schował się za nim i znów przystąpił do tego samego rytuału. Pisarza ogarnęła chęć, żeby otworzyć okno i zapytać go głośno, co u licha wyprawia - wyłącznie dla niezdrowej przyjemności wystawienia na próbę jego serca - ale w tym momencie na jego ramieniu wylądowała raptownie czyjaś wielka dłoń, jakby z kolei chciała wypróbować wytrzymałość jego nerwów.

- George! Gdzieś ty się podział, do diaska?

Wells z ręką na piersi, gwałtownie poblady, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Murrayem.

- Mój ty Boże, Monty, chcesz, żebym umarł ze strachu?

- Żartujesz sobie? To ty napędziłeś nam strachu, kiedy odkryliśmy, że zniknąłeś!

- Cóż, nie śpieszyliście się z tym odkryciem... - bąknął gderliwie pisarz.

- Ale sporo czasu zajęło nam szukanie cię po całym domu! Doyle był przekonany, że zatrzymała cię gdzieś jakaś złowieszcza moc, dlatego wysłał mnie na poszukiwanie, a tymczasem sam został w galerii północnej, żeby ochraniać damy. Boże święty, udało ci się zdenerwować nawet Emmę. Ale czy mogę wiedzieć, gdzie byłeś?

- Ja, cóż... - Wells zawahał się, niepewny, czy opowiedzieć o swoim epizodzie z lustrem, ryzykując, że zostanie uznany za szaleńca lub głupca, czy dać sobie z tym spokój. - Gdzie niby miałbym być? - postanowił wykręcić się od odpowiedzi. - Tutaj, obserwowałem twojego stangreta. Monty, mówiłem ci wiele razy: jest coś bardzo dziwnego w zachowaniu tego staruszka. I tutaj masz kolejny przykład. - Wskazał na okno. - Przekonaj się sam. Moim zdaniem on coś ukrywa albo jest kompletnym wariatem.

Murray rzucił okiem na zewnątrz.

- Ja nic tam nie widzę, George.

- Co? - Pisarz też spojrział przez okno. Woźnica zniknął, na podjeździe nikogo nie było, a dalej, na skalnym urwisku, również zrobiło się pusto. - No dobrze, jednak był tam na dole - wymamrotał oburzony - i zdawał się ukrywać przed dziwną postacią, która stała na skraju wrzosowiska. To był mężczyzna odziany w...

- Tak, wszyscy go widzieliśmy! - przerwał mu Murray. - Doyle stwierdził, że to pewnie jeden ze strażników z Princetown. Podobno kiedy ucieka któryś z więźniów, zazwyczaj widuje się ich, jak pilnują dróg i stacji kolejowych.

- Cóż, nie wygląda na to, żeby twój woźnica był w dobrych relacjach ze strażnikami więziennymi. Nie wydaje ci się to dziwne?

Murray roześmiał się.

- Podejrzewasz, że jest zbiegiem? Biedaczysko... Ale, George, on ma ponad osiemdziesiąt lat! Oczywiście, kiedy ktoś robi na tobie złe wrażenie, jesteś bezlitosny. Co powinien zrobić mój nikczemny stangret, żebyś mu dał drugą szansę? - Uśmiechnął się sarkastycznie.  
- Uratować życie Jane?

- Nie żartowałbyś sobie z tego, Monty. Chociaż... skoro już mowa o złym wrażeniu... - zaczął Wells, rozumiejąc, że być może jest to jedyna okazja tego dnia, by porozmawiać z milionerem sam na sam. - Myślisz, że mógłbyś się zdobyć na mały wysiłek i dać szansę Doyle'owi? Nie wiem, czy zauważyłeś, że on nie za dobrze znosi twoje żarty... I, do licha, jest moim przyjacielem, Monty, a jeśli ci go przedstawiłem, to dlatego, że zdawał się jednym z twoich ulubionych pisarzy! Myślałem, że się dogadacie. Nie rozumiem, czemu tak ci zależy na tym, żeby go ciągle wkurzać.

- Wcale tego nie robię! - bronił się milioner. - Przynajmniej nie celowo. Przysięgam ci, że nigdy nie spotkałem bardziej drażliwego człowieka niż on. Nie licząc ciebie, rzecz jasna.

- Ty sam jesteś taki, Monty. Ale miej na uwadze, że Doyle za kilka tygodni wyrusza na wojnę w Afryce...

- Udało mu się zaciągnąć? Nie jest już przecież młodzikiem!

- Nie, jednak pewien przyjaciel przyjął go jako pomoc medyczną w swoim szpitalu i wkrótce wypływają. Zatem powinieneś być dla niego bardziej uprzejmy, nie sądzisz? Wiesz, że ci, którzy pojedą na wojnę, nie zawsze wracają...

- O, jestem pewien, że Doyle to jeden z tych, co wracają. A jeśli nie powróci we własnej osobie, zapewne zrobi to w postaci ektoplazmatycznego zrzędy - zażartował Murray. - Ale w porządku, George. Postaram się być nieco bardziej uprzejmy dla naszego przewrażliwionego przyjaciela...

- Nie wiem, czy „nieco” wystarczy, chociaż wyobrażam sobie, że nie jesteś w stanie dać z siebie więcej... Ale zostawmy już to - rzekł Wells i zniżając głos, dodał: - A co z tą drugą sprawą?

- Jaką drugą?

- Tą, no, wiesz... Emma i ty...

- Chodzi o ślub? O, wszystko idzie wspaniale. Pierwsza próba jest chyba przewidziana na...

- Nie udawaj przede mną, Monty! Pytam o to, czy już powiedziałeś Emmie, że jesteś Panem Czasu! - wybuchnął Wells, wściekle tupiąc nogą.

Murray patrzył na niego cokolwiek zaniepokojony.

- Byłbyś łaskaw uzewnętrznić swoje niezadowolenie w inny sposób, George? Podłoga na tym piętrze jest na wpół przegniła z powodu wilgoci. Jeszcze jedno takie tupnięcie i możemy wylądować w jadalni.

- Nie zmieniaj tematu!

Milioner przez dłuższą chwilę wytrzymywał jego spojrzenie bez słów, po czym fuknął i popędził dokądś korytarzem odchodzącym w prawo, zostawiając Wellsa samego na opustoszałej galerii. Po sekundzie wahania pisarz ruszył za nim, przeszedł przez drzwi, przez które - jak widział - tamten się wymknął, i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu najwyraźniej wykorzystywanym przez najętych do remontu murarzy jako magazynek, ponieważ pełno w nim było worków gipsu, a na podłodze leżały rozrzucone narzędzia. Murray miotał się tu niczym wtrącone do klatki zwierzę. Wells patrzył z niesmakiem, jak każdy krok przyjaciela podnosi z ziemi chmurę pyłu, która utworzywszy w powietrzu pełne wdzięku kłęby i wiry, następnie osiada na jego wypolerowanych butach i nieskazitelnym ubraniu.

- Monty, czy mógłbyś na chwilę przestać? - zawołał, otrzepując sobie rękawy surduta. - Bo zaraz ani ty, ani ja nie będziemy mogli tutaj oddychać. I powiedz mi w końcu, do czorta, czy zwierzyłeś się Emmie ze swojego sekretu.

Milioner zatrzymał się i posłał mu udręczone spojrzenie.

- Jeśli już poruszasz ten temat, George... Prawda jest taka, że chciałbym ci coś powiedzieć w związku z tym... - Zamilkł. Patrzył na

swoje ręce, jakby miał na nich napisane, co powinien mówić.

Wells westchnął. Tak jak podejrzewał, Murray jeszcze nie wspomniał o tym Emmie. Wyczuł to, kiedy zobaczył ich dwoje wysiadających z auta, i teraz milioner sam to potwierdził. No i dobrze - stwierdził pisarz w duchu. Murray nie zrobił jeszcze nic nieodwracalnego, zatem on wciąż może cofnąć radę, jaką mu dał jakiś czas temu. Właśnie trafiła się idealna po temu okazja i jeżeli to zrobi, jego znękany duch odnajdzie swój dawny spokój.

- Dużo myślałem o radzie, której mi udzieliłeś - odezwał się w końcu Murray, podczas gdy Wells skinął głową z ojcowskim uśmiechem. - Właściwie rozważyłem to sobie dokładnie i doszedłem do wniosku, że... ee... Jakby ci to powiedzieć, żebyś się nie czuł urażony...? - Murray szukał odpowiednich słów, ale ich nie znalazł. - Myślę, że to jedna z najgłupszych rad, jakie dostałem w życiu.

Uśmiech spelzł z twarzy pisarza.

- Co ty mówisz?

- Mówię, że to była głupia rada, George, a ty zgodzisz się ze mną, jeśli to trochę przemyślisz. Nie zaprzeczę, że dwa lata temu byłby to wspaniały pomysł, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, ale teraz... W końcu wszystkie pary małżeńskie mają swoje sekrety, prawda? Spójrz na swojego drogiego Doyle'a... Nawet ty, George! Tak, ty też nie jesteś od nich wolny. Odpowiedziałeś na mój list i choć mogę zrozumieć, że nie chcesz się przyznać przede mną, wydaje mi się okropne, że nie potrafisz wyznać prawdy Jane... Twojej własnej żonie, George! - Murray potrząsnął głową, żeby wyrazić swą dezaprobatę. - Prawdę mówiąc, w porównaniu z wami dwojgiem, myślę, że moja sprawa nie jest tak poważna... Mały sekrecik z przeszłości, niemający nic wspólnego z człowiekiem, jakim jestem teraz. Dlatego nie zamierzam niczego mówić Emmie. - Milioner skrzyżował ręce na piersi, aby podkreślić stanowczość swojej decyzji. - I nic, co powiesz, George, nie skłoni mnie do zmiany zdania.

Wells zaczerpnął wówczas powietrza i... Ach, co mogę powiedzieć tym z was, którzy nie znają nieprzepartej ludzkiej potrzeby obstawania przy własnych najbardziej błędnych przekonaniach,

nieaktualnych i przedawnionych, kiedy ktoś poda je w wątpliwość! Jestem pewien, że nie raz i nie dwa zdarzyło się wam ku własnemu zdumieniu bronić niedorzecznych poglądów, od dawna dla was nieprawdziwych, z jednego jedyne go powodu - bo ktoś zakwestionował w a s z e zdanie. I właśnie coś takiego zrobił Wells. Ale pozwólcie, że wam oszczędzę długiej i zagmatwanej rozmowy, jaka się przy tym wywiązała. Obie strony szermowały w niej argumentami aż nadto dobrze znanymi każdemu, kto uważnie śledził tę historię. Wystarczy powiedzieć, że Wells nigdy nie był w swoim wywodzie tak błyskotliwy, klarownie myślący i przekonujący, tak nieprzejednany w rozumowaniu i niezwykły w pojedynku na repliki jak podczas tej debaty bez świadków, zaimprovizowanej w owym pokoiku. Do tego stopnia, że usłyszawszy nawoływanie Doyle'a - który, zaniepokojony upływem czasu, poszedł ich szukać - Murray opuścił magazynek przeobrażony w człowieka znów targanego wyrzutami sumienia, bardziej niż kiedykolwiek przedtem nastawiony na to, żeby się jak najszybciej poprawić wobec niewybaczalnego grzechu ciężącego na jego duszy, podczas gdy Wells wyszedł z pojedynku z wypiętą piersią, zwycięski i euforyczny; przynajmniej do chwili, gdy zyskał świadomość tego, co właśnie uczynił.

Kiedy grupka zebrała się ponownie wokół pojazdów, by zorganizować przejazd do kolejnego z domów, których odwiedzenie było w planie, milioner podszedł do Doyle'a, pragnąc rozpocząć wypełnianie obietnic danych tego dnia Wellsowi.

- Cieszę się, że podoba ci się wycieczka, Arthurze - powiedział radośnie, klepiąc Szkota po plecach. Ten nie potrafił ukryć zaskoczenia wobec tego nagłego zainteresowania jego samopoczuciem. - Powiedz mi, nie uważasz, że legenda o Cabellach i ich przeklętym ogarze nie byłaby doskonałym pomysłem na powieść?

- Może - przyznał niechętnie Doyle.

- Wiedziałem, że się z tym zgodzisz - ucieszył się Murray. - Nie bez powodu mamy takie same gusty literackie...

- Taak... Wobec tego dlaczego sam jej nie napiszesz?

- Napisałbym. Ale pomyśl o jednej rzeczy: ten upiorny ogar, którego opisują miejscowi, siłą rzeczy musi mieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, a kto byłby lepszy do odkrycia jego tajemnicy niż Sherlock Holmes, obrońca rozumu. Sprawa o ponadnaturalnym zabarwieniu mogłaby stanowić ogromne wyzwanie dla przenikliwego umysłu detektywa wszech czasów, a przy okazji gratkę dla wszystkich jego miłośników, nie sądzisz? Tak czy inaczej, Arthurze, choć pomysł jest mój, możesz go spożytkować. To prezent. Tylko ty, ze swoim niezmiernym talentem, jesteś w stanie w pełni wykorzystać jego atuty, jak na to zasługuje. Lecz aby to zrobić, musiałbyś najpierw wyratować biednego Holmesa z topieli, nie sądzisz? - Murray roześmiał się i znowu poklepał Szkota. - No ale już ci wyjaśniłem, jak się do tego zabrać.

- Tak, przypominam sobie. Jednak, jak ci już mówiłem, czy ci się to podoba, czy nie, Holmes spoczywa na dnie wodospadu Reichenbach, gdzie spadł razem z profesorem Moriartym, z którego uścisku nie mógłby się wyzwolić, bo nie znał ani jujitsu, ani wushu, ani...

- Tak, tak, jasne, to wspaniale... - mruknął milioner, nie słuchając go już, ponieważ właśnie zauważył, że Emma czeka na niego w mercedesie.

Dziewczyna usiadła na miejscu kierowcy i udawała, że prowadzi. Murray przełknął ślinę. Jest taka piękna, tak mu ufa, a on ma jej wyrządzić taką krzywdę...

- Montgomery! - ryknął Wells tuż obok niego. - Słuchasz mnie?

- Co? - Murray zamrugał.

- Pytam cię, gdzie się podział twój woźnica - powiedział pisarz, próbując ukryć swój gniew.

Nieco ogłuszony, milioner powiódł wzrokiem wokół siebie.

- O, cóż... przypuszczam, że gdzieś tam jest. W końcu w jego wieku nie da się odejść zbyt daleko...

- Może wrócił do swojej celi w Princetown... - zauważył Wells.

Murray westchnął.

- O, do cholery. Pójdę go poszukać. I nie mów już nic więcej, George! Zapewniam cię, że nie jestem w humorze.

Wells prychnął i wszedł do powozu, gdzie siedział już Doyle z kobietami.

- Ale mój drogi, dlaczego jesteś taki uparty? - mówiła właśnie Jean do Szkota. - Pomysł, który ci podsunął Montgomery, jest cudowny.

- Tak sądzisz? Mnie się wydaje niezbyt dobry.

- Och, ale to byłoby takie emocjonujące... Nowa przygoda Sherlocka Holmesa! - wykrzyknęła kobieta entuzjastycznie. - I mógłbyś ją zatytułować... *Przeklęty pies*.

- Moja droga, nie nalegaj... - poprosił ją Doyle. - Poza tym ten tytuł brzmi okropnie.

- Dobrze, a więc... *Pies z wrzosowiska*?

- Błagam, Jean, nie przeciągaj...

- *Pies za psem*? - rzucił Wells.

- Bardzo zabawne, George - burknął Szkot. - Bardzo zabawne.

- *Pies Cabellów*? - zaproponowała Jane.

Doyle poddał się i po dłuższej chwili z westchnieniem przystał na tę propozycję.

- Hm, *Pies Cabellów* brzmi całkiem nieźle. Pies z...

- Baskerville! - Donośny głos Murraya zabrzmiał jak grzmot, aż pasażerowie powozu podskoczyli.

- A teraz co się, u licha, dzieje? - wykrzyknął zdesperowany Wells, wychylając się przez okienko.

- Baskerville! - znów ryknął Murray, nawołując swojego woźnicę, jakby ten znajdował się w odległości kilku kilometrów. W tym momencie staruszek pojawił się, wychodząc zza rogu budynku. - Do cholery, Baskerville! - wrzasnął milioner. - Gdzieś ty się, u diabła, podziewał?



Wells patrzył z niechęcią, jak stangret zbliża się do powozu apatycznym truchtem, wciąż rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę wrzosowiska. Boże, czy nikt oprócz niego nie widzi, że stary coś ukrywa? Tak czy inaczej dzięki głupiej rozmowie, jaką odbył z Murrayem w pokoju z workami gipsu, dziwactwa woźnicy miały być teraz najmniejszym z jego zmartwień. Rozparł się na siedzeniu, zły sam na siebie, smutny, melancholijny i osowiały, a tymczasem staruszek wdrapał się na kozioł, popisując się zwinnością, jakiej nigdy przedtem nie wykazywał. Kobiety rozpoczęły spokojną pogawędkę o ostatnich czasopismach modowych, które dotarły z Paryża, a Doyle zamknął oczy. Wells zastanawiał się, czy Szkot rozważył pomysł Murraya ze wskrzeszeniem Sherlocka Holmesa, choć było znacznie bardziej prawdopodobne, że próbuje zestroić swoją duszę z energiami, które się kłębią w tym miejscu. Westchnął i pozwolił, by jego wzrok błędził gdzieś za oknem, a tymczasem sam sporządzał bilans wycieczki. Wszystko poszło źle, wszystko. Chociaż przynajmniej nie musiał stawiać czoła żadnemu niewidzialnemu człowiekowi, rzekł sobie w ramach smutnej pociechy.

Po odjeździe powozu Murray zaczerpnął głęboko powietrza i przywołując na usta sztuczny uśmiech, odwrócił się, żeby ruszyć do samochodu, w którym czekała na niego Emma.

- Stać, panie Gilmore! - Dziewczyna pogroziła mu palcem, zanim zdążył do niej podejść. - Pan usiądzie na miejscu pasażera, ponieważ mam przyjemność zakomunikować panu, że przyszła pani Gilmore będzie odpowiedzialna za prowadzenie tego gruchota do najbliższego domu.

- Co to, to nie, Emmo - odparł Murray z przestrawieniem. - To nie to samo, co prowadzić lekką dwukonną kolaskę podczas przejażdżki po parku. Tę maszynę trudno opanować i jest bardzo niebezpieczna...

- Uważasz, że nie potrafię? Zatem przyjmij do wiadomości: radzę sobie tak dobrze jak ty albo nawet lepiej ze wszystkim, co mi proponujesz.

- Kochanie, nigdy bym w to nie wątpił. Właściwie jestem przekonany, że to jedna z niewielu rzeczy pewnych na tym świecie. Ale prowadzenie auta... ee... nie jest właściwym zajęciem dla damy.

- Jak to nie? - odparła Emma, nie zwracając uwagi na pochlebstwo narzeczonego. - Przypominam ci, że ty sam mi opowiedziałeś, kiedy tutaj jechaliśmy, że pierwszą długą podróż samochodem odbyła za kierownicą Bertha Benz, kobieta. Jeśli dobrze pamiętam, mówiłeś, że sama pokonała sto pięć kilometrów, wstępując po drodze do aptek, żeby napełnić bak benzyną. A więc... dlaczego ja nie miałabym prowadzić?

- Proszę, przesiądź się, Panno Smutko.

Emma otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale natychmiast je zamknęła. Monty zwrócił się do niej, używając przezwiska, które było zarezerwowane dla szczególnych chwil. Każde z nich nadało drugiemu czuły przydomek, zakodowane imię, którego obiecali sobie nie wymawiać przy innych osobach, ponieważ wspólnie zgodzili się co do tego, że nadadzą mu większą moc, niż może mieć jakiegokolwiek słowo. Całymi dniami mogli sobie żartować i przerzucać się jadowitymi strzałkami ironii, ale kiedy któreś z nich zwróciło się do drugiego przezwiskiem, oznaczało to, że prowadzona do tej pory pyszna niefrasobliwa zabawa powinna natychmiast ustąpić powadze. Przydomek Emmy pojawił się tego dnia, kiedy pokazała narzeczonemu piękny rysunek, który zabrała ze sobą z Nowego Jorku - coś w rodzaju mapy przedstawiającej wymyślone niebo zaludnione zdumiewającymi istotami i fantastycznymi cudami techniki. Narysował to jej pradziadek specjalnie dla niej, opowiadał też o innych światach, w których wszystko jest możliwe. Może dlatego mapa stała się dla niej najważniejszą pociechą w dzieciństwie, kiedy była zgaszoną, wiecznie zasmuconą dziewczynką, przekonaną, że na tym świecie nic nie zdoła jej uszczęśliwić. Jednak tamta dziewczynka nie знаła jeszcze Montgomery'ego Gilmore'a, najbardziej irytującego z jej przyszłych zalotników, tego, który ją zapewnił, że zdobędzie wszystko, czego ona zapragnie, choćby zdawało się to niemożliwe.

- Co się stało, Panie Niemożliwy?

Murray patrzył na narzeczoną, czując węzeł w gardle. Starał się zachować w pamięci światło tych oczu, które spoglądały na niego z taką miłością, być może po raz ostatni. Mocno zacisnął usta, aż wreszcie poczuł się gotowy, by mówić bez drżenia w głosie.

- Nie chcę, żebyś prowadziła. Muszę ci powiedzieć coś, co... może cię trochę zaniepokoić. Właściwie jestem pewien, że się zdenerwujesz, i to bardzo; może nawet wściekniesz się na mnie, chociaż obawiam się, że nie będzie to najgorsza z konsekwencji, jakie na mnie spadną. W każdym razie lepiej, żebym to ja prowadził. - Otworzył drzwiczki i podał jej rękę, a ona utkwiała w nim wzrok, niezdecydowana, czy domagać się szczegółów tej tajemniczej sprawy, czy posłusznie się przesiąść. - Proszę, Emmo - nalegał Murray, desperacko wyciągając rękę. W jego oczach wezbrały łzy. - Zaufaj mi.

Emma nie potrzebowała dalszych zachęt. Przyjęła dłoń narzeczonego i wysiadła z auta, błyszczącymi oczyma patrząc niespokojnie na tego wielkoluda, którego nigdy dotąd nie widziała w łzach.

- Spokojnie, kochany - rzekła, gładząc go po policzku. - Nie wiem, co musisz mi powiedzieć, ale na pewno to nic aż tak poważnego. Wiesz, że ci ufam.

## XVII

Dziesięcioletni Tommy Dawkins pedałowal z całych sił, jadąc ścieżką, która biegła z ogrodu na tyłach jego domu ku traktowi wiodącemu do Hexworthy. Staral się dogonić wiatr. Czul, jak powiew gwizdze mu w uszach i burzy czupryne, co niemal upewnialo go, że w tej chwili nie ma na świecie nic szybszego niż on i jego rower. A kiedy Benjamin Barrie zobaczy go na tym cudownym urządzeniu w drzwiach swojego domu, będzie musiał odszczekać swoje słowa. Ten skończony dureń zawsze wyśmiewał się z niego, oskarżając go, że nie potrafi chodzić, nie potykając się o własne stopy. Więc dobrze, tego ranka Barrie dowie się, że Tommy potrafi coś więcej, niż tylko chodzić i potykać się. Barrie zaraz odkryje, że Tommy Dawkins umie latać.

Widząc przed sobą skrzyżowanie, Tommy zaczął pedałować jeszcze mocniej. Szykował się, by wjechać na szosę, biorąc ciasny wiraż, co tyle razy ćwiczył w tajemnicy przed bratem, gdy wymykał się z domu skoro świt, zanim ktokolwiek z domowników czy służących jeszcze wstał. Poczul nagłe ukłucie lęku na myśl o tym, że gdyby pewnego dnia Jim zauważył, że brat używa jego cennego roweru bez pozwolenia, a nawet jeździ na nim do wsi, sprawiłby mu porządne lanie. Ale na szczęście jego brat właśnie wyruszył na wojnę do Afryki Południowej i zanim wróci - a raczej jeśli wróci - tak błaha, odległa sprawa nie będzie już miała znaczenia. Tommy pochylił się nad kierownicą i przymknął oczy. Był tak pogrążony w swoich marzeniach o chwale i tak mocno wiatr gwizdał mu w uszach, że nie usłyszał warkotu zbliżającego się samochodu, ukrytego za zakrętem drogi, na którą chłopak miał zaraz wypaść. Gdyby tego ranka smarowanie kromek miodem podczas śniadania albo wiązanie sznurówek zajęło

Tommy'emu pięć sekund mniej, zapewne byłby to jego ostatni dzień na Ziemi. Ale na szczęście dla niego śmierć była mu pisana dopiero piętnaście lat później w wypadku kolejowym, toteż zaledwie kilka sekund przed tym, jak chłopiec wpadł na skrzyżowanie, zza zakrętu wyskoczyło rozpędzone dziwo, zmuszając go do gwałtownego hamowania. Koła wpadły w poślizg i rower zsunął się bokiem na skraj drogi, gdzie chłopiec mógł się podeprzeć nogą.

I z tego miejsca, z przechylnym rowerem i szeroko otwartymi oczyma, patrzył, jak przejeżdża przed nim niezwykle pojazd, wlokący za sobą gęstą chmurę pyłu. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Podziwiał z zachwytem połysk kremowej karoserii oraz obracające się z zawrotną prędkością ogromne koła, ale zaledwie zdołał niewyraźnie dostrzec siedzącą w maszynie parę osób, bo zaraz się rozkaszał, gdy go dosięgnął ciemny obłok dymu. Kiedy tuman się rozwiął, cudowny powóz zniknął już za następnym zakrętem.

Tommy nie tracił czasu. Wyprostował rower i zaczął wściekle pedałowac, podążając za koleinami, które jeżdżąca maszyna zostawiała na pylistym trakcie. Musiał ją znów zobaczyć! Wiedział, że nie da rady jej dogonić, ale koniecznie chciał ją ujrzeć choć z daleka, by nie przeoczyć żadnego ważnego szczegółu, kiedy będzie opisywał fantastyczne urządzenie temu wszystkowiedzącemu Barrie'emu, bo inaczej nie uwierzy on w jego historię. Przez jakiś czas kilka kolejnych zakrętów wciąż przesłaniało mu pojazd, ale za jednym z nich teren raptownie opadał, tworząc sporą pochyłość, która dawała niezrównany widok na szosę wijącą się zakosami wzdłuż niewielkiej przepaści. I tam chmura dymu i pyłu zdradziła Tommy'emu, że maszyna mknie w odległości kilku metrów od niego. Chłopiec zatrzymał się na brzegu wzgórza spocony i zziębnięty i przyglądał się jej w osłupieniu. Boże, jaka była piękna! I jak błyszcząca! Teraz, kiedy toczyła się w dół, zdawała się pędzić jeszcze szybciej. Jak to jest, gdy się przemierza świat z taką prędkością? - zastanawiał się, dogłębnie zazdroszcząc parze podróżującej w pojeździe. Wtem uśmiech zamarł na jego ustach. Samochód właśnie zjechał z drogi i zmierzał do urwistego zbocza, podskakując na nierównościach terenu jak koń spłoszony wystrzałem, a kierujący nim człowiek najwyraźniej nie mógł odzyskać kontroli nad maszyną. Tommy'ego przeszył dreszcz,

gdy zdawało mu się, że słyszy rozpaczliwe krzyki dwóch osób, i chwycił go strach, ponieważ zrozumiał, że maszyna i siedzący w niej ludzie kierują się fatalnie wprost ku przepaści, w którą runą za kilka sekund, jeżeli nic nie zdoła temu zapobiec.

Nieliczni bywalcy gospody w Hexworthy starali się tego ranka nie spoglądać zbyt często na dwóch obcych, którzy siedzieli przy kominku w głębi sali i rozmawiali przyciszonymi głosami, nie bacząc na ciekawość, jaką wzbudzają. Żaden z tych dwóch nie zdjął długiej peleryny ani przesłaniającego twarz kapelusza o szerokim rondzie i obaj trzymali między nogami dziwne laski, znacznie dłuższe i grubsze od typowych, w dodatku noszące na rękojeści ten sam lśniący symbol: gwiazdę utworzoną z ośmiu strzał przesywających dwa koncentryczne okręgi. Nie był to pierwszy raz, gdy stali klienci gospody widzieli tutaj tych dwóch mężczyzn. Prawdę powiedziawszy, w ciągu ostatnich lat pojawiali się oni w tym miejscu kilka razy, i jeżeli nie dokładnie ci dwaj, jak utrzymywali niektórzy, to inni, bardzo podobni; w tych grubych pelerynach i kapeluszach, których nigdy nie zdejmowali, niemal nie dało się ich rozróżnić, nie pomagała również oszczędność słów, jakie raczyli zamienić z pozostałymi, jeśli to można tak określić, ponieważ przypominały raczej coś w rodzaju metalicznego brzęku, takiego jak ten wydawany przez mosiężną miednicę, gdy wpadnie do studni.

Chodziło o to, że mało lub zgoła nic o nich nie wiedziano. Nie były znane powody, dla których pojawiali się, by później zniknąć na całe miesiące, bez żadnego wzorca, który wyjaśniałby owe kapryśne fluktuacje. Niektórzy zarzekali się, że widzieli ich na wrzosowisku, jak stoją na grzbietach skalnych niczym posepni strażnicy. Innymi razy, tak jak teraz, ni stąd, ni zowąd ukazywali się w gospodzie, zawsze parami, siadali tuż przy ogniu, zamawiali dwa kufle piwa, ale nigdy ich nie tknęli, i jedynie tkwili jeden naprzeciw drugiego, zachowując niepokojący bezruch posągów, zakłócany wyłącznie lekkim drzeniem, jakie od czasu do czasu wstrząsało ich wargami, niemal niedostrzegalną wibracją sugerującą jakiś rodzaj komunikacji, choć bardziej niż mówić czy szeptać, zdawali się karmić, na sposób rybi, myślami, które przekazywali sobie nawzajem w powietrzu.

Nikt nigdy nie ośmielił się ich zapytać, kim są lub czego tu szukają. Co więcej, nikt się do nich nie zbliżał, jeśli nie był do tego zmuszony, ponieważ ich bliskość wywoływała zatrważające wrażenie: jakby jakiś ciężar nie do zniesienia miażdżył duszę, jakby ją przytłoczono całym smutkiem i samotnością świata. Tego właśnie ranka pan Hall, właściciel gospody i - ku rozpaczy pani Hall - poeta z przypadku, określił owo uczucie: jakby nagle wewnątrz człowieka rozpostarła się bezbrzeżna pustka i nieskończoność wszechświata bez gwiazd.

Dokładnie w tym momencie pani Hall przysunęła się do swojego małżonka, aby wyrazić mu swój niepokój w sposób o wiele mniej poetycki.

- Ci dwaj przyprawiają mnie o ciarki, George. A poza tym odstraszą klientów. Może do nich podejdziesz i zapytasz, czy zamierzają coś jeszcze zamówić? Ja tymczasem przygotuję stoły do posiłku. Chyba do nich dotrze, że są dla nas uciążliwi...

- Zaraz sobie pójdą, kobieto - odparł pan Hall z udawaną beztróską. - Wiesz, że zazwyczaj nie zostają długo. Poza tym dają spore napiwki.

- Nie chcę ich pieniędzy, George. Kto wie, w jaki złowieszczy sposób je zdobywają. Boże, są tacy okropni... Lulu siedzi pod naszym łóżkiem i trzęsie się - poinformowała, jakby wizja psinki umierającej ze strachu mogła na niego podziałać. - A nie słyszysz, jak konie rżą na zewnątrz? Zwierzęta się ich boją i ja też! Chcę, żeby się stąd wynieśli i najlepiej nigdy już nie wracali. Życzę sobie, żebyś się z nimi rozmówił, George'u Hall!

- Ale nic ci nie zrobili, Janny. - Pan Hall przełknął ślinę. Podobnie jak jego żona pragnął, żeby sobie stąd poszli, ale za nic nie chciał się do nich zbliżyć. - I byłoby to z mojej strony nieuprzejmością, gdybym poprosił dwóch dżentelmenów o nienagannym zachowaniu, żeby...

- Guzik mnie to obchodzi, czy wyjdiesz na nieuprzejmego, George! - przerwała mu żona. Potem zniżyła głos. - Wiesz, że zazwyczaj nie myślę się co do ludzi. I powiem ci jedno: mam przeczucie, że żaden z tych dwóch nie zawahałby się ani sekundy, by z zimną krwią zamordować dziecko czy bezbronną staruszkę...

Chociaż mówiła szeptem, jej słowa najwyraźniej dotarły do uszu dwóch obcych, ponieważ jeden z nich wygiął usta w sztywnym uśmiechu i mruknął do towarzysza bezbarwnym tonem:

- Staruszki i dzieci. Oto kogo najbardziej boję się spotkać za każdym razem, gdy trafię na ślad.

Ten drugi nie odpowiedział. Patrzył tylko na pierwszego przez dłuższą chwilę, a tamten wytrzymywał jego spojrzenie, przy czym ani jednemu, ani drugiemu nie drgnął nawet mięsień.

Pozwólcie mi w tym miejscu zaświadczyć, że mimo niepokojąco hieratycznego wyglądu ich twarze, oświetlone słabym blaskiem ognia, nie były wcale nieprzyjemne: obaj mieli symetryczne i wyraźnie zaznaczone rysy, które można by nawet uznać za piękne. Jednak krańcowa bladość cery nie sprawiała wrażenia ludzkiej, ponadto była pociągnięta czymś na podobieństwo ciemnego zabarwienia, które zdawało się w ogóle doń nie należeć, niczym kładący się na śniegu cień chmury.

Po dłuższym milczeniu usta drugiego mężczyzny lekko drgnęły.

- Cierpisz na poważny defekt w peptydogenezie, przyjacielu. Pilnie potrzebujesz neutralizacji poczucia winy.

- Odczuwam, że mówisz prawdę. Ale pamiętaj, że już nie przychodzą przesyłki z Drugiej Strony.

- Odczuwam, że mówisz prawdę.

Znowu zapadło milczenie.

- Jak to jest mieć poczucie winy? - zapytał ten, który odezwał się jako drugi.

Po tym pytaniu nastąpiła kolejna cisza, jeszcze dłuższa od poprzedniej.

- Jakby ci to wyjaśnić? Najbardziej zbliżona byłaby brutalna dawka neuropeptydów AB3003 i AZ001 - odparł w końcu pierwszy. - Co znosi działanie wszelkich neutralizatorów mutacji.

- Odczuwam zaskoczenie! - zawołał drugi, unosząc lekko brwi. - Wobec tego... to musi być uczucie bardzo podobne do litości.



- Tak mówią. Chociaż rozumiem, że poczucie winy jest bardziej uzależniająca. - Ten, który odezwał się pierwszy, musnął palcem wskazującym rękojeść swojej laski. Zrobił to delikatnie, niezwykle powoli i niedostrzegalnie. Potem powrócił do swego bezruchu. - Zatem... ty znasz litość?

- Poznałem ją. Cierpiałem na tę mutację jakiś czas temu, zanim tu przybyłem. Dlatego odczuwam zrozumienie dla twojej przypadłości. Moje biokomórki rozwinęły własne połączenia, oddzielając niektóre segmenty serii AZ, i utworzyły sobie łańcuchy neuropeptydów. Przez jakiś czas wiedziałem, co to litość. Na szczęście diagnoza była szybka, a w tamtych czasach przesyłki funkcjonowały, jak należy. Mimo to do rozwiązania problemu trzeba było aż trzech różnych typów neutralizatorów.

- Zatem rozumiem - rzekł mężczyzna, który obawiał się spotkania ze staruszkami i dziećmi podczas swojego następnego polowania. - Kilka lat temu odkryto, że seria AZ to źródło pochodzenia prawie wszystkich niekontrolowanych mutacji, i naukowcy postanowili ją usunąć. Dlatego ostatnia partia egzekutorów, wysłana dwa lata temu, jest jej pozbawiona.

- A więc to szczęściarze.

- Tak, chociaż nie mogą sobie uświadomić, że mają szczęście: poczucie samozadowolenia znajdowało się w serii AZ.

Ramiona obu rozmówców drżały przez chwilę, która być może była dla nich momentem wspólnej wesołości. Potem znowu na długo zapadła cisza.

- Dwa lata... Już od dwóch lat Druga Strona niczego ani nikogo nie przysłała - zauważył ten, który odezwał się pierwszy.

- Znaleźli się zbyt blisko końca. Temperatura zbliża się do zera, czarne dziury są na wyczerpaniu. Wszystko jest tam teraz powolne i ciemne. Oszczędzają ostatnie resztki sił, na wypadek gdyby możliwy był jeszcze Wielki Exodus...

- Wobec tego oszczędzają siły na próżno - orzekł jego towarzysz. - Nigdy nie będą się mogli odrodzić, ponieważ ten świat jest skazany

na unicestwienie. Odczuwam bezsilność. Odczuwam frustrację. Prowadzimy tutaj niepotrzebną rzeź.

- Wykonujemy swoją pracę i robimy to dobrze. Potrzebowali czasu i daliśmy go im. Nawet uzyskaliśmy dwa lata więcej, niż zakładali w swoich najbardziej pesymistycznych przewidywaniach. Przypomnij sobie, że dwanaście lat temu naukowcy orzekli, że temu światu została tylko dekada...

- Tak, ale my, egzekutorzy, wyskrobaliśmy dla nich dwa lata więcej. - Mężczyzna, który nie chciał spotykać staruszek i dzieci, stuknął swą laską w podłogę. Był to ruch tak nieodpowiedni, że jego towarzysz na znak zdumienia uniósł o milimetr brwi. - Wykonywaliśmy naszą pracę - ciągnął pierwszy, nie zwracając uwagi na milczącą naganę drugiego. - I robiliśmy to dobrze. Do tego zostaliśmy stworzeni! - Jego głos, wciąż niewykrywalny dla kogoś, kto nie przyłożyłby ucha do jego ust, nagle nabrał nieco wyższego tonu; a może nie, może tylko przybrał jakąś nutę, jakby sarkazmu czy goryczy, którą ludzkie ucho, owszem, zdołałoby wychwycić. - A mimo to, powtarzam, zrobiliśmy to niepotrzebnie. Niepotrzebnie. - Znowu stuknął laską w podłogę, a jego policzki zaczęły nabierać kolorów. - Naukowcom nie udało się znaleźć lekarstwa na zarazę. Nie zbliżyli się nawet do odpowiedzi. A eksterminacja zarażonych... Tak czy inaczej, zawsze była rozwiązaniem topornym, równie chaotycznym jak sama choroba. Ta epidemia jest nie do powstrzymania, zawsze taka była. Tyle śmierci zadanych na próżno!

- Uspokój swój umysł, przyjacielu. Uspokój...

- Chępią się, że posiadają Wiedzę Najwyższą, a nami gardzą, nas nazywają mordercami. Odczuwam wściekłość, gdy o tym pomyślę. Nie mają żadnego pojęcia, jak to jest patrzeć w oczy dziecka, pokazać mu we własnych źrenicach chaos, z powodu którego ma umrzeć, a potem je zabić... Mógłbym im opowiedzieć o wiedzy najwyższej i przekłętej!

- Uspokój swój umysł! - Drugi mężczyzna pochylił się do przodu i położył dłoń na lasce towarzysza. Zrobił to niewyobrażalnie szybko, niepostrzeżenie. - Już wkrótce koniec - przypomniał bezbarwnym tonem. - Jakie to ma znaczenie, ilu ludzi zabiłeś? Wszyscy i tak umrą.

Jakie to ma znacznie, co naukowcy o nas myślą? Wszyscy i tak umrzemy.

Po tych słowach obaj wyprostowali się na swoich siedzeniach i znów zamilkli. Ten, który dwukrotnie stukał laską, zdawał się stopniowo uspokajać. Po chwili odezwał się znowu:

- Proszę o wybaczenie. To skutki poczucia winy. Zniszczą mnie, jeśli szybko nie dostanę neutralizatora. Ale jak powiedziałeś, jakie to ma znacznie? Co jeszcze ma jakiegokolwiek znacznie? Chaos jest nieunikniony.

- Chaos jest nieunikniony - powtórzył drugi. - I nasza praca też, przyjacielu. Do tego zostaliśmy stworzeni i powinniśmy ją kontynuować aż do ostatecznego końca. Jakiż inny byłby cel naszej egzystencji?

Egzekutor cierpiący na poczucie winy zamknął oczy i uśmiechnął się.

- Odczuwam, że mówisz prawdę. I jeżeli faktycznie brakuje mi neutralizatora na poczucie winy - spojrzał na towarzysza - tobie przydałby się neutralizator na pompatyczną mowę.

Może to był kolejny wybuch śmiechu - to, co sprawiło, że obaj mężczyźni trzęśli się łagodnie przez dłuższą chwilę. A może nie.

- Kontynuować... - powtórzył z lekkim wzruszeniem ramion ten, którego niszczyło poczucie winy. - Czemu nie? Koniec końców niewiele już zostało. Tkanka tego świata została podziurawiona jak prześcieradło pocięte przez myszy. Skoczkowie bez przerwy niszczą ją każdym skokiem, a ich ślady mieszają się ze sobą i zacierają jak drogi na pogniecionej mapie. Ich tropy stają się coraz słabsze, wręcz prawie niemożliwe do rozróżnienia. Nasze tunele już nie są celne, nasze polowanie zrobiło się przypadkowe, intuicyjne... Ten świat się rozpada. Każdy dzień może być ostatnim. A owego dnia ludzie wstaną z łóżek i spojrzawszy w okno, ujrzą świat zaludniony straszliwymi, niewyobrażalnymi dziwami, świat opanowany przez ich najgorsze koszmary. I zapewniam cię, że wszyscy ci, których nie zabiliśmy, zapragną być wówczas martwi.

- Cząsteczkowa mgła ustokrotniła się w ostatnich miesiącach - zgodził się z nim towarzysz. - Dosłownie dziś na wrzosowisku wyczułem szczyt największej gęstości. Przypuszczam, że w którymś domu w tej okolicy na jakiś czas musiało się otworzyć okno do innego świata, ale nie byłem w stanie stwierdzić, czy ktoś przez nie skoczył. Jednak zaledwie cztery czy pięć lat temu co dzień zdarzało nam się tutaj kogoś złapać, pamiętasz? Jakie wspaniałe trofea zdobywaliśmy w tym sektorze! Niemal tak cenne jak w tamtym słynnym nawiedzonym domu przy Berkeley Square. Nie mijał dzień warty w jednym z takich punktów hiperbliskości, żebyśmy nie upolowali co najmniej dwóch destruktorów szóstego stopnia. Ale to się już dawno skończyło. Wszystko, co wykryłem dzisiaj, i to sądzę, że przez czysty przypadek, to tylko aura uśpionego. Rozpoznała go moja laska. Swego czasu był aktywnym skoczkiem, destruktozem trzeciego stopnia. Już go kiedyś ścigałem; ostatni raz dwa lata temu, pod londyńską Operą Królewską. Tamtej nocy prawie go dopadłem, ale miał szczęście: pozwoliłem mu uciec, bo wpadłem na trop destruktora szóstego stopnia. Dziś też mu się poszczęściło, ponieważ prawie w tej samej chwili, kiedy go spostrzegłem, znów się stracił. Po prostu jego aura rozpuściła się w cząsteczkowej mgle.

- Jeśli przez dłuższy czas nie skaczą, ich aura jest bardzo słaba - pocieszył go towarzysz. - W każdym razie uśpiony nie jest wielką zdobyczą...

- Lepsze to niż nic.

- Odczuwam, że mówisz prawdę. A powiedz... tamten destruktor szóstego stopnia, o którym wspomniałeś, nie był to...?

Ponownie zapadła cisza. Egzekutor, który stracił tego ranka ofiarę - tę, której odpuścił dwa lata temu - śledził wzrokiem kroplę leniwie spływającą po szkle kufła z piwem, a potem patrzył, jak ginie w powstającej na stole małej kałuży. Kilka sekund później rzekł:

- Nie, to nie był legendarny M. Tamtej nocy miałem wspaniałą zdobycz, to fakt, ale nie był nią M. Jego ślady są nie do pomylenia i w ostatnich czasach udawało się je wykryć, nawet stosunkowo niedawno. Z tego wynika, że legendarny M wciąż skacze.

- Odczuwam zdziwienie. Jak to możliwe, że jeszcze nie uległ destrukcji? Inni skoczkowie, z mniejszymi właściwościami destrukcyjnymi niż on, znacznie wcześniej tracili wszystkie swoje cząsteczki... Już dawno temu powinien być zostać sklasyfikowany jako wygasający.

- Skoczek szóstego stopnia nigdy nie jest klasyfikowany jako wygasający, przyjacielu. Uważa się ich za destruktatorów, dopóki nie tracą ostatniej cząsteczki. A M jest najpotężniejszym i najstraszniejszym destruktorem, z jakim się spotkaliśmy od czasu, gdy zaczęliśmy zwalczać tę epidemię. Jego zdumiewający, przerażający talent dorównuje jego szaleństwu. Nawet jeżeli M osiągnął już niewidzialność, a wyobrażam sobie, że do tego doszło, nadal jest tak szkodliwy jak stu destruktatorów szóstego stopnia razem wziętych.

- Przez jakiś czas podążałem jego tropem i w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że mógłbym go upolować - rzekł mężczyzna, który czuł się winny z powodu swojej okropnej pracy.

- A kto by nie mógł? Wszyscy marzymy o jego schwytaniu. Wszyscy staramy się złowić tego legendarnego siedmiokilowego łososia, który potrafi zjeść przynętę i uniknąć haczyka. O, tak, drogi przyjacielu, za każdym razem, gdy jadę do Windermere, modłę się, by ta legenda nadal była żywa i żeby skończyła złapana na moją wędkę.

Pan Hall, który ostatecznie zdecydował się podejść do dwóch nieznanomych, zmuszony do tego skargami żony, odchrząknął nieśmiało.

- Panowie... wybaczenie, że przeszkadzam, ale panowie... - Kiedy spojrzeli na niego, gospodarz poczuł w swym wnętrzu tę straszliwą pustkę, którą wcześniej poetycko opisał małżonka, i cofnął się ostrożnie o krok. - Ee... życzą sobie panowie czegoś jeszcze?

Zanim któryś z nich zdążył odpowiedzieć, drzwi gospody otwarły się raptownie i weszła przez nie niewielka postać. Potykając się, dotarła na środek sali, stała tam przez chwilę zadyszana i rozglądała się wokół siebie oczyma zagubionymi w nieskończoności. Drżała od stóp do głów, a jej twarz mokra była od łez i potu. Pani Hall podeszła

do niej i z matczyną czułością położyła dłoń na jej szczupłym ramieniu.

- Co ci się przydarzyło, chłopcze? - szepnęła.

I w tym momencie mały Tommy Dawkins zaczął krzyczeć.

## XVIII

Doyle popłynął do Afryki Południowej na statku „Oriental” w otoczeniu kwiatów. Jean Leckie, która nie chciała jechać na pożegnanie do portu w Tilbury, napełniła jego kajutę różami, hibiskusami i liliami, tak że Doyle i jego kamerdyner, siedząc na koi osaczeni tym kolorowym przepychem, wyruszyli w podróż niczym para zakochanych w pływającej cieplarni. Gdyby Szkot miał jakiś wybór, wolałby zobaczyć się z Jean, ale ona wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie zamierza dołączyć do radosnego tłumu żegnającego statek, jakby ten udawał się na sielankową wycieczkę. Nie, ona nie była gotowa cieszyć się z tego, że mężczyzna, który co roku piętnastego marca wysyłał jej szarotkę - kwiat swoją bielą rzucający wyzwanie śniegowi - udaje się na wojnę, z której może wrócić w trumnie, z prezentem w postaci burskiej kuli w puzderku z własnego brzucha. Na szczęście wrócił sześć miesięcy później, chodząc na własnych nogach, choć spowity zapachem jakże różnym od tego, który go otaczał w podróży na południe. Niezliczone tygodnie, które spędził jako medyk w szpitalu swojego przyjaciela, naprawiając wnętrzości i amputując kończyny umierającym żołnierzom, wśród nich Jimowi Dawkinsowi, który nigdy już nie wsiądzie na swój rower, skropiły go nieusuwalnymi perfumami śmierci. Była to jednak śmierć bez heroizmu i chwały, podła i brudna, w aureoli much i cuchnących wylewów, właściwa bardziej średniowieczu niż świtającemu nowemu wiekowi.

Teraz wszakże, kiedy się wspinał po schodach Undershaw<sup>6</sup>, wszystko to wydawało mu się halucynacją. Przybył do domu zaledwie tydzień temu i ów spokojny luksus sprawiał, że pisarz zaczynał wątpić w swoje uczestnictwo w wojnie burskiej, przynajmniej do momentu,

kiedy udawał się do toalety, ponieważ jego wnętrzności jeszcze nie wydobrzały po atakach dyzenterii, jakie wycierpiał. Gdy wszedł na górę, ruszył wolno długim korytarzem, aż zatrzymał się przed drzwiami pokoju, z którego roztaczały się najlepsze widoki z całego domu. Stanley Ball, architekt, z którym w przeszłości ćwiczył telepatię, zbudował tę rezydencję na półtorahektarowej działce zakupionej w Hindhead, w okolicy ze względu na specyficzny klimat zwanej „Szwajcarią hrabstwa Surrey”. Ball nie musiał szczególnie zachodzić w głowę, by wyrobić sobie pojęcie co do tego, czego życzy sobie Doyle, ponieważ właściciel sam sporządził szkic domostwa na kawałku papieru. Szkot miał bardzo wyraźną wizję tego, jaki powinien być Undershaw: imponująca posiadłość godna pisarza jego formatu, a zarazem przytulna dla rodziny i praktyczna dla chorej osoby.

Rozważywszy, czy zapukać do drzwi, czy nie, Doyle postanowił otworzyć je, nie robiąc hałasu. Ostatnimi czasy jego żona jeszcze spała, kiedy wstawał, by czytać, i ten poranek nie był wyjątkiem: Louise, którą w odległych dniach, gdy się poznali, nazwał pieszczotliwie Touie, spoczywała na fotelu z głową przechyloną na oparcie i z zamkniętymi oczami.

Doyle patrzył na nią ogarnięty nagłą czułością. Nic dziwnego, że była taka wyczerpana, skoro niosła na barkach tak wiele lat od ich wizyty nad wodospadem Reichenbach, czym obaliła diagnozę doktora Powella, jednego z największych specjalistów od gruźlicy płuc w całej Anglii. Z tamtej podróży do Szwajcarii - tej, z której pisarz przywiózł w głowie pomysł na sposób uśmiercenia Holmesa - jego żona przywiozła w płucach złośliwego wirusa tuberkulozy. Lekarze nie dawali jej więcej niż trzy miesiące życia. Jednak od tamtej złowróżbnej diagnozy minęło już osiem lat, a Touie wciąż żyła, niewątpliwie dzięki troskliwej opiece małżonka. Gdy tylko Doyle dowiedział się o wyroku lekarzy, zabrał żonę na leczniczą pielgrzymkę do Davos, Caux i Kairu, a w końcu zamówił budowę tej posiadłości w Hindhead, z wszelkimi wyobraźnymi udogodnieniami dla niepełnosprawnej osoby. I chociaż owe środki ostrożności najwyraźniej ustabilizowały stan zdrowia słodkiej Touie, wszyscy wiedzieli, że jest jedynie kwestią czasu, gdy kostucha zapuka



do drzwi tego domu, by zabrać ze sobą jego żonę, a on nie będzie mógł nic na to poradzić.

Jednakże, jak gdyby tragiczny wyrok wydany na Touie nie wystarczał, los, popisując się kreatywnością, przesunął piony na swej szachownicy, tak że Doyle zaczął pragnąć, by przeznaczenie wypełniło się jak najszybciej. Dlatego trzy lata po tym, jak lekarze pozbawili nadziei jego małżonkę, los postawił na jego drodze Jean Leckie, którą mieliście już okazję poznać podczas wycieczki do Dartmoor. Od pierwszej rozmowy, jaką z nią odbył, Szkot nie miał wątpliwości, że jest to kobieta jego życia, i od tamtej pory żył na bolesnym rozdrożu: z jednej strony nie mógł się doczekać, aż Touie umrze, aby odblokować miłość, jaką czuł do Jean, z którą utrzymywał związek tyleż platoniczny, co tragiczny; z drugiej zaś dokładał wysiłków, żeby troszczyć się o żonę możliwie jak najlepiej, nawet jeszcze bardziej niż przedtem, ponieważ nie chciał, by pewna część jego sumienia interpretowała jakiegokolwiek niedopatrzenie w opiece jako subtelny sposób na przyśpieszenie śmierci. Tymczasem miłość, jaką odczuwali do siebie wzajemnie Jean i on, zyskała sobie szacunek najbliższych przyjaciół, a nawet ich własnych rodzin, jako że - nie mogąc podjąć żadnych niegodnych działań, które splamiłyby honor Touie - obydwójce rozdarci między gorącym pragnieniem a smutkiem, ostatecznie jedynie czekali, aż chora straci życie, a tym samym jej mąż odzyska swoje.

*O naśladowaniu Chrystusa*, książka, którą Touie czytała raz po raz, leżała otwarta na podłodze grzbietem w górę, przypominając dwuspadowy dach. Doyle odłożył ją na stolik obok fotela i podszedł do żony. Touie, z puklami włosów rozrzuconymi na poduszce, oddychała rytmicznie, śpiąc ufnie jak dziewczynka. Wiedziała, że on się o nią troszczy, że nie istnieje na tym świecie miejsce, w którym mogłaby się czuć bardziej bezpieczna niż w tym wygodnym życiu, jakie dla niej zbudował. I po raz kolejny Doyle z ubolewaniem pomyślał, że nie potrafi jej kochać. To uczucie nie zakiełkowało w jego piersi spontanicznie aż do momentu, kiedy pojawiła się Jean Leckie. Wobec Touie żywił jedynie serdeczne uczucie przywiązania, które nie zdołało na tyle dojrzeć, by się przemienić w miłość, jak początkowo sądził, że się stanie. Nie, jedyna zmiana, jaka zaszła

w tym nikłym uczuciu, dokonała się pod wpływem wiadomości o śmiertelnej chorobie, a przysłużyła się tylko do tego, że przywiązanie przerodziło się w coś w rodzaju nieskończonej litości. Jednak za każdym razem, kiedy spoglądał na małżonkę, czuł przede wszystkim okropną bezsilność spowodowaną tym, że jej nie zdołał ochronić.

Stojąc przed chorą żoną, przypominał sobie historie o rycerzach i porwanych księżniczkach - te, które kiedyś opowiadała mu matka, obfitujące w wyzwania, pojedynki i starcia turniejowe, pełne brzęku mieczy spadających na ciężkie zbroje i dźwięczących przy tym jak dzwony. Za sprawą tych opowieści o ratowaniu czci i honoru w jego dziecięcą duszę zapadły najbardziej atrakcyjne powinności średniowiecznego rycerstwa: kawaler zawsze powinien bronić słabszych oraz wykazywać się odwagą w starciu z silnymi i troską wobec dam. I chociaż świat, w którym przyszło mu żyć, miał już wypaczone pojęcie rycerskości i kawalerii, Doyle przez całe życie usilnie starał się praktykować ów stary kodeks: najpierw wobec własnej matki, potem w kolegium, zawsze stając w obronie najsłabszych, a następnie wobec Touie, która pewnego pięknego dnia pojawiła się, aby zostać jego damą, najcenniejszym dobrem każdego rycerza. I w momencie, kiedy wygłosił swoje „tak, chcę” w tamtym kościele w Yorkshire, aby wszyscy obecni wiedzieli, że ją kocha, w jego sercu przypieczętowało się skryte i znacznie bardziej święte przymierze - będzie jej bronił przed zakutymi w czarne zbroje złoczyńcami, którzy pragnęliby ją porwać, albo przed ich wszelkimi współczesnymi odpowiednikami: hołotą z tawern, zbirami, zaczepnymi ulicznikami... Temu świętemu celowi Doyle poświęcił się bez reszty, przez wiele lat odnosząc godzien uwagi sukces, aż pojawił się niewidzialny wróg, stąpający bezgłośnie i pozbawiony postaci, którą można by przebić mieczem; przybył, płynąc w powietrzu, nikczemny i bezcielesny, i zagnieździł się w płucach jego damy, aby ją nękać od środka.

Westchnąwszy bezsilnie, Doyle podszedł do okna i z zadowoleniem spojrzął przez nie na wąską dolinę, do której zstępowały okoliczne lasy, niczym król zatwierdzający pokój panujący na jego ziemiach. Wtem zorientował się, że Touie przeciąga się za jego plecami.

- Zachwyca mnie widok roztaczający się z tego okna, Arthurze - pochwaliła go, jakby on w swoim wysiłku, by ją otoczyć wygodami i pięknem, posunął się do tego, by rozkazywać samej przyrodzie, a ta posłusznie uległa jego grzmiącemu głosowi i na nowo uporządkowała swoje doliny i góry, aby utworzyć ten sielankowy pejzaż za oknem. - I nic nie sprawia mi większej radości jak wiedza, że w zaświatach również go będę oglądać, ponieważ, jak mi kiedyś mówiłeś, wszystko tam będzie takie samo jak tutaj.

- Tak będzie, kochana - zapewnił ją. - Wszystko dokładnie takie samo.

Mówił to, nie odwracając się do niej, aby nie dostrzegła grymasu zgryzoty, który wykrzywił jego usta, gdy uświadomił sobie, że słowo „wszystko” obejmuje znacznie więcej niż ten krajobraz. Jeżeli po śmierci wszystko zostanie takie samo, Touie, Jean i on wiecznie będą tkwili w pułapce miłosnego trójkąta. Na płaszczyźnie realnej Touie umrze pewnego dnia, to nie ulegało wątpliwości, a wówczas Jean i on będą się mogli kochać bez przeszkód. Zatem cóż, ta miłość nie będzie niczym więcej jak polaną w gęstym lesie egzystencji, króciutką przerwą, której długość trwania będzie zależała od zdrowia ich serc, ponieważ po przejściu w zaświaty przerwany trójkąt zostanie naprawiony. I może wówczas Doyle będzie się musiał wytłumaczyć przed Touie, która przez wizjer na tamtym świecie zobaczy, że on kocha inną, jak nigdy nie kochał jej.

Z wielkim wysiłkiem zamienił grymas przygnębienia na entuzjastyczną, pełną optymizmu minę, którą przybierał wobec choroby Touie, by żona zapomniała, że nad jej głową wisi miecz.

- Odpoczywaj dalej, kochana - rzekł, odwracając się do niej. - Powinnaś odzyskać siły. Ja zejdem na dół, żeby trochę popracować do obiadu.

Kiwnęła głową z łagodnym uśmiechem, a on mógł uciec na parter, rozmyślając o tamtych zaświatach, których istnienie nieznużenie wieścił, a które być może nie stanowiły dla niego żadnego ratunku, chyba że Touie wybaczy mu po śmierci to, czego nie śmiał jej wyznaczyć za życia.

Usiadłszy przy stole w wygodnym gabinecie, który urządził sobie na parterze, Doyle zapalił fajkę, aby się uspokoić. Pociągając w zamyśleniu długie porcje dymu, powiódł wzrokiem po otoczeniu. Przyglądał się meblom i półkom, na których jego ulubione książki piętrzyły się wraz z licznymi trofeami sportowymi. Przez okno, zamiast symfonii grających dział i karabinów z akompaniamentem haubic, jaka rozbrzmiewała dokuczliwie w Afryce Południowej, sączyły się śmiechy jego dzieci: Kingsleya i Mary Louise, przemieszane z turkotem zabawkowej kolejki jednotorowej, którą kazał zamontować wkrótce po zbudowaniu domu, aby mogły odbywać zawrotną podróż po skrawku ziemi, jaki ich ojciec zdołał podbić i wydrzeć światu.

Każdy inny mężczyzna na jego miejscu spocząłby na laurach, zadowolony z błogiego spokoju, ale Doyle wiedział, że to tylko kwestia czasu, by cały ten spokój zaczął go denerwować bardziej niż chaos wojny, ponieważ on był człowiekiem czynu i chociaż miał w głowie różne projekty - podczas podróży powrotnej rozważał możliwość zgłoszenia swojej kandydatury do wyborów w Edynburgu, założenia klubu strzelców w celu doskonalenia celności Anglików, a nawet napisania eseju o wojnie, którą właśnie przeżył - był pewien, że wkrótce zatęskni za jakimś przedsięwzięciem, które zaoferuje mu nową okazję do wykazania się męskim hartem ducha. Wojna była największym wypaczeniem, jakie mogła popełnić ludzkość, to nie ulegało wątpliwości, ale myślał także, że dla człowieka o szlachetnym sercu mogła oznaczać emocjonującą podróż będącą w stanie wydobyć jego najlepsze cechy, talenty, które w innych okolicznościach pozostałyby pogrzebane w jego wnętrzu aż do śmierci.

Dlatego Doyle rozesłał telegramy do wszystkich przyjaciół, informując ich o swoim powrocie, aby wiedzieli, że znów mogą na niego liczyć, chociaż bardzo wątpił w to, że któryś z nich - w większości pisarzy, agentów i wydawców - napisze do niego z propozycją, by zaryzykował życie w jakiejś niebezpiecznej przygodzie. Aczkolwiek w obecnej sytuacji, po niemal tygodniowej bezczynności, również się o to nie napraszał; wystarczyłoby mu, gdyby go ktoś zaprosił na obiad.

Otrząsnął się z tych rozmyślań zrezygnowanym ruchem głowy i rzekł sobie, że przyszedł moment, by po sześciu miesiącach nieobecności wrócić do typowych codziennych zajęć. Wybrał na to najbardziej niewdzięczną czynność ze wszystkich, z jakimi się musiał uporać za każdym razem, gdy wracał z podróży: załatwienie zaległej poczty. Wstał i wezwał Wooda, swojego sekretarza, a ten kilka sekund później wszedł do gabinetu z małym, chociaż pękatym workiem listów.

Alfred Wood był szkolnym nauczycielem, a Doyle zatrudnił go dawno temu, jeszcze w Portsmouth, nie tyle ze względu na jego dyskrecję, efektywność i honorowość, ile z uwagi na bardziej niż solidne ramię do krykieta. Początkowo zakontraktował go wyłącznie jako sekretarza i kopistę, ale z czasem, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, powierzył mu także inne funkcje, uczynił go gońcem, szoferem i stenografem. Niekiedy nawet, po tym jak Wood wygrał z nim w bilarda czy golfa, zlecał mu jakieś zadanie ze wszech miar absurdatne, tylko po to, żeby się zemścić, a Wood jako jego podwładny musiał je wykonywać bez szemrania, udając, że nie dostrzega niedorzeczności polecenia albo - co było jeszcze gorsze - potulną zgodą dając do zrozumienia, że po swoim pracodawcy nie spodziewa się niczego innego; owa gra w bezsensowne żądania stopniowo stała się dla obu rozrywką, która wysublimowała ich relacje albo przynajmniej tak lubił myśleć o tym Doyle, jako że nigdy nie rozmawiali o tej sprawie.

Kiedy Wood zręcznym ruchem opróżnił worek, wysypując listy na stół, pisarz spojrział na okazały stos ze zniechęceniem.

- To prawie gorsze niż wojna - poskarżył się. - Przynajmniej bardziej żmudne. Wojna niesie z sobą wiele złych rzeczy, Woodie, ale rzecz jasna nigdy nie jest nudna.

- Skoro pan tak mówi, a uczestniczył pan w kilku...

Obaj westchnęli głęboko i przystąpili do niewdzięcznej pracy sortowania listów. Wiele z nich było zaadresowanych do Doyle'a, a pisali je rozmaici ludzie z prośbą o pomoc w rozwiązaniu najróżniejszych spraw, przekonani, że ktoś, kto potrafi obmyślić tak skomplikowane fikcyjne zbrodnie, posiada odpowiednie zdolności,

by nieomylnie rozpracowywać prawdziwe przestępstwa. Wiele innych listów jednak kierowano do samego Sherlocka Holmesa. Nadawcy wysyłali je na nieistniejący adres 221B Baker Street, a londyńskie urzędy pocztowe zgodnie z otrzymanym rozporządzeniem przedadresowały je do Undershaw.

Zanim detektyw runął do wodospadu Reichenbach, od San Francisco po Moskwę wysyłano do niego wszelkiego rodzaju dziwaczne sprawy: zawikłane zagadki rodzinne, skomplikowane łamigłówki, równania matematyczne. Ale po jego tragicznym zaginięciu jedynie kilku niezorientowanych nadal rzucało wyzwanie jego inteligencji, a zdecydowana większość korespondencji przychodziła od kobiet, które oferowały utrzymanie w czystości jego mieszkania, od poszukiwaczy przygód proponujących, że zorganizują ekspedycję w celu odnalezienia jego zwłok, oraz ogólnie od czytelników, których niewiarygodne pomysły zdradzały nie tyle sympatię dla bohatera, ile raczej niepokojący brak zdrowego rozsądku. Po przeczytaniu listów Doyle i Wood dzielili je na dwa stosy: te zasługujące na odpowiedź oraz te, które jako pełne urojeń, oburzające czy po prostu niekwalifikujące się do tego, by na nie odpisać, mogły tylko podsyć ogień w kominku.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że życie zawiera tyle tajemnic - westchnął Doyle, kiedy skończył czytać list, do którego dołączono naszkicowaną mapę określającą miejsce ukrycia skarbu podobno zakopanego na południowoafrykańskim wybrzeżu przez załogę rozbitego statku.

- I dlatego postanowił pan dorzucić kilka od siebie? - zapytał sekretarz, sprawdzając kolejny list, który otworzył z szybkością i elegancją kogoś, kto od lat ćwiczył się w tym zajęciu. - O, niejaka Emily Payne, wdowa zaledwie od dwóch miesięcy, też wyraża gotowość sprzątnięcia pokoi Holmesa, ale dodaje interesującą nowość: proponuje, że ulży w bólu Watsonowi, w razie gdyby wierny towarzysz detektywa potrzebował tego.

- Do kominka z tym - burknął Doyle.

Woodie posłusznie wykonał polecenie, mimo że był to pierwszy otrzymany przez nich list, w którym wyrażono troskę o biednego

Watsona. Nastąpiło kilka minut ciszy zakłócaną jedynie szelestem kopert.

- A niech to, posłuchaj tego - rzekł Doyle, rzuciwszy okiem na jedną z kartek. - Niejaki William Sharp twierdzi, że jest prawdziwym Sherlockiem Holmesem, i zapewnia, że nie minie wiele czasu, gdy jego wyczyny zadziwią świat.

Wood uniósł brwi, posłusznie sygnalizując zdumienie, a jednocześnie czytał kolejne pismo.

- W tym liście pewna polska rodzina zaprasza pana do swojego kraju, żeby rozwiązał pan zagadkę zniknięcia cennego naszyjnika.

W tym momencie kamerdyner Cleeve, który też wrócił z Afryki Południowej bez prezentu w postaci burskiej kuli wprawionej w jego ciało, otworzył drzwi gabinetu, żeby oznajmić Doyle'owi, że ma gościa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale pisarz H.G. Wells czeka na pana w bibliotece.

- Dziękuję, Cleeve. - Doyle wstał od stołu, nie ukrywając ulgi, jaką mu sprawiła ta przerwa. - Wybacz, Woodie. Jestem pewien, że doskonale sobie poradzisz z resztą. A kiedy skończysz sortowanie, sam zacznij odpowiadać. Bądź co bądź, masz znacznie ładniejszy i czytelniejszy charakter pisma niż ja.

- Dziękuję za komplement - odpowiedział sekretarz, nie po raz pierwszy żałując, że poświęcił dzieciństwo na wyrobienie sobie tak starannej kaligrafii. - Ale na którą kupkę położyć list od Polaków? Są gotowi pokryć koszty podróży i zostawić panu wolną rękę w wyborze nagrody. Trzeba przyznać, że to bardzo kusząca propozycja.

- Do kominka, jeżeli nie chcesz pojechać tam zamiast mnie, Woodie - odrzekł burkliwie Doyle.

- I zaryzykować, że podczas mojej nieobecności utonie pan w korespondencji? - odparł Wood. - Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Doyle podążył do biblioteki wielkimi krokami, tak że Cleeve postanowił nie iść jego śladem; dość się już za nim nabiegał po Afryce

Południowej, toteż teraz wymknął się w stronę kuchni, by wydać niezbędne polecenia służbie.

Doyle nie widział się z Wellsem od sześciu miesięcy - od czasu, kiedy samochód Montgomery'ego Gilmore'a runął ze skarpy na wrzosowisku. Ubolewał wówczas, że musi wyjechać mimo takiej tragedii, ale nie mógł porzucić posady lekarza wojskowego, którą z takim trudem zdobył, a nie był nawet w wystarczająco dużej przyjaźni z Gilmore'em i jego narzeczoną, żeby przynajmniej rozważyć takie wyjście. Gdy wszedł z rozmachem do biblioteki, Wells siedział w jednym z wikińskich krzeseł wyrzeźbionych na zamówienie gospodarza, a wyglądał przy tym bezradnie jak mucha uwięziona w szczękach owadożernej rośliny. Na widok przyjaciela wstał i połączyli się w typowo męskim uścisku, tak idealnie wyważonym między sympatią a męskim pozdrowieniem.

- Mój drogi Arthurze, tak się cieszę, że wróciłeś cały i zdrowy! - wykrzyknął Wells.

- Ja również, George. A zapewniam cię, że nie było to łatwe - odrzekł Doyle z uśmiechem sugerującym wszelkiego rodzaju przygody balansujące na krawędzi śmierci.

Szorstkim gestem, który niewątpliwie okrzepł podczas wojskowej służby, zaprosił gościa, by ponownie usiadł w wikińskim krześle, i pośpiesznie ruszył do stolika z napojami, żeby nalać do kieliszków porto. Zrobił to z taką szybkością, że gość odniósł wrażenie, iż gospodarz skończył nalewać, zanim jeszcze zaczął. Tak czy inaczej, kiedy Wells spostrzegł, że trzyma kieliszek w ręce, Doyle już siedział naprzeciwko niego na bliźniaczym krześle.

- Cóż, Arthurze - zagadnął - przypuszczam, że masz wiele do opowiedzenia.

- Nie mylisz się, przyjacielu. Powrót na pokładzie „Britona” okazał się tak wesoły, że można by o nim napisać kilka powieści. Razem ze mną płynęli książę Norfolk i jego brat, lord Edward Talbot. Znasz ich? Dość zabawni faceci. Była też garść znanych wojskowych i umilaliśmy sobie czas, wymieniając się anegdotami do późnych godzin nocnych. Niestety, w pewnym momencie dołączył do nas



dziennikarz Bertram Fletcher Robinson, prawdziwy nudziarz, i mało brakowało, żeby nam zepsuł podróż.

- Co za okropny pech! - skwitował Wells.

- Zapewne, choć wyobrażam sobie, że nie tak okropny jak ten, który skłonił cię do przybycia i rozpaczliwego błagania o moją pomoc.

Wells spojrział na niego oszołomiony.

- Jak na to wpadłeś, Arthurze?

- To elementarne, mój drogi Wellsie, to elementarne. - Doyle uśmiechnął się. - Przybyłeś do mnie, nie uprzedziwszy mnie o swojej wizycie poprzedniego dnia telegramem, jak masz w zwyczaju zgodnie ze swoim niezachwianym przywiązaniem do zasad etykiety, i zrobiłeś to, jakbyś miał uczestniczyć w porodzie: źle ogolony, z podkrążonymi oczami i w pogniecionym ubraniu. Jednakże całkowicie upewniło mnie w tym uprzejme zainteresowanie, z jakim słuchałeś o moich przygodach, mimo że zreferowałem ci jedynie głupią, banalną kronikę podróży statkiem. Stary Wells przerwałby mi, mówiąc, że ten rejs dla emerytów najmniej go interesuje, ale ty ani pisałeś: poważnie przytakiwałeś po każdym moim zdaniu, co dowodziło, że nie słuchasz, tylko rozmyślasz nad najlepszym sposobem przedstawienia mi swojej prośby. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby to odgadnąć! Nawet mój mały syn rozumiałby, w czym rzecz. Trapi cię coś poważnego, mój drogi George'u, i zjawileś się tutaj, gdy tylko się dowiedziałeś, że wróciłem z Afryki, ponieważ uważasz, że mogę ci pomóc... Czyżbym się mylił?

Wells zawahał się i powiódł dłonią po czole.

- Masz rację, u licha! Ja... Cóż, wybacz, Arthurze, że cię nie uprzedziłem o wizycie, ale...

- O, nie przepraszaj. To ja powinienem to zrobić, George. Bardzo mi przykro, że musiałem wyjechać w... takim momencie. Chciałbym przynajmniej być na pogrzebie.

- Nie przejmuj się. - Wells machnął ręką. - Wszyscy doskonale to rozumiemy.

- Jakże się miewa? - spytał Szkot delikatnie.

Wells prychnął lekko, jakby chciał dać jasno do zrozumienia, że nie jest łatwo odpowiedzieć na takie pytanie.

- Cóż, kiedy jedno z pary umiera w takich okolicznościach, osoba, która przeżywa, zawsze się czuje winna, że to nie ona zginęła - rzekł, jak gdyby wielokrotnie przetestował już tę regułę w życiu.

- To prawda - potwierdził Doyle, jakby on też często to stwierdzał.

- Mimo wszystko wina ciążyąca na Montgomerym nie wynika wyłącznie z tego, że to on prowadził samochód, Arthurze. Przede wszystkim chodzi o to, że Emma zmarła, zanim zdążył jej wyznać swój sekret - wyjaśnił Wells.

- Swój sekret?

- Tak, sekret znany niewielu osobom na tym świecie. Sekret, który ci zaraz wyjawię.

Zapadła pełna napięcia cisza przywodząca na myśl przyczajonego kota, ale Doyle szybko ją przerwał.

- Czekaj, George! Cokolwiek jest tym sekretem, nie sądzę, by było etycznie, żebyś mi go zdradzał. Ledwie znam Montgomery'ego i...

- Musisz się o tym dowiedzieć, Arthurze. Ponieważ, jak zauważyłeś, potrzebuję twojej pomocy. A będzie mi mógł pomóc tylko wtedy, gdy poznasz całą historię.

- Zgoda, George. Jak uważasz. - Doyle przystał na propozycję cokolwiek zdezorientowany.

- Zatem słuchaj: Montgomery Gilmore to jego fałszywe nazwisko. Prawdziwe brzmi...

Wells zamilkł, zanim dokończył zdanie, lecz nie z zamiarem zrobienia dramatycznej pauzy, tylko po prostu dlatego, że miał wątpliwości: jeżeli ujawni Szkotowi prawdziwą tożsamość Murraya, może jeszcze bardziej pogorszyć sprawę. Nagle plan, który opracował w ciągu ostatnich tygodni, wydał mu się chimeryczny i niedorzeczny. Ale innego nie miał.

- Tak...? - odezwał się Doyle wyczekująco.

- Naprawdę nazywa się Gilliam Murray - obwieścił w końcu Wells.
- Bardziej znany jako Pan Czasu.

Doyle patrzył na niego skonsternowany.

- Ale... Pan Czasu nie żyje - zdołał wymamrotać.
- Przeciwnie, Arthurze, żyje. Sfingował własną śmierć i zaczął nowe życie w Nowym Jorku pod nowym nazwiskiem: Montgomery Gilmore.

- Święty Boże! - wykrzyknął Doyle i zamilkł, próbując przyswoić zasłyszana rewelację, a tymczasem Wells nie bez pewnego niepokoju czekał, aż przyjaciel odzyska mowę. - Teraz, kiedy to mówisz, George, racja, Montgomery zawsze mi kogoś przypominał. Do licha! Jestem ojcem najslawniejszego detektywa na świecie, ale nie przyszłoby mi do głowy, że...!

- Czemu miałbyś go podejrzewać? - pośpiesznie uspokoił go Wells.
- Gilmore to Murray... Gilmore to Murray - powtarzał Szkot, nie mogąc wyjść ze zdumienia. - Wiedziałeś, że napisałem kilka notatek w jego obronie, George?

Wells skinął głową w milczeniu, aby Doyle stopniowo otrząsnął się z zaskoczenia.

- Ale... po co miałby fingoować własną śmierć? - zapytał Szkot kilka sekund później.

Wells zrozumiał, że jego przyjaciel wyszedł już z początkowego osłupienia, ponieważ jego umysł zaczynał zadawać pytania odnoszące się do sprawy. Nie był jednak pewien, czy Doyle przełknie jedyną odpowiedź, jakiej mógł mu udzielić.

- Ponieważ nie wiedzieć czemu, dziura prowadząca do roku dwutysięcznego zamknęła się ni stąd, ni zowąd - powiedział spokojnie, udając, że wierzy w to, co mówi. - A Murray podejrzewał, że ludzie nie zadowolą się takim wyjaśnieniem. Bał się, że uznają to za zwodniczą wymówkę, aby nie dzielił się swoim odkryciem ze światem, dlatego stwierdził, że lepiej będzie... ostatecznie... ogłosić, że pożarł go smok w czwartym wymiarze.

Doyle przez prawie minutę patrzył na niego w milczeniu, rozważając odpowiedź, a tymczasem Wells czuł, jak mu serce przyśpiesza.

- Mów dalej - rzekł w końcu Szkot zrezygnowanym tonem kogoś, kto wie, że usłyszał kłamstwo, ale rozumie, że nie ma prawa do zadawania dalszych pytań.

- Chodzi o to, że kiedy poznał Emmę, był Montgomerym Gilmore'em - ciągnął swoją opowieść Wells, pośpiesznie kierując ją na inny tor. - I w rzeczy samej przez te dwa lata próbował podjąć decyzję, czy jej się zwierzyć ze swojej prawdziwej tożsamości. Ostatnim razem rozmawialiśmy o tym tego samego dnia, gdy się zdarzył wypadek, w Brook Manor. Monty powiedział mi, że postanowił tego nie robić, ale ja... ee... przekonałem go, żeby wyjawiał jej sekret. - Wzruszył ramionami ze zmartwionym wyrazem twarzy. - I zdaje się, że zamierzał jej się zwierzyć podczas podróży samochodem. Pewnie jego zdenerwowanie spowodowało wypadek, tak więc częściowo ja też czuję się odpowiedzialny za śmierć Emmy. Szczerze mówiąc, czuję się prawie jedynym odpowiedzialnym - wyznał zduszonym głosem.

- Rozumiem - Doyle westchnął, zadumany nad tym karambolem wyrzutów sumienia, które osiągnęły wszystkich.

Coraz bardziej łamiącym się głosem Wells opowiedział przyjacielowi, co się działo podczas jego sześciomiesięcznej nieobecności. Początkowo Murray był zupełnie otepiały, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, jak gdyby podświadomie doszedł do wniosku, że jeżeli nie zaakceptuje śmierci ukochanej, ona nie umrze. Ale akceptacja wzięła górę, a wraz z nią przyszedł ból, palący ból, który próbował wyrwać się z jego wnętrza poprzez nieutulony, niemal nieludzki płacz. Wówczas nastąpiło kilka tygodni, w trakcie których Murray stał się przygnębionym stworzeniem, któremu przebywanie na tym świecie sprawia cierpienie, jakby ktoś ponabijał kolcami każdą rzecz w jego otoczeniu. Potem, kiedy wylał już z siebie wszystkie łzy, napęłnił go gniew, gniew wymierzony w Ziemię, wszechświat, a nawet w samego Boga, w którego Murray nie wierzył; oni wszyscy jego zdaniem knuli za plecami szczęścia pary

narzeczonych, zawiązując kosmiczny spisek, żeby mu wydrzeć Emmę. Lecz czas ślepej wściekłości również minął, ustępując okresowi rzucanych na wiatr egzaltowanych obietnic, filozoficznego uniesienia i makabrycznej poezji. Skulony w fotelu, z kieliszkiem w ręce, Murray próbował pertraktować ze Śmiercią: spali na stosie wszystko, co ma cennego na tym świecie, jeżeli ona w zamian zwróci mu narzeczoną. Albo dywagował nad nietrwałością rzeczy świata tego i nad absurdem, jakim wydawało mu się pogodzenie się z tym, że nieobecność Emmy jest definitywna i nieodwołalna, że ona opuściła świat żywych, podczas gdy on wiedział, że nadal się tu znajduje, pochowana na cmentarzu Highgate, zaledwie o godzinę jazdy powozem od domu, a jej uroda wędnie dyskretnie jak róża w ciemności trumny. I wreszcie zawładnęło nim poczucie winy. Czuł się winnym tego, że się o nią nie zatroszczył, że jej nie kochał jeszcze bardziej, i nade wszystko, że nie ujawnił przed nią swej prawdziwej tożsamości. Z powodu strachu, który go przed tym powstrzymał, teraz pozostała mu garść wywołujących rozgoryczenie wspomnień, ponieważ historia jego miłości nie była niczym więcej jak jednym wielkim zakłamaniem. A Wells, na którym również ciążyła wina za to, co się wydarzyło, chociaż milioner nigdy nie czynił mu przez to wyrzutów, zrozumiał z dreszczem, że ten ostatni etap jest wstępem do samobójstwa. Murray niezwłocznie mu to zresztą potwierdził, mówiąc, że po tym, jak wycierpiał tyle, ile mu było dane, pozostaje mu już tylko zdecydować, w jaki sposób odebrać sobie życie. Gotów był to zrobić, czy Wells tego chciał, czy nie. Nie był w stanie ciągnąć swego życia dalej, kiedy zrozumiał, że zdradził osobę, którą najbardziej kochał, a której nigdy nie będzie mógł poprosić o wybaczenie.

- Próbowałem mu to wyperswadować, Arthurze, zapewniam cię, że próbowałem. Użyłem wszystkich argumentów, jakie mi przysły do głowy. Ale bez rezultatu. Przedtem przekonałem go, że powinien wyznać swój sekret Emmie, a teraz nie potrafię go nakłonić do tego, by żył dalej, być może dlatego, że moje argumenty nie mają już dla niego żadnej wartości - lamentował Wells. - Wygląda na to, że Murray w każdej chwili może odebrać sobie życie. Przez te ostatnie miesiące Jane i ja czuwaliśmy nad nim dzień i noc, ale nie możemy ciągnąć tego w nieskończoność, Arthurze. Jesteśmy już wyczerpani.

Wcześniej czy później trafi się moment naszej nieuwagi, a wtedy Murray dotrzyma słowa. Nie wiem, kiedy to się wydarzy, może jutro, a może pojutrze, ale na pewno do tego dojdzie. Przynajmniej o ile ktoś nie wybije mu samobójstwa z głowy.

- Ale kto? - zapytał Doyle. - Jeżeli ty, jego najlepszy przyjaciel, nie zdołałeś tego zrobić, komu może się udać?

Wówczas Wells przywołał na usta uśmiech, który Doyle uznał za cokolwiek pomyłony.

- Emma - odparł. - Emma mogłaby to zrobić.

- Emma? Ale przecież Emma nie... - Nie miał odwagi dokończyć zdania, jakby się obawiał, że to ją zabije podwójnie.

Wells dopowiedział za niego:

- Nie żyje. Owszem, Arthurze, Emma nie żyje. Jest martwa i spoczywa w grobie. Ale to jedyna osoba, której udałoby się go przekonać. Murray powinien dokończyć rozmowę, którą zaczął w aucie. Musi jej powiedzieć, kim jest, i uzyskać jej przebaczenie. A ty znasz sposób na porozumiewanie się ze zmarłymi, prawda?

Doyle uniósł brwi.

- Chcesz powiedzieć, że...?

Wells spojrzał mu w oczy, starając się przekazać w spojrzeniu powagę tego, co miał teraz powiedzieć.

- Tak, chodzi mi o seans spirytystyczny. Emma koniecznie musi się skontaktować z Murrayem. Powinna mu wybaczyć z zaświatów to, czego nie zdołał jej wyznać, gdy żyła. I właśnie do tego, Arthurze, potrzebna mi twoja pomoc.

Wood zdążył przeczytać już z tuzin kolejnych listów i w ciągu następnych dwudziestu minut nadal pełen niechęci zmagał się z pocztą swego szefa, aż do momentu, gdy przerwało mu wejście Cleeve'a.

- Alfredzie, pan życzy sobie, żebyś się stawił w bibliotece.

- Powiedział ci, czego chce? - spytał sekretarz z lekkim niepokojem.

- Nie, ale dalej jest z nim pan Wells. I obaj sprawiają wrażenie bardzo... podekscytowanych. Kiedy go zobaczyłem w tym stanie, zacząłem się obawiać najgorszego... ale na szczęście chciał ode mnie tylko tyle, żeby cię wezwać.

- O, nie... - Wood pobladł z taką samą dyskrecją, z jaką przemykał się przez życie. - Powiedz, Cleeve, ma to?

Kamerdyner westchnął zaniepokojony.

- Obawiam się, że tak, Alfredzie. Ma to spojrzenie.

Westchnienie zaniepokojenia, jakie wydał sekretarz, przesunęło kamerdynera do pozycji zaledwie praktykanta w sztuce uzewnętrzniania własnych zmartwień. Podobnie jak Cleeve, Woods niczego nie bał się na tym świecie bardziej niż tego, że szef zażąda odeń czegoś z t y m s p o j r z e n i e m w oczach. Mogło to oznaczać wiele rzeczy, ale żadna nie zaliczała się do miłych: zaproszenie do spędzenia kilku miesięcy na froncie, nauka latania balonem albo też dowolny szalony plan walki z jakąś niesprawiedliwością, który przypuszczalnie będzie oznaczał niełatwe balansowanie pomiędzy wystawieniem się na pośmiewisko a robieniem czegoś wbrew prawu. O co może chodzić tym razem? Wymieniwszy z Cleeve'em współczujące spojrzenie, Wood pośpiesznie ruszył ku bibliotece, po drodze wygładzając sobie nienaganną marynarkę, poprawiając dłońmi nienaganną fryzurę i starając się przybrać nienaganny, pełen flegmatycznej obojętności wyraz twarzy, z jakim zazwyczaj przyjmował najbardziej ekstrawaganckie polecenia szefa. Jednak wewnątrz daleko mu było do spokoju. I może dlatego, gdy dotarł pod drzwi biblioteki, stał tam kilka sekund dłużej, niż trzeba, z ręką uniesioną do delikatnego pukania. Z wnętrza bardzo wyraźnie dobiegały głosy dwóch pisarzy rozmawiających z ewidentnym entuzjazmem.

- Zgodzi się, bo jest w rozpacz! - mówił Wells. - Tym bardziej, jeżeli propozycja wyjdzie od ciebie, Arturze. Widziałem minę, jaką zrobił, kiedy rozmawialiście o spirytyzmie tamtego wieczoru, kiedy się poznaliście. Bardzo niewielu ludziom udało się zamknąć mu usta, zapewniam cię, ale ty to zrobiłeś, choćby tylko na chwilę... Poza tym nie ma nic do stracenia...

- Jasne, że nie ma nic do stracenia, George! A wiele może zyskać! - ryknął Doyle. - Po raz ostatni porozmawiać z ukochaną... Kto przy zdrowych zmysłach nie chciałby spróbować? Zgodzi się, jasne, że tak. Zwłaszcza kiedy mu powiem, że znalazłem autentyczne medium, ukrywające się wśród jednego z najmniej poznanych plemion Afryki Południowej, medium o bezdyskusyjnych mocach, nieznane całemu światu i czekające na odkrycie.

- Prawdziwe medium... „Wystarczy znaleźć autentyczne medium, tylko jedno”. Tak właśnie powiedziałeś tamtego dnia. „Wówczas nie miałyby już znaczenia, że istnieją setki, tysiące fałszywych mediów” - podjął entuzjastycznie Wells.

- Racja! Tamta rozmowa... To było przeznaczenie, bez wątplenia! - przytaknął Doyle z identyczną żarliwością. - I Murray to przyzna.

- Teraz musimy tylko jak najszybciej ściągnąć to medium do Anglii! - Radosny brzęk odpowiedział Woodowi, że pisarze stuknęli się kieliszkami. - À propos, gdzie się, u diabła, podziewa twój sekretarz?

Wood drgnął za drzwiami. Co zamierzają ci dwaj szaleńcy? Wysłać go do Afryki Południowej, żeby odszukał tamto medium? Bardzo się mylą, jeśli... Jego rozmyślania przerwał donośny głos Doyle'a:

- Wood, przestań podsłuchiwać pod drzwiami i wejdź już w końcu, do diaska!

- Skąd on, u licha, wiedział, że...? - zaczął mamrotać sekretarz, lecz urwał, zostawiając pytanie niedokończone, by podczas otwierania drzwi przywołać na usta służalczy uśmiech.

- Proszę wybaczyć, ale usłyszałem okrzyki i pomyślałem, że... ee... nie jest to dobry moment, by panom przerywać.

- Co to za bzdura? Przecież kazałem cię wezwać! - uciął pisarz. - Woodie, potrzebuję twych usług.

- Tak, proszę pana... - odparł sekretarz, przygotowując się na najgorsze.

- Nie rób takiej miny, mój drogi Woodie. Zapewniam cię, że nie zlecę ci nic skomplikowanego. Przynajmniej nic, w czym nie byłbyś aż



nadto biegły.

Doyle milczał przez dłuższą chwilę, nie pozwalając, by go zwiódł wyraz słabego zainteresowania, jaki malował się na twarzy jego sekretarz, a jednocześnie lubując się w przeciąganiu oczekiwania, które nieszczęśnik niewątpliwie ukrywał za tą miną.

- Po raz kolejny będzie mi nieodzowna twoja znakomita kaligrafia - rzekł w końcu z uśmiechem, bawiąc się dezorientacją podwładnego. Tak, nic nie sprawiało mu większej radości, jak sprawdzanie granic dobrego wychowania Woodiego. - Chcę, żebyś napisał kilka linijek.

## XIX

Następnego ranka skoro świt Wells i Doyle stawili się w rezydencji Murraya, chcąc jak najszybciej przekazać mu dobrą nowinę. Byli przekonani, że ich propozycja natychmiast wywrze wpływ na zdruzgotanego milionera. Jednym ruchem strzepnie z niego pajęczyny cierpienia albo przynajmniej wstrzyknie mu minimalną dawkę nadziei, tak by jeszcze przez kilka dni wytrzymał bez samobójstwa, do czasu, aż medium przybędzie do nich z Afryki Południowej.

- Ale nie jest to medium byle jakie... Mamy do czynienia z autentycznym! - wykrzyknął Doyle, próbując zarazić swym entuzjazmem rozwalone na fotelu straszycie, śmierdzące alkoholem i nieświeżym ubraniem. - Jego moce nie ulegają żadnej wątpliwości. Sam przekonałem się o tym osobiście i zapewniam cię, że dziwów, jakich byłem świadkiem, nie da się wręcz opisać.

I podczas gdy Murray patrzył na niego zaczerwienionymi oczyma z grymasem apatii na twarzy, Doyle zaczął się przechadzać po pokoju i rozwijać przed nim historię cudownego medium, które nie szuka poklasku ani pieniędzy, ponieważ słowa te nie mają dlań żadnego znaczenia.

Szkot natknął się na tego człowieka przypadkiem w wiosce ludu Bakongo, kiedy przebywał w Afryce Południowej. Było to dziecko białych ludzi, które w wieku dwóch czy trzech lat zgubiło się w buszu, na rozległych, dzikich południowoafrykańskich równinach i zostało zaadoptowane przez pewne plemię z grupy Bantu. Z czasem chłopiec, którego starszyzna plemienna nazwała Ankoma, co oznacza mniej więcej „ostatnie narodzone dziecko”, przyjął obyczaje przybranych

rodziców i zachowywał się jak członek plemienia, mimo że kiedy stali wszyscy razem, z powodu koloru skóry jaśniał wśród swoich ziomków niczym śmietankowy cukierek wśród węgla. Z rozpoczęciem dojrzewania przebudziły się jego moce. Talent Ankomy okazał się tak niezwykły, że w wieku zaledwie dwunastu lat chłopiec zajął miejsce starego plemiennego szamana, który potrafił jedynie wywoływać deszcze, i to tylko wtedy, kiedy się zanosilo na burzę.

Kiedy Doyle mijał wioskę Bakongo po krwawej bitwie pod Brandfort, dowiedział się o legendzie Wielkiego Ankomy - białego człowieka, który podnosi miski i narzędzia, nie dotykając ich, i rozmawia ze zmarłymi - i bez wahania zaczął błagać wodzów Bantu, żeby mu pozwolili zobaczyć, czego potrafi dokonać ich bladolicy szaman. Ci zgodzili się w zamian za garść tandetnych drobiazgów i dzięki temu Doyle mógł w nędznym szalasie ujrzeć działania prawdziwego medium. Wachlarz jego możliwości był zdumiewający - do tego stopnia, że pisarz zapewniał, iż nigdy w życiu nie zapomni tego, co tam widział.

Tak więc gdy wczorajszego dnia Wells przybył do jego domu, żeby go prosić o pomoc, Doyle zrozumiał, że mimo niefortunnego pierwszego spotkania, ich ścieżki skrzyżowały się po to, aby on, Arthur Conan Doyle, pomógł Montgomery'emu Gilmore'owi... czy raczej Gilliamowi Murrayowi, zwanemu Panem Czasu, ponieważ teraz on też zna jego sekret. I absolutnie przekonany, że powinien ratować człowieka, który otworzył wrota przyszłości, spędził noc na dyktowaniu swojemu wiernemu sekretarzowi niezliczonych listów skierowanych do najważniejszych władz wojskowych oraz do rządu Kolonii Przylądkowej, w zamian za spełnienie swojej prośby obiecując tak liczne przysługi, że na wywiązanie się z nich zapewne będzie musiał poświęcić resztę życia. Wierzył jednak, że stawka jest warta tej ceny: Wielki Ankoma przybędzie do Anglii, aby przywołać ducha Emmy, dzięki czemu milioner będzie mógł porozmawiać z nią i ubiegać się o jej wybaczenie.

Doyle zakończył swoją perorę przekonany, że te zaczerwienione oczy zaraz zaczną ronić łzy wdzięczności, a nawet przygotował się na przyjęcie uścisku od tego cuchnącego strzępu człowieka. Murray jednak patrzył tylko na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę;

potem wstał, wziął butelkę whisky, którą zawsze ze sobą nosił, i chwiejnym, choć pełnym godności krokiem opuścił salon, zostawiając w nim zdumionych przyjaciół, by wrócić do łóżka, z którego wyrwali go bladym świtem.

Pisarze zrozumieli, że nakłonienie milionera do zorganizowania seansu spirytystycznego z Wielkim Ankomą nie będzie tak łatwe, jak sądzili. W ciągu najbliższych dni z bezsilnością stwierdzili, że Murray - choć wewnętrznie rozbity, przygnębiony i na pół pijany - nie zmienił zdania co do spirytyzmu. Za każdym razem, gdy poruszali ten temat, wzbraniał się przed słuchaniem, wykazując się pod tym względem ogromną inwencją: czasami śmiał im się prosto w nos, kiedy indziej znieważał ich pijackim bełkotem, aby na końcu zwymiotować im na buty, a najczęściej wyrzucał z domu gniewnymi gestami, nie zważając na to, że prawie zawsze znajdowali się u Wellsów, a nieraz nawet rzucał w nich tym, co miał pod ręką, na ogół w połowie pustą butelką... Ani błagania Wellsa, ani prośby Doyle'a, ani łagodne zaklinanie ze strony Jane, która przypominała mu, że kiedyś uratował jej życie i że ona nie zniesie tego, jeśli się nie odwdzięczy tym samym, nie były w stanie wpłynąć na milionera. Wciąż z uporem odmawiał - aż do dnia poprzedzającego przybycie Wielkiego Ankomy do Anglii.

Doyle, Wells i Jane stawili się w rezydencji milionera, aby mu obwieścić nowinę, i tam zastali nadzwyczaj poruszonego Baskerville'a. Jak się okazało, jego pan cały dzień spędził zamknięty w swoim pokoju, pijąc, płacząc i obrzucając służbę wyjątkowo wymyślnymi i bluźnierczymi przekleństwami, ale najbardziej niepokojące było to, że od co najmniej godziny panowała cisza. Wells i Doyle wymienili ze sobą pełne obaw spojrzenia i pobiegli schodami na górę, do wieżyczki, w której znajdował się pokój Murraya. Drzwi były zamknięte, nie stanowiło to jednak dla Szkota żadnej przeszkody - otworzył je po kilku natarciach, aż drzazgi poleciały z framugi, a skrzydło o mało nie wyleciało z zawiasów. Ku powszechnej uldze milioner nie wisiał u sufitu ani też nie był pozbawiony życia w żaden inny sposób; po prostu zemdłał. Potrzeba było dwóch imbryków mocnej herbaty i miednicy z wodą, żeby usiadł w fotelu i ich wysłuchał.

- Jutro przybędzie wreszcie Wielki Ankoma, Gilmore - oznajmił mu Doyle szorstko, ale w jego głosie pobrzmiwało wyczerpanie. - I nie ma potrzeby, by ci przypominać, że aby go sprowadzić, musiałem ręczyć słowem i uciec się do wszelkich dostępnych mi wpływów, dlatego mam nadzieję, że cały ten wysiłek czemuś się przysłuży i nie pójdzie na marne.

Murray wzruszył tylko ramionami.

- Ja go nie zapraszałem.

- Ale już tu jest! - ryknął Szkot, tracąc cierpliwość. - Co, u diabła, zamierzasz? Wysłać go z powrotem, a na szyi powiesić karteczkę z podziękowaniami?

- Jedyne, czego chcę, to żebyś mi zapłacił za zniszczone drzwi od sypialni.

Doyle parsknął zupełnie jak byk, podszedł do jednego z okien i wyjrzał przez nie na zewnątrz, próbując się uspokoić.

- Jesteś uparciuchem i egoistą, Monty - skarcił przyjaciela Wells. - Naprawdę nie obchodzi cię, że z twojego powodu przechodzimy przez piekło? Co ci szkodzi, żeby wziąć udział w seansie? Co masz, u licha, do stracenia?

- Zgódź się, Monty - po raz enty zwróciła się do niego błagalnie Jane. - Prosimy cię tylko, żebyś spróbował.

Milioner posłał jej rozdzierające spojrzenie.

- Nie mogę, Jane - mruknął. - Nie zniósłbym, gdyby imię Emmy było przywoływane na próżno. Nie mogę na to pozwolić! Nie umiałem jej uszanować za życia, bo w tym, że okłamywałem ją dzień po dniu, nade wszystko brakowało szacunku... I nie pozwolę, żeby znowu zaznała tego braku po śmierci z powodu jakiejś głupiej pantomimy.

- Ale nikt nie zamierza odbierać jej szacunku! - wykrzyknął poirytowany Wells. - Powtarzam ci, że to medium jest  
a u t e n t y c z n e.

- Czego się boisz, Gilmore? - zapytał Doyle, nagle odwracając się od okna z rękami założonymi na plecy.

- Boję się? - Murray spojrział na niego zbity z tropu. - Wcale się nie boję.

- O, to oczywiste, że się boisz - zapewnił go surowo Szkot. - Boisz się, że porozmawiasz z narzeczoną, a mimo to ona ci nie wybaczy. Tak, o to chodzi. Nie chcesz ryzykować, że tak się zdarzy, bo wtedy co ci pozostanie? Nie będzie już nawet pociechy w samobójstwie... Umrzeć? Po co? Żeby przez całą wieczność stać przed rozzłoszczoną kobietą? Wolisz więc trwać jak dotąd, dręcząc nas swoimi głupimi samobójczymi groźbami, których i tak nigdy nie spełnisz, ponieważ jesteś tchórzem. To dlatego jeszcze się nie zabiłeś, dlatego nie chcesz porozmawiać z Emmą i dlatego nie byłeś w stanie wyznać jej całej prawdy, gdy żyła.

- Co?! Miałem to zrobić! - wrzasnął Murray, podnosząc się chwiejnie z fotela. - Przysięgam, że miałem to zrobić tuż przed tym, jak ten przeklęty samochód się rozbił! I oczywiście, że się zabiję! Nie chcę dłużej żyć! Nie obchodzi mnie, co jest po drugiej stronie, nie obchodzi mnie, czy jest tam tylko straszna pustka, czy Emma, rozgniewana na mnie na zawsze... Nic nie może być gorsze niż to, nic...

- Zabijesz się? No to już! - Doyle szybkim ruchem otworzył na oścież okno, które miał za plecami. Do pokoju wpadł świeży, łagodny powiew, niczym westchnienie zakochanych. - Dalej, skacz! Masz tu co najmniej cztery piętra wysokości, umrzesz prawie na pewno... Skacz tu i teraz i skończ wreszcie ze wszystkim!

Wells i Jane patrzyli na niego przerażeni.

- Arthurze, jeśli można prosić, nie sądzę, żeby to był właściwy sposób... - wtrącił pisarz.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, Murray odepchnął go i zdecydowanym krokiem skierował się ku oknu.

- Monty, nie! - zawołała strapiona Jane, stając mu na drodze.

Z nią obszedł się bardziej uprzejmie, chociaż i ją przesunął stanowczo.

- Arthurze, na miłość boską, powstrzymaj go! - krzyknęła.

Szkot nie przejął się jej okrzykiem. Zamiast zagrażać Murrayowi przejście, odstąpił od okna z szerokim uśmiechem, a jednocześnie wyciągnął rękę uprzejmym gestem kogoś, kto przepuszcza drugą osobę. Milioner, mijając go, posłał mu wrogie spojrzenie, po czym jednym susem wspiął się na parapet, chwytając obiema rękami za ramę okienną.

- Monty, zejdź stamtąd, na Boga - rzucił błagalnie Wells i ostrożnie zrobił kilka kroków w jego stronę.

- Nie zbliżaj się, George! Zostań tam, gdzie jesteś - polecił mu Murray.

Doyle, znajdujący się tuż obok milionera, nakazał Wellsowi gestem, żeby go posłuchał. Pisarz zatrzymał się więc, choć miał ochotę podbiec i złapać przyjaciela. Patrzył z niepokojem na jego zwalistą sylwetkę, która rysowała się na tle księżycowej poświaty, zajmując niemal cały otwór okienny.

Murray oddychał głęboko z rękami zaciśniętymi na framudze i stopami wspartymi na wąskim gzymsie.

Podczas gdy dyskutowali, popołudnie zdążyło przejść w zmierzch, ten zaś rozpląnął się wśród świetlistych fioletów, ustępując miejsca wspaniałej letniej nocy skąpanej w blasku pełni księżyca. Piękna noc, żeby umrzeć - rzekł sobie, a tymczasem łagodny nocny wietrzyk pieścił mu włosy, niosąc zapach kwitnących jaśminów. Czemu nie? Czemu by raz na zawsze nie skończyć ze swoim cierpieniem? Czyżby był tchórzem, tak jak twierdzi Szkot? Wysunąwszy nieco prawą stopę, usłyszał za sobą słaby, przenikliwy krzyk, który zapewne wydała Jane. Żał mu było i jej, i George'a, a nawet Doyle'a. Żałował, że przyjaciele muszą być świadkami jego samobójstwa, ale Wells ma rację: z jego powodu przechodzą przez piekło, wszyscy. Lepiej będzie w końcu położyć kres żalostnemu widowisku, jakie zrobił ze swego bólu. I zaraz to uczyni. Zerknął w dół. U jego stóp rozciągał się ogród, po którym tyle razy przechadzał się z Emmą. W każdym

z ogrodowych zakątków, niczym strzęp ubrania zaczepiony na krzewie, zachowało się wspomnienie a to pocałunku, a to pieśczoły, a to żartu, z którego ona się śmiała. Srebrzyste światło księżycy delikatnie podkreślało zarysy drzew, sprawiało, że perlące się na różach krople rosy lśniły jak cekiny, a woda migotała w sadzawkach, gdzie rozmarzone nenufary kołysały się, wykonując swój nieśpieszny walc dla nikogo. W głębi, wynurzając się ponad korony gęstego zagajnika jak wschodzący księżyc, widniała kopuła pięknej oranżerii, tego małego wystawnego kryształowego pałacu, który Murray swego czasu zbudował własnymi rękami, żeby zrobić narzeczonej niespodziankę, formą w najmniejszym szczególe naśladowującego słynny indyjski Tadź Mahal.

Murray zauważył nagle nieskończoną odległość, jaka go dzieliła od ziemi, i ogarnął go irracjonalny strach, podobny do tego, jaki odczuwał owego poranka, gdy się opuszczał w balonie, by zdobyć serce Emmy. Wtedy też musiał walczyć z lękiem wysokości, ale warto było, ponieważ ukochana czekała na niego na pastwiskach w Horsell. Zamknął oczy i znów ją zobaczył w dole, tak jak widział tamtego dnia, ubraną na biało, na wpół ukrytą za parasolką, którą wciąż obracała nerwowo w ręce, czekając na niego... I ostatnimi rezerwami odwagi, jakie mu zostały, powiedział sobie, że powinien się znaleźć u jej boku, i to jak najszybciej, ponieważ ona lubiła punktualność, a on tymczasem miał już kilka miesięcy spóźnienia... Otworzył oczy zdecydowany, by rzucić się w próżnię.

I wtedy ją ujrzał. Na polance otoczonej krzewami róż, w tym samym miejscu, gdzie zazwyczaj zatrzymywała się podczas spacerów, aby dyskretnie napawać się aromatem kwiatów. Stała tam ubrana na biało kobieca postać, lśniąca w świetle księżycy, z twarzą ukrytą pod parasolką, którą nieustannie kręciła. Wizja była tak jasna i przerażająca jak niespodziewany śmiech rozlegający się w nocnej ciszy. Murray zeszytniał, zamrugał kilka razy i poczuł, jak z jego ust bełkotliwie wypływa jej imię:

- Emma...

- Nie, Monty, proszę - odezwała się błagalnie przerażona Jane. - Nie skacz. Emma nie chciałaby tego.



- Emma! - zawołał milioner.

Odwrócił się szybko i zeskoczył z powrotem do pokoju.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Doyle triumfalnie. - Wiedziałem, że się nie rzuci.

Nie zwracając na niego uwagi, Murray podbiegł do Wellsa, złapał go za ramię i przyciągnął do okna.

- Patrz, George, patrz! - powiedział z rozplómiętym wzrokiem. - To Emma... Jest tam!

- Co?

Wszyscy rzucili się do okna i stłoczeni w nim, z nadzieją wyjrzeni do ogrodu.

- Ja nic nie widzę - mruknął Wells.

- Ja też nie - rzekła Jane, mrużąc oczy. - Co dokładnie widziałeś, Monty?

Murray nie odpowiedział. Odwrócił się i wybiegł z pokoju. Skonsternowani przyjaciele pośpieszyli za nim na dół, niemal przepychając się na schodach. Kiedy milioner dotarł w miejsce, gdzie przed chwilą widział Emmę, zatrzymał się i rozejrzał, coraz bardziej zaniepokojony i zdezorientowany. Pozostali wkrótce dołączyli do niego zdyszani, ale zanim ktokolwiek zdążył zapytać, co mu się stało, Murray puścił się biegiem przez ogród. Wołając imię Emmy, pędził ścieżkami i okrążał sadzawki, a przyjaciele patrzyli nań ze współczuciem. Potykał się, gonił tam i z powrotem, zatrzymywał się na sekundę, nasłuchiwał, po czym znów zrywał się do szalonego biegu bez wyraźnego kierunku. Wreszcie padł wyczerpany na kolana, wśród szlochów wciąż wymawiając imię ukochanej. Wells podszedł do niego i ukucnąwszy przy nim, położył mu dłoń na ramieniu. Murray spojrzał na przyjaciela oczyma udreżonymi przygnębieniem.

- Widziałem ją, George, przysięgam, że ją widziałem - szepnął zasapany. - To była ona. Stała tu... Dlaczego sobie poszła?

Pochylając się nad nim, Doyle uśmiechnął się dobrotliwie.

- Próbuje do ciebie dotrzeć, przyjacielu - wyjaśnił niemal z czułością, jak ojciec dodający otuchy synowi. - Ale nie znajduje drogi. Może chciała ci tylko przypomnieć, że macie umówione spotkanie w Brook Manor. Sama wyznaczyła to miejsce w dniu swojej śmierci. Duchy potrzebują jednak właściwych kanałów, żeby do nas dotrzeć. Już ci to kiedyś mówiłem. Duchy potrzebują mediów...

## XX

**T**rzy dni po tym, jak Wielki Ankoma przybył na statku do Anglii, Murray zastukał do drzwi Brook Manor o zmierzchu, gdy zmrok zaczął zacierać kontury świata. Towarzyszyła mu Jane, której tego dnia przypadało czuwanie nad przyjacielem. Wells i Doyle czekali już na nich w domu - przybyli rano wynajętym powozem razem z medium, aby mogło godziny poprzedzające seans spędzić w otoczeniu, gdzie będzie się on odbywać, a w tym czasie pozwoliło, by wywęszyły je siły duchów, którymi przesiąknięte było to miejsce, jak ktoś, kto daje się obwąchać psu, zanim go pogłaszcze.

- Wciąż nie wiem, jak namówiliście mnie, żebym tu przyjechał - burknął milioner do Wellsa, gdy ten otwierał mu drzwi.

Nie przestając gderać, wszedł do holu, a tymczasem pisarz wymienił porozumiewawcze spojrzenie z żoną. Uściskawszy ją pośpiesznie, poprowadził Murraya do jadalni, gdzie miał się odbyć seans. Obejrzał pobieżnie przyjaciela i przekonał się, że ten przynajmniej ogarnął się nieco i założył porządne ubranie - osiągnięcie, które zapewne bardziej zawdzięczał Jane niż sobie.

- Nie pożałujesz, Monty, zapewniam cię. Odpręż się tylko jak najbardziej, żeby tajemnicze siły z zaświatów nie poczuły z twojej strony żadnej nietolerancji i...

- Dość już, George, jeśli łaska - przerwał mu Murray, z rozdrażnieniem potrząsając ręką. - Przyjechałem tu, żeby zobaczyć Emmę, a nie wysłuchać twojej spirytystycznej pogadanki.

Wells kiwnął głową i westchnął, a jednocześnie on i Murray, za nimi zaś Jane, wkroczyli do przestronnego salonu przylegającego do

holu. W pomieszczeniu tym było cieplej dzięki resztkę żaru tłącego się we wnętrzu kominka. Wiszące na ścianach jelenie głowy nadal spoglądały na siebie wyzywająco, uwikłane w pojedynek, który nigdy nie miał nastąpić. Doyle czekał na nich na przeciwnym krańcu sali, twardo stojąc przed drzwiami jadalni, niczym strażnik strzegący dostępu do zaświatów.

- Dobry wieczór, Gilmore - pozdrowił milionera. - Cieszę się, że przybyłeś. Jestem pewien, że nie tylko nie pożałujesz przyjazdu, lecz ponadto...

- Doyle, proszę - uciał niecierpliwie Murray. - Przejdźmy do rzeczy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, oczywiście. Natychmiast przejdziemy do rzeczy - odparł Szkot, nie chcąc pozwolić, aby pośpiech milionera zmusił go do pominięcia któregoś etapu ceremonii. - Ale zanim przedstawię ci Wielkiego Ankome, który w tej chwili koncentruje się w jadalni, pozwól, że ci przypomnę, iż przybył tu z Afryki Południowej tylko po to, żeby ci pomóc. Nigdy dotąd nie przeprowadził żadnego seansu naszym sposobem i nie ma najmniejszego nastawienia na zysk. Wszystko to znakomicie o nim świadczy, jak rozumiesz, toteż spodziewam się, że go przyjmiesz z należnym mu respektem. - Popatrzył Murrayowi w oczy, starając się nie zawrzeć w spojrzeniu groźby, chociaż paradoksalnie osiągnął wręcz przeciwny efekt. - Wielki Ankoma mówi wyłącznie w dialekcie bakongo, ale ja podejmę się tłumaczenia jego słów. Podczas pobytu w wiosce nauczyłem się wystarczająco dobrze rozumieć ten język. - To powiedziawszy, odwrócił się, chwycił za klamkę i ceremonialnie otworzył drzwi, a jednocześnie dodał: - Świat się zmieni.

Przestronny, pozbawiony okien pokój oświetlały rozmieszczone tu i tam dziesiątki świec, które rzucały błyski na wyszczerbione żelaza szabli i sprawiały, że twarze przodków rodu Cabell stawały się jeszcze bardziej fantasmagoryczne, jak gdyby malarz sportretował ich po śmierci, zmarłych przez uduszenie. Wśród cieni rysowała się czyjaś sylwetka - siedziała przy stole z lekko pochyloną głową, rozłożonymi ramionami i dłońmi spoczywającymi na przykrywającym blat lnianym obrusie. Słaby blask ustawionej pośrodku lampy ledwie

rozjaśniał otaczające ją ciemności. Grupa, prowadzona przez Doyle'a, postąpiła kilka kroków w stronę przeciwnego krańca stołu. Szkot odłączył się od przyjaciół, z uszanowaniem podszedł do medium i szepnął coś, co przypuszczalnie miało je wydobyć z transu. Afrykańczyk ociężale potrząsnął głową, jakby się budził z przedłużonego letargu albo jakiejś pamiętnej pijatyki, i spojrzał na przybyłych niewidzącymi oczyma.

Rzeczony Ankoma był chudym człeczyną, którego wiek trudno było dokładnie określić z powodu gęstej, bujnej brody skrywającej większą część twarzy oraz równie obfitej czupryny. Jedynie mysie oczka, zabawne i intrygujące, lśniły wśród opadających kaskadą z czoła białawych kosmyków. Miał na sobie obszerną tunikę w ciemnym kolorze, a z jego szyi zwieszały się splątany kłębek rozmaite naszyjniki i koraliki, wśród których Murray - jak mu się zdawało - dostrzegł kiel jakiejś nieznannej bestii. Nie zwracając się do nikogo szczególnego, medium wyrzuciło z siebie serię gardłowych odgłosów, jakby się zakrztusiło kością z kurczaka.

- Mówi, że duchy są tutaj mocne - przetłumaczył usłużnie Doyle.

- Tiaa... - parsknął Murray, najwyraźniej nie dając się łatwo ponieść wrażeniu.

Doyle zganił jego brak dobrego wychowania surowym spojrzeniem i kontynuował swoją misję mistrza ceremonii. Przedstawił obecnych, po czym zachęcił Murraya, by zajął miejsce na drugim krańcu stołu, tak żeby się znalazł naprzeciw Wielkiego Ankomy, sam zasiadł po jego prawej stronie, a Wellsa i Jane posadził po lewej.

- A więc. Ankoma specjalizuje się w piśmie automatycznym - wyjaśnił Murrayowi. - Oto, co zrobi: skontaktuje się z duchem Emmy i jeśli ona wyrazi zgodę, poprosi ją, żeby się zwróciła do ciebie, pisząc na tej tablicy.

- Ale ja nie chcę rozmawiać z Emmą za pośrednictwem jakiejś głupiej tablicy! - zaprotestował milioner. - Chcę ją zobaczyć! Chcę, żeby się ukazała, tak jak wtedy w ogrodzie!

Doyle pokręcił głową dogłębnie rozczarowany jego uporem.

- Zobaczysz, Gilmore... Każde medium ma swoją metodę czy naturalny talent porozumiewania się z duchami - poinformował cierpliwie. - Nie da się ich zmusić, żeby przeprowadzili to w inny sposób. Ważne, że możesz z nią porozmawiać, nie sądzisz? Zupełnie mniejsza o to, jak to zrobisz.

Murray rzucił nieufne spojrzenie na tabliczkę leżącą na stole tuż obok lampy olejowej.

- Z przodkami ludu Bantu komunikował się za pomocą tabliczek? - zapytał chłodno.

- Oczywiście, że nie - odparł Doyle, którego bezczelność milionera zaczynała już irytować. - Robił to za pomocą palmowych liści. Ale tutaj jesteśmy nieco bardziej cywilizowani.

- Palmowych liści... - mruknął Murray. - Aha. No, dalej, Amoka.

- Ankoma - poprawił go Szkot.

- Ankoma, Ankoma... - powtórzył Murray, rozkładając ręce, żeby pokazać medium, że może przystąpić do dzieła.

Afrykańczyk skinął głową niemal z obojętnością, jakby przyjmował polecenia od sił wyższych, niepomnych ludzkich spraw, a zwłaszcza osoby Murraya. Jego ciało zdawało się rozluźniać: opuściło go odrętwienie, jakie okazywał do tej pory, oczy zamknęły się, a na twarzy rozlał się wyraz przesadnie błógiego spokoju, graniczący wręcz z miną półgłówka. Potem zaczął się kołysać - najpierw nieśmiało, następnie coraz mocniej, aż sprawiał wrażenie, że zaraz spadnie z krzesła, jak ktoś, komu siedzenie wyścielono pokrzywami. Zaraz potem zaczęły nim wstrząsać przelotne drgawki i raz po raz wydawał niepoważne bulgoty niczym gotująca się w czajniku woda. Doyle stęzał na swoim krześle.

Wszyscy uświadomili sobie, że dzieje się coś ważnego albo też że zaraz się wydarzy. I nie mylili się, ponieważ w tym momencie powietrze rozdarł mrozący krew w żyłach, przeciągły dźwięk przypominający zgrzytanie zębów. Zaskoczeni przeszukali wzrokiem otaczające ich cienie, próbując dociec, skąd pochodzi ten jazgot, aż zrozumieli, że zapewne wydały go stare zawiasy jednych z drzwi. Przyjrzeni się im uważnie w gęstym mroku, lecz oba skrzydła

pozostawały zamknięte. Wówczas parkiet podłogi skrzypnął kilka razy - lekko, z przerwami, obwieszczając, że ktoś idzie ku nim przez pokój. Milioner uniósł brwi. Kroki rozbrzmiewały coraz bliżej. Następnie wydały się nieco oddalać, jakby chodząca wokół stołu osoba złowieszczo długo czaiła się gdzieś z boku, przyglądając się zebranym przy nim ludziom. Murray popatrywał to na Wellsa, to na Doyle'a, ale pisarze nie zwracali na niego uwagi, najwyraźniej wymieniając między sobą skonsternowane spojrzenia.

Wielki Ankoma nie odzywał się, ze zdumieniem wbijając wzrok w wypełniającą pokój ciemność. Po kilku sekundach, w trakcie których patrzyli na siebie zakłopotani, Doyle nieuchwytnym ruchem przyciągnął uwagę medium i podobnie wskazał tabliczkę, jakby mu chciał przypomnieć, że jest to sposób, w jaki ma zwyczaj porozumiewać się z duchami. Wielki Ankoma wziął zatem tabliczkę w swe szczupłe dłonie, na których pod bladą skórą żyły rysowały się zygzakami niczym korzenie przykryte cienką warstwą śniegu, i przez chwilę jedynie ją trzymał, jakby za bardzo nie wiedział, co z nią zrobić. W tym momencie Wells nagle uszczypnął lekko Murraya, żeby mu dodać otuchy. Gest ten rozkojarzył milionera, aczkolwiek kątem oka zdołał dostrzec, jak Ankoma robi pod stołem jakiś podejrzany ruch. Kiedy popatrzył nań prosto, medium jedną ręką unosiło tabliczkę, następnie odwróciło ją do góry nogami i zaczęło nią pocierać o ułożoną na stole kredę. Ciałem Afrykańczyka wstrząsały przy tym krótkie podrygi, a z jego ust płynęła niezrozumiała litania. Kilka wstrząsów później medium odwróciło tabliczkę z taką zręcznością, jak kucharz przewraca naleśnik, i podsunęło ją Murrayowi. Na ciemnej powierzchni, wcześniej nieskazitelnie czystej, teraz widniało pismo jego ukochanej Emmy. „Witajcie, jestem Panna Smutka” - przeczytał zaskoczony milioner.

- Do diaska, obawiam się, że Wielki Ankoma skontaktował się z innym duchem - powiedział z zawodem Doyle.

Wells i Jane, również rozczarowani, zwiesili głowy, choć wciąż nieufnie zerkali na prawo i lewo.

- Nie, nie - pośpiesznie wyjaśnił im Murray. - Panna Smutka to przezwisko, którym zwracałem się do Emmy, kiedy byliśmy sami.

Przyglądał się otrzymanej wiadomości skołowany. Przysięgłby, że medium właśnie wykonało jakąś sztuczkę, przypuszczalnie wymieniło tabliczki pod stołem, chociaż to nie wyjaśniało skrzypnięcia drzwi ani odgłosu kroków, które zdawały się rozbrzmiewać dokoła. A nade wszystko nie zmieniało faktu, że nikt na świecie nie znał przezwiska, którym on zwracał się do Emmy na osobności. Nikt oprócz niej.

- Wobec tego... Święty Boże! Skontaktował się z Emmą! - wykrzyknął poruszony Wells.

- Tak jest, mój drogi George'u! Udało się nam! - ryknął entuzjastycznie Szkot. Zwrócił się do Murraya i syknął: - Pamiętasz, co ci mówiłem, Gilmore? Kto nie uwierzy w duchy, jeżeli ukochana zmarła osoba powie mu coś, o czym wie tylko on?

Milioner spojrzał na niego spode łba i powoli skinął głową.

- No, dalej, Gilmore, okno jest otwarte - ponaglał go podekscytowany Doyle. - Porozmawiaj z Emmą. Zapytaj, o co chcesz. Na przykład przychodzi mi do głowy, że mógłbyś ją zagadnąć, czy...

Ruchem ręki Murray przerwał paplaninę Szkota, który patrzył teraz na niego z mieszaniną konsternacji i oburzenia, po czym wzniosł twarz ku sufitowi.

- Emmo, miłości moja, czy to naprawdę ty? - zapytał błagalnie, bezwiednie przesycając swoje słowa nadzieją.

- Już ci powiedziała, że tutaj jest, Monty - wtrącił gderliwie Wells. - Czemu jej nie zapytasz, czy...?

Zanim zdążył dokończyć zdanie, Murray drgnął na swoim krześle i zeszywniał z plecami przyciśniętymi do oparcia. Wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, co się dzieje. Milioner pobladł i wciąż siedział sztywno z wyrazem osłupienia na twarzy oraz ze wstrzymanym oddechem.

- Mój Boże... - jęknął. - Mój Boże...

Kilka sekund później głębokim westchnieniem wypuścił wstrzymywane powietrze i, wciąż nieruchomo wciśnięty w oparcie, podniósł lewą rękę do twarzy i wolno pogładził się po policzku, jakby



dotykał go po raz pierwszy w życiu, a na jego ustach zakwitł uśmiech niepewnego szczęścia.

- Poglądziła mnie! - obwieścił rozemocjonowany, łapiąc Wellsa za ramię. - To wszystko prawda, George. Emma jest tutaj. Poglaskała mnie, czułem jej palce na policzku!

- Uspokój się, Monty... - poprosił Wells, wzrokiem zasięgając porady Doyle'a.

- Mam się uspokoić? Nie słyszałeś? Emma tu jest! - Zerwał się z krzesła i powiódł niespokojnym spojrzeniem po jadalni, nie wiedząc, w którą stronę patrzeć. W końcu utkwiał wzrok w medium i zażądał: - Chcę ją zobaczyć!

Wystraszony Wielki Ankoma wydał cichy dźwięk, który zdawał się wyrażać pytanie.

- Proszę, spraw, żeby się zmaterializowała - powiedział błagalnie milioner, ogarnięty niemal dziecięcą ekscytacją. - Dam ci, co tylko zechcesz!

Błagając medium, aby przywołało Emmę, choćby tylko w postaci zwiewnej ektoplazmy, Murray poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach z taką siłą, że nawet doświadczył nagłego zawrotu głowy, choć może nie był to dokładnie zawrót głowy. Pewne było jednak, że oświetlenie pokoju, pochodzące z blasku świec, nagle wydało mu się nieco bardziej mętne.

- Ee... obawiam się, że to wykracza poza moce dobrego Ankomy - tłumaczył się Doyle. - Ale mógłbyś zapytać Emmę...

- Nie chcę jej o nic pytać, do cholery! - wrzasnął zdesperowany Murray. - Jedyne, czego chcę, to ją zobaczyć!

Wtem zamilkł ze spojrzeniem utkwionym w ogromnym lustrze. Pozostali też skierowali wzrok w tamtą stronę, próbując dociec, co uciszyło Murraya. Zajęło im to kilka sekund, ponieważ scena rozgrywająca się w jadalni zdawała się dokładnie odzwierciedlona w rてciowej powierzchni. Wszyscy byli rozmieszczeni wokół stołu w identyczny sposób: u szczytu Wielki Ankoma, po jego prawej stronie Doyle, spoglądający w lustro ponad ramieniem medium

i próbujący odkryć, jakąż to anomalię zawiera, a naprzeciwko niego Wells i Jane, okazujący tę samą konsternację. Jednak naprzeciw Wielkiego Ankomy nie znajdował się Murray: jego miejsce w odbiciu zajmowała jakaś ubrana na czarno dziewczyna. Wstała od stołu dokładnie w tym momencie, w którym tamci ją zauważyli, i zaczęła go okręzać niezdecydowanym krokiem. Wszyscy patrzyli oniemiałi, jak sunie ku nim z drugiej strony lustra. Chwilę później niewielka odległość pozwoliła w blasku świec rozróżnić rysy jej twarzy.

- Emma! - zawołał Murray.

Odkrycie tak go poruszyło, że stracił równowagę. Po dłuższej chwili zdołał wreszcie spionować swoje zwaliste ciało i też ruszył w kierunku zwierciadła, gdzie z rękami opartymi o szybę, jakby wyglądała przez okno, stała jego narzeczona. Dziewczyna z zaskoczoną miną uważnie oglądała świat znajdujący się po drugiej stronie, jak gdyby widziała Murraya tak samo wyraźnie, jak on widział ją.

- Kochana, czułem, jak mnie pogładziłaś... - jęknął milioner, ze zboląłą miną zbliżając się do lustrzanej tafli.

Emma oczarowana patrzyła, jak ku niej idzie, a w jej oczach w szaleńczym wirze przeplatały się z sobą: zgroza, konsternacja i wzruszenie. Zbliżywszy się, Murray wyciągnął rękę, chcąc dotknąć twarzy dziewczyny, znów poczuć pod palcami jej skórę i włosy, ale gdy dłoń zatrzymała się na gładkiej powierzchni szkła, zrozumiał, że Emma wciąż jest dla niego niedosiężna, choć ma ją tuż przed sobą. Tymczasem reszta grupy również wstała od stołu. Przyjaciele ustawili się kilka kroków za Murrayem, aby uczestniczyć w odbywającym się cudzie, a ich zwierciadlane sobowtóry niczym niemy krąg eskortowały Emmę po drugiej stronie lustra.

- Emmo, miłości moja! - zawołał milioner, przebiegając palcami po lodowatej tafli, która mroziła mu opuszki śmiertelnym chłodem.

Dziewczyna, przyjąwszy do wiadomości dziwne zjawisko, spróbowała spleść palce z dłonią ukochanego, lecz napotkała rてciową przeszkodę. Przez prawie minutę oboje bezsilnie obmacywali lustro każde ze swej strony, usiłując ryć w jego powierzchni rękami, które z rozpaczki zamienili w szpony, i starając

się rozdrapać dzielący ich na pozór cieniuteńki welon, zamykający każde z nich w bliźniaczym więzieniu. Aż Murray, przepełniony wściekłością, zaczął uderzać w szkło otwartymi dłońmi. Po drugiej stronie Emma, która znacznie szybciej potrafiła zrozumieć - a może należałoby powiedzieć: zrezygnować - patrzyła tylko na narzeczonego, szepcząc jego imię z oczyma tonącymi w łzach. Pochyliła swoją piękną twarz, poruszona niezmierną miłością zaszyfrowaną w rozpacz, z jaką Murray walił dłońmi w zwierciadło. On zaś, choć coraz bardziej wściekły, powstrzymywał się, mając świadomość, że jeżeli rozbije szkło, może na zawsze stracić zawartą w nim cenną wizję. Wszyscy zrozumieli, że chociaż odbicia nie są wierne, odzwierciedlają ten sam ból.

Kiedy milioner uświadomił sobie, że nigdy nie zdoła otworzyć tunelu prowadzącego w ramiona Emmy, odsunął się kilka centymetrów od lustra i patrzył na narzeczoną bezsilnie, dopiero teraz zauważając, że jej uroda niejako leciutko przywiedła: pod oczami pojawiły się głębokie cienie, a skóra straciła dawny blask, jakby dusza dziewczyny od wielu miesięcy cierpiała strapienie odbijające się na jej świeżości. Drżącymi palcami pogładził usta ukochanej, nie mogąc ich dotknąć. W tym momencie przez łzy płynące mu z oczu spostrzegł, że oświetlenie pomieszczenia rozjaśniło się i znikło tamto dziwne zmętnienie, które zdawało się je przyciemniać. Murray zamrugał i odkrył, że gładzi własne odbicie. Cofnął się o krok, zaskoczony i rozdrażniony.

- Nie, nie! Emmo, nie odchodź! Wróć! - krzyczał.

Ale głos stopniowo zamierał mu w gardle, w miarę jak nieubłagany upływ sekund groził, że zmieni wizję Emmy w halucynację lub sen. Krzyk milionera w końcu przeszedł w żalosne łkanie. Przygnębiony i wyczerpany Murray oparł się o lustro i trwał w bezruchu, wstrząsany coraz słabiej dosłyszalnymi szlochami.

Przez głowę znów zaczęły mu się przesuwać obrazy z wypadku, które nie przestawały go dręczyć zarówno we śnie, jak i w stanie czuwania: jego mokre od potu ręce mocno zaciśnięte na kierownicy nowiutkiej maszyny, serce bijące z coraz większą siłą, w miarę jak szukał sposobu na rozpoczęcie wyznania, na wpół zaintrygowany, na

wpół rozbawiony uśmiech Emmy, ten zakręt, zbyt ciasny i pojawiający się zupełnie nagle, samochód staczający się z traktu i pędzący ku stromemu zboczowi, jego próby zapanowania nad pojazdem, który zaczyna podskakiwać na nierównościach, brutalne szarpnięcie, które go wyrzuca z siedzenia i posyła w powietrze, świat rozpryskujący się na tysiąc kawałków i głos Emmy, rozbrzmiewający z coraz większej odległości, wołający jego imię, podczas gdy nad nim rozpościera się ciemność. A potem - nigdy się nie dowiedział, ile minęło czasu - powolne przebudzenie i dantejskie sceny ukazujące się poprzez strzępy mgły nieświadomości: biegnący i krzyczący ludzie, twarze spoglądające ze zmartwieniem, obcasy butów żłobiące w ziemi bruzdy, podczas gdy go stamtąd wleczono, i głos z przekłętą wyrazistością wyróżniający się pośród wrzawy rzucanych w powietrze poleceń, ochryply głos nieznanego, którego twarzy nigdy nie miał ujrzeć, rozbrzmiewający w jego czaszce, wybijający się ponad turkot powozu, w którym wieziono go do szpitala, ponad pytania towarzyszących mu ludzi, ponad każdy inny dźwięk na świecie. To zdanie, którego nigdy nie będzie mu dane zapomnieć, to zdanie, które obwieściło mu koniec: „Trzeba rozciąć żelazo, żeby wyjąć zwłoki”.

- Co się tutaj, u licha, wydarzyło? - spytał Doyle za jego plecami.

Wells otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Teraz był pewien, że doświadczenie, jakie sam przeżył przed tym lustrem tamtego fatalnego dnia podczas wycieczki, nie było efektem żadnego zjawiska optycznego. Podczas gdy wszyscy patrzyli na Emmę i Murraya, on skorzystał z okazji, by sprawdzić własne odbicie, które też nie interesowało się zakochanymi, tylko patrzyło prosto na niego z identyczną zgrozą malującą się na twarzy, ale bez blizny, którą on miał na podbródku. Wells nie wiedział, co to wszystko oznacza, choć było oczywiste, że oba zjawiska są ze sobą blisko powiązane. Lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał głos Jane:

- Emma była ubrana na czarno. Jakby nosiła żałobę.

- Racja - zgodził się Doyle. - I ja miałem na sobie inny garnitur. Dokładnie ten, który byłbym nosił, gdybym dziś rano nie wylał na niego kawy.

- A ja... - próbował ogłosić swoje Wells, lecz Murray nie dał mu dokończyć. Odwrócił się raptownie i wskazał palcem na medium.

- Zrób to jeszcze raz! - zawołał. - Sprowadź ją z powrotem!

Wielki Ankoma cofnął się kilka kroków, machając przed sobą rękami.

- Zaczekaj, Gilmore. Pozwól, że ci wyjaśnię - wtrącił się Doyle, kładąc milionerowi rękę na ramieniu.

Murray strącił ją szorstkim ruchem i ruszył w stronę medium.

- Makoma czy jak cię tam zwa, u diabła, spraw, żeby się znów ukazała, bo inaczej przysięgam, że cię uduszę własnymi rękami!

- Nie umiem! - bronił się Wielki Ankoma najczystszą angielszczyzną, błagając o pomoc Doyle'a.

Szkot próbował powstrzymać milionera, tym razem łapiąc go za ramię i unieruchamiając chwytem podobnym do dźwigni.

- Posłuchaj, Gilmore: to, co się tu wydarzyło, nie ma nic wspólnego z Ankomą.

- To prawda, Monty - potwierdził Wells, stając pomiędzy przyjaciółmi a medium. - Obawiam się, że Ankoma nie ma żadnych mocy.

Murray patrzył na medium, nic z tego nie rozumiejąc.

- Właśnie tak, panie Gilmore - usprawiedliwił się rzekomy Afrykańczyk, próbując odzyskać spokój. - Wiem dokładnie, kim są moi rodzice, doskonale władam językiem angielskim, jak pan zapewne słyszy, i nigdy nie znalazłem się w wiosce ludu Bakongo, nie podnosiłem misek bez dotykania ich, po prostu dlatego że nie mam żadnych takich mocy... Moim jedynym talentem, zgodnie z godną szacunku opinią pana Doyle'a, jest kaligrafia, ładniejsza i bardziej czytelna niż jego pismo odręczne. Przynajmniej tak mi mówi za każdym razem, kiedy prosi, żebym coś dla niego napisał. I szczerze rzekłszy, nie uważam, żebym z tego powodu zasługiwał na uduszenie.

- Nie potrafisz podnosić przedmiotów? A jak to wytłumaczysz? - zapytał Murray, wskazując tabliczkę, która oderwawszy się od stołu,

zaczęła się unosić w powietrzu.

Oniemiali patrzyli, jak przedmiot kołysze się w próżni. Ledwie zdołali wyjść ze zdumienia, gdy kreda również wzbiła się do lotu i zbliżyła do tabliczki, by na niej coś napisać. Skończywszy swe dzieło, z powrotem osiadła na stole niczym dziwny owad. Następnie tabliczka pofrunęła w stronę grupki osób i zatrzymała się przed milionerem.

- „Chciałbyś, żebym cię znów popieściła, miłości moja?” - przeczytał Murray. - O, Emmo - wybełkotał, z nieskończoną wdzięcznością patrząc na powietrze za tabliczką, w miejsce, gdzie przypuszczalnie miała się znajdować twarz jego ukochanej. - Jasne, że tak, moja miłości, tak bardzo pragnę poczuć twoje ręce...

Gwałtowny ruch starł napis z tabliczki, a ta wróciła na stół, gdzie znów zaczęła na niej pisać kreda, po czym wiadomość ponownie pofrunęła w powietrzu do Murraya.

- „Myślę, że znacznie zabawniej będzie was wszystkich pozabijać” - przeczytał milioner.

W tym momencie tabliczka nagle spadła na podłogę, jakby ten, kto ją trzymał, upuścił ją z pogardą, i powietrze rozdarł przerażający męski śmiech. Wszyscy spojrzeli po sobie z mieszaniną strachu i oszołomienia.

- Co, u diabła...? - zawołał Murray. Zrozumiawszy, że nie ma do czynienia z duchem Emmy, oburzony wykrzywił się z obrzydzeniem i otarł sobie policzek rękawem marynarki. Potem, zwracając się w stronę miejsca, gdzie spadła tabliczka, ryknął: - Kim jesteś, cholerny sukinsynu?!

Śmiech przybrał na sile i brzmiał coraz bardziej opętańczo.

- Zostaw go mnie, Gilmore. Mam większe doświadczenie z duchami - rzekł Doyle. Odsunął się od milionera i skierował ku nieokreślonemu punktowi w jadalni. - Kim jesteś, cholerny sukinsynu?!

Powietrze przeciął głos ostry jak brzytwa.

- Chce pan wiedzieć, kim jestem, panie Doyle? Jestem Złem w stanie czystym! Największym łotrem, jakiego można sobie wyobrazić! Zapewniam pana, że gdy pozna pan moje zbrodnie, strach, jaki wywołują, rozplynie się w pańskim podziwieniu dla mojej sprawności.

Doyle zmieszał się wyraźnie, kiedy w jego umyśle zatrzepotały te znajome słowa.

- Łatwo się pisze o źle wcielonym - ciągnął dalej głos - ale nie jest już tak zabawnie stawić mu czoło, kiedy ucieknie ze stronic pańskiej książki, prawda, panie Doyle?

- Ucieknie z moich stronic...? Co chcesz, u diabła, powiedzieć...? - Wówczas przypomniał sobie słowa, które sam napisał w *Ostatniej zagadce*. - O, wielkie nieba... to niemożliwe... niemo... jesteś... Moriartym?

- O, nie - odparł nieznajomy z przewrotnym uśmiechem - choć moje imię też się zaczyna na M. Może George chciałby spróbować szczęścia?

Wells uniósł brwi, słysząc, że głos zwraca się do niego. Tamten milczał przez jakiś czas, a kiedy znów rozbrzmiał, pisarz poczuł go tuż przed sobą, zdawało mu się nawet, że wyczuwa jego cierpki oddech.

- No, dalej, George, kim jestem?

Niewidzialne palce uszczypnęły pisarza w nos. Zaskoczony Wells cofnął się o krok, pociągając za sobą Jane, która go obejmowała. Następnie, wpatrując się bojaźliwie w pustkę, odważył się sformułować absurdalne i przerażające pytanie, które przybierało kształt w jego umyśle od momentu, gdy niewidoczny stwór odezwał się do nich.

- Czy jesteś... Niewidzialnym Człowiekiem?

- To się nie zaczyna na „m”, George - zauważył Doyle, stając u jego boku.

- Nie, ale niewidzialny morderca tak. A za takiego uznał mojego bohatera jego przyjaciel doktor Kemp, gdy ten groził mu śmiercią.

- Co to się dzieje z wami pisarzami? Aż tak daleko sięga wasza próżność? - wykrzyknął drwiąco głos. - Moriarty! Niewidzialny Człowiek! Jestem tylko kimś, kto przybył szukać tego, co do niego należy, co mu ukradła staruszka. Oddaj mi to, George. Wiem, że to masz.

- Staruszka? O czym, u diabła, mówisz?

- Nie, nie, George. Nie udawaj przede mną. - Głos zaczął krążyć wokół grupki tak niepostrzeżenie, że zdawała się przemawiać do nich sama ciemność. - Mówię o książce! O *Mapie chaosu*! Dawaj mi ją, bo inaczej przysięgam, że wszyscy umrzecie!

- Ale ja nie mam tej książki! - bronił się Wells.

Natychmiast pożałował tego, że podniósł głos, ponieważ niewidoczny stwór odpowiedział wściekłym krzykiem:

- Przyjąłeś ją, George!

Następnie rozległa się wrzawa śmiechów i kroków dobiegających, jak się wydawało, zewsząd, jakby stwór zaczął się miotać szaleńczo po jadalni. Płomienie świec poruszały się kolejno, znacząc ślad jego chaotycznej bieganiny.

- Zakochany milioner, urocza młoda kobieta, Wielki Ankoma, zapalczywy Szkot... Kto z nich ma według ciebie umrzeć pierwszy, George?

Doyle wystąpił do przodu.

- Zaczynaj ode mnie, diabelski stworze, jeśli wystarczy ci męstwa!

Ledwie skończył wypowiadać swoje wyzwanie, dał się słyszeć ostry świst i wszyscy odwrócili głowy w stronę, skąd dobiegał, nie wyłączając Doyle'a, który ledwo zdążył dostrzec spadającą nań srebrzystą błyskawicę, gdy poczuł palące ukłucie w prawym uchu. Zaklął i uniósł rękę do zranionego miejsca, które zdawało się buchać płomieniami, a tymczasem za sobą usłyszał głucho uderzenie. Zdezorientowane spojrzenia powędrowały ku ścianie tuż za nim, gdzie teraz znajdowała się szabla, wbita w czoło eleganckiego dżentelmena z ryngrafem - ostrze, zatopione niemal do ćwierci



długości klingi, wciąż drżało. Doyle, nagle poblądły, cofnął się, zrozumiawszy, że celem tej przelatującej broni była jego głowa.

- Mój Boże, Arthurze! - wykrzyknęła Jane, widząc jego zakrwawione palce. - Jesteś cały?

- Tak, to tylko draśnięcie - odparł Szkot, uważnie przeszukując wzrokiem przestronną jadalnię. - Ale to oczywiście, że w zamierzeniu miało być coś znacznie więcej.

Wstrząśnięci tą jawną próbą zabójstwa, przyjaciele zbili się w ciasną grupkę pośrodku pokoju.

- Gdzie się podział, u diabła? - zapytał Murray, rozglądając się na wszystkie strony.

- Tam, patrzcie! - zawołał przerażony Wielki Ankoma, wskazując jeden z herbów. Obfita broda odkleiła mu się z jednej strony i zwisała malowniczo z policzka.

Przed zdumionymi oczyma zebranych jedna z szabli oderwała się od tarczy herbowej i nieśpiesznie poszybowała w powietrzu, obracając się wokół siebie. Najbliższe świece obsypały jej klingę złowieszczymi błyskami, jak gdyby stwór zatrzymał się, aby podziwiać ostrze, zanim użyje go przeciw nim. Wkrótce broń przecięła powietrze kilkoma ciosami. Wszyscy patrzyli na nią wstrząśnięci. Stwór w owych przygotowawczych gestach najwyraźniej napawał się przewrotną grozą chwili, ale zarazem wskazał swoim przeciwnikom, gdzie stoi. Doyle i Murray pojęli to błyskawicznie. Milioner złapał krzesło i uniósłszy je ponad głową, cisnął nim w stronę latającej szabli. Rozległ się jęk bólu, a broń upadła na podłogę. Powietrze rozdarł ryk wściekłości. Tymczasem Doyle potężnym szarpnięciem wyrwał z portretu wbity szablę i ruszył z nią w kierunku miejsca, gdzie podejrzewał obecność stwora. Siekąc powietrze wściekłymi cięciami, krzychał:

- George, zabierz stąd Jane! Woodie, Gilmore, chwytajcie za broń! Okrążyć stół i...!

Szkot, nie dokończywszy zdania, zgiął się wpół, wydając charczący jęk. Sekundę później wyprostował się raptownie z twarzą uniesioną ku sufitowi, jakby otrzymał brutalny hakowy cios w szczękę; chwiał

się przez chwilę i w końcu runął na podłogę. Niemal natychmiast Wielki Ankoma poczuł, jak coś pchnęło go z ogromną siłą i rzuciło na stół. Niczym wleczony huraganem, sekretarz wylądował na blacie - rozległ się przerażający trzask kości i drewna, a jednocześnie lampa stoczyła się na podłogę, pozbawiając ich znacznej części światła, które dotąd rozjaśniało mroki jadalni. Jane krzyknęła ze strachu, ale natychmiast jeszcze głośniej zabrzmiał złośliwy śmiech stwora.

- Powiedz mi, gdzie jest książka, George! - nalegał nieznajomy. - Daj mi *Mapę chaosu* i zaraz będzie po wszystkim! - Stwór zaczął wyc z niemal zwierzęcą wściekłością, a równocześnie na podłogę pospadały z hukiem portrety.

- Bierzcie tyle broni, ile się da, i brońcie się! - wybełkotał Doyle, podnosząc się z ziemi i próbując przekrzyczeć mrozące krew w żyłach wrzaski stwora.

Murray posłuchał go. Zdjął najbliższą szablę ze ściany i rzucił ją Wellsowi, ten jednak, najwidoczniej sparalizowany dantejską sceną rozgrywającą się przed jego oczami, nie zdołał jej złapać. Rękojeść uderzyła go w głowę i to nieco go otrzeźwiło. Niezręcznie podniósł broń i spojrzał na Murraya, wyraźnie zdezorientowany.

- Zabierz stąd Jane! - polecił milioner, biorąc tymczasem drugą szablę.

Wells kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Jane wzięła go pod ramię i pociągnęła w stronę jednych z drzwi. Milioner poszukał w tym czasie wzrokiem Doyle'a. Szkot, zataczając bronią szerokie kręgi, zmierzał w stronę stołu, gdzie leżał bezwładnie jego sekretarz. Murray podążył za nim, raz po raz dźgając wokół siebie szablą. Okrzyki stwora ucichły, przez co nie dało się go teraz zlokalizować - mógł być dosłownie gdziekolwiek. Doyle dotarł do sekretarza i sprawdził mu puls.

- Żyje? - zapytał milioner. Stał za plecami Szkota, nie przestając ciąć bronią powietrze.

- Tak, tylko stracił przytomność, ale musimy go stąd zabrać, Gilmore. Pomóż mi...

- Drzwi są zamknięte na klucz! - zawołał Wells z przeciwnego końca jadalni, po tym jak razem z Jane sprawdzili oba wyjścia. - Jesteśmy uwięzieni!

- Co?! - wykrzyknął Murray. - A klucze?

- Do diabła, zostawiłem je w jednej z dziurek! - odrzekł Doyle. - Jesteś pewien, że nie ma ich w żadnej, George?

- Gdyby tak było, nie wołałbym, że jesteśmy uwięzieni, Arthurze! - odkrzyknął rozdrażniony Wells. Ulokował Jane pod ścianą, a sam stanął przed nią, i wymachując bronią bardziej z determinacją niż ze zręcznością, osłaniał żonę, gotów bronić jej przed wszelkim zbliżającym się zagrożeniem.

- Nie masz przy sobie zapasowych kluczy, Gilmore? - szepnął Doyle, nasłuchując dźwięków, jakie mogłyby mu zdradzić pozycję niewidzialnego stwora.

- Nie... Jeden zestaw wisi w holu na haczyku koło drzwi wejściowych - odpowiedział milioner również szeptem, oglądając się przez ramię i wciąż trzymając przed sobą wyciągniętą szablę. - Moglibyśmy zawołać wszyscy razem i spróbować dać znać Baskerville'owi, choć wątpię, czy staruszek nas stąd usłyszy... Ale co, u licha...? - wykrzyknął zaalarmowany.

Szkot odwrócił się i równocześnie z podmuchem gorąca, który poczuł na twarzy, ujrzał, co przestraszyło Murraya: płomień jakiejś przewróconej świecy musiał się zetknąć z olejem z przewróconej lampy, a nitka ognia docierała już do jednego z wiszących na ścianach gobelinów.

- Do cholery! Trzeba to ugasić! - wykrzyknął Doyle i rzucił swą broń Murrayowi. - Osłaniaj mnie!

Milioner ustawił się za nim, zaciekle wymachując obiema szablami, a tymczasem Szkot zdjął marynarkę i uderzając nią płonący gobelin, wzbijał tumany iskier. Jednak wszystko to było bezużyteczne. Płomienie, zaledwie lekko przytłumione mimo jego wysiłków, przerzuciły się już na sąsiedni arras, a stamtąd przeskakiwały dalej, żarłocznie pożerając stare tkaniny i obrazy. Czując, że sobie nie poradzi, Doyle zaniechał dalszych prób gaszenia pożaru. Czarniawy

dym, niczym ogromna ektoplazma, niewiarygodnie szybko materializował się w pokoju, wyciągając macki ku sufitowi. I Doyle, i Murray zaczęli kaszleć. Na drugim końcu jadalni Wells i Jane z przestraszonym śledzili postępy ognia.

- Jesteśmy zamknięci tutaj w pułapce z tym czymś! - lamentował pisarz.

Okoliczności zdecydowanie już go przerastały. Nagle poczuł tuż obok siebie podmuch powietrza i otrzymał silny cios w rękę. Upuścił szablę i dezorientowany patrzył, jak broń sunie po podłodze. Zaraz potem Jane została porwana tuż spod jego boku z taką brutalną siłą, z jaką wyrывa się zęb trzonowy z dziąsła.

- Jane! - wykrzyknął, robiąc krok w jej stronę.

- Cicho, bo ją zabiję, George! - rozkazał głos, który teraz wydobywał się zza Jane. A zwracając się do Murraya i Doyle'a, dorzucił: - Wy dwaj tam nie ruszajcie się ani o centymetr, bo rozerwę tę delikatną szyję, zanim cokolwiek zdążycie zrobić!

Wells zatrzymał się z jękiem rozpaczony. Milioner i Szkot też tkwili bez ruchu i przez chwilę trwającą wieczność trzej mężczyźni patrzyli bezsilnie na kobietę, która stojąc na palcach, niemal wisiała w powietrzu z coraz bardziej zaczerwienioną twarzą. Spowity płomieniami gobelin ześliznął się po ścianie ze stłumionym sykiem przypominającym deszcz na morzu.

- Tak, to mi się podoba. A teraz, George, daj mi tę książkę, bo inaczej twoja żoneczka umrze - odezwał się głos.

- Proszę, nie rób jej krzywdy! - zaczął błagać pisarz. Przelknął ślinę i udając spokój, od którego był daleki, zaproponował: - Posłuchaj, nie mam żadnej książki nazywanej *Mapą chaosu*, ale dam ci, co tylko zechcesz, naprawdę. Wszystko, o cokolwiek poprosisz. Cokolwiek, co...

Stwór zniecierpliwiał się.

- Niczego od ciebie nie chcę oprócz tej książki!

- Proszę, puść ją, nie może oddychać, proszę... Mówię ci, że nie może oddychać! - wykrzyknął Wells łamiącym się głosem. - Przeklęty

draniu! - dodał, zatracając się w irracjonalnym wrzasku. - Nie rób jej krzywdy, bo...!

- Bo co? - zadrwił głos ze śmiechem.

Wells potrząsnął głową z oczyma pełnymi łez, przytłoczony bezsensu tego wszystkiego. Ogień zaczynał rozprzestrzeniać się na sufit, z góry sypały się małe rozżarzone drzazgi, dziesiątki płonących światełek, które opadały łagodnym, rozkołysanym ruchem, a potem dogasały i zamierały na podłodze, jak gdyby ktoś wystrzelał stado wrózek. Rozumiejąc bezradność przyjaciela, Murray zrobił krok, żeby okrążyć stół, ale głos niewidzialnego wroga natychmiast go zatrzymał.

- Spokój tam! Powiedziałem, że macie się nie ruszać, bo przysięgam, że ją zabiję!

I by potwierdzić swoją groźbę, podniósł Jane kilka centymetrów wyżej. Teraz jej stopy nie dotykały już podłogi. Wells, ze łzami płynącymi po policzkach, patrzył, jak dłonie jego żony próbują coś chwycić przy szyi, a twarz robi się fioletowa. Widział, jak Jane unosi rękę i desperacko gestykuluje w powietrzu, jakby chciała podrapać coś, co miała za głową, ale zdołała jedynie zburzyć sobie upięcie włosów.

Podczas gdy wściekły Wells patrzył na mękę swej żony, Doyle, z szyją i ramieniem zalany krwią, zwrócił uwagę na inny szczegół: niepostrzeżenie klamka drzwi wychodzących na hol zaczęła się wolno poruszać. A więc woźnica Gilmore'a przybył im na ratunek, być może zaalarmowany krzykami. Była to jednak nędzna pociecha, nie tylko z powodu ograniczonych możliwości fizycznych staruszka, lecz także dlatego, że zajrzawszy do środka po otwarciu drzwi, nie dostrzeże on żadnego wroga ani nie zrozumie, co się tutaj dzieje, a jeśli spróbuje wszcząć alarm, stwór z całą pewnością zabije Jane. Szkot, walcząc z nudnościami wywołanymi przez dym, starał się myśleć jasno, ale zabrakło mu czasu. Ujrzał, jak drzwi otwierają się i wsuwa się przez nie głowa Baskerville'a.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął staruszek na widok płomieni.

I to wystarczyło. Jane błyskawicznie odwróciła się jak marionetka, co świadczyło o tym, że stwór też usłyszał woźnicę. W tym momencie zdarzyło się jednak coś, czego nikt nie brał pod uwagę: kobieta jedną ręką - w której coś zdawała się trzymać - sięgnęła do tyłu, za własną głowę, i stwór wydał przerażający ryk bólu, upuszczając ją jednocześnie na podłogę.

- Moje oko! - wył, a tymczasem jedna z długich szpilek, którymi Jane upinała sobie włosy, unosiła się w powietrzu, wstrząsana konwulsyjnie na prawo i lewo, wbita mocno w nicość. - Moje oko!

Wells podbiegł do żony, która klęcząc, walczyła o oddech wśród kaszlu i mdłości. Szpilka do włosów wciąż miotła się w próżni kilka metrów od nich. Nagle opuściła się ku podłodze, a potem zaraz znów uniosła, frunąc wraz z szablą upuszczoną przez Wellsa. Obie pośpiesznie skierowały się do wyjścia z pokoju.

- Baskerville, odsuń się od drzwi! - zawołał milioner, kiedy zrozumiał, co się dzieje.

Zwinnym susem wdrapał się na stół i rzucił Doyle'owi jedną z szabli. Szkot złapał ją w locie, również wskakując na stół. Obaj pokonali przeszkodę kilkoma długimi krokami, ze wzniesioną bronią, zagrzewając się nawzajem okrzykami, które splątane ze sobą, stały się niezrozumiałe. Ale niewidzialna istota dotarła do drzwi przed nimi, a tam wciąż stał zdeorientowany staruszek - sparaliżowany niedowierzaniem, patrzył, jak zamierza się na niego płynąca w powietrzu szabla. Ostrze wbiło się w jego brzuch bez najmniejszego oporu, jak nóż w gąbczaste ciasto biszkoptowe. Woźnica szeroko otworzył oczy, czując, jak broń drąży lodowaty tunel w jego wnętrzościach, ale nawet nie jęknął. Wówczas jego ciało, wciąż nadziane na szablę, zostało gwałtownie wyrzucone w stronę nadbiegających Doyle'a i Murraya. Upadli wszyscy trzej, tworząc kłębowisko ciał i stali.

Doyle podniósł się jak najprędzej i popędził do holu, a tymczasem Murray trzymał swego stangreta w ramionach. Natężając wzrok, Szkot dostrzegł szpilkę Jane unoszącą się coraz wyżej nad schodami. W pewnym momencie szpilka została gwałtownie ciśnięta o podłogę,

jakby Niewidzialny Człowiek wyrwał ją sobie w desperacji z oczodołu. Doyle wrócił do jadalni, gdzie żar stawał się już nie do zniesienia.

- Pobiegł na górę! - ogłosił, zasłaniając sobie usta rękawem, by się ochronić przed dymem. - Na piętrze nie ma żadnej szansy ucieczki! Gilmore, idziemy za nim! - A patrząc na Wellsa, który pomagał żonie wstać, zakomenderował: - Wy wynieście rannych i wsadźcie ich do powozu! Potem zawieźcie ich do szpitala i zawiadomcie policję!

- Oszalałeś, Arthurze? - zaprotestował Wells. - Zapomnij o tym potworze! Trzeba się stąd jak najszybciej wynosić!

- Tak, ogień wymknął się spod kontroli... - zauważył Murray.

Szkot ocenił rozmiary pożaru, który z początkowego ogniska rozprzestrzenił się na całej długości wszystkich ścian i pełzył po suficie, wijąc się po wspierających go belkach.

- Wiem, do cholery! - ryknął, starając się przekrzyczeć narastający trzask płomieni. - Ale posłuchajcie: ten stwór nie zatrzyma się przed niczym. Nie rozumiecie? Gdyby chciał uciec, mógł wyjść przez drzwi i zniknąć na wrzosowisku. Ale został w tym domu, żeby próbować nas zabić, zanim się oddalimy. Jeżeli go nie przyciśniemy teraz, gdy jest ranny, żaden z nas do końca życia już nie zaśnie spokojnie, zwłaszcza ty, George...

- Ale to coś jest niewidzialne, w razie gdybyś nie zauważył! - wybuchnął Wells wyprowadzony z równowagi. - Jak go, u licha, chcesz znaleźć?

- Znajdziemy go! - wtrącił Murray, uprzedzając Doyle'a. - Patrzcie, sam nam wyznaczył drogę!

Przed ich zdumionymi oczyma na podłodze pojawiła się znikąd strużka krwi, rysując się na deskach stopniowo jak za sprawą magii. Czerwony trop przechodził pod stopami Szkota, prowadził do holu i wspinał się schodami na górę.

- Zostawia krwawy ślad! - wykrzyknął Doyle, zafascynowany tym niespodziewanym łutem szczęścia. - Trzeba działać natychmiast!

Wielkimi krokami podszedł do swego sekretarza, wciąż leżącego na stole, wziął go pod pachy i powłókł w stronę drzwi. Zarażeni jego

zapalem, pozostali podnieśli woźnicę, który jęczał cichutko, jakby nie chciał swoim cierpieniem sprawiać im kłopotu. Kiedy go ułożyli na podłodze korytarza, staruszek utkwiał rozgorączkowane spojrzenie w Jane.

- Nic ci nie jest, moja kochana? - wymamrotał, dobywając z siebie ostatnich sił, by się do niej uśmiechnąć. - Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało...

Poruszona słowami starszego człowieka, którego ledwie знаła, kobieta zapewniła go, że czuje się doskonale.

- Biedak majaczy... - stwierdził Wells, cokolwiek zazdrosny o nadmierną troskę, jaką stangret okazywał jego żonie.

Doyle położył Wooda obok Baskerville'a, który błędził wzrokiem po suficie, leżąc z otwartymi ustami jak ryba wyjęta z wody. Z kącika jego ust popłynęła spokojnie strużka krwi. Obejrzawszy ranę z zawodowym znanstwem, Szkot posłał mu spojrzenie pełne nieskończonego współczucia i wszyscy zrozumieli, że nie ma dla niego nadziei.

- George, zanieś go do powozu. I postaraj się zatrzymać krwawienie jakimś... Cóż, jestem pewien, że znajdziesz coś stosownego... - Westchnął bezsilnie, a potem spojrzał Wellsowi w oczy. - Teraz słuchaj uważnie: Gilmore i ja pójdziemy po to coś. - Rzucił niepewne spojrzenie w stronę schodów. - Jeżeli nie zejdziemy za piętnaście minut, jedź po pomoc. Piętnaście, ani minuty dłużej!

Wells kiwnął głową ze zrezygnowaniem. Polowanie, które Szkot zamierzał doprowadzić do końca, wydawało mu się szaleństwem, nie czuł się jednak na siłach do dyskusji. Doyle zlecił mu ewakuację rannych, misję niewiarygodnie łatwą w porównaniu z tą, którą przydzielił sobie, zatem lepiej go będzie posłuchać. Szkot spojrzał na milionera.

- Jesteś ze mną, Gilmore?

- Oczywiście - odparł tamten z uśmiechem. - Ale jeżeli mamy umrzeć razem, Arthurze, myślę, że choćby tego jednego wieczoru mógłbyś mi mówić po imieniu: Gilliam.



## XXI

Podczas gdy Jane i Wells wynosili woźnicę z rezydencji, Murray i Doyle skierowali się na schody. Wells bał się o życie ich obu, nie tyle o Szkota, który zawsze wydawał mu się umiarkowanie niezniszczalny, ile o milionera, po którego śmierć, być może obrażona uchybiającą jej farsą, jaką przeprowadził w czwartym wymiarze, już zaczęła wyciągać ręce.

- Zaczekaj, Arthurze! - zawołał właśnie Murray. - Dlaczego mielibyśmy się zadowolić tylko parą szabel? - Podszedł do jednej ze ścian w holu, zdjął z niej ogromną żelazną pałkę i wręczył ją ceremonialnie Doyle'owi. - Ta broń najwyraźniej czekała tutaj na ciebie. Ponadto, jak rozumiem, jesteś wielkim pałkarzem, no nie?

Doyle zawiesił sobie szablę u pasa, wziął obiema rękami maczugę i zważył ją w dłoniach z satysfakcją.

- Fantastyczna broń, naprawdę godna prawego rycerza! - stwierdził i wykonał kilka przerażających uderzeń w powietrzu. - A ty, Gilliamie, którą wybierzesz?

Murray odwrócił się. W rękach dzierżył wielką kuszę, na której - odkąd podczas pierwszej wizyty Szkot zademonstrował jej skomplikowany mechanizm - miał założony bełt.

- Prawda jest taka, że nigdy nie uważałem się za zbyt prawego człowieka - usprawiedliwił się z półuśmiechem.

Mimo półmroku krwawy trop był wystarczająco widoczny na białych stopniach. Doyle zaczął po nich wchodzić, a milioner deptał mu po piętach, próbując przymocować sobie do pasa drugi bełt. Zdjął go na dole ze ściany po chwili wahania. Dwa to lepiej niż jeden,

choć gdy sobie przypomniał słowa Doyle'a na temat skomplikowanego mechanizmu kuszy, szczerze wątpił, czy uda mu się ją załadować ponownie. Na jednym ze stopni znaleźli pamiętną szpilkę do włosów. Doyle pochylił się i ostrożnie podniósł ją, chwytając za koniuszek. Zauważył, że waży więcej, niż powinna, więc stopniowo przesunął palec ku drugiemu końcowi, aż napotkał pewien opór w powietrzu. Stwierdziwszy, że zanurza opuszek w czymś mazistym i lepkim, skrzywił się ze wstrętem.

- Mój Boże, zdaje się, że na szpic jest nadziane jego oko... Niech mnie powiesz, jeżeli rozumiem, co się tutaj dzieje.

Z odrazą upuścił szpilkę na podłogę i znów ruszył w górę. Murray podążył za nim, uważając, żeby nie nadepnąć na szpilkę.

- Ale jeżeli ty nie rozumiesz, a jesteś ekspertem... O, może zapytajmy to niezwykle a u t e n t y c z n e medium, które sprowadziłeś z Afryki! - zaproponował, udając nagły entuzjizm. - Jakże się ono teraz nazywa? Ach, tak... Woodie. Prawda, nie brzmi tak imponująco jak Amonka.

Doyle wchodził po schodach, skupiony na tropie utworzonym z błyszczących rubinów, które zdawały się wyrastać z podłogi niczym chore kwiaty. Badał każdy stopień z najwyższą uwagą, bojąc się, że Niewidzialny Człowiek nagle dokądś zboczy albo nawet cichaczem wróci po własnych śladach.

- Nie sądzę, żeby to był odpowiedni moment na rozmowę o tym, Gilliamie - mruknął.

- Taak, ale może nie będziemy już mieli lepszego, mój drogi Arthurze - odrzekł Murray, idąc tuż za jego plecami i co chwilę mierząc z kuszy w każdą fałdkę ciemności, która zdawała się poruszać. - A nie chciałbym umrzeć, nie wiedząc, skąd wystrasnęliście tego nieszczęśnika i przede wszystkim skąd, u licha, znał przezwisko Emmy.

- To mój sekretarz.

- Co?!

- Nie podnoś głosu! - upomniął go Szkot szeptem. - Woodie to mój sekretarz. I nie ma żadnego Wielkiego Ankomy. George i ja wymyśliliśmy tę postać i całą jej historię... - Doyle wspinał się nadal, nie odwracając się, więc nie zobaczył zaskoczonej miny towarzysza. - A jeśli chodzi o przezwisko Emmy... Widzisz, kiedy byliśmy u ciebie po raz pierwszy z wiadomością o medium, George wyszedł na chwilę z salonu. Wyobrażam sobie, że z powodu opłakanego stanu, w jakim byłeś, nie przypominasz sobie tego, ale faktem jest, że wykorzystał ten czas, by zajrzeć do twojego gabinetu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się nam przydać. W szufladzie biurka znalazł korespondencję, jaką wymieniałeś z Emmą, i ukradł kilka listów. Tak właśnie odkrył wasze pseudonimy... P a n i e N i e m o ż l i w y.

Przez chwilę szli po schodach w milczeniu, a Murray w tym czasie próbował wybrać pytanie spośród wielu, jakie kotłowały się w jego głowie.

- Ale po kiego diabła chcieliście urządzać fałszywy seans spirytystyczny? - spytał w końcu.

- Żeby cię powstrzymać przed samobójstwem - odrzekł Doyle. - George był zdesperowany... Czuł się winny śmierci Emmy. To on ci doradził, żebyś jej wszystko powiedział, pamiętasz? I uważał, że jego powinnością jest za wszelką cenę umożliwić ci dokończenie wyznania. Był przekonany, że tylko w ten sposób odzyskasz spokój ducha.

- Jakie to przemyślane.

- Gdy mi powiedział, że jedyne, co może cię uratować, to rozmowa z Emmą podczas seansu spirytystycznego, myślałem, że chodzi mu o prawdziwy seans, ale szybko wyprowadził mnie z błędu. George chciał, żebyś z nią porozmawiał, lecz nie był skłonny podejmować przy tym jakiegokolwiek ryzyka. Uważał, że musi mieć wszystkie okoliczności pod kontrolą: medium, odpowiedzi Emmy, jej przebaczenie... Wszystko. W jego zamierzeniu ona miała kazać ci żyć dalej, a nawet zobligować cię, byś był szczęśliwy, na miarę twoich możliwości... - Szkot pokiwał głową, uśmiechając się lekko. - Nie wiem, jak mnie przekonał, żebym wziął udział w spirytystycznym oszustwie, skoro sam tak je potępiałem... Ale do licha! W końcu

prawie mi się to spodobało! Musisz przyznać, że udało się nam skonstruować dość wiarygodną historię: nieznanne medium, ręka przeznaczenia...

- Widziałem Emmę w ogrodzie! - przerwał mu Murray.

- Och, to... - bąknął Doyle, zatrzymując się, by ze zmarszczoną brwią przyjrzeć się lepiej krwawemu śladowi, niczym ochmistrzyni niezadowolona z pracy służby. - Emma z ogrodu to też nasza sprawa... - wyznał, znowu ruszając w górę. - Panna Leckie uprzejmie zgodziła się nam przysłużyć. Z pomocą twoich służących zdobyliśmy jedną z sukienek Emmy i jedną z jej parasolek... To jedyne, co nam przyszło do głowy. Byliśmy zdesperowani! Mijały dni, a nam nie udało się przekonać cię do udziału w seansie z Wielkim Ankomą...

- W takim razie, kiedy mnie podjudzałeś do rzucenia się przez okno... - zamyślił się milioner - chciałeś, żebym zobaczył pannę Leckie!

- To elementarne, drogi Gilliamie.

- Święty Boże! A gdybym jej nie zobaczył i rzucił się?

- Była wyraźnie widoczna - rzekł Szkot, wzruszając ramionami. - Poza tym wiedziałem, że się nie rzucisz.

- Święty Boże... - powtórzył Murray, nie będąc w stanie dodać już nic innego.

Dotarłszy na szczyt schodów, Doyle wnikliwie przyjrzał się podłodze.

- Trop kieruje się do prawego skrzydła domu - oznajmił, wskazując podbródkiem długi, tonący w mroku korytarz.

- Ten korytarz to ślepa uliczka... - mruknął Murray nieobecny tonem. - Wszystkie pokoje są zamknięte na klucz z wyjątkiem jednego, który służy jako magazynek na narzędzia i cement.

- Wobec tego polowanie będzie łatwe - stwierdził Szkot. - Choć nie zaszkodziłaby nam odrobina dodatkowego... wigoru.

Wyjął z kieszeni puzderko z kokainowymi pastylkami, z obrazem przedstawiającym radośnie bawiące się dzieci na wieczku,

i zaoferował jedną Murrayowi, lecz ten bez wahania odmówił.

- Dziękuję, Arthurze, ale wystarczy mi wściekłość, która mnie rozsadza.

- Jak chcesz. - Doyle wzruszył ramionami. Wziął pastylkę, z powrotem zamknął puzderko i walecznie potrząsnął maczugą. - Teraz idziemy po tego sukinsyna!

Milioner zatrzymał go, chwytając za ramię, zanim Szkot zdążył zrobić pierwszy krok.

- Zaczekaj chwilę, Arthurze... Jak rozumiem, ten niewidzialny potwór nie jest kolejną z waszych sympatycznych pantomim. - Przez moment myślał o tym, co właśnie powiedział. - Nie, jasne, że nie. Nadzianie na szablę biednego Baskerville'a nawet jak na was byłoby zbyt dalekim posunięciem. Ale... - Spojrzał Doyle'owi prosto w oczy. - A lustro?

- Też nie - odparł Szkot. - Nalegaliśmy, aby urządzić seans w Brook Manor, po to by spokojnie przygotować sztuczkę z tablicami. W twoim domu byłoby to niemożliwe, w domu Wellsa zajęłoby zbyt dużo czasu, a w moim... Powiedzmy, że nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby moje dzieci albo moja żona przyłapali mnie na pospolitym spirytystycznym oszustwie. Lecz co do lustra... Jak moglibyśmy spreparować coś takiego? - parsknął, wyrażając zarazem konsternację na wspomnienie tamtego zdarzenia. - To, co widzieliśmy wtedy w lustrze, było prawdziwym dziwem, tajemnicą, którą bez wątpienia powinniśmy przeanalizować na spokojnie. Ale najpierw należałoby się stąd wydostać, nie sądzisz?

Murray skinął głową, jednak nie ruszył się z miejsca.

- A co właściwie widzieliśmy, Arthurze? Gdzie była Emma?

- Tego nie wiem, przyjacielu - przyznał Doyle, w zakłopotaniu kręcąc głową.

- Czy to... były te zaświaty, o których tyle mówisz?

Szkot opuścił maczugę, oparł ją o podłogę i sapnął, znużony rozmową.

- Nie sędzę, żeby to były zaświaty, Gilliamie. Moim zdaniem w lustrze widzieliśmy wtedy... inny świat.

- Inny świat?

- Tak, inny świat. A to zwierciadło zapewne jest przejściem, czymś w rodzaju portalu... - Doyle zamyślił się. - Przypomniało mi dziurę, którą otwierali u siebie w powietrzu Szuwanie, a tobie nie?

- O, tak, faktycznie - przytaknął Murray tonem znawcy.

- Jeśli dobrze pamiętam, tamta magiczna dziura też była portalem, ale prowadziła do czwartego wymiaru, na bezkresną różową równinę, gdzie znajdowało się wiele podobnych drzwi otwierających się na różne momenty naszej przyszłości i przeszłości. Ale... a jeśli tak nie było? Jeśli tamta równina nie była czwartym wymiarem, tylko czymś w rodzaju przedsionka wiodącego do innych światów? A jeżeli zwierciadła są skrótami, portalami prowadzącymi bezpośrednio do innych rzeczywistości, bez przechodzenia przez tamten wielki przedsionek?

- Do innych rzeczywistości?

- Tak, do czegoś, co mogło się zdarzyć, ale z jakiegoś względu nie zdarzyło się albo doszło do czegoś przeciwnego. - Doyle mówił wolno, jakby to wszystko dopiero przychodziło mu do głowy. - Nie wiem, czy zauważyłeś, że moje odbicie miało inny garnitur. - Murray zaprzeczył powolnym ruchem głowy. - Nie szkodzi. Faktem jest, że było ubrane w garnitur, który włożyłem dziś rano, ale oblałem się kawą i zmieniłem go na ten, który widzisz. Rozumiesz, co to oznacza? To lustro pokazało nam alternatywną rzeczywistość, w której zdarzenia nastąpiły w innej formie: ja nie oblałem się kawą, a Emma...

- A Emma nie umarła! - dokończył za niego Murray, raczej w oszołomieniu niż w euforii.

- Właśnie, w tamtej rzeczywistości to nie ona zginęła w wypadku - przytaknął Szkot, spoglądając na towarzysza znacząco i obserwując, jak jego mina zmienia się ze skonsternowanej w osłupiałą, w miarę jak dociera do niego sens tego zdania. Doyle'owi nie było jednak na rękę, by Murray dalej o tym rozmyślał: potrzebował go u swego boku z wolną głową. Wyprostował się, chwycił pałkę i przeszkukał wzrokiem

ciemności pulsujące gdzieś w głębi korytarza. - Ale zapomnijmy o tym teraz, Gilliamie. Musimy zapolować na tego przekłętą ducha.

- A co ten niewidzialny stwór ma z tym wszystkim wspólnego? - mruknął Murray, nawet nie drgnąwszy.

- Tego nie wiem.

- Przybył z jeszcze innej rzeczywistości?

- Tego też nie wiem, do cholery! - wybuchnął Szkot. Przez kilka sekund przyglądał się z niepokojem korytarzowi, w który się mieli zapuścić, a potem zwrócił się do Murraya. - Ale powiem ci coś, Gilliamie... - Odetchnął głęboko, zrozumiał nagle, że oto jest moment, którego tak bardzo pragnął w swych dziecięcych marzeniach, moment, w którym zachowa się jak prawdziwy średniowieczny rycerz: ma rozwichrzone włosy, dzierży śmieszna, przeżartą przez rdzę maczugę, a u pasa wisi mu wyszczerbiona szabla, która grozi, że przy najmniejszym ruchu fatalnie go okaleczy; mimo wszystko uśmiechnął się, jak to tylko potrafią bohaterowie z dawnych czasów. - Posłuchaj, Gilliamie Murray, zwany Panem Czasu: ja, Arthur Conan Doyle, ojciec Sherlocka Holmesa, obiecuję ci, że jeśli wyjdziemy stąd żywi, poświęcę resztę moich dni na rozwikłanie tej tajemniczej zagadki; a jeżeli istnieje jakaś droga prowadząca do damy twojego serca, zapewniam cię, że ją odnajdę.

Milioniernik kiwnął głową, na wpół wzruszony, na wpół onieśmielony epickim tonem pisarza.

- Więc na co czekamy, Arthurze? - zawołał nagle, ogarnięty niemal dziecięcą ekscytacją. - Chodźmy po tego niewidzialnego człowieka.

Nie zrobili jeszcze kroku, kiedy zaskoczył ich dobiegający z dołu poszum. Obydwaj wbili wzrok w podłogę, a ta zadrżała i trzęsła się coraz mocniej, jak drżą tory, gdy zbliża się pociąg, i zanim zdążyli zrozumieć, co się dzieje, piętro się zawaliło. Huk był ogłuszający. Pozbawiony oparcia dla stóp Murray poleciał w próżnię. Cudem jedną ręką zdołał się chwycić poręczy balkonu, drugą zaś zacisnął na ciężkiej kuszy, żeby jej nie stracić. Poczł straszliwy skurcz lewego ramienia, a jednocześnie twarz oparzył mu rozpalony podmuch. Murray jęknął z bólu, który owijał go na podobieństwo drutu

kolczastego. Gdy ból nieco ustąpił, milioner odkrył, że spadając, oderwał część balustrady i teraz wisi w powietrzu z brzuchem przyciśniętym do wyszczerbionego skraju ogromnej dziury, która niczym krater wulkanu wyrzuca czarniawy obłok dymu i nieznosnego gorąca. Stwierdził z ulgą, że między otworem a balustradą uchwycił się kruchy pas podłogi, wąski jak korytarzyk. Milioner odsunął kuszę możliwie jak najdalej od brzegu i z najwyższym wysiłkiem zaczął się wspinać po wiszącej balustradzie jak po drabinie. Za każdym razem, kiedy wywierał nacisk kolanami albo łokciami, mała rampa kruszyła się i kawałki podłogi spadały w płomień niczym złowieszczy omen. Murray bał się, że runie, ale ostatnim, tytanicznym wysiłkiem zdołał wydzwignąć się na łamliwy gzyms. Zwalił się nań, zdyszany, z rękami i nogami pełnymi zadrapań. Zgubił szablę, ale nie zapasowy bełt, który wciąż tkwił przymocowany u pasa. Wolałby, żeby się stało na odwrót, było jednakże oczywiste, że jego opinia zbytnio się tu nie liczy. Przynajmniej był chwilowo bezpieczny, choć nie mógł sobie pozwolić na luksus odpoczynku. Poprawił kuszę, wstał, ostrożnie zachowując równowagę na tej półce niewiele szerszej niż pół metra, i spróbował rozejrzeć się w gęstym dymie. Większa część podłogi galerii była teraz wielką, ziejącą dziurą, chociaż na szczęście brzeg, na którym się znalazł, okazał się na tyle szeroki, by umożliwić mu dotarcie do schodów, o ile nie zawali się pod jego ciężarem w trakcie tej wędrówki.

Jego sytuacja nie przedstawiała się zbyt obiecująco, ale najgorsze ze wszystkiego było to, że nie dostrzegł ani śladu Doyle'a. Przedtem widział go spadającego jak kamień ze zdumieniem wymalowanym na surowym obliczu. Murray zastanawiał się, czy jego przyjaciela pochłoneła dziura i zginął w żarłocznych płomieniach, czy może też zdołał się czegoś chwycić. Dym nie pozwalał mu nic zobaczyć. Mimo to milioner odrzucał myśl, że ojciec Sherlocka Holmesa mógł zginąć taką śmiercią. Ostrożnie wychylił się nad krawędzią, akurat w tym momencie, kiedy z dolnego piętra strzeliły potężne języki ognia, zmuszając go, żeby natychmiast się cofnął. Nie odważył się tego powtórzyć.

- Arthurze! - zawołał, kaszląc. - Arthurze!



Wykrzykiwał jego imię, dopóki omal się nie udusił. Pogmerał w kieszeni, wyjął z niej chusteczkę i zakrył nią sobie usta i nos, walcząc z osłabieniem i nudnościami. Jego gardłem wstrząsały szlochy. To niemożliwe, Doyle nie mógł umrzeć... Ostatkiem sił znowu zawołał jego imię, czując, jak płuca palą mu się na węgiel, rozpadają na tysiąc suchych, rozżarzonych kawałków. Nikt mu nie odpowiedział. Słyszał jedynie zachłanny, nienasycony huk ognia, ten głodny zwierzęcy ryk, ów przerażający, niekończący się trzask, jakby całą planetę miażdżył w paszczy jakiś olbrzymi potwór. Wkrótce kilka metrów od miejsca, w którym znajdował się Murray, w jakimś nieokreślonym punkcie na półce, między nim a schodami, zabrzmiał znajomy śmiech.

- Zatem twój przyjaciel nie żyje... - powiedział głos, przesycony radosną wściekłością. - W takim razie zostaliśmy tylko ty i ja. A ty mnie nie widzisz... Kto jest teraz myśliwym, a kto ofiarą? - Znowu rozległ się opętańczy śmiech i milioner pomyślał, że jeżeli będzie go słuchał trochę dłużej, zarazi się od niego szaleństwem. - Głupcze, jestem Niewidzialnym Mordercą! Ostrzegałem was: wszyscy zginiecie...

- Idź do cholery! - wykrzyknął Murray. Skierował kuszę w stronę, skąd dochodziły salwy śmiechu, lecz nie odważył się jeszcze wystrzelić. Wiedział, że jeżeli spudłuje, nie będzie miał czasu na załadowanie drugiego bełtu.

Śmiech ucichł równie niespodziewanie, jak przedtem wybuchnął. Murray wahał się, nerwowo celując w różne strony. Natężył słuch, starając się nie kaszleć, i zawzięcie mrugał, a łzy spływały mu po policzkach i niemal natychmiast wyparowywały z lekkim sykiem. Nie mógł w żaden sposób stwierdzić, czy Niewidzialny Człowiek nadal stoi, czy nie przykucnął ani czy się nie oddalił albo przeciwnie - nie zbliżył do niego, a nawet czy nie mógłby go dotknąć, gdyby wyciągnął rękę. Nie wiedział też, czy wciąż krwawi, ponieważ podłoga była teraz splamiona jego własną krwią oraz pokryta popiołem i sadzą, co uniemożliwiałoby zidentyfikowanie jakiegokolwiek śladu. Pomyślał, że najlepiej byłoby wycelować w miejsce, gdzie powinny znajdować się nogi tamtego, ale wtem przyszło mu do głowy, że może ta kreatura wisiała poza barierką z ciałem wychylonym ku dziurze i teraz zbliża

się chyłkiem, stawiając niewidzialne stopy na kolejnych prętach balustrady. Gdy dotrze na jego wysokość, wystarczy jej, że go zepchnie, tak by spadł do otworu, uczepiony swej głupiej kuszy.

Murray pośpiesznie wpasował jedną ze stóp pomiędzy pręty balustrady i zaczął wściekle omiatać powietrze bronią. Zrozumiał, że jest tylko kwestią czasu, kiedy opadnie z sił i nastąpi przerażające pchnięcie. Jego stopy oderwą się wówczas od podłoża, poczuje nagłe mdłości w żołądku, a jego ciało polecą wprost w płomienie. Przebiegł go dreszcz strachu. Nie chciał umierać, nie teraz, gdy wiedział, że Emma żyje pod jakimś podwójnym dnem rzeczywistości, a on musi tylko znaleźć sposób, by do niej dotrzeć.

- Gdzie jesteś, tchórze? - wyzwał tamtego, poruszając kuszą w powietrzu. - No dalej, odezwij się! Daj mi usłyszeć twój ohydny głos!

Milioner rozglądał się uważnie dookoła, ale niestety nic nie widział. Jeżeli dym wdychany przez stwora ujawniał zarysy jego dróg oddechowych, jak to było w powieści Wellsa, nie dało się tego dostrzec w gęstym obłoku dymu, który wszystko przesłaniał. Jak w takim razie wykryć jego obecność? Sprawić, żeby popiół i sadza osiadły na jego skórze? Nie. Choćby drań był pokryty od stóp do głów którąś z tych substancji, nie stałby się niczym więcej jak kolejnym cieniem pośród tysięcy, jakie rzucały płomienie. Aby go dostrzec wyraźnie, trzeba by go posypać czymś bardziej lśniącem, jak śnieg czy może...

W krótkim przypływie nadziei Murray przypomniał sobie worki z cementem zgromadzone w pierwszym pomieszczeniu w korytarzu na prawo. Tak, tego właśnie potrzebował. Gdyby udało mu się dotrzeć do tych worków... Ale niestety potrzebował też kogoś, kto by go osłaniał, bo worki były poza jego zasięgiem, a jeśli zrobi krok w ich stronę i straci czujność, Niewidzialny Człowiek pchnie go i strąci w dziurę. I wtedy zdarzyło się coś dziwnego: w jego umyśle sformułowało się słowo czy raczej wplotło się w jego myśli, przybywając skądś z daleka do jego świadomości: Reichenbach.

Napiąwszy ciało, Murray utkwiał wzrok w ciemnym korytarzu, który majaczył dalej, za ziejącą ogniem przepaścią, i w końcu po dłuższej

chwili dostrzegł zamazaną sylwetkę, która zbliżała się biegiem z czymś, co wyglądało jak niesiony na ramionach ogromny toboł. Milioner otworzył usta zaskoczony. W pierwszym momencie nie zrozumiał, kto to może być, lecz kiedy postać dotarła do krawędzi dziury, na wpół zdumiony, na wpół przejęty euforią rozpoznał w niej Szkota, który wykorzystał siłę bezwładności wywołaną biegiem, aby obrócić się kilka razy wokół własnej osi z tobołem wzniesionym w ramionach, jak czynią szkoccy miotacze rzucający młotem, i z ogłuszającym rykiem cisnąć tym tobołem w powietrze. Murray spostrzegł, że był to worek z cementem. Zanim zamiary przyjaciela skryształizowały się całkowicie w jego głowie, ramiona uniosły kuszę i wymierzyły w worek. I podczas gdy Doyle balansował na krawędzi przepaści, nedorzecznie machając rękami w desperackiej próbie utrzymania równowagi, wystrzelony przez Murraya bełt trafił idealnie w worek cementu, nastąpiła cicha eksplozja a na wszystkie strony rozprysnął się biały pył. Szkot runął w próżnię, ale w ostatnim momencie zdołał się chwycić rękami brzegu dziury.

- Arthur! - zawołał milioner.

- Szukaj go, Gilliam! Szukaj tego stwora! - polecił mu Doyle, wierząc w powietrze, aby zahaczyć stopami o krawędź otworu.

Murray rozejrzał się z szeroko otwartymi oczyma. I wtedy go zobaczył. Cement, opadający wolno na podobieństwo nieśpiesznej śnieżycy, zaczął osiadać na stworze, zarysowując jego głowę i szczyty ramion na tle brudnego powietrza, i ukazał kontury sylwetki, co prawda niekompletne, ale wyraźnie ludzkie... Milionera nie zaskoczyło, gdy stwierdził, że duch, czy też czymkolwiek to było, znajdował się zaledwie kilka metrów od niego, uczepony zewnętrznej części barierki. Murray zrozumiał, że przez cały ten czas niewidzialny napastnik trzymał się balustrady, zachowując wystarczającą odległość, aby machanie kuszą nie strąciło go w przepaść holu, a tymczasem czekał, aż ofiara się zmęczy i będzie ją można zrzucić w płonącą dziurę.

Teraz jednak, gdy stał się widoczny, czmychał po tej poręczy jak szczur w przeciwnym kierunku. Murray obliczył, że jeżeli nic mu nie przeszkodzi, stwór zdąży dotrzeć do szczytu schodów i uciec nimi.

Milioniar spojrzał na kuszę, którą wciąż dzierżył w rękach. Ze swojego miejsca miał znakomity widok na schody i niemal cały hol. Przebił się wzrokiem przez gęsty obłok dymu, szukając Doyle'a, i stwierdził, że jego przyjaciel wciąż usiłuje się wspiąć na brzeg dziury. Ufając, że nie zawiodą go siły, milionier zaczął naciągać cięciwę. Szkot wcześniej zapewniał, że po załadowaniu kuszy bełt nabiera nieporównywalnego z niczym potencjału, znacznie większego niż siła strzały wystrzelonej z łuku, i że praktycznie niemożliwe jest chybienie celu. To go zachęciło. Umieścił stopę w żelaznym strzemieniu i z całych sił pociągnął cięciwę, która irytująco powoli przesuwała się po drewnianym łożu kuszy. Rzucił okiem w stronę uciekającego stwora, a ten w tym momencie przekraczał niedużą szczelinę, która utworzyła się pomiędzy gzymsem a pierwszymi stopniami, i zaraz zaczął schodzić po schodach. Teraz, gdy był widoczny, wołał uciec, zatem milionierowi nie zostało zbyt wiele czasu.

Wtem, ku zaskoczeniu Murraya, kreatura zatrzymała się i przez chwilę przyglądała uważnie Doyle'owi, wciąż żałośnie zwisającemu nad dziurą; po kilku sekundach, zamiast kontynuować ucieczkę, zawróciła po własnych śladach i niespiesznie podeszła do Szkota. Milioniar patrzył na to przerażony, rozumiejąc, że potwór, napędzany wściekłością i nagromadzonym w nim złem, postanowił nie uciekać, tylko dalej szerzyć na świecie swoje rządy strachu i odebrać życie pisarzowi.

Murray zaklął. Nie zdążyłby dotrzeć do przyjaciela przed kreaturą. Nie miał innego wyjścia, jak dokończyć ładowanie kuszy możliwie jak najszybciej i w końcu wystrzelić. Z gardłowym warknięciem szarpnął mocno do góry, odsłaniając zęby w zaciekłym grymasie i czując, jak puchnie mu szyja. Po plecach od podstawy do karku przebiegł mu przejmujący ból, jakby jego rdzeń kręgowy był kolejną cięciwą napiętą do granic możliwości. Przed oczyma zatańczyły mu maleńkie światełka, ale nie puścił. Cięciwa przesunęła się o kilka centymetrów wyżej, a potem znowu. Brakowało zaledwie kilku centymetrów, żeby się wpasowała w zaczep układu spustowego.

Oprószona cementem sylwetka niewidzialnego człowieka rysowała się dość wyraźnie wśród dymu. Milioniar, rozdarty między desperacją a bezsilnością, spostrzegł, że tamten zatrzymał się przed Doyle'em

i kręcąc na boki umączoną głową, szuka czegoś na podłodze. Przerażony Murray ujrzał, jak stwór pochyła się, bierze w swe bezcielesne ręce ogromny kamień, po czym unosi go ponad głowę. Następnie potwór z rozmachem rzucił odłamkiem w lewą rękę Szkota, ten ryknął okropnie i jego dłoń puściła krawędź. Kreatura chwyciła nowy kamień i śmiejąc się potępieńczo, szykowała się, by zmiażdżyć drugą rękę pisarza. Cień ust potwora wyglądał jak rozdarcie na białym, gładkim prześcieradle, które zdawało się przykrywać jego głowę. Murray jęknął z bólu i w tym momencie cięciwa zahaczyła wreszcie o zaczep. Milioner podniósł kuszę, nałożył bełt wycelował w niekompletną mleczną sylwetkę i zanim ta zdążyła cisnąć kolejny kamień Doyle'a, wystrzelił.

Bełt pomknął z prędkością, jakiej nie mógłby mu nadać żaden łuk, i utknął w barku stwora, odrzucając go kilka metrów do tyłu, aż ten uderzył o ścianę w głębi. I tam pozostał, przebity, poruszając spazmatycznie rękami niczym olbrzymi biały motyl przyszpilony do gobelinu. Murray, widząc, że trafił, wypuścił wstrzymywany oddech. Udało mu się! Upolował niewidzialnego człowieka! Mimo to nie miał czasu, by się napawać swoim dokonaniem, ponieważ Szkot ledwie mógł się utrzymać uchwycony krawędzi przepaści tylko jedną ręką.

Milioner odłożył kuszę, która teraz stała się bezużytecznym gratem, zaczerpnął głęboko powietrza, jakby się miał zanurzyć w jeziorze, i puścił się pędem po gzymsie, czując, jak podłoże z każdym jego krokiem kruszy się jak ciasto francuskie. Kiedy dotarł do końca wąskiej półki, wykorzystując rozpęd, bez namysłu przeskoczył szczelinę oddzielającą go od drugiej części pomieszczenia i znalazł się na przeciwnym brzegu dziury. Zaskoczyło go, że wyszedł zwycięsko z tej próby, ale znowu przełożył radość na później, gdy wszystko to się skończy, a on będzie siedział wygodnie w fotelu jakiegoś klubu, otoczony pocziwą, zwykłą rzeczywistością. Nie tracąc ani sekundy, z głośnym sapaniem podbiegł do Doyle'a, rzucił się na podłogę i zdążył złapać go za rękę w chwili, gdy palce przyjaciela ześlizgiwały się już fatalnie z krawędzi, wyczerpawszy ostatek sił.

- Arthurze, trzymam cię!
- Gilliamie, do diabła, nie upuść!

- Spokojnie, dam radę... - sapnął Murray i przystąpił do podciągania wielkiego ciała Szkota.

Był to mozolny trud, lecz nic nie znaczył w porównaniu z ładowaniem kuszy. Z pomocą Murraya Doyle herkulesowym wysiłkiem zdołał wydzwignąć się na skraj dziury, po czym obaj przez kilka sekund leżeli na podłodze, absolutnie wyczerpani, wręcz na granicy nieprzytomności. Wciąż jednak nie mieli czasu na odpoczynek i obaj o tym wiedzieli. Podnieśli się z wielkim trudem, pomagając sobie nawzajem. Doyle zakaszał kilka razy, obejrzał sobie skrwawioną rękę ze spokojem żołnierza, który godzi się ze swoimi ranami, i popatrzył na przyszpilony do ściany zarys człowieka.

- Musimy go zabrać z sobą - rzekł.

- Co?! - wykrzyknął zdumiony milioner.

- Mamy do czynienia z niezwykłym stworzeniem. Powinna się nim zająć nauka.

Nagle głowa potwora, do tej pory wisząca bezwładnie na piersi, uniosła się, i choć brakowało w niej oczu, utkwiała w nich dwóch wzrok i patrzyła z przerażającą wrogością, jakby to była twarz samej nienawiści albo obłędu. Zaraz potem zniknęła. Po prostu przestała tam być. Został po niej tylko wbity w ścianę belt, który w tej chwili nie przeszywał nic innego, jak wyłącznie powietrze, a z jego drewnianego promienia zaczęła skapywać czerwona krew.

- No nie! Do cholery! - wrzasnął Doyle.

Zrobił ruch, jakby chciał iść w tamtą stronę, lecz Murray go zatrzymał.

- Dokąd się, u diabła, wybierasz? Dom się zaraz zawali - zwrócił mu uwagę, wskazując na schody.

Szkot odwrócił się i zauważył, że ogień zaczął już się wspinać po stopniach. Z różnych części domu dobiegały huki i trzaski świadczące o tym, że budowla już się zaczęła walić.

- Hol też jest cały w płomieniach... - poinformował niepotrzebnie Doyle.

- Trudno się będzie przez nie przedrzeć - dodał Murray.

- Ale nie jest to niemożliwe - mruknął Szkot, nie poddając się zniechęceniu. - Musimy się przykryć jakimś grubym, odpornym na ogień materiałem i przebiec szybko przez płomienie. To nasza jedyna szansa.

Obaj spojrzeli po sobie.

- Worki z cementem! - zawołali jednocześnie.

Pobiegli do pomieszczenia służącego za magazynek. Murray niezwłocznie zaczął rozdzierać dwa worki i wysypywać ich zawartość na podłogę. Ogarnęła go umiarkowana euforia. Może mimo wszystko uda im się ująć z życiem. Doyle, który wyszedł cało z tysiący potyczek, był przekonany, że tak będzie.

- Arthurze, do cholery, myślałem, że nie żyjesz! - wykrzyknął milioner niemal radośnie. Pomagał przyjacielowi ochronić się jednym z worków, okrywając mu głowę czymś na kształt kaptura średniowiecznego mnicha.

- To prawda, że nie pamiętam za bardzo, co mi się przydarzyło - przyznał Doyle, przyciskając stłuczoną rękę do piersi, żeby ułatwić pracę Murrayowi. - Myślę, że kiedy podłoga się zawaliła, udało mi się czegoś chwycić, ale potem musiało mnie coś uderzyć w głowę i straciłem przytomność. Ocuciło mnie twoje wołanie. Już miałem odpowiedzieć, gdy usłyszałem, że mówi do ciebie ten potwór. Wtedy zrozumiałem, że uznał mnie za martwego, i wołałem nie wyprowadzać go z błędu, przynajmniej w tamtej chwili. Potem, podczas gdy zastanawiałem się, jak ci pomóc... - Szkot spojrzął na milionera poważnie. - Sądzę, że... usłyszałem twoje myśli.

- Moje myśli?

- Tak, usłyszałem je tak wyraźnie, jakbyś mi je szeptał do ucha na jakiejś romantycznej schadzce: „Gdybym mógł się dostać do worków z cementem...” Dlatego poszedłem ich poszukać, Gilliamie.

Murray popatrzył na niego pełen zaskoczenia, lecz nic nie odrzekł. Korzystając z tego, że sam musiał się teraz okryć workiem, oderwał wzrok od Szkota.

- Pomyślałeś to wtedy, prawda? - usłyszał, nakładając sobie materiał na głowę i część tułowia.

- Tak, pomyślałem to - potwierdził, a po chwili wahania dodał: - I chyba u mnie doszło do czegoś podobnego. Zdaje się, że... też usłyszałem ciebie.

Doyle zrobił zakłopotaną minę.

- Co usłyszałeś? - zapytał, nie mogąc powstrzymać emocji.

- Cóż, ja... - Milioner zająknął się.

- Na Boga, Gilliamie, co ty, u licha, usłyszałeś?

- „Reichenbach”. Usłyszałem „Reichenbach” - odparł w końcu, zawstydzony, że nie ujął tej myśli odpowiednimi słowami, tylko tą obcojęzyczną nazwą.

Doyle wybuchnął na to śmiechem.

- Mój Boże, zadziało! Zadziało! - Uspokoił się nieco i spojrzął na milionera, również pogrążonego w niedowierzaniu. - Dokładnie to pomyślałem, Gilliamie. Pomyślałem, że nie runąłem w przepaść, że się uratowałem, tak jak ty chciałeś uratować Holmesa przed upadkiem do wodospadu Reichenbach. I usłyszałeś mnie! Mój Boże! Wiesz, co to oznacza? Mieliśmy epizod autentycznej komunikacji telepatycznej!

Murray prychnął i poprawił na przyjacielu materiał, który zsunął mu się przez jego podekscytowanie. Gdy uznał, że obaj są tak przygotowani, że nic więcej nie da się zrobić, klepnął Szkota w ramię.

- Mój drogi Arthurze, kiedyś rzuciłem ci wyzwanie, by się przekonać, czy sprawisz, że uwierzę we wszystko to, w co nie wierzyłem - powiedział, kierując się już do drzwi. - Niech ci będzie, obiecuję, że do końca życia nie postawię przed tobą żadnego wyzwania.

- Dobrze, Gilliamie, a co powiesz na ostatnie wyzwanie...? - Doyle uśmiechnął się. - Jak myślisz, wyjdziemy żywi z tego płonącego domu?



## XXII

- Idę po nich do środka! - zawołał Wells.

Puścił ramię Jane i zrobił kilka kroków w stronę głównych drzwi, ale złowieszczy las płomieni buchających przez okna sprawił, że znów się zawahał.

- Bertie, proszę, nie idź... - ponownie zaczęła błagać Jane. - Jak mógłbyś pomóc tak silnym i wielkim mężczyznom jak Arthur i Monty...?

- Nie wiem! Nie wiem nawet, co się tam dzieje. Może Niewidzialny Morderca skończył z nimi i teraz czai się na nas... - odparł Wells, rozglądając się dookoła z miną, w której strach mieszał się z wyrzutami sumienia. - Powinniśmy byli posłuchać Doyle'a! Gdybyśmy wyruszyli piętnaście minut temu, już byśmy dotarli do wioski i jakaś pomoc byłaby w drodze! A teraz może jest już za późno. I wszystko to z mojej winy.

- Nie powinieneś się zadręczać tym, że wysłuchałeś ostatniej spowiedzi umierającego, Bertie - szepnęła Jane, spoglądając z ukosa na rozciągniętego na ziemi woźnicę. - To nie twoja wina, że...

- Ale jego wina jest moją winą, nie? - przerwał jej Wells, wskazując staruszką i wybuchając histerycznym, obłąkańczym śmiechem, od którego jego żona zadrżała. - Jasne, że tak!

Podszedł do Baskerville'a wielkimi krokami, ale kiedy uklęknął przy nim, zalewająca go dziecięca uraza zamieniła się w głęboką litość. Staruszek miał zamknięte, zapadnięte oczy, jego głowa spoczywała na płaszczu pisarza, a z twarzy, poszarzałej bladością popiołu, sterczał ku niebu nagle zaostrozony nos, przywodzący na myśl dziób tonącego statku. Wells podniósł koc, którym przykryli

stangreta, a na którym teraz widniała duża ciemna plama, i ze smutkiem rzuciwszy okiem pod okrycie, położył je z powrotem.

- Jeszcze oddycha, ale bardzo słabo. Chyba już niedługo... - Wstał, nie kończąc zdania, a tymczasem Jane zaczęła szlochać w milczeniu. - Nie płacz, kochana, on już nie cierpi i wkrótce będzie spoczywał w pokoju. Zdążył opowiedzieć nam to, co chciał. Nie możemy już zrobić dla niego nic więcej. Teraz powinniśmy pomyśleć o sobie i naszych przyjaciółach i... Boże, czemu zatrzymaliśmy się, żeby go wysłuchać!

- Mówisz poważnie? - zawołała Jane w zdumieniu. - Naprawdę wolałbyś nie wiedzieć tego, co nam opowiedział?

- Tak! Nie! Przypuszczam... O, Jane, oczywiście, że wolę wiedzieć! To takie niewiarygodne... Ale... a jeśli ceną za tę wiedzę jest życie naszych przyjaciół?

- Nic im się nie stało, Bertie, jestem tego pewna... Lada chwila wyjdą stamtąd tymi drzwiami...

- Skąd ty to możesz wiedzieć? - zapytał. Popatrzył na dom i westchnął w desperacji. - Idę tam, Jane.

- Ani się waż, Herbercie George'u Wells! Nie pozwolę, żebyś umarł spalony w tym głupim nawiedzonym domu! Chcesz, żebym została pierwszą kobietą na tym świecie owdowiałą dwa razy tego samego dnia?

Zanim mąż zdążył jej odpowiedzieć, główne drzwi otworzyły się na oścież i wypadły przez nie dwa spowite płomieniami ciała, rozdierając nocne ciemności jak dwie rozchwiane ludzkie pochodnie.

- Co, u licha...! - wykrzyknął pisarz.

Murray i Doyle, niczym w jakiejś przeciwiczonej choreografii, zrzucili z siebie płonące worki, a sami padli na ziemię i zaczęli się po niej tarzać wśród jęków bólu i okrzyków euforii. Otrząsnąwszy się z osłupienia, Wells i Jane podbiegli do nich, nie wiedząc, co zastaną, ale kiedy dotarli do swoich przyjaciół, ci zdążyli się już pozbierać, żartowali i zanosili się śmiechem, jakby nie przedarli się właśnie

przez pożar, tylko przejechali sankami. Mieli osmolone czupryny i dymiące ubrania, lecz oprócz zakrwawionej prawej ręki Szkota i kilku lekkich zadraśnień wyglądali na całych i zdrowych. Przez kilka minut cała czwórka obejmowała się rozemocjonowana, klepiąc się po plecach z takim entuzjazmem i podekscytowaniem, że Murray odważył się nawet złożyć donośny pocałunek na ustach Jane. Wśród ogólnej radości Wells pogodził się z tym gestem, choć zadbał o to, by Doyle nie wyraził swojego entuzjazmu w ten sam sposób. Po uściskach nastąpiły wyjaśnienia, cokolwiek chaotyczne z powodu euforii, którą czuli, wiedząc, że przeżyli: Niewidzialny Człowiek został pokonany dzięki - zdaniem Doyle'a - bodaj najlepszemu strzałowi z kuszy, jaki widziały te kilkusetletnie mury, ale niestety stwór zniknął, zanim zdołali go schwytać, i zabrał ze sobą sekrety swojego niepojętego zła.

- Ale nie martw się, George, myślę, że twemu niewidzialnemu człowiekowi przeszła ochota na to, by znowu nas nękać - orzekł teatralnie Murray, a jego słowa podkreśliła posępna symfonia eksplozji dobiegających z płonącego domu.

- Nie byłbym tego taki pewien - nie zgodził się z nim Doyle. - Nie sądzę, żeby to miał być koniec tej historii. Obawiam się, że wkrótce znów da o sobie znać... I nie zaprzeczę, że bardzo bym pragnął, żeby tak się stało. Ogromnie chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten złowrogi stwór, który tak dobrze cię zna, George, i czego, u diabła, chce od ciebie... Nie zniosę myśli, że na tym świecie pojawiła się kolejna tajemnica!

Wells i Jane wymienili spojrzenia, co nie uszło uwadze Szkota.

- Co się stało? - zapytał podejrzliwie. Małżonkowie otworzyli usta, ale żadne nie odpowiedziało. Doyle zaniepokoił się. - Czy coś się wydarzyło, kiedy byliśmy tam w środku? Czemu nie pojechaliście po pomoc? I co z Woodiem?

- O, nie martw się, twój sekretarz ma się dobrze - odparł Wells, zadowolony, że przynajmniej na jedno pytanie ma prostą odpowiedź. - Jest w powozie. Nadal nieprzytomny, ale puls i oddech są stabilne. Myślę, że przeszedł po prostu wstrząs.

- A Baskerville? - spytał Murray ze smutkiem. - Czy już...?

Jane krzyknęła, aż wszyscy drgnęli z zaskoczenia.

- O, nie! Zapomniałam o moim kochanym Bertiem! - zawołała, biegnąc do leżącego pod kocem staruszka. Przyklękła przy nim i z nieskończoną czułością wzięła go za rękę.

- Żyje jeszcze? - zapytał milioner.

- Chyba tak... - odrzekł Wells.

Doyle patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Czekał, dlaczego nazwała go „swoim kochanym Bertiem”?  
I czemu, do diabła, nie zabraliście stąd rannych i nie pojechaliście po pomoc? To był wyraźny rozkaz, George - warknął, opatrując sobie rękę zaimprovizowanym bandażem z chusteczki.

- Nie wiedziałem, że jesteśmy w wojsku, Arthurze - odparł Wells bardziej ze znużeniem niż ironią. - Ponadto mieliśmy to zrobić, ale Baskerville nie zgodził się, żeby go wziąć do powozu.

- I posłuchaliście mającego staruszka, George? - oburzył się Murray.

- Zapewniam cię, że nie majaczył - rzekł obronnym tonem Wells. - Błagał, żebyśmy go nigdzie nie wieźli, ponieważ był przekonany, że nie przeżyje podróży. Poza tym chciał nam coś wyznać, zanim umrze, coś strasznie ważnego dla nas i dla... świata. Dlatego położyliśmy go na ziemi, przykryliśmy kocem i... cóż, pozwoliliśmy, żeby opowiedział... swoją niewiarygodną historię.

Doyle i Murray patrzyli na przyjaciela wyczekująco, a on zastanawiał się, od czego zacząć tę szaleńczą opowieść.

- Arthurze, Gilliamie - odezwał się w końcu - wiem, że trudno wam będzie w to uwierzyć, ale ten umierający staruszek to... ja.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Baskerville jest tobą? - wykrzyknął skonsternowany Murray.

- Tak, chociaż niezupełnie.

- N i e z u p e ł n i e... Co to, do diabła, znaczy?

- To Wells z innego świata.

Milioner w oszołomieniu pokręcił głową, a tymczasem Szkot nie mówił, tylko podejrzliwie wodził wzrokiem między Wellsem a leżącym stangretem.

- Ten Wells pochodzi ze świata, który istnieje równolegle do naszego - wyjaśnił pisarz i zanim Murray zdążył znów wyrazić zdziwienie, czubkiem buta narysował na ziemi dwie równoległe kreski. - Świata, który jest niemal dokładną kopią naszego, pod wieloma względami identyczną, a pod innymi różną. I każdy z mieszkańców tamtego świata ma bliźniaka w naszej rzeczywistości, a tym samym każdy z nas ma swoją dokładną kopię tam: bliźniaka, który żyje naszym własnym życiem, niekiedy z niewielkimi odstępstwami, zupełnie nie wiedząc o naszym istnieniu, tak jak my nie mamy pojęcia o swojej replice. - Przerwał na chwilę, a potem, spoglądając na przemian na swoich dwóch przyjaciół, ciągnął dalej: - W tamtym innym świecie również jest jakiś Gilliam Murray i zapewne też drugi Arthur Conan Doyle... Rzecz jasna - zreflektował się, zwracając się do Szkota - o ile twoja matka z innego świata nie poroniła podczas ciąży i twój bliźniak nigdy się nie urodził. Albo o ile nie zdarzyło się tak, że w młodości nie przeżył malarii, której nabawiłeś się podczas tamtej podróży do Afryki. Mogło też być tak, że wywinął się śmierci i podobnie jak ty został pisarzem, choć może jego sławny detektyw nazywa się Sherringford Hope. Albo też w tamtym innym świecie Arthur Conan Doyle jest po prostu wziętym lekarzem i marzycielem uwielbiającym powieści rycerskie, ale kiepsko radzącym sobie w krykiecie. Jak widzicie, możliwości są nieskończone.

- Wątpię w to, że mojemu bliźniakowi brakuje moich zdolności do gry w krykieta - zauważył z powagą Doyle.

- Kto wie, Arthurze, kto wie... - Wells się uśmiechnął. - Mogę was natomiast zapewnić, że mój bliźniak i ja wiedliśmy niemal identyczne życie, przynajmniej do momentu, gdy jego droga raptownie skrzyła. - Podkreślił swoje ostatnie słowa, przecinając stopą jedną z dwóch linii, które wcześniej nakreślił na ziemi. - On też napisał *Wehikuł czasu*, *Niewidzialnego człowieka* i *Wojnę światów*... I również ożenił

się z Jane czy lepiej powiedzieć: z jej uroczą bliźniaczką, ale jego życie wykazuje pewne różnice w porównaniu z moim: w dzieciństwie ugryzł go pies, a mnie nie; on nigdy nie spadł ze schodów sklepu bławatnego, a ja tak; on podróżował na Antarktydę, gdzie stracił dwa palce u ręki, a ja nie; i ma dar czy raczej przekleństwo, zależnie, jak na to spojrzeć, który pozwala mu przeskakiwać pomiędzy światami, a ja... cóż, najwyraźniej brakuje mi takiego talentu.

- Za to posiadasz niezaprzeczalny dar sprawiania, że wierzymy w niewiarygodne historie - wszedł mu w słowo Murray.

- A skąd wiesz, że to nie były majaki? - zapytał Doyle z niemal profesjonalnym zainteresowaniem, puszczając mimo uszu uwagę milionera.

- Ponieważ ten człowiek powiedział mi o rzeczach, o których tylko ja wiem: o przemyśleniach, snach, pragnieniach z dzieciństwa, którymi nigdy się z nikim nie dzieliłem, nawet z Jane, i mógłby je znać tylko ktoś, kto... przeżył moje własne życie. - Wells westchnął, wskazując podbródkiem leżącego woźnicę. - Ten mężczyzna to ja, jest mną z innego świata. Musicie mi uwierzyć.

Doyle rozważył przygnębienie Wellsa i po kilku sekundach refleksji rzekł:

- Zgoda, George, założmy, że to prawda i że przybył tutaj dzięki swojemu talentowi do... przeskakiwania pomiędzy światami?

Wells skinął głową, nieco podniesiony na duchu postawą, jaką przyjął Szkot.

- Właśnie tak, Arthurze. Ale to nie jest coś, co można kontrolować - uściślił. - Chodzi raczej o pewien rodzaj uspiętej zdolności, którą posiada się, nie wiedząc o tym, aż do czasu, kiedy aktywizuje ją jakieś straszliwe zdarzenie w twoim świecie. W ten sposób przeprawił się do naszej rzeczywistości, ale będąc niemal w tym samym wieku, w jakim ja jestem obecnie, trafił do roku 1829. Dlatego jest teraz staruszkciem. I dlatego nie rozpoznałem go, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Widzieliście się już wcześniej? - zapytał zaskoczony Doyle.

- Kiedy miałem piętnaście lat, na nabrzeżu w Southsea. Nie był to jednak przypadek. To on mnie odszukał... W rzeczywistości czuwał nade mną z daleka od urodzenia, strzegł mnie, a sam pozostawał niezauważony. Weźcie pod uwagę, że kiedy przybył do tego świata, żadna ze znanych mu osób jeszcze się nie urodziła... Ja miałem przyjść na świat dopiero za trzydzieści siedem lat! Dlatego ten człowiek spędził większość swojego życia jako wygnaniec, samotny i opuszczony. Wyobrażacie sobie, co musiał przecierpieć? Początkowo próbował prowadzić na tym świecie możliwie jak najspokojniejsze życie, ponieważ bał się, że jakakolwiek silniejsza emocja znów popchnie go do skoku. Zdaje się, że właśnie emocje powodują przenoszenie. I oczywiście zmienił imię i nazwisko oraz zawód, ponieważ nie chciał odbierać mi ani zdźbła mojej prawowitej przyszłości. Mimo wszystko w tym świecie to ja jestem prawdziwym Wellsem. A kiedy się w końcu urodziłem, obiecał sam sobie, że nie będzie się wtrącał do mojego życia, choćby nie wiedzieć jak tego pragnął, ponieważ konsekwencje każdej interwencji są wręcz nieobliczalne. Jednak kiedy skończyłem piętnaście lat, nie mogłem dotrzymać tej obietnicy. Ponieważ wówczas moja matka wysłała mnie do pracy w przeklętym sklepie bławatnym w Southsea, a tam czułem się tak nieszczęśliwy, że w niektóre wieczory chodziłem na nabrzeże z myślą, żeby się rzucić w wodę i skończyć z tym wszystkim.

- Święty Boże! - wykrzyknął Doyle, który posiadał zbyt nieugiętego ducha, by w ogóle rozważać kapitulację, jaką zakłada samobójstwo.

- W rzeczywistości nie było to nic więcej jak tylko poza, Arthurze - wyjaśnił Wells. - Ale jednego z takich wieczorów mój bliźniak podszedł do mnie tam i patrząc w czarne wody, rozpoczął najdziwniejszą rozmowę, jaką odbyłem do tamtej pory. Powód, dla którego naraził wszechświat na niebezpieczeństwo, zwracając się do mnie, był czysto literacki. W swoim świecie napisał już *Wojnę światów*, lecz nie był usatysfakcjonowany zakończeniem, w którym Marsjanie podbijają Ziemię. Dlatego podarował mi fabułę w zamian za obietnicę: jeżeli kiedyś ja napiszę tę opowieść, dam jej finał niosący więcej nadziei dla ludzkości. I tak zrobiłem: wymyśliłem rozwiązanie, w którym to ludzie zwyciężają. Przypuszczam, że mój drugi ja uświadomił sobie, iż jedną z niewielu korzyści, jakie

przyniosła mu jego nieszczęsna sytuacja, była możliwość poprawienia własnego dzieła.

Doyle wybuchnął śmiechem, który bardziej przypominał rżenie.

- Jesteś niewiarygodny, George! Całe twoje życie stracone, a ciebie martwi tylko poprawienie własnej powieści! Ten jeden szczegół wystarczyłby mi, żeby cię rozpoznać!

Wells wzruszył ramionami.

- Faktem jest, że nigdy nie rozpoznałem w twoim stangrecie, Gilliamie, tamtego nieznanego z nabrzeża - ciągnął swoją opowieść - choć zawsze, gdy się znalazłem blisko niego, nawiedzał mnie niewyjaśniony niepokój, coś w rodzaju nieskończonego strapienia pozbawionego jakiegokolwiek sensu... Dziś zrozumiałem, że może chodziło o osobliwość spotkania samego siebie albo może jego obecność powodowała nawrót echa bezustannego niepokoju, jaki dręczył mnie w okresie dojrzewania, nie wiem... Pewne jest, że ten nagły smutek ogarnia mnie tylko wtedy, kiedy znajdę się w jego pobliżu, dlatego nie potrzebuję więcej dowodów: ten staruszek to ja z innego świata... - Westchnął wyczerpany. Wiedział, że ma rację, ale mimo mocnego przekonania jakaś część jego umysłu uparcie uważała to za bzdurę. - Po tamtym dniu na nabrzeżu nie było więcej spotkań. Mimo to on wciąż czuwał nade mną z daleka i miał świadomość, że wszystko, co mi się przydarza, odpowiada jego wspomnieniom... Szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że niektóre szczegóły nie zgadzają się, takie jak nasze różne bliźny, i to przywiodło go do wielkiego odkrycia. Dopiero po kilku latach zrozumiał przyczynę tych różnic, gdy wywnioskował, że nie przeniósł się...

- ...do własnej przeszłości, tylko do innego świata! - przerwał mu Doyle.

Wells spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Dokładnie to sam mi powiedział. Jak na to, u licha...?

- To elementarne, mój drogi George'u! Kiedy twój bliźniak tutaj przybył, myślał, że przeniósł się w przeszłość. Nawet mu nie przemknęło przez myśl, że mógł przeskoczyć do innego świata. Komu by coś takiego przyszło do głowy? Do momentu, gdy zaczął



dostrzegać różnice między waszymi żywotami, musiał uważać, że podróżował wyłącznie w c z a s i e, to znaczy, że przeskoczył do przeszłości poprzedzającej jego własne narodzenie... Dopiero znacznie później zrozumiał, że znalazł się w innym świecie, świecie niemal identycznym, w którym jednak zdarzenia nie przebiegają d o k ł a d n i e tak samo.

Po raz kolejny Wells zdumiał się szybkością wnioskowania swojego przyjaciela.

- Ten sam błąd popełniłeś ty, przemierzając różową równinę, Gilliamie - powiedział Doyle, zwracając się do milionera. - Uznałeś, że podróżujesz przez czwarty wymiar do przyszłości, podczas gdy najwyraźniej trafiłeś na portal przenoszący do innego świata... - Murray posłał mu nieprzychylne spojrzenie. - O, nie obrażaj się, Gilliamie. Przekonanie, że chodzi o podróż w czasie, podczas gdy w rzeczywistości jest to przeskok pomiędzy światami, najwyraźniej okazuje się powszechnym błędem. Cóż, w takim razie światy Baskerville'a i nasz biegną równolegle - podsumował, robiąc kilka małych kroków z oczami błyszczącymi z emocji, a jednocześnie podtrzymując sobie ranną rękę. - Być może oddzielone od siebie mikroskopijną odległością, tak jak sam napisałeś w *Cudownym gościu*, George.

Wells poczuł wewnętrzny dreszcz, zauważywszy, że znów znaleźli się w obliczu czegoś, o czym już kiedyś napisał. Potrząsnął głową, oddalając tę powracającą myśl, i postarał się skupić na rozmowie z Doyle'em.

- Obawiam się, że tak. Choć uważam, że istnieją nie tylko dwa światy. Muszą być co najmniej trzy: nasz, ten Baskerville'a i tamten, który widzieliśmy w lustrze, ponieważ oglądaliśmy tam rzeczywistość inną od tych dwóch. Bardzo podobną do naszej, ale z pewnymi różnicami, jak na przykład ta, że Emma tam żyła. Jednak Baskerville nie pochodzi z tamtego świata. Powiedział mi to, kiedy mu go opisałem, i z jakiegoś powodu zdawał się dogłębnie pewny swego. Zatem mamy trzy światy - zakończył, wzruszając ramionami.

- A dlaczego mielibyśmy się zgodzić na tak arbitralnie przyjętą liczbę? Nie byłoby bardziej logicznie uznać, że liczba światów jest...

nieskończona? - wykrzyknął Doyle. - Jestem pewien, że jest ich znacznie więcej, George, tyle co drzwi wychodzących z różowej równiny Szuwarian, a może jeszcze więcej...

Murray, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, nagle wtrącił:

- Jakie są różnice pomiędzy światem z lustra a światem, z którego przybył twój bliźniak, George?

- Co?

- Przecież słyszałeś. Baskerville zapewnia, że nie pochodzi ze świata ze zwierciadła, a więc w twoim opisie musiała być jakaś różnica. Jaka? Czy chodzi o Emmę?

- Ee... tak naprawdę nie mówiliśmy o tym wiele, Gilliamie - zająknął się Wells.

Milioner patrzył na niego podejrzliwie.

- Znam cię dobrze, George, i wiem, kiedy kłamiesz! Co przede mną ukrywasz? Skąd Baskerville wiedział, że świat z lustra nie jest jego ojczyzną? Ponieważ Emma żyła? Może w jego świecie nie było żadnego wypadku i Emma i ja wciąż jesteśmy razem? - Murray chwycił przyjaciela za ramiona i potrząsał nim przy każdym pytaniu. Po ostatnim jego energia zdawała się wygasać. - O, to niemożliwe, prawda? Gdyby było tak miło, to byś mi powiedział. W takim razie... - wywnioskował ze zduszonym szlochem. - Do cholery! Masz na myśli, że liczba światów jest nieskończona, ale Emma i ja w żadnym nie jesteśmy szczęśliwi...?

- Tego nie powiedziałem, Gilliamie - odparł Wells ze ściśniętym gardłem, próbując go uspokoić. - Stwierdziłem tylko, że miałem do zadania wiele pytań, a twój woźnica osłabł tak nagle, że...

- Oczywiście, że miałeś wiele pytań! Właściwie mnie też od razu przychodzi kilka do głowy - wtrącił Doyle, który nie uważał, że jest to właściwy moment, aby popadać w dramatyzm czy melancholię. - Na przykład kim był ten Niewidzialny Człowiek? Zapytałeś go o to, George? Może ten stwór przybył tutaj z innego świata, tak jak Baskerville.

- Jasne, że go o to spytałem, Arthurze! Chyba w to nie wątpisz - odrzekł Wells rozdrażniony, patrząc, jak milioner odsuwa się od nich nieco ze zgaszonymi oczami. Było oczywiste, że rozmowa przestała go interesować. - Ale powiedział mi, że go nie zna. Aż do dzisiaj nigdy nie natknął się na żadnego niewidzialnego człowieka, a przynajmniej żadnego nie widział, co jest zresztą logiczne, chociaż był przekonany, że istnieje powiązanie pomiędzy nim a tajemniczymi ludźmi, którzy go ścigali od dwóch lat najwyraźniej z zamiarem zabicia go.

- Do diabła, a myślałem, że to ja mam emocjonujące życie... - mruknął zaskoczony Doyle.

- Nazwał ich łowcami - wyjaśnił Wells. - Nawet my ich widzieliśmy. Przypominasz sobie wypadek pod operą, Gilliamie, kiedy uratowałeś Jane?

- Jasne, jak mógłbym zapomnieć dzień, w którym zaczęła się nasza przyjaźń - odpowiedział milioner bezbarwnym tonem.

Wells westchnął.

- W takim razie pamiętasz też zapewne tamtego dziwnego człowieka ubranego w pelerynę i kapelusz, który spłoszył konie, puścił się biegiem i przepadł w sąsiedniej ulicy. - Murray obojętnie skinął głową. - Cóż, to właśnie był jeden z łowców. A odgadłbyś, kogo ścigał? Baskerville'a! Bo Baskerville tam był, tuż za tobą, przysłuchiwał się naszej rozmowie. W ten sposób dowiedział się, że zamierzasz odprawić stangreta, i zgłosił się na tę posadę. Jak wam mówiłem, jedną z jego największych pociech było patrzenie na nas z pewnej odległości: na mnie i Jane, ale także na ciebie i Emmę, ponieważ w jego świecie należeliście do jego najlepszych przyjaciół. Wiedział, że teraz nazywasz się Montgomery Gilmore, a nawet przyglądał się ze wzgórza twoim cyrkowym oświadczyńom. A przypominasz sobie postać, którą wzięliśmy za strażnika więziennego z Princetown podczas naszej wycieczki do Brook Manor?

- To pewnie był kolejny łowca - wywnioskował Murray, najwyraźniej już mniej nadąsany. - Dlatego tamtego ranka Baskerville zachowywał się tak dziwnie...

- Właśnie. Przez te ostatnie dwa lata łowcy zacieśniali wokół niego pętlę, zmuszając go do zmian nazwiska i pracy. Zawsze jednak udawało mu się im wymknąć, często wyłącznie dzięki szczęściu.

- A jaki jest związek między jego prześladowcami a tym potworem, który nas dzisiaj zaatakował? - chciał wiedzieć Szkot.

- *Mapa chaosu* - odparł Wells. - Kiedy Baskerville przybiegł nam na pomoc, zaalarmowany naszymi krzykami, usłyszał, jak potwór krzyczy do mnie, żebym mu dał tę książkę. Otóż on ją widział. I jak się okazuje, na jej okładce widnieje gwiazda złożona z ośmiu strzał, dokładnie taka sama, jaką mają na swojej broni jego prześladowcy.

- Baskerville zna tę książkę! Wobec tego wie, gdzie ona jest i do czego służy - zawołał Doyle pełen entuzjazmu.

- Ee... chyba tak - odrzekł Wells z zasmuconą miną. - Tyle że zemdłał, zanim mi zdążył to powiedzieć.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął zdesperowany Doyle. - Wobec tego wszystko, co mamy, to garść danych, które równie dobrze mogą być jakimś bełkotem? - Wells wzruszył ramionami, unikając rozgorączkowanego wzroku Szkota, który stopniowo zdawał się uspokajać. - Cóż. Nie dajmy się ponieść nerwom. Mamy dwóch Wellsów z dwóch różnych światów, obydwu grozi śmierć, a jedynym powiązaniem między ich dziwnymi prześladowcami wydaje się tajemnicza książka, o której nie wiemy, gdzie się znajduje... To oczywiście, że właśnie tego kawałka brakuje w naszej układance. Szkoda, że nie udało ci się wyciągnąć tego szczegółu podczas pogawędki z biednym Baskerville'em, mój drogi George'u.

- Przypominam ci, że rozmawiałem z umierającym człowiekiem, mój d r o g i Arthurze. Często tracił wątek lub się powtarzał...

- To jeszcze lepszy powód, żebyś się wysilił i wymyślił kolejne pytania. Dobry śledczy zawsze sprawi, że przesłuchiwany odkryje mu więcej, niż sądził, że wie.

- W zupełności zgadzam się z Arthurem, George. Ja też uważam, że nie zadałeś mu właściwych pytań - dodał Murray. - Gdybym był na twoim miejscu, nie zapomniałbym wywiedzieć się o los mojego

najlepszego przyjaciela i jego ukochanej w każdym innym świecie, zapewniam cię.

- Och, wybaczcie! Przykro mi, że was rozczarowałem! - wybuchnął Wells, wznosząc ręce ku niebu. - Jestem pewien, że każdy z was zrobiłby to o wiele lepiej. O, tak, doskonale was sobie wyobrażam na moim miejscu: postawieni wobec waszego bliźniaka z innego świata, odkrywacie prawdziwą naturę uniwersum, gdy tymczasem wasi najlepsi przyjaciele walczą z niewidzialnym łotrem w płonącym domu, wy zaś ze spokojem rozmyślacie nad pytaniami.

W tym momencie noc rozdarł piekielny huk pochodzący z wnętrza budynku. Wszyscy trzej odwrócili się równocześnie i ujrzeni, jak dach zaczyna się walić w kilku miejscach. Po każdym rumorze dom zdawał się coraz bardziej zapadać w sobie, kulić się jak bite kijem zwierzę. Spośród gruzów wiły się w górę płomienie, jakby pożar próbował strawić też niebo. Trzask stopniowo słabł i zacichał, dzięki czemu usłyszeli wołanie Jane:

- Bertie, ocknął się!

Trzej mężczyźni podbiegli do leżącego staruszka. Gdy do niego dotarli, zatrzymali się niezdecydowani, nie tyle z powodu niezwykłego cudu, jakim było spotkanie z człowiekiem zapodzianym z innego świata, ile raczej wobec podniosłego, rozdzierającego serce spektaklu śmierci. Ranny otworzył oczy i patrzył na nich, jakby jego wzrok sięgał gdzieś znacznie dalej.

- George, czy to ty...? - szepnął do niego Murray, ukłękawszy tuż obok Jane.

Staruszek kiwnął głową, uśmiechając się słabo, a w jego oczach nagle zajaśniała iskra.

- Gilliamie, drogi przyjacielu - wychrypiał. - Jakże się ucieszyłem, gdy cię znów spotkałem! Ale trudno mi było nazywać cię „panem” przez te dwa lata...

Przerwał mu słaby atak kaszlu, po którym musiał odwrócić głowę, by wypluć na ziemię nieco krwi. Następnie wyczerpany zamknął oczy. Murray pośpiesznie potrząsnął go za ramię pod pełnym dezaprobaty spojrzaniem Jane.

- George, George, niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby teraz umrzeć... Błagam, muszę cię o coś zapytać.

Staruszek z wielkim trudem otworzył oczy.

- Gilliamie, zawsze byłeś najbardziej utrapionym... - Jego głos dochodził z daleka, jak gdyby już zaczynał mówić z zaświatów. - I jako szef, i jako wróg... Myślę, że znoszę cię tylko jako najlepszego przyjaciela.

- Ty też byłeś lepszym przyjacielem niż stangretem, George - odparł milioner ze śmiechem, czując ulgę na widok, że umierający otworzył oczy. - Wielkie nieba, wydaje mi się nie do wiary, że przez cały ten czas to byłeś ty, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. I chociaż bardzo chciałbym się dowiedzieć, jakie zażalenia możesz mieć do mnie jako szefa, nie nalegam, zważywszy na okoliczności... Ale muszę o coś zapytać... Czy Emma i ja byliśmy szczęśliwi w twoim świecie? Powiedz prawdę...

- Gilliamie - wtrącił niecierpliwie Wells za jego plecami - proszę, są pilniejsze pytania...

Staruszek wymienił spojrzenia ze swoim młodszym bliźniakiem. Było to spojrzenie tak prędkie i subtelne, że uszło uwadze Murraya, mimo że milioner czujnie wypatrywał najmniejszych oznak omdlenia ze strony woźnicy, aby nim znów potrząsnąć. Tylko Doyle zauważył leciuteńkie przeczenie, jakim młodszy Wells odpowiedział starszemu, i zasepił się w duchu.

- Mój drogi Gilliamie... - wyszeptał staruszek z widocznym wysiłkiem. - Emma i ty byliście nieskończenie szczęśliwi w moim świecie. Musiało się bardzo wiele wydarzyć, żebyście mogli być razem, ale w końcu udało się wam. Ze wstydem muszę jednak przyznać, że nie stało się to z moją pomocą... Dlatego kiedy przybyłem tutaj, postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby wasze ścieżki połączyły się... łatwiej. Z tego powodu pozwoliłem sobie odpowiedzieć na list, który wysłałeś do mojego bliźniaka w tym świecie, identyczny, jaki twój bliźniak napisał do mnie. Obawiałem się, że ten Wells jest tak samo pełen urazy, jak ja byłem kiedyś, i również postanowi nie odpisywać.

Po tym ostatnim zdaniu młodszemu Wellsowi opadła szczęka, a malujący się na jego ustach błogi uśmiech momentalnie się rozwiął.

- To byłeś ty! - wykrzyknął pisarz, nie mogąc się powstrzymać. - To ty odpowiedziałeś na ten przeklęty list w moim imieniu! Mówiłem wam, że to nie ja! Ale... ale ty i ja powinniśmy mieć ten sam charakter pisma!

Staruszek słabo uniósł dłoń, w której brakowało dwóch palców.

- Nigdy nie nauczyłem się zbyt dobrze pisać lewą ręką... - wymamrotał przeproszającym tonem. Zaraz potem twarz mu się ściągnęła, jakby próbował przełknąć ogromny rozżarzony węgiel, który mu utknął w gardle. Otworzył usta i kilka razy rozpaczliwie zaczerpnął nimi powietrza, ale ono nie zaspokoilo jego płuc. Następne słowa, wypowiedane z charczeniem i dyszeniem, ledwie dawały się zrozumieć. - Gilliamie, bardzo mi przykro, że wasza historia miłosna w tym świecie skończyła się tak tragicznie... Ale zapewniam cię, że w świecie, z którego pochodzę, nic was nie rozdzieliło... Proszę, żyj, myśląc o tym.

Murray opuścił głowę z oczyma pełnymi łez, a tymczasem Jane zaczęła głośno płakać. Wells ukląkł obok nich i oszołomiony wpatrywał się w staruszkę, próbując pogodzić się z faktem, że właśnie jest świadkiem własnej śmierci.

- George, proszę... - odezwał się błagalnie - musimy się dowiedzieć, gdzie możemy znaleźć *Mapę chaosu*.

Doyle, niecierpliwy, do tej pory stojący na uboczu i z wielkim trudem zachowujący milczenie, zbliżył się do nich o kilka kroków. Staruszek miał teraz usta szeroko otwarte, a jego pierś drżała gorączkowo. Spojrzał na Jane, starając się przekazać jej wzrokiem, jak bardzo ją kocha. Potem jego oczy śmignęły w bok i spoczęły na młodszym bliźniaku.

- Odszukajcie agenta Corneliusa Claytona z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu - udało mu się wyszeptać strzępkiem głosu. - On ma tę książkę. I, proszę, George, bądź bardzo ostrożny. Obawiam się, że moje przekleństwo jest też uspięte w...

Staruszek nie zdołał dokończyć zdania. Rozwarte niepomierne oczy stały się wielkie jak talerze, a pierś uniosła się o kilka centymetrów. Jane krzyknęła przeraźliwie. Przez dłuższą chwilę umierający walczył o oddech, którego poskapiło mu nagle niewiarygodnie zawiesiste powietrze, lecz zaraz jego ciało zapadło się, a oczy, utkwione w pustce, stopniowo zasnuła mgła, aż zniknęło rozjaśniające je światło. Doyle bezgłośnie zmówił modlitwę, w pełni świadomy cudu, jakiego właśnie był świadkiem, cudu związków miłości i przyjaźni, które przemierzyły nieskończoność i powiązały dwa całe wszechświaty. Wówczas młodszy Wells położył palce na pomarszczonych powiekach, które pewnego dnia będą jego powiekami, i delikatnym ruchem, jakby przewracał stronicę mszału, zamknął oczy staruszka na zawsze. Dokładnie w tym momencie ciało woźnicy zniknęło.

Przez jakiś czas w tym zakątku wrzosowiska było tylko słycać melancholijny trzask ognia malującego złotymi smugami drzewa w alei, cztery milczące sylwetki i puste miejsce, jakie zostało po ciele staruszka, a jego przyjaciółom obwieszczało, że istnieją gdzieś światy inne niż ten, który znają. Może trzy. Może setki, tysiące, miliony. Może jest ich nieskończenie wiele. I w jednym z nich, na wrzosowisku podobnym do tego, nagle pojawiły się zwłoki staruszka, jakby się wyłoniły z ciemności, aby dodać kolejną tajemnicę do tamtego świata.



## CZEŚĆ TRZECIA

Słyszysz oddech za plecami? Może ktoś czyta tę historię razem z tobą. Niech cię to jednak, drogi Czytelniku, nie odstrasza, bo dotarliśmy do punktu, w którym poznasz odpowiedzi na nurtujące cię pytania - nawet na pytanie o moją tożsamość.

Może zmieni się twoje wyobrażenie o wszechświecie. Może twoje koszmary po przebudzeniu nie będą się wydawały tak straszne. Może nie będziesz już potrafił spokojnie przyglądać się sobie w lustrze.

Zapewniam jednak, że za pięć centów nikt nie zaoferuje ci więcej.

## XXIII

Egzekutor 2087V wolałby nie doświadczać tego palącego poczucia winy albo doświadczać go w jeszcze większym stopniu - takim, by nie mieć innego wyjścia, jak tylko podporządkować mu się wbrew instynktowi samozachowawczemu. Gdyby tak się stało, gdyby się odłączył, ośmielając się porzucić potworną misję, do której pełnienia został stworzony, mógłby w końcu spokojnie zasnąć na wieczność. Niestety regulacja poziomu własnych uczuć nie leżała w jego gestii, lecz w gestii tych, którzy w najbardziej niedostępnej części jego najgłębszej pamięci umieścili kod napisany specjalnie w celu stworzenia idealnego zabójcy. I egzekutor musiał przyznać, że wykonali doskonałą pracę, nawet w takich przypadkach jak ten - kiedy coś się psuło i w płataninę obwodów wdzierało się życie, a uczucia wymykały się spod kontroli, wyśmienity program wszczepiony w jego wnętrzości robił wszystko, by zrekompensować skutki awarii. Na przykład przeciwstawiał wyrzutom sumienia wywołanym zabijaniem niewinnych jeszcze większe wyrzuty wywołane rezygnacją z wypełniania tej powinności. Tak, trzeba przyznać, że makiaweliczne umysły wielbiące Wiedzę Najwyższą wykonały kawał świetnej pracy. Była to jednak praca równie mistrzowska, co bezużyteczna.

Egzekutor uśmiechnął się smutno, choć może lepiej byłoby powiedzieć, że jego usta wykrzywiły się posepnie niczym sznur na pranie, na którym usiadło zbyt wiele kruków. Uspokój swój umysł, powiedział sobie, nic już nie jest ważne. Wkrótce wszyscy umrzemy... Poczuvszy, że wyrzekł w duchu wielką prawdę, zaznał pociechy oraz pewnego ukojenia. Stopniowo wyciszył swoje parametry życiowe do

tego stopnia, że kiedy niczym cień cienia przemknął obok śpiącego na parapecie kota, ten nawet nie zastrzygł uszami.

W tych sprawach ów egzekutor był mistrzem. Wiedział, że kiedy zwierzęta wyczuwają obecność takich jak on, wpadają w histerię. Jedynym sposobem zapobiegnięcia temu było osiągnięcie stanu granicznego z hibernacją, w którym jego ruchy stawały się niedostrzegalne jak przepływ chmur na niebie. Był to stan emocjonalny najbardziej pożądany w trakcie obserwacji. Później, gdy zacznie się polowanie i nadejdzie czas egzekucji, trzeba będzie dopuścić inne emocje: napięcie, niepokój, nienawiść, przyjemność, melancholię i poczucie winy - przede wszystkim poczucie winy... Wtedy nie będzie już ważne, że wszystkie psy i koty w okolicy wyją jak szalone, obwieszczając księżycowi jego złowieszczą obecność; kiedy ofiara znajdzie się w zasięgu i będzie mu patrzeć w oczy, nie rozumiejąc, dlaczego ma umrzeć, nie będzie wyjścia.

Dotarł do domu i przeszedł przez niewielki ogród. Gdyby ciemność nie była tak gęsta, a on tak idealnie się z nią nie zlewał, spróbowałbym opisać jego ruchy, lecz mogę je sobie jedynie wyobrażać: symfonia mięciutkich, niemal kocich kroków, po których następuje delikatny szelest peleryny. Bez trudu otworzył okno na parterze i dostał się do pogrążonego w mroku salonu. Uniósł laskę. Ozdabiająca ją gwiazda z ośmiu strzał zawibrowała lekko, dając sygnał, że dom jest pusty. Mimo to egzekutor postanowił przeszukać po kolei wszystkie pomieszczenia, częściowo z braku zaufania do swoich zniszczonych wykrywaczy, a częściowo z powodu szalonej żądzy popychającej go ku poznawaniu życia ludzi, których miał zgładzić. Kim jest ten, kto tu mieszka? Czy wiecie szczęśliwy żywot, czy może boleśnie wegetuje albo prowadzi nijaką egzystencję? Na razie egzekutor wiedział jedynie, że jest to ktoś, kto przynajmniej raz przeskoczył między światami. Tego popołudnia, gdy podążał tropem destruktora drugiego stopnia, wydało mu się, że wyczuwa dochodzącą z tego domu szczątkową aurę uspionego. Zapisał współrzędne, by wrócić później, choć nie wykluczał możliwości, że jego przyrządy kompletnie zwariowały i że zabije nie tylko człowieka niewinnego - bo w gruncie rzeczy wszyscy tacy byli - ale i zdrowego...

Dla egzekutorów uśpieni nie stanowili priorytetu - byli to bowiem dawni destruktorzy, u których w pewnym momencie nastąpiła remisja choroby i od tej pory stali się nieaktywni, co jednak nie znaczyło, że kiedyś nie uaktywnią się ponownie. Tak czy owak czasy, w których priorytety polowania były jasne, dawno minęły. Kiedyś - kiedy ich idealnie wykalibrowane przyrządy wyraźnie kreśliły współrzędne łatwe do śledzenia i sklasyfikowania - egzekutorzy jednego dnia potrafili wykryć mnóstwo śladów. Ale dziś... dziś po prostu robili, co w ich mocy.

Bez konieczności korzystania z oświetlenia egzekutor przeszukał cały parter i upewnił się, że jest pusty. Wszedł na piętro i zajrzał do pierwszego z brzegu pomieszczenia - uroczego gabinetu roztaczającego niewątpliwie kobiecą aurę. Pochylił się nad bukietem róż stojącym w rogu małego biurka i głęboko wciągnął powietrze, wdychając delikatny aromat. Potem łagodnie pogłaskał niektóre z leżących na biurku przedmiotów, zastanawiając się, jak dotykała ich właścicielka - czy z miłością, obojętnością, czy w jakimkolwiek innym nastroju, który stopniowo do nich przenikał. On, egzekutor, był jak te przedmioty: czyż i jemu przed śmiercią ofiary nie przekazywały części swego człowieczeństwa? Gdy konały w jego rękach, nie potrafił się powstrzymać od spojrzenia im w oczy - a wtedy dowiadywał się, czy ich życie było spełnione, czy okrutnie nieszczęśliwe; czy pozostawiają po sobie ścieżkę żalu i nieporozumień, czy też zaznały prawdziwej miłości; czy odchodzą z tego świata z wściekłością, strachem czy smutną rezygnacją. W takich chwilach pełnej komunikacji, niczym przedmiot przenikający duszę właściciela, egzekutor doznawał ekstazy Wiedzy Najwyższej, choć także niszczycielskiej siły poczucia winy.

Jego dłoń wymacała coś, co sprawiało wrażenie trzech rękopisów. Dwa pierwsze nosiły tytuły *Mapa czasu* i *Mapa nieba*, lecz jego uwagę przykuł trzeci - *Mapa chaosu*. Na okładce autor starannymi pociągnięciami pióra narysował gwiazdę z ośmioma strzałkami. Egzekutor oparł łaskę o stół, chwycił rękopis i stojąc w mroku, z narastającą zachłannością czytał coś, co sprawiało wrażenie powieści, której fabuła wkrótce wydała mu się dziwnie znajoma. Czytał nieprzerwanie, aż dotarł do strony, na której Wellsowie ze

swoim psem Newtonem wskakują do tunelu czasoprzestrzennego, który otworzył w laboratorium ich nieżyjący przyjaciel, profesor Charles Dodgson - i pozostawiając za sobą Gilliana Murraya i jego zbirów, mkną ku nieznanemu losowi. W tym miejscu egzekutor przerwał lekturę, podniósł wzrok i nie wypuszczając kartek z rąk, spojrzął w dal. Tkwił w takim bezruchu, że ciemność osiadała na nim niczym miliard czarnych motyli, czyniąc go niemal niewidzialnym. Potem odsunął od biurka krzesło, chwycił resztę manuskryptu i wypuścił powietrze z dźwiękiem przypominającym westchnienie. Ostatecznie musiał się czymś zająć w oczekiwaniu na powrót ofiary.

Pozwól jednak, drogi czytelniku, bym ci opowiedział czytana przez egzekutora historię w takiej formie, jakbyś i ty znajdował się w ciemnym pokoju i czytał mu przez ramię, albo i jego oczami - oczami, które sądziły, iż widziały rzeczy niewyobrażalne dla żadnej z jego ofiar, a jednak...

Oślepiające światło niczym wirujący wokół środka otworu promień uderzyło w dwójkę przekraczających portal ludzi, których bombardowały sprzeczne uczucia: to mieli wrażenie, że spadają w otchłań, to znów, że unoszą się w stanie nieważkości albo są ściskani przez ogromną siłę, aż zostają sprasowani do groteskowej grubości włosa...

Nagle wszystko ustało, jakby zamarzła rzeka czasu. Wells otworzył oczy, które zamknął zaraz po wejściu do tunelu, i odkrył, że spada w głąb czegoś przypominającego studnię. Jego ciało nie czuło jednak spadania - być może dlatego, że ściany zdawały się biec w dół, co oznaczało że on s p a d a... w górę. Tak czy owak przemieszczał się w stosunku do studni albo studnia przemieszczała się w stosunku do niego, bo przed oczami przelatywały mu różne przedmioty. Zauważył kilka regałów z książkami - zdążył nawet jedną pochwycić i przekartkować, a potem odłożyć na inną półkę - swój ulubiony fotel, parę lamp i zegarów, sarkofag z mumią, talię kart, koronę samej królowej Wiktorii... Niestety pośród tej masy gratów nie udało mu się dostrzec Jane, co z pewnością by go zaniepokoiło, gdyby nie był tak senny: oczy same mu się zamykały i nie mógł powściągnąć ziewania. Pomyślał, że spada w głąb tej studni już od wieków albo stuleci, choć jeśli tak było, nic nie miało znaczenia i równie dobrze mógł sobie

uciać podczas tego spadania drzemkę. Ledwie jednak zaczął chrapać, nagle bum! - zderzył się z czymś twardym i zimnym i pojął, że absurdalny, pozornie wieczny upadek właśnie się skończył.

Leżał z zamkniętymi oczami, mgliście świadom, że ma pod sobą twarde podłoże. Usiłował zwalczyć senność i unieść powieki, choć bał się, że ujrzy jakąś nienazwaną albo i nazwaną grozę, bądź też, co gorsza - nie ujrzy nic. Może oślepiające światło pozbawiło go wzroku, a wszystko, co wydarzyło się później, było zaledwie absurdalnym snem utkanym przez podświadomość.

Gwałtownie otworzył oczy, czując, że coś go liże. Grozą okazał się wiszący nad nim mokry i lśniący pysk Newtona. Odpędził psa lekkim klepieniem i zobaczył Jane leżącą obok na podłodze z czarnych i białych płyt ułożonych w szachownicę. Uniósł się, z trudem zwalczając mdłości, i potrząsnął ramieniem żony, która zamrugła kilkakrotnie, spojrzała na niego rozbieranym wzrokiem, po czym rozejrzała się nerwowo.

- Gdzie my jesteśmy, Bertie?

Wells nie odpowiedział. Z uwagą przyglądał się płycie podłogowej znajdującej się pod jego prawą ręką - jego dziwna mina przstraszyła żonę bardziej niż cokolwiek do tej pory.

- Co się stało, mój drogi?

- Ja... - wymamrotał biolog - ja nawet nie wiem, czy ta płyta jest czarna, czy biała.

Jane przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Potem podążyła za oszalałym wzrokiem męża ku płycie, na której spoczywała jego dłoń.

- Czarna - zapewniła go, ale zaraz potem zamrugła niepewnie. - Nie, czekaj. - Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w płytę. - Biała! Nie, nie, czarna, ale... jakie to dziwne, że jednocześnie widzę ją jako białą!

Przyglądała się uważnie, jak Wells unosi dłoń, a następnie z wielką ostrożnością kładzie z powrotem na tej samej płycie.

- Położyłem prawą dłoń na czarnej płycie. Tak zrobiłem, prawda, Jane? Nie inaczej? - zapytał z niepokojem.

- Chyba tak - odparła niepocieszona. - Chociaż... Och, Bertie, na brodę Keplera! Nie wiem... Może i nie. W końcu jednocześnie udało ci się ją położyć na białej. A właściwie dlaczego wybrałaś czarną? I... czekaj... jesteś pewien, że to twoja prawa ręka? Może opierasz się na lewej?

Wells spojrział na nią w oszołomieniu i uniósł lewą dłoń na wysokość oczu, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

- To moja lewa, a o podłogę opieram prawą... Choć w gruncie rzeczy, mogłoby być na odwrót...

- Mógłbyś też stać...

- Albo być nieprzytomny...

Ich fascynującą dyskusję przerwał jakiś słodki głosik.

- Z kim mam przyjemność?

Wells i Jane przestali kontemplować płytę, której koloru nie potrafili określić. Unieśli głowy i o kilka metrów od miejsca, w którym klęczeli, zobaczyli śliczną dziewczynkę. Miała około sześciu lat, była bosa i ubrana w sfatygowaną sukienkę, a mimo to od razu zwrócili uwagę na jej naturalną urodę: twarzyczkę w kształcie serca okalała burza kasztanowych włosów z grzywką kończącą się nad ciekawskimi oczami, a wykrzywione usteczka obiecywały przepiękny uśmiech każdemu, kto naprawdę na niego zasłuży. Newton podbiegł do niej, merdając ogonem, położył się u jej stóp i przewrócił na plecy, dziewczynka pogłaskała jego brzuch bosą stopą.

- Jesteście duchami? - zapytała.

Czekając na odpowiedź, popiła lemoniadę ze szklanki, którą trzymała w rękach. Wells wstał i pomógł się podnieść żonie, myśląc przy tym, że równie dobrze dziewczynka mogłaby pić mleko zamiast lemoniady, bawić się jojo albo żonglować jabłkami.

- Dlaczego mamy nimi być? - zapytał.

- Nie mówię, że m a c i e być duchami. Po prostu tak pomyślałam ze względu na sposób, w jaki się zjawiliście. Mam nadzieję, że nie uraziło was moje pytanie. - Mimo że dziewczynka miała na sobie żebraczy strój, z całą pewnością odebrała staranną edukację. - Pojawiliście się nagle - wyjaśniła z nieznacznym zniecierpliwieniem, niczym małe profesorka zwracająca się do nierozgarniętych uczniów. - W powietrzu zrobiła się dziura i rozjaśniło ją bardzo, baaardzo silne światło. Musiałam zamknąć oczy, a gdy je otworzyłam, byliście tu i gapiliście się na płytkę podłogową, jakbyście nigdy żadnej nie widzieli. Dziwne z was duchy - stwierdziła z powagą.

Wells i Jane wymienili spojrzenia. A więc to tu wyrzucił ich tunel Dodgsona... Tu, czyli gdzie? W innym wszechświecie? Rozejrzeli się uważniej i stwierdzili, że pokój wydaje im się znajomy mimo że był stary i zniszczony. Tapeta w słoneczniki, pozytywki, dziecięce rysunki... Natychmiast powzięli podejrzenie. Obrazowi brakowało jednak pewnych pociągnięć pędzla, które upewniłyby ich w tych domysłach. Nigdzie nie dostrzegali ekranu komunikacyjnego, podgrzewacza żywności ani innego urządzenia. To wyglądało, jakby pokój został pozbawiony wszystkiego, co w ciągu minionych wieków wymyślił człowiek - nawet kurzochłonnych myszek. Nie zdążyli jednak wypowiedzieć tej myśli, gdy z jakiegoś miejsca za ich plecami dobiegł głos:

- Alicjo! Chodź, wszystko gotowe do zdjęcia! Co ty tam robisz tak długo?

Wells i Jane odwrócili się w momencie, w którym do pokoju wszedł młody człowiek trzymający w rękach coś w rodzaju ciemnej harmonii, której brzeg starannie czyścił chustką. Na widok obcych i szczekającego nań histerycznie psa stanął w drzwiach jak wryty. Alicja postawiła lemoniadę na stole i podbiegła do niego, przemykając obok intruzów niczym podmuch wiatru.

- Charles, Charles, to duchy, które przybyły przez dziurę w powietrzu! - oznajmiła entuzjastycznie.

Zaborczym gestem objęła młodzieńca za nogę, a on opiekuńczo położył jej dłoń na ramieniu, z niepokojem obserwując parę rzekomych duchów, jakby się zastanawiał, czy ludzkie powitanie



zostanie przez te eteryczne istoty właściwie zinterpretowane. Małżonkowie zaś przyglądali się nowo przybyłemu wybałuszonymi oczami, nie mogąc uwierzyć, że mają przed sobą...

Jak właściwie wyglądał młodzieniec? Liczył około dwudziestu pięciu lat, był wysoki i szczupły jak patyczak, o twarzy pełnej sprzeczności - o ile wypukłe czoło i wklęsła broda upodabniały go nieco do krowy, o tyle zupełnie przeczyły temu nad wyraz inteligentne oczy i arystokratycznie sklepiona czaszka; o ile brwi niczym dwa koniki morskie osadzone nad sennymi powiekami nadawały mu wygląd melancholika, o tyle sarkastyczny uśmieszek na ustach zdradzał zarówno bezlitosne poczucie humoru, jak i marzycielską naturę. Ubrany był w elegancką marynarkę z aksamitu, przesadnie wąskie spodnie i kapelusz z podniesionym rondem, a na szyi zawiązał śnieżnobiałą chustkę, lecz mimo tego ekstrawaganckiego stroju roztaczał wokół siebie aurę wielkiej ogłady równie gęstą jak spowijający go zapach perfum. Otworzył usta, ale przez kilka sekund nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Potem słowa ruszyły lawiną, zderzając się ze sobą i ujawniając jąkanie, które Wellsom wydało się równie znajome jak ten pokój. Nie mieli już innego wyjścia, jak tylko zaakceptować niemożliwe.

- P-p-przepraszam, ale k-k-kim państwo są i c-c-co robią w moim d-d-domu?

- To on - szepnął Wells do Jane, która energicznie pokiwała głową, podnosząc i przygarniając do piersi Newtona, by go uspokoić. - Do diaska, to on. Tylko znacznie młodszy...

- Ale jak to możliwe? Czyżbyśmy... cofnęli się w czasie?

- Nie można podróżować w czasie, Jane. Zostało to w pełni dowiedzione. Na Boga, podnieśże tego psa i uspokój go!

- Przecież podniosłam!

- Więc postaw go na ziemi!

- Przecież stoi!

- P-p-przepraszam... - wtrącił nieśmiało młodzieniec.

- O nie... - jęknęła Jane, nie zwracając na niego uwagi, tylko skonsternowanym wzrokiem patrząc na Newtona. - Rzeczywiście mam go na rękach! Na Kodeks Atlantycki! Czy zmysły nas opuszczają? Czy to przez tę podróż w czasie?

- Jane, już ci tłumaczyłem, że nie podróżowaliśmy w czasie!

- Ale to on, Bertie, to on! - zaproponowała, wskazując młodzieńca. Oboje wbili w niego wzrok, a Newton zaczął ujadać jeszcze mocniej. - I nie ma nawet trzydziestu lat. A przecież, kiedy wskoczyliśmy do dziury, miał sześćdziesiąt sześć. I w dodatku...

Nie dokończyła. By zdławić szloch, wtuliła twarz w sierść szczeniaka, który natychmiast przestał szczekać, zdumiony, że przydzielono mu rolę poduszki.

- P-p-przepraszam - spróbował ponownie młodzian.

- Zaraz! - przerwał mu z lekką irytacją Wells.

Młodzieniec uniósł dłoń w uspokajającym geście. Wells zwrócił się więc do żony, starając się nadać swemu głosowi jak najspokojniejszy ton:

- Jane, błagam, uspokój swój umysł. Jeśli damy się ponieść emocjom, niczego się nie dowiemy. Musimy się wyciszyć mentalnie, by prawda mogła zapuścić korzenie.

Jane przytaknęła. Jej szloch stopniowo cichł. Wells pogładził się po grzbiecie nosa i powoli, by nie przestraszyć młodzieńca, obrócił się twarzą do niego.

- Upraszam o wybaczenie niewybaczalnego sposobu, w jaki moja małżonka i ja wtargnęliśmy do pańskiej posiadłości. Zapewniam, że uzasadniają to wyższe względy, które z radością panu wyłuszczymy. By jednak to uczynić, muszę najpierw poprosić, by mi pan odpowiedział na kilka pytań. Jeśli to możliwe - dyskretnie wskazał dziewczynkę - na osobności. Daję panu słowo, że jest to absolutnie niezbędne i że zaraz potem z przyjemnością wszystko panu wyjaśnimy, panie... Dodgson. Bo nazywa się pan Charles Lutwidge Dodgson, prawda?

Młodzieniec przyglądał im się z zaciekawieniem.

- Cz-czy my się z-znamy?

Wells nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jeśli naukowcy nie mieli racji, a on i Jane jednak przenieśli się w przeszłość, dwudziestoparoletni Charles jeszcze ich nie znał, bo żadnego z nich nie było jeszcze na świecie... Lecz przecież podróżowanie w czasie n i e b y ł o możliwe. Zlustrował gospodarza wzrokiem, studiując jego ubiór, fryzurę, „harmonię” w rękach... I nagle przysłała mu do głowy genialna myśl. Młodzieniec pewnie będzie zdziwiony, ale jeśli ten Charles jest taki sam jak tamten - a Wells bardzo na to liczył - z pewnością zaakceptuje jego odpowiedź, która choć dziwna, była także piękna.

- Nie z tego świata, panie Dodgson. Jednakże w tym, z którego przybywamy, inny Dodgson, podobny do pana jota w jotę, nauczył mnie cieszyć się złocistym popołudniem.

Jane patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami, które rozświetlał blask zrozumienia. Wells uśmiechnął się do niej czule, dumny z jej błyskotliwości i szczęśliwy, że wraz z nią odbywa długą podróż ku Wiedzy Najwyższej. Dodgson odchrząknął.

- J-j-jeśli p-p-państwo... p-p-państwo duchowie... p-p-pozwolą, p-p-przepraszam na moment. - Z czułością uwolnił swoją nogę z objęć Alicji. - Kochanie, chyba musisz iść do ogrodu, do swojej guwernantki i siostr... i poprosić, żeby cię zabrały do domu. Dziś nie uda nam się zrobić zdjęcia, bo jak widzisz, mam niespodziewanych gości i muszę się nimi zająć. - Mówił cicho, nie tak, jak ludzie zwykle zwracają się do dzieci, lecz z doskonałymi manierami właściwymi rozmowie dorosłych, i co najdziwniejsze, bez jąkania. - Dobrze?

- Nie, niedobrze! - zaoponowała rozgniewana dziewczynka. - Zobacz, już się przebrałam za żebraczkę i nawet ćwiczyłam tę pozę, którą mi pokazałeś! - Podbiegła do ściany, oparła się o nią, unosząc jedną nogę, wyciągnęła rękę, układając ją w kształt miski, i rzuciła młodzieńcowi wyzywające spojrzenie. - Jutro mogę już tak nie umieć - zagroziła, acz nie bez słodyczy w głosie.

- Jestem przekonany, że jutro będziesz umiała jeszcze lepiej - odparł Dodgson, ujmując ją za ramiona i łagodnie prowadząc do

drzwi. - Choć dla pewności może powinnaś dziś spać w tej pozie?

- Ale... ale... ale mi obiecałeś, że zabierzesz mnie ze sobą do ciemni, gdy będziesz wywoływał płyty!

- Obietnica zachowuje ważność na jutro. Chyba że w nocy spadnie deszcz asteroid. Wtedy niestety będę musiał złamać obietnicę, bo wszyscy wiedzą...

- Ale ja chcę zostać i porozmawiać z duchami! Są takie zabawne...

- To chyba kiepski pomysł. - Młodzieniec nerwowo zerknął na parę i ściszył głos. - Duchy są bardzo wrażliwe, Alicjo, i niewiele rzeczy potrafi je zranić bardziej niż nieposłuszna dziewczynka. Och, może jedynie widok bosych stóp... Tak, teraz sobie przypominam, że to je przeraża! Wywołuje bezsenność, głuchotę i okropne problemy żołądkowe! Ponadto nienawidzą marmolady pomarańczowej, ponieważ nawet jej odległy zapach powoduje u nich potworną wysypkę... Całe szczęście, że żadne z nas nie jadło marmolady na śniadanie i że nie jesteś nieposłuszna!

- Charles - szepnęła dziewczynka - ja j e s t e m bosa!

- Wielkie nieba! Alicjo Pleasance Liddell! Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz? - wykrzyknął młodzieniec, z przerażeniem patrząc na stopy dziewczynki. - Szybko, szybko! - Wypchnął ją z pokoju. - Biegnij do domu i poproś mamę, żeby ci posmarowała podeszwy stóp pomarańczową marmoladą! To sprawa życia i śmierci! Przysięgam, że jutro po ciebie przyjdę... - Zatrzasnął za nią drzwi, odwrócił się i oparł o nie całym swoim ciężarem, jakby się bał, że dziewczynka je wyważy.

Dziwna para próbowała go uspokoić uśmiechami, które były tak nienaturalne, że nadawały im wygląd szalonych morderców.

- M-m-może herbaty? - wyjąkał. - L-l-lemoniady? Albo o-o-o...

- Czegokolwiek - uciął niecierpliwie Wells, nie czekając, aż się dowie, co takiego na „o” pragnie im zaoferować gospodarz. - Mamy za sobą długą podróż.

- Och... p-p-proszę się rozgościć - rzekł młodzieniec, wskazując elegancki rzeźbiony stół pośrodku pomieszczenia otoczony czterema

krzesłami chippendale'a. - Nastawię czajnik - dodał, po czym położył w kącie przedmiot w kształcie harmonii i szmatkę, które do tej pory trzymał w rękach, i wyszedł.

- Dziękujemy! - rzuciła za nim Jane, siadając.

Wells opadł na sąsiednie krzesło i oboje pograżyli się w pełnym napięciu milczeniu, usiłując nie myśleć o nieskończonej liczbie miejsc, w której młodzieniec mógł położyć harmonię i szmatkę.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię - rzekł biolog, gdy mężczyzna wrócił do pokoju. - Nazywam się Herbert George Wells, a to moja żona, Catherine. Jak już wspomniałem, aby nasza opowieść była maksymalnie prawdziwa, musimy najpierw prosić pana o pomoc w znalezieniu odpowiedzi na kilka dręczących nas pytań. Uprzedzam jednak, że wiele z nich może pana zdziwić, a nasze wyjaśnienia mogą się panu wydać... niewiarygodne.

- P-p-proszę się nie ob-b-bawiać - odparł Dodgson, siadając na jednym z przeciwległych krzesel. - Czasem udaje mi się uwierzyć nawet w sześć niemożliwych rzeczy, nim zasiądę do śniadania.

Wells uśmiechnął się niepewnie.

- Och, widzę, że wybrał pan krzesło po prawej. Tak, jestem tego niemal pewien. Choć równie dobrze mógł usiąść na tym po lewej, prawda, Jane? - Zdezorientowana kobieta skinęła głową. - Cóż, dajmy temu spokój. Od czego mam zacząć?

- N-n-najczęściej zaczyna się od początku - odpowiedział usłużnie Dodgson. - Dź-dź-dzięki temu można kontynuować do końca, a potem przestać.

- Jednakże - rzekł w zamyśleniu Wells - końca także można użyć jako początku.

- Który mamy rok? I gdzie jesteśmy - zapytała gwałtownie Jane, przerywając mężowskie dywagacje.

Dodgson spojrzał na nią zdziwiony.

- Rok Pański 1858, Oxford, Anglia pod rządami J-j-jej Wysokości królowej Wiktorii.

- A kiedy pan się urodził? - pytała dalej Jane.
- 27 stycznia roku 1832.
- Czym się pan zajmuje?
- Uprawiam n-n-niewdzięczny zawód nauczania leniwych ludzi, którzy nie p-p-potrafią docenić wiedzy. Inaczej mówiąc, w-w-wykładam matematykę w Christ Church College w Oxfordzie.
- Pański ostatni projekt naukowy?
- P-p-pracuję nad kompendium geometrii algebraicznej figur płaskich.
- Chyba wystarczy, kochanie - wtrącił Wells.
- Pisze pan wiersze i bajki? - pytała dalej Jane, ignorując męża.
- T-t-tak, publikowałem w kilku pismach.
- Pod pseudonimem?
- Ostatnie wiersze w „The Train” p-p-podpisałem jako Lewis Carroll...

Jane spojrzała znacząco na Wellsa, podczas gdy Newton, który doszedł do wniosku, że ten człowiek jest nie tylko niegroźny, lecz także śmiertelnie nudny, zeskoczył z kolan właścicielki i zaczął zwiedzać pokój.

- Niewiarygodne - szepnął do małżonki biolog. - Ten wszechświat jest niemal identyczny z naszym... Nie tylko Dodgson, ale nawet sama królowa Wiktorja mają tu swoje odpowiedniki... Przypuszczam, że wszyscy mieszkańcy naszego świata istnieją także w tym. Oczywiście nie wyłączając nas! Ale skoro przybyliśmy do roku 1858, nasze sobowtóry jeszcze się nie narodziły. Tak czy owak tutejszy rok 1858 jest znacznie bardziej zacofany niż ten z naszego świata: ten pokój, studia matematyczne Charlesa... Widziałas ten aparat? - Wskazał podobny do harmonii przedmiot, który Dodgson położył w rogu stołu.

Jane przytaknęła.

- Jest prehistoryczny - zawyrokowała.

- P-p-prehistoryczny? - zdumiał się gospodarz. - To najnowszy model sandersona!

- Proszę się nie gniewać, panie Dodgson - uspokoił go Wells. - Obawiam się, że moja żona nieco przesadziła, choć muszę przyznać, że w naszym świecie ten sposób fotografowania jest całkowicie archaiczny. Bo widzi pan, my... przybywamy z innego świata. Kiedy stamtąd wyruszyliśmy, był rok 1898. Nie mam pojęcia, dlaczego cofnęliśmy się o czterdzieści lat, choć zamierzam się nad tym zastanowić, kiedy tylko znajdę odrobinę czasu. Tak czy inaczej, choć nie jestem znawcą historii, chyba mogę pana zapewnić, że nasi fotografowie w roku 1858 od dawna nie używali płyt ani nie stosowali procesu kolodionowego, nie potrzebowali czasochłonnej ekspozycji czy zmuśnego wywoływania... Od ponad wieku fotografujemy rzeczywistość za pomocą matrycy złożonej z tysięcy mikroskopijnych elementów światłoczułych, które przetwarzają światło na sygnał elektryczny i zapisują w formie cyfrowej, żeby... - Urwał na widok osłupiałej twarzy młodziana. - Nieważne, wyjaśnię to panu spokojnie w bardziej odpowiedniej chwili. Chodziło mi jedynie o to, że wasz świat jest bardzo podobny do naszego...

- ...więc czujemy się tu prawie jak w domu - wtrąciła Jane. - Stroje, meble, pan w tym samym wieku i z tym samym wyglądem, który miałby w 1858 roku nasz Dodgson... Przez chwilę wydawało nam się, że cofnęliśmy się w czasie.

- Ale podróże w czasie są niemożliwe. A kiedy zobaczyłem ten aparat, który pan traktuje nie jak zabytek, tylko jak przedmiot codziennego użytku...

- I widząc, że w całym domu najwyraźniej nie ma żadnego służącego...

- I że zajmuje się pan pojęciami matematycznymi, które nam są całkowicie niepotrzebne od znacznie więcej niż czterdziestu lat. Szczerze powiedziawszy, od stuleci...

- Biorąc pod uwagę to wszystko, zrozumieliśmy, że nie trafiliśmy do naszej przeszłości, tylko do... innego wszechświata. Bardzo podobnego, lecz z pewnymi różnicami.

Młody matematyk kilkakrotnie otwierał usta, nim udało mu się wyartykułować pytanie.

- A s-s-skąd mam wiedzieć, ż-ż-że państwo po prostu nie z-z-zwariowali?

- Panie Dodgson - Jane spojrzała nań w ogromną czułością - czy kojarzy się panu z czymś tytuł *Wyprawa na żmirlacza*?

Nauczyciel zbladł.

- W-w-wielkie nieba! Ch-ch-chodzi mi po głowie taki pomysł na wiersz, ale j-j-jeszcze nikomu o tym nie opowiadałem. Skąd pani...?

- Napisze go pan - zapewniła go kobieta. - Napisze go pan za kilka lat i będzie naprawdę piękny. Zawsze był moim ulubionym. Nasz Charles wyznał mi kiedyś, że wpadł na pomysł jego napisania, gdy był bardzo młody...

Dodgson wstał gwałtownie i oparł się o poręcz krzesła. Uniósł drżącą dłoń do arystokratycznego czoła. Jego bladość przybrała lekko zielonkawy odcień.

- W-w-więc mam rozumieć, ż-ż-że państwo przybyli z... innego świata? - podsumował. - Świata identycznego z tym, p-p-przynajmniej estetycznie, l-l-lecz znacznie bardziej... rozwiniętego?

Wells i Jane przytaknęli.

- I jak państwo to zrobili?

- Trudno to wyjaśnić, panie... czy mogę się do pana zwracać per „Charles”? - zapytał Wells. - Przyzwyczaiłem się. - Młodzian skinął głową. - Dziękuję... Cóż, proponuję, żebyś sobie wyobraził coś w rodzaju... króliczej nory, która przecina hiperprzestrzeń, łącząc różne wszechświaty.

- A gdzie teraz jest ta nora? - zapytał Dodgson, ruchem ręki omiatając pokój.

- Chyba się zapadła po wyrzuceniu nas - odparł Wells, przypominając sobie ogłuszający świst, który usłyszał zaraz po skoku.  
- Obawiam się, że była to podróż w jedną stronę.



Spojrzał z frasunkiem na Jane, a ona ścisnęła jego dłoń. Po chwili ciszy Dodgson ośmielił się spytać:

- I po Drugiej Stronie tej króliczej nory istnieje ktoś taki sam jak ja, z t-t-tym samym nazwiskiem i identycznym ż-ż-życiem?

- W rzeczy samej, Charles - rzekł z dumą Wells. - Był moim nauczycielem. Genialny naukowiec. To on stworzył tunel, przez który się tu przedostaliśmy.

- A dlaczego nie przybył z wami?

Wells i Jane wymienili posępne spojrzenia.

- Jak by ci to... - biolog nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Bo go zabili - wypaliła Jane.

Potem opisała mu w skrócie, co się wydarzyło w jego laboratorium po Drugiej Stronie, zanim udało im się wskoczyć do tunelu. Kiedy skończyła, chłopak wbił w nią przerażony wzrok. W tym momencie z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł gwizd czajnika. Młodzieniec przeprosił ich uprzejmym gestem i wyszedł niepewnym krokiem pijanego, poruszając ustami i kręcąc głową, jakby rozmawiał sam ze sobą.

- Po co mu opowiedziałas o śmierci? - zapytał Wells równie cicho, co natarczywie. - Uważasz, że to był dobry pomysł?

- A co to szkodzi? - zdziwiła się Jane. - Przecież nie chodzi o j e g o śmierć, tylko tego drugiego...

- Owszem, ale skoro obaj urodzili się tego samego dnia i tyle ich łączy, to... możliwe, że datę śmierci również mają tę samą. A któż chciałby wiedzieć, kiedy umrze?

- Może i racja... Ale jak sam zauważyłeś, nie są identyczni. Nasz Charles, o ile mi wiadomo, nigdy nie pasjonował się fotografią, ani też, jak mi się zdaje, nie zawierał w młodości przyjaźni z tak małymi dziewczynkami... Zaraz! - Uszczypnęła męża w przedramię. - Jak on się do niej zwracał?

- „Alicjo” - odparł Wells. - Reszty nie pamiętam.

- Alicja Liddell - przerwała mu Jane z gorączkowym błyskiem w oku. - Alicja Pleasance Liddell. A jak nazywa się żona naszego Charlesa?

- Przecież doskonale wiesz, moja droga. Przyjaźniłyście się. Pleasance Dodgson.

- Wiem, wiem. - Jane przytaknęła niecierpliwie. - Ale jej panięskie nazwisko brzmiało Liddell! I zgadnij, jak brzmi jej drugie imię?

Wells stał jak wryty, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nazywa się Pleasance Alicja Liddell - oświadczyła Jane. - Wyobrazasz sobie? Ta dziewczynka to nasza Pleasance! Choć wygląda na to, że w tym świecie rodzice nadali jej imiona w odwrotnej kolejności. Na Newtona! Teraz wszystko rozumiem. Nasz Charles był starszy od swojej żony o dwadzieścia lat, pamiętasz? I oboje unikali mówienia o tym, jak i kiedy się poznali. Plotkowano, że zanim mogli wziąć ślub, długo sprawdzano, czy nie istnieją żadne przeciwwskazania, a Charles musiał wiele razy jeździć do swego doradcy od zarządzania uczuciami i kilka razy powtarzać zapowiedzi...

- Na brodę Keplera! Jeśli Kościół odkrył, że Charles poświęcił tyle życia na czekanie, aż ta dziewczyna dorośnie, by móc się z nią ożenić, musiało mu być bardzo trudno przekonać kapłana, że tak szalona miłość nie przeszkodzi mu w wędrówce ku...

Przerwało mu nieśmiałe chrząknięcie. Małżonkowie podnieśli głowy. Dodgson, którego powrotu, pogrążeni w dyskusji, nie zauważyli, stał obok stołu z tacą w rękach. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że młodzieniec usłyszał ostatnie słowa biologa.

- My, Anglicy, nawet podróżując między światami, zawsze zdążamy na herbatkę - próbował żartować Wells. Nie udało mu się jednak odwrócić uwagi Dodgsona.

- W waszym świecie - mruknął, czerwieniąc się jak burak - m-m-mój sobowtór ożenił się z Alicją... - Gwałtownie postawił tacę na stole i usiadł, jakby ogarnęły go niespodziewane mdłości. Dojście do siebie

zajął mu kilka sekund. - Powiedzcie - poprosił wreszcie - jaka ona będzie, gdy dorośnie? W j-j-jaką przeistoczy się kobietę?

- Teraz usiadłeś na krześle z lewej - mruknął niepewnie Wells.

- Właśnie - dodała Jane - dlaczego nie usiadłeś na tym co wcześniej?

- J-j-jeśli chcecie, przesiądę się - zaproponował ugodowo Dodgson, przesiadając się z wigorem, którego wcześniej nie przejawiał. - A t-t-teraz opowiadajcie całą swoją historię... i historię tamtego Charlesa.

- Oczywiście, oczywiście... Cóż... nasz świat... - zaczął Wells, po czym nagle przerwał. - Przepraszam, Charles, czy ty naprawdę się przesiadłeś, czy tylko miałeś taki zamiar?

- Na wszystkie świętości! - wybuchnął chłopak. - Co wy z tymi krzesłami? Z-z-zachowujecie się, jakbyście mieli j-j-jakąś obsesję na punkcie przypadkowości...

Para wbiła w niego zdumione spojrzenia.

- Dlaczego mielibyśmy mieć obsesję na punkcie czegoś, co jest całkowicie teoretyczne i nierealne? - wybąkał Wells.

Tym razem w konkursie zdumionych spojrzeń zwyciężył Dodgson - i to z dużą przewagą.

- Ch-ch-chcecie powiedzieć, że w waszym świecie wszystko jest z góry określone?

- „Z góry określone”? A co to, do licha, oznacza? - odparł zirytowany Wells. - W naszym świecie wszystko dzieje się w jedyny sposób, w jaki może się dziać. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może istnieć inna możliwość. W tym świecie jednak przedmioty wydają się mieć denerwującą właściwość zmieniania stanu... To tak, jakby się chciało wziąć coś z półki, a gdy już wyciąga się rękę, przedmiot nagle przenosi się na wyższą półkę i tak w kółko... A podjęcie każdej decyzji jest tak...

- ...niemożliwe... niepewne... - mruknęła Jane.

- To bardzo dziwne, oszałamiające uczucie - dodał przygnębiony Wells.

- M-m-moglibyśmy zatem powiedzieć, że wszystko jest zarazem *istobliwe* i *osotne*<sup>7</sup> - zauważył z marzycielskim uśmiechem Dodgson.

Wellsowie wpatrywali się weń bez zrozumienia, a on przyglądał im się dyskretnie, udając pogrążonego w zadumie.

- M-m-am pomysł - zaproponował z niespodziewanym entuzjazmem, choć może raczej należałoby powiedzieć, z *niespodzianym*. - Ilekroć ogarnie was z wątpienie w kwestii tego, na którym krześle siedzę, w-w-wołacie: „Zmiana krzesła!” i wszyscy troje przesiadamy się o jedno miejsce, zgoda? M-m-myślę, że taki kolisty ruch sprawi wam pewną ulgę, wystarczającą przynajmniej do tego, byśmy mogli spokojnie prowadzić rozmowę...

Wellsowie wymienili spojrzenia.

- Zmiana krzesła! - zawołali.

- Ojej... d-d-dobrze. - Wstali i przesiedli się o jedno krzesło w prawo. - Świetnie. T-t-teraz wszystko jest na swoim miejscu - stwierdził z kurtuazyjnym uśmiechem Dodgson. - Przynajmniej na jakiś czas. George, Catherine, czy bylibyście łaskawi opowiedzieć mi te wszystkie rzeczy, w które mimo ich niewiarygodności mam uwierzyć? Do rana powinniśmy zdążyć.

I tak rozpoczęła się ta zwariowana herbatka, która miała się stać początkiem przyjaźni. Gdyby ktoś obserwował rozmówców przez okno, nie przyszłoby mu do głowy, że patrząc na coś, co mimo nieobecności dzieci przypomina dziecinną zabawę, jest w istocie świadkiem cudu - pośród dyskusji, teorii i gorączkowych hipotez oraz narastającej liczby brudnych filiżanek trzy niezwykle umysły zaczynały bowiem pojmować coś, czego do tej pory nie pojął nikt: prawdziwą naturę wszechświata.

## XXIV

W ciągu następnych dni Wellsowie radowali się niezmiernie, że mogą liczyć na przewodnictwo Dodgsona w tym, co uważali za największą przygodę swojego życia. Nie mieli pojęcia, jak poradziliby sobie w tym świecie tak podobnym do ich własnego i tak odmiennym zarazem, gdyby nie pomoc młodego matematyka, która przydała im się bardzo nie tylko w kwestiach praktycznych, takich jak znalezienie sposobu na zdobycie chleba czy wymyślenie tożsamości pozwalającej się wtopić w społeczeństwo, lecz także w nie mniej istotnej materii, jaką jest zachowanie rozumu. Oczywiście było, że jedynie ktoś jego pokroju niemal bez mrugnięcia potrafi zaakceptować tak oszalamiającą opowieść - matematyk bowiem patrzył na świat oczyma dziecka, a jak wszyscy wiemy, dzieci są idealnymi odbiorcami najbardziej szalonych historii: tylko one odmawiają przykładania do tego, co dziwne, jakiegokolwiek znanej miary, i pozwalają mu dziwnym pozostać. Stosując wobec Dodgsona tę samą metodę, którą stosuje się wobec najmłodszych, Wellsowie zdołali uzyskać odpowiedzi na wiele nurtujących ich pytań.

Najważniejszą poznali już pierwszego wieczoru, kiedy po licznych hipotezach oscylujących, co było do przewidzenia, między olśnieniem a absurdem, zdołali uchwycić podstawową różnicę między swymi światami, kładąc tym samym podwaliny pod przyszłe rozważania. To właśnie zakochany w sztuce Charles podsunął nazwę, którą ostatecznie przyjęli dla swojej teorii - Teoria Teatrów.

Podstawowa różnica musiała oczywiście mieć jakiś związek z obsesją Wellsów na punkcie przypadkowości. Po długich rozważaniach dyskutanci doszli do wniosku, że jedynym sposobem określenia, czy coś wydarza się w taki, czy w inny sposób, może być

obserwacja. Jeśli istniał obserwator, nieskończone możliwości rozwoju sytuacji sprowadzały się do jednej, prawdziwej: tej, którą zaobserwował. Świat Wellsów musiał zatem być jak teatr, w którym sztuka życia rozgrywała się na oczach widzów, uważnie ją obserwujących i w ten sposób niweczących wszelkie możliwości rozwoju wypadków z wyjątkiem tej, którą zobaczyli. To wyjaśniało, dlaczego w tym odległym wszechświecie nie istnieje przypadek.

Wszechświat młodego Dodgsona, na odmianę, był teatrem bez publiczności, chyba że za taką uważać samych aktorów. Ci jednak obserwowali sztukę od wewnątrz, więc ich spojrzenie było subiektywne, a w istocie może nawet nieograniczone, gdyż zależało od każdej z mnóstwa decyzji podejmowanej przez każdego z aktorów w każdym momencie. Było to tak, jakby w tym pustym teatrze rozgrywały się jednocześnie wszelkie możliwe wersje tej samej sztuki, oparte o wszelkie możliwe scenariusze, które nakładały się na siebie, a żaden zespół aktorów nie miał pojęcia o istnieniu pozostałych i uważał się za jedyny, bo nie było obserwatora, który mógłby zadecydować o prawdziwości któregoś. Być może wszechświat młodego Dodgsona był dokładnie tym: sumą nieskończonych możliwości istniejących jednocześnie.

Tak piękne wyobrażenie musi być prawdziwe, zdecydowali niemal ze łzami w oczach wszyscy troje. Dlatego Wells i Jane mieli kłopoty z przypadkowością; dlatego każda drobna decyzja, którą musieli podjąć, jawiła im się potwornym dysonansem... Całe dotychczasowe życie spędzili w czterech ścianach teatru, w którym podniosłe milczenie publiczności nie dopuszczało istnienia nawet przypadkowego echa. A kiedy poprzez magiczny tunel starego Dodgsona przeszli przez ulicę do przeciwległego teatru, przytłoczyła ich potworna kakofonia niezliczonych scenariuszy, hałas, który słyszeli jedynie oni dwoje. Dla mieszkańców tego końca nory nieskończone możliwości stwarzane przez wolną wolę stanowiły zaledwie cichutki szmer. Dla naszych podróżników był on jednak nie do zniesienia.

- Ale kim jest ten widz, który siedzi w teatrze po Drugiej Stronie, przekształcając nieskończone scenariusze w jedną sztukę? - zapytał Wells. - Czy to Bóg zasiadający w łoży?

- Dlaczego Bóg miałby wybrać jeden teatr, a nie któryś z pozostałych? - zastanawiał się Dodgson. - Gdyby zaś siedział we wszystkich albo w żadnym, nie byłoby różnic, które odkryliśmy, bo wszystkie teatry byłyby identyczne. Myślę, że nie powinniśmy uważać Boga za publiczność, lecz raczej za kogoś w rodzaju reżysera, dramaturga podglądającego spektakl zza kulis albo nawet suflera... Widza tak zaangażowanego w sztukę, że nie jest w stanie sprowadzić niezliczonych scenariuszy do jednego.

- A jednak w teatrze, z którego przybyliśmy, odgrywana jest tylko jedna sztuka - zauważyła Jane - więc ktoś musi ją obserwować. Tylko kto? Dla kogo rozgrywamy swoje życie?

Wszyscy pograżyli się w zadumie.

- A gdyby sprowadzanie tych możliwości do jednej było dziełem samych aktorów?! - wykrzyknął nagle Wells. Jane i Dodgson spojrzeli na niego zdziwieni. - Wyobraźcie sobie trupę aktorów o niezwykłych zdolnościach obserwacyjnych, pozwalających spoglądać na sztukę jednocześnie od wewnątrz i od zewnątrz, jak gdyby część ich umysłów siedziała na widowni, podczas gdy oni sami recytują tekst scenariusza. Wszechświaty, w których mieszkańcy posiadaliby tę cudowną właściwość obserwacji, istniałyby jako jedyna i określona rzeczywistość zamiast rozdrabniać się na niezliczone możliwości, tak jak się to dzieje w tym świecie.

- Chcesz powiedzieć, że my mamy tę zdolność? - zapytała zdumiona Jane. - Ale skoro tak, to... dlaczego nigdy nie byliśmy tego świadomi?

- Bo nie mieliście się z kim porównać - podsunął po chwili namysłu Dodgson. - Czy człowiek potrafiący widzieć przez ściany doceniałby swój talent, gdyby żył w świecie, w którym wszystkie budynki byłyby zrobione ze szkła?

Od tego momentu matematyk nazywał mieszkańców Drugiej Strony „Obserwatorami”, konkretne osoby określając jako „Dodgsona Obserwatora” czy „królową Wiktorię Obserwatorkę”, by je odróżnić od sobowtórów z teatru położonego po jego stronie króliczej nory. W kolejnych dniach Teoria Teatrów nabierała mocy, jej twórcy

odkryli bowiem, że mogą za jej pomocą wyjaśnić każdą wątpliwość, jaka ich ogarnia. Doskonale pasowała również do obliczeń przeprowadzanych entuzjastycznie przez Dodgsona i Wellsa, traktujących to poniekąd jako rozrywkę, choć pierwszy z nich musiał się najpierw zmierzyć z bardzo zaawansowaną matematyką przyszłości, drugi zaś odkurzyć swoją wiedzę z jednej z tych dziedzin, które podczas studiów najbardziej go nudziły. Tak czy owak z komiczną wręcz powagą ślęczeli nad skomplikowanymi matematycznymi mapami, które niczym mapy geograficzne miały wskazywać przeróżne drogi, trawersy i ścieżki, jakimi wędrowiec mógł się przemieścić z jednego świata do drugiego, i wymyślali wzory pozwalające obliczyć współrzędne dowolnego punktu wszechświata z drugiego jego końca, jak gdyby cały kosmos można było zredukować do jednego wielkiego równania.

Niestety, pierwszy empiryczny dowód prawdziwości Teorii Teatrów wywołał wielkie przygnębienie Jane. Zdarzyło się to pięć miesięcy po przybyciu Wellsów do nowego świata. Wells, Jane i młody Dodgson wybrali się na wycieczkę na łąki Godstow w towarzystwie córek dziekana college'u, małych sióstr Liddell, tak jak to czynili wielokrotnie, odkąd zaczęło się robić ciepło. Było piękne późnowiosenne złociste popołudnie, słońce mocno grzało, nurt rzeki wydobywał z przybrzeżnych trzcin dźwięki podobne do melodii ksylofonu, dziewczynki bawiły się w chowanego, dorośli szykowali podwieczorek na rozciągniętym na trawie kocu, rozmawiając o tym i owym, a Newton gonił motyle. Gdy mu się znudziło, zaczął grzebać w koszykach, próbując coś podwędzić, aż Jane ofuknęła go pół żartem, pół serio:

- Znikaj stąd, żarłoku!

I jakby pretendował do tytułu najposłuszniejszego psa świata, Newton zniknął. Dosłownie. W jednej chwili stał tam, przyciskając łapami brzeg koca, a w następnej już go nie było. Pozostały jedynie cztery wgniecenia na kocu. Jane miała wrażenie, że wykonała czarodziejską sztuczkę. Potem krzyknęła wniebogłosy. Gdy zebrani otrząsnęli się z szoku, rozpoczęli desperackie poszukiwania psa, które jednak zakończyły się niepowodzeniem, zmuszając ich do akceptacji tego, w co długo nie chcieli uwierzyć, choć widzieli to na własne oczy:



że Newton zniknął. Pocięszywszy Jane, jak tylko potrafili, i wymyśliwszy wiarygodny pretekst dla dziewczynek, wrócili do Christ Church, by wyciągnąć wnioski ze zdarzenia. Z pomocą kilku czajniczków mocnej herbaty doszli do jednego możliwego wniosku: odkryli właśnie, że wirus kronotemii działa. I choć dla Jane nie była to wielka pociecha, Wells poczuł ogromną satysfakcję.

Więc jednak nie pomylili się tak bardzo w swoich badaniach. Zniknięcie Newtona dowiodło, że zarażeni wirusem mogą dokonywać skoków, choć jedynie między scenariuszami tego samego teatru. Najwyraźniej, używając metafory Dodgsona, nie mogli przeskoczyć przez ulicę do przeciwnego teatru. Dlatego pies nigdzie się nie przeniósł, gdy podali mu surowicę po Drugiej Stronie: w jego teatrze nie istniał inny scenariusz, do którego mógłby przeskoczyć. Być może wirus umożliwiał jedynie przemieszczanie się między scenariuszami, czy też alternatywnymi światami, które łącznie tworzyły wspólną rzeczywistość, wspólny teatr. Na brodę Keplera, gdyby Wells to wiedział, nie uznałby za porażkę braku wyników po Drugiej Stronie! Kontynuowałby badania, dokonał odpowiedniej korekty surowicy, by umożliwić przemieszczanie się między teatrami... Ale jakie to miało znaczenie? W tym prymitywnym świecie, który dopiero co odkrył ogień, i tak nie mógł nic zrobić. Szansa minęła. Zrobił, co mógł, podobnie jak stary Dodgson, a teraz odkrył, że każdy z nich miał trochę racji. Cóż, tamten świat będzie musiał poradzić sobie bez nich. Świadomość, że jedno i drugie badania zmierzały w dobrym kierunku, natchnęła go jednak nadzieją, że jego następcy zdołają kiedyś udowodnić którąś z tych teorii.

I tak, pośród zdumiewających odkryć i złocistych popołudni, Wellswie stopniowo przywykali do nowych warunków. Niewątpliwie najtrudniej im było nauczyć się żyć z kakofonią wywoływaną przez konieczność dokonywania wyborów, tym ciągłym i wysoce drażniącym hałasem wibrującym w ich mózgach w każdej sekundzie istnienia. Z czasem jednak zdołali wymyślić parę sztuczek i technik umysłowych pozwalających nieco wyciszyć to nachalne bzyczenie, a kiedy jedno z nich słabło, zawsze mogło liczyć na pomoc drugiego lub samego Dodgsona, który niestrudzenie się nimi opiekował. Na szczęście z każdym dniem ignorowanie tego męczącego uczucia

stawało się łatwiejsze. Ku zdumieniu Wellsów jedną z rzeczy, które najbardziej im pomogły w zapanowaniu nad nim, okazała się fotografia. Ten długi i pracochłonny proces ze swoją staroświecką alchemią napełniał ich dusze tajemnymi aromatami, stając się nieoczekiwanym balsamem dla wyczerpanych umysłów. Popołudniami, gdy w college'u kończyły się zajęcia, studenci i profesorowie nierzadko wpadali na Dodgsona i jego nowych przyjaciół transportujących ciężki sprzęt albo widzieli, jak przed strzelistą katedrą czy sklepikiem z cukierkami niedaleko Christ Church manipulują przy lśniącej aparacie fotograficznym, pociągają za dźwignie i przełączniki niczym myśliwi szykujący ekscentryczną pułapkę na jakiś efemeryczny okrucieństwo, by go pochwycić, nim się rozplynie.

Wellsowie fotografując okolicę, osiągnęli niebywałą zręczność w posługiwaniu się aparatem - tak przynajmniej podsumował to Dodgson, z zachwytem obserwujący, jak na płytach uczulonych azotanem srebra pojawiają się stada jeleni hasających po łąkach Grove, prostokątne dziedzińce college'ów, dostojne wnętrza bibliotek czy urokliwa zadrzewiona ścieżka nad rzeczką Cherwell, gdzie wiecznie kręciły się tabuny próżnujących studentów. Matematyk z niesłabnącą przyjemnością odkrywał w tych magicznych obrazach swoją zwyczajną, lecz jakże przeobrażoną rzeczywistość. Sam jednak zamiast otaczającym go miejscem wolał robić zdjęcia ślicznym córeczkom dziekana: czarującej Lorinie, małej Edith i Alicji, najładniejszej i najmądrzejszej, swojej ulubienicy, z którą jego odpowiednik ożenił się w świecie Wellsów. Sesje z nimi zawsze były świętem. Dodgson otwierał kufer z przebraniami i fotografował dziewczynki w strojach Chińczyków, Hindusów, książąt lub żebraków, rozparte na szeszlach lub odgrywane misternie zaaranżowane sceny z mitologii, świadom, że w ten sposób utrwala ulotny, niepowtarzalny moment ich życia, wspomnienie, do którego często będą wracać, gdy dorosną.

Wellsowie szybko zauważyli, że matematyk poza nimi nie ma bliskich przyjaciół wśród dorosłych, być może dlatego, że z racji nieśmiałości, jąkania się czy marzycielskiego usposobienia lepiej czuł się w towarzystwie dziewczynek. Chłopcy go przerażali: śmieli się

z niego i nigdy nie znajdował z nimi wspólnego języka. Dziewczynki to co innego. Były słodkie i wyrozumiałe, a ich kruchość doprowadzała niemal do łez. Był wobec nich troskliwy i opiekuńczy, a przede wszystkim wiedział, jak z nimi rozmawiać. Widział je tak wyraźnie, że nie posiadał się ze zdumienia, iż inni dorośli, czy to rodzice, czy nauczyciele, odnoszą się do nich tak samo jak do chłopców, jak gdyby wszyscy oni należeli do tej samej gromady, gromady dzieci, podczas gdy było zupełnie inaczej. Dziewczynki wymagały całkiem odmiennego podejścia, a jeśli jakiś dorosły im je oferował, bez wahania oddawały mu serce, zdumione i oczarowane faktem, że udało im się znaleźć porozumienie z członkiem wyższej kasty.

Dlatego też Dodgson nigdy nie wydawał się Wellsom tak szczęśliwy jak w otoczeniu sióstr Liddell. Potrafił z nimi godzinami trajkotać o zupełnych głupstwach. Pewnego popołudnia, na przykład, podczas wycieczki nad rzekę, usłyszeli, jak tłumaczy dziewczynkom, że nie należy kończyć listu słowami „Ściskam cię miliony razy”, bo jeśli przyjmiemy średnią dwudziestu uścisków na minutę i łaskawie uznamy, że miliony będą zaledwie dwa, potrzeba by dwudziestu trzech tygodni ciężkiej pracy, by spełnić obietnicę. Wygląda na to - szepnęła Wells do żony - że podobnie jak nasz Charles i ten ma jakąś alergię na przesadę.

Ilekcroć mogli, ochoczo przyłączali się do wypraw, na których Dodgson okazywał się najlepszym z możliwych towarzyszem zabaw: angażował się w proste i niewinny swawole dziewczynek, zarażał się ich drobnymi troskami, przede wszystkim zaś opowiadał im wymyślone naprędce historyjki, które unosiły się na letniej bryzie niczym kolorowe bańki mydlane. Robił to z taką swadą, że kiedy kończył, niepomne na jego zmęczenie dziewczynki wykrzykiwały „Jeszcze jedną!”. Dla Wellsów natomiast te wypełnione śmiechem i zabawami popołudnia stały się kolejną niezawodną metodą uciszania ogłuszającego brzęczenia w głowach.

Jakże szczęśliwe były to chwile pośród zamętu przeszkód, na które napotykali każdego dnia - w szczególności Jane, zmuszona się borykać z ukrytą przeszkodą w postaci posępnego losu kobiety w tutejszym społeczeństwie. Początkowo trudno jej było uwierzyć

w słowa Dodgsona, a nawet w świadectwo własnych oczu, jej mózg nie był bowiem w stanie dopuścić do siebie wizji tak potwornego upokorzenia.

Po Drugiej Stronie od stuleci nie czyniono różnicy między umysłem męskim i kobiecym. To, że każda płeć inaczej pojmuje rzeczywistość, nie oznaczało, że któraś jest lepsza od drugiej. Tu natomiast od Jane oczekiwano jedynie, że będzie urocą małżonką nowego profesora biologii, od czasu do czasu zaprosi inne małżonki na podwieczorek w swoim apartamencie w Merton College lub co najwyżej założy klub czytelniczy dla kobiet. Jak pewnie się domyślacie, początkowo buntowała się przeciwko roli marionetki, przekonana, że nigdy nie zdoła się do niej ograniczyć. Prosiła nawet dziekanów kilku college'ów, by ją przyjęli do pracy na wydziale nauk przyrodniczych, choćby tylko w charakterze asystentki. Po początkowym zdumieniu niesłychaną prośbą wszyscy jednak odprawiali ją pod jakimś uprzejmym pretekstem. Jeden, odprowadzając ją do drzwi z ojcowską protekcjonalnością, rzucił nawet: „Dziewczę drogie, rozumiem, że czujesz się samotna jak wiele kobiet, ale skoro tak lubisz naukę, może zajęłabyś się rysowaniem zwierząt?”. Owo zdanie, które Jane z oburzeniem powtórzyła mężowi, z czasem stało się jednym z powracających tematów ich żartów. Ilekroć Jane usiłowała obalić jakąś hipotezę Dodgsona czy Wellsa, ten z kpiącym uśmiechem odpowiadał: „Dziewczę drogie, może zajęłabyś się rysowaniem zwierząt?”. Były to, rzecz jasna, niewinne żarty, które przyjmowała ze śmiechem. I właśnie ze śmiechu zdawał się składać cały tamten czas. Niestety, tak jak lato ostatecznie musi się ugiąć pod naporem jesieni, tak ich bezbrzeżna szczęśliwość była skazana na zagładę.

Trzy lata po przybyciu Wellsów do jego świata Dodgson otrzymał święcenia diakona. Robił, co w jego mocy, by opóźnić ten krok, który oznaczał ni mniej, ni więcej, tylko perspektywę przyjęcia święceń kapłańskich już w przyszłym roku, jako że nieubłagane reguły Christ Church wymagały kapłaństwa od każdego wykładowcy, mimo iż Dodgson absolutnie nie czuł się do tego powołany. Naturalnie wierzył w Boga, a nawet w każdą niedzielę chodził dwukrotnie do kościoła, choć wątpił, czy jego Bóg jest tym samym, który zamieszkuje zimną

i ciemną katedrę, a jego straszliwy gniew można ugłaskać jedynie poprzez nudne, łzawe i potwornie długie nabożeństwa. Rozdźwięk w tej materii pomiędzy Charlesem a dziekanem Liddellem wzmógł niechęć pani Liddell, która przestała patrzeć łaskawym okiem na narastającą zażyłość swoich trzech córek z tym dziwnym profesorem i towarzyszącą mu zawsze ekstrawagancką parą o nieodgadnionej przeszłości. Raz za razem zakazywała dziewczynkom tradycyjnych wycieczek nad rzekę pod coraz bardziej błahymi i mniej zawołowanymi pretekstami, co rozwścieczało Charlesa, który bezradnie patrzył, jak dziewczynki, a zwłaszcza Alicja, oddalają się od niego. Wciąż nie wierzył, że to początek końca - a jednak tak właśnie było. Złociste popołudnia dobiegały kresu, a lato 1862 roku było łabędzim śpiewem radosnych dni.

Czwartego lipca po południu łódź niosąca duchownego, małżeństwo i trzy dziewczynki płynęła nurtem Tamizy w kierunku miasteczka Godstow. Błękit nieba był tak olśniewający, że zdawał się barwić cały świat, łódka sunęła łagodnie po rozedrganym lustrze wody, mijając senny krajobraz pogrążony w ciszy przerywanej jedynie chlupotem wiosel i trzema dziecinnymi głosami, domagającymi się coraz natarczywiej: „Charles, Charles, opowiedz nam historyjkę”. Dodgson, który droczył się z nimi, udając, że śpi, otworzył oczy, kiedy uznał to za stosowne, przeciągnął się teatralnie i postanowił przychylić się do próśb. Przy akompaniamencie kojącego bzyczenia owadów zaczął snuć opowieść o dziewczynce imieniem Alicja, która wpadła do króliczej nory i trafiła do cudownego świata, który wydawał się kierować tylko jedną regułą: wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić, może się urzeczywistnić.

- To jedna z twoich zmyślonych historyjek? - zapytał z kpiącym uśmiechem wiosłujący na dziobie Wells.

- P-p-pewnie, George. W-w-wymyślałam ją na bieżąco - odparł Dodgson, mrugając do niego.

I przez całe popołudnie, podczas rejsu i na łące, na której jedli obiad w cieniu złotych stogów siana, profesor czarował swoją opowieścią zarówno dziewczynki, jak i małżeństwo, które uśmiechało się jednocześnie, ilekroć rozpoznawało którąś ze swoich przygód

okiełznaną przez fantazję Dodgsona - nawet zwariowaną herbatkę, w której uczestniczyli zaraz po przybyciu do tego świata. Dla Wellsa był to najlepszy dowód, że człowiek potrafi fantazjować sam z siebie i nie musi w tym celu wdychać żadnego cudownego proszku.

Wystarczą złote promienie słońca i kilka zasłuchanych dziewczynek. Wieczorem, gdy odprowadzali je do domu dziekana, dziesięcioletnia podówczas Alicja z krwi i kości, dla której Dodgson wymyślił tę historię, ujęła jego dłoń w obie swoje, i patrząc mu w oczy z niezwykłą powagą, powiedziała zamiast pożegnania:

- Chcę, żebyś dla mnie spisał przygody Alicji, Charles.

Matematyk spędził całą noc na przelewaniu na papier ekscentrycznych wizji, którymi minionego popołudnia oczarowywał dziewczynkę, jakby chciał przykuć jej uwagę na zawsze, bo jeśli istniał na tym świecie człowiek niezdolny się oprzeć prośbie dziewczynki, był nim Charles Dodgson. Kilka dni później udał się do domu Liddellów, by podarować Alicji produkt tej nieprzespanej nocy, plik kartek zapisanych jego zamaszystym i fantazyjnym pismem, lecz matka dziewczynek zabroniła mu tego. Co więcej, postarała się, by od tej pory ich spotkania były krótkie, nerwowe i przepełnione takim poczuciem winy, że gdy się kończyły, pozostawiały Charlesa w głębokiej rozpacz. Wellsowie próbowali go pocieszać, tłumacząc, że Alicja dorośnie i jeśli znają ją tak dobrze, jak sądzą, przestanie się liczyć ze zdaniem rodziców w tej sprawie. Ważne, żeby pozostał w Christ Church, blisko niej, i cierpliwie czekał, aż stanie się kobietą o szczerym i entuzjastycznym usposobieniu. Owszem, miał czekać. Czekać, aż będzie mógł się z nią ożenić.

Dodgson zbyt mocno jednak cierpiał, mogąc widywać ją tylko przelotnie. Po roku zmagania z tą skrytą udręką potraktował Boże Narodzenie 1863 jako idealny pretekst do tego, by wreszcie wręczyć Alicji napisaną dla niej opowieść, prowizorycznie zatytułowaną *Podziemne przygody Alicji*. W obliczu uporu dziewczynek, zwłaszcza samej bohaterki, która zagroziła, że nie będzie nic jeść, póki nie skończy stu lat, Liddellowie ugięli się i przyjęli młodego profesora, co nie przeszkodziło im potraktować go najchłodniej, jak tylko się dało. Dodgson nie dał się jednak zniechęcić. Przyszedł do nich w konkretnym celu i zamierzał go zrealizować. Jąkając się i klucząc,

zadał w końcu wyniosłemu panu Liddellowi i przerażonej pani Liddell następujące pytanie:

- Cz-cz-czy jest jakaś sz-sz-szansa, ż-ż-że w p-p-przyszłości, z-z-za siedem czy osiem lat, gdy Alicja d-d-dorośnie, o il-l-le oczywiście b-b-będzie podzielać moje uczucia, z-z-zgodzą się p-p-państwo na... na... n-n-na związek między nami?

Mimo dobrych zamiarów i czystości swych uczuć Dodgson uzyskał mniej więcej taki rezultat, jak gdyby zebrał na taczkę mnóstwo krowich placków i zrzucił je Liddellom na głowę. Małżeństwo, które marzyło o arystokratycznych, a może nawet królewskich małżonkach dla swych uroczych córek, nawet nie musiało się konsultować.

- Nigdy! - oświadczyli oboje unisono i jasne było, że do tej pory nie zgadzali się w żadnej kwestii tak bardzo jak w tej.

Wszyscy przyznawali, że spośród licznych gaf, jakie popełnił Dodgson na przestrzeni całego życia, ta była największa. Po tak nedorzecznej prośbie pani Liddell stanowczo zabroniła mu wspólnych wycieczek po rzece z dziewczynkami oraz wszelkich spotkań pozbawionych jej ścisłego nadzoru. Mimo to w ciągu następnych miesięcy Dodgson łudził się, że sprawa ucichnie. Z istic dziecięcą naiwnością wierzył, że złociste popołudnia powrócą, że lato przetrwa pod skorupą zimowego lodu, i podpierając się tą nadzieją, nadal nauczał studentów tak sumiennie, jak mógł, coraz bardziej jednak popadając w zgorzknienie i marazm. I tak jak trzy lata wcześniej Wellsowie zadawali sobie pytanie, co by się z nimi stało bez pomocy młodego matematyka, teraz on zastanawiał się, co by z nim było, gdyby nie małżonkowie z Drugiej Strony. Wells i Jane opiekowali się nim, dodawali mu otuchy i przypominali, że w ich świecie jego miłość do Alicji pokonała znacznie większe przeszkody. Dodgson jednak słuchał ich ze smutnym uśmiechem.

- Duszki drogie - mówił - obawiam się, że w tym teatrze przedstawienie skończy się dla mnie zgoła odmiennie.

Na szczęście poprawianie rękopisu historii o przygodach Alicji oraz poszukiwanie wydawcy przez jakiś czas zaprzętały jego myśli. Ostatecznie 4 lipca roku 1865, dokładnie w trzecią rocznicę złocistego

popołudnia, podczas którego zrodziła się ta opowieść, wydawnictwo Macmillan opublikowało ją pod tytułem *Alicja w Krainie Czarów*, podpisaną pseudonimem Lewis Carroll. Tego samego dnia Alicja Liddell otrzymała egzemplarz dzieła. Dodgson z niecierpliwością wyczekiwał listu z podziękowaniami, który nigdy nie przyszedł.

Pisarz nie miał jednak czasu rozpaczać, bo oszałamiający sukces książki wciągnął go w wir wieczorków literackich i spotkań z czytelnikami, które znów zajęły jego myśli, a dla Wellsów stanowiły przyczynek do rozmyślań nad czymś, nad czym w głębi duszy zastanawiali się od dawna, lecz nie chcieli wspominać o tym przyjacielowi, by nie pogarszać jego i tak już podłego nastroju: czy scenariusz sztuki rozgrywającej się na tej scenie okaże się zgodny z tym z Drugiej Strony także w kwestii narodzin chłopca o nazwisku Herbert George Wells w Bromley 21 września roku 1866, a sześć lat później dziewczynki, Catherine Robbins, która zostanie w przyszłości jego studentką, a później żoną.

Z nieznanym sobie powodów Wellsowie czuli, że mają obowiązek trzymać się blisko swoich odpowiedników, którzy wkrótce pojawią się na scenie. Nie znajdowali na to logicznego wytłumaczenia z wyjątkiem tego, że zdolności obserwacyjne właściwe ludziom z ich świata, które doprowadziły ich na skraj szaleństwa, informowały ich teraz o czymś, czego ich świadomość nie była zdolna objąć.

Korzystając z faktu, że sama królowa Wiktorja przysłała Dodgsonowi gratulacje z okazji napisania tak wspaniałej książki, co odrobinę poprawiło jego nastrój, zdecydowali się powiedzieć mu o swoich planach, wciąż pełni obaw, że będzie miał im za złe tę dezercję. On jednak po raz kolejny ich zaskoczył, namawiając, by jak najszybciej przenieśli się do Londynu, a nawet proponując, że będzie im towarzyszył.

- Cz-cz-czemu nie? - zapytał z radosnym błyskiem w oku. - Mam już dość tego wszystkiego: uczenia matematyki zgrai leniwych młokosów i z-z-znoszenia nacisków Liddellów! Teraz jestem sławnym Lewisem Carrollem! Mogę się w całości poświęcić pisaniu. A ty, George, możesz poszukać pracy w Normal School of Science, gdzie t-t-twój młodszy odpowiednik, jeśli pójdzie w twoje ślady, będzie



w przyszłości studiował. Wyobrażasz sobie? B-b-być jego nauczycielem, świadkiem, a nawet animatorem jego p-p-przebudzenia intelektualnego! Londyn, wielka metropolia z dala od łąk i złocistych popołudni... T-t-tak, to będzie najlepsze wyjście!

Wellsowie przytaknęli. W odróżnieniu od niego naprawdę tak uważali.

Cała trójka postanowiła więc, że kiedy Charles wróci z podróży po Europie i Rosji, którą od dawna planował wraz z przyjacielem, wielbnym Henrym Liddonem, natychmiast zorganizują mu przeprowadzkę do Londynu.

On jednak nie wrócił.

Pewnego wietrznego listopadowego popołudnia, kilkanaście miesięcy po przyjeździe na świat małego Wellsa, profesor Dodgson powiedział Liddonowi, z którym zjadł kolację na luksusowym statku wiozącym ich z powrotem do Anglii, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza przed powrotem do kajuty. Wielbny zauważył, że to kiepski pomysł, bo statek jest mocno rozkołyszany.

- Cóż, mam uzasadnione powody, by przypuszczać, że nie umrę wcześniej niż za trzydzieści dwa lata, przyjacielu - zażartował Charles i z tajemniczym uśmiechem opuścił jadalnię.

- Nie w tę stronę - mruknął Liddon.

Dodgson zerknął na oba wyjścia, po czym wbił spojrzenie niebieskich oczu z powrotem w wielbnego.

- Kiedy nie wiesz, dokąd się wybierasz, każda droga jest dobra - odparł gorzko i wyszedł, pozostawiając na stole zeszyt z notatkami, który towarzyszył mu podczas podróży.

Liddon potrząsnął głową i dopijając kawę, kartkował zeszyt. Jego przyjaciel z dziecinnym oczarowaniem opisywał w nim fasady pałaców, muzea, teatry, kościoły i synagogi, które zobaczyli w ciągu minionych dwóch miesięcy. Czytając słowa Dodgsona, Liddon doznał wrażenia, że on sam całą tę podróż odbył z przepaską na oczach.

Włożył zeszyt do kieszeni surduta, by następnego dnia oddać go przyjacielowi, ale Dodgson nie pojawił się na śniadaniu. Po

dokładnym przeszukaniu statku uznano, że musiał wypaść za burzę. Wielebny Liddon z pokładu rozglądał się po szarym oceanie, wyobrażając sobie, że Dodgson spoczywa na dnie, gdzie opowiada bajki rybom i rozkochuje syreny w swoich sylogizmach.

Gdy do Oxfordu dotarła wieść, że Charles Lutwidge Dodgson, lepiej znany jako Lewis Carroll, zginął w odmętach oceanu, płakał po nim cały uniwersytet, a wraz z nim cała Anglia i cały świat, ubolewając nad cudownymi dziełami, które nie powstały, bo ich autora zabrała przedwczesna śmierć. Nikt jednak nie cierpiał tak bardzo jak Wellsowie, którzy stracili tego samego przyjaciela po raz drugi w życiu. Licznie zgromadzony podczas pogrzebu tłum szeroko komentował wieniec, który położyli na grobie ci dwoje. Cóż bowiem mógł oznaczać napis na wstędze: „Charles Lutwidge Dodgson (1832-1898-1866). Przyjacielu, oplakujemy Cię w więcej niż jednym świecie. George i Catherine Lansbury”.

## XXV

Profesor Lansbury zbudził się w środku nocy z kołataniem serca, spocony jak mysz. Złapał żonę za ramię, jakby to była ostatnia deska, której można się chwycić przed wypadnięciem za burtę świata, i wykrzyknął te same słowa, które w innych wszechświatach w tym samym momencie wykrzykiwała jego matka: „Umieram!”. Pozwól, drogi Czytelniku, że ci wyjaśnię, iż mimo tych ogłuszających lamentów niemal wszystkie Sary Neal rozsiane po przeróżnych światach były kobietami walecznymi, nawykłymi do przyjmowania ze stoickim spokojem licznych przeciwności losu, i dla większości z nich dziecko, które właśnie przychodziło na świat, nie było pierwszym. Wszystkie one jednak potwornie bały się porodów. Bóle towarzyszące wydawaniu na świat potomka śmiertelnie je przerażały, a jako że, łagodnie rzecz ujmując, prawie żadna nie odznaczała się nadzwyczajnym hartem ducha, ilekroć owe cierpienia się rozpoczynały, ich przejmujące deklaracje śmierci budziły całe Bromley i okoliczne wioski spokojnego zwykle hrabstwa Kent.

A kiedy udręczone panie Wells wiły się w swoich łóżach z wybałuszonymi oczami, profesor Lansbury leżał zwinięty w kłębek w swoim, jęcząc, że umiera, i plotąc bez ładu i składu jeszcze gorsze rzeczy, z których jego przestraszona małżonka próżno usiłowała wydobyć sens.

- Na Boga, Bertie, co z tobą? - szlochała. - Powiedz, co mam robić?
- Jane, duszę się! - bełkotał.
- Otworzyć okno?

- Woda, woda... - jęczał Wells w tym samym momencie, w którym jego niezliczonym matkom odchodziły wody.

Jane pobiegła do kuchni i wróciła z wypełnioną po brzegi szklanką.

- Pij, kochany.

- Nie! - krzyknął Wells, wyrywając jej szklankę i polewając sobie twarz. - Potrzebuję wody do oddychania! Moje płuca są suche! Bola!

- Bertie...

Zimny prysznic na chwilę uspokoił jej męża, jednak wkrótce Wells znów zaczął zawodzić, siadając na łóżku i rozglądając się w przerażeniu.

- Ściany! Zbliżają się do mnie! Chcą mnie zmiążdżyć! - Próbował zatrzymać ich nieistniejący napór wyciągnięciem rąk, by po kilku sekundach opaść na łóżko wyczerpany, niemal bez przytomności. Kilka minut bezradnie poruszał ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Potem znów zaczął. - Moja głowa! - wykrzyknął, chwytając się za nią obiema rękami, gdy wszystkie matki wiły się w bólach z nabrzmałymi żyłami na szyi i wykrzywionymi twarzami, trzymając się wezłowi niezliczonych łóżek. - Ściskają mi głowę! Zaraz pęknie!

- Bertie, nikt ci...

- Czego się drzesz, kobieto?

- Nie krzyczę na ciebie, kochanie... - zapewniała go ze łzami w oczach Jane.

- Jakaś kobieta krzyczy. Nie, wiele kobiet... wszystkie krzyczą! Każ im się zamknąć! Błagam, Jane, każ im się zamknąć! Nie mogę oddychać...

Trwało to wiele, wiele godzin, a Jane tylko dlatego od razu nie pobiegła po lekarza, że po początkowym szoku szybko zrozumiała, co się dzieje. Następnego popołudnia, gdy Wells w końcu przestał krzyczeć i na przemian to szlochał, to pojękiwał radośnie, niezdolny wyrazić wielką ulgę, którą odczuwał w każdym skrawku ciała, tak rozluźnionego, że miało się wrażenie, iż nawet kości trochę się

rozsunęły, Jane siedziała przy nim, głaszcząc go po spoconej twarzy, aż zasnął.

- Ty nie umierałeś, kochany - szeptała czule. - Ty się rodziłeś.

Gdyby nie ten wyniszczający atak doznań, sam Wells z pewnością zrozumiałby, co się z nim dzieje. Nieprzypadkowo od kilku miesięcy miewał osobliwe, cudowne sny. Sny, w których unosił się w ciepłym różowym płynie. Kołysał się radośnie w owym czarodziejskim eliksirze, od czasu do czasu popijając go i czując, jak płyn wlewa się do wszystkich otworów jego ciała. Usypiało go ogłuszające bicie serca, które zdawało się dudnić w tym miejscu od zarania dziejów niczym prastary młot, górując nad tajemniczymi, kojącymi dźwiękami przenikającymi ciszę. W tym błogosławionym, przytulnym i słodkim miejscu czuł się zupełnie bezpieczny. Nie było w nim zimna, bólu, samotności, strachu czy złości... tylko bezbrzeżny spokój, głupie i niepojęte szczęście, a przede wszystkim nieodparte pragnienie pozostania tam na zawsze.

Kiedy opowiedział Jane o tych niezwykle wyrazistych snach, które powtarzały się co noc, oboje doszli do wniosku, że Wells odbiera doznania swoich sobowtórów, którzy wkrótce mają się narodzić w różnych światach i śpią snem bez marzeń w brzuchach swych matek. Oczarowani Wellswowie zastanawiali się, czy nie są jedynymi istotami, którym dane będzie przeżyć taki cud: powrócić do brzucha matki i na nowo odczuć to, czego pozostali śmiertelnicy nie pamiętają. Niespodziewanie podarowano im okrusz Wiedzy Najwyższej. Nieubłagane jednak w ich umysłach zrodziły się pytania: jeśli więź z ich odpowiednikami z tego świata jest tak silna, jak sugerują sny, co będzie, kiedy ci się narodzą? Czy kakofonia w ich głowach, do której już nieco przywykli, zmieni się w coś gorszego? Na przykład w burzę doznań i obrazów tak intensywnych, że nieodwołalnie zepchnie ich w otchłań szaleństwa?

Ponure przypuszczenia spełniły się dwa miesiące wcześniej, niż się spodziewali, bo niektórzy z bliźniaków George'a postanowili przyspieszyć swoje przybycie na świat. Najwyraźniej zegary poszczególnych scenariuszy nie były zsynchronizowane, co sprawiało, że jedne przedstawienia rozgrywały się szybciej niż inne. Następne

miesiące stały się więc pasmem udręk dla Wellsa, który musiał przeżywać te same katusze, ilekroć w innym wszechświecie spełniał się cud życia.

Wszystko wskazywało na to, że jego bliźniacy są pozbawieni najbardziej podstawowego zmysłu organizacyjnego, skoro zamiast ustalić między sobą wspólną datę narodzin, przychodzili na świat wedle własnego widzimisię w serii sukcesywnych porodów, które omal nie złamały psychiki George'a. W miarę upływu czasu ataki stawały się jednak słabsze, być może dlatego, że sobowtórów rodziło się mniej, więc Wells dawał sobie z nimi radę, zwijając się w kłębek na łóżku w ciemnościach i ściskając dłoń Jane, z czołem obłożonym zimnymi chusteczkami nasączonymi octem, jakby miał jakąś banalną migrenę. Wtedy przypominał sobie o epizodycznych bólach głowy, które przytrafiały mu się wcześniej, i wydedukował, że musiały być wywołane pojedynczymi narodzinami bliźniaków w kilku bardziej zaawansowanych wszechświatach. Wspominał też dziwne wizje, które dotąd uznawał za halucynacje spowodowane dławiącym poczuciem losowości, i nie bez pewnego lęku pojął, że nie były one niczym innym jak więziami z narodzonymi już sobowtórami.

Teraz jednak wyglądało na to, że znalazł się na odcinku czasu uniwersalnego, na którym było wiele odizolowanych światów, a jego bliźniacy pchali się na nie niczym rozwrzeszczana horda, zwielokrotniając te doznania w nieskończoność. W niektóre dni narodzin było tyle, że profesor potrafił znieść ból jedynie dzięki laudanum, które Jane aplikowała mu w dawkach tak dużych, iż praktycznie tracił przytomność.

Dwudziesty pierwszy września roku 1866, dzień jego własnych narodzin, był najgorszy, jakby większość sobowtórów mimo wszystko postanowiła pójść w ślady starszego brata. To, co działo się wcześniej, okazało się zaledwie krótką próbą przed prawdziwym występem. Jane myślała, że tym razem umysł jej małżonka podda się przerażeniu, a organizm nie zniesie ogromnej dawki laudanum i że choćby nie wiedzieć jak się starała, Bertie wyzionie ducha lub oszaleje. On jednak wytrzymał i choć bóle powtarzały się jeszcze przez kilka miesięcy, stopniowo słabły, aż w końcu wydawało się, że ostatecznie ustały. Po dwóch tygodniach bez ataku małżonkowie

z pewną ostrożnością uznali, że niezliczeni bliźniacy Wellsa wkroczyli już na sceny swych światów. Chwilowe wytchnienie nie przyniosło jednak długotrwałej ulgi, bo ledwie George uwolnił się z ostatnich kleistych pajęczyn, którymi laudanum oplotło jego umysł, z przerażeniem odkrył, że wszystko nieodwołalnie się zmieniło - i to na gorsze.

W jego głowie nie pobrzmiwało już znajome niegroźne bzyczenie. Dzień i noc bombardowały go fale zdumiewająco wyrazistych obrazów i gwałtownych doznań, których nie można już było uznać za epizodyczne halucynacje. Na przykład zniecka ogarniał go potworny głód czy nienasycone pragnienie, albo na odwrót, czuł się tak syty, że chciało mu się spać, a w jeszcze gorszym przypadku - wymiotować. Bez najmniejszego powodu chwycił go zwierzęcy strach albo przygniatała atawistyczna samotność. Czasem widywał twarze, które pojawiały się znikąd i nachylały nad nim z groteskowymi uśmiechami, czuł między pośladkami kompromitującą wilgoć, zasypiał kamiennym snem, zanosił się niepohamowanym płaczem albo wybuchał kompulsywnym śmiechem, którym zarażał Jane... Przez cały czas, i nie było sposobu na uniknięcie tego, czuł i widział to, co czułoby i widziało niemowlę w kołysce lub w ramionach matki, tyle że wzmacniające się i powtarzające w nieskończoność. Tak jakby zamknięto go w pokoju pełnym nietoperzy, które latają i skrzeczą jak szalone, próbując się wydostać. W niczym nie przypominało to przykrego uczucia rozdwojenia, którego doznali, zanurzając się w tym świecie, ani też przyjemnych różowych snów sprzed miesięcy... To było, jeśli pozwolicie mi na tak egzaltowaną metaforę, szaleństwo przeglądające się w tysiącu ustawionych naprzeciw siebie luster.

Na szczęście jego nieodżałowany przyjaciel Dodgson w swojej przenikliwości zapisał im w spadku - co odkryli dopiero miesiąc po jego śmierci - prawa autorskie do swoich dzieł „jako uczciwą rekompensatę za świetne pomysły, które podarowali mi podczas niezapomnianych złocistych popołudni”. Długo zastanawiali się, co skłoniło Charlesa do podjęcia takiej decyzji krótko przed wyjazdem do Europy, lecz niezależnie od przyczyn, uzyskane dzięki temu pieniądze pomogły im przetrwać ten okropny czas w znośnej sytuacji finansowej.

Zredukowany do postaci bełkoczącego, niedołężnego i okropnie płacznego wraku Wells musiał porzucić pracę nauczyciela w akademii w swoim rodzinnym Bromley i całkowicie oddać się pod opiekę żony. Jedynie dzięki dziedzictwu Dodgsona mogli płacić czynsz za skromny domek, który wynajęli w pobliskiej wiosce Sevenoaks. W tym ciężkim czasie Jane była dla swego męża wszystkim: matką, przyjaciółką, małżonką; słowem - ręką, która trzymała go mocno, by nie spadł w otchłań. Oboje rozumieli, jak wielkie to szczęście, że jest od niego o sześć lat młodsza i że nie musi cierpieć podobnych katuszy w tym samym czasie. Gdy nadeszła jej kolej, to on mógł ją trzymać za rękę, by uchronić przed otchłanią, którą tak doskonale znał. Nawet nie chcieli myśleć, co by się z nimi stało, gdyby musieli przejść przez to piekło jednocześnie.

Mimo pewności, że mogą liczyć na wsparcie współmałżonka, początkowo sądzili, że nie dadzą rady; że to koniec, zasłużona kara za złamanie zasad gry. Nikt nie mógł rzucić wyzwania ustalonemu porządkowi bez poniesienia konsekwencji. Uciekli z segmentu, w którym umieścił ich Stwórca, nie oczekując, że Ten będzie grał w kości na szachownicy. Nadszedł czas, by za to zapłacić. Zdolności obserwacyjne ich umysłów, zmieniające świat, z którego pochodzili, w miejsce unikatowe, niepodzielne i pewne - w świątynię mądrości - teraz były ich największym przekleństwem. Wyglądało bowiem na to, że w nowym teatrze ów talent nie funkcjonuje tak samo: nie sprowadza możliwych rzeczywistości do jednej, lecz pozwala im obserwować wszystkie spośród niezliczonych scenariuszy poprzez umysły bliźniaków, z którymi zdają się blisko związani. Czy tego chcieli, czy nie, widzieli i wiedzieli wszystko. A to zdawało im się karą większą od tej, która spotkała ich dogorywający wszechświat. Karą, od której nie było odwołania.

Początkowo codzienna brutalna kanonada wizji i doznań wywoływała w nich taki ból i dezorientację, że nie mieli siły na rozważania nad tym, co ich spotyka, ani na wykrzesanie z siebie jakiegokolwiek reakcji. Musieli znów brać laudanum, by zasnąć, a ich dni zmieniły się w sukcesję nieopisanych mąk. Przypominało to życie we wnętrzu Żelaznej Dziewicy, której ostre kolce co rusz wbijają się w ciało, nie naruszając ważnych organów. „Nie zniosę więcej! Odetnij



mi głowę!” - krzyčili jedno do drugiego. A jednak stopniowo, podobnie jak w przypadku poczucia losowości, zdołali okiełznać tę lawinę informacji, która próbowała ich pogrzebać. „Jak?” - zapytacie. Niełatwo to wyjaśnić bez sięgnięcia po metaforę: wyobraźcie sobie, że wewnątrz każdej czaszki pulsuje cały kosmos, w większości nieznan, i że Wellsowie potrafili stworzyć magiczny tunel, rodzaj kanału pozwalającego usuwać tę gigantyczną masę informacji do najbardziej odległej części umysłu. Oczywiście owa masa nieustannie bulgotała im w głowach niczym deszcz meteorów spadających w mrok, ale z większym lub mniejszym powodzeniem zdołali się z nią oswoić. Dziesięć lat później oboje mogli uczciwie stwierdzić, że zdołali ujarzmić dar, o którego istnieniu nie mieliby nawet pojęcia, gdyby nie opuścili swego świata.

Mało tego - nie tylko oswoili się ze swym darem, ale doprowadzili do perfekcji technikę odsiewania bodźców. Jeśli odpowiednio się skoncentrowali, potrafili na moment zamknąć ów czarodziejski tunel i pochwycić jeden z niezliczonych światów, które ku niemu zmierzały. Przez tę chwilę uratowany świat unosił się słodko w ich umysłach, wypierając wszystkie inne doznania. Obserwatorzy mogli wówczas śledzić żywot bliźniaków z tamtego świata, jakby go oglądali ich własnymi oczami, dopóki wizja się nie rozwiała. Szybko uświadomili sobie, że ta osobliwa zabawa paradoksalnie pozwalała im się odrobinę rozluźnić, bo kiedy pochwycony mglisty świat kołysał się przyjemnie w ich głowach, ogłuszająca kaskada wywoływana przez pozostałe milkła.

Po tym odkryciu Wellsowie nabrali zwyczaju zasiadania przy kominku pod koniec swoich niemal zawsze wyczerpujących dni, by spróbować się połączyć z umysłem któregoś z bliźniaków. Nalewali sobie po kieliszku likieru, popijali powoli, zamykali oczy i po kilku minutach koncentracji *voilà*, znajdowali się w głowie innego Wellsa czy innej Jane i oglądali ich świat ich oczami, a także słyszeli ich najbardziej osobiste myśli. Przypominało to zakotwiczenie w duszy drugiej osoby, tyle że tą osobą byli oni sami, a raczej - jedna z ich wersji. Kiedy magia przestawała działać i wizje się rozwiewały, otwierali oczy i opowiadali sobie o tamtym podpatrzonym życiu, jak gdyby wymyślali przy ognisku piękne bajki mające przywołać sen.

A próbując zafascynować współmałżonka tymi zdumiewającymi permutacjami scenariusza swego istnienia, krok po kroku odkrywali tajemne wszechświaty kryjące się we wnętrzach ich bliźniaków, te prywatne królestwa, których nikt nigdy nie zdoła w pełni poznać. Wieczory owe zatem nie tylko pozwalały im się odprężyć, lecz także sprawiły, że poznali się lepiej niż jakakolwiek inna para we wszystkich możliwych światach.

Przez pierwsze lata, kiedy większość bliźniaków była jeszcze dziećmi, historie, które opowiadali sobie Wellsowie, były prostymi dykteryjkami. Raz na przykład George zwierzył się Jane, że jeden z jego bliźniaków podkrada ojcu kij do krykieta, by walczyć z braćmi na szpady, i że większość z nich rozpoczęła przygodę z pisaniem, bazgrząc na szybie kuchni słowo „MASŁO”. Zegary niektórych scenariuszy nieco się jednak spieszyły, więc wkrótce ten czy ów z młodych Wellsów dorósł, zakochał się w jednej ze swych studentek - w każdym przypadku była to ta sama delikatna dziewczyna o nazwisku Amy Catherine Robbins - i ożenił się z nią, a jego myśli i pragnienia stały się dla pary przyczynkiem do absurdalnych dyskusji. Jane Obserwatorka nie była zadowolona z odkrycia, że wiele spośród kopii jej małżonka postanowiło ją uwieść jedynie dlatego, że jej postępowe i bezpruderyjne poglądy sugerowały, iż będzie namiętną towarzyszką łóżkowych igraszek. Tak ją to zasmuciło, że Wells musiał jej przypomnieć, iż nie odpowiada za myśli ani czyny swoich sobowtórów. Mimo to Jane przez niemal dwa dni milczała wyniośle, po raz pierwszy dotknięta do żywego jak każda zakochana kobieta, którą spotkał afront ze strony ukochanego.

I kiedy tak Wellsowie usiłowali jak najdokładniej opisać sobie nawzajem te nowe emocje, wydarzał się cud: nieświadomie przemierzali w odwrotnym kierunku drogę, którą przeszli w swoim pierwotnym świecie. Dogłębne poznanie emocji doprowadziło ich do tego, że zaczęli je odczuwać. Kochali się na najróżniejsze sposoby, według najróżniejszych wzorców i z najróżniejszymi wynikami, by wreszcie odkryć, że istnieje tylko jeden sposób kochania: ten, gdy dwa serca biją jednym rytmem. Gdy to się dzieje, nic innego nie jest ważne, uświadomiła sobie Jane, zdumiona, że wiele jej odpowiedniczek akceptowało fakt, iż ich Wellsowie mają kochanki,

o ile tylko wybranki im odpowiadały, to znaczy nie stanowiły zagrożenia dla małżeństwa. Liczyło się jedynie to, żeby ich mąż nie zakochał się w innej, i trzeba przyznać, że żaden z Wellsów tego zakazu nie złamał. Kiedy rzucali kochanki, w niektórych światach sama Jane pisała do nich długie listy z wyrazami otuchy.

W tym wszechświecie, rzecz jasna, to Wells Obserwator musiał dźwigać na swoich barkach winy tamtych rozproszonych bliźniaków.

- Moja droga - zaproponował nieśmiało pewnego razu, gdy żona z furią ścinała róże w ogrodzie - musisz przynajmniej przyznać, że to błyskotliwy układ. Nie twierdzę, że go popieram! Ale jeśli się zastanowić, w tym zdominowanym przez namiętności świecie monogamia z logicznego punktu widzenia nie jest naturalnym stanem człowieka. Moim skromnym zdaniem podejście reprezentowane przez niektórych naszych bliźniaków jest bardzo światłe. Powinniśmy być dumni z ich inteligencji. Ostatecznie, o ile tylko nie ucierpią na tym uczucia i obie strony się zgadzają, jaką szkodę może wyrządzić tych kilka skoków w bok?

- Miałbyś ochotę wypróbować tę teorię empirycznie, m ó j d r o g i? - zapytała Jane, odwracając się z lodowatym uśmiechem i unosząc sekator, który naraz wydał się Wellsowi większy i ostrzejszy niż zwykle.

- P-przecież powiedziałem, moja droga, że nie zgadzam się z tą postawą. Ja tylko analizowałem... hm... logikę ich stanowiska. - Mimo niebezpiecznej bliskości sekatora Wells nie zdołał się powstrzymać od zwieńczenia tych tłumaczeń drobną złośliwością: - Ale nie martw się. Wezmę przykład z tych bliźniaków, którzy postanowili powściągnąć swoje instynkty i zachowywać się godnie ku chwale cnoty i uczciwości, w które nie wierzą.

- M o i m s k r o m n y m z d a n i e m, kochany, to właśnie jest najbardziej światła postawa - odrzekła Jane.

Wszystkie te spory w istocie jednak stanowiły część ich nowej miłości i oboje odkryli, że późniejsze godzenie się, któremu zawsze towarzyszył duszący zapach świeżo ściętych róż, było ich warte.

Gdy już pokonali te drobne różnice zdań, wróciły szczęśliwe czasy. Wells z radością patrzył, jak większość jego sobowtórów zostaje popularnymi pisarzami dzięki tym samym opowieściom, które on spalił w swoim pierwotnym wszechświecie. Ponadto wielką ulgę przyniosło mu wyznanie żonie tej starej tajemnicy - choć ku jego zdumieniu okazało się, że ona już o niej wie: pewnego razu weszła do gabinetu męża, by sprawdzić, co tam robi całymi nocami, i nie zdołała się powstrzymać przed przeczytaniem notatek.

- Były takie cudowne, Bertie - oświadczyła. - Bardzo żałowałam, gdy je spaliłeś. Może znów zaczniesz pisać takie historie? W tym świecie nie musiałbyś się z tym kryć...

- Nie wiem, Jane - zastanawiał się. - Wtedy byłem taki... nieszczęśliwy. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale tak było. A te opowieści chyba stanowiły rodzaj ucieczki, oswobodzenia... - Ujął dłoń żony i ucałował czule. - Ale jeśli mam być szczery, nie czuję już potrzeby pisania.

- „Jesteśmy tym, co sobie wyobrażamy” - zacytowała słowa wypowiedziane kiedyś przez Dodgsona z ich świata.

- Nie, moja droga - poprawił Wells, uśmiechając się wymownie. - Jesteśmy tym, co kochamy.

Odwzajemniła uśmiech i przez kilka sekund, jak im się ostatnio często zdarzało, uwodzicielsko patrzeli sobie w oczy.

- A gdybym ja zaczęła pisać? - zapytała nagle Jane.

Wells uniósł brwi.

- Ty? Cóż - wybąkał - jeśli chcesz... Ale dlaczego?

- Och, nie wiem. Może wcale nie zacznę - odparła od niechcienia. - Tak tylko mówię... Poza tym, gdybym rzeczywiście miała pisać, nie powiedziałabym ci o tym, tak jak ty mnie. Myślałam sobie o różnych rzeczach i doszłam do wniosku, że znając „popędy” twoich bliźniaków, powinnam podsycać twoje zainteresowanie mną, a mogę tego dokonać tylko w jeden sposób: nie pozwalając, byś mnie w pełni poznał. Obawiam się bowiem, że wówczas znudziłbyś się mną i zaczął szukać innych... tajemnic.

- Kochana... - szepnął pożądliwie Wells, pochylając się ku jej ustom, które rozwarły się zmysłowo na jego przyjęcie - mogę ci przysiąc, że w żadnym z niezliczonych światów, w których istniejesz, nie można cię nazwać nudną.

I nie mówił tego ot, tak sobie. A Jane dobrze o tym wiedziała, bo dzięki wycieczkom w głąb umysłów swoich bliźniaczek miała świadomość, że wszystkie one w taki czy inny sposób zdołały uniknąć smutnego losu, jaki zaplanował dla kobiet ten wszechświat. Wszystkie były błyskotliwymi kobietkami, które uciekły od nudy, rzucając się w wir działalności intelektualnej lub najróżniejszych sztuk, i choć społeczeństwo gardziło nimi za to, żadna z nich nie wydawała się tym martwić. Nieskończona armia różnych Jane z powodzeniem udzielała się w kręgach kulturalnych i politycznych swoich małżonków, nie tyle w roli towarzyszek, ile cennych i podziwianych uczestniczek. Żadna nie zachowywała się jak typowa kobieta swego świata, co napełniało Jane Obserwatorkę taką dumą, jakby sama je wszystkie wybrała.

Smucił ją natomiast fakt, że wszystkie mają ten sam problem: mężowie nie potrafili ich kochać. Ze złością przycinając klomby i rekompensując sobie emocjonalne niedostatki zapachem świeżo ściętych róż, myślały o tym, że mężowie nigdy nie zdołają ich zrozumieć ani wyobrazić sobie, jak dalecy są od ich uszczęśliwienia. Myliły się jednak. Wszystkie. Jane Obserwatorka chciałaby móc powiedzieć im to, co Wells opisał jej z takimi szczegółami, a co ich mężowie ukrywali na samym dnie dusz, dokąd nikt nie sięgał: jak bardzo je podziwiają i szanują, jak wielka i głęboka jest ich miłość do nich i jak wielka bezradność w obliczu nieumiejętności jej okazania. Być może Wells nie był zdolny do wielkich romantycznych gestów w żadnym z możliwych wszechświatów, ale Jane Obserwatorka wiedziała, że ta umiejętność w nim tkwi i że w końcu musi wypłynąć - że któryś z Wellsów wreszcie pokaże swojej Jane, iż potrafi kochać. Nie szukając daleko, Wells Obserwator - z pewnością przybity nieszczęściem wszystkich Jane na świecie - rozwinął w sobie romantyczny talent, którego mógłby mu pozazdrościć sam Casanova. A jeśli jeden Wells to potrafił... Choć z drugiej strony, to nie byle jaki

Wells, myślała z dumą Jane. To Wells inny od wszystkich. I należy do niej.

Kiedy jego bliźniak wyjechał do Londynu, by studiować w Normal School of Science, biolog doszedł do wniosku, że nadeszła pora wcielenia w życie swego dawnego planu i zbliżenia się do tamtego Wellsa oraz jego przyszłej żony. Co ciekawe, umysły tych dwojga były jedynymi, których Wellsowie Obserwatorzy nie zdołali przeniknąć, choćby nie wiem jak się koncentrowali. Z drugiej strony, była w tym pewna logika: scenariusz, w którym teraz tkwili, musiał być czymś w rodzaju punktu widokowego na pozostałe, co mogło utrudniać obserwację własnego. Dlatego właśnie, chcąc poznać życie drugiego George'a i drugiej Jane, Wellsowie musieli ich śledzić tradycyjną metodą, przyglądając się z daleka działaniom, które - prawdę powiedziawszy - bardzo przypominały działania pozostałych bliźniaków. I na razie nic w spokojnym żywocie tej pary nie wydawało się uzasadniać impulsu, który pchnął Wellsa i Jane ku wyjazdowi do Sevenoaks, choć sytuacja mogła się zmienić, gdy dubler biologa przybędzie do największej metropolii świata. Z zamiarem śledzenia go z jak najbliższej odległości Wells poprosił o referencje swego dawnego dziekana z Oxfordu i dzięki nim otrzymał stanowisko wykładowcy w Normal School of Science. Była to druga przeprowadzka Wellsów od czasu wypadnięcia z króliczej nory w pokoju Dodgsona na oczach zdumionej Alicji i zadawali sobie pytanie, czy podobnie jak pierwsza, pociągnie za sobą kolejny mroczny czas. Teraz, gdy na nowo odnaleźli szczęście i przeobrazili swoje życie w nieskończoność złocistych popołudni, gdy nauczyli się kochać miłością doskonałą, chcieli zatrzymać to na zawsze. Los chyba nie mógł być tak okrutny, by im to odebrać?

A jednak. Dowiedzieli się tego tydzień po przybyciu do Londynu. Swoim zwyczajem zasiedli wieczorem przy kominku po bardzo wyczerpującym dla Wellsa dniu, w którym po raz pierwszy wystąpił w roli nauczyciela w nowej szkole. Poradził sobie całkiem dobrze, ale po niemal dwudziestu latach bez prowadzenia zajęć i niemal bez kontaktu z kimkolwiek oprócz Jane musiał wykonać gigantyczny wysiłek, by zapanować nad swoim darem i nie wyjść w oczach studentów na dziwaka. Być może dlatego teraz długo siedział

z zamkniętymi oczami i uśmiechem na wargach, zapomniawszy o kieliszku trzymanym w dłoni tak lekko, że lada chwila mógł go upuścić na dywan. Sprawiał wrażenie tak wycieńczonego, że Jane postanowiła go nie naciskać. Dziś nie opowie mi żadnej historyjki, pomyślała z rezygnacją i wstała, by sięgnąć po jakąś książkę, która umili jej wieczór.

Nagle jednak Wells krzyknął, otworzył oczy i schwycił się za lewą dłoń, wylewając połowę zawartości kieliszka. Wyglądał na mocno zdezorientowanego.

- Co z tobą, Bertie? - zapytała przestraszona Jane.

Wells chwilę oswajał się z rzeczywistością.

- Widziałem Newtona - wymamrotał w końcu. - Ugryzł mnie!

- Nasz pies?

- A któż, moja droga? Przecież nie naukowiec.

Jane zignorowała ten komentarz.

- Jak to „ugryzł”?

- No, nie mnie, tylko bliźniaka, z którym się połączyłem - wyjaśnił, machinalnie masując lewą dłoń. - To był młodziutki Wells, niemal dziecko. Spacerował po łące w piękny słoneczny dzień, kiedy nagle z krzaków wyskoczył Newton. Wydawał się bardzo wystraszony. Chyba rozpoznał w tym chłopaku mój zapach, a jednocześnie wiedział, że to nie ja... Pewnie to go zbiło z tropu. W każdym razie rzucił się na niego i ugryzł go w rękę.

- Jesteś pewien, że to nasz Newton? - zapytała, nie mogąc w to uwierzyć.

Wells przytaknął ponuro.

- Tak, moja droga. To on. Miał na środku czoła tę białą plamkę w kształcie serca.

- Boże... i co zrobił twój bliźniak?

- Kopnął go.

- Co? Jak mogłeś?

- To nie ja, Jane! - zaperzył się Wells. Potem odchrząknął i dodał: - Newton uciekł, skomląc, i...

- I co? Na litość boską, Bertie, co...

Wells ze zboląłą miną ujął ją za rękę.

- Bardzo mi przykro, kochanie, ale drogą jechał akurat powóz i...

- Nie! - wykrzyknęła Jane, ukrywając twarz w dłoniach i szlochając głośno.

- Nie płacz - pocieszał ją Wells. - Przynajmniej miał szczęśliwe życie.

- Skąd ty możesz to wiedzieć? - chlipnęła Jane.

- Mogę - odparł. - Po tej... tragedii podbiegła do Newtona jakaś kobieta i wzięła go na rękę.

- Kobieta?

- Właścicielka. Wy tłumaczyła mojemu bliźniakowi, że pies uciekł jej podczas spaceru. Kiedy zobaczyła zakrwawioną rękę chłopaka, przeraziła się. Powiedziała, że nie wie, jak to się mogło stać, bo odkąd znalazła Bobby'ego na polu koło Oxfordu, był zawsze grzecznym i troskliwym psem. Coś w tym stylu. - Wells czule pogłaskał żonę po włosach. - Moja droga, ona naprawdę kochała Newtona. Widziałem na własne oczy, jak rozpacza i przyciska go do piersi, jakby chciała przywrócić mu życie dzięki ciepłu swego ciała... Nasz psiak szybko znalazł nowy dom i przez cały ten czas był szczęśliwy.

Jego słowa nie pocieszyły jednak żony, więc zamilkł i pozwolił jej się wypłakać. Od zniknięcia Newtona Jane codziennie o nim myślała, pragnąc, by był cały i zdrowy, gdziekolwiek się znajdował. Przekonanie się, że tak było istotnie, nie koło jednak potwornego bólu wywołanego jego tragiczną śmiercią pod kołami powozu i to wkrótce po otrzymaniu kopniaka od kogoś, w kim być może rozpoznał swego dawnego pana. Kiedy uniosła zalaną łzami twarz, rozwścieczył ją widok męża wpatzonego gdzieś w pustkę całkowicie suchymi oczami.



- Herbercie George'u Wells, jak możesz być tak niewrażliwy! - ofuknęła go. - Czy naprawdę nie obchodzi cię to, co się stało z Newtonem? To wszystko nasza wina... a właściwie twoja! To ty mu wszczepiłeś tego przekłętą wirusa! To ty...

- Uspokój swój umysł, moja droga.

Na dźwięk tego starego zwrotu wypowiedzianego dawno zapomnianym tonem Jane natychmiast przestała płakać i z zaciekawieniem przyglądała się mężowi.

- Posłuchaj mnie, Jane - kontynuował Wells, zanim zdążyła się wtrącić. - Ogromnie mi przykro z powodu twego bólu i chciałbym móc ci w nim ulżyć z dwóch powodów: dlatego, że nie lubię, kiedy cierpisz, oraz dlatego, że ból mąci twój umysł. Potrzebuję twojej inteligencji, Jane, i potrzebuję jej teraz. Myśl, kochana, myśl. Jak sama zauważyłaś, wszczepiłem psu wirusa. Wirusa, o którym po przybyciu tutaj dowiedzieliśmy się, że działa... Jak myślisz, co by się stało, gdyby Newton zaraził nim mojego bliźniaka? Być może teraz wirus przenosi się łatwiej; może nawet zmutował i uaktywnia się także u ludzi...

- Ale... och, na brodę Keplera! - Jane wytrzeszczyła oczy, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów. - Jeśli wirus zacznie się rozprzestrzeniać wśród ludzi i zarażeni zaczną się przemieszczać między światami... co wtedy będzie, Bertie?

Wells patrzył na nią z powagą.

- Nie wiem, moja droga... Obawiam się jednak, że będę winien czegoś więcej niż tylko śmierci psa.

## XXVI

Długo jednak nic się nie działo. Ugryziony Wells nie zaczął radośnie skakać między światami, jakby przechodził przez strumyk po kamieniach. Żył jak gdyby nigdy nic, powielając nijakie żywoty większości swych odpowiedników, o których istnieniu, rzecz jasna, nie miał pojęcia. Z całą pewnością nie podejrzewał więc również, że blizna na lewej dłoni odróżnia go od pozostałych i czyni wyjątkowym, jako że pies, któremu ją zawdzięcza, także był wyjątkowy i w żadnym innym wszechświecie nie wyskoczył z krzaków, by ugryźć jakiegoś chłopaka, jakby kierował się jakimś planem.

Wells przez wiele miesięcy obserwował tamtego bliźniaka - z którym od początku czuł specyficzną więź, jako że był on niemal równie wyjątkowy jak on sam - w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak obecności wirusa w jego organizmie: dziwnych snów, niecodziennych doznań... Oprócz silnego przeziębienia z bardzo wysoką gorączką, na które chłopak zapadł wkrótce po ugryzieniu przez Newtona i z którego niemal całkiem wydobrzył, obserwator nie zauważył nic szczególnego. Po dwóch latach zrezygnował, uznając, że choroba nie miała nic wspólnego z wirusem. Wirusem, który najprawdopodobniej jednak nie przenosił się ze zwierząt na ludzi, a jeśli nawet, to nie włączał w ludzkim mózgu żadnego tajemniczego mechanizmu, dzięki czemu nosiciel mógł spokojnie żyć, nie przypuszczając nawet, że w jego krwi krąży mikroorganizm stworzony w odległym wszechświecie.

To logiczne, że się nie aktywował, myślał z pewną ulgą Wells. Kiedy wszczepili Newtonowi wirusa kronotemii, był on jeszcze w fazie eksperymentalnej. Prawdopodobnie potrzebowałyby wielu poprawek, by zadziałać u człowieka. Mimo to oboje Wellsowie w napięciu

śledzili życie ugryzionego bliźniaka, w którego wszechświecie czas płynął szybciej niż w ich obecnym. Nie zauważywszy jednak nic niepokojącego, ostatecznie utwierdzili się w mniemaniu, że oprócz specyficznej blizny i strachu przed psami ugryzienie Newtona nie miało konsekwencji ani dla niego, ani dla wielu światów tworzących wszechświat, w którym wyładowali.

Coraz spokojniejsi, powrócili do tradycji siedzenia przy kominku i śledzenia innych światów dla czystej przyjemności, jak to czynili przed pojawieniem się pechowego Newtona. Z czasem potrafili oddalić się coraz bardziej od najbliższych i najbardziej podobnych ścieżek w labiryncie alternatywnych światów. Łączyli się z bliźniakami bardzo odległymi i niemającymi z nimi nic wspólnego. Przenikali do lodowatego umysłu Wellsa, który zabijał i rozpruwał prostytutki, do harmonijnego umysłu Wellsa pianisty, do rozświetlonego umysłu religijnej Jane, a im bardziej się oddalali od swego przybranego wszechświata, tym bardziej niepojęte stawały się osobowości bliźniaków. Wellsowie ze zdumieniem odkrywali, że najdalsze linie zawierają najcudowniejsze nuty uniwersalnej melodii. Widzieli światy równie cudowne, co ekscentryczne, w których rasa ludzka stopiła się z resztą przyrody, tworząc ludzi-nietoperzy, kobiety-wilczyce i dziewczęta-deszcz; światy, w których Ziemią zawładnęły automaty i wytrzebiły wszystkich ludzi z wyjątkiem niewielkiej grupy bojowników dowodzonych przez dzielnego kapitana Shackletona; światy, w których istniało więcej kolorów niż w innych; takie, w których człowiek miał tylko jedno oko pośrodku czoła; i takie, w których można było lewitować i chodzić po wodzie, bo rządzące nimi prawa fizyki były inne niż w pozostałych. Wells i Jane starali się sobie opisać ten kalejdoskop niewiarygodnych światów, uciekając się do przenośni i porównań, które jednak kompletnie nie oddawały ich wspaniałości.

I tylko od czasu do czasu zaglądali do Wellsa z blizną - tego, który jako jedyny ze wszystkich Wellsów bał się psów. Jego życie toczyło się normalnie: wydał właśnie swoją pierwszą powieść *Wehikuł czasu*. Sukces książki pozwolił mu utrzymywać się z pisania, choć jednocześnie wciągnął go, podobnie jak wielu jego bliźniaków, w absurdalny konflikt z Gilliamem Murrayem (z racji prowadzenia

biura podróży w czasie nazywanym w tamtej rzeczywistości Panem Czasu i równie korpulentnym jak jego niebezpieczny bliźniak), który w ich pierwotnym świecie zmusił ich do wskoczenia do magicznego tunelu.

We wszechświecie, w którym osiedli, życie także płynęło, choć w znacznie spokojniejszym rytmie. Mijał rok 1887 i młody Wells, który niedawno skończył dwadzieścia jeden lat, nie był już uczniem profesora Lansbury'ego. Zdobywszy dyplom w Normal School of Science, został nauczycielem w Holt Academy w Wrexham. Na szczęście małżonkowie wciąż byli z nim w kontakcie dzięki przyjaźni, którą Wells Obserwator zawarł ze swoją młodszą kopią - przyjaźni bardzo podobnej do tej, jaką w swym pierwotnym wszechświecie utrzymywał ze starym Dodgsonem, choć tam był nieopierzonym uczniem, a tu zniedołężniałym profesorem.

Jakim? Zniedołężniałym? Niestety. Choć Wells Obserwator miał dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, coraz bardziej upodabniał się do słabowitego, trzęsącego się staruszka. Co gorsza, młodszą o sześć lat Jane była w niewiele lepszym stanie. Oboje starzeli się w przyspieszonym tempie, być może w następstwie przeskoku między wszechświatami. Nieprędko jednak się w tym zorientowali, jako że objawy starzenia nie ujawniły się tak nagle ani tak nieprzyjemnie jak talent obserwacyjny. Być może ich pierwotny zegar chodził o tyle szybciej niż zegar ich nowego świata, że pozostawił w organizmach swój ślad, który sprawiał, że starzeli się w zastraszającym tempie. Na razie nie zwracano na to uwagi, bo nikt oprócz nich samych nie wiedział, ile naprawdę mają lat, a nie licząc bliźniaka Wellsa, nie zadali sobie trudu zawierania przyjaźni w alternatywnym Londynie. Woleli spędzać wieczory we dwoje we własnym domu, rozmawiając przy kominku o możliwych i niemożliwych wszechświatach, niż bratać się z rdzennymi mieszkańcami tego konkretnego, niezdolnymi zobaczyć coś poza własną rzeczywistością. Starzenie się nie trapiło ich więc zbyt, tym bardziej że tyle już razy zakpili sobie ze śmierci, iż właściwie byłoby z ich strony uprzejmością pozwolić jej przyjść nieco wcześniej.

Postanowili nie trwonić pozostałego im czasu na zajmowanie się czymś, czemu i tak nie mogli zaradzić. Pozwolili sobie jedynie na parę

smutnych i melancholijnych wspomnień o dawnym świecie, bo jeśli czas płynął tam tak szybko, bardzo możliwe, że gwiazdy już zaczęły gasnąć.

- Myślisz, że wszechświat wszedł w erę ciemności, Bertie? - zapytała pewnej nocy Jane.

- Zapewne - odparł ze smutkiem jej mążzonek.

- Ciekawe, czy znaleźli sposób na ucieczkę przed tym strasznym końcem.

- Chciałbym myśleć, że tak, moja droga. Młodsze pokolenia z pewnością kontynuowały badania. Może udało im się otworzyć inny tunel wiodący do jednej z wielu rzeczywistości. Kto wie, może nawet nastąpił Wielki Exodus.

- Ale gdyby tak było, nie sądzisz, że otrzymalibyśmy wieści za pośrednictwem naszych bliźniaków? - zapytała zdumiona Jane. - Gdyby cała cywilizacja wdarła się do jednego z tych światów, raczej nie przeszłaby niezauważona.

- Prawdopodobnie istnieje wiele światów, w których nie mamy bliźniaków, moja droga, i gdyby nasza dawna, ginąca cywilizacja przeniosła się do jednego z nich, nigdy byśmy się tego nie dowiedzieli. Poza tym, tak jak niektóre wszechświaty biegną szybciej niż pozostałe, inne posuwają się wolniej, więc muszą istnieć takie, na których rozgrywają się dopiero pierwsze sceny przedstawienia, kurtyna zaledwie się podniosła, a człowiek nie zdążył wejść na scenę. Byłyby doskonałe dla odrodzenia naszej cywilizacji.

- A my byśmy tego nie zobaczyli, bo nasi bliźniacy narodziliby się dopiero za miliony lat! - zrozumiała kobieta. - Może więc już się udało... może nasz świat się uratował.

Wells przytaknął z pokrzepiającym uśmiechem. Oboje wiedzieli, że równie dobrze ich świat mógł się nie uratować i że ta cudowna, wysoko rozwinięta cywilizacja mogła teraz dogorywać w ciemnościach, bezradnie patrząc, jak kończy się jej czas. Żadne jednak nie powiedziało tego na głos. Po co mieliby się nad tym rozwodzić? I tak niewiele mogli zrobić dla świata, który opuścili. Im samym także nie pozostało dużo czasu i powinni go poświęcić sobie.

Wbrew temu, co wielu sądzi, miłość czyni ludzi potwornie egoistycznymi i niewrażliwymi, a jak doskonale wszystkim wiadomo, Wellsowie się kochali. Biorąc pod uwagę te wszystkie okoliczności, problem, któremu poświęcili większość życia, coraz bardziej się od nich oddalał, aż wreszcie uznali, że nie mają z nim już nic wspólnego.

Mylili się, niestety. W ich świecie musiało upłynąć ponad pięć lat, nim dotarł do nich pierwszy sygnał, że los ich dawnego wszechświata pozostaje nierozzerwalnie związany z nimi.

Wydarzyło się to w pewien marcowy wieczór roku 1894. Wells i Jane dochodzili do siebie po niezwykle silnym przeziębieniu z wysoką gorączką, które przykuło ich do łóżek na kilka tygodni. Podejrzewali, że zarazili się nim od swoich bliźniaków podczas podwieczorku, który ci zorganizowali, by młody Wells mógł im przedstawić Amy Catherine Robbins, uroczą panienkę, dla której rozstał się ze swoją kuzynką Isabel. Kiedy przyjechali, zastali swoje młodsze kopie zakatarzone, z czerwonymi nosami, załzawionymi oczami i zarumienionymi od gorączki policzkami. Spotkanie trwało więc krótko, acz wystarczyło, by pani Lansbury wyciągnęła wnioski na temat młodej Jane, które następnie przekazała mężowi. Dziewczyna wydawała jej się równie inteligentna i błyskotliwa jak pozostałe, więc wkrótce zapewne miała odczuć niezadowolenie ze sposobu, w jaki kocha ją nieopierzony małżonek.

Następnego dnia starsi małżonkowie mieli te same objawy co młodzi, tyle że z racji wieku potrzebowali więcej czasu na powrót do zdrowia. Gdy pewnego marcowego wieczoru po raz pierwszy ośmielili się wstać i przystąpić do swojej ulubionej ceremonii przy kominku, po zaledwie kilku minutach transu oboje gwałtownie otworzyli oczy, popatrzeni na siebie w przerażeniu i wykrzyknęli:

- Wells przeskoczył!

- Jane przeskoczyła!

Przez chwilę bezskutecznie próbowali uspokoić się nawzajem, wymachując rękami i nie słuchając własnych rad. Gdy w końcu się uspokoili, doszli do wniosku, że muszą prześledzić jak najwięcej światów, by sprawdzić, czy i tam dzieje się to samo, i ocenić powagę

sytuacji. Jeśli mieli działać z naukową precyzją, musieli zachować spokój.

Przez kilka męczących i wstrząsających godzin przeszukiwali światy i otrzymywali wyniki równie jednoznaczne, co porażające. Spośród niemal trzech tysięcy bliźniaków, z którymi zdołał się połączyć Wells i spędzić z każdym zaledwie kilka sekund, pięciu w pewnym momencie ostatnich tygodni przeskoczyło do innego świata i w przerażeniu usiłowało się odnaleźć w zastanej rzeczywistości, nie mając zielonego pojęcia, co się, u diabła, stało. Dwaj myśleli, że przenieśli się w czasie, dwaj nawet nie mieli hipotezy, a jeden sprawiał wrażenie, jakby postradał rozum. Jane także połączyła się z tysiącami bliźniaczek i podobnie jak jej mąż odkryła, że kilka z nich przeskoczyło do obcych sobie scenariuszy, jak gdyby wpadły w zamaskowany właz w podłogę, o którego istnieniu nikt ich nie uprzedził.

Spojrzeli na siebie z głęboką rozpaczą. George pierwszy wypowiedział to, co wiedzieli oboje:

- To wirus.

- Nasz wirus - poprawiła go Jane, masując sobie skronie. - Newton musiał zarazić chłopaka, którego ugryzł... Twój bliźniak nie zachorował, ale stał się nosicielem i zaraził inne osoby... w innych światach! Jak to możliwe?

- Może wirus zmutował i teraz jest bardzo zaraźliwy - zastanawiał się Wells. - Może krótko po pierwszym zarażeniu cała populacja Londynu została nosicielami i wystarczyło, że jeden z nosicieli zachorował i przeskoczył do innego świata, by wirus rozprzestrzenił się również tam. W kolejnym świecie cykl rozpoczął się na nowo i tak dalej... aż przeobraził się w epidemię wyniszczającą wszystkie światy - mówił roztrzęsiony.

Jane pokręciła głową i jęknęła.

- Jak mogliśmy być tak nieodpowiedzialni... nie, tak głupi? Przez tyle lat zadowalaliśmy się obserwowaniem jednego Wellsa, a widząc, że nie ma objawów, uznaliśmy, że nie jest nosicielem. Tymczasem epidemia rozprzestrzeniała się pod naszym nosem.

- I niby jak mieliśmy ją dostrzec? - zaproponował Wells, broniąc się przed wzięciem na siebie winy. - Pamiętaj, że pierwszą osobą, która przeskoczyła między światami, wcale nie musiał być nasz bliźniak. A jeśli to nie był żaden z nich, jak mieliśmy się o tym dowiedzieć? Możemy się łączyć jedynie z nimi. - Zamyślił się na moment. - Musiało upłynąć trochę czasu, nim niektórzy z naszych zarażonych bliźniaków zachorowali i zaczęli przeskakiwać między światami. I jak zauważyliśmy, ich odsetek na razie jest niewielki. To zupełny przypadek, że dziś połączyliśmy się z dwojgiem z nich. Oczywiście mogliśmy się dowiedzieć o epidemii wcześniej, ale równie dobrze znacznie później... Nie możemy się za to obwiniać, Jane.

- Czyżby?! Więc niby czyja to wina?! - wybuchnęła kobieta. - Jesteśmy naukowcami! Mimo to nie wzięliśmy pod uwagę wszystkich możliwości. Tak, to nasza wina! - oznajmiła bezlitośnie. - To my wypuściliśmy wirusa, to nasz pies ugryzł pacjenta zero. Wszystko, co odtąd się zdarzy, będzie obciążało nasze sumienia.

- Nie bądźmy takimi pesymistami - bronił się Wells. - Co może się zdarzyć? Paru biedaków przeskoczy do innych światów i będzie musiało od nowa układać sobie życie. Owszem, to gorzka pigułka, ale da się ją przełknąć. Nam się udało, prawda?

- A jeśli nie tylko o to chodzi? Jeśli epidemia ma wpływ na... na tkankę wszechświata? Co będzie, jeśli globalna populacja, w tym my, okaże się nosicielami wirusa i tylko kwestią czasu będzie, aż wszyscy zaczną skakać bez opamiętania? Och, na brodę Keplera! Gdyby to spotkało wszystkich ludzi na świecie... zapanowałby chaos.

- Przecież nie musi tak być, Jane... Pacjent zero, na przykład, nie zachorował. A to może znaczyć, że wirus uaktywnia się u niewielkiego odsetka nosicieli. Przyznaję, wygląda na to, że szybko się rozprzestrzenia, ale całkiem prawdopodobnie, że większość zarażonych nigdy nie zachoruje. Zresztą nie możemy zakładać, że wszyscy jesteśmy zarażeni. Nie ma sposobu, by to sprawdzić, więc po co od razu wierzyć w czarny scenariusz...

- Owszem, jesteśmy. Nie umiem tego dowieść, ale coś mi mówi, że wszyscy jesteśmy zarażeni - mruknęła pod nosem Jane. - Boże Miłosierny! Przeziębienie!



- Co? Wszyscy od czasu do czasu się przeziębiają. To nic nie znaczy.

- Albo znaczy wszystko. - Wells przyglądał jej się, czując narastający ucisk w gardle. - Przypomnij sobie, Bertie; wszyscy bliźniacy, z którymi łączyliśmy się po zarażeniu pacjenta zero, przechodzili to dziwne przeziębienie, które niedawno nas zmogło, albo przeszli je wcześniej, albo chorował ich krewny... i we wszystkich przypadkach objawy były takie same: nagłe zachorowanie, wysoka gorączka, a potem szybkie i całkowite wyzdrowienie... W twojej szkole w ostatnim trymestrze wszyscy nauczyciele przechodzili przeziębienie. A nasi bliźniacy z tego świata byli chorzy, gdy ich odwiedziliśmy w zeszłym miesiącu!

- Przecież jest zima, Jane! Mnóstwo ludzi choruje.

- Mnóstwo ludzi choruje krótko po tym, jak ugryzł ich pies z innego świata? - zapytała ironicznie.

- Nie wiemy, czy tamto przeziębienie było wywołane wirusem, do diaska! - wykrzyknął Wells, wyskakując z fotela jak diabeł z pudełka.

Podszedł do kominka, oparł się łokciami o półkę i odwrócony plecami do żony, ukrył twarz w dłoniach. Jane jednak nie miała zamiaru odpuścić mu nawet na chwilę.

- Mówisz, że pacjent zero nie zachorował? A skąd to wiesz? - zapytała z fałszywą słodyczą. - Łączyłeś się z nim dzisiaj?

- Nie, Jane - wymamrotał przez palce zmęczonym głosem Wells. - Dziś się z nim nie połączyłem, bo... właściwie nie wiem dlaczego.

Jane uśmiechnęła się smutno. Ostrożnie wstała, podeszła do męża i objęła go w talii, opierając głowę na tych ukochanych plecach, które coraz bardziej się garbiły.

- Nie zrobiłeś tego, bo w głębi duszy boisz się równie mocno jak ja, prawda? - zapytała łagodnie. - Jeśli pacjent zero już zachorował i zaczął skakać między światami, nie ma właściwie najmniejszej nadziei na powstrzymanie epidemii. Wiesz o tym, prawda? Wiesz o tym - powtórzyła ledwo słyszalnym szeptem.

Wells stał bez ruchu, czując ciepło jej ciała przytulonego do niego. Po kilku sekundach odwrócił się i przytknął czoło do czoła żony.

Gestem pochodzącym z dawnego świata z wdzięcznością oddali wzajemną cześć swoim umysłom. Spletli dłonie i poddając się impulsom, które poznali w tym świecie, głaskali się po rękach i plecach, drżącym dotykiem rysując kształty ukochanych ciał. Wells ujął w dłonie twarz żony i z nagłą namiętnością ucałował jej usta - usta, które wciąż wydawały mu się cudem genetyki, teraz słone od łez.

- Co myśmy zrobili, Jane? - zapytał później, wtulając twarz w jej ramię niczym przestraszone dziecko. - Cośmy zrobili? I co teraz będzie? Chcieliśmy uratować jeden świat, a zniszczymy wszystkie...

Jane przez kilka minut głaskała go po rzadkich włosach. Później otarła spływające jej po twarzy łzy i łagodnie, lecz stanowczo odsunęła się od niego.

- Znajdź pacjenta zero - poleciła mu w przypływie energii. - Teraz, Bertie. Znajdź go i połącz się z jego umysłem. Chcę wiedzieć, co w tej chwili robi.

Wells westchnął. Ta kobieta miała niespożyte siły. Usiadł z powrotem w fotelu i zamknął oczy, a Jane przyglądała mu się uważnie, stojąc przy kominku i niecierpliwie pocierając ręce.

Po pięciu ciągnących się w nieskończoność minutach Wells otworzył oczy.

- Znalazłeś go? - zapytała Jane. - Przeniósł się?

- Ech... nie. Wciąż znajduje się w swoim wszechświecie.

- Ojej, to świetnie! Tylko dlaczego masz taką minę?

- Jestem... skonsternowany.

- Czym? - pytała niecierpliwie. - Co robi twój bliźniak?

Wells wyglądał na zmieszanego.

- Ucieka przed marsjańską inwazją.

Ta niewiarygodna historia na jakiś czas oderwała ich myśli od zagrożenia epidemią, którą sami wywołali. Była w końcu równie, jeśli nie bardziej niewiarygodna. W świecie Wellsa z bliźną Marsjanie

niszczyli Londyn, a prymitywna broń imperium nie potrafiła ich odeprzeć, tak jak opisali to w powieściach sam pisarz i wielu jego bliźniaków. Przez kilka wieczorów, zamiast obserwować inne wszechświaty celem ustalenia zasięgu epidemii, z zapartym tchem śledzili przygody Wellsa, który nie tylko był pacjentem zero, lecz co więcej, musiał stawiać czoło przerażającej historii, którą sam opisał w *Wojnie światów*. W końcu stało się to, czego obawiali się najbardziej: pewnego dnia, uciekając przed agresorem kanałami w towarzystwie garstki różnego autoramentu osób, które przeżyły inwazję, bliźniak przeskoczył do sąsiedniego świata<sup>8</sup>. Skok ów nie tylko uniemożliwił im poznanie finału tego mroźnego krew w żyłach spektaklu, lecz i odebrał resztki nadziei na to, że skutki epidemii nie okażą się tak katastrofalne, jak się obawiali. Najwyraźniej wcześniej czy później każdy zarażony zaczynał się przemieszczać między światami.

Uznali zatem za konieczne odnalezienie i obserwowanie innych bliźniaków, którzy zachorowali, w celu oszacowania możliwego wpływu ich przeskoków na tkankę wszechświata. Dzięki temu co wieczór byli świadkami fantastycznych przygód. Wszystkim jednak wiadomo, że w każdej porządnej historii musi występować czarny charakter. W ten sposób Wellsowie odkryli Marcusa Rhysa.

Być może niektórzy pamiętają to nazwisko, jako że pojawiło się na moment pod koniec mojej pierwszej opowieści. Rhys był bezlitosnym zabójcą, który zachorował na kronotemię niemal natychmiast po zarażeniu się wirusem, jakby jego przeklęta krew tak bardzo łaknęła władzy. I w odróżnieniu od pozostałych chorych, dzięki równie niezwykłemu co mrocznemu talentowi, nauczył się dość precyzyjnie wyznaczać cel podróży. Oczywiście nie rozumiał prawdziwego charakteru swojej dolegliwości. W jego pierwotnym świecie, w dość zaawansowanej przyszłości, władze odkryły epidemię, lecz podobnie jak w wielu podobnych światach, wzięły ją za tajemniczą mutację powodującą przemieszczanie się w czasie. W celu zwalczania niewątpliwego zagrożenia, jakie taka mutacja stwarzała, natychmiast zakazano skoków i ścigano tych, którzy nie przestrzegali zakazu.

Rhys należał do ostatniej grupy. Uważał się za najpotężniejszego przedstawiciela *homo temporis* - czegoś w rodzaju ogniwa

ewolucyjnego mającego zawładnąć światem - lecz zamiast wykorzystywać swój niezwykle talent w służbie dobra, korzystał zeń, by włóczyć się po czasie niczym złośliwy turysta: strzelał do wikingów z karabinu maszynowego, rabował grobowce faraonów, pojawiał się przebrany za diabła podczas procesów w Salem, spał z Marią Antoniną... A kiedy znudziło mu się zmieniać historię pod wpływem widzimisie, zajął się wykradaniem niewydanych jeszcze powieści swoich ulubionych pisarzy, a następnie zabijał ich twórców, by stworzyć jedyną w swoim rodzaju bibliotekę złożoną z dzieł wielkich autorów, które mógł czytać jedynie on, bo dla reszty świata nigdy nie powstały.

Obserwatorzy przyłapali go w momencie, w którym usiłował ukraść manuskrypt *Niewidzialnego człowieka*. Na szczęście bliźniak będący jego autorem, również zarażony wirusem, zdołał uciec do innego wszechświata. Rozpoczęła się szalona gonitwa między światami, brutalne polowanie, które obserwatorzy śledzili z zapartym tchem, wiwatując niczym dzieci, ilekroć bliźniak zdołał oszukać nikczemnego myśliwego...<sup>9</sup> A może wcale go nie oszukał, było to bowiem polowanie zwielokrotnione: dziesiątki Rhysów ścigały dziesiątki Wellsów poprzez dziesiątki światów i wszyscy oni sądzili, że są jedynymi i że przemieszczają się w czasie, podczas gdy w istocie było ich tylu i tyle razy mijali się w tych podróżach, że sami obserwatorzy zaczęli wątpić, kto jest pierwszym Wellsem - tym, od którego zaczęła się ta piekielna sztafeta.

Nie mieli natomiast najmniejszych wątpliwości co do tego, który z Marcusów Rhysów zasługuje na miano Złego. „Rozpoznasz go po podłości” - mawiał George, ilekroć tracili go z oczu w płataninie wszechświatów. „I po zdolnościach” - odpowiadała Jane, niezdolna ukryć strach, który wywoływała w niej ta kombinacja cech. Mieli rację: Zły był jedynym spośród wszystkich swoich współbraci, który nigdy nie porzucił pościgu. Miał taką obsesję na punkcie pochycenia tego pisarzyny, który uciekł mu sprzed nosa, że obiecał sobie, iż nie spocznie, póki go nie złapie. Szukał bez wytchnienia, a ilekroć spotykał któregoś z bliźniaków, zabijał go brutalnie, przekonany, że zabija jedynego prawdziwego Wellsa. Gdy jednak - w swoim błędnym przekonaniu - wracał do przeszłości lub

przyszłości, pragnąc w końcu nacieszyć się swoją zemstą w świecie, w którym jedynym śladem irytującego H.G. Wellsa była zapomniana mogiła, znajdował go żywego. I nie pojmując, jak to możliwe, znów go zabijał. W ten sposób niezliczeni Wellsowie zginęli w niezliczonych światach z rąk Złego, coraz bardziej wściekłego, szalonego... i przezroczyściego.

Tak właśnie, przyglądając się działaniom zbrodniarza oczami nieszczęsnych Wellsów ginących z jego rąk, obserwatorzy odkryli kolejny skutek przeskoków między światami: utratę cząsteczek. U Marcusa Rhysa rozpoczął się proces, który być może miał prowadzić do bezpowrotnej niewidzialności. To zaś mogło jedynie znaczyć, że z każdym skokiem kronotemik pozostawiał w hiperprzestrzeni część swoich cząsteczek, co owocowało reorganizacją materii, która stopniowo czyniła go coraz bardziej przejrzystym. Utrata cząsteczek wywołana pojedynczym skokiem była niezauważalna, więc ci, którzy przemieścili się w życiu tylko dwa czy trzy razy, nawet jej nie zauważali. Poważniej chorzy, u których choroba powodowała niezliczone skoki, z przerażeniem natomiast obserwowali, jak ich skóra, mięśnie, narządy wewnętrzne i krew stają się coraz bardziej przejrzyste, aż w końcu światło przesywa ich na wylot jak włócznia. Na szczęście, zanim do tego doszło, większość z nich zdążyła postradać zmysły i nie pamiętała, kim jest ani skąd przybywa.

Był jednak ktoś, kto nigdy nie zapomniał, kim jest ani kogo ściga, a jeśli miał świadomość, jakie spustoszenie w jego ciele wywołuje niepoohamowana żądza zemsty, nie wydawał się tym przejęty. Traktował nawet tę postępującą niewidzialność jako niespodziewany dar, który czyni go jeszcze potężniejszym i groźniejszym. Kiedy stanie się całkiem niewidzialny, nie będzie miejsca, w którym przeklęty Wells mógłby się przed nim schronić, ani sztuczki, którą mógłby zastosować, by przed nim uciec.

Niezliczone niebezpieczeństwa grożące ich bliźniakom odebrały urok historiom, które Wellsowie opowiadali sobie przy kominku. Oboje czuli dreszcze na myśl o nieznanym jeszcze wpływie epidemii na tkankę wszechświata, a także o nieszczęściu niewinnych ludzi, którzy musieli na nowo układać sobie życie w nowych światach, nie zdając

sobie sprawy z tego, co ich spotkało. Ci ostatni zresztą i tak byli szczęściarzami w porównaniu z tymi, których wirus zmuszał do nieustannego przeskakiwania z jednego świata do drugiego, niszcząc ich ciało i rozum, a w niektórych przypadkach doprowadzając ostatecznie do rozpuszczenia się w uniwersalnej świadomości niczym mgliste wspomnienie. Zanim to nastąpiło, niektórzy z owych nieszczęśników stawali się więźniami zjawiska związanego z naturą światów równoległych, a ochrzczonego przez Wellsa mianem współrzędnych malstromowych. Biolog odkrył bowiem w różnych wszechświatach określone punkty, które niczym gigantyczne wiry w oceanie wciągały wszelkie elementy pochodzące z innych światów. Kiedy kronotemik się przemieszczał, często wciągały go te kosmiczne wiry i zamiast wylądować w miejscu, z którego wyruszył, a raczej jego odpowiedniku, trafiał w zupełnie inne. Taki wir mógł się znajdować w konkretnym miejscu, takim jak dom, pustynia czy grotta, a nawet wewnątrz jakiejś osoby. Kronotemik mógł więc wyruszyć z zaśnieżonego szczytu Himalajów albo spalonych słońcem pustynnych wydm i wylądować w Londynie innego świata, przeleciawszy przez nawiedzony dom albo ciało medium prowadzącego właśnie seans spirytystyczny.

Wells uśmiechnął się mimowolnie, gdy zrozumiał, że to właśnie epidemia skoczków czasowych zaowocowała modą na spirytyzm i pojawieniem się hordy mediów grasujących po tylu światach tego rozczłonkowanego kosmosu. Światy te, odległe o lata świetlne od Wiedzy Najwyższej, starały się w jakiś sposób wytłumaczyć tę dziwną plagę, czy to, jak w świecie Rhysa, nadając zarażonym rangę *homo temporis*, czy też biorąc ich za dusze zmarłych błądzące po przeklętych miejscach i komunikujące się z żywymi poprzez media w celu rozwiązania problemów uniemożliwiających im odejście. W rzeczywistości te wypełnione widmami miejsca i osoby posiadające rzekomy dar porozumiewania się z umarłymi były jedynie współrzędnymi malstromowymi każdego świata, wciągającymi kronotemików podczas skoku, by następnie wypluć ich jako przerażające widma: raz była to dama w czerni, która nagle pojawiła się na wieży opuszczonego domu, innym zaś razem mglista ektoplazma wyłaniająca się z ciała pogrążonego w transie medium.

Wellsowie odkryli także, że kiedy malstrom wciąga kronotemika, pozostawia w nim znamię zmuszające do powracania od czasu do czasu do tego świata, zawsze przez ten sam portal. Dlatego niektórzy zarażeni pozostawali uwięzieni w pułapce kilku światów, zmuszeni pojawiać się zawsze w tym samym nawiedzonym domu albo na wezwanie tego samego medium, i z każdym skokiem gubili wspomnienia oraz cząsteczki. Wielu kończyło jako niewolnicy mediów, smutne marionetki wierzące ślepo we wszystko, co usłyszały: że nie żyją, że ich mgliste wspomnienia są jedynie obrazami zaświatów, w których teraz przebywają i które stanowią idealną kopię świata żywych. W końcu, któregoś dnia, podczas kolejnego skoku ich osłabiona struktura cząsteczkowa eksplodowała, strzelając na wszystkie strony miliardem miraży. Wówczas nawiedzony dom uwalniał się od swego widma - przynajmniej dopóki wakatu nie zajął kolejny kronotemik - a medium tracąc kontakt ze zniewolonym duchem, sądziło, że ten znalazł wreszcie drogę ku światłu.

Przez cztery długie lata Wellsowie obserwowali rozprzestrzenianie się epidemii, ciężko przeżywając tragedię chorych bliźniaków i z przerażeniem zastanawiając się, jak to się skończy. Czasami pielęgnowali ziarenko nadziei, że uda się wszystko naprawić: że ostatecznie wszyscy aktywni chorzy, nawet Zły, ulegną dezintegracji, a pozostaną jedynie niegroźni nosiciele, którzy przekażą swoim potomkom własną odporność, dzięki czemu mądry wszechświat sam się obroni. Gdy jednak przytłaczało ich poczucie winy, potrafili rozmawiać tylko o tym, że być może chaos zgodnie z przewidywaniami pochłonie ten świat, tyle że - dzięki H.G. Wellsowi oraz jego pięknej i błyskotliwej małżonce - miliony mileniów wcześniej.

## XXVII

Odpowiedź na ich ponure rozmyślania nadeszła już po kilku tygodniach, gdy Wells połączył się z umysłem bliźniaka, który przemieścił się po raz czwarty w ciągu zaledwie dwóch miesięcy. Pierwszy skok przerwał mu spokojny spacer po Londynie i rzucił go na pustkowie, gdzie ukryty za skałą, z drzeniem serca wsłuchiwał się w odległy dźwięk myśliwskich rogów i ogłuszający tętent setek koni. Kiedy jednak zdecydował się podnieść głowę i wyjrzeć, został wciągnięty z powrotem do Londynu - pojawił się tam zaledwie kilka lat przed swoimi narodzinami. W tej znacznie mniej niegościnniej przeszłości spędził niemal dwa miesiące, by następnie, tym razem podczas przechodzenia przez Grosvenor Square, trafić w posępną przyszłość, w której Londyn zmienił się w stertę dymiących gruzów. Już myślał, że przyjdzie mu zostać pożartym przez grasujące w ruinach potworne istoty podobne do gigantycznych raków, lecz kolejny skok rzucił go z powrotem na Grosvenor Square. Wells Obserwator połączył się z nim dokładnie w momencie, w którym skoczek zadawał sobie pytanie, kiedy wreszcie skończy się ta szalona gonitwa przez czas.

Na placu wiele się zmieniło - niektóre z budynków otaczających znajdujące się pośrodku ogrody zastąpiono bardziej funkcjonalnymi obiektami - ale przynajmniej był na swoim miejscu. Tyle że bardzo zatłoczony, głównie młodymi ludźmi, którzy rozsiedli się w grupkach na trawie albo stali na jego skrajach i grali na gitarach, śpiewali oraz trzymali transparenty z napisem „Make love, not war” i innymi hasłami, których sensu Wells nie pojmował. Żądania owe zwrócone były w kierunku wyjątkowo brzydkiej budowli usytuowanej w zachodniej części placu i strzeżonej przez spory oddział pieszych



i konnych policjantów, którzy spoglądali groźnie na młodzież. Przez kilka minut bliźniak Wellsa oszołomiony wędrował wśród hałaśliwego tłumu, przyglądając się krzykliwym ubiorom młodych ludzi i kwiatom, które zdawały się wyrastać z ich długich, potarganych włosów. Nieco odurzony słodkim zapachem palonych przez nich papierosów, niechcący wpadł na jednego z chłopaków.

- Uważaj, jak chodzisz, Teddy boyu! - ofuknął go młodzieniec z włosami do pasa, ubrany w skórzaną kamizelkę.

- Przepraszam, przepraszam - ukorzył się pośpiesznie nieco przestraszony Wells.

Udobruchany chłopak przyglądał mu się w milczeniu z nieznacznym uśmiechem na ustach. Wykorzystując przypadkowy kontakt z przedstawicielem epoki, do której rzucił go los, Wells pozwolił sobie zapytać o rok. Nim jednak chłopak zdążył odpowiedzieć, z końca placu dobiegły przerażone krzyki, a po nich strzały. Zebrani tam zaczęli gwałtownie wstawać i niczym płynąca do brzegu fala uciekać w kierunku bliźniaka. Tłum go porwał. Kątem oka zauważył kilkunastu konnych policjantów bez cienia litości nacierających na ludzi z głębi placu. Zaraz potem rozległa się ogłuszająca eksplozja, która zmieniła ciszę w rozszalały ocean. Nad spłoszoną masą zaczął się unosić gęsty dym. Całkowicie oszołomieni ludzie biegali w tę i w tę, konna policja rozdawała ciosy na prawo i lewo, a młodzież broniła się, rzucając kamienie, które ze złowrogim trzaskiem odbijały się od hełmów. W obawie przed uwięzieniem w sercu niespodziewanej bitwy, której przyczyn nie znał ani poznać nie pragnął, Wells usiłował uciec przez wyłom w tłumie. Nie miał pojęcia, w którą stronę biegnie - ważne było jedynie to, by wydostać się z pola bitwy. Wokół widział wielu młodych ludzi o zakrwawionych twarzach i zagubionym wzroku, płaczących i wzywających pomocy. Nie zatrzymywał się jednak.

Nagle niebezpiecznie blisko rozległ się kolejny wybuch. Wells runął na ziemię pośród bezkształtnej masy ciał i przez chwilę zdawało mu się, że ogłuchł, bo świat wokół niego spowił kokon ciszy. Bliźniak zdołał się nieco unieść i przez kurtynę dymu zobaczył, jak młodzi ludzie pomagają sobie wstać i biegną na oślep. Z ulgą poczuł znajome

mdłości, które zwykle poprzedzały skok. Za kilka sekund miał się przenieść w inne czasy, które choćby nie wiadomo jak niegościnnie, musiały być lepsze od tych.

Nim jednak mdłości się wzmogły, ujrzał kroczącą ku niemu zdecydowanie poprzez dym olbrzymią ciemną sylwetkę, zdającą się nie zwracać najmniejszej uwagi na to, co się wokół dzieje. W łopoczącej za plecami pelerynie i z kapeluszem zasłaniającym twarz, postać wyglądała jak nie z tego świata, lecz mimo to w oczach Wellsa była bardziej rzeczywista niż wszystko inne, co go otaczało. Czyżby to śmierć po mnie przyszła? - zastanawiał się osłupiały. Postać tymczasem znalazła się przy nim, chwyciła go za ramię i zaczęła ciągnąć z nadludzką siłą. Wstrząśnięty widokiem złowrogiego widma tłum rozstępował się niczym morze przed Mojżeszem, a konie prychały i wierzgały ze strachu. Postać wciągnęła Wellsa w pobliską uliczkę i przycisnęła do ściany. Bliźniak nie zdążył nawet rozmasować obolałego ramienia, które zdawało się uwolnione z imadła, gdy postać jedną z odzianych w rękawiczki dłoni ścisnęła go za szyję i unieruchomiła. Pojmując ze zgrozą, że nawet siła tuzina wołów pociągowych nie zdołałaby go oswobodzić z tego potężnego chwytu, nawet nie próbował się szamotać, tylko spojrział w częściowo przysłoniętą rondem kapelusza twarz. Skryte w półmroku, zaledwie odrobinę rozświetlonym przez oniryczny niebieskawy poblask bijący od trzymanej przezeń dziwnej laski, blade lico nieznanego wydało się Wellsowi piękne i straszne niczym oblicze jakiegoś boga. Zaraz jednak usta tamtego zawibrowały lekko i wydobył się z nich głos, odległy i metaliczny, jakby dobiegał z długiej rury:

- Jestem Egzekutor 2087V i przychodzę, by cię zabić. Odczuwam, że jest mi cię żal, lecz nie mogę zapobiec twojej śmierci. Jeśli pragniesz wiedzieć, dlaczego masz umrzeć, znajdziesz odpowiedź w głębi moich oczu. - Otumaniony Wells niemal instynktownie wbił wzrok w oczy obcego. - Patrz! I nie przestawaj, choćby cię ogarniał strach lub rozpacz. Choćbyś chciał się poddać. Patrz, aż przeminie twoja ostatnia chwila w tym świecie.

Wells posłuchał i nie zwracając uwagi na dobiegający od strony placu rwetes, zatopił wzrok w źrenicach nieznanego, gdzie ośmiowierzchołkowe gwiazdy świeciły z coraz większą mocą, aż

wreszcie oślepiające światło wybuchło, przeszło go na wylot i rozprzestrzeniło się po całym wszechświecie, tworząc miliardy galaktyk. Był świadkiem śmierci wszystkich tych gwiazd i nastania najgłębszej ciemności. Widział dogorywającą cywilizację skupioną wokół zimnych resztek czarnej dziury i usiłującą uniknąć potwornego kresu. Zobaczył twarz chaosu i pojął, że jego śmierć jest sprawiedliwa i konieczna. Odkrył, że egzekutor czuje się winny. Próbował powiedzieć, że mu przebacza, i choć nie zdołał wykrztusić słowa, wiedział, że zabójca go słyszy, i w tym momencie komunikacji absolutnej obaj należeli do siebie i na obu spłynęła ekstaza Wiedzy Najwyższej. Pisarz mimo intensywności tego agonalnego przeżycia wciąż wpatrywał się w egzekutora, aż przeminęła jego ostatnia chwila w tym świecie.

W tym samym momencie, w którym umierał jego bliźniak, Wells Obserwator otworzył oczy i wziął głęboki, drżący oddech. Serce waliło mu w piersi tak mocno, że omal nie wyskoczyło gardłem, a po plecach spływał zimny pot. Rozejrzawszy się wokół wybałuszonymi oczami, zobaczył, że Jane klęczy przy nim i wpatruje się weń z niepokojem.

- Udało im się, moja droga - wyjąkał słabiutkim głosem. - Są tu - dodał na widok jej nierozumiejącego spojrzenia. - Już tu są.

- Kto?

Opadł bezwładnie na oparcie fotela.

- Bliźniak, z którym się dziś połączyłem... spotkał kogoś z naszego świata.

- Jest tu ktoś z naszego świata?! - wykrzyknęła Jane.

- Właściwie nie ktoś, tylko coś... Chcę przez to powiedzieć, że to nie człowiek, choć także nie automat. I... zabił mojego bliźniaka.

Jane patrzyła na niego ze zgrozą.

- Na Boga, Bertie... dlaczego?

- Bo na tym polega jego praca - westchnął Wells. - Bo po to stworzyli go naukowcy z Drugiej Strony: do eksterminacji każdego z zakażonych. W równoległych światach działają setki takich jak on. Każą się nazywać egzekutorami, a ich zadaniem jest wykrywanie

śladów cząsteczkowych kronotemików i ściganie ich w celu uśmiercenia.

Jane zakryła dłońmi usta, by zdławić krzyk. Wells zaczekał, aż dojdzie do siebie.

- Klasyfikują ich według stopnia zaraźliwości - kontynuował - i nazywają destruktorami. Destruktor pierwszego, drugiego stopnia... Destruktorami, Jane! To znaczy niszczycielami! Rozumiesz, co to oznacza? Kronotemicy niszczą ten wszechświat!

Jane przytaknęła, blednąc coraz bardziej. Mąż pogładził ją po twarzy drżącą dłonią, usiłując ogarnąć kalejdoskop obrazów, które przekazał mu egzekutor za pośrednictwem umierającego bliźniaka. Niełatwo jednak wyrazić słowami myśli czegoś, co nie jest człowiekiem. Od czego zacząć opis tego szaleństwa? Zaczniij od początku, dojdź do końca i tam się zatrzymaj, powiedział sobie, wspominając słowa, które dawno temu usłyszał od swego starego przyjaciela Dodgsona. Więc zaczął...

Po tajemniczym zniknięciu państwa Wellsów naukowcy z ich pokolenia i pokoleń następnych kontynuowali badania. Niestety, musiało minąć wiele, być może zbyt wiele wieków, nim osiągnęli cel. Tak jak podejrzewali małżonkowie, ich dawny świat starzał się szybciej niż ten, do którego się przenieśli. Po Drugiej Stronie gwiazdy zaczęły już gasnąć i rozpoczęła się era ciemności. Czas się kończył i wkrótce w odległej przyszłości, w której teraz znajdował się tamten świat, miał zapanować chaos. Kiedy więc naukowcy zdołali wreszcie otworzyć i ustabilizować portal, zrozumieli, że to ich ostatnia nadzieja: zużyli na ten cel resztki zasobów naturalnych, ich świat dogorywał i nie dysponował energią, która pozwoliłaby na otwarcie kolejnego portalu. Z ogromną ulgą i radością odnotowali zatem, że tunel prowadzi bezpośrednio do młodszego świata, świata ery gwiazdnej, w istocie składającego się z niezliczonych mikroświatów, w większości nadających się do przyjęcia bezdomnej cywilizacji. Wieloświata, teatru niezliczonych scenariuszy. Kiedy jednak zaczęli go badać z zamiarem zorganizowania Wielkiego Exodusu, ze zgrozą odkryli, że wieloświat jest ciężko chory.

- Epidemia kronotemii... - szepnęła Jane.

Wells przytaknął posepnie.

- Tak, moja droga. Wieloświat był chory na kronotemię. Mimo to naukowcy się nie poddali. Zaczęli badać epidemię, aby zrozumieć jej przyczyny, lecz odkryli coś gorszego: jej skutki. Miałaś rację, kochana. Zawsze ją masz. Ta choroba zniszczy wieloświat. Ślad cząsteczkowy pozostawiany przez kronotemików przy każdym skoku tworzy blizny w hiperprzestrzeni, kurczy ją, odbiera jej elastyczność, wskutek czego wszystkie chore światy coraz bardziej się do siebie zbliżają. Jeśli nie uda się zatrzymać tego procesu, wkrótce zaczną się zderzać, eksplodując jeden po drugim... Poszczególne sceny teatru wpadną na siebie i spłoną w wielkiej kuli kosmicznego ognia, a cały teatr przestanie istnieć.

- Boże! - wykrzyknęła Jane, by po chwili milczenia dodać z niedowierzaniem: - I postanowili zgładzić wszystkich kronotemików? Trudno mi w to uwierzyć. Nie mogą być tak okrutni, Bertie.

Przygnębiony Wells wzruszył ramionami.

- Może chcą zyskać trochę czasu. Przypuszczam, że śmierć paru niewinnych wydała im się stosunkowo niską ceną za uratowanie dwóch wszechświatów. Bo przecież nie chodzi tylko o ten świat, Jane. Jeśli nie zdołają go uzdrowić na czas, by dokonać Wielkiego Exodusu...

- ...Druga Strona także zginie - dokończyła zatrwożonym szeptem jego małżonka.

W milczeniu kontemplowali te słowa. Przez kilka minut w saloniku słychać było jedynie trzask iskier w kominku i rwane oddechy dwojga staruszków.

- Pamiętasz Wielką Debatę, Jane? - zapytał nagle zdławionym głosem Wells. - Jak ci ludzie mnie podziwiali! Wykrzykiwali z entuzjazmem moje nazwisko! Kiedy zamykam oczy, wciąż ich słyszę. Ufali mi, oddali swój los w moje ręce. Myśleli, że znam prawdę, i ja też tak myślałem, ale... och, Jane! - jęknął, patrząc w oczy żony. - Okłamałem cię! Zrobiłem to z próżności! I ty o tym wiedziałaś, prawda? Chciałem przejść do historii jako zbawca

ludzkości. A teraz... wyobrażasz sobie, co muszą o mnie myśleć w naszym świecie? Wyobrażasz sobie zdumienie naszych kolegów po fachu, gdy w końcu przybyli do Ziemi Obiecanej i odkryli, że jest skazana na zagładę z powodu głupiego eksperymentu przeprowadzonego w ich epoce wiktoriańskiej? Gdy zobaczyli, że wszelkie nadzieje zniweczył mikroskopijny wirus stworzony przez H.G. Wellsa, największe fiasko w historii Kościoła Wiedzy, po tysiącokroć przeklęty Niszczyciel Wszechświatów?

Jane podniosła się gwałtownie i wsparła o gzyms kominka. Wells pozostał w fotelu, zagubiony w odmętach sumienia, szlochając z wtuloną w ramiona głową, przytłoczony potwornym poczuciem winy. Gdy w końcu, zmuszony przez milczenie żony, nieśmiało podniósł wzrok i spojrzał na nią, zdawało mu się, że dostrzega światło latarni. Jane przyglądała się jego rozpaczom z dobrze mu znajomą wściekłą determinacją.

- Cóż, Bertie - uśmiechnęła się - skoro rzeczywiście tak o tobie myślą, musimy ich skłonić do zmiany zdania.

## XXVIII

**P**rzez następne dni małżonkowie ciężko pracowali nad monumentalnym planem uratowania dwóch wszechświatów, a przy okazji doprowadzenia do zmiany druzgocącej opinii mieszkańców ich pierwotnego świata o H.G. Wellsie. Albo na odwrót. Zaczęli od uważnego przestudiowania przechwyconych przez biologa zasobów umysłu egzekutora, przynajmniej tych, które zdołał zapamiętać i wyrazić słowami. Wyglądało na to, że ta bezlitosna rzeź trwa już od pewnego czasu - według ich wyliczeń równego mniej więcej dziesięciu latom w ich przybranym wszechświecie - a fakt, że oni spotkali się z jednym z egzekutorów dopiero teraz, dowodził, że czy tego chcieli, czy nie, wszechświat ów był ogromny i nieskończenie złożony. Jak zatem naukowcy z Drugiej Strony mieliby wyplenić epidemię dotykającą te niezliczone światy? Właśnie - nijak. Ktoś musiał im wskazać, gdzie i kiedy doszło do pierwszego zakażenia, by mogli się tam udać i zrobić porządek.

Zagłędając w umysł egzekutora, Wells odkrył, że niektórzy z tych zabójców potrafią przemieszczać się między światami dzięki laskom, na których rączkach widnieje gwiazda chaosu. Wszystko wskazywało na to, że właśnie te akcesoria pomagają im przeskakiwać za kronotemikami z jednego scenariusza do drugiego poprzez tworzenie w hiperprzestrzeni tuneli, które następnie zamykali, nie wywołując w tkance wieloświata żadnych blizn. Najistotniejsze było jednak to, że laski potrafiły dokładnie wyznaczyć cel podróży dzięki skomplikowanemu rachunkowi współrzędnych obliczanych na podstawie śladów cząsteczkowych pozostawianych przez kronotemików. Innymi słowy, egzekutorzy mogli się udać do dowolnego punktu wszechświata, o ile zakażony wysypał na drogę

wystarczającą ilość metaforycznych okruchów chleba. Prawdopodobnie potrafiliby to uczynić również wtedy, gdyby ktoś narysował im mapę współrzędnych, którą ich przyrządy zdołałyby odczytać.

- Mapę, która zaprowadzi jednego z nich ze świata, w jakim się znajduje, do miejsca i chwili pierwszego zakażenia! - wykrzyknął z entuzjazmem Wells. - Albo jeszcze lepiej, do chwili jej poprzedzającej... by móc mu zapobiec!

- A kto zdoła sporządzić tę mapę? - zapytała z udawaną naiwnością Jane.

Oczywiście doskonale znała odpowiedź, ale chciała zostawić mężowi przyjemność jej wypowiedzenia. Wells uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Promiennie, z nadzieją. Może naiwną, lecz jakie to miało znaczenie.

- Ktoś, kto ma wystarczającą wiedzę matematyczną - odparł z dumą. - Ktoś, kto widzi i słyszy wszystko, choćby i nie miał na to ochoty.

Kipiący entuzjazmem biolog odkurzył łamigłówki, w które bawił się wraz z Dodgsonem dawno temu w Oxfordzie, i rozłożył je na stole. Wystarczył jeden rzut oka na pokryte wzorami, równaniami i wykresami papiery, by załamać ręce: te pretensjonalne bazgroły były zaledwie grammi intelektualnymi, żarcikami równie błyskotliwymi, co bezwartościowymi, całkowicie teoretycznymi, wymyślanymi dla samej przyjemności. Teraz musiał je przetestować na problemie nie tylko prawdziwym, lecz także niewyobrażalnie skomplikowanym. Musiał narysować największą mapę wszystkich czasów i wszystkich światów; mapę zamykającą nieskończoność w prostym rachunku współrzędnych, a cały wszechświat redukującą do prostego równania... Nie miał pojęcia, czy takie przedsięwzięcie jest wykonalne. A jeśli nawet, to i tak nie był pewien, czy ma ochotę demonstrować, że istnienie jest iluzją splecioną z eterycznej wikliny matematyki, dziedziny, która tak potwornie go nudziła. Wydawało się jednak, że nie ma wielkiego wyboru.



Dniami i nocami pracował nad mapą, która, jeśli się nie mylił, miała pozwolić dowolnemu egzekutorowi na podróż z dowolnego punktu wieloświata do czasu i miejsca pierwszego zarażenia. Postanowił ją nazwać *Wielką matematyczną mapą nieubłaganego chaosu*. Jane uważała ten tytuł za nieco pompatyczny, lecz Wells nie ustąpił: jeśli ma to być jego opus magnum, dzięki któremu przejdzie do historii jako zbawca ludzkości, tytuł musi odzwierciedlać jego wielkość.

Tytaniczne zadanie wkrótce całkowicie go pochłonęło i Jane musiała się nim opiekować jak w najgorszych czasach: pilnowała, by jadł, mył się i spał tyle, ile trzeba, a kiedy jego entuzjazm słabł, brała na siebie obowiązek podsycania go. Poświęcili nawet wieczory przy kominku, których zresztą i tak nie mogliby kontynuować, bo o tej porze Wells wprost padał z nóg, z trudem znajdując dość sił, by dowieść się do łóżka.

Gdy on zamykał się w biurze, by walczyć z przeczącymi sobie wzajem wzorami, przeprowadzać dowody obalające wcześniejsze hipotezy i przeklinać nieobecność Dodgsona, Jane, ilekroć pozwalały jej na to domowe obowiązki, chroniła się w swoim przytulnym gabineciekiku urządzonym w jednym z pokojów. Siadała przy biurku, na którym zawsze stał wazon ze świeżo ściętymi różami, i spędzała tam kilka godzin, zajmując się czymś, co pomagało jej znieść osamotnienie. Ustalili bowiem, że będzie redagowała rozdziały, aby się stały bardziej zrozumiałe, ponieważ uwikłany w skomplikowane matematyczne procesy umysł Wellsa nie potrafił przedstawić swych myśli tak jasno jak trzeba. Pomiędzy nimi zaś oddawała się nie mniej istotnym codziennym zajęciom domowym, by jej mąż nie mógł nieprzerwanie pracować nad swym koronnym dziełem.

Taki podział ról po raz pierwszy od wielu lat zmuszał Wellsów do spędzania osobno wielu godzin dziennie. Nie byłbym jednak szczery, gdybym nie wspomniał, że oprócz smutku Jane zaznawała w tym czasie także radości. Owszem, tęskniła za mężem, choć dzieliła ją od niego tylko cienka ściana, bo ich związek przez minione lata tak się skonsolidował, że stali się niemal jednym bytem. Jane odczuwała brak męża każdym włóknem swego jestestwa, jak brak kapelusza i płaszczka w szczególnie wietrzny dzień. Od czasu do czasu jednak

tęsknota ustępowała miejsca oszłamiającemu poczuciu wolności, jak gdyby, przyjąwszy już do wiadomości brak płaszcza, zapominalska nie miała innego wyjścia, jak tylko pobiec przed siebie pod wiatr z rozwianym włosiem, czując na twarzy rześki chłód.

Jej małżonek z kolei kiepsko znosił to przymusowe rozstanie. Odkąd żona mu powiedziała, że w jednym z wolnych pokoi chce urządzić sobie gabinet, Wells część swego wolnego czasu, którego miał tak mało, poświęcał próbom dowiedzenia się, co też ona tam robi. Bezpośrednie pytania zbywała wzruszeniem ramion. Żarty też nie przyniosły rezultatu. „Zamykasz się tam, żeby rysować zwierzęta?” - rzucił pewnego razu, lecz nie doczekał się nawet chichotu, którym zwykle reagowała na te słowa. Jane nabrała wody w usta, a jako że tortury nie wchodziły w grę, Wellsowi pozostały niespodziewane wtargnięcia. Dzięki nim dowiedział się, że żona zamyka się, by pisać, co w gruncie rzeczy nie było wielkim odkryciem, zdążył się bowiem tego domyślić bez naruszania jej przestrzeni. Trudno było sobie wyobrazić, że hoduje tam króliki, przywołuje diabła lub tańczy nago. Zresztą kiedyś już zagroziła mu półzartem, że zacznie pisać. Pozostawało jednak dowiedzieć się, c o pisze.

- Och, nic takiego - odpowiadała, pospiesznie chowając kartki do szuflady biurka, do której Wells już wcześniej bez powodzenia usiłował się włamać. - Dam ci do przeczytania, gdy skończę.

Gdy skończę? To nie jest żadna odpowiedź. A jeśli nigdy nie skończy? Jeżeli z jakiegoś powodu postanowi nie kończyć? Albo świat skończy się wcześniej? Wtedy on nigdy się nie dowie, czym zajmuje się Jane, kiedy na dwie lub trzy godziny dziennie zamyka się w gabinecie. Pisze pamiętnik? Książkę kucharską? Nie. Gdyby chodziło o to ostatnie, nie byłaby tak skryta.

- Jedną z rzeczy, które najmniej mi się podobają na tym świecie, jest to, że pary mają przed sobą tajemnice - obwieszczal z zamierzonym drammatyzmem.

- Myślałam, że najmniej ci się podoba to, że nikt jeszcze nie wynalazł elektrycznej brzytwy - żartowała Jane, po czym ujmowała męża pod rękę i prowadziła do drzwi, udając, że wcale go nie wyrzuca. - Och, przestań się boczyć. Jakie ma znaczenie, co piszę?

Ważna jest twoja praca, Bertie, więc nie trwoń czasu na szpiegowanie mnie, tylko bierz się do roboty.

Zostawszy sam, Wells wzruszał ramionami, schodził na parter i również zamykał się w pracowni. Patrzył na plik kartek, na które zamierzał przelać całą swą wiedzę, brał pióro do ręki i kontynuował to, co Jane nazywała jego opus magnum, podczas gdy przez okno dobiegały odgłosy ulicy i pobliskiego parku - odgłosy życia toczącego się ze spokojnym zadowoleniem w świecie, który uważał się za jedyny... i bezpieczny.

Potrzebował roku na ukończenie dzieła, które po licznych skrótach zatytułował po prostu *Mapa chaosu*. Kiedy Jane sprawdziła ostatnią stronę i pozytywnie zaopiniowała matematyczne dokonanie małżonka, w ich przybranym świecie był rok 1899.

Od ich przybycia minęło ponad czterdzieści lat i wiele się przez ten czas zmieniło. Para „duchów” wyglądała teraz niemal na stulatków - choć w rzeczywistości Wells miał lat siedemdziesiąt jeden, a Jane sześćdziesiąt pięć - i tak też się czuła: starusieńka i potwornie zmęczona. Ostatni rok był dla obojga niezmiernie trudny. Zaniechali nawet zagłębienia w umysły bliźniaków, całe swoje siły i większość czasu poświęcając kolosalnemu zadaniu stworzenia *Mapy chaosu*. Ponadto żadne z nich nie miało ochoty sprawdzać postępów epidemii ani patrzeć na okrutną eksterminację zakażonych. Co by im to dało z wyjątkiem wzmożonego niepokoju? Gdyby koniec świata nadszedł, zanim ukończą książkę, wiedzieliby o tym, bo raczej trudno było przypuszczać, że eksplozje wywołane przez zderzające się ze sobą światy przejdą niezauważone. Udało im się jednak tego dokonać, a wszechświat wciąż był w miarę cały.

Napisanie książki zawierającej klucz do uratowania świata - tego i wszystkich innych, które potrafili sobie wyobrazić - Wells uznał za godne uczczenia odrobiną odpoczynku. Napalili w kominku, nalali sobie do kieliszków likieru - tylko troszeczkę na dzień, bo ich organizmy nie znosiły już alkoholu tak dobrze jak kiedyś - i pośród radosnych westchnień oraz skrzypienia kości rozsiedli się w fotelach. Wreszcie mogli się rozkoszować chwilami, które kiedyś przynosiły im tyle przyjemności i ulgi i za którymi tak tęsknili. Nim jednak

rozpoczęli, postanowili, że tego wieczoru będą się łączyć jedynie ze szczęśliwymi bliźniakami, nie zaś z nieszczęśnikami, którzy zachorowali na kronotemię albo uciekają przed Marsjanami, przed niewidzialnym człowiekiem czy innym równie egzotycznym niebezpieczeństwem. Dość już przeżyli przygód i wstrząsów. Tego wieczoru zamierzali przez kilka godzin żyć nieciekawym, lecz przyjemnym życiem tych swoich kopii, których jedynym zmartwieniem była nuda, bo na szczęście w świecie nieskończonych możliwości istniała także perspektywa zwykłej egzystencji.

Wells jednak zastawił pułapki. Nie zdołał się powstrzymać. Pokusa rzucenia okiem na życie pacjenta zero była zbyt silna. Chciał wiedzieć, jak się potoczył jego los, choć tego, co może zobaczyć, bał się równie mocno jak tego, że Jane odkryje jego niesubordynację. Początkowo miał pewne kłopoty ze znalezieniem tego konkretnego bliźniaka. Przez rok nieużywania daru wyszedł nieco z wprawy, lecz ostatecznie się udało. Pacjent zero był już staruszką. Obserwator sięgnął w głąb jego pamięci, by sprawdzić, co się wydarzyło, odkąd ostatnio go podglądał. Z radością dowiedział się, że pod koniec niebezpiecznego życia tamten Wells osiągnął względny spokój. Po emocjonujących przygodach na Antarktydzie, gdzie stracił dwa palce prawej dłoni, przeskoczył do świata, w którym znajdował się obecnie. Tam jego choroba przeszła w postać utajoną, dzięki czemu mógł do pewnego stopnia odbudować swoje pokiereszowane życie. Gdy już mu się zdawało, że w spokoju doczeka kresu swych dni, na jego ślad trafił egzekutor i Wells przez kilka miesięcy musiał się przed nim ukrywać. Kilka razy nawet wymknął mu się wyłącznie dzięki łutowi szczęścia - na przykład wtedy, gdy tamten próbował go dopaść przed Operą Królewską. Później zmienił miejsce zamieszkania, przyjął nazwisko Baskerville i znalazł sobie nowe zajęcie... obserwator mimowolnie uśmiechnął się, odkrywając, że jego bliźniak został stangretem Gilliana Murraya, który w tym świecie nazywał się Montgomery Gilmore.

W momencie, w którym obserwator połączył się z jego umysłem, Wells z bliźnią rozmawiał z oryginalnym Wellsem tamtego świata.

- Więc nie ma pan żadnej bliźniaczki na lewym nadgarstku - mówił Baskerville. - Za to ma pan jakąś na brodzie, a ja nie.

- Spadłem ze schodów, kiedy miałem piętnaście lat - odparł drugi Wells.

- Taak. Ja przeciwnie, na schodach zawsze bardzo uważałem.

- Bardzo się cieszę - odrzekł jego młodszy bliźniak.

Wells Obserwator zaśmiał się bezgłośnie w swoim fotelu przy kominku, nie otwierając oczu. Rozpierała go duma z Baskerville'a, Wellsa równie wyjątkowego jak on nie tylko dlatego, że zdołał w pojedynkę zapobiec marsjańskiej inwazji, lecz także ponieważ najwyraźniej zrozumiał, również bez niczyjej pomocy, prawdziwą naturę wszechświata i jego choroby... Zadowolony, pożegnał się z nim w milczeniu i pozwolił tamtemu światu rozplynać się leniwie w magicznym portalu jego umysłu. Potem otworzył oczy.

Jane wciąż podróżowała. Przyglądał jej się z tkliwością, czekając, aż się zbudzi. Sądząc ze słodkiego uśmiechu błakającego się po jej ustach, musiała widzieć coś bardzo przyjemnego. Mniej więcej dziesięć minut później otworzyła oczy. Wells przywitał ją zaintrygowaną miną.

- Gdzie byłaś, moja droga? Uśmiechałaś się jak dziewczynka na karuzeli.

- Och, połączyłam się z młodą bliźniaczką, która właśnie zaczyna się zakochiwać w swoim nauczycielu biologii. - Na jej twarzy ponownie wykwitł uśmiech. - Podobnie jak w wielu innych światach, chadzali razem na stację Charing Cross, by wsiadać do swoich pociągów. O ile jednak większość twoich bliźniaków wykorzystywała spacer, by podbijać serca dziewcząt błyskotliwą pogawędką, ten Wells okazał się znacznie bardziej... śmiały. Przechodząc obok zamkniętego parku, przekradliśmy się do niego i ukryci za żywopłotem w świetle księżyca... och, Bertie, to było cudowne... - Zauważyła, że mąż spogląda na nią z niebotycznym zdumieniem, i uznała, że lepiej nie kontynuować. - A ty, mój drogi? Co robiłeś?

- Ech... obawiam się, że Wells, z którym się połączyłem, nie jest zdolny do podobnych wyczynów.

Mimo ukończenia *Mapy chaosu* ich praca bynajmniej nie dobiegła końca. Przeciwnie - pozostała najtrudniejsza część: musieli sprawić,

by książka trafiła do rąk któregoś z egzekutorów. Tylko jak? Ci bezlitośni łowcy nie mieli zwyczaju przechadzać się po ulicach Londynu, wachając kwiatki w parku, nie jeździli tramwajami ani po zabiciu któregoś z kronotemików nie zostawiali na miejscu zbrodni swoich wizytówek. Wells i Jane widywali ich jedynie poprzez umysły ściganych bliźniaków, a nawet wtedy nie mogli się z nimi skontaktować. W grę nie wchodziła także możliwość, że któryś z zabójców sam ich odnajdzie, by zabić, bo przecież ci ścigali jedynie aktywnych kronotemików. Co do jednego wszak Wellsowie mieli pewność: w rzeczywistości, w której obecnie żyli, poruszał się przynajmniej jeden egzekutor ścigający jakąś zainfekowaną osobę, a jeśli nawet nie było go tu teraz, w końcu się zjawi. A księga zatytułowana *Mapa chaosu* musiała przykuć uwagę każdego egzekutora, zwłaszcza jeśli na okładce miała tę samą ośmioramienną gwiazdę, która widniała na jego lasce. Musieli zatem sprawić, by się stała wystarczająco popularna, by jak najdłużej zdobiła wystawy księgarń i okładki czasopism. Sprawić, by się stała równie znana jak *Alicja w Krainie Czarów* Dodgsona czy przygody tego nadętego detektywa Sherlocka Holmesa.

Żaden wydawca nie chciał jednak opublikować skomplikowanego i niezrozumiałego traktatu matematycznego, nawet jeśli ten zawierał klucz do zbawienia świata. Po dwóch tygodniach dobijania się do drzwi wszystkich wydawnictw w Londynie Wellsowie musieli się poddać. George kazał oprawić wzgardzony manuskrypt w wykwintną skórę i ozdobić okładkę srebrną gwiazdą chaosu, myśląc z goryczą, że poświęcił cały rok absurdalnemu zadaniu napisania niezrozumiałej książki, która nabrałaby sensu dopiero wtedy, gdyby - co wydawało się wysoce nieprawdopodobne - przeczytał ją ktoś niebędący człowiekiem.

Po powrocie do domu położyli księgę na stole i zasiedli w fotelach, próbując wymyślić inny sposób na dotarcie z nią do egzekutora.

- Może powinniśmy zmienić kierunek poszukiwań - zasugerowała po dłuższym namyśle Jane.

- To znaczy?

- Zamiast szukać egzekutora, by mu przekazać księgę, powinniśmy poczekać, aż sam ją odnajdzie. Na przykład odnaleźć jednego z naszych bliźniaków, który stał się destruktozem, dać mu księgę i liczyć na to, że egzekutor go wytropi.

Wells spojrział na żonę zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że mamy... sędować swoją misję na zarażonego bliźniaka?

Jane bez przekonania skinęła głową.

- Hm... może... - zastanawiał się Wells. - By przykuć uwagę egzekutorów, musiałby jednak być dość aktywnym kronotemikiem, takim, który nie zaczął jeszcze tracić cząsteczek ani rozumu, a do tego dostatecznie młodym i zdrowym, by przekazać swoją misję innemu, gdy dostrzeże u siebie pierwsze objawy aberracji. Podsumowując: musielibyśmy znaleźć Bliźniaka Doskonałego. Tylko jemu, lub jej, moglibyśmy bez obaw powierzyć księgę.

Bliźniak Doskonały. Brzmiało wspaniale, tylko gdzie mieli go szukać? Mogliby zlokalizować go mentalnie w innym wszechświecie, nie wstając z foteli, ale nic by im z tego nie przyszło, skoro fizyczne spotkanie nie było możliwe. A gdyby nawet szczęśliwym zrzędzeniem losu taki bliźniak wskoczył do świata, w którym się znajdują, zaraz straciliby go z oczu, bo nie potrafili przeniknąć do umysłu żadnego dublera żyjącego w tej samej rzeczywistości. Musieliby go więc szukać po całym Londynie, bo raczej wątpili, czy nieszczęśnik będzie czekał na miejscu, aż się zjawią. Przyjmując, że w ogóle zostanie przerzucony do tego samego miejsca, z którego wyruszył, a nie wciągnięty przez współrzędne malstromowe i wypłuty w Himalajach, na Saharze albo w jakimś równie niedostępnym miejscu...

- Współrzędne malstromowe! - wykrzyknęli chórem, doświadczwszy w tym samym momencie blasku Wiedzy Najwyższej.

Jak mogli nie wpaść na to wcześniej? Nie musieli poświęcać czasu na szukanie na oślep po mieście. Wystarczy czekać przy którymś z tych wirów, aż jeden z ich bliźniaków zostanie wciągnięty do tego świata, i trzymać kciuki za to, by okazał się Bliźniakiem Doskonałym. Wtedy wręczą mu księgę, wyjaśniając, że zawiera klucz do

uratowania zarówno jego, jak i całego wszechświata. Sądzieli, że uda się go przekonać bez większych kłopotów. Wszak nikogo nie znali lepiej niż własnych kopii. To będzie jak przekonywanie siebie samych, a przynajmniej taką mieli nadzieję. Zresztą tym będą się martwić później. Najpierw muszą ściągnąć do tego świata jedno ze swoich bliźniąt z innej rzeczywistości.

- Obawiam się, moja droga, że będziemy musieli się zainteresować spirytyzmem - rzekł Wells.

Oboje się uśmiechnęli, wspominając litość, z jaką spoglądali na osoby uczęszczające na seanse spirytystyczne z nadzieją porozmawiania ze zmarłymi bliskimi.

Przez następny rok odwiedzali wszystkie media, które w tamtym okresie działały w Anglii lub zahaczały o nią podczas swoich tras po Europie. Brali udział między innymi w seansach C.H. Fostera, Madame d'Esperance, Williama Eglintona i wielebnego Stantona Mosesa, w pograżonych w czerwonym półmroku salonach łącząc palce z sąsiadami przy stole, podczas gdy medium albo lewitowało nad ich głowami, zaczepione na ukrytych pod tuniką hakach, albo przywoływało ektoplazmę zrobioną z pomalowanej gazy. Odwiedzili też plebanię w Borley, pałac Hampton Court, dom numer 50 na Berkeley Square i wiele innych rzekomo nawiedzonych miejsc w Anglii. Mimo tych wysiłków efekt był nad wyraz mizerny. Pośród tylu oszustów niezmiernie trudno było znaleźć prawdziwe media będące siedliskiem współrzędnych malstromowych, a gdy już któreś okazywało się autentyczne, nie wyłaniał się z niego żaden z ich bliźniaków, tylko jakiś półprzezroczysty nieszczęśnik, który dawno postradał zmysły i ograniczał się do patetycznego recytowania tego, czego wcześniej nauczyło go medium. Tylko raz wydało im się, że rozpoznają bliźniaka Wellsa w niepokojąco widmowych rysach sześć- lub siedmioletniego chłopca, który zmateriałizował się w połowie seansu, krzycząc, że chce wrócić do mamy, rozpaczliwie zagubiony i brudny niczym Oliver Twist wieloświata. Na plebanii w Borley spotkali też bliźniaczkę Jane, oszalałą staruszkę, która systematycznie nawiedzała to miejsce, doprowadzając do tego, że córki proboszcza uznały swój dom za przeklęty.



Te bezproduktywne spotkania były jedynym, co osiągnęły, realizując swój desperacki plan. Nic więc dziwnego, że z upływem miesięcy coraz bardziej dochodzili do wniosku, iż przyjęta strategia na nic się zda, choć żadne z nich nie ośmieliło się powiedzieć tego na głos, by nie zniechęcić drugiego. Pewnego popołudnia sprawy przybrały jednak inny obrót.

Wellsowie wracali do domu po seansie z fałszywym, jak się okazało, medium i Wells przez całą drogę utyskiwał na tę zgraję oszustów, którzy za pomocą tanich sztuczek czerpali korzyści z cudzych nieszczęść.

- A nam zabierają cenny czas! - zaryczał wściekle. - Nie mówiąc już o uszczuplaniu naszych zasobów pieniężnych!

Jane była równie rozgniewana, lecz gdy tylko dotarli na stację Charing Cross, poprosiła męża, by się uciszył.

- Uspokój umysł, Bertie, jeśli nie chcesz zostać potraktowany jak awanturnik.

Jeszcze bardziej zirytowany jej słowami, nie przestawał zrzędzić na schodach stacji. W połowie zejścia zamarł niespodziewanie, zrobił się biały i sztywny jak kreda. Przez kilka sekund rozpaczliwie walczył o oddech, unosząc do piersi pomarszczoną dłoń, po czym osunął się na schody w tym samym miejscu, w którym tuzin jego bliźniaków stracił przytomność z powodu gruźlicy. W jego przypadku diagnoza była inna: rozpacz, nerwy i furia wywołane frustrującymi poszukiwaniami spowodowały skrzep, który zatkał tryby jego serca.

Dysponując medykamentami ze swego pierwotnego świata, doszedłby do siebie w mgnieniu oka, lecz tu medycyna tkwiła w powijakach. Przepisano mu jedynie lek z naparstnicy, idiotycznej rośliny leczniczej rosnącej na zboczach Azji, i zalecono kilka tygodni odpoczynku. Przykuty do łóżka w swojej sypialni i poniżony prymitywizmem tutejszej nauki, czuł się bezradny jak nigdy dotąd. Co jeszcze mógł zrobić? Rozwiązał problem, lecz to najwyraźniej nie wystarczyło, by odpokutować za swój grzech.

Jane, ze swej strony, zapomniała na jakiś czas o losach świata i skoncentrowała się na zdrowiu małżonka. Widząc, jak nagle mdleje,

obawiała się najgorszego, potem zaś opiekowała się nim z typową dla siebie troską, nieskończenie wdzięczna losowi, że tym razem nie pozwolił śmierci zabrać jej małżonka. Kładła mu na czole okłady z octu, a w niektóre popołudnia, siedząc na fotelu przy jego łóżku, czytała mu przygodowe powieści autorów z ich przybranego świata, takich jak Stevenson, Swift czy Verne, który w tym świecie tworzył wynalazki jedynie za pomocą słów. Kiedy zaś Wells zasypiał, w końcu pozwalała sobie na cichy płacz. Wiedziała, że to pierwsze zetknięcie ze śmiercią było zaledwie próbą i że wkrótce nastąpi kolejny, być może śmiertelny atak. Wielokroć myślała o śmierci, lecz zawsze jej się zdawało, że oboje odejdą jednocześnie. Skoro do tej pory zawsze czynili wszystko razem i za obopólną zgodą, dlaczego pod koniec życia coś miałyby się zmienić? Wyglądało jednak na to, że Bertie planuje dokonać żywota pierwszy, a niewyobrażalnym, wręcz zawstydzającym wydawało jej się żyć dalej w świecie, w którym już go nie będzie. Jak mogłaby znieść ból, a nade wszystko oszołomienie wywołane utratą połowy swego jestestwa? Byli razem niemal od zarania dziejów. Mimo to Jane musiałyby żyć z okaleczoną duszą, gdyby go zabrakło, bo wówczas w jej rękach, w rękach kruchej i zdruzgotanej małżonki, pozostałaby jedyna nadzieja na ocalenie świata.

Na szczęście Wells z każdym dniem czuł się lepiej. Mniej kaszlał, a jego policzki przestały być trupio blade. Trzymał się życia jak tonący brzytwy. Pewnego dnia zawołał żonę, a gdy weszła do cuchnącej starością, lekami i przekupioną śmiercią sypialni i usiadła w fotelu, próbował coś powiedzieć. Zamiast tego jednak zaczął melodyjnie kaszleć, jakby śpiewał gamę. Jane ujęła go za rękę i czekała, aż atak przeminie, przyglądając mu się z czułością, którą czas wygładził, jak strumyk wygładza kamyki w swoim korycie. Nie mogła znieść widoku tego mężczyzny - mężczyzny, z którym dzieliła życie, który kochał ją roztropnie, jak go nauczył Kościół Wiedzy, i płomiennie, jak chciało jego własne serce, i któremu przypadło w udziale obdarzenie jej całym szczęściem, jakie przeznaczył dla niej świat - tak kruchego i bezbronego wobec śmierci.

- Myślę, moja droga - powiedział wysokim, niemal dziecięcym głosem, gdy już doszedł do siebie - że powinniśmy przestać chodzić

na seanse. To nic nie da.

Zaskoczył ją. Sądziła, że gdy Bertie wyzdrowieje, będą kontynuować poszukiwania nawet wbrew sobie, niezdolni zrzucić z siebie brzemię odpowiedzialności.

- A cóż innego możemy zrobić? - zapytała, wiedząc, że poddanie się nie wchodzi w rachubę.

Wells wziął głęboki oddech.

- Sądzę, że jedyne, co nam pozostało, to oddanie książki... im.

- Im? Ależ Bertie, przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy ich w to wciągać. Że pozwolimy im żyć własnym życiem. Pamiętasz?

- Naturalnie, że pamiętam, moja droga. Obawiam się jednak, że nie mamy wyboru. Spójrz na nas. Nie zostało nam wiele czasu. Wkrótce - przez chwilę szukał słowa - odejdziemy, a jeśli do tego czasu nie przekazemy księgi egzekutorowi albo przynajmniej nie scedujemy tego na kogoś, cały trud jej pisania pójdzie na marne, a świat zginie i nikt nawet nie będzie wiedział, że istniała możliwość zapobiegnięcia temu.

- Mimo wszystko uważam, że nie powinniśmy kłaść im na barki tak potwornego ciężaru, Bertie - odparła Jane. - Są młodzi, a my zrujnujemy im...

- Życie? - dokończył smutno Wells. - Jakie życie? Jeśli nic nie zrobimy, żaden młody człowiek w tym wieloświecie nie dożyje czasów, w których byłby zgrzybiałym starcem jak ja.

Jane przytaknęła. Uśmiechnęli się do siebie smutno. Kobieta wsparła głowę na piersi męża, pozwalając, by ukołysało ją powolne, uparte bicie jego serca - bicie zmęczonego bębna. Pragnęła tańczyć, póki nie zamilknie, i ani chwili dłużej.

Po jakimś czasie usłyszała głos George'a.

- Nigdy się nie zastanawiałaś nad siłą tego impulsu, który kazał nam porzucić Oxford i przeprowadzić się tutaj, by być blisko nich, gdy się narodzą? Nad tą niezrozumiałą pewnością, że musimy uczestniczyć w ich życiu?

- Codziennie - przyznała.

- I do jakiego wniosku doszłaś?

Westchnęła.

- Myślę, że to nasz instynkt obserwacyjny dawał do zrozumienia, iż prędzej czy później będziemy musieli przekazać im swoją misję - rzekła z rezygnacją.

- Jestem tego samego zdania, moja droga.

Nie powiedzieli nic więcej. Trwali w milczeniu, resztką sił obejmując się i czując się rozbitkami bardziej niż kiedykolwiek przedtem, podczas gdy za oknami ciemniało niebo.

## XXIX

Pewnego wietrznego popołudnia pod koniec lutego 1900 roku, gdy Wells wydobrał dostatecznie, by spacerować bez zawrotów głowy, on i Jane udali się do Arnold House, by przekazać książkę swoim bliźniakom z tego świata. Małżonka biologa niosła ją w niewielkiej torebce z haftowanego jedwabiu, którą przyciskała do piersi jedną ręką, podczas gdy drugą przytrzymywała szarpany przez wicher płaszcz. Stanęli przed wielką bramą i zadzwonili kilkakrotnie, lecz nikt im nie otworzył. Wells zaklął, podtrzymując uciekający kapelusz. Podróż powozem potwornie ich wytrzęsła, a teraz wyglądało na to, że przybyli na próżno. Co się stało z bliźniakami? Przecież wysłali im liścik z wyraźnie wyluszczoną porą wizyty. Już mieli dać za wygraną i wrócić do domu, gdy nadjechał powóz.

- Panie profesorze, pani profesorowo, błagamy o wybaczenie spóźnienia! - wykrzyknął młody Wells, gdy tylko znalazł się na ziemi i zobaczył ich smaganych wiatrem przed bramą.

Nie widzieli się, odkąd młode małżeństwo przeniosło się do Sandgate w poszukiwaniu zdrowszego powietrza dla swych płuc, więc powitanie było nad wyraz wylewne.

- Raz jeszcze przepraszam za spóźnienie. Wycieczka do Dartmoor trochę się przedłużyła, bo w drodze powrotnej przydarzył nam się drobny incydent - tłumaczył bliźniak Wellsa. - Nasz znajomy i jego narzeczona wypadli z drogi swoim mercedesem, jednym z tych przeklętych nowoczesnych automobili... Na szczęście Gilmore w ostatniej chwili zdołał zapanować nad diabelskim pomiotem, bo inaczej...

- Co za ulga! - wykrzyknęła przestraszona Jane.

Poprosili o zaczekanie woźnicę, który ich przywiózł, obiecując w zamian filiżankę bulionu, i weszli do ogrodu prowadzącego ku domowi. Wells zwrócił uwagę, że młody bliźniak obserwuje go kątem oka, i przypomniał sobie, jak trudno mu było zaprzyjaźnić się z chłopakiem w jego studenckich czasach - ilekroć bowiem się doń zwracał, młodzieniec kulił się w sobie, jakby go dopadł nagły ból żołądka, i wymieniwszy kilka zdań, by nie wydać się niemiłym, uciekał, wymawiając się jakąś pilną sprawą. Być może tak oddziaływała na jego podświadomość rozmowa z samym sobą. Na szczęście z czasem ich nieuniknione podobieństwo przerodziło się w sympatię, która stłumiła wszelkie obawy chłopaka przed ekscentrycznym wykładowcą. Teraz młodszy odpowiednik przyglądał mu się ukradkiem, starając się ukryć współczucie, jakie w nim wywoływał chwiejny krok starca. Bez wątpienia wstrząsnęło nim spustoszenie, jakie dokonało się w ciele profesora przez ostatnich sześć lat. Cóż. Starość nie radość. Kiedyś czeka go to samo. Jego twarz pokryją identyczne zmarszczki, a wyprostowane dumnie plecy zgarbią się w ten sam sposób. I jak wszyscy po zapadnięciu kurtyny opuści scenę, czy to pośród gwizdów, czy aplauzu.

Kiedy znaleźli się w domu, bliźniaczka Jane pobiegła do kuchni zaparzyć herbatę, a jej małżonek poprowadził Wellsów do saloniku, poprosił, by usiedli, i zajął się rozpalaniem w kominku. Młoda Jane przyniosła herbatę i podawała ją zręcznymi ruchami, które napełniły melancholią duszę staruszki. Ile to już lat, odkąd ona sama utraciła tę automatyczną niegdyś sprawność? Nagle jej rozmyślenia przerwał głośny trzask i wszyscy się wzdrygnęli.

- Bertie, czyżbyś nie naprawił tego okna na strychu? - zapytała młoda Jane, podejrzliwie zerkając na sufit.

- Naprawiałem je dziś rano, moja droga, ale zdaje się, że znacznie lepiej mi idzie pisanie książek - zażartował młody Wells. Nikt jednak się nie roześmiał. - Cóż... - splotył się młodzieniec. - Jakaż to pilna sprawa przywiodła państwa pod nasz dach w tak niegościnnie dzień, profesorze? - zapytał.

Wells wymienił znaczące spojrzenia z żoną, po czym odchrząknął. Nadeszła chwila zburzenia spokojnego żywota tych dwojga młodych

ludzi.

- Chodzi o coś, czego wolelibyśmy wam nie opowiadać, bo mamy świadomość, że to, czego się dziś dowiecie, na zawsze zmieni wasze życie. Obawiam się, że nie na lepsze - oznajmił z powagą profesor. - Niestety nie mamy wyjścia.

- Muszę przyznać, że potrafi pan przykuć uwagę publiczności, profesorze - odparła z rozbawieniem jego młodsza kopia. - Byłby z pana wielki powieściopisarz.

Starzec uśmiechnął się gorzko i pociągnął łyk herbaty, by zyskać na czasie. Odkąd postanowili złożyć młodym wizytę, wielokrotnie się zastanawiał, od czego rozpocząć swoją opowieść, i doszedł do wniosku, że przede wszystkim muszą im zdradzić, kim naprawdę są, bo jeśli młodzi nie uwierzą, dalsze wyjaśnienia nie będą miały sensu. Wyprostował się więc, jak tylko zdołał, i odwrócił do nich swoim lepszym profilem.

- Spójrz na mnie, George, i ty także, Jane. Dobrze mi się przyjrzyjcie. Starajcie się nie widzieć zmarszczek i brody, przede wszystkim zaś spójrzcie mi w oczy i czytajcie w nich, nie odrzucając żadnej możliwości.

Zdumiona prośbą para przechyliła się przez stół i dokładnie przyglądała twarzy starca, lustrując oczy niczym jubiler oglądający diament. Po kilku sekundach bliźniak stracił cierpliwość.

- Do czego pan zmierza, profesorze? - zapytał z drwiącym uśmiechem.

Rozczarowany słabą spostrzegawczością swego sobowtóra Wells pokręcił głową i zawrócił się do dziewczyny:

- Co widzisz, Jane? Jak mógłbym wyglądać w wieku trzydziestu czterech lat? - zapytał, podając aktualny wiek bliźniaka.

Jane zrobiła poważną minę i starała się wykonać zadane przez starca ćwiczenie: wygładziła mu zmarszczki, zgoiła brodę, dorysowała włosy na skroniach i zastąpiła zmęczone oczy oczami mężczyzny młodego i ufego. Gdy już to uczyniła, zmarszczyła brwi. Staruszek uśmiechnął się do niej tkliwie.

- Tak, Jane. Nie wzbraniaj się przed tym, co podpowiada ci umysł. Doszłaś do słusznego wniosku.

- Ale... ale ten wniosek jest absurdalny! - wykrzyknęła niemal ze śmiechem.

- Nie, moja droga - zaprzeczył profesor. - Jest całkowicie słuszny.

- Co jest absurdalne? Co ci przyszło do głowy, Jane? - pytał zdenerwowany bliźniak.

- Henry Lansbury to fałszywe nazwisko - wyznał wówczas Wells, z powagą patrząc mu w oczy. - Naprawdę nazywam się Herbert George Wells. I jestem tobą, choć jak widzisz, nieco starszym. A ona - wskazał żonę - nie jest panią Lansbury. Jest Amy Catherine Robbins. Moją i twoją żoną. Bo my to wy.

Młodzi wymienili skonfundowane spojrzenia, po czym raz jeszcze przyjrzeni się dwojgu starszkom, którzy trzymali się za ręce, jakby pozowali do portretu.

- Na Boga - wymamrotała po chwili dziewczyna. - To... to niemożliwe!

- Możliwe, jeśli uwierzycie w naszą opowieść - rzekł Wells.

I spokojnym głosem, świadom oszołomienia, jakie wywołają w bliźniakach jego słowa, zaczął im opowiadać historię, którą czytelnik tej książki doskonale już zna. Pokrótce opisał swój ojczysty świat, nakreślił wizję nadciągającego końca, wyjaśnił, jak w roku 1858 trafili do tej rzeczywistości przez czarodziejski portal, jak zaprzyjaźnił się z Dodgsonem i pracował w Oxfordzie. Mówił o zniknięciu psa i rozprzestrzenieniu się wirusa obecnego w jego krwi, o swoim darze obserwacji i o eksterminacji kronotemików, która skłoniła go do stworzenia *Mapy chaosu* - książki zawierającej klucz do uratowania tego i wszystkich innych wyobraźalnych światów. Młodzi słuchali bez słowa, rozdarci między zdumieniem a przerażeniem. Kiedy skończył, w saloniku zaległa ciężka cisza. W końcu młody Wells odchrząknął hałaśliwie.

- Na Boga! Kronotemicy, egzekutorzy, równoległe światy... To brzmi jak jedna z moich fantastycznych powieści.



- Chciałbym, żeby tak było - westchnął starzec. - Niestety, George, zapewniam cię, że wszystko to jest prawdą.

Bliźniak spojrział na żonę, przygryzł wargę, w końcu rzekł:

- Proszę się nie obrazić, profesorze, ale każe nam pan wierzyć w mnóstwo niewyobrażalnych rzeczy wyłącznie w oparciu o... o nieznaczące podobieństwo fizyczne między nami.

Wells westchnął rozczerowany. Wiedział, że nie będzie łatwo przekonać swoich młodszych kopii, zwłaszcza George'a, który - jakżeby inaczej - był równie uparty jak on. Już miał odpowiedzieć, gdy za jego plecami rozległ się złowrogi głos.

- A może przekona was prawdziwy kronotemik?

Przestraszeni spojrzeli w tamtym kierunku i zerwali się na równe nogi. Przy drzwiach salonu, wpatrzony w nich ze złośliwym uśmiechem, stał przejrzysty człowiek. Miał zwykły ciemny garnitur i był potężnie zbudowany, lecz najbardziej niepokoiło to, że poprzez ciało intruza przebija wszystko, co znajduje się za jego plecami: drzwi, spowity półmrokiem korytarz, obrazy na ścianach... Obcy przez kilka sekund stał z kpiącą miną, pozwalając im się przyglądać. Potem zbliżył się do nich elastycznym, aroganckim krokiem drapieżnika podchodzącego do ofiary. Wells i Jane natychmiast go rozpoznali i machinalnie znów chwycili się za ręce. Gdy widmo znalazło się przy nich, ze zgrozą dostrzegli w jego ręku osobliwy pistolet z metalowym zamkiem i drewnianym chwytem, i choć lufa w porównaniu z resztą zdawała się zbyt cienka, wciąż była to potencjalnie śmiertelna broń.

- Kim pan, do diabła, jest i co pan robi w moim domu? - zażądał odpowiedzi młody Wells, starając się pohamować drżenie głosu.

Dziwna istota mlasnęła z niezadowoleniem.

- Drogi George'u, przy każdej innej okazji, zmęczony wciąż tym samym powitaniem, odpowiedziałbym ci: „Naprawdę mnie nie pamiętasz? Nazywam się Marcus Rhys i jak zawsze przyszedłem cię zabić” - odrzekł zde gustowanym tonem, a młody Wells pobladł. - Teraz jednak rozumiem, dlaczego nigdy mnie nie pamiętasz. Teraz rozumiem wszystko. - Uśmiechnął się okrutnie do wstrząśniętych

słuchaczy, po czym przeniósł wzrok na starca. - Jeśli dobrze pana zrozumiałem, profesorze, nie jestem *homo temporis*, tylko nieszczęśnikiem zarażonym wirusem, który pan własnoręcznie zaprojektował w innym wszechświecie. Powinienem więc raczej powiedzieć: „Nazywam się Marcus Rhys i przyszedłem cię zabić, tak jak zabiłem wielu twoich bliźniaków w innych światach”. Prawda, profesorze?

Wells Obserwator milczał. Jasne było, że Rhys podsłuchał całą rozmowę - hałas na strychu to zapewne jego sprawa, więc musiał od dawna stać za drzwiami - i dowiedział się wszystkiego o naturze wszechświata i własnej. Najwyraźniej jednak wiedza owa w najmniejszym stopniu nie zmieniła jego nikczemnych zamiarów. Stał przed stołem w taki sposób, że uniemożliwiał im ucieczkę, i celując do nich ze swej dziwnej broni, przyglądał się złowieszczo każdemu po kolei, aż w końcu jego wzrok spoczął na młodej Jane, która na swoje nieszczęście znajdowała się najbliżej niego.

- Jak to dobrze, że przyniosłem ze sobą samopowtarzalnego walthera, którego przywiozłem ze swej ostatniej podróży - oznajmił nagle, z dumą unosząc broń. Wszyscy się wzdrygnęli. - To standardowy pistolet używany przez Wehrmacht w czasie drugiej wojny światowej, dość prymitywny w porównaniu z moim karabinem na snopy ogniste, który niestety straciłem podczas walki z tyranozaurom. Tak czy owak, choć najbardziej lubię odbierać ci życie własnymi rękami, będą musiał go użyć, George, bo wygląda na to, że czeka mnie dziś więcej pracy niż zwykle. Obawiam się bowiem, że muszę zabić was wszystkich... - rzekł z udawaną troską. - Najpierw jednak zniszczę tę książczynę, którą pan napisał, profesorze, a która może mi odebrać mój dar.

- To nie jest żaden dar, panie Rhys. To straszliwa choroba - odparł starzec, starając się brzmieć spokojnie i przekonująco. - Jeśli jej nie powstrzymamy, zniszczy pana i wszystkich kronotemików. Prędzej czy później pańskie cząsteczki rozproszą się bez śladu w nicości, o ile wcześniej nie skończy się wszechświat.

- Rozumiem - odparł z odrobiną melancholii Rhys. - Ale wie pan co? - zapytał po chwili zadumy. - Nie wierzę panu. Zniszczy mnie?

Przeciwnie... Być może tamtych nieszczęśników to spotka, ale mnie... mnie pański wirus uczynił nieśmiertelnym. Zmienił mnie w coś w rodzaju boga istniejącego poza wszystkimi światami. Nieważne, czy jestem kimś lepszym, czy po prostu chorym. Chcę taki pozostać! Mam cudowną moc! A teraz, gdy w pełni ją zrozumiałem i gdy dowiedziałem się od pana, że żyjemy w wieloświecie, gdzie wszystko jest możliwe, proszę sobie wyobrazić, co jeszcze mogę uczynić! Jeśli zechcę, mogę uwieść panią Bovary, wypić eliksir doktora Jekylla, zatopić pociskiem arkę Noego!... Jestem pewien, że mógłbym dotrzeć do jeszcze dalszych i bardziej fantastycznych światów... może nawet przeskoczyć do innych wieloświatów, nim ten zginie. Wkrótce będę najpotężniejszą istotą wszystkich światów. Stanę się Niewidzialnym Mordercą! Bogiem Chaosu! I nie zamierzam pozwolić, żeby przeszkodziła mi jakaś głupia książka! - wrzasnął.

Przez chwilę dyszał głośno ze wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali, być może w mrocznych zaułkach własnego szaleństwa. Potem gwałtownie spojrzął na starca.

- Proszę mi dać tę książkę, profesorze - rzekł zaskakująco spokojnie. - Wrzucę ją do kominka i zapomnę, że kiedykolwiek istniała.

Wells pokręcił głową, mocno ściskając dłoń Jane. Nie miał zamiaru oddawać księgi. Zawierała klucz do uratowania świata, a poza tym... pracował nad nią cały rok!

- Nie? - z teatralnym rozczarowaniem zapytał Rhys. - Jestem przekonany, że potrafię pana skłonić do zmiany zdania.

Niewiarygodnie szybkim ruchem chwycił za włosy bliźniaczkę Jane, przycisnął jej głowę do stołu i przyłożył pistolet do skroni. Jej mąż chciał interweniować, lecz na widok groźby w uśmiechu Rhysa ograniczył się do patrzenia, równie bezradny jak para staruszków.

- Nie rób głupstw, George. Obaj wiemy, że żaden z ciebie bohater. Lepiej pomóż mi przekonać profesorka. Powiedz mu, że jeśli nie odda tej cholernej książki, twoja żona zginie.

Młody Wells natychmiast posłuchał.

- Na miłość boską, profesorze, niech pan mu ją odda!

Wells spojrział na niego z niezmierzonym żalem, wiedząc, że w ten sposób nie uratuje życia ani dziewczynie, ani żadnemu z nich. Czyniąc zadość swemu przydomkowi, Zły zabije ich wszystkich, a potem spali księgę w kominku. Albo najpierw spali księgę, a potem ich zabije. Kolejność była najmniej istotna, o czym on sam wiedział lepiej niż ktokolwiek.

- Ta księga jest najcenniejszą rzeczą, jaka istnieje na tym świecie. Naprawdę uważa mnie pan za durnia, który by ją ze sobą nosił? - zaimprovizował, zwracając się do Rhysa.

- Więc niech mnie pan do niej zaprowadzi, zanim stracę cierpliwość! Może wszystkim nam przyda się trochę świeżego powietrza - wysyczał Zły niczym wąż, który zaraz ukąsi ofiarę.

Wells spojrział na bliźniaczkę Jane, której głowę zwyrodnialec wciąż przyciskał do stołu przezroczystą dłonią. Spróbował zyskać na czasie.

- Panie Rhys, możemy się dogadać. Jeśli pozwoli pan uratować wszechświat, obiecuję, że znajdę sposób na to, by wirus pozostał w pańskim organizmie. Ostatecznie to ja go zsyntetyzowałem. Stałby się pan wtedy jedyną osobą w wieloświecie potrafiącą...

Zły wyciągnął rękę z bronią w stronę młodego Wellsa i nawet na niego nie patrząc, nacisnął spust. Bliźniak zwałił się na podłogę z roztrzaskaną głową, nim zdążył zrozumieć, co się dzieje, a Rhys uśmiechnął się i puścił dziewczynę - ta przyklękła i otumaniona bólem, przygarnęła do piersi bezwładne ciało męża. Na szczęście los oszczędził staruszkom tego widoku, bo ze swojego miejsca widzieli jedynie kark dziewczyny poruszający się w rytmie szlochów. I właśnie do niego przyłożył broń Zły.

- Bierze mnie pan za durnia, profesorze? - mruknął apatycznie, jakby cała sytuacja zaczynała go nudzić. - Jeśli mi pan nie powie, gdzie jest księga, ją też zabiję.

Wells jeszcze mocniej ścisnął dłoń żony

- Przykro mi - mamrotał do siebie. - Przykro mi...

Zły potrząsnął głową, wyraźnie zdegustowany uporem starca, i nacisnął spust. Z lufy dobył się niebieskawy błysk. Nie widzieli, gdzie trafia kula, ale szloch Jane gwałtownie ucichł. Rhys bez większego zainteresowania zerknął na owoce swej nikczemności, po czym uśmiechnął się do staruszków.

- Jest nas coraz mniej.

- Przekłety sukinsynu - wycedził Wells, czując, jak furia bulgocze mu w gardle. - Mam nadzieję, że zapłacisz za swoje zbrodnie.

- Śmiem wątpić, profesorku - uśmiechnął się Zły. - Teraz uszczypnę tam, gdzie naprawdę zaboli - oznajmił i wymierzył broń w staruszkę.

Na ten widok Wells natychmiast spuścił z tonu i przestał się przejmować zniszczeniem księgi oraz całego świata. Sięgnął po torebkę żony, lecz ona przycisnęła ją do piersi. Zły zrozumiał.

- A więc tu ją macie. W takim razie nie potrzebuję już pana, profesorze. - Wymierzył broń w Wellsa. - To sprawa między pańską uroczą żonką a mną.

Wells spojrział na wymierzoną w niego lufę, a potem na żonę. Serce mu się krajało na widok jej wykrzywionej strachem twarzy i mokrych od łez policzków. Uśmiechnął się z czułością, a ona odpowiedziała tym samym. Nie potrzebowali słów. W ciągu tych wszystkich spędzonych razem lat nauczyli się rozmawiać oczami. Potrafił w ten sposób przekazać wszystko, co do niej czuł. Przeżyli razem dziwne życie, przygodę wartą opowiedzenia. Przyjemnie było przejść przez to wszystko z Jane, najlepszą towarzyszką drogi ku Wiedzy Najwyższej, jaką można było sobie wyobrazić. „Kocham cię, kocham cię w każdy możliwy i niemożliwy sposób” - zakomunikował jej w ciszy, a ona odpowiedziała tym samym... choć czuł, że czyni to z bardzo daleka. Uważnie obserwował ukochaną twarz i miał wrażenie, że już jej tam nie ma; że pozostało tylko wspomnienie. Wtedy skoncentrował się na przysłoniętych mgiełką źrenicach żony i zrozumiał, co się zaraz stanie, bo doskonale znał te objawy. Na widok twarzy Jane pojął, że i ona zrozumiała. Pożegnał ją ostatnim dumnym, pokrzepiającym uśmiechem, życząc jej wszelkiego szczęścia. Potem spojrział na Złego, który dokładnie w tym momencie - zaledwie sekundę po tym, jak

Wells popatrzył na Jane, bo tylko sekundy potrzebowali, by sobie to wszystko powiedzieć - nacisnął spust. Kula trafiła profesora w samo serce, w którym przechowywał swoją miłość do Jane - miłość, która teraz rozlewała się wraz z krwią w miarę jak świat wokół niego ciemniał.

Gdy ukochany runął do jej stóp, Jane stłumiła jęk. Dziękowała losowi, że z powodu zawrotów głowy nie widzi dokładnie twarzy małżonka. Chciała zapamiętać ostatnie spojrzenie Bertiego, spojrzenie pełne miłości i wsparcia. Wiedziała, że będzie go potrzebować, by stawić czoło nieznanemu. Uniosła głowę, popatrzyła na pistolet Złego i z całej siły przycisnęła do piersi torebkę, by jej nie zgubić podczas skoku. Jej gest rozbawił Rhysa, przekonanego, że bez najmniejszego wysiłku wyrwie staruszce torebkę z rąk.

- Do widzenia, Marcusie - pożegnała go Jane.

- Do widzenia, pani Lansbury.

Uśmiechnął się kurtuazyjnie i nacisnął spust. Kula jednak nie dosięgła staruszki. Przeszyła powietrze i trafiła w szkło jednego z zawieszonych na ścianie zdjęć - tego, które znajdowało się dokładnie na wysokości serca Jane. Szkło popękało i niełatwo już było dostrzec, że fotografia przedstawia Wellsa z małżonką na łodzi. On wiosłował z uśmiechem, ona zaś siedziała za jego plecami, spoglądając nań z niezmierną czułością, jakby świat składał się wyłącznie z tego, co widzą i czego dotykają, i jakby mieli przed sobą całe wspólne, piękne życie.

Egzekutor 2087V skończył lekturę i odłożył kartki na stół. Stał bez ruchu, a jego majestatyczna postać zlała się w jedno z zapadającym mrokiem.

Nie poruszył się nawet, gdy usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych. Śledził jedynie ofiarę za pomocą czujników słuchowych: słyszał, jak otwiera drzwi, zapala kaganek przy wejściu, powoli idzie do kuchni, otwiera spiżarnię, wkłada skromne zakupy, a potem drobnymi kroczkami wchodzi po schodach na piętro, gdzie znajduje się sypialnia i mała pracownia, w której czyha śmierć. Na korytarzu kroki zatrzymały się nagle i egzekutor pojął, że uśpiona

zauważyła uchylone drzwi pracowni. Na kilka sekund zapanowała cisza, podczas której do obwodów bezlitosnego zabójcy dotarło echo strachu ofiary. „Zamknęłam te drzwi czy je tak zostawiłam?” - zastanawiała się zapewne, stojąc jak sparaliżowana. Potem jednak kroki znów rozbrzmiały, tym razem jeszcze wolniejsze, ostrożnie zbliżając się do miejsca, w którym stał ukryty w mroku egzekutor. Gdy ofiara zatrzymała się przy drzwiach, przez szczelinę wsączyła się smuga światła. Wyostrzone czujniki zabójcy wychwyciły dźwięk dłoni opierającej się o drzwi i pchającej je powoli. Światło po kolei wydobywało z mroku poszczególne meble, wśród nich fotel, w którym siedziała potężna postać. Wówczas egzekutor wstał, wysoki i ciemny niczym anioł śmierci. Przez kilka sekund ofiara i kat przyglądali się sobie, rozpoznając się nawzajem. Egzekutor leciutko pogłaskał trzymaną w dłoni laskę.

- Skoro już wszedł pan do mojego domu w ten sposób - odezwała się pani Lansbury - mam nadzieję, że będzie pan chociaż uprzejmy wypić ze mną herbatę, nim mnie pan zabije.

## XXX

- Hm... z mlekiem?

Egzekutor i pani Lansbury siedzieli przy kuchennym stoliku, oświetleni jedynie chwiejnym płomykiem kaganka. Na stole stał obłupany czajniczek, dwie parujące filiżanki i filigranowy porcelanowy dzbanuszek, który staruszka podniosła drżącą ręką.

- Odczuję większą przyjemność? - zapytał Egzekutor 2087V, ledwie poruszając wargami.

- Cóż... w tej kwestii zdania są rozbieżne. Osobiście chętniej pijam bez mleka, lecz niestety ta tania lura, jedyna, na jaką mnie stać, jest dość paskudna. Nie mogę też poczęstować pana herbatnikami, więc proponuję jednak dodać trochę mleka.

Cisza, która zaległa, przedłużała się.

- Dobrze. - Egzekutor skupił wzrok na drobnej staruszce i coś ulotnego przemknęło przez jego źrenice, na moment czyniąc je mniej strasznymi. - Bardzo dziękuję, pani Lansbury... A może powinienem powiedzieć „pani Wells”?

Staruszka odpowiedziała uśmiechem.

- Proszę mnie nazywać Jane. Podejrzewam, że skoro na tym etapie wciąż żyję, musi pan być... Egzekutorem 2087V.

Powietrze wokół łowcy zadrgało niedostrzegalnie, potwierdzając jej przypuszczenia. Skinęła głową, wpuściła do herbaty gościa leciutki obłoczek mleka, po czym napełniła własną filiżankę. Poruszała się energicznie, choć ręce jej drżały wskutek zniedołężnienia, które oplatało ją niczym gęsta woń kadzidła, nie przenikając w głąb. Zamknęła oczy i pociągnęła łyce. Gorący płyn parzył wargi



i przyjemnie wlewał się do gardła. Żyję, pomyślała, wciąż żyję. Jednak się udało. Jej stare i schorowane ciało oparło się taranowi lat i kornikowi samotności, by teraz wreszcie spotkać tego, którego ona i jej mąż wyczekiwali od tak dawna. Przeżyła tylko dwa skoki, lecz wyglądało na to, że jakieś bóstwo wysłuchało jej prośb i uznało, iż choroba rozwinęła się u niej dostatecznie, by przyciągnąć egzekutora. I to nie byle jakiego, tylko tego, który otworzył umysł przed jej małżonkiem; tego, w którym własna okrutna praca wzbudzała poczucie winy. Egzekutora idealnie nadającego się, by powierzyć mu *Mapę chaosu* i uratowanie świata. Oczywiście gdyby wciąż ją miała... Zaklęła w duchu, odstawiła filiżankę na spodek i otworzyła oczy. Zabójca przyglądał jej się intensywnie. Mimo wielkiego smutku staruszka pomyślała, że jej dawny świat stworzył jedną z najpiękniejszych śmierci, jakie można sobie wyobrazić. Z naukową ciekawością zlustrowała blade dłonie cudownej istoty, spoczywające bez ruchu na stole niczym mityczne ptaki pozostawione przez myśliwego, a następnie twarz, której rysy zdawały się ulepione z łagodnego światła poranka zmieszanego z przedwieczną ciemnością nocy. Na wielkiego Newtona, pomyślała w zachwycie, a myśmy tak podziwiali automaty z Zakładów Prometeusza!

- Może pan pić i jeść? - zapytała z zainteresowaniem, wskazując nietkniętą filiżankę.

Egzekutor uśmiechnął się, choć może lepiej byłoby powiedzieć, że jego wargi wykrzywiły się jak szyja umierającego łabędzia.

- Nie muszę, ale mogę.

Staruszka wyciągnęła palce w stronę jednej z dłoni zabójcy i pogłaskała ją łagodnie, oczarowana jak dziecko.

- Ojej, ciepła!... Chyba nie odróżniłabym jej od prawdziwej skóry.

- To j e s t skóra - wyjaśnił. - Większość mojego ciała składa się z syntetycznych biokomórek.

- W takim razie... czym właściwie pan jest?

- Organizmem cybernetycznym stworzonym przez najlepszych inżynierów biorobotyki z Drugiej Strony. - Urwał na moment. - Kiedyś czułem się dumny, mówiąc o tym... teraz już nie.

- Powinien pan spróbować znów się tak poczuć - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Jest pan... cudownym dziełem. Oddałabym wszystko za to, by w mojej epoce istniała technologia zdolna stworzyć kogoś takiego! Poza tym duma to dobra rzecz. Pozwala utrzymać w ryzach poczucie winy i rozpaczy. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię. Czasem, kiedy utraci się wszystko inne, pozostaje jedynie duma... - Głos staruszki zadrzał jak uschnięta gałązka. Uniosła dłoń do ust i na chwilę przymknęła oczy, by odzyskać panowanie nad sobą. - W dniu w którym mojego męża... zabito - ostatnie słowo wyrzekła z niespodziewaną furią - przeskoczyłam, jak pewnie pan przeczytał w moim manuskrypcie, do innego świata... Znów zostałam rozbitkiem na obcej plaży, tyle że tym razem byłam jednocześnie samotną wdową, zrozpaczoną i ściganą przez szalonego mordercę... Pewnie najłatwiej byłoby się poddać, popełnić samobójstwo w najmniej bolesny sposób, odciąć się od wszystkiego i pozwolić, by we wszechświecie zapanowała wieczna noc chaosu. Rozumiałam jednak, że w moich rękach spoczywa nie tylko los wszystkich światów, lecz także dzieło, za które oddał życie mój małżonek i dzięki któremu powinien zostać zapamiętany. Obiecałam sobie, że kiedyś ludzkość będzie równie dumna z H.G. Wellsa jak ja. - Westchnęła i uśmiechnęła się smutno do bezlitosnego zabójcy. - Sam pan widzi: to duma dała mi siłę, by żyć dalej. Czasem zostaje tylko ona.

Przez kilka sekund oboje w milczeniu kontemplowali narodziny i śmierć. W końcu Jane z rozmarzeniem pokiwała głową.

- Inżynierowie biorobotyki... - powiedziała, smakując słowa przypominające jej tę specyficzną, dawno utraconą przyjemność badań naukowych. - Chciałabym zobaczyć, co by zrobili w tych okropnych okolicznościach, w których ja się znalazłam.

- A co pani zrobiła, Jane?

Staruszka spojrzała na egzekutora zdumiona. Miała wrażenie, że w jego metalicznym pomruku posłyszała jakieś... ludzkie, może nawet dziecięce zainteresowanie. Wydało jej się wręcz, że lekko poróżowiały mu policzki. A może... może ta istota odzwierciedlała jedynie uczucia swoich ofiar. A ona... ona była jedną z nich.

- Och, chciałby się pan dowiedzieć, jak dalej potoczyła się historia, którą pan przeczytał? Dobrze, opowiem. Gdy uciekłam, zabierając ze sobą książkę, nadal trzymałam się wcześniejszego planu. Była to najrozsądniejsza opcja. Owszem, mogłam ograniczyć się do czekania, aż znajdzie mnie któryś z egzekutorów, skoro nagle stałam się aktywną kronotemiczką, lecz biorąc pod uwagę fakt, że przemieściłam się między światami tylko raz i że stawka była zbyt wysoka, by uzależnić powodzenie akcji od tego, czy nastąpi kolejny skok, postanowiłam powrócić do eksperymentów ze spirytyzmem. Przynajmniej dopóki nie wydarzy się coś lepszego. Nie zamierzam się rozwodzić nad tym, jak udało mi się przeżyć w nowym świecie; powiem jedynie, że nie było źle: w niecały rok zgromadziłam niewielką fortunę dzięki wynalazkowi, który zrewolucjonizował najzamożniejsze domy w mieście: Mechanicznemu Służącemu. Była to nowinka bardziej pomysłowa niż naprawdę nowatorska, a biorąc pod uwagę, że Zły wciąż mnie tropił, starałam się nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Mimo to niemal z dnia na dzień stałam się najbogatszą i najbardziej tajemniczą wdową w Londynie... - Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych dni, lecz coś w twarzy egzekutora, jakby leciutki cień zniecierpliwienia, kazało jej kontynuować. - Cóż, być może przy innej okazji opowiem panu tę zdumiewającą historię. Na razie istotne jest to, że zarobione pieniądze pozwoliły mi w ciągu niespełna dwóch lat wziąć udział w setkach seansów spirytystycznych i odwiedzić kilkadziesiąt nawiedzonych domów. Niestety nie spotkałam żadnego z naszych bliźniaków. Raz wprawdzie natknęłam się na błakającą się po cmentarzu Jane, lecz była to kronotemiczka ledwie żywa, niemal przezroczyta i kompletnie szalona, a więc zupełnie dla mnie nieprzydatna. Miesiące szybko mijały, a ja czułam się coraz słabsza i bardziej zmęczona. Bałam się, że nie spotkam na czas nikogo idealnego do powierzenia mu księgi, lecz mimo to wzbraniałam się przez kontaktem z naszymi bliźniakami z tamtego świata... Nie mogłam zapomnieć o przemilej parze, która zginęła z naszej winy, i nie chciałam mieć na sumieniu więcej ofiar... Postanowiłam więc wrócić do pierwotnego planu i opublikować *Mapę chaosu*, ale nie tę, którą napisał mój mąż, tylko tę, którą sama pisałam: opowieść, którą rozpoczęłam jako prezent dla Bertiego, a która ze szczegółami

relacjonowała, jak H.G. Wells uratował świat, a przy okazji próbowała rozgrzeszyć go z faktu, że aby go uratować, musiał najpierw wystawić go na niebezpieczeństwo. Rozpoczęłam ją wyłącznie dla rozrywki w pierwszym świecie, do którego się przeniosłam; w tym, w którym miałam przyjemność pływać łódką z autorem *Alicji w Krainie Czarów*. Kiedy jednak Zły zabił Bertiego, a mnie zmusił do skoku w inną rzeczywistość, nie mogłam wziąć książki ze sobą, więc zaczęłam ją pisać od nowa, tym razem z zamiarem publikacji. Gdyby nasza historia ukazała się w księgarniach z gwiazdą chaosu na okładce, być może natknąłby się na nią jakiś egzekutor, który po przeczytaniu natychmiast zacząłby szukać autora. Wtedy mogłabym wreszcie wręczyć mu prawdziwą *Mapę chaosu*. Zdecydowałam się pisać w rodzaju męskim, bo w zacofanym społeczeństwie, w którym żyłam, książka podpisana przez kobietę - nawet wynalazczynię Mechanicznego Służącego - byłaby znacznie trudniejsza do opublikowania, a mnie zależało na tym, by ukazała się jak najszybciej i w jak największej liczbie krajów. Planowałam nawet podpisać ją nazwiskiem naukowca, który stworzył prototyp egzekutora: Miles Dyson. Był to pomysł równie naiwny jak ten z chodzeniem na seanse spirytystyczne w poszukiwaniu Bliźniaka Doskonałego, lecz żaden lepszy nie przyszedł mi do głowy. Niestety, zanim udało mi się doprowadzić któryś z planów do szczęśliwego finału, Zły znów mnie odnalazł. Wydarzyło się to dwunastego września 1888 w domu słynnej medium znanej jako Lady Amber. Nikczemny Rhys zmaterializował się tam i natychmiast mnie rozpoznał. Oczywiście zażądał ode mnie oddania *Mapy chaosu*, a potem próbował mnie udusić. Tylko dzięki interwencji dzielnego agenta Corneliusa Clayтона z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu zdołałam ująć z życiem z jego rąk, lecz Rhys nie pozostawił mi złudzeń. Skoro mnie znalazł, skoro spośród niezliczonych światów trafił właśnie do tego, w którym się ukryłam, nie ustąpi, póki nie odbierze mi tego, co uważa za swoją własność. Po powrocie do domu niemal całą noc zastanawiałam się, co dalej. Czy powinnam wtajemniczyć Wellsa z tego świata, czy też dać mu spokój? W końcu postanowiłam go wtajemniczyć i przed świtem zbudziłam biedną Doris, by ją wysłać z listkiem. Zdecydowałam się na Wellsa, ponieważ moja bliźniaczka liczyła w owym czasie zaledwie szesnaście

wiosen. I zapewniam pana, że te dwie linijki były najtrudniejszą rzeczą, jaką napisałam w życiu. Kilkakrotnie musiałam zaczynać od nowa, bo ze zdenerwowania nie znajdowałam słów, które przekonałyby dwudziestodwuletniego młodzieńca, by w nocy pognął do domu nieznamym staruszki w niecierpiącej zwłoki sprawie... Gdy w końcu napisałam liścik, wysłałam z nim moją wierną służkę na Fitzroy Road, gdzie Wells mieszkał z ciotką, i z niepokojem czekałam zamknięta na klucz w gabinecie, przyciskając do piersi ukochaną księgę, jedyne, co mi pozostało po Bertiem, choć wiedziałam, że nie istnieją drzwi ani ściany zdolne powstrzymać Złego...

- Znam jego moc - wtrącił egzekutor. - To potężny destruktor szóstego stopnia. Żaden z nas nie zdołał go upolować.

Jane ze smutkiem pokiwała głową.

- Wells tamtego świata nie zareagował na moją prośbę o pomoc - kontynuowała. - A Doris nigdy nie wróciła. Nie wiem, co się z nią stało ani czy liścik dotarł do adresata... Tak czy owak, Zły odnalazł mnie pierwszy. Na szczęście podczas drugiego ataku znów był przy mnie agent Clayton. Policjant o złamanym sercu zapukał o świecę do moich drzwi, prawdopodobnie chcąc zadać mi kilka pytań na temat tajemniczych wydarzeń, które rozegrały się poprzedniego wieczora w posiadłości Lady Amber... - Jane uśmiechnęła się tkliwie. - Gdy tylko otworzyłam drzwi i ujrzałam jego bladą, poważną twarz, przyszło mi na myśl, że ten ekstrawagancki młodzieniec może okazać się rozwiązaniem, na które czekałam, odkąd posłałam Doris z liścikiem. „Dlaczego nie?”, myślałam. Wiedziałam, że mogę mu ufać, bo dobrze go znałam. Cóż, może nie tyle jego, ile jednego z jego bliźniaków. Widziałam, jak walczył z Marsjanami, i wydał mi się honorowym i dzielnym młodym człowiekiem... - Brwi egzekutora niemal uniosły się ironicznie, lecz ostatecznie pozostały na swoim miejscu. - Byłam zdesperowana! - broniła się zaciekle staruszka. - I nie miałam przed drzwiami kolejki chętnych do ratowania świata. Ledwie jednak zaczęłam mu wyjaśniać sytuację, do domu wpadł Rhys. Zdażyłam podać agentowi *Mapę chaosu*, błagając, by jej bronił nawet za cenę życia. Clayton schował ją do kieszeni płaszcza, poprosił, bym się ukryła w gabinecie i wyszedł Złemu naprzeciw. Wkrótce usłyszałam hałasy na górze, wrzaski zwyrodnialca, potem

walenie w drzwi gabinetu, wreszcie strzał. I wówczas po raz drugi w życiu... przeskoczyłam. Ponieważ byłam zamknięta w swojej pracowni, mogłam ze sobą zabrać rękopis mojej *Mapy chaosu*. Jak pan jednak widzi, wydanie jej w tym zacofanym świecie okazało się niemożliwe. Nie wynaleziono jeszcze nawet druku i wygląda na to, że w ciągu najbliższych stuleci to się nie zmieni. Kontynuowałam pisanie wyłącznie po to, by się uchronić przed samobójstwem. Jak zapewne pan się domyśla, moje życie tutaj nie było usłane różami. Musiałam się imać ciężkich i tymczasowych prac, które jeszcze bardziej nadszarpnęły moje zdrowie. W tym świecie lamp olejnych i zabobonów wynalezienie Mechanicznego Służącego zostałoby uznane co najmniej za czary. I rzecz jasna, nikt tu nie urządzał seansów spirytystycznych. Kiedy więc dojrzałam w swojej książce do punktu, w którym musiałam ją zakończyć, jako że nie znałam finału przygody, którą Bertie i ja rozpoczęliśmy wraz z przejściem przez magiczny portal, postanowiłam spisać dwie opowieści o życiu naszych bliźniaków, które były ulubionymi historiami mojego męża. Zatytułowałam je *Mapa czasu* i *Mapa nieba*, i zapewniam pana, że ich tworzenie było prawdziwym balsamem dla...

- Więc nie ma pani książki - przerwał jej egzekutor.

Ciężar tych słów mógłby zmiażdżyć kowadło. Staruszka patrzyła na rozmówcę w milczeniu.

- Nie - odparła wreszcie, a po pergaminowym policzku spłynęła jej łza, podążając rynnami zmarszczek. - Przeskoczyłam do tego świata, pozostawiwszy ją w rękach nieznanego, któremu nie zdążyłam nawet wyjaśnić jej znaczenia ani tego, co należy z nią zrobić...

I zapewniam pana, że od tamtej pory nie przestaję się tym zadreć! Długo płakałam gorzko, a moje noce wypełniały koszmary, w których mąż czynił mi wymówki, że nie upilnowałam jego dzieła. Niech mi pan wierzy, nie było dnia, żebym nie rozważała możliwości skończenia ze sobą. Tysiące razy zadawałam sobie pytanie, czy warto to ciągnąć... Zawsze jednak odpowiedź była ta sama: do ostatniej sekundy przed nastaniem chaosu istnieje nadzieja, choćby i minimalna. Może pewnego dnia znajdzie mnie egzekutor, a ja mu powiem, gdzie ma szukać książki... A teraz proszę, siedzi pan w mojej kuchni i pije ze mną herbatę.

- Ale pani nie wie, gdzie jest księga.

- Ależ wiem - odparła staruszka. - Ma ją agent Cornelius Clayton z Wydziału...

- Nie. Ma ją jeden z jego niezliczonych bliźniaków - poprawił ją egzekutor. - A ja muszę wiedzieć który.

Jane patrzyła na niego błagalnie.

- Ale skąd ja mam to wiedzieć? Co wieczór przeglądam wieloświat poprzez umysły moich bliźniaczek w poszukiwaniu Clayтона, któremu przekazałam księgę. Na razie jednak bez skutku. Wiem jedynie, że młodzieniec ów miał metalową dłoń, złamane serce i...

Ręka zabójcy przeszła powietrze ruchem, który Jane zaledwie przeczuła: nie potrafiła określić, czy był zbyt szybki, czy zbyt wolny, by naprawdę go dostrzec.

- Zapewne wielu Claytonów ma te cechy - rzekł monotonicznie egzekutor. - Lecz tylko jeden ma księgę. Przyjmując, że dotrzymał słowa i nadal ją przechowuje.

- Musiał go dotrzymać! Już panu mówiłam, że to młodzieniec honorowy i...

- W takim razie, by go zlokalizować, potrzebuję współrzędnych jego świata. Tak w tym nieskończonym wieloświecie funkcjonuje mój detektor - wyjaśnił, wskazując laskę. - Wylicza współrzędne na podstawie śladu kronotemika. Choć mógłby także używać mapy matematycznej podobnej do tej, którą stworzył pani mąż. Potrzebuję jednak czegoś z tamtego świata. Być może wystarczy szczegół. Jakiś wyjątkowy drobiazg odróżniający ten świat od wszystkich innych. Jeśli kiedyś go odwiedziłem, jego współrzędne zostały zapisane w pamięci detektora.

- Wyjątkowy drobiazg z tamtego świata? - zastanowiła się staruszka. - Ja! Ja jestem wyjątkowa! - wykrzyknęła nagle z nadzieją. - W całym wieloświecie istnieje tylko jedna Jane Obserwatorka i ona tam była...

Egzekutor pokręcił głową.

- To na nic. Oboje wiemy, że nie spotkaliśmy się w tamtym świecie. A to musi być coś, co pomoże mi go zidentyfikować.

- Hm... - Jane przygryzła paznokieć. - Coś wyjątkowego... zaraz! Wynałazałam Mechanicznego Służącego! To wyjątkowy wynalazek, należący wyłącznie do tamtego świata. Być może go pan widział, wszedłszy do jakiegoś domu, by... czynić swą powinność. - Egzekutor znów pokręcił głową, a Jane westchnęła. - Dobrze. - Zamyśliła się. - A może... może zetknął się pan z takimi pysznymi ciasteczkami, ciasteczkami Kempa? Nigdy nie jadłam czegoś równie wybornego! Nie było ich w pierwszym świecie, do którego trafiłam wraz z mężem, i w tym też ich nie ma, więc... więc może istniały wyłącznie w tamtym. - Zatrzymała wzrok na twarzy egzekutora. - Czy to, co zobaczyłam, to sarkazm? Proszę wybaczyć... pan na co dzień nie jada, więc pewnie ten drobiazg nie ma dla pana znaczenia... Przykro mi, ale nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłoby być ograniczone do tamtego świata... Pałac Buckingham był w tym samym miejscu i wyglądał tak samo jak w innych światach, słońce wschodziło na wschodzie, Tamiza miała ten sam bieg, ogień parzył, gdy się go dotknęło, gama miała siedem dźwięków... Na brodę Keplera! - wykrzyknęła z rozpaczą staruszka. - Czy jeszcze pan nie zauważył, że znajdujemy się w przeklętym wieloświecie pełnym równoległych rzeczywistości? - natarła na egzekutora. - Wszystko ma gdzieś swoją kopię! Tylko pan i ja jesteśmy wyjątkowi. „Cała rzeczywistość powieliła samą siebie”, powiedział doktor Ramsey podczas przeklętego seansu, na którym dopadł mnie Zły...

Egzekutor podniósł się gwałtownie. Jego ogromna postać zarysowała się na tle ściany, na którą padał jeszcze większy cień.

- Doktor Ramsey?

- Tak. Chyba tak się nazywał.

- Wykładowca wydziału medycyny, chirurg, chemik i biolog, wysoki, z irytującym nawykiem wyłamywania sobie palców?

- Tak. Skąd pan wie, że...?

Egzekutorem wstrząsnęła seria gwałtownych drgawek. Staruszka wstała i cofnęła się o kilka kroków w obawie, że maszyna doznała



spięcia i lada chwila wybuchnie.

- D...dobrze się pan czuje? - zapytała słabym głosem.

- Odczuwam radość - odparł egzekutor, dochodząc do siebie. - Jane, doktor Ramsey jest równie wyjątkowy jak pani i ja. To naukowiec z Drugiej Strony, który prowadzi w tym wieloświecie badania terenowe.

Jane rozdziawiła usta.

- Macie tu naukowców? - wyjąkała. - Myśleliśmy, że przysłali tylko was, zabó... egzekutorów.

- Początkowo tak było. Kiedy naukowcy otworzyli tunel czasoprzestrzenny, najpierw przerzucili nim nas. Wtedy jeszcze nie byliśmy zabójcami, tylko badaczami. Poznawaliśmy naturę tego świata, instalowaliśmy anteny komunikacyjne, fotografowaliśmy, zbieraliśmy próbki, projektowaliśmy laski... a wszystko po to, żeby nasi naukowcy mogli badać ten wszechświat z Drugiej Strony, wygodnie i bez zagrożenia. Dopiero kiedy odkryli epidemię, przeprogramowali nas tak, żebyśmy się stali... bezlitosnymi zabójcami. Jeszcze później, gdy stwierdzili, że badania prowadzone z oddali nie dają zadowalających wyników, postanowili przysłać do tego wieloświata kilku ludzi, żeby przeprowadzili obserwacje terenowe. Była to trudna, ale konieczna decyzja. Po Drugiej Stronie ludzkie ciała od wieków modyfikowano genetycznie, by przeżyły w skrajnie niskich temperaturach, więc musiano wprowadzić do organizmów wysłanników poprawki, które pozwoliły im nie roztopić się w tym ciepłym świecie. Wszczepiono im mechanizmy chłodzenia i neuronowe obwody elektryczne hamujące lęk przed przypadkowością zdarzeń. Wybrano najjaśniejsze umysły i najsilniejsze ciała, po czym rozesłano je do różnych światów. Na próżno. Pochodzili ze zbyt odległej przyszłości, by mieć bliźniaków w tym wieloświecie. Dlatego nigdy nie rozwinął się w nich niezwykły dar, który posiadaliście wy dwoje i dzięki któremu odkryliście pierwsze zakażenie wirusem. Tylko wy mogliście wszystko zobaczyć i poznać.

- Ale ich nie zobaczyliśmy!

- Proszę się nie złościć, Jane. To logiczne. W tym nieskończonym wieloświecie naukowców jest bardzo niewielu, a ich praca ściśle tajna. Bardzo się starają, by nikt ich nie zdemaskował. Nie brudzą sobie rąk: pozostawiają to nam.

Jane wodziła rozbieganym wzrokiem po całej kuchni, przeczesując palcami włosy. Potem z całej siły uderzyła w stół.

- Chce mi pan powiedzieć, że podczas tamtego seansu siedziałam obok naukowca z Drugiej Strony, któremu mogłam przekazać *Mapę chaosu*? Że mogłam zakończyć ten koszmar w tamtej chwili, zapobiegając tylu cierpieniom i śmierciom?

- Tak.

Jane otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz zamiast tego opadła ciężko na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się.

Egzekutor postąpił ku niej.

- Jane.

Pokręciła lekko głową wśród szlochów.

- Jane.

- Co, do diabła? - fuknęła, podnosząc głowę.

Gwiazda z ośmioma strzałami na lasce egzekutora zaczęła emitować ostre niebieskawe światło, które zalało całą kuchnię. Jane rozejrzała się oczarowana, mając wrażenie, że znaleźli się na dnie oceanu, z którego usunięto wszystkie ryby.

- Mój detektor jest połączony z umysłami wszystkich naukowców z Drugiej Strony, którzy znajdują się w tym wieloświecie - poinformował ją swoim beznamytnym, metalicznym głosem zabójca. - Może ich zlokalizować i przenieść mnie tam, gdzie się znajdują. To część mojej pracy. Na ogół nie lubią się z nami zadawać. Gardzą nami. Tylko czasem któryś chce się przemieścić między światami, by kontynuować badania. Sam Ramsey jednak nigdy nie opuścił pierwszego świata, do którego przybył.

Jane wpatrywała się w niego, póki na jej umysł nie spłynęła Wiedza Najwyższa. Wtedy staruszka uśmiechnęła się resztką sił.

Powietrze wokół egzekutora odwzajemniło uśmiech.

## XXXI

**I** w ten sposób, panie i panowie, zdanie po zdaniu dotarliśmy do spędzającego sen z powiek dnia chaosu! Dnia śmierci świata, który znacie, i wszystkich, które moglibyście sobie wyobrazić! Tylko jak wam opisać ten szczególny dzień, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że większość zdarzeń, które mam do opowiedzenia, będzie się działa jednocześnie? Czyż istnieje porządek, w którym można by opowiedzieć chaos? Prawdopodobnie nie, lecz mimo swych ograniczonych talentów narracyjnych spróbuję to uczynić. Pozwólcie mi przejść przez ukryty właz w podłodze kuchni pani Lansbury i wrócić do bardziej znajomej scenerii: do świata, w którym zmarł właśnie pan Baskerville. Zjawiam się tam dokładnie 23 września, kilka dni po pożarze, który strawił Brooke Manor. W świecie tym wieje lekki wiaterek zwiastujący nadejście jesieni, a zmęczoną ciemność zaczyna nadgryzać nieśmiały świt.

Gdy rozświetla się nasza nowa scena, zastanawiam się, od którego z licznych aktorów rozpocznę tę opowieść. Na razie zresztą nie mam wielkiego pola manewru, bo wstało ich dopiero trzech. Wells w swojej kuchni nastawia w czajniku wodę na herbatę. Kilka sekund później w swoim domu agent specjalny Cornelius Clayton biegnie korytarzem, by zdjąć czajnik z ognia. Po upływie kolejnej minuty gwizd czajnika rozlega się w domu kapitana Sinclaira, a nasza poczciwa Marcia wierci się w łóżku. Od którego z tych herbacianych rannych ptaszków powinienem rozpocząć opowieść?

Wybieram Wellsa - bez szczególnego powodu z wyjątkiem afektu, którym go darzę po tak długim okresie relacjonowania jego przygód. Jak już wspomniałem, choć widać dopiero pierwsze forpoczy świtu, nasz pisarz znajduje się w kuchni. Obudził go głośny trzask

dobiegający z niezidentyfikowanej części domu. „Przeklęte okno na strychu” - mruknął, gdy otrząsnął się z początkowego szoku, i wstał półprzytomny, by je zamknąć, nim kaskada uderzeń zbudzi jego małżonkę. Było stanowczo za wcześnie, żeby miała mu teraz zacząć suszyć głowę o to, że z uporem godnym lepszej sprawy lekce sobie waży obowiązki domowe. Gdy jednak wszedł na strych, zastał okno zamknięte. Przez długą chwilę wpatrywał się w nie z niemądrym wyrazem twarzy, po czym, jakby te dwie rzeczy były ze sobą powiązane, zszedł do kuchni i nastawił czajnik.

Następnie skierował kroki do salonu i stojąc w drzwiach, dokładnie go zlustrował. Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Nie mając pojęcia, co o tym sądzić, Wells podszedł do wielkiego okna wychodzącego na ogród, który nieśmiało zaczynał się wyłaniać z mroku. Może po prostu się przesłyszał? Ostatnio był wyjątkowo nerwowy i nie bez kozery, biorąc pod uwagę fakt, że przed kilkoma dniami cały jego świat stanął na głowie: spotkał swojego zdumiewająco leciwego bliźniaka z innej rzeczywistości, który na jego oczach zginął z rąk Niewidzialnego Człowieka. Takie zdarzenia zmuszały go do wiary w rzeczy, na których przyjęcie w tak krótkim czasie jego mózg nie był przygotowany.

Jego rozmyślania przerwał gwizd. Wells pobiegł, by zdjąć czajnik z ognia, żałując, że w ogóle go nastawił, i modląc się, żeby i tym razem hałas nie zbudził jego żony. Co w ogóle go naszło, by o tej porze robić sobie herbatę?... Nagle zauważył na stoliku trzy filiżanki, których z pewnością tam nie postawił. Przyglądał im się w osłupieniu, zastanawiając się, czy z jakiegoś irracjonalnego powodu Jane zrobiła to przed pójściem spać. Gotów był jednak przysiąc, że kiedy wszedł do kuchni, by wstawić wodę, nie było ich na stole. Poza tym - dlaczego trzy?

W tym momencie szuflada kredensu otworzyła się powoli i wyfrunęły z niej trzy łyżeczki, które następnie popłynęły ku stołowi i wdzięcznie wylądowały obok filiżanek.

- Bertie? - dobiegł z góry kobiecy głos.

- Jane, nie przy...

Nim zdążył dokończyć, ze zlewu uniósł się nóż i pofrunął ku jego gardłu, wykreślając w powietrzu łuk identyczny z tym, jaki wykreślałby płynący pod prąd łosoś. Tym razem Wells nawet się nie zdziwił. Clayton już dawno go ostrzegł, że prędzej czy później wszyscy będą musieli na nowo podjąć walkę z Niewidzialnym Człowiekiem.

- Chyba pozwolimy twojej uroczej żoneczce zjeść z nami śniadanie, co, George? - odezwał się głos, który od wielu dni straszył go w snach.  
- Jak myślisz, dlaczego postawiłem trzy filizanki?

Z nożem przy gardle, wbity plecami w blat, Wells mógł tylko bezradnie wsłuchiwać się w kroki schodzącej na parter żony. Po chwili Jane weszła do kuchni rozspana, w koszuli nocnej, z włosami opadającymi na twarz.

- Co tu robisz, mój drogi? Dlaczego nie wracasz do łóżka? - zapytała, nim zdążyła zauważyć dziwną posturę męża, jego bladość i przystawiony do szyi nóż, który zdawał się zawieszony w powietrzu.  
- Och, Bertie... - wyjąkała. - On tu jest...

- Dzień dobry, pani Wells - odezwał się nóż, odrywając się od szyi jej męża i płynąc ku niej. - To wielka radość móc panią znowu widzieć.

Jane przełknęła ślinę, nie odrywając wzroku od meandrującego ostrza.

- I w dodatku była pani uprzejma przybyć bez szpilek do włosów. Nie ma pani pojęcia, jak mnie to cieszy. - Jedno z krzeseł odsunęło się od stołu. - Proszę usiąść, pani Wells.

Usiadła. Mąż przyglądał się, jak niewidzialna dłoń odsuwa jej włosy na kark, odsłaniając śliczną szyję, by następnie przystawić do niej ostrze. Kobieta zadrżała, gdy metal dotknął jej skóry.

- Nie rób jej krzywdy, przeklęty su... - wykrzyknął Wells, gotów ruszyć żonę z odsieczą.

- Cisza! - rozkazał głos. - Nie zmuszaj mnie, żebym znów was zabił, George. Zrobiłem to już zbyt wiele razy i szczerze mówiąc, zaczyna mnie to potwornie nudzić.

Wells ze zgrozą obserwował Jane, wiedząc, że jej zaciśnięte zęby i zacięta mina są w rzeczywistości rozpaczliwą próbą powstrzymania paniki. Próbował mówić spokojnie, lecz głos, który wydobył się z jego gardła, bardziej przypominał żalosne skomlenie:

- Błagam cię... uwierz, popełniasz ogromny błąd. Nie mamy tego, czego szukasz.

- Ogromny błąd? - Śmiech rozpląnął się w powietrzu niczym lepki atrament, tworząc ciemne smużki. - Nie, George. Wiem, że ukryłeś gdzieś *Mapę chaosu*. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że staruszka ci ją przekazała. Jeden z H.G. Wellsów napisał tę książkę, a kiedy go zabiłem, jego żona porwała mi ją sprzed nosa i oddała innemu H.G. Wellsowi, muszę przyznać, że po mistrzowsku zamykając klamrę.

- Co? - Oszołomiony Wells zamrugał.

- Nie zmuszaj mnie, bym stracił cierpliwość, George - skarcił go głos. - Ostrzegam, że nie zostało mi jej wiele.

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz! - zawył czerwony z wściekłości Wells.

- Kłamiesz - szepnął Zły. - I nie masz pojęcia, jak nad tym ubolewam.

Czubek noża ukłuł skórę Jane. Kobieta jęknęła, a na jej szyi pojawiła się lśniąca kropelka krwi i zaczęła spływać zygzakiem niczym strumyk po górskim zboczu.

- Przestań, przestań... - błagał Wells. - Przysięgam ci, że nie mam tej przeklętej książki.

- Czyżby? - Czubek noża popelzł wzdłuż szyi i policzka kobiety, niebezpiecznie zbliżając się do prawego oka. - Doskonale. Od dawna czekałem na tę chwilę. Chcę, by twoja żona się dowiedziała, co czuje ktoś, komu wydłubują oko.

- Niiieee! - zawył Wells. - Dobrze, wygrałeś. Powiem ci, gdzie ona jest.

- Nie, Bertie! - wyjąkała ledwo dosłyszalnym głosem Jane. - I tak nas zabije.

- Jesteś równie mądra jak piękna, kochanie - zasyczał jej do ucha Niewidzialny Człowiek. - Może istotnie was zabije. Weź jednak pod uwagę, Jane, że są różne sposoby zabijania...

Wells zrobił krok w przód, unosząc ręce w geście poddania.

- Jest w Krypcie Osobliwości!

Nóż się zatrzymał.

- W jakiej cholernej krypcie? - zdziwił się burkliwie głos.

- Zaprowadzę cię tam - odparł Wells - jeśli najpierw mi wyjaśnisz, kim jesteś i dlaczego ta księga ma taką wartość.

Powietrze za plecami Jane zawahało się na kilka sekund.

- Starucha ci tego nie powiedziała, gdy ci ją dawała? - zapytał podejrzliwie Zły. - Trudno mi w to uwierzyć, George...

Wells posłał pustce potwornie znużone spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

- Nie dała mi jej żadna starucha. Niby dlaczego miałbym cię okłamywać? Po prostu wiem, gdzie jest księga. Wiem tylko tyle i nic więcej, z wyjątkiem tego, że zabijesz nas, gdy już zdobędziesz swój skarb. Nie zamierzam cię prosić, żebyś darował nam życie. Zamiast tego mam dwie prośby: żebyś nie kazał nam cierpieć i żebyś pozwolił nam się dowiedzieć, dlaczego umieramy.

Nóż zawisł w powietrzu, jakby się wahał.

- Dobrze, George - mruknął z zadowoleniem głos. - Ale jeśli próbujesz zyskać na czasie, ostrzegam, że nic ci to nie da. Mam do dyspozycji cały czas wszystkich światów! - Nóż gwałtownie oderwał się od twarzy Jane i przeszył powietrze, jakby niewidzialny osobnik rozwarł ramiona w teatralnym geście. - Chcesz wiedzieć, kim jestem? - zakrzyknął tubalnie. - Naprawdę chcesz? Jestem najpotężniejszym dziełem Stwórcy! Epilogiem ludzkości! Kiedy istnienie wszechświata dobiegnie kresu, pozostaną tylko ja i będę rządził, krocząc po waszych przeklętych mogiłach! Jestem Marcus Rhys, Bóg Chaosu!



I rozpoczął swoją opowieść.

## XXXII

Ponieważ, miły Czytelniku, w odróżnieniu od Wellsa znasz już historię Marcusa, wykorzystam ten moment na pokręcenie się trochę po szachownicy w poszukiwaniu innych elementów tej partii. Może przesuniemy zegar o godzinę do przodu i zajrzemy do Doyle'a, który właśnie wysiadł z powozu przed posiadłością Murraya? Mimo wczesnej pory Szkot jak zawsze kipi energią niczym kawa, która za chwilę przeleje się w filizance.

Wziąwszy parę dynamicznych oddechów, by rześkie poranne powietrze oczyściło mu płuca, Doyle przeszedł przez fantazyjną bramę. Przybył do domu milionera, by się dowiedzieć, dlaczego ten nie zjawiał się na spotkaniu z agentem Claytonem ani nie odbiera telefonu. I poznał przyczynę, zrobiwszy zaledwie kilka kroków w głąb alejki. Zatrzymał się skonsternowany i patrzył na wiodącą ku domowi drogę, nie wierząc własnym oczom. A jednak: na gałęziach otaczających ścieżkę drzew wisiały setki luster najrozmaitszych rozmiarów i kształtów, kołysały się na wietrze niczym nowy gatunek owoców i rozszerzały granice odzwierciedlanego świata poprzez tworzenie niesamowitych perspektyw. Przez kilka minut Doyle potrafił jedynie kręcić głową, oczarowany spektaklem; potem westchnął i ruszył dalej. A więc to w ten sposób Murray pragnął się spotkać z Emmą żyjącą w lustrze. Jasne było, że odkąd wrócili z Brook Manor, milioner nie robił nic z wyjątkiem biegania po londyńskich sklepach z meblami oraz antykami i gromadzenia tej różnorodnej kolekcji, a także zmuszania pozostałych mieszkańców metropolii do golenia się i malowania na oślep. Ale to nie wszystko. Kazał też swojej armii sług pilnować luster, wynioskował Doyle na widok pokojówek, stajennych i pozostałego personelu służebnego,

siedzącego z dzwoneczkami w dłoniach na krzesłach przed przydzielonymi drzewami. Prawdopodobnie dostali rozkaz, by zadzwonić, jeśli Emma Harlow, zmarła tragicznie narzeczona ich pana, pojawi się w którymś ze zwierciadeł, łamiąc prawa fizyki. Nie dziwiło zatem, że miny służących oscylują między konfuzją, znudzeniem, wreszcie zabobonnym lękiem. Nie wiedząc, czy to szaleństwo powinno go zachwycać, czy niepokoić, Szkot podążał ścieżką w kierunku domu, a jego korpus odbijał się w lustrach pod wszystkimi możliwymi kątami.

Dotarłszy do budynku, odkrył, że jego fasadę również pokrywają lustra, odbijające poranne słońce niczym łuski gigantycznego smoka. Jako że drzwi stały otworem, nie zadał sobie trudu pukania. Hol i obszerny salon, przez który przeszedł, wołając Murraya swoim tubalnym głosem, także obwieszono zwierciadłami. W jednym z zakątków natknął się na Buzza, psa milionera, siedzącego spokojnie przed olbrzymim lustrem opartym o ścianę, jakby i on wierzył, że prędzej czy później pojawi się tam jego pani. Doyle prychnął. To był istny obłęd! Zrezygnowany pogłaskał psa po łbie.

- Pan Doyle! - usłyszał zza pleców okrzyk. - Nie spodziewaliśmy się pana!

Odwrócił się i stanął oko w oko z kamerdynerem Murraya, Elmerem.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się nikogo - dodał młodzieniec, wzruszając ramionami, jakby przeproszał, że nie udało mu się zapobiec przeobrażeniu domu w jarmarczną budę.

Elmer przywykł do ekscentrycznych pomysłów swego pana, ale tym razem wydawał się wyraźnie przytłoczony.

- Tak myślałem - połączył się z nim w bólu Doyle. - Gdzie on jest?

- W ogrodzie przy cieplarni, sir.

Doyle opuścił salon niemal marszowym krokiem, zdecydowany położyć kres szaleństwu. Ogrody po prawej stronie domu również nie uniknęły inwazji rozsianych w najróżniejszych miejscach luster. Oparte o miniaturowe fontanny, przywiązane do żywopłotów czy wręcz pływające w oczkach wodnych, odzwierciedlały świat,

powiększając go i zakrzywiając. Liście z wolna przybierały czerwoną jesienną barwę, która zwielokrotniona przez rtęć stwarzała wrażenie, że jakiś opętaniec podpalił ogród. Doyle potrząsnął głową i ruszył ku imponującemu szklanemu mauzoleum w kształcie Tadź Mahal. Przed nim zauważył Murraya bez marynarki, zajętego budową czegoś w rodzaju Stonehenge z luster wokół fotela, z którego mógł obserwować niemal dwadzieścia odbić, kręcąc jedynie szyją. W tym konkretnym momencie próbował ułożyć jedno z luster na trawie, podpierając je kamieniami.

- Witaj, Gilliamie - pozdrowił go Doyle.

Murray podniósł głowę i omiół go roztargnionym spojrzeniem.

- A kogóż my tu mamy? - mruknął. - Gdzie się podział twój stary zwyczaj zapowiadania wizyt?

- Zapowiedziałem się telepatycznie, nie słyszałeś? - zażartował Doyle.

Murray uśmiechnął się niemrawo.

- Nie. Najwyraźniej mój umysł wychwytuje sygnały jedynie podczas pożarów. Tak czy inaczej, Arthurze, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś chyba jedyną prócz mnie osobą w Anglii posiadającą własny telefon, powinieneś go częściej używać. To mniej skomplikowane, niż się wydaje.

- Gilliamie, dzwoniłem wiele razy! Najwyraźniej jednak twoja służba jest zbyt zajęta, by odebrać.

Murray wzruszył ramionami, jakby działania służby nie miały z nim nic wspólnego. Sprawdził, czy lustro dobrze stoi, wstał i omiół Szkota wzrokiem od stóp do głów.

- Widywałem cię w lepszym stanie - stwierdził na widok obandażowanych ucha i dłoni oraz drobnych poparzeń na twarzy. - Choć taki wojak jak ty musi być dumny ze swoich blizn. A jak się czuje Wielki Ankoma?

- Och, Woodie ocknął się z szoku, ale jest nieznośny: po tym, co się wydarzyło w Brook Manor, zaczął się uważać za prawdziwe medium i całymi dniami chodzi po domu, wylapując tajemnicze byty.

- Więc czemu nie powiesz mu prawdy? - zapytał bez większego zaciekawienia Murray.

- Powiem, gdy przestanie mnie to bawić - odparł Doyle, po czym i on zlustrował rozmówcę wzrokiem. - Ty też miałeś lepsze momenty. Kiedy ostatnio spałeś?

- Spałem? Nie mam czasu na sen, Arthurze! Przecież widzisz, jaki jestem zajęty.

- Widzę, widzę - westchnął Doyle, przyglądając się kręgowi luster. - Po co to wszystko?

Murray rzucił mu oburzone spojrzenie.

- Jak to po co? Żeby się z nią spotkać. Chcę się spotkać z Emmą.

- Rozumiem. Ale, Gilliamie... - Murray odwrócił się gwałtownie i ruszył ku znajdującej się niedaleko budowli sterty luster poustawianych jedno na drugich lub poopieranych o siebie. Doyle nie miał innego wyjścia, jak tylko ruszyć za nim. - Nie wydaje ci się, że to trochę mało naukowe?

- Przyszedłeś tu, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, skąd - odparł pojednawczo Doyle. - Przyszedłem cię zawiadomić o spotkaniu, które George i ja odbyliśmy z agentem Claytonem po powrocie z wrzosowiska. Spotkaniu, na którym, jak zapewne zauważyłeś, cię nie było.

- Agent Clayton? Ach tak, teraz sobie przypominam. - Murray przyjrzał się stercie luster, po czym podniósł jedno, oprawione w ramę wyglądającą na szczerozłotą. - Ciężka sztuka - mruknął, nie wiadomo, czy odnosząc się do agenta, czy do lustra.

Doyle zdecydował się utrzymać na razie przyjazny ton, choć przyszło mu to z wielkim trudem.

- Cóż, nie przeczę, że Clayton bywa nieco... arogancki. I rozumiem, że nie chciałeś go widzieć. Wells mi opowiedział, jaki był zawzięty, gdy przeprowadzał śledztwo w sprawie twojego biura podróży w czasie, a jego wręcz oskarżył o dyrygowanie marsjańską inwazją. Ale Baskerville przed śmiercią powiedział nam wyraźnie: znajdźcie

agenta Claytona, on ma *Mapę chaosu*. Poza tym do kogo innego mielibyśmy się udać z wieścią o istnieniu niewidzialnego mordercy, podróżnika po wszystkich wszechświatach i lustrze będącego portalem między światami? Nie było innego wyjścia, Gilliamie. Mimo wszystko powinienś być pójsć z nami, bo spotkanie okazało się niezwykle ciekawe - dodał tajemniczo Szkot.

Murray ruchem głowy nakazał mu chwycić lustro z drugiego końca i pomóc mu je nieść. Doyle zacisnął zęby i posłuchał.

- Gdy już opisaliśmy mu wszystko, co się wydarzyło w Brook Manor - wydyszał, małymi kroczkami niosąc lustro w kierunku kręgu - Clayton przyznał, że istotnie jest w posiadaniu *Mapy chaosu* i że spotkał niewidzialnego podczas fałszywego seansu spirytystycznego w roku 1888.

- Naprawdę? - zapytał Murray, wskazując brodą miejsce, w którym mieli postawić lustro.

Oparłszy je na ziemi, wciąż zdyszany Doyle wyjaśnił, że Niewidzialny Człowiek próbował ukraść księgę obecnej na seansie staruszce, lecz Clayton zdołał temu zapobiec. Nie udało mu się natomiast pochwycić złoczyńcy, bo ten zniknął bez śladu, tak jak w Brook Manor, gdy został trafiony bełtem. Staruszka też znikła w niewytłumaczalny sposób. Na szczęście przedtem zdążyła przekazać księgę Claytonowi, mówiąc jedynie, że zawiera ona klucz do uratowania tego i wszystkich innych wyobraźalnych światów, i zaklinając, by jej bronił nawet za cenę życia, bo niewidzialny z pewnością po nią wróci.

- Rozumiesz mnie, Gilliam? Przez cały ten czas książka była w rękach agenta Claytona, ale ten potwór z jakiegoś powodu sądzi, że ma ją Wells...

- Tak - odparł Murray z ożywieniem, które dodało Doyle'owi wiary.

- Świetnie! Jeśli zatem księga zawiera klucz do uratowania wszystkich światów, a ta kreatura znajdzie ją albo Wellsa...

- Tak - powtórzył Murray, kierując wzrok ku lustrzanemu kręgowi.  
- W tym świecie nie pozostał chyba żaden zakątek, którego nie widać w lustrze, a to ważne, bo ona może być wszędzie...

- Nie słuchasz mnie, do diaska! - wrzasnął Doyle. - Usiłuję ci powiedzieć, że nie tylko twój drogi przyjaciel George jest w wielkim niebezpieczeństwie, ale być może cały wszechświat!

Murray spojrział na niego beznamiętnie.

- Chodźmy do cieplarni - odparł po paru sekundach i ruszył przodem.

Doyle znów nie miał innego wyjścia, jak tylko posłuchać. Po wejściu do budowli ze zdumieniem skonstatował, że jest pusta.

- Emma spędzała tu mnóstwo czasu, pielęgnując kwiaty - wyjaśnił milioner. - Kazałem więc wszystko stąd wynieść i nanieść luster. Dziś po południu przyjdzie następna partia, zamówiona przez Elmera w Bristolu.

- Świetnie - podsumował Doyle zdawkowo. - Posłuchaj, Murray, rozumiem twoją obse... to znaczy twoje pragnienie spotkania się z Emmą, ale to, co próbuję ci powiedzieć, też powinno cię zainteresować. Jeśli zgodnie z przepowiednią staruszki sprzed dwunastu lat nadchodzi koniec świata, raczej nie zdążysz spotkać Emmy, prawda? Trzeba jak najszybciej rozplątać ten galimatias, bo nie wiemy, ile zostało nam czasu. Więc słuchaj uważnie: myślę, że klucz do tej historii kryje się w historii, którą opowiedział Claytonowi Baskerville...

- Baskerville? - zdziwił się Murray.

- Owszem, Baskerville - odparł Doyle, starając się nie stracić cierpliwości. - Okazuje się, że sześć albo siedem miesięcy temu twój stangret odwiedził agenta. Podobno w innym świecie znalazł jego bliźniaka, u boku którego walczył z... marsjańską inwazją. Kiedy więc myśliwi zaczęli go ścigać, postanowił się udać do Clayтона z tego świata w nadziei, że ten mu pomoże, tak jak to uczynił jego bliźniak. Długo opierał się temu pomysłowi. Dwa lata udawało mu się uciekać przed łowcami, a w ostatnich miesiącach myślał nawet, że na dobre ich zgubił. Wtedy jednak zobaczył strażnika z wrzosowiska i zrozumiał, że znów go znaleźli. Zbyt wycieńczony, by kontynuować samotną ucieczkę, postanowił się zwrócić do Clayтона - błagał go, by mu uwierzył, a przede wszystkim zaklinał, by znalazł jakieś wyjście...

Na s z Clayton uwierzył, ale nie miał nawet pojęcia o istnieniu zabójców. Gdy jednak woźnica opisał mu symbol, który noszą na laskach, rozpoznał go. Była to ta sama gwiazda, która zdobiła okładkę *Mapy chaosu!* Agent pokazał Baskerville'owi książkę w nadziei, że ten będzie coś wiedział na temat jej zawartości, ale tak nie było... Oczywiście wszak jest, że to wszystko się łączy: łowcy, księga, Niewidzialny Człowiek i podróże między światami... Musimy jedynie poznać ten związek!

Murray skinął głową, rozglądając się wokół w zamyśleniu.

- Jak myślisz, Arthurze, ile luster się tu zmieści?

Doyle nie wytrzymał.

- Gilliamie, do cholery! - wybuchnął. - Naprawdę cię nie obchodzi, co się stanie z George'em i Jane? Na litość boską, to twoi przyjaciele! A świat? Koniec świata też cię nie obchodzi?

Murray spojrział na niego wzrokiem męczennika.

- A cóż dla świata mógłbym zrobić ja, jeśli nie potrafią tego zrobić najjaśniejsze umysły? - zapytał ironicznie. - Arthur Conan Doyle, agent Clayton, H.G. Wells i jego inteligentna żona... Skoro wszyscy pracujecie nad tą sprawą, wszechświat jest w dobrych rękach, a ja mogę spać spokojnie. Nikt natomiast nie szuka Emmy. Nikt!!! - ryknął nagle, wymierzając w Szkota oskarżycielski palec. Doyle przyglądał mu się w oszołomieniu. - A przecież obiecałeś, że mi pomożesz! W Brooke Manor, przed walką z tym niewidzialnym draniem, obiecałeś, że jeśli ujdziemy z życiem, poświęcisz resztę swoich dni na rozwikłanie tej tajemnicy! Powiedziałeś, że jeśli istnieje droga prowadząca do Emmy, znajdziesz ją! A ja ci uwierzyłem. Uwierzyłem w twoją przeklętą gadkę błędnego rycerza!

Zdegustowany Doyle czekał, aż Murray się uspokoi.

- Dotrzymuję obietnicy, Gilliamie. Jak myślisz, co teraz robię? A może wierzysz, że ta twoja zwariowana metoda coś da?! - wykrzyknął z irytacją, wskazując lustro. - Osobiście jestem przekonany, że jedynie zrozumiawszy, co naprawdę się dzieje, znajdziemy drogę do twojej ukochanej. Już raz ci to mówiłem. Wszystko się łączy. Wszystko. Jeśli rozwiążę sprawę tajemniczej



księgi, nie tylko uratuję Wellsa i cały wszechświat, ale być może także rozpracuję całą jego konfigurację... Wyobrażasz sobie? Wcześniej rozważałem pomysł napisania książki o spirytyzmie, ale czymże on jest w porównaniu z teorią wyjaśniającą wszystko, czym jesteśmy i co nas otacza? Nazwę ją Teorią Wielu Światów. A kiedy rzeczywistość przestanie mieć przede mną tajemnice, poznam sekret podróży między światami i zgodnie z obietnicą będę mógł ci wskazać drogę do Emmy z lustra.

Murray spoglądał na przyjaciela z pewną nieufnością, niegotów jeszcze na okazanie entuzjazmu. Wciąż czuł urazę, lecz musiał przyznać, że Doyle ma trochę racji.

- A w czym konkretnie mogę wam pomóc? - zapytał od niechcienia.

- Och, w wielu sprawach. W dogodnym momencie objaśnię ci cały plan... na razie jednak chciałbym, żebyś opowiedział mi wszystko, czego się dowiedziałeś o czwartym wymiarze, gdy przemierzałeś go na pokładzie Cronoilusa, jako że staje się coraz bardziej jasne, iż ta różowa równina jest korytarzem łączącym poszczególne światy. I jestem pewien, że kryje wiele odpowiedzi, w tym, być może, także tę na pytanie, jak dotrzeć do Emmy.

Murray zrobił wielkie oczy, po czym uśmiechnął się z goryczą.

- I to jest twój pomysł na znalezienie Emmy? - zapytał z widocznym rozczarowaniem. - Obawiam się zatem, że nigdy jej nie znajdziemy.

- Jak to? - zdziwił się Doyle. - Jestem przekonany, że na tej równinie znajdują się prowadzące do niej drzwi, z pewnością bardzo podobne do otworu, przez który w swoim mniemaniu przenosiłeś się do roku dwutysięcznego, i znacznie łatwiejsze do przekroczenia niż lustro.

Murray westchnął.

- Chcesz poznać całą prawdę o czwartym wymiarze?

- Pewnie! - odparł entuzjastycznie Doyle.

- Cóż - westchnął milioner. - Przypuszczam, że prawda zaskoczy cię bardziej, niż sądzisz.

Ale, ale - Murray i Doyle sobie gawędzą, nieświadomi tego, co się dzieje wokół nich, ja jednak, choćbym nie chciał, widzę wszystko, i właśnie zauważyłem, że setki lusterek rozsianych przez milionera po całej posiadłości przestały odbijać to, co mają przed sobą. Zamiast oglądać w rtęci swoje znudzone oblicza, pokojówki i stajenni widzieli teraz inne światy, których sami z pewnością nigdy by nie wymyślili. Jedno z lusterek ukazywało dolinę wyściełaną jedwabistą trawą, po której galopowało stado centaurów; inne - zielonkawy ocean, po którym płynął olbrzymi płaz, a z jego grzbietu wyrastało miasto o szklanych iglicach; jeszcze inne odsłaniało szare pustkowie smagane ulewnym deszczem, rozświetlane oślepiającymi błyskawicami i wstrząsane ogłuszającymi grzmotami, na którym próbowały przetrwać wielkie metaliczne chrząszcze; kolejne ujawniało świat grzybów wielkich niby drzewa, na których ucinają sobie pogawędki gąsienice w surdutach i cylindrach; w innym widać było stado zamków dryfujących po niebie pośród fioletowych chmur, z wodospadami spływającymi po ścianach niczym falbanki z piany; w jeszcze innym - kopułę katedry Świętego Pawła, nad którą krążył majestatyczny pterodaktyl.

Oczywiście żadne z patrzących o tym nie wiedziało, lecz obrazy te odzwierciedlały nieskończone sceny teatru, które zawaliwszy się i spadłszy na siebie, tasowały rzeczywistości jak karty.

Panie i panowie, rozpoczął się koniec świata.

Zamiast trąb, obwieszczała go jednak historyczna kakofonia dziesiątek dzwoneczków.

## XXXIII

Kwadrans wcześniej doktor Ramsey wstał z łóżka, nieświadom, że oto nastał ostatni dzień wszechświata. Lubił rozpoczynać swoje dni od małego rytuału czystości, obejmującego między innymi niebezpieczne golenie się prymitywną brzytwą z tego świata. W przeciwieństwie do swoich kolegów, którzy w asortyment mikroskopów i innych przyrządów przywiezionych z Drugiej Strony włączyli elektryczne golarki, Ramsey czuł romantyczny sentyment do tego antyku. Uważał, że powolny i miarowy rytm, jakiego wymaga takie golenie, pomaga mu przywyknąć do leniwego biegu tego świata bardziej niż cokolwiek innego. Ledwie ukończył ów rzemieślniczy majstersztyk, nie poderżnąwszy sobie gardła, lustro w łazience zaczęło pokazywać skomplikowany labirynt, pośrodku którego stał znudzony Minotaur. Z właściwą sobie punktualnością służąca przyniosła Ramseyowi jego osobliwe śniadanie: filizankę kawy z mnóstwem kostek lodu, mieszankę owoców na grubej warstwie pokruszonego lodu i lody w różnych smakach. Rzuciwszy ponure spojrzenie na okno, za którym wstawał słoneczny jesienny dzionek, naukowiec zasiadł przy stole, wzdychając lekko i wyłamując palce dłoni, po czym otworzył gazetę, popił lodowatej kawy i zaczął czytać nagłówki z tego nijakiego dnia, jakim zdawał mu się dwudziesty trzeci września 1900 roku, nie podejrzewając nawet, jak już wspomniałem, że przynajmniej w świecie, w którym aktualnie przebywa, nastał właśnie budzący grozę dzień chaosu.

Znudzonymi ruchami przewracał stronicę dziennika, nie znajdując nic, co zwróciłoby jego uwagę. Większość artykułów wciąż rozwodziła się nad huraganem, który ósmego września nawiedził i zrównał z ziemią miasto Galveston w Teksasie, zabijając około ośmiu tysięcy

osób. Ramsey z chłodnym zaciekawieniem oglądał zdjęcia przedstawiające dziesiątki wyładowanych trupami wozów i ciągnące się w nieskończoność wzdłuż plaży stosy pogrzebowe, na których płonęły potwornie spuchnięte ciała, a ocean bez wytchnienia wyrzygiwał na piach kolejne. Doktor skrzywił się ironicznie i dalej obojętnie przeglądał gazetę. Mimo spędzenia tu tylu lat wciąż zdumiewały go ceregiele, jakie ludzie z tego świata wyczyniali, ilekroć natura okazywała swą moc, jakby ignorowali drugą zasadę termodynamiki. „Chaos jest nieunikniony”, mruknął Ramsey. Zasada ta sformułowana została również w większej części tego wieloświata, lecz jego mieszkańcy wciąż wydawali się przymykać na nią oko. Tornada, trzęsienia ziemi, meteoryty, epoki lodowcowe... Każde z tych zjawisk przerażało ich i zaskakiwało na równi, choć były to zaledwie ukąszenia komara dotykające wyłącznie ich maleńkiej planety, śmieszny kłopot w porównaniu z erą ciemności - lodowatym, potwornym i nieuniknionym końcem czekającym każdy wszechświat. Końcem, który on widział na własne oczy.

Zniecierpliwionym gestem odłożył gazetę, wrzucił do kawy jeszcze kilka kostek lodu i rozsiadając się wygodnie, sięgnął wzrokiem poza otaczające go ściany, poza świat, w którym się znajdował, poza wszystkie światy współistniejące w tym pokoju, ze smutkiem wspominając historię długiej i wciąż trwającej walki swojej cywilizacji z chaosem.

Od czasów wiktoriańskich, na długo przed jego narodzinami, mieszkańcy Drugiej Strony usiłowali znaleźć sposób ucieczki ze skazanego na śmierć świata. Przez tysiąclecia bezskutecznie szukali drogi, a gwiazdy jedna po drugiej gasły i nieboskłon stawał się coraz ciemniejszy. Wkrótce stanęli przed problemem bardziej nagłym i osobistym, jakim było wygasanie ich własnego słońca, które rosło i rosło, aż ostatecznie przeobraziło się w czerwonego olbrzyma zajmującego cały horyzont i zmusiło ludzi do ucieczki w głąb mórz. Tam w dole zbudowali cudowne podwodne miasta, w których Kościół Wiedzy kontynuował swą misję prowadzenia umysłów i serc wiernych ku Wiedzy Najwyższej. Ramsey bez trudu wyobrażał sobie, jak gigantyczne kałamarnice zamieszkujące najgłębszy rów oceaniczny, w którym wzniesiono nowy Pałac Wiedzy, ze znużeniem

przysłuchują się niezliczonym debatom organizowanym w celu ustalenia kolejnych posunięć, podczas gdy nad ich głowami oceany zaczynają wrzeć, a góry się topić. Na szczęście zdążyli na czas podjąć decyzję: uwięzili w orbicie Ziemi grupę asteroid, dzięki czemu nasza planeta poczęła się stopniowo oddalać od żarłocznej ognistej kuli, która pożarła już Merkurego i Wenus, i ostatecznie znalazła się w bezpiecznej odległości. Ten genialny pomysł dał im nieco więcej czasu na opracowanie jedyne rozwiązanie, które mogło przynieść trwały skutek: Wielkiego Exodusu do innego świata poprzez tunel czasoprzestrzenny. Niestety wysiłki zmierzające do stabilizacji portali przez wiele pokoleń spełzały na niczym.

Słońce ziało czerwonym ogniem jeszcze przez kolejnych kilka mileniów, aż wreszcie, wyczerpawszy swoje paliwo jądrowe, ostygło i zaczęło się zapadać, aż osiągnęło rozmiary białego karła - maleńkiego punkciku w kosmosie, który wiatry kosmiczne ostatecznie zgasiły niczym zdmuchujący świeczkę Bóg. Wszechświat wyglądał wówczas nad wyraz posępnie: większość gwiazd wyczerpała zasoby energetyczne, a orbitujące wokół nich planety zlodowaciały. Jedynymi źródłami światła i ciepła były czerwone karły - maleńkie gwiazdy, które bardzo powoli spalały paliwo jądrowe, dając słabe, chorobliwe światełko.

Genialna cywilizacja QIII znalazła sposób na przemieszczenie ziemskiej orbity w kierunku jednego z tych dogorywających robaczków świętojańskich, Proxima Centauri, znajdującego się w odległości zaledwie 4,3 lat świetlnych. W jego skąpym blasku niezrażony dotychczasowymi niepowodzeniami człowiek kontynuował swoje badania. Nie wszyscy jednak byli równie odporni na porażki. Niektórzy poczęli tracić nadzieję i przebąkiwać, że prędzej Stwórca zgasi ostatnią latarenkę, zatapiając świat w wiecznym mroku, niż Ziemianie zdołają uciec z tej zimnej i ponurej sutereny. A jednak się udało. Gdy w słabiutkiej Proxima Centauri pozostała zaledwie odrobina paliwa, niemal wszystkie czerwone karły w kosmosie zgasły, a człowiek przeobraził swoje ciało za pomocą mutacji genetycznych i zastąpienia większości narządów ruchomymi protezami, by sobie poradzić z mrozem, w końcu odniesiono sukces. Udało się otworzyć stabilny, dwukierunkowy tunel

czasoprzestrzenny, idealny do przesyłania dużej ilości złożonych informacji, otwierany i zamykany wedle ludzkiej woli i prowadzący do młodego wszechświata będącego w samym środku ery światła, z trylionami trylionów gwiazd rozjaśniających niebo od krańca po kraniec. Gdy zaś mieszkańcy Drugiej Strony odkryli, że mają do czynienia z wieloświatem złożonym z mnóstwa światów równoległych, uradowali się jeszcze bardziej. Mieli wrażenie, że Stwórca w niespodziewanym odruchu życzliwości dał im możliwość wyboru tej spośród niezliczonych rzeczywistości, którą uznają za najlepszą do rozpoczęcia nowego życia. Radość trwała wiele dni. Kościół Wiedzy ogłosił święto i przyznawał nagrody oraz tytuły. A potem... potem okazało się, że nowy wszechświat jest chory. Że tunel prowadzi do zatrutego raj.

Ramsey westchnął, odstawił na stół filiżankę z kawą i oddał się powolnemu wyłamywaniu palców. Tego strasznego odkrycia dokonano zaledwie trzy pokolenia przed jego własnym. Wśród odkrywców kronotemii był jego pradziadek, słynny naukowiec Timothy Ramsey. Zidentyfikował chorobę dzięki wyizolowaniu wirusa z krwi jednego z zakażonych, których egzekutorzy pochwycili i przysłali na Drugą Stronę w celach badawczych. Nieszczęśnicy oczywiście postradali zmysły i pomarli w ciągu kilku godzin od przybycia do tego koszmarnego świata zwieńczonego całkowicie czarnym niebem i otoczonego horyzontem, na którym widniał jedynie ogromny, przerażający, kręcący się powoli i złowrogo wir, jeszcze ciemniejszy od ciemności. Wszystko zdawało się tam zmrożone, nawet czas. Ofiary umierały z zimna i strachu, nie pojmując, dokąd trafiły ani za co giną. Ich ciepła krew dostarczyła jednak doprowadzonej do ostateczności cywilizacji QIII pewnych odpowiedzi, jakkolwiek zdecydowanie niewesołych.

Gdy Proxima Centauri zgasła, mieszkańcy Drugiej Strony resztką sił zdołali ponownie przemieścić orbitę ziemską na skraj czarnej dziury, której powolne parowanie stanowiło jedno z ostatnich słabiutkich źródeł energii we wszechświecie. Był to ruch równie pomysłowy jak ten poprzedni, lecz wszyscy wiedzieli, że naukowcom nie pozostała w ręku ani jedna karta. Kiedy to źródło wyczerpie się na zawsze, temperatury spadną do zera absolutnego, atomy się

zatrzymają, protony rozpadną i wszelkie inteligentne życie wymrze. W takich okolicznościach wieść o epidemii zaowocowała powszechną żalobą. Społeczeństwo Drugiej Strony nie miało już czasu ani sił, by spróbować otworzyć tunel do innej rzeczywistości. Pozostała tylko jedna możliwość: spróbować uleczyć odkryty wszechświat, nawet jeśli istniała choćby minimalna nadzieja.

Doktor Ramsey wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Jakże wieczną i piękną zdawała mu się każda scena obserwowana zza szyby! Z melancholią przyglądał się lśniącej kopule katedry Świętego Pawła widocznej w oddali na tle intensywnie błękitnego nieba, dwóm rozmawiającym na ulicy dżentelmenom, małżeństwu wysiadającemu z powozu, łobuziakom biegnącym po chodniku, jakby przed chwilą coś ukradli, kwiaciarce układającej kwiaty na straganie z taką samą troską jak każdego ranka. Żadne z nich nie miało pojęcia, że żyje w chorym i dobiegającym kresu świecie. Czy chodziliby sobie tak spokojnie pod jesiennym niebem, gdyby pośrodku ulicy pojawił się naraz wielki okręt i zaryczał armatami albo ziemia wyrzygałaby plagę olbrzymich mrówek? Kiedy wiele światów zacznie się zderzać, z pewnością wydarzy się mnóstwo takich szaleństw, nim ostatecznie nastąpi Wielkie Zniszczenie. Wszechświaty zaczną się mieszać, rzeczywistości tasować, a mieszkańcy niezliczonych światów, stłoczeni w tym samym kubku, zostaną potrząśnięci przez rękę pijanego Boga i rzućni na ten sam stół. I żaden z nich nie będzie rozumiał, co się dzieje. Jedynie on i garstka szczęściarzy, o ile istotnie można ich tak nazwać, będą to wiedzieć. Naukowiec uśmiechnął się niemal tkliwie. „Huragany to drobnostka!” - prychnął, zerkając z ukosa na leżącą wciąż na stole otwartą gazetę. On mógłby im opowiedzieć o prawdziwych katastrofach. Po Drugiej Stronie, gdzie niskie temperatury powodowały, że myśli płynące przez umysły niczym gigantyczne góry lodowe były niezmiernie powolne i głębokie, w oczach człowieka wszystko działo się niewiarygodnie szybko, wskutek czego Ramsey był mimowolnym świadkiem śmierci setek gwiazd, narodzin olbrzymich czarnych dziur i implozji fantastycznych galaktyk. Gdyby mieszkańcy tego świata widzieli te same zjawiska co on, gdyby byli świadkami spektaklu majestatycznej destrukcji, nie robiliby takiej afery z jakiegoś tam wiatru.

Młasnął z dezaprobatą i wrócił do stołu z zamiarem nalania sobie kolejnej filiżanki mrożonej kawy przed rozpoczęciem zadania, które wydawało mu się niezwykle wyczerpujące. Pocięszał się, że wysiłki tylu pokoleń w końcu zostaną wynagrodzone, a przynajmniej tak się zdawało. Przez ostatnich dwanaście lat grupa naukowców pracowała nad próbką krwi, którą doktor Higgins pobrał od agenta Corneliusa Clayтона, i po niezliczonych eksperymentach zdołała wreszcie wyprodukować skuteczną szczepionkę. Naukowcy mieli szczęście, uzyskując próbkę od tak niezwyklej osoby. Dokładnie przebadane pod najlepszymi mikroskopami tej i Drugiej Strony komórki CoCla - nazwane tak na cześć właściciela - szybko pokazały, że potrafią wyizolować, a z czasem także zniszczyć wirusa. Wszystko wskazywało na to, że nastąpiło cudowne połączenie: naturalna skoczkinia przekazała swoją truciznę odpowiedniemu odbiorcy, wywołując mutację, w której zdawał się tkwić skuteczny lek na kronotemię.

Ramsey ze smutkiem wspominał Armanda de Bompard, głównego zwolennika tej teorii, który nie doczekał sukcesu zapoczątkowanych przez siebie badań. Bompard zawsze utrzymywał, że klucz do zwalczania epidemii kronotemicznych skoczków tkwi w naturze skoczków naturalnych, których istnienie naukowcy z Drugiej Strony odkryli podczas dokładnych badań nad tym wieloświatem. Były to osoby, które - być może wsysane przez pewne punkty hiperbliskości - w naturalny sposób, bez udziału wirusa, przenosiły się z jednego świata do drugiego. Pierwsze odkryte przeskoki zdarzyły się na długo przed pojawieniem się tej przeklętej epidemii, co pozwalało domniemywać, że występowały od zarania dziejów. Jakkolwiek było naprawdę, w odróżnieniu od kronotemików, którzy pustoszyli świat niczym złośliwe komórki nowotworowe, rozmnażające się i niszczące zdrową tkankę bez dania jej czasu i miejsca na regenerację, naturalni skoczkowie nie szkodzili tkance wszechświata, w związku z czym badania nad nimi mogły przynieść ważne odpowiedzi. Przekonany o słuszności swojej teorii Armand de Bompard jako jeden z pierwszych zgłosił się do prac polowych po tej stronie. Po kilku latach bezskutecznych prób był podobno bliski porzucenia swojej teorii - i pewnie by to zrobił, gdyby pewnego dnia nie spotkał zagubionej w lesie ślicznej dziewczynki.



Nie zdołał się oprzeć pokusie zaopiekowania się nią, choć niemal od początku podejrzewał, że urocze stworzenie nie pochodzi z tego świata. Przeprowadził odpowiednie badania, lecz ku swemu zdziwieniu nie wykrył w jej krwi śladu obecności wirusa kronotemii. Zrozumiał wówczas, że przyjął pod swój dach naturalną skoczkinę, w dodatku, co wkrótce ze zgrozą odkrył, nie była jaką, tylko pochodzącą z bardzo odległego świata. Bompard słyszał już o takich osobnikach, choć nigdy nie widział żadnego na własne oczy, a tym bardziej nie miał możliwości jego zbadania. Bardzo niewiele istot potrafiło przeskakiwać między rzeczywistościami tak odległymi i odmiennymi, a jeśli to uczyniły, ich osobliwa natura sprawiała, że nowym sąsiadom jawili się jako odrażające monstra. Bompard zrozumiał, że dziewczynka, której nadał imię Valerie, musi pochodzić z jednego z najdalszych obszarów wieloświata, z jednej z tych rzeczywistości, w których podobno rośliny, zwierzęta i ludzie ewoluowali w jedno. Racjonalne i nieracjonalne byty żyły tam harmonijnie obok siebie jako cudowna całość; przyroda była jednym gatunkiem przybierającym różne formy, dzięki czemu spotykało się kobiety-wilki, mężczyzn-nietoperzy, dzieci-kwiaty, starców-mgłę czy dziewczęta-bryzę. Kiedy któraś z tych istot przenosiła się do innego świata, w którym, rzecz jasna, panowały inne prawa fizyki, próby adaptacji do nowego otoczenia wywoływały aberracje. Wielu przybyszów zmieniało się w udręczone lub oszalone, żadne krwi stwory o najdzikszych instynktach wzmocnionych przez strach i żądzę przetrwania. Siali więc postrach wśród ludzi, stając się źródłem koszmarów człowieka, który nie pojmując ich prawdziwej natury, obdarzył ową grozę tysiącem nazw: wilkołaki, wampiry, duchy...

Armand natomiast rozumiał, czym są. Nawet gdy Valerie pod wpływem swojej zwierzęcej połowy zmieniała się w bestię, nadal widział w niej roztrzęsioną dziewczynkę, która z całej siły trzymała go za szyję, gdy posadził ją przed sobą na koniu. Co więcej, zakochał się w niej, co zdaniem Ramseya i wielu innych współpracowników było błędem: walka z zabójczym instynktem dziewczyny i odciąganie jej od ludzkiego mięsa całkowicie uniemożliwiły mu zrozumienie, że trucizna, w którą zmieniły się jej płyny ustrojowe, musi się dostać do krwi odbiorcy, by wywołać odporność, której wszyscy oni tak

rozpaczliwie poszukiwali. Za namową Kościoła Wiedzy, proponującego mu kontynuację badań w innym świecie, Bompard poczuł się zobowiązany do opuszczenia poślubionej już dziewczyny, lecz choć rzetelnie wypełniał obowiązki w nowym miejscu, nigdy nie zdołał o niej zapomnieć. Stał się zgorzkniały, małomówny i melancholijny, a nawet arogancki; nadużywał trunków i lekcewał polecenia, a kiedy zaczęły krążyć pogłoski, że wkrótce Druga Strona każe któremuś z egzekutorów zrobić z nim porządek, Bompard oszczędził mu zachodu. Odebrał sobie życie zaledwie tydzień po zdobyciu przez Higginsa krwi Claytona, w tym samym dniu, w którym - podobnie jak tylu innych rozsianych po wieloświecie naukowców - otrzymał przesyłkę z zaleceniem, by odłożył na bok wszystko inne i zajął się badaniem przysłanej próbki: preparatu z CoCla, mitycznych komórek powstałych w wyniku poświęcenia się jego ukochanej dla innego mężczyzny.

Bompard zabił się z miłości, zawyrokował Ramsey w zaciszu swego salonu. I choć ten akt buntu przyznawał rację Kościołowi Wiedzy, że każde nadmiernie silne uczucie staje się trucizną, trzeba też było przyznać, że wszechświat może się uratować dzięki temu, iż zakochany policjant i udręczona kobieta poddali się uczuciom. Co więcej, jeśli ten wieloświat zasługiwał na ratunek, to nie po to, by zgniła i dogorywająca cywilizacja znalazła w nim nowy dom. Z całą pewnością nie po to, myślał Ramsey, rozglądając się ostrożnie, jakby w obawie, że ktoś usłyszy jego heretyckie myśli. Ten świat zasługiwał na ratunek ze względu na uczucia, które pielęgnował i które wciąż nie zostały ofiarowane na ołtarzu żadnej Wiedzy Najwyższej. Po tej stronie wszystko było chaotyczne, niepewne i odległe od prawdy, lecz właśnie dlatego wyobraźnia pozostawała tak bujna, sztuka tak oszałamiająca, a uczucia tak upajające...

Tak, Ramsey doskonale rozumiał, że Bompard był o krok od zdrady swojego świata z miłości. Czyż i jego nie kusilo, by zrobić to samo z powodu zwykłej przyjaźni? Uśmiechnął się smutno na wspomnienie Crookesa, tego przepełnionego pasją i entuzjazmem człowieka, równie błyskotliwego, co naiwnego, do którego czuł głęboką sympatię, a mimo to uczynił mu tyle krzywdy. Kiedy jego przyjaciel zakochał się na zabój w tej nieszczęsnej kronotemiczce

Katie King, która uważała się za nieżyjącą córkę pirata, Ramsey poważnie rozważał powiedzenie mu całej prawdy, ujawnienie przed nim Wiedzy Najwyższej. Czyż Crookes nie zasługiwał na taki dowód zaufania? A jednak doktor tego nie zrobił. Przeciwnie: kiedy społeczność naukowa wykpiła badania Crookesa, on zrobił to samo, publicznie wyrzekając się upokorzonego przyjaciela. A jakby tego było mało, doniósł o wszystkim egzekutorom, by mogli upolować „destruktorkę”. Pocieszał się potem myślą, że po prostu spełnił swój obowiązek. W grę wchodził przecież los dwóch wszechświatów! Myśl ta nie przyniosła mu jednak ulgi, podobnie jak nie przyniosłaby jej Bompardowi, i mimo upływu lat, ilekroć wspominał Crookesa lub słyszał o nim - ostatnio na przykład do jego uszu dotarły pogłoski, jakoby naukowiec zainstalował w swoim ogrodzie tajemnicze kolumny, które nocą lśniły i błyskały, przerażając sąsiadów - czuł w piersi żar, jak gdyby ktoś przytknął mu do serca zapalnik.

Nie czas jednak na takie myśli ani na zastanawianie się, czy ludzie z Drugiej Strony się myślą. Higgins właśnie stamtąd wrócił i jeszcze tego dnia, po przebyciu rekonwalescencji likwidującej skutki przebywania w skrajnych warunkach, miał mu przynieść najnowszą szczepionkę zatwierdzoną przez Kościół - najlepszą ze wszystkich dotąd zsyntetyzowanych. Gdy tylko przyjdzie, trzeba będzie zakasać rękawy i zabrać się do pracy nad nią, bo choć była najlepszą z możliwych, pozostawał problem jej podawania. Na razie szczepionka musiała trafiać bezpośrednio do krwi pacjenta i aby uzyskać pełną skuteczność, potrzebne były co najmniej trzy dawki w ciągu najbliższych miesięcy. Oczywiście podawanie surowicy w taki sposób całej populacji wieloświata było niewykonalne, więc należało opracować inną metodę.

O ileż byłoby łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, kiedy i gdzie wystąpiło pierwsze zarażenie, pomyślał Ramsey. Wówczas mogliby podać antidotum pierwszemu nosicielowi i być może, choć nie było to pewne, spowodować, że proces odwróconej przyczynowości zneutralizuje epidemię. Niestety nie znaleziono pacjenta zero, w związku z czym pozostawała jedynie zmiana sposobu podania szczepionki. Gdyby udało się sprawić, że będzie się przenosiła drogą powietrzną i wnikała do organizmów poprzez układ oddechowy...

wystarczyłoby ją rozpylić w hiperprzestrzeni w formie drobniutkiej mgiełki, która przeniknie do nieskończonych atmosfer wieloświata i wszyscy bezwiednie będą ją wdychać. Jest nadzieja, choćby i nikła, że nam się uda, pomyślał Ramsey, wstając energicznie od stołu. I może nawet zdążymy...

W tym momencie poczuł wibracje w kieszeni. Wyjął zegarek, odemknął pokrywę, po której wewnętrznej stronie widniała gwiazda chaosu, i skierował ją ku ścianie. Lśniaca kula rzuciła promień światła, a ten wyrysował w powietrzu drgająca twarz doktora Higginsa.

- Co się dzieje, Higgins? - zapytał Ramsey. - Jesteś jeszcze w domu?

Higgins odpowiedział pytaniem.

- Wyglądałeś przez okno?

Ramsey przez kilka sekund z konsternacją wpatrywał się w twarz kolegi, który gwałtownie szarpał się za czarną brodę.

- Tak, przed chwilą. A co?

- I nie zobaczyłeś nic... dziwnego? - zapytał udreńczonym głosem rozmówca.

Ramsey pokręcił głową.

- Wyjrzyj jeszcze raz - niemal rozkazał mu Higgins.

Ramsey opuścił trzymającą zegarek dłoń i drżącym krokiem podszedł do okna, ciągnąc po podłodze twarz współpracownika niczym brudną szmatę. Nie miał zielonego pojęcia, co zobaczy, lecz wiedział, co będzie oznaczać ów widok. Ze ściśniętym sercem wyjrzał przez okno i omiótł wzrokiem całą ulicę: dwaj dżentelmeni nadal spokojnie rozmawiali, obok domu przejeżdżało kilku konnych policjantów, niania z wózkiem kupowała bukiet u kwiaciarki... Poranek jak każdy inny. Co takiego zdaniem Higginsa powinien widzieć? Już miał się odwrócić, gdy nagle powietrze przeszył odgłos przypominający zgrzyt wielkiej piły. Podobnie jak wszystkie osoby na ulicy, Ramsey uniósł wzrok ku niebu i ze zdumieniem wpatrywał się

w ogromnego pterodaktyla o rozpostartych majestatycznie błoniastych skrzydłach, krążącego na tle katedry Świętego Pawła.

- Widzisz, Ramsey? - dobiegł z podłogi histeryczny głos Higginsa. - Zaczęło się! Musimy natychmiast uciekać z wieloświata! Dzwoniłem do jednego z egzekutorów i do Melforda... Ewakuujemy się na Drugą Stronę. Tam przynajmniej możemy się rozkoszować powolną śmiercią zamiast roztrzaskać się na kawałki z tym... Ramsey, czy ty mnie słuchasz?

Doktor pozwolił zegarkowi wyśliznąć się z palców i spaść na podłogę. Potem zmiążdżył go butem. Zdumiona twarz Higginsa natychmiast zniknęła. Ramsey oparł się o futrynę okna i przez łyżę patrzył, jak konie ruszają galopem, niania krzyczy, dżentelmeni gestykulują zawzięcie, spoglądając w niebo... Nadszedł, pomyślał. Nadszedł wreszcie zapowiadany dzień chaosu... Nie udało się go uniknąć. Wszystkie tutejsze światy pochłonie Wielkie Zniszczenie, a Druga Strona zamarznie. Na nic się zdały wszystkie ofiary, osiągnięcie Wiedzy Najwyższej i przerażająca rzeź niewiniątek zarządzona przez jego mądrą cywilizację. Zginą wszyscy, głupi i mądrzy, ci, którzy kochali, i ci, którym nie było to dane, ofiary i kaci, a jedynym śladem ich istnienia pozostaną atomy unoszące się w wieczystej próżni, w nieskończoność kreślące dla nikogo symbol barbarzyństwa...

- Chaos jest nieunikniony - mruknął smutno.

- Chaos jest nieunikniony - powtórzył za jego plecami metaliczny głos.

Ramsey odwrócił się, wiedząc, kogo zobaczy. Pośrodku salonu stał egzekutor, ciemny i lśniący niczym rozbłysk w mroku. Naukowiec natychmiast go rozpoznał.

- Czego chcesz, 2087V? - zapytał oschle. - Higgins cię przysłał? Powiedz mu, że nie zamierzam uciekać. Odejdźcie beze mnie. No już, znikaj! Jestem zmęczony. Zresztą - z rozpaczą pokręcił głową - co za różnica, w którym świecie umrę? Co...

Urwał gwałtownie tę żalobną przemowę, widząc, że egzekutor powoli rozkłada ramiona, rozsuwając poły peleryny, a spod niej

wyłania się wątła, spłoszona figurka. Kiedy padło na nią dochodzące od okna światło, doktor przekonał się, że to staruszka, tak niedołężna i trzęsąca się, że wyglądała jak zrobiona z zestalonych łąz. Nerwowo pocierając dłonie, zrobiła krok naprzód i wbiła w naukowca uroczyste spojrzenie.

- Dzień dobry, doktorze. Pamięta mnie pan? - Uśmiechnęła się do zaskoczonego mężczyzny. - Chyba nie... Poznaliśmy się dawno temu w domu Lady Amber.

Ramsey zmrużył oczy.

- Pani Lansbury?

Jane przytaknęła.

- Tak mnie przedstawiono, ale w rzeczywistości nazywam się Catherine Wells i jestem wdową po H.G. Wellsie, słynnym biologu z Drugiej Strony, który stworzył wirus kronotemii.

Ramsey rozdziawił usta, oszołomiony i zauroczony w równej mierze. Z trudem skinął głową. Wówczas Jane wzięła głęboki oddech. „Bertie, kochany, trzymaj kciuki” - pomyślała.

- Z ogromnym wstydem przyznaję, że to my zapoczątkowaliśmy epidemię. Skazaliśmy ten świat na zagładę, sprowadzając doń wirus. Na szczęście mój mąż zdążył przed śmiercią spisać instrukcję jego uratowania.

## XXXIV

Nadszedł czas, by zwrócić agentowi Corneliusowi Claytonowi utraconą rolę głównego bohatera. Znajdziemy go tam gdzie zawsze - tam, gdzie się ukrywa, gdy nie chce zostać odnaleziony - spoglądającego w zamyśleniu na *Mapę chaosu* leżącą na stole obok całkiem już zimnego czajniczka.

Pogłaskawszy palcami zdobiącą okładkę gwiazdę, rozsiadł się wygodnie i melancholijnie wodził wzrokiem po zbiorze tajemniczych przedmiotów wypełniających Kryptę Osobliwości, wilgotną i zakurzoną piwnicę, która w ciągu minionych lat stała się jego schronieniem i do której przybył dziś przed wschodem słońca.

Westchnął i ponownie spojrzął na książkę. Po tylu latach wciąż była dla niego zagadką. Zagadką, która z upływem czasu stawała się jeszcze bardziej tajemnicza. Przed kilku miesiącami zjawił się w jego biurze stary Baskerville i wyznał, że pochodzi z równoległego świata - świata, w którym każda osoba z tego świata posiada bliźniaka, potencjalny wariant siebie samego. On na przykład był kopią pisarza H.G. Wellsa, choć jak widać, znacznie bardziej zniszczoną niż jego tutejszy odpowiednik, a w swoim pierwotnym świecie przyjaźnił się z kopią Claytona. Każdy inny agent wyrzuciłby go z gabinetu, wyzywając od wariata, lecz praca agenta specjalnego polegała właśnie na wysłuchiwaniu wariatów. Poprosił więc staruszka, by usiadł, po czym zamknął drzwi i w ciągu niespełna dziesięciu minut przekonał się, że Baskerville mówi prawdę. Jakże mogłoby być inaczej, skoro wspomniał, że bliźniak agenta z innego świata stracił rękę w zacięłym pojedynku z kobietą, którą kochał i której portret do dziś wisi w jego piwnicy. Przez godzinę w zachwycie słuchał o przygodach staruszka, który przyszedł do niego z prośbą o pomoc, jako że od

dwóch lat prześladowali go dziwni zabójcy. Clayton aż podniósł się z fotela, słysząc, że laski owych myśliwych wieńczy ta sama gwiazda, która widnieje na *Mapie chaosu*. Rozemocjonowany pokazał starcowi książkę, licząc na to, że czegoś się o niej dowie. Baskerville rozpoznał symbol i przyznał, że książka musi mieć jakiś związek z zabójcami, lecz nic więcej nie wiedział.

Gdy wyszedł, Clayton wysłał patrol na wrzosowisko w poszukiwaniu osób pasujących do podanego przez staruszka opisu prześladowców - niewiarygodnie wysokich mężczyzn w długich pelerynach, kapeluszach o szerokim rondzie i z dziwnymi laskami - a sam przez kilka miesięcy obserwował rzekomego Wellsa z innego świata. Staruszek zdradził mu, że pracuje jako stangret u słynnego milionera Montgomery'ego Gilmore'a, który w tamtym okresie był pogrążony w żałobie z powodu śmierci narzeczonej w wypadku samochodowym. To tragiczne zdarzenie nie tylko sprawiło, że Clayton nieco złagodził swoją opinię o tym osobniku, którego nie znosił i przeciw któremu prowadził śledztwo, porzucone później w imię czegoś tak egzotycznego jak miłość - wciąż uśmiechał się na wspomnienie argumentów, którymi przekonał go Wells - lecz również uczyniło jego obserwację wysoce nudną. Milioner całymi dniami upijał się do nieprzytomności albo we własnym domu, albo u Wellsa, co zmuszało jego woźnicę do siedzenia przez większość czasu we własnym pokoju z założonymi rękami. Po kilku miesiącach jałowej obserwacji Clayton postanowił z niej zrezygnować, nie mogąc dłużej opóźniać innych śledztw z powodu sprawy, którą jego przełożeni dawno już odłożyli ad acta.

Źle się jednak stało, bo gdyby zaczekał jeszcze kilka dni, jak to uczyniło wielu jego bliźniaków w innych światach, zobaczyłby, jak do domu Murraya bladym świtem przybywa sławny pisarz Arthur Conan Doyle w towarzystwie Wellsa i jego małżonki, i zaintrygowany tym porannym spotkaniem obserwowałby obu pisarzy przez kolejne dni. Coraz bardziej zdumiony patrzyłby, jak odwiedzają sklepy z przebraniami, kupują tabliczki i odbywają potajemne wycieczki do Brook Manor. Śledziłby ich także w dniu fałszywego seansu spirytystycznego z Wielkim Ankomą, podczas którego zjawił się



Niewidzialny Człowiek. Wreszcie - interweniowałby, przez co zapobiegłby śmierci Baskerville'a i skierował wydarzenia na inny tor.

Niestety, historia, którą tu opowiadam, nie pochodzi z żadnego z tamtych światów, lecz z tego, w którym Clayton się poddał, i wszystko potoczyło się tak, jak już wam wiadomo. Dlatego wielkim zaskoczeniem dla agenta była wizyta, jaką zaledwie w kilka dni po zaprzestaniu obserwacji złożyli mu w biurze Wells i Doyle, by poinformować o śmierci Baskerville'a, przeszytego na wpół zardzewiałą szablą przez niewidzialnego człowieka. Nie trzeba mówić, że wieść ta była dla Claytona ogromnym ciosem. Staruszek zginął i choć pisarze zapewniali, że jego zabójca jest całkowicie niewidzialny, z całą pewnością był nim Zły, który - jak dwanaście lat wcześniej przepowiedziała pani Lansbury - wrócił po księgę, sądząc, że jest ona w posiadaniu Wellsa. Kolejne dni obfitowały w coraz bardziej zdumiewające objawienia, które jednak tylko piętrzyły gromadzone od dwunastu lat zagadki. Czy o tych łowcach mówiła staruszka, gdy polecała mu oddać księgę „tym, którzy przybędą z Drugiej Strony”? Jak miał ich znaleźć? A jeśli, podobnie jak Zły, chcieli zniszczyć księgę? W końcu oni też byli zabójcami. Z drugiej strony, jeśli prawdziwe były słowa Baskerville'a o tym, że zamieszkują świat złożony z wielu rzeczywistości, być może istniał więcej niż jeden Zły, tak jak istniało wielu Wellsów i Claytonów... Westchnął. Niebezpieczeństw czyhających na księgę było coraz więcej, a on wciąż nie miał zielonego pojęcia, komu powinien ją przekazać.

Wszystkie te rozważania ponownie przywiodły mu na myśl Valerie de Bompard. Jak mógłby tego uniknąć? Jak mógłby przestać zadawać sobie pytanie, czy w uniwersum wypełnionym po brzegi niewiarygodnymi światami istnieje więcej niż jedna hrabina de Bompard? Czy Valerie, którą znał, przybyła z innego świata? Musiał przyznać, że wyjaśniałoby to jej osobliwą naturę oraz uczucie, jakiego doznał, ujrawszy ją po raz pierwszy: niepokojące wrażenie, że oto znalazł się w obliczu czegoś niesłychanego, istoty zbyt fascynującej, by mogła należeć do tego szarego świata, który ją otacza. Serce mu krwawiło na myśl o dziewczynce rzuconej w sam środek tej obcej i zapewne boleśnie niepojętej dla niej krainy, a potem opuszczonej przez jedyne go człowieka, który naprawdę ją rozumiał. Co gorsza,

kilka lat później dziewczyna zakochała się w nim - w głupim i butnym policjancie, który chciał ją jedynie rozszyfrować, co - jak sama mu powiedziała - było najgłębszą istniejącą formą posiadania. Mimo wszystko w bukiecie możliwych światów istniał taki, w którym byli szczęśliwi; taki, w którym Valerie żyła i nie była żadną bestią, lecz elementem rzeczywistości tak cudownej i wysublimowanej jak ona sama - jemu jednak dane było odwiedzać ów świat tylko w snach.

Z transu zbudziło go nerwowe pukanie do drzwi. Westchnął głęboko i poszedł otworzyć, omijając piętrzące się na podłodze graty i wyrastające spomiędzy nich niczym drzewa w mechanicznym lesie dziwaczne kolumny obwieszane kablami i żarówkami. Zacerpnął wielki haust powietrza i otworzył drzwi, po czym wysoko uniósł brwi na widok Wellsa i jego małżonki, obojga w piżamach, jakby dopiero co wstali.

- Państwo Wells... Co się, u diaska...

- Agencie Clayton - wymamrotał pisarz - jak to dobrze, że pan tu jest! Musieliśmy się z panem zobaczyć, a biorąc pod uwagę wczesną porę, postanowiliśmy najpierw sprawdzić tu, a dopiero potem w biurze. Sam nam pan mówił, że spędza tu wiele czasu, no i proszę!

Clayton podejrzliwie skinął głową.

- Co państwa sprowadza? To musi być coś niecierpiącego zwłoki, skoro nie zdążyli się państwo nawet ubrać... - zauważył kpiąco.

- Istotnie, istotnie. Widzi pan... - rozpoczął nieco zawstydzony Wells - musimy panu opowiedzieć o sprawie najwyższej wagi, związanej z... hmm... z książką.

- Ach, z książką - powtórzył nieufnie agent. - No dobrze. Porozmawiajmy o niej. Proszę za mną.

Poprowadził ich do swojego stolika poprzez labirynt zalegających na podłodze przedmiotów. Wells z zaciekawieniem zerkał na niektóre z nich - szkielet syreny, głowę Minotaura, skórę ogromnego wilkołaka - lecz nie potrafił się na nich zbyt skupić, bo jego wzrok co rusz wędrował ku nożowi oscylującemu za plecami jego małżonki i niemal głaszczącemu czubkiem jej kręgosłup.

- Poczęstowałbym państwa herbatą - rzekł agent, gdy dotarli do stołu - lecz zdaje mi się, że wystygła i chyba nie nadaje się...

- Och, proszę się nie kłopotać, jesteśmy po śniadaniu. Czy ta książka - zapytał Wells, nieśmiało wskazując spoczywający na stole tom - to *Mapa chaosu*?

- Owszem - potwierdził Clayton.

W tym momencie pisarz rzucił się w stronę agenta, jakby nagle zapragnął go przytulić. Zaraz potem zza pleców Jane wyłonił się nóż i ostentacyjnie przywarł zaostrzonym czubkiem do jej szyi.

- Witam, panie Clayton - rozbrzmiał głos. - Znowu się spotykamy. Od ostatniego razu minęło sporo czasu.

Clayton, który zdołał się uwolnić od Wellsa, z nienawiścią spoglądał na zawieszony w powietrzu nóż, lecz nie wyrzekł słowa.

- George, czy mógłbyś łaskawie uwolnić agenta od rewolweru, nim otrząśnie się z szoku? - zapytał głos. - Tylko bez głupstw, bo narysuję uroczy uśmiech na szyi twojej żonki!

Clayton zacisnął zęby i rozpiął marynarkę, by Wells mógł mu odebrać rewolwer.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - tłumaczył się pisarz. - Nie miałem wyjścia. On skrzywdziłby Jane.

Agent rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Wells opuścił głowę i cofnął się, lecz zdążył zrobić zaledwie krok w kierunku niewidzialnej istoty, nim zatrzymał go jej głos.

- Och, wybacz, George, zapomniałbym... Nie chcę nadużywać twojej uprzejmości, ale skoro już tam jesteś, czy mógłbyś przynieść mi księgę? Przyszedłem tu, żeby ją zniszczyć, pamiętasz?

## XXXV

Kiedy Zły składał wizytę Claytonowi w Krypcie Osobliwości, w cieplarni zbudowanej na obraz i podobieństwo Tadż Mahal słynny pisarz Arthur Conan Doyle wysłuchiwał najgorszej mowy obronnej, jaką słyszał w życiu.

- Jeśli w czymś zawiniłem, Arthurze, to w tym, że dałem im marzenia - tłumaczył milioner. - A marzenia są potrzebne! Dodają ludziom sił!

- Dałeś im marzenia? Naprawdę tak uważasz? - zapytał z niedowierzaniem Szkot, a jego tubalny głos odbił się echem od ścian cieplarni.

- Ty zrobiłeś to samo z Sherlockiem Holmesem - bronił się Murray. - Dałeś swoim czytelnikom balsam, którego potrzebowali, by znieść swoją nędzną egzystencję. A potem im go odebrałeś!

- To był fikcyjny bohater, do diabła! - zaprotestował z narastającą irytacją Doyle. - Nigdy nie twierdziłem, że naprawdę istnieje!

Milioner prychnął zniecierpliwiony, po czym zmienił taktykę.

- Zgoda. A Wielki Ankoma? Czyż nie przedstawiliście mi go jako prawdziwego medium, które pomoże mi nawiązać kontakt z Emmą?

- Zrobiliśmy to, żeby ci uratować życie. Uznaliśmy, że jeśli uwierzysz w tę farsę, porzucisz myśl o samobójstwie. Cel Podróży w Czasie Murraya był zgoła odmienny, a ja, przeklęty dureń, cię broniłem! Napisałem dziesiątki artykułów w twojej obronie!

- I czyż nie odwdzieczyłem ci się? Poza tym czy to moja wina, że wierzysz we wszystkie banialuki?

- Nie wierzę w żadne banialuki!!! - ryknął rozwścieczony Doyle.

Murray podniósł głowę, lecz nim zdążył wybuchnąć śmiechem, który bulgotał mu już w gardle, jego uwagę przykuł jakiś punkt na niebie. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć, i w miarę jak sylwetka nabierała kształtów, jego usta rozdziawiały się coraz szerzej. Kiedy już zrozumiał, z czym ma do czynienia, ledwie zdołał wymamrotać zdławionym głosem:

- A jeśli ci powiem, że właśnie przelatuje nad nami pterodaktyl?

- Pterodaktyl? Gilliamie, na litość boską! - wykrzyknął oburzony pisarz. - Za kogo mnie bierzesz? Jak mógłbym uwierzyć w coś takiego?

Ledwie skończył, w powietrzu nad nimi rozległ się dźwięk przypominający łopotanie pościeli na wietrze. Chwilę później niebo przysłoniła chmura i nad ich głowami przeleciał olbrzymi cień. Zaskoczony Doyle podniósł głowę i poprzez dach cieplarni z tym samym osłupieniem co Murray obserwował krążącego po niebie giganta, identycznego z rekonstrukcjami, które widział na rysunkach: wąska czaszka, szpiczasty dziób z mnóstwem zębów i rozłożyste zielonkawoszare skrzydła, które musiały mierzyć ze dwa metry.

- Jak tyś to, u diabła, zrobił? - zapytał drżącym głosem Szkot, gdy zwierzę zniknęło na horyzoncie.

Murray wzruszył ramionami, pobladły i przestraszony.

- Uwierzysz, jeśli ci powiem, że nie mam z tym nic wspólnego?

Doyle zrobił jeszcze większe oczy. To znaczy, że ten dziwoląg, który właśnie przeleciał, był prawdziwy? Że jak gdyby nigdy nic pojawił się tu latający gad wymarły miliony lat temu? Nim jednak Szkot zdążył się zastanowić, co to oznacza, obaj usłyszeli dźwięk, który wcześniej zagłuszały najpierw zażarta dyskusja, a potem furkot skrzydeł: histeryczną kakofonię setek dzwonek. Natychmiast wybiegli z cieplarni i wpadli na Elmera pędzącego w przeciwnym kierunku.

- Panie Gilmore! - krzyknął na ich widok zarządca. - Lustra! Służący! Niezwykłe... centaury... smoki...

- Drogi Elmerze, czy byłbyś łaskaw układać słowa w logiczne ciągi?  
- poprosił cierpliwie milioner. - W przeciwnym razie ani pan Doyle, ani ja nie zdołamy cię zrozumieć.

- Bardzo przepraszam, proszę pana... - ukorzył się kamerdyner, usiłując odzyskać spokój właściwy jego profesji. - Spróbuję je ułożyć, lecz obawiam się, że nawet wtedy będą pozbawione sensu. Służący właśnie mi donieśli, że lustra przestały odbijać... rzeczywistość.

- Naprawdę? A co odbijają? - zapytał Murray.

- Trudno powiedzieć, proszę pana. Każdy mówi co innego. Stajenny Billy twierdzi, że jego lustro pokazuje rycerza walczącego ze smokiem; kucharka, pani Fisher, widziała grupę dzieci o kozich racicach grającą na fletach; mój pomocnik Ned człowieka z głową sokoła, a kluczniczka, pani Donner, zaśnieżone pole, po którym jechał straszliwy pojazd płujący ogniem z wielkiej rury...

Murray i Doyle wymienili spojrzenia, po czym ruszyli pośpiesznie ku kręgowi luster i przekonali się, że służący mówią prawdę. Żadne z luster nie odzwierciedlało prozaicznej rzeczywistości, którą mieli przed sobą. Wszystkie zdawały się śnić o innych światach, jednym bardziej niewiarygodnym od drugiego.

- Boże... - szepnął Murray, po czym odwrócił się do kamerdynera i rozkazał: - Elmerze, wróć do domu i postaraj się uspokoić służbę.

- Uspokoić służbę? Nic trudnego! - zakpił Elmer i oddalił się, by spełnić to p r o s t e p o l e c e n i e.

Murray i Doyle dokładniej przyjrzeni się pokazywanym przez lustra dziwom. Szybko się zorientowali, że szaleństwo odzwierciedla się nie tylko w rtęci. Na trawie poza kręgiem, zaledwie o kilka metrów od nich zmaterializowało się kilka przezroczystych drzew emitujących leciutki poblask, jakby z drugiej strony przebijało słońce.

- Co się, u diabła, dzieje, Arthurze?! - wykrzyknął Murray. - Kazałem ściąć te drzewa po zakupie domu.

- Widać w innym świecie postanowiłeś je zostawić - stwierdził filozoficznie Szkot, po czym wbił zdumiony wzrok w horyzont, nad którym unosiła się para czerwonych księżyców. - Na Boga! To

wygląda, jakby niezliczone sceny tego uniwersum zbliżały się do siebie, a nawet nakładały... Czyżby nadchodził koniec świata, który przepowiedziała staruszka?

- Jaka staruszka? - zapytał zaintrygowany milioner.

- Jak to jaka? - zniecierpliwził się Doyle. - Ta, która dała Claytonowi książkę! Gilliamie, niech to szlag, w ogóle mnie nie słuchałeś! Kiedy do niego poszliśmy, powiedział, że...

Ale Murray znów nie słuchał. Jego uwagę przykuło jedno z luster, którego tafelę nagle pokryło coś w rodzaju połyskującej srebrzystej mgiełki. Po chwili mgiełka znikła, ukazując sypialnię, w której jakaś kobieta w pośpiechu pakowała walizkę, a przez okno wyglądał przestraszony mężczyzna. Murray podszedł do lustra i pochylił się nad nim.

- Znam ich - wymamrotał. - To państwo Harlow, rodzice Emmy.

Doyle zajrzał mu przez ramię. Sądząc z przerażonej twarzy mężczyzny, koniec świata, czy co to tam było, zaczął się również u nich. Głosy docierały na drugą stronę lustra zniekształcone, lecz zrozumiałe.

- Co się dzieje, mój drogi? - pytała kobieta, wyjmując z szafy kolejne ubrania.

Mężczyzna długo nie odpowiadał, jakby nie umiał ubrać w słowa tego, co widzi.

- Chyba... atakują Nowy Jork - mruknął w końcu ponuro.

- Mój Boże? Ale kto?

- Nie wiem, Catherine - przyznał. - Budynki się... zamazują. A nasz ogród... Boże, wygląda, jakby ktoś rysował na nim drugi.

Kobieta spojrzała na niego, jakby próbowała przetrwać te słowa, po czym zawołała:

- Emmo! Jeśli skończyłaś się pakować, chodź mi pomóc!

Murray wzdrygnął się na widok wchodzącej do pokoju dziewczyny.

- Boże! - szepnął.

Emma zaczęła pomagać matce pakować do walizki wszystkie ubrania, które kobieta wyjmowała z szafy. Od czasu do czasu zerkała z niepokojem na ojca, wciąż zahipnotyzowanego rozgrywającym się na zewnątrz spektaklem. Miała na sobie czarny strój, tak jak wtedy, gdy zobaczyli ją po raz pierwszy, a jej twarz ściągnięta była bólem.

- Naprawdę uważasz, że musimy to wszystko zabrać? - zapytała matkę. - I w ogóle dokąd się wybieramy?

- Do kanałów, tak jak Brittonowie - odparł ojciec, nie patrząc na nią. - Tam będziemy bezpieczni.

Murray wziął głęboki oddech i odchrząknął.

- Emmo! - zawołał.

Jego głos najwyraźniej przebił się przez lustro, bo dziewczyna natychmiast podniosła głowę, bardzo powoli obróciła się w kierunku miejsca, w którym prawdopodobnie w pokoju wisiało lustro, i rozdziawiła usta. Jej rodzice podążyli wzrokiem w tę samą stronę i zamarli. Przez kilka sekund panował bezruch. W końcu Emma powoli podeszła do lustra. Murray patrzył, jak zbliża się ku niemu chwiejnym krokiem, a na jej twarzy odbijają się po kolei najrozmaitsze emocje. Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Monty - szepnęła zdławionym głosem Emma. - Wiedziałam, że wrócisz. Wiedziałam...

- Tak - odparł Murray, niezdecydowany, czy ma się śmiać, czy płakać. - Wiesz, że zawsze wracam, choć czasem się spóźniam.

- Słyszę cię! - rozentuzjzmowała się jak dziecko Emma.

- W takim razie posłuchaj: kocham cię i nigdy nie przestanę.

Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie, powstrzymując łzy, i oparła dłonie o powierzchnię lustra. Murray poszedł w jej ślady, ale i tym razem nie zdołali się dotknąć. Na obu twarzach pojawiło się zniechęcenie. Byli tak blisko, że mogliby się objąć, a jednak wciąż przebywali w bliźniaczych więzieniach.

- Przepraszam - wykrztusiła Emma zdławionym przez łzy głosem. - Gdybym się nie upierała przy prowadzeniu jak dzieciak, żyłbyś teraz.



Murray pokręcił głową, niezdolny wyrzec choćby słowo. Czy ona naprawdę myślała, że to on jest duchem zmarłego, uwielbiającym ukazywać jej się w lustrach? Przez chwilę rozważał możliwość wyprowadzenia jej z błędu, wyjaśnienia, że żyje, lecz jest innym Gilliamem, który na własne oczy widział śmierć innej Emmy. Porzucił jednak ten pomysł. Prawdopodobnie jeszcze bardziej wyprowadziłoby ją to z równowagi, a na dłuższe wyjaśnienia brakowało czasu. Gdybym nie pozwolił ci prowadzić, pomyślał, uśmiechając się do niej czule, to ty byś zginęła.

- Gdzie jesteś? - zapytała tymczasem Emma.

- O wiele światów od ciebie - odparł. - Ale obiecuję, że po ciebie przyjdę. Znajdę sposób na dotarcie do twego świata.

- Cały świat zmniejsza się do dzielącej nas odległości - szepnęła dziewczyna.

Do lustra podszedł jej ojciec.

- Co się dzieje, Montgomery? Możesz nam jakoś pomóc?

Nim Murray zdążył odpowiedzieć, wizja poczęła się rozwiewać. Postacie Emmy i pana Harlowa stopniowo się rozplýwały, a ich miejsce zajmował inny widok, przywodzący na myśl salę tronową jakiegoś zamku. Salę, która płonęła. Murray i Doyle zobaczyli puste trony stojące na podwyższeniu i pożerane przez ogień, a w miarę jak ten obraz stawał się wyraźniejszy, dziewczyna zmieniała się w plamę.

- Emmo!

- Przyjdź po mnie! - zawołała, nim na dobre zniknęła.

- Przyjdę, Emmo! Przyrzekam! - zawołał Murray. - Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych!

Sam jednak ledwie słyszał swoje słowa poprzez trzask pożerającego zamek ognia. Zaklął i zacisnął pięści, gotów uderzyć lustro, które zakpiło sobie z niego, pokazując jakiś idiotyczny widok z bajki, lecz Doyle położył mu dłoń na ramieniu.

- Musimy iść, Gilliamie.

- Iść? Dokąd? - zapytał oszołomiony milioner.

- Słuchaj uważnie. - Szkot stanął przed nim i spojrzał mu prosto w oczy. - Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć Emmę, musisz mi zaufać. Trzeba uratować świat! A ja wiem, gdzie się znajduje niezbędny klucz.

- Klucz? O czym ty, u dia...

Doyle nie dał mu skończyć - ujął go za ramię, wyciągnął z kręgu luster i kazał biec do domu, samemu też ruszając pędem. Murray prychnął, lecz pobiegł za nim przez ogród, w którym dziesiątki luster wybuchały jedno po drugim niby trafione niewidzialnymi pociskami i rozpadały się na tysiące okruchów. Doyle i Murray ledwie zdążyli osłonić głowy rękami, nim spadł na nich deszcz ostrych odłamków. Gdy ten ustał, Szkot rozejrzał się wokół w poszukiwaniu drogi wolnej od luster, lecz te znajdowały się w każdym zakątku posiadłości. Musieli zaryzykować i uciekać. Pisarz pociągnął milionera w stronę ścieżki otoczonej krzewami. Biegli, a zawieszona na gałęziach po obu stronach lustra wybuchały na chybił trafił.

- Niech to diabli! - protestował Murray, z trudem nadążając za Doyle'em.

- Przestańże narzekać, Gilliamie! Czymże jest trochę szkła w porównaniu z płonącym domem? - zachęcał go Szkot.

Wydostali się ze szklanej pułapki, w którą nagle zmienił się ogród, bez większych obrażeń. Tylko twarze mieli podrapane, jakby całowali się z jeżozwierzem. Po dotarciu do zastawionej rozbitymi już lustrami bocznej ściany domu zobaczyli, jak przerażona wybuchami szkła i dziwnymi obrazami, które wcześniej się w nim ukazywały, służba ucieka w panice z głównej alei i chroni się w bocznych ogrodach. Zaraz potem z domu wyłonił się Elmer, którego sytuacja wyraźnie przerosła, i zwrócił się do Szkota:

- Panie Doyle, jak dobrze, że pana widzę! Przed chwilą dzwonił pański sekretarz. Twierdzi, że długo próbował się dodzwonić, ale przez to całe zamieszanie nikt nie usłyszał sygnału. Bardzo pana za to przepraszam i żałuję...

- Skończ z tymi żałami i przejdź do rzeczy! - przerwał mu Doyle. - Czego chciał? W Undershaw też wybuchają lustra?

- Eee... tak, sir. Ale prosił, żeby powiedzieć, że pańska małżonka, dzieci i służba są bezpieczni. Jedynie zdenerwowani.

- Dzięki Bogu - mruknął Doyle.

- Jeszcze jedno, proszę pana. Podobno czajnik, który trzyma pan w biurze, zaczął gwizdać krótko po pańskim wyjściu i od tamtej pory nie przestał. Sekretarz nie wie, jak go uspokoić. Prosił o zezwolenie na ucieszenie go młotkiem.

- Do kroćset! - wykrzyknął poruszony do głębi Doyle. - Czajnik! Czy to wszystko musiało się wydarzyć w tym samym dniu? Kto napisał ten zwariowany scenariusz?

Udając, że nie pojąłem aluzji, pozwolę sobie kontynuować narrację:

Murray spojrział na niego zdziwiony.

- Czymże jest jakiś cholerny czajnik w porównaniu z tym, co się tu dzieje? - zapytał gniewnie.

- Elmerze, zadzwoń do panny Leckie! - rozkazał kamerdynerowi Doyle, ignorując milionera. - Powiedz jej, żeby nie wychodziła z domu. I niech się nie boi. Zrobię z tym porządek. - Znów chwycił Murraya za ramię i pociągnął w stronę alei. - Mój powóz czeka przy bramie! Może jeszcze zdążymy...

- Posprzątaj ten bałagan, Elmerze - zdążył powiedzieć milioner, nim ruszył za Szkotem.

- Oczywiście - odparł ze swoją zwykłą flegmą Elmer.

Murray i Doyle biegli aleją, dysząc jak dwóch panów w średnim wieku, którymi niestety byli. Tam także lustra rozbiły się w drobny mak, przykrywając opadłe liście chrzęszczącą szklaną glazurą. Ani jeden służący nie pozostał na swoim miejscu: mijali jedynie puste krzesła, niektóre przewrócone. Przebiegłszy nieco ponad pół drogi, ujrzeli nagle materializujący się w głębi alei oddział jeźdźców. Stanęli jak wryci, niczym w transie obserwując tę kawalerię, która pędziła na nich z uniesionymi sztandarami. Gdy znalazła się bliżej, zauważyli, że boki koni chronią pancerze z kutego metalu, a łby - złowrogie hełmy nadające zwierzętom monstrualny wygląd. Jeźdźcy byli dziwnymi

człekokształtnymi istotami o wydłużonych, kanciastych twarzach, szpiczastych uszach i białych włosach, również przyodzianymi w srebrne zbroje o nabitych kolcami naramiennikach. Większość trzymała w rękach szpady lub włócznie, a trzech czy czterech sztandary z nieznanymi symbolami. Doyle w końcu ocknął się z transu i zaczął uciekać w stronę domu.

- W nogi, bo nas stratuja!

Pod wpływem tubalnego głosu Szkota Murray się otrząsnął i pobiegł za nim. Zacisnął zęby, ignorując coraz głośniejsze okrzyki bitewne jeźdźców, szcęk zbroi, prychanie koni i uderzenia ich kopyt o ziemię. Zaraz jednak pojął, że choćby nie wiedzieć jak pędzili, nie ma ucieczki: do domu było zbyt daleko. Za kilka sekund zostaną stratowani i zginą idiotycznie, zmiażdżeni przez barbarzyńskie wojsko, które nawet nie zauważyło ich istnienia. Zrezygnowany szykował się już na uderzenie pierwszego z jeźdźców, które powali go na ziemię, pozwalając reszcie beznamietnie dokończyć dzieła.

- Wybacz, Emmo - szepnął, słysząc o centymetry od swego karku dyszenie wierzchowca.

Spodziewany cios jednak nie nastąpił. Osłupiały Murray patrzył, jak jeździec i jego koń przenikają przez jego ciało niczym przez mgłę. Najpierw z brzucha wyrosły mu przednie nogi zwierzęcia, na chwilę zmieniając go w centaury; potem pojawiła się reszta konia wraz z jeźdźcem, a na koniec tylne nogi. Nie czuł najlżejszego bólu - jedynie lekki dreszcz. Potem to samo stało się z następnym jeźdźcem i z kolejnymi. Przenikali przez niego jeden po drugim, lecz on bynajmniej nie przestał biec, kątem oka widząc, że Doyle także wciąż mknie, jakby żaden z nich nie potrafił uwierzyć, że potężna horda ich nie powali. Dopiero gdy wojsko ich minęło, milioner przystanął i uśmiechnął się radośnie, choć z konsternacją. Ku swemu zdumieniu wciąż był cały. Doyle spoglądał na niego z taką samą ulgą.

- Nie do wiary! Przeniknęli przez nas! - zawołał Murray. - Jak miraż!

Zdyszany Doyle skinął głową i obaj przyglądali się oddalającym się jeźdźcom wznoszącym tumany przezroczyściego kurzu.

- Ale kto to był? - zastanawiał się Murray.

- Wojsko z innego świata. Świata, który najwyraźniej nałożył się właśnie na nasz - mruknął Doyle. - I obawiam się, że to dopiero początek.

- Początek?

Szkot kiwnął posepnie głową.

- W Brook Manor zobaczyliśmy inny świat przez lustro. Był blisko, ale nie tak, by nasze głosy mogły do niego dotrzeć.

- Ale dziś udało mi się porozmawiać z Emmą...

- To oznacza, że teraz światy ocierają się o siebie. Podejrzewam, że jeśli ten proces będzie trwał, niegroźne na razie widma... w końcu przywłaszczą sobie rzeczywistość.

- Na Boga... - wyszeptał zmartwiały Murray.

- Nie traćmy czasu, Gilliamie - rzekł pisarz, zdecydowanym krokiem ruszając ponownie w stronę budynku. - Musimy jak najszybciej dotrzeć do Londynu. Obawiam się, że wkrótce cały znany nam wszechświat rozpadnie się w drobny mak. Zapobiec temu może jedynie agent Clayton.

- Clayton? - Murray uniósł brwi. - Jak to?

- Usiłuję ci to wytłumaczyć od chwili swego przyjazdu. *Mapa chaosu* jest kluczem do uratowania świata, a on ją ma... - Wówczas Doyle przypomniał sobie o przeklętym czajniku gwizdzącym w jego biurze. - Cóż, przynajmniej taką żywię nadzieję.

## XXXVI

W tym samym czasie doktor Ramsey, pani Lansbury i Egzekutor 2087V wyszli na ulicę, na której oszalałe ze strachu ludzkie mrowie biegało chaotycznie we wszystkich kierunkach. Wystarczył im jeden rzut oka, by zrozumieć, przed czym ucieka ten tłum. Widoczna w głębi ulicy katedra Świętego Pawła wyglądała jak przykryta wieloma warstwami gazy. Ramsey przypuszczał, że nakładają się na nią katedry z równoległych Londynów. Wszystko, co zajmowało to miejsce na przestrzeni wieków, wracało, wywołując wrażenie, że świątynię oplótl świetlisty kokon, przeobrażając ją w budynek o nieokreślonych, zwielokrotnionych konturach. Ramseyowi wydało się, że pośród licznych warstw rozpoznaje średniowieczną katedrę, która spłonęła w roku 1666, a nawet małą drewnianą świątynkę wzniesioną w roku 604, która miała zaszczyt być pierwszym kościołem w Anglii.

Efekt rozniósł się tymczasem na sąsiednie budowle, i stopniowo znikaly one pod mglistym welonem. Pośród owładniętego paniką tłumy również dało się dostrzec przezroczyście osoby i powozy, uciekinierów z innej rzeczywistości, którzy przenikali się z innymi w szaleńczym pędzie. Ramsey westchnął. Nie mieli chwili do stracenia.

- Musimy jak najszybciej dotrzeć na Great George Street - zwrócił się do egzekutora. - Do siedziby Scotland Yardu.

- Obawiam się, że będziemy musieli to zrobić w tradycyjny sposób - odparł zabójca. - Jeśli przeniesiemy się do innego świata, wątpię, czy moja laska zdoła precyzyjnie wyliczyć współrzędne powrotne, biorąc pod uwagę kolizje wszystkich światów.

- Rozumiem - rzekł zrezygnowany Ramsey - choć zapewniam cię, że w Londynie nad wyraz trudno o wolną dorożkę, szczególnie w tych okolicznościach.

Postanowili ruszyć pieszo w dół ulicy, w stronę Tamizy, w nadziei na znalezienie po drodze jakiegoś środka transportu, który zaoszczędzi im długiej wędrówki. Ramsey ujął staruszkę pod ramię i prowadził. Zamykający pochód egzekutor przypominał wysoki cyprys wyrastający spomiędzy kupy kamieni, lecz z powodu panującego chaosu nikt nie zwracał nań uwagi.

Skręciwszy w przecznicę, która okazała się zaskakująco wyludniona, zobaczyli dorożkarza przyglądającego się jak w transie przejrzystej postaci zdążającej ku niemu chwiejnym krokiem.

- Potrzebujemy dorożki! - zawołał na jego widok Ramsey.

Na dźwięk jego głosu woźnica wzdrygnął się, oderwał wzrok od widma i spojrzał na nich beznamiętnie.

- Zawiezie nas pan na Great George Street?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową, nie zastanawiając się nawet sekundę, jak gdyby wiedział, że jedynie oddanie się zwykłym zajęciom może go uratować przed szaleństwem. Egzekutor zminimalizował swoje funkcje życiowe, by nie spłoszyć koni, i usiadł w powozie obok staruszki. Ramsey zwlekał, przyglądając się zmierzającej ku nim zamazanej postaci, która wyglądała jak zrobiona z pozszywanych fragmentów zwłok. Kiedy się z nimi zrównała, doktor spojrzał w jej przeraźliwie ciemne oczy i wydało mu się, że dostrzega tam jakiś błysk. Potem wyciągnął rękę w kierunku pooranej szwami twarzy i zobaczył, jak palce przenikają przez nią i wychodzą przez kark. Odsunął się na bok, nim postać zdążyła przez niego przejść, i patrzył, jak oddala się chwiejnie.

- Fascynujące - wyszeptał, przyglądając się swojej dłoni, która przeszła przez czaszkę potwora.

Wsiadł do dorożki i kazał woźnicy ruszać. W powietrzu zabrzmiał trzask bicia i wkrótce znaleźli się na Victoria Embankment. Jadąc wzdłuż rzeki, obserwowali rzędy budynków ubranych w przezroczystą gazę i strumienie połyskliwych widm biegających to

w jedną, to w drugą stronę. Na wysokości Igły Kleopatry Ramsey zobaczył na wodach Tamizy scenę pochodzącą prawdopodobnie z bitwy pod Lepanto, w której fregatę Ligi Świętej zaatakowała turecka galera. Grupa gapiów na brzegu w oczarowaniu przyglądała się batalii, o której tyle czytała w *Encyclopaedia Britannica*.

Gdy powóz dotarł na Great George Street, Ramsey miał wrażenie, że oto przedarł się na wskroś przez umysł szaleńca. Wysiedli i ruszyli do budynku Scotland Yardu, w którym, jak się okazało, panował ten sam chaos co na ulicach: agenci biegali w tę i w tę niczym mrówki w zalewanym wodą mrowisku, wykrzykując sprzeczne polecenia. Nikt więc nie zwrócił najmniejszej uwagi na osobliwe trio złożone z naukowca, pani Lansbury i Egzekutora 2087V.

Ramsey dał sobie chwilę na ocenę sytuacji. Już miał kazać egzekutorowi zatrzymać jednego z przechodzących policjantów, gdy nagle jego oczom ukazał się blady i wychudły agent, który szedł ku nim tak szybko, że wyrzwał brodą w pierś zabójcy. Egzekutor chyba nawet tego nie poczuł, za to młodzieniec zatrzymał się gwałtownie, masując brodę.

- Obawiam się, że nasz przyjaciel nie jest zjawą, agencie - rzekł Ramsey.

Młody człowiek z zaciekawieniem przyjrzał się naukowcowi i staruszce, po czym uniósł głowę ku skrytej w cieniu ronda kapelusza twarzy.

- A kim? - zapytał podejrzliwie.

- Cóż... cudzoziemcem - odparł Ramsey.

- Hm - mruknął z nieskrywaną nieufnością młodzieniec i przeniósł wzrok na Ramseya, który wyglądał znacznie mniej niepokojąco. - A w jakim celu państwo przyszli? Jakie dziwne rzeczy widzieli? Zapewniam, że otrzymaliśmy już wszelkiego typu doniesienia. - Na potwierdzenie swych słów zamachał trzymanymi w ręku papierami. - Wszyscy spotykają postacie z powieści, mitów i bajek. - Zajrzał do notatek. - Ktoś widział, jak z Tamizy wyłania się „Nautilus” kapitana Nemo, a pewna pani utrzymuje, że na jej podwórzu pojawił się lew o ludzkiej twarzy i ogonie skorpiona. O ile mi wiadomo, to się nazywa



mantykora! Ale jest i garść stworzeń, których nie zdołaliśmy rozpoznać. Znają państwo historię o olbrzymim gorylu? Mówili, że jeden taki wspiął się na Big Bena...

W tym momencie przeszła obok nich widmowa kopia agenta, również wymachująca plikiem kartek, i nawet nie zwalniając, przeszła swego sobowtóra na wylot. Zdesperowany agent uniósł wzrok ku niebu.

- Znowu! Tak się nie da pracować!

- Młody człowieku - przerwała mu słodkim głosem staruszka, nim zdążył powiedzieć coś więcej - szukamy agenta specjalnego Corneliusa Claytona. Mógłby nas pan do niego skierować?

Agent spoglądał na nią w zdumieniu.

- Chętnie bym to zrobił, gdybym mógł! - wykrzyknął. - Clayton spędził pół życia na poszukiwaniu bajkowych istot, a teraz, gdy postanowiły się zabawić naszym kosztem, zapadł się pod ziemię!

- Agencji Garrett! - zawołał ktoś z drugiej strony holu.

- Idę! - odkrzyknął młodzieniec. - Przykro mi - zwrócił się do staruszki. - Nie wiem, gdzie są Clayton ani kapitan Sinclair. Do diabła, nie ma tu nikogo z całego Wydziału Specjalnego! Wszyscy zniknęli! A teraz proszę wybaczyć... - I pobiegł w kierunku policjanta, który go wezwał.

- Obawiam się, że tak łatwo go nie znajdziemy - rzekła z przygnębieniem staruszka.

- Hmm... może jest pewien sposób - zastanawiał się Ramsey. - Znajdźmy jakieś ustronne miejsce.

Otworzył najbliższe drzwi, a przekonawszy się, że prowadzą do pustego pomieszczenia, wszedł do środka wraz z towarzyszymi. Ramsey zablokował drzwi krzesłem, by nikt - przynajmniej nikt z tego świata - im nie przeszkodził, po czym zwrócił się do egzekutora:

- Agent specjalny Cornelius Clayton jest skoczkiem mentalnym.

Nikt nie domyśliłby się po reakcji egzekutora, czy ta informacja jest dla niego czymś nowym.

- Co to znaczy „skoczek mentalny”, panie doktorze? - zapytała staruszka.

- Człowiek zarażony wirusem, który z niewiadomego nam powodu nie potrafi przeskakiwać między światami fizycznie, a jedynie umysłem - wyjaśnił Ramsey. - Jak dotąd Clayton z tego świata jest jedynym takim skoczkiem, jakiego odkryliśmy. Nie znaleźliśmy podobnego nawet wśród jego bliźniaków. Większość Claytonów, w tym ci ugryzieni przez istotę, w której mieli nieszczęście się zakochać, choruje jedynie na narkolepsję, niemającą nic wspólnego z incydentem, w którym stracili rękę. U niektórych choroba ujawnia się prędzej, u innych później, a jeszcze inni umierają, nim zdąży się ujawnić... tylko u Claytona z tego świata początek choroby zbiegł się z atakiem naturalnej skoczki. I z przyczyn, których wciąż nie rozumiemy, być może w wyniku siły uczuć lub innej osobliwości tego konkretnego osobnika, jego umysł wykorzystuje chorobę, by odwiedzać ukochaną. Jak wspomniałem, Clayton stał się skoczkiem mentalnym. Ilekroć podróżuje, jego ciało pozostaje tutaj, porzucone gdzieś niczym pusta skorupa, a umysł leci do niej. I co ciekawe, jego ślad jest najjaśniejszy ze wszystkich. Nasi egzekutorzy nigdy go nie ścigali, bo jest niegroźny, lecz jego ślad jest im doskonale znany. Jest niczym złota, oślepiająca błyskawica... - Zrobił tęskną minę. - To cząsteczki wyobraźni, zdolności do marzeń... rzeczy, które czynią ten wieloświat tak wyjątkowym i mogą się okazać naszą jedyną nadzieją. W końcu to dzięki krwi tego skoczka zdołaliśmy wyprodukować skuteczną szczepionkę! A pani dar, pani Lansbury, może nam teraz pomóc go zlokalizować i w ten sposób odnaleźć dzieło pani męża. Sądziś, że to możliwe, 2087V?

- Odczuwam nadzieję - wymamrotał egzekutor, nie poruszając ustami. - Jego ślad jest bardzo wyraźny i silny. Może mimo chaosu mógłbym za nim podążać do świata, do którego poleci, a potem, nim zniknie, wrócić do miejsca, w którym leży porzucone ciało.

- W takim razie wystarczy, że Clayton znów zemdleje, choć nie mamy gwarancji, że to nastąpi, nim wszechświat...

- Przepraszam, doktorze - wtrąciła rozentuzjasmowana staruszka - czy dobrze usłyszałam? Powiedział pan, że odkryto skuteczną szczepionkę?

- Tak, chociaż już nie będzie nam potrzebna. Dzięki mapie pani męża możemy się udać do miejsca pierwszego zarażenia i po prostu mu zapobiec...

- Podając szczepionkę Newtonowi! - przerwała mu staruszka, po czym dodała błagalnie: - Wtedy nie będzie trzeba go poświęcić, prawda?

Ramsey uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Można spróbować... - odparł ostrożnie. - Szczepionka z całą pewnością jest skuteczna, lecz musi pani zrozumieć, że w przypadku najmniejszych oznak obecności wirusa w organizmie zwierzęcia... nie będziemy mogli ryzykować, że wszystko zacznie się od nowa.

- Ależ oczywiście, rozumiem... ale to byłoby tak piękne zakończenie dla mojej książki - rozmarzyła się staruszka, po czym zwróciła się do egzekutora: - A pan mógłby mnie zostawić wraz z moim ukochanym psem w jakimś miłym świecie, w którym spokojnie dożyłabym kresu. - Egzekutor leciutko skinął głową. - W takim razie na co czekamy? Musimy odnaleźć agenta o złamanym sercu.

Ramsey dał znak egzekutorowi, ten stanął pośrodku pokoiku, zaczekał, aż doktor opuści żaluzję, po czym uniósł laskę nad głowę z powagą, z jaką król unosi berło. Wkrótce potem z jednego jej końca na drugi przepłynęła niebieska błyskawica, zrazu słabiutka, lecz jaśniejąca z każdą chwilą, aż wreszcie błękitne światło, rozwijając się niczym tapeta, zaczęło wydobywać z mroku coraz większe połacie pomieszczenia. Gdy zajęło już niemal całe biuro, z laski poczęły wyrastać czerwone linie - pokrywały błękit siecią żył, rysując mapę wieloświata. Przed dniem chaosu te karmazynowe linie reprezentujące każdy z niezliczonych światów były rozmieszczone równolegle niczym struny harfy. Teraz zaś falowały i ciążyły ku sąsiednim liniom, miejscami dotykały się nawzajem, ocierały o siebie lub wręcz przenikały, wskutek czego gładką niebieską powierzchnią symbolizującą tkanę wszechświata targaly wybuchy pozostawiające

fioletowe dziury. Chaotyczna plątanina żył wiernie odzwierciedlała panujący na zewnątrz niszczycielski chaos, nowotwór pożerający harmonię. Pomędzy owymi żyłami widać zaś było dziesiątki zielonkawych smużek przeskakujących z jednej linii do drugiej, a potem do innej, i łączących je niczym sznurki gorsetu. Byli to kronotemicy, w przerażeniu miotający się między światami w nadziei, że zdołają w ten sposób uciec przed nagłym i nieokiełznanym chaosem. Na próżno. Nie było ucieczki, a swoimi szalonymi skokami jeszcze bardziej dziurawili wysłużoną tkanę istnienia.

- Oto prawdziwa mapa chaosu - szepnęła staruszka.

Ramsey przytaknął uroczyście.

- Gdyby agent Clayton teraz zasnął, w jakimś punkcie tej mapy pojawiłaby się złota linia - wyjaśnił, wskazując cudowną, choć odzwierciedlającą największy kataklizm w historii świata, mieszanę światła i barw.

- W takim razie możemy jedynie czekać - odparła pani Lansbury. - Oby szybko zasnął...

## XXXVII

**B**oże, nie pozwól mi teraz zasnąć, myślał dokładnie w tym samym momencie Clayton. Odkąd Zły wyrwał Wellsowi rewolwer i księgę, oba przedmioty unosiły się w powietrzu o kilka metrów od miejsca, w którym znajdował się agent.

- Cóż, drodzy przyjaciele - dobiegł przesłodzony głos Złego zza rewolweru, który na przemian mierzył to w Wellsów, to w Claytona - obawiam się, że nasze miłe spotkanie dobiegło końca. Nic nie sprawia mi większej radości niż wasze towarzystwo, lecz tam, na zewnątrz czeka tyle światów, których jeszcze nie zwiedziłem, że z żalem muszę was pożegnać. George, obiecałem, że was zabiję bez zadawania nadmiernych cierpień, a ponieważ jestem człowiekiem honoru, ograniczę się do kulki w głowę. Sądzę, że to najbardziej miłosierny sposób zabicia cię, jaki dotąd zastosowałem. Oczywiście - szepnął, podczas gdy ciemny pysk rewolweru obracał się powoli w stronę Jane - pierwszeństwo ma dama.

Wells osłonił żonę ciałem, blady, jakby go ulepiono ze śniegu. Clayton niespodziewanie wybuchnął głośnym śmiechem. Rewolwer zawahał się w powietrzu, po czym wymierzył w policjanta.

- A pana co tak śmieszy, agencie? - syknął wściekle Niewidzialny Człowiek.

Clayton parsknął jeszcze kilkakrotnie, usiłując się uspokoić.

- Ojej, przepraszam... po prostu przypomniał mi się dzień, w którym postrzeliłem pana w nogę w domu pani Lansbury.

- Zapewniam pana, że ja również nie zapomniałem o tamtej kuli - mruknął złowieszczo Zły. - Przez nią musiałem ratować się skokiem,

pozostawiając księgę. A tyle wysiłku kosztowało mnie odnalezienie jej w tych wszystkich światach! - Rewolwer zbliżał się do Claytona niczym śmiertcionośny owad. - A więc to był pan - syknął lepki od nienawiści głos. - Nie rozpoznałem pana w tym mroku na schodach. Myślałem, że to jakiś durny służący staruchy...

- To ci niefart - wzruszył ramionami Clayton. - Gdyby pan wiedział, że w domu znajduje się agent Scotland Yardu, może choć przez chwilę pomyślałby pan, że mogę być w posiadaniu książki. A pan cały czas ścigał Wellsa... Takie niedopatrzenie!

- Co z tego, skoro w końcu ją zdobyłem! - ryknął zwyrodnialec, wymachując w powietrzu książką. - Choć ma pan rację: gdybym nie sądził, że ma ją George, zaoszczędzilibyśmy sobie wielu nieprzyjemności. Byłem przekonany, że to on... Kiedy wróciłem do jej domu, by dokończyć dzieła, domyśliłem się z rozmów policjantów, że przeskoczyła do innego świata, i znów musiałem jej szukać, choć tym razem okazało się to znacznie łatwiejsze. Mój dar stawał się coraz silniejszy i potrafiłem już węchem podążać za świeżym śladem skoczka. Znalazłem ją w skromnym domku i którejś nocy poszedłem tam, by odzyskać księgę. Stara spała, choć nie mogę powiedzieć, że był to sen spokojny. Musiała śnić o czymś smutnym, bo spod powiek wypływały jej łzy i mamrotała - tu Zły uderzył w wysokie tony, imitując drżący głos staruszki - „Bertie, mój drogi, przepraszam... musiałam mu ją dać i skakać bez niej, przepraszam, przepraszam... ale jest w dobrych rękach, on będzie jej pilnował, na pewno...” Niech ją diabli! Powinienem był ją obudzić i torturować, żeby mi powiedziała, o kogo chodzi... ale założyłem, że mówi o Wellsie z tego świata. W końcu to do niego wysłała z listem tę durnowatą służącą. Dzięki temu poznałem jej plan. Cóż, byłem pewien, że znalazła sposób na przekazanie mu księgi. Przez kilka lat szukałem drogi powrotnej do tego świata, ale zapewniam was, że wrócić wcale nie jest tak łatwo, jak mogłoby się zdawać - kontynuował profesorskim tonem. - Tylko ktoś z tak wielkim darem jak mój potrafi tego dokonać. Za pierwszym razem wróciłem po kilku dniach własnym śladem, ale za drugim, zanim usłyszałem, jak stara gada przez sen, ostatnie ślady zdążyły się rozpląnąć i znalezienie tego świata pośród wszystkich istniejących zmieniło się w prawdziwą odyseję... Ale się

udało! I to nie raz, a dwa razy! Za pierwszym pojawiłem się w Brook Manor, skąd musiałem się ewakuować z bełtem w ramieniu i bez jednego oka... - Rewolwer sprawiał teraz wrażenie, jakby kątem oka lypał na Jane, która wtuliła się w ramiona męża. - Byłem już wówczas całkiem niewidzialny i moje ubranie też, jako że traciło cząsteczki w tym samym tempie co ciało, a to czyniło mnie jeszcze potężniejszym. Muszę však przyznać, że tamtą bitwę wygrali George i jego przyjaciele. Tak czy owak osobliwa struktura cząsteczkowa nie tylko czyni mnie niewidzialnym, lecz także sprawia, że moje rany, nawet te najpoważniejsze, goją się szybciej niż u innych. Doszedłem do siebie, nim zniknęły ślady ostatniego skoku, i wróciłem po nich. Dziś rano zjawilem się w domu naszego drogiego George'a, wciąż przeświadczony, że to on ukrywa *Mapę chaosu*. Na szczęście George był uprzejmy wyprowadzić mnie z błędu! Wyznał, gdzie naprawdę jest książka, a nawet zaproponował, że mnie tu przyprowadzi. Oczywiście zamierzam wynagrodzić mu ten gest szybką i bezbolesną śmiercią. Dla pana, agencie, nie muszę jednak być tak litościwy. Być może roztrzaskam panu kulami kolana i zostawię, żeby się pan wykrwawił, w podzięce za tamten strzał, który sprawił mi tyle kłopotów... Jak się to panu podoba?

Clayton spojrział na niego zdziwiony i wybuchnął jeszcze większym śmiechem niż poprzednio.

- Przestańże pan rechotać! - wrzasnął niewidzialny.

- Och, proszę o wybaczenie... po prostu kiedy słyszę słowa „wielki dar” użyte w odniesieniu do pospolitej choroby wywołanej mikroskopijnym wirusem przywleczonym przez przypadek do tego świata... - Agent otarł załzawione oczy i dokończył szeptem: - Muszę przyznać, że pańska wiara w siebie jest istotnie niewzruszona. Wszyscy powinniśmy się uczyć od pana niezachwianego optymizmu, panie Rhys...

- Widzę, że zna pan moje nazwisko i wie wszystko o wirusie kronotemii - syknął głos. - Stara zdążyła panu wiele powiedzieć przed skokiem.

- A skądże! Niestety pani Lansbury nie zdążyła mi powiedzieć nic a nic. Szczerze mówiąc, pan sam mi to powiedział...

Z promiennym uśmiechem Clayton podniósł stojący na stoliku czajnik i przekręcił niewielkie pokrętło z boku. Z wnętrza czajnika natychmiast wydobył się głos Złego, pochodzący z innego czasu i miejsca: „Dobrze, George. Ale jeśli próbujesz zyskać na czasie, ostrzegam, że nic ci to nie da. Mam do dyspozycji cały czas wszystkich światów! Chcesz wiedzieć, kim jestem? Naprawdę chcesz? Jestem najpotężniejszym dziełem Stwórcy! Epilogiem ludzkości! Kiedy istnienie wszechświata dobiegnie kresu, pozostanę tylko ja i będę rządził, krocząc po waszych przeklętych mogiłach! Jestem Marcus Rhys, Bóg Chaosu!”.

Clayton ponownie przekręcił zawór i czajnik umilkł. Agent pogłaskał go lekko, jakby chwalił psa, który wykonał trudną sztuczkę, a potem z uśmiechem zwrócił twarz w stronę Rhysa.

- Wydział Specjalny Scotland Yardu jest bardzo dumny z tych urządzeń. Potrafią nagrać każdą rozmowę i przesłać ją do podobnego urządzenia znajdującego się w zupełnie innym końcu miasta, a dodatkowo służą do zdalnego uruchamiania alarmu. - Clayton mlasnął z zachwytem. - Ponieważ pan Wells dzięki uprzejmości naszego wydziału dysponował takim aparatem, dziś rano, gdy poczuł, że coś mu grozi, wysłał mi wiadomość. I nie tylko mnie. Kiedy postawił czajnik na ogniu, w domu mojego przełożonego zagwizdał kolejny aparat. Prawda, kapitanie? - zapytał w pustkę, składając dłonie na plecach.

Zza rozmaitych artefaktów wyłoniło się kilku agentów, w milczeniu zajmując pozycje i celując z broni w miejsce, w którym w powietrzu unosiły się książka i rewolwer. Jako ostatni zza jednej z dziwnych kolumn wyszedł kapitan Sinclair. Jego proteza oczna barwiła ciemność na czerwono niczym ogień piekielny. Jedną dłoń położył na dźwigni przykręconej do kolumny, a drugą powoli podniósł, mierząc z broni w niewidzialnego człowieka.

- W istocie, synu - odpowiedział byłemu wychowankowi - ale przypomnij mi, żebyś następnym razem ściszył to diabelstwo. Żona zagroziła mi rozwodem, jeśli jeszcze raz obudzę ją tym nieznośnym gwizdem...

- Och, jestem przekonany, że Marcia nigdy by tego nie zrobiła.



- Masz rację, chłopcze - westchnął kapitan. - Zawsze jej powtarzam, jaki ze mnie szczęściarz, że ożeniłem się z tak cudowną kobietą...

- Mam nadzieję, że nie zacznie mi pan teraz wyliczać zalet małżeństwa - przerwał mu kpiąco Clayton - ani przypominać, że pańska sekretarka wciąż jest do wzięcia.

- Cisza! Zamknijcie się! - ryknął głos, a książka i rewolwer wirowały w powietrzu, jakby Zły kręcił się wokół własnej osi, starając się mieć na oku wszystkich otaczających go policjantów. - Co to za komedia? Myślicie, że mnie schwytaliście? Naprawdę wam się zdaje, że ta nieporadna pułapka wystarczy? - Usłyszeli złowrogi śmiech, po którym rewolwer i księga wylądowały na ziemi. - Jestem niewidzialny! Nie widzicie mnie, więc nie możecie zapobiec mojej ucieczce! Mogę przeskoczyć do innego świata! A kiedy wrócę po to, co mi się należy, nie zobaczycie, jak wracam i skradam się za waszymi plecami!

Clayton spojrział w jego kierunku ze znużoną miną gospodarza przyjęcia, który odkrywa, że najbardziej denerwujący z gości wciąż bawi się w najlepsze.

- Czyżby? - zapytał. - Niewidzialny? Proszę się sobie dobrze przyjrzeć.

Kapitan nacisnął dźwignię i dziwne kolumny rozmieszczone w całej sali zaczęły wydawać głuche brzęczenie, rozświetlając się fantasmagorycznym niebieskim blaskiem. Oczom zebranych ukazały się wyraźnie zarysowane w powietrzu galeretowate kontury dłoni i stopniowo zaczęły przechodzić w rysunek całej ręki, ramienia, części tułowia i szyi, niczym niebieski balon w kształcie człowieka, który ktoś nadmuchuje.

- Co się, u diabła, dzieje? - wymamrotał Zły, otwierając i zamykając wodnistą dłoń przed wciąż niewidocznymi oczami.

- Nie chcę pana zanudzać wykładem z chemii - odparł uprzejmie Clayton - więc streszczę tylko kwintesencję: ta książka nie jest *Mapą chaosu*, lecz przyjemną powiastką, którą napisałem za młodu, a niedawno kazałem oprawić w imitację okładki oryginalnej księgi.

Następnie nasi naukowcy nasączyli jej oprawę substancją reagującą na pewien typ światła, którą przez ostatnich kilka minut wchłaniał pan przez skórę. Trafiła już do pańskiego krwioobiegu i jak pan widzi, barwi pańską tkankę. Nieodwracalnie. Wkrótce pańskie ciało stanie się widoczne w zwyczajnym świetle. Gratulacje, panie Rhys, na zawsze przestanie pan być potworem. Przynajmniej fizycznie...

W powietrzu widoczne były już wykrzywione furią usta, z których wydobyło się zwierzęce wycie. Potem tężejącą substancją zaczęły wstrząsać drgawki, jakby przelewały się przez nią łagodne fale.

- Przeskoczy! - zawołał Wells.

Kapitan Sinclair przesunął dźwignię o jeden poziom. Stłumione brzęczenie kolumn przeszło w głośny ryk, a z owiniętych wokół kabli błyskawicznie wystrzeliły dziesiątki błyskawic. Wszyscy zmrużyli oczy w obronie przed oślepiającym blaskiem. Tymczasem ciało Marcusa Rhysa skonsolidowało się w coś przypominającego lód - był to lód wyjątkowo rozzłoszczony.

- Zapomniałem o najważniejszym! - zawołał Clayton, zbliżając się do Rhysa, by przekrzyczeć ryk kolumn. - Te słupy emitują też specyficzne promieniowanie. Wyprodukował je sir William Crookes, jeden z największych naukowców naszych czasów... Poznałem go na seansie Lady Amber i w odróżnieniu od pana od razu mi się spodobał. Mam coś w rodzaju intuicji, która pozwala mi rozpoznać prawdziwą naturę osób, dar, który zawiódł mnie tylko raz w życiu... ale nie w przypadku pana Crookesa. Kiedy kilka dni temu odwiedziłem go, by mu wyjawić zwariowaną teorię światów równoległych i poprosić o zaprojektowanie inhibitora skoków dla osób zdolnych do przemieszczania się między światami, nawet nie mrugnął. Nie dalej jak wczoraj przysłał nam te urocze kolumny. Wygląda na to, że w samą porę. Nie zdążył ich wypróbować, ale uważał, że powinny zadziałać. I sądząc po pańskiej minie, panie Rhys, a przede wszystkim po fakcie, że wciąż pan tu jest, miał całkowitą rację. - Clayton stanął przed nosem Rhysa, który ryczał niczym złapane w pułapkę zwierzę, szczerząc zęby i zaciskając pięści. Agent schylił się, podniósł rewolwer i schował go pod marynarkę. Potem wyjął z kieszeni książkę i podstawił ją pod nos wodnistej bryle,

w którą przeobraził się Zły. - Oto oryginał, panie Rhys. *Mapa chaosu!* Dwanaście lat jej strzegłem, wiedząc, że prędzej czy później pan po nią przyjdzie! Dziś wreszcie wszystko się kończy. Przegrał pan. Resztę życia spędzi pan w nędznej celi zaprojektowanej wyłącznie dla pana, z której nigdy nie zdoła pan uciec. Księżde już nic nie zagraża, a wszystkie jej tajemnice zostały rozwiązane - dodał niemal do siebie z nieskrywaną satysfakcją. - Pozostało mi jedynie odnalezienie jej prawdziwych adresatów, tych z Drugiej Strony, a złożona staruszce obietnica zosta...

Nagle urwał, oczy mu się zaszkliły, a twarz pobraźniała. Zatoczył się do tyłu.

- Nie, proszę, nie te...

I zemdlął.

## XXXVIII

W tym samym momencie Murray i Doyle jechali wzdłuż Cromwell Road w kierunku Muzeum Historii Naturalnej. Przemierzyli odmienione Kensington, w którym ulicami zawładnęły widma. Doyle z wielkim trudem manewrował powozem, usiłując się przedrzeć przez przerażoną gawieź biegającą we wszystkich kierunkach i nie dać się rozproszyć pojawiającym się tu i ówdzie przezroczystym istotom. Murray nieszczęśliwie mu pomagał.

- Uwierzyłybyś, że właśnie zobaczyłem białego królika idącego na dwóch łapach, ubranego w marynarkę i patrzącego na zegarek? - zapytał z fascynacją, której nie przestawał okazywać, odkąd opuścili jego posiadłość.

- W innych okolicznościach nie. Ale w tych uwierzę we wszystko - burknął Doyle.

Próbował się skoncentrować na powożeniu. Unikał zderzeń z prawdziwymi powozami jadącymi z przeciwka i pozwalał się przenikać przezroczystym, które wywoływały w nim dreszcz, a Murray niczym dzieciak na safari wyliczał coraz bardziej zwariowane wizje, które pojawiały się wokół.

- Na Boga, Arthurze! Czy to był cyklop?

Doyle nie odpowiedział. Jeśli jego przewidywania były słuszne i defilada fantastycznych stworzeń z czasem miała nabrać cielesności, czekały ich poważne kłopoty. Musieli dotrzeć do muzeum, nim to nastąpi, choć nie miał pojęcia, co tam zastaną. Jeśli wszystko się udało, Niewidzialny Człowiek wpadł w zastawioną przez Claytona pułapkę i został uwięziony przez urządzenie profesora Crookesa. Na

miejscu powinni też być Wells i Jane. Może wspólnymi siłami zdołają coś przedsięwziąć. Może złoczyńca wie, jak za pomocą książki powstrzymać to całe szaleństwo - czyż nie po to właśnie chciał ją zniszczyć, żeby nikt nie mógł tego zrobić? - a oni nakłonią go do wyjawienia tajemnicy. Wystarczy odpowiednio go przycisnąć i pozwolić, by chaos zajrzał mu w oczy. A jeśli to nie skutkuje, może sami doznają nagłego zbiorowego olśnienia. Człowiek w najtrudniejszych chwilach wznosi się na wyżyny swoich możliwości, a wszystko wskazywało na to, że ta chwila jest najtrudniejsza ze wszystkich... Doyle westchnął. Kogo on chciał oszukać? Według Clayтона najwybitniejsi matematycy królestwa przestudiowali księgę i nie zdołali rozszyfrować ani jednej strony, więc szansa na to, że teraz nagle kogoś olśni, była minimalna. Najprawdopodobniej zginą wraz z resztą wszechświata...

Na wysokości Marloes Road ulicę blokowała sterta gruzu. Doyle zatrzymał powóz i przygnębionym wzrokiem lustrował barykadę. Znajdowali się już blisko muzeum, lecz pokonanie ostatniego odcinka drogi pieszo spowolni ich. Skrzywił się, zsiadł z kozła i zaczął się wspinać po kamieniach. Milioner ruszył za nim. Dotarłszy na szczyt pagórka, stwierdzili, że reszta ulicy jest w równie oplakany stanie. Jak okiem sięgnąć, przykrywał ją dywan gruzów. Ostrożnym krokiem zaczęli się po nim przemieszczać.

- Dziwne - mruknął Doyle, widząc, że otaczające ulicę domy są całe.

Skąd się wzięło to rumowisko? Wyglądało, jakby ktoś przywłókł je tu z innego miejsca wyłącznie w celu przykrycia nim tego odcinka Cromwell Road. Zdążyli przejść zaledwie kilka metrów, gdy ze skrzyżowania z Gloucester Road dostrzegli wieżę Big Bena, ciśniętą na ulicę niczym ucięta głowa ryby, i kilka zmiażdżonych przez nią budynków. Murray przyglądał się temu z mieszanką podejrzliwości i nostalgii, która nie umknęła uwagi Szkota. Przedzierali się dalej. Gdy mijali wystający spomiędzy gruzów połamany szkielet schodów, usłyszeli z oddali metaliczne postukiwanie. Zatrzymali się i obejrzeni. Z ciemnego dymu przysłaniającego koniec ulicy wyłoniło się kilka żelaznych człekokształtnych postaci - zbliżały się do nich nieprzyjemnie rozkołysanym krokiem, prawdopodobnie dzięki małym silniczkom parowym przymocowanym do pleców. Cztery

z nich niosły na ramionach lektykę, w której siedział wyniośle kolejny automat o przyozdobionej koroną żelaznej głowie.

- Boże... nie do wiary - wybełkotał Murray. - To Salomon!

Doyle był zbyt zdumiony, by odpowiedzieć. Murray ruszył ku orszakowi, otwierając ramiona, jakby chciał go przywitać.

- Nie do wiary! - wołał. - Nie do wiary!

Na widok zbliżającego się człowieka orszak przystanął. Otwierający pochód automat zrobił krok naprzód i otworzył klapę na piersi. Ze środka wysunęła się miniaturowa armatka, która natychmiast wystrzeliła w kierunku Murraya. Kula drasnęła go w ramię, wywołując okrzyk bólu. Zdumiony, że widmowe postacie przestały być niegroźne, milioner patrzył, jak automat przygotowuje się do drugiego strzału. Otumaniony, zdołał jedynie uśmiechnąć się głupkowato, nim Doyle rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Kula przeszła powietrze w miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się głowa Gilliama.

- Arthurze, on mnie zranił! - poskarżył się bardziej oburzony niż zboleły Murray.

Wciąż przykrywający go swoim ciałem Szkot zerknął na ramię milionera.

- Ledwie cię drasnął - stwierdził. - Bez obaw.

Potem przeniósł wzrok na orszak. Automat, który przed chwilą strzelał, oraz jeden z jego towarzyszy szli wolno w ich kierunku niepokojącym krokiem pijanych dzieci, mierząc do leżących z broni wyrastającej im z piersi.

- Wykończą nas! - syknął Doyle, widząc, że nie zdążą nawet wstać, nie mówiąc już o ucieczce.

Zacisnął zęby i rzucił jednemu ze złoczyńców pogardliwe spojrzenie. Murray omal się nie rozplakał. Nim jednak automaty zdążyły wystrzelić, nad głowami leżących przeskoczył jakiś cień. Zobaczyli lądujące im przed nosem wysokie czarne buty z brązowymi klamrami. Postać zwrócona była tyłem do Doyle'a i Murraya, lecz nie przeszkodziło im to zauważyć, że jest solidnej postury. Kimkolwiek

była, miała na sobie oryginalną, najeżoną nitami zbroję i ekscentryczny hełm, spod którego wystawał jedynie dumny podbródek. Eleganckim ruchem dobyła zawieszzonego przy pasie rapiera. Rozległ się świst i głowa jednego z automatów potoczyła się po ziemi. Doyle wykorzystał zamieszanie, by wstać, po czym pomógł w tym Murrayowi, który trzymając się za zranione ramię, obserwował walkę swego wybawcy z kolejnym automatem.

- To dzielny kapitan Shackleton! - Roześmiał się obłąkańczo. - Tylko jak to możliwe?

- Stali się prawdziwi! Ich broń też! - Doyle szarpał go za zdrowe ramię. - Musimy się ukryć!

Pociągnął Murraya w stronę wielkiego bloku kamienia. Zdążyli się za nim schować dokładnie w momencie, w którym na rozkaz kapitana spod gruzów wyłoniło się czterech żołnierzy, otoczyło zdeorientowane automaty i jednocześnie otworzyło ogień. Doyle i Murray zza barykady obserwowali w osłupieniu przebieg walki, gdy nagle o kilka metrów od nich powietrze rozdarło się jak przecięte nożem płótno. Rozdarcie towarzyszył przenikliwy zgrzyt, od którego niemal popękały im bębunki w uszach. Automaty i Shackleton przerwali walkę, zaskoczeni dziwnym hałasem. Zaraz potem z równie głośnym rykiem huraganu dziura poczęła wchłaniać wszystko, co ją otaczało. Rzeczywistość wypaczyła się jak pomarszczony obrus. Ciężkie automaty przez kilka sekund drgały w miejscu, aż w końcu siła ssąca oderwała je od ziemi i wciągnęła do otworu. Zaraz potem ten sam los spotkał kapitana. Doyle i Murray z rozdziawionymi ustami patrzeli, jak wszyscy oni znikają w absolutnej, przedwiecznej czerni ziejącej po drugiej stronie. Ze swej kryjówki przyglądali się czemuś, co wyglądało na ciemność istniejącą przed powstaniem ciemności; przed pojawieniem się jakiegokolwiek boga, który zaczął przyozdabiać świat. Wewnątrz tej dziury czekała nicość, niebyt, to co istniało przed stworzeniem i nie miało imienia. Na ich oczach lektyka Salomona gwałtownie poderwała się z ziemi i przeleciała przez otwór. Po niej wir zaczął wciągać gruzy, rozszerzając swój zasięg niczym pożerająca plażę fala. Powietrze i namalowana na nim rzeczywistość marszczyły się w bezlik nakładających się na siebie fałd. Niebawem wielki blok, za którym skryli się Doyle i Murray, wpadł w drgania.

- W nogi! - wykrzyknął Szkot.

Pognali w kierunku, z którego przyszedli, lecz siła przyciągania otworu zaczęła ich ciągnąć w przeciwną stronę i wyginać rzeczywistość za ich plecami, jakby chciała ją zwinąć w rulon. Doyle stęknął z rozpacz. Próba biegnięcia przypominała wspinaczkę zbyt stromą ścieżką lub walkę z rozszalałym oceanem. Każdy krok wymagał tytanicznego wysiłku, a i tak zdawało im się, że nie posuwają się naprzód.

- Nie damy rady! - jęknął Murray.

Mimo to parł z zaciśniętymi zębami, poczerwieniała twarz i pochylonym w przód ciałem. Doyle przyznał mu rację: żarłoczna dziura wkrótce musiała ich pożreć. Jeszcze kilka sekund i siła oderwie ich od coraz bardziej wykrzywającego się podłoża, by wessać tam, dokąd zabrała już kapitana i automaty: w czarną otchłań, która odbiera rozum i wypala duszę. Nadludzkim wysiłkiem Szkot obrócił głowę w prawo i odkrył, że zaledwie kilka metrów dzieli ich od skrzyżowania z Gloucester Road.

- Za mną! - krzyknął do Gilliama, zmieniając kierunek.

Murray posłuchał, pojmując, że jeśli zdołają skrócić w przecznicę, być może uda im się uwolnić od przyciągania tej siły, która każdy ich ruch zmienia w udrękę. Poruszając się, jakby byli po pas zagrzebani w ruchomych piaskach, i modląc, by nie dostać w głowę kamieniami, z których potworna siła czyniła zabójcze pociski, nadludzkim wysiłkiem skracali dystans, aż dotarli do rozwidlenia. Wtedy poruszanie stało się łatwiejsze, a ich ciała nie wydawały się już obciążone ołowianymi zbrojami. Gdy całkowicie wydostali się z zasięgu przyciągania, wyczerpani padli na ziemię.

Ze stosunkowo bezpiecznej Gloucester Road patrzeli, jak wielka bryła, która służyła im za tarczę, odrywa się od ziemi i leci ku dziurze, w której świat zdawał się znikać niczym w wirze. Budynek na rogu Gloucester i Cromwell Road zaczął się lekko wykrzywiać, dając do zrozumienia, że szczelina nie tylko pochłania to, co znajduje się wokół niej, lecz także poszerza zakres swojego działania, zmieniając



półkolisty fragment świata w falujący dywan pełen wybrzuszeń i zagłębień. Wkrótce i ta ulica przestanie być bezpieczna.

- Co to jest, do cholery? - wykrzyknął milioner, gdy wreszcie odzyskał oddech.

Doyle westchnął posepnie.

- Przypuszczam, że oglądamy właśnie początek końca.

## XXXIX

Kiedy Doyle dochodził do tego smutnego wniosku, w podziemiach budynku, do którego próbowali dotrzeć, Wells zdumionym wzrokiem wpatrywał się w patykowate ciało Clayтона, które na jego oczach osunęło się na ziemię, jakby ktoś przeciął mu sznurki. Gdy kapitan Sinclair wznosił oczy do nieba, spojrzenia Wellsa i Rhysa podążyły w tym samym kierunku: ku książce, którą upuścił zemdlony agent i która teraz leżała na podłodze o kilka kroków od pisarza. Nie zastanawiając się dłużej, niż to było konieczne w przypadku kogoś tak mało zdecydowanego jak on, Wells zrobił tych kilka kroków i podniósł książkę.

- Mam ją! - obwieścił nie wiadomo po co, wracając na poprzednie miejsce u boku Jane.

Wodnista niebieska sylwetka niewidzialnego człowieka zatrzęsła się z wściekłości, niezdolna wyrwać się z klatki promieniowania.

- To moja książka! Moja! Nikt nie zasługuje na nią bardziej niż ja! Przemierzałem dla niej pustynie! Tonąłem w oceanach krwi! Rozsiewałem popioły swojej duszy w otchłani nicości! Nie możesz mi jej teraz zabrać! Nie możesz!!! - wrzasnął jak obłąkany, kończąc ten potok słów bolesnym wyciem, które rozdarło powietrze.

Potem, wyczerpany, opadł na kolana we łzach.

- Chyba wystarczy - rzekł niewzruszony kapitan Sinclair, chowając broń do kieszeni. - Summers, McCoy, przenieście agenta Clayтона do kąta, żeby nie zawadzał. A ty, Drake, wezwij ten powóz z klatką zaprojektowaną przez Crookesa. Niech go zaparkują przed...

Resztę jego słów zagłuszył potworny zgrzyt. O kilkanaście metrów od miejsca, w którym stali agenci, coś rozdarło powietrze niczym kartkę papieru. Wszyscy odwrócili głowy w tym kierunku i wbili wzrok w pęknięcie rozciągające się od podłogi po wysoki sufit. Z wnętrza szczeliny wydobywał się przeraźliwy chłód, a za jej brzegiem rozciągała się całkowita, nieprzenikniona ciemność. I nim ktokolwiek zdążył zareagować, kolumny profesora Crookesa jedna po drugiej zaczęły wybuchać z głośnym skwierczeniem, strzelając we wszystkich kierunkach błyskawicami, które przeszywały całą kryptę, rozgrzewały powietrze i uderzały w zgromadzone tam przedmioty. Wells i Jane w przerażeniu przywarli do najbliższej ściany. Sinclair i jego ludzie rozpiechli się na wszystkie strony, oślepieni i na wpół ogłuszeni. I nagle jaskrawe światło, w którym skąpana była krypta, zgasło. Rhys wstał, zrobił kilka niepewnych kroków, a gdy poczuł, że nic już go nie trzyma, uśmiechnął się triumfalnie. Na wpół uformowana twarz rozglądała się za Wellsem - znalazła go przyciśniętego do ściany w odległości kilku metrów od siebie, bladego i roztrzęsionego.

Pisarz spojrzał błagalnie na agentów, lecz jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, że żaden z nich nie będzie w stanie mu pomóc. Oślepiiony i ogłuszony kapitan Sinclair klęczał bezradnie, a pozostali nie mieli się lepiej. Błyskawice dokonały znacznych zniszczeń: kości rzekomego szkieletu syreny rozprysły się po podłodze, futro wilkołaka płonęło, głowa Minotaura zmieniła się w kupkę popiołu, a wszędzie wokół wałała się tajemnicza zawartość rozbitych skrzyń. Salę spowijały gęste tumany dymu i chmury tysiącletniego pyłu. Rhys z aprobatą przyjrzał się dziełu zniszczenia, po czym podszedł do bezbronnoego Wellsa z widocznym tylko w połowie apatycznym uśmiechem.

- Daj książkę, George - powiedział zmęczonym głosem - i skończmy tę historię. Nie widzisz, że nawet wszechświat jest po mojej stronie?

Wells w odpowiedzi przycisnął księgę do piersi, ujął Jane za rękę i rzucił się ku drzwiom krypty. Rhys westchnął z rezygnacją.

- Cóż - mruknął - pogońmy się jeszcze raz.

Ledwie zrobił krok, a już niektóre z otaczających go przedmiotów zaczęły dygotać, jakby zapowiadały trzęsienie ziemi. Sekundę później te mniejsze i lżejsze gwałtownie wzbiły się w powietrze i poleciały w stronę rozdarcia niczym stado oswobodzonych ptaków. Zahipnotyzowany tym osobliwym zjawiskiem Rhys nie zdążył się uchylić przed ciężkim kielichem z brązu podpisanym „Święty Graal”, który uderzył go w czoło. Cios powalił złoczyńcę na ziemię i oszołomił. Wells obejrzał się przez ramię, nie przestając biec. W głębi krypty zobaczył kapitana Sinclaira, który zdołał się podnieść i szukając rozpaczliwie czegoś, czego mógłby się schwycić, walczył z potężnym wichrem próbującym go wciągnąć do otworu. Ta sama siła zaczęła przesuwać w kierunku zabójczej szczeliny bezwładne ciało Claytona. Niestety Wells nie mógł pomóc żadnemu z nich, bo musiał ratować księgę przed Rhysem, który zaczynał już się podnosić, potrząsając ostrożnie głową. Nie tracąc więcej czasu i nie ryzykując wciągnięcia przez tajemniczą siłę, Wells i Jane wybiegli z krypty i pognali przez labirynt korytarzy.

- Co to było? - wyjąkała zdyszana kobieta.

- Nie wiem. Może to skutek awarii kolumn Crookesa - odparł Wells.

Szczerze mówiąc, wątpił w to. Zdołał wprawdzie tylko rzucić okiem na otwór, ale ciemność, którą ujrzał w jego wnętrzu, wydobywające się zeń lodowate zimno i wsysająca wszystko siła... Nie, nie chciał o tym myśleć. Przyspieszył kroku, usiłując znaleźć wyjście i nadstawiając uszu, by sprawdzić, czy nie ściga ich Zły. Z oddali dobiegały szybkie, gniewne kroki. Serce zamarło mu w piersi. To musiał być Rhys. Jeszcze chwila i ich dopadnie. Może będą mieli szansę, jeśli zdołają się wydostać na ulicę. Na pewno ktoś im pomoże albo złapią dorożkę i uciekną Złemu sprzed nosa... Zaraz jednak pojął, że nie jest w stanie odnaleźć drogi w plątaninie korytarzy, które często okazywały się ślepe, zmuszając ich do odwrotu, albo kończyły się drzwiami prowadzącymi do miejsca, w którym przed chwilą byli. Labirynt sprawiał wrażenie, jakby wyrosły mu nowe odnogi, nieprowadzące donikąd lub zapętłające się. Niektóre drzwi miały dziesiątki klamek. Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad tym dziwnym zjawiskiem, biegli więc dalej, na chybił trafił obierając

kierunki i pragnąc jedynie oddalić się od rozbrzmiewających w oddali kroków. Kiedy trafili na schody wiodące do holu, wbiegli po nich co sił, dziękując losowi, że wydobył ich z tej plątaniny ścieżek.

Ledwie znaleźli się na górze, usłyszeli kroki, po czym z jednej z bocznych sal wybiegł przerażony młodzieniec w mundurze strażnika muzeum. Wells próbował go zatrzymać i poprosić o pomoc, lecz chłopak najwyraźniej postradał zmysły. Wyrwał mu się i biegł dalej, jakby go ścigały wszystkie demony piekła. Wells i Jane spojrzeli po sobie, nie pojmując, co mogło wywołać aż taką panikę. Zdawało im się, że zdolna jest do tego jedynie istota, przed którą sami uciekają. Mylili się.

Najpierw usłyszeli śpiewy. Dochodziły z sali, z której uciekł strażnik, i wydawały się wydobywać z gardeł nienależących do ludzi:

*On jest Panem Domu Cierpienia.*

*On jest Tym, który stwarza.*

*On jest Tym, który zadaje rany.*

*On jest Tym, który leczy i koi.*

*On jest Panem błyskawic...[10](#)*

Wells i Jane popatrzeni na siebie zdjęci grozą. Doskonale znali te jeżące włos na głowie wersy, ale to niemożliwe, żeby...

W tym momencie z półmroku sali wychynęła grupa groteskowych postaci. Maszerowały sztywnym krokiem paralityków, ubrane w łachmany, i wszystkie bez wyjątku miały zwierzęce atrybuty: pochodowi przewodził srebrzystowłosa osobnik o wyglądzie satyra, a dokładniej - skrzyżowania małpy z kozą, za nim podążała krzyżówka hieny ze świnią, lisicy z niedźwiedzicą, a także mężczyzna o poczerniałej twarzy i wypukłych, przywodzących na myśl pysk ustach... Na szczęście Wells i Jane zdążyli się ukryć za załomem schodów. Skupiona na swoich makabrycznych śpiewach groteskowa trupa skierowała się do wnętrza muzeum, potrząsając rogatymi łbami, szczerząc kły, świecąc w ciemności oczami o pionowych źrenicach... Wells pokręcił głową, zde gustowany i rozbawiony

zarazem. Jak to możliwe, że stworzenia, które wymyślił i opisał w *Wyspie doktora Moreau*, naprawdę się tu zjawiały?

Nim zdążył sobie odpowiedzieć, u stóp schodów pojawiła się sylwetka Rhysa. Szybko pobiegli w stronę drzwi wyjściowych, które jakiś strażnik - być może ten uciekający teraz przed zwierzętami - pozostawił otwarte na oścież. Ledwie jednak tam dotarli, musieli się zatrzymać. Zdjęci trwogą obserwowali ze szczytu wiodących na ulicę schodów coś, co musiało być sumą wszystkich ludzkich koszmarów, z jakichś powodów zrzuconą na dzielnicę South Kensington. Na niebie złożonym z niebieskich, fioletowych i purpurowych łąt, jakby ktoś pozszywał ze sobą kawałki różnych firmamentów, zataczał kręgi olbrzymi ognisty ptak. Ulicą w dole biegł gigantyczny trójgłowy pies o węzowym ogonie, uderzając łapami, aż trzęsła się ziemia, a przerażony tłum w popłochu umykał przed jego kłapiącymi wściekle zębiskami. Na horyzoncie nad Chelsea rój kuriozalnych obiektów latających z przymocowanymi do skrzydeł śmigłami spuszczał bomby na budynki, a te rozpadały się w drobny mak. Nim zdążyli ogarnąć ten szalony krajobraz, z Brompton Road wybiegło stado jednorożców i przegalopowało przed ich zdumionymi oczami w stronę Cromwell Road niczym cudowny tuman połyskliwego pyłu.

- Patrz, Bertie! - Jane wskazała jedną z bocznych uliczek.

Wells spojrzał w tamtym kierunku i ujrzał marsjański trójnóg identyczny z tymi opisanymi przezeń w *Wojnie światów*, kroczący na patykowatych nogach i strzelający ognistym snopem do ludzi i budynków. Przestraszył go widok własnego wymysłu dokładającego swoje trzy grosze do tego spektaklu zniszczenia, lecz nie miał czasu na lamenty, gdyż w tej właśnie chwili oboje usłyszeli furkot potężnych skrzydeł i unieśli wzrok. Smok rodem ze średniowiecznego bestiariusz przeleciał nad szeregiem domów, płosząc grupkę bawiących się na dachu mężczyzn-nietoperzy, całkowicie nieświadom rozgrywającego się wokół dramatu. Opuścił błoniaste skrzydła i zanurkowawszy na sąsiednią ulicę, zniknął Wellsom z oczu za sznurem powozów. Jako że w pobliżu nie było żadnego Zygryda czy Perseusza, który mógłby stawić mu czoło, smok zionął ogniem, od którego jeden po drugim zapalały się powozy. Ich pasażerowie rozpierzchali się w popłochu na wszystkie strony. Kilkoro zauważyło

otwarte drzwi muzeum i ruszyło ku schodom, lecz smok zorientował się w ich zamiarach, skręcił gwałtownie i przeleciał nad nimi, a z jego pyska wydobył się potworny płomień. Nieszczęśnicy stanęli w ogniu, którego gorąco uderzyło także w przerażonych Wellsów, zmuszając ich do cofnięcia się w głąb holu. Niektóre z podpalonych osób upadły na schodach, inne jednak zdołały wbiec do środka, by zaraz potem paść na podłogę, więc się w groteskowych drgawkach i ostatecznie znieruchomieć. W powietrzu rozniósł się mdlący fetor spalonego ciała. Wells i Jane stali jak sparaliżowani, dopóki nie dostrzegli pędzącego ku nim przez hol Rhysa. Widząc, że smok wciąż uniemożliwia im wydostanie się na ulicę, para chwyciła się za ręce i wbiegła do jednej z bocznych sal. Rhys ruszył za nimi, gotów do ostatecznej rozprawy.

Tymczasem Sherlock Holmes i jego zaprzysięgły wróg profesor Moriarty walczyli na śmierć i życie nad wodospadem Reichenbach. Choć widziani z dołu przez niewprawne oko mogli się wydać parą tańczącą niezgrabnie na biegnącej skrajem wodospadu ścieżce, w rzeczywistości wymieniali ciosy wymierzone w najbardziej strategiczne punkty anatomii przeciwnika i starali się zaskoczyć go nieoczekiwanym manewrem, wykorzystując znajomość różnych sztuk walki. W pewnej chwili obaj chwycili się mocno i siłowali energicznie, aż stoczyli się na skraj przepaści, w którą ostatecznie runęli. Spadli pomiędzy dwie ściany z połyskliwego czarnego kamienia, pokonali niemal dwustupięćdziesięciometrową wysokość i zniknęli w głębokiej przepaści, którą pędziła potężna masa wody. Z postrzępionych brzegów szczeliny unosiła się nieustanna mgielka kropel, wywołująca wrażenie, jakby powietrze wokół składało się z mieniącego się kolorami szkła. Niektóre z kropelek rozbiły się na twarzy stojącego u stóp wodospadu Arthura Conan Doyle'a. Otarł je grzbietem dłoni, nie przestając wpatrywać się w imponujący wodospad rozwieszony niczym gigantyczne płynne prześcieradło między dwoma budynkami na Queen's Gate.

- Wielkie nieba! To ten przeklęty wodospad Reichenbach! -  
wykrzyknął stojący obok Doyle'a Murray. - A to był Holmes, który  
zginął na naszych oczach dokładnie tak, jak w twoim opowiadaniu.  
Co to wszystko, do diaska, ma znaczyć?

Pisarz milczał. Wciąż był pod wrażeniem sceny, którą wymyślił przed siedmiu laty, a przed chwilą ujrzał odtworzoną w formie bardziej rzeczywistej, niż kiedykolwiek mógłby wykreować w myślach. Potem nagle otrząsnął się z bezruchu, chwycił Murraya za przedramię i zmusił, by biegł za nim.

- Nieważne. Zastanowimy się później... o ile oczywiście zdołamy dobiec do muzeum i uratować świat.

- Naprawdę wierzysz, że można to powstrzymać? - zapytał milioner, dysząc głośno.

- Nie wiem - przyznał Doyle. - Mówiłem ci już, że agent Clayton ma książkę, która podobno zawiera rozwiązanie. Chyba że Niewidzialny Człowiek już mu ją zabrał.

- A gdzie się podział wasz genialny plan? - zapytał z lekką urazą Murray. - Ten, który nie wymagał mojej pomocy?

- Na litość boską, już ci mówiłem, że dzwoniłem do ciebie tysiąc razy! I właśnie dlatego, że nie odbierałeś, w końcu pofatygowałem się osobiście. Gdybym został w domu, przy tym cholernym czajniku, uczestniczyłbym w zasadzce, a nie zostawiał biednego George'a samego!

Zatrzymał się. Stali przy tylnej ścianie imponującej neogotyckiej budowli muzeum. Zamiast ją obejść dookoła, Doyle skierował się ku niepozornym drzwiom ukrytym w wąskiej uliczce. Murray z konsternacją na twarzy ruszył za nim.

- Clayton dał nam klucze do wszystkich drzwi, żebyśmy mogli wejść do muzeum, nawet jeśli będzie zamknięte. Myślę, że te drzwi znajdują się najbliżej krypty - wyjaśnił Szkot, próbując po kolei wszystkie klucze i klnąc pod nosem.

- Mogłeś je jakoś oznaczyć - zakpił Murray. - Nie chcę wyjść na pesymistę, ale dostrzegam w w a s z y m planie potworny brak organizacji.

- Nie jesteś zbyt pomocny, Gilliamie - mruknął Doyle, wściekle mocując się z zamkiem drzwi.



- Jak to nie? Przypominam ci, że to ja postrzeliłem Niewidzialnego Człowieka. To cię nie przekonuje?

- Przekonywałoby, gdybyś miał ze sobą kuszę - burknął Doyle, wypróbowując kolejny klucz, który w końcu obrócił się w przeklętym zamku.

Za drzwiami czekała na nich plątanina korytarzy. Pisarz pewnym krokiem ruszył w głąb jednego, lecz w połowie drogi przystanął, zawrócił i wybrał inny wiodący w tym samym kierunku. Murray podążył za nim, niezbyt przekonany, że to właściwa droga.

- Widzę, że bardzo trudno znaleźć tę Kryptę Osobliwości - zakpił. - Nie masz jakiegoś planu czy czegoś podobnego? „Krypta Osobliwości”! - prychnął. - Co to w ogóle za nazwa?

W tym momencie usłyszeli hałas dobiegający z jakiegoś punktu labiryntu. Doyle przystanął gwałtownie, a Murray wpadł na niego.

- Niech to szlag... - zaklął.

Szkot kazał mu milczeć i nadstawił uszu.

- Chyba mają kłopoty... - szepnął.

Nasłuchując, zmienił kierunek i ruszył w głąb innego korytarza. Murray podążył za nim, masując obolały nos. W miarę jak posuwali się naprzód, hałas narastał. Głośniejszy od rozpaczliwych krzyków i uderzeń rozbrzmiewał jednak znany im już ryk huraganu. W głębi korytarza dostrzegli otwarte na oścież drzwi krypty. Pobiegli ku nim i wpadli do sali, nie wiedząc, co tam zastaną - stanęli jak wryci na widok rozdarcia w powietrzu przypominającego to, które zakończyło walkę kapitana Shackletona z automatami. Żarłoczna dziura sięgała od sufitu do podłogi, pośrodku rozszerzając się lekko niczym olbrzymia żrenica gigantycznego gada. A jej promień rażenia wciąż się powiększał, przez co pochłaniała coraz większe połacie krypty. Rzeczywistość wokół otworu zaczynała się już zakrzywiać, kilku znajdujących się w jego pobliżu policjantów trzymało się kurczowo stosów skrzyń lub innych ciężkich przedmiotów, których wichura na razie nie zdołała poruszyć. Parę metrów dalej kapitan Sinclair mocno obejmował jedną z kolumn Crookesa. Siła próbująca go wessać była tak potężna, że wisiał niemal równolegle do ziemi. Na końcu Doyle

i Murray zauważyli Clayтона, który nieprzytomny leżał na podłodze, a wicher ciągnął jego bezwładne ciało w kierunku otworu. Zrozumieli, że jeśli nic mu nie przeszkodzi, za kilka sekund agent zostanie wessany.

Wymieniwszy spojrzenia, pobiegli ku nieszczęśnikowi, pragnąc go schwycić i pociągnąć w przeciwną stronę, lecz gdy tylko znaleźli się w zasięgu działania siły, okazało się, że to nie takie łatwe. Szarpnął nimi podmuch śmieszny w porównaniu z tym, który próbował ich wciągnąć na Cromwell Road, lecz dość silny, by ich przewrócić. Runęli na podłogę i sunęli po niej, jakby jechali na niewidzialnych sankach, podczas gdy zbliżające się do szczeliny ciało Clayтона gwałtownie przyspieszyło. Zauważył to kapitan Sinclair i szacując, że jego podopieczny prześlizgnie się bardzo blisko niego, najdalej jak mógł wyciągnął lewą rękę i zdołał go schwycić za protezę. Niestety siła była tak wielka, że metalowa dłoń została kapitanowi w ręku, a nieprzytomne ciało nadal sunęło w stronę otworu. Na szczęście wpadło na jeden ze słupów Crookesa i zaplątało się w kable.

- Chwyć kapitana! - zawołał do Murraya Doyle, który mimo własnych kłopotów śledził bieg wydarzeń. - Utworzymy łańcuch!

Prześlizgujący się właśnie obok Sinclaira milioner wyciągnął ręce i zdołał go schwycić za nogi, czując jednocześnie, że jedna z rąk Doyle'a niczym szczytce chwyta jego lewą kostkę. Spoglądając przez ramię, zobaczył, że Szkot schwycił Clayтона za kołnierz marynarki dokładnie w momencie, w którym przyciąganie wyrwało agenta z płataniny kabli. Czterej mężczyźni zastygli, tworząc coś na kształt ludzkiego węża, którego głowę stanowił przywierający do kolumny Sinclair, ogon zaś nieprzytomny i bezręki Clayton. Ziejąca z otworu siła ciągnęła ich niemiłosiernie, jakby naciągała strunę gitary.

- Kolumna pęka! - oznajmił ku powszechnemu przygnębieniu kapitan.

Wyjście blokował smok. Uciekający przed niewidzialnym draniem Wells zastanawiał się, jakim cudem jego życie mogło się potoczyć tak absurdalnym torem. A jednak. Wyjście blokował smok, smok z innego świata - świata, w którym takie stworzenia istniały. Bo wszystko, co potrafił sobie wyobrazić człowiek, już gdzieś istniało,

nawet baśnie o porwanych księżniczkach, dzielnych rycerzach i ziejących ogniem straszliwych smokach. Dlatego natknęli się na oddział zwierząt, dlatego Londyn niszczyły marsjańskie trójnogi... Nastął koniec świata, koniec wszystkich możliwych światów, koniec wszystkiego, co wyobrażalne. A księga, którą Wells przyciskał do piersi, księga własnoręcznie przezeń napisana, zawierała instrukcję zapobiegnięcia katastrofie, choć dla niego i Jane był to wyłącznie niezrozumiały galimatias.

Wbiegli do jednego ze skrzydeł muzeum. Byli wycieńczeni, ale wściekłe okrzyki Złego za plecami zmuszały ich do kontynuowania biegu. Przemknęli przez słynną salę wielorybów wypełnioną szkieletami i olbrzymimi kopiami waleni, potem przez salę, w której wystawiono wszelkiego rodzaju rośliny, aż wreszcie dotarli do sali skamielin... z której nie było wyjścia. Małżonkowie oparli się o ścianę w głębi pomieszczenia, zdyszani, zlani potem i zbyt wyczerpani, by rozpaczać nad swoim losem. Po chwili w drzwiach pojawiła się wodnista sylwetka Złego, ujrzała ich stojących pod ścianą i bez pośpiechu ruszyła ku nim. Prześladowca również wydawał się zmęczony i prawdopodobnie chciał jak najszybciej zakończyć swój długi pościg poprzez światy, w którym oni mieli stanąć ostatnią rundę. Wellswie zauważyli, że niebieska substancja zabarwiła już niemal całe jego ciało. Pozostało zaledwie kilka niewidzialnych odcinków - wśród nich lewa ręka i część klatki piersiowej. Twarz była wyrzeźbiona w całości, brakowało natomiast większości głowy, wskutek czego rysy zdawały się zawieszony w powietrzu, jakby je wymalowano na pomarszczonym materiale. Zatrzymał się o kilka metrów od nich i westchnął ze szczerym niesmakiem.

- Czy ta absurdalna bieganina była konieczna, George? Co wam z tego przyszło? - zapytał teatralnie. Potem przez długą chwilę wpatrywał się w pisarza. - Daj mi książkę. Nie masz wyjścia, George. Zostaliście sami. Nie wygrasz ze mną.

Wyciągnął ku pisarzowi swoją jedyną widoczną, jakby wyrzeźbioną w lodzie rękę. Wells spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem. Wydawało się, że za chwilę odda Rhysowi *Mapę chaosu*, lecz zamiast tego mocniej przycisnął ją do piersi, zamknął oczy i pochylił lekko głowę, jakby chciał się pomodlić. Jane z przestrawieniem obserwowała

zrezygnowaną postawę męża. Zły natomiast przyglądał się z rozbawieniem temu, co wyglądało na ostatnią ekstrawagancję jego ofiary.

- Skoro sobie życzysz - mruknął posepnie, jakby żałował, że sprawy potoczyły się w ten sposób - będę musiał sam ci ją zabrać.

Nie udało mu się jednak spełnić groźby, bo w tym momencie do sali wpadła nie wiadomo skąd hałaśliwa banda złożona z co najmniej tuzina osób, pośród których był konduktor tramwajowy i kilku robotników drogowych.

- Niewidzialny Człowiek! - zawołał jeden z nich, wskazując zaskoczonego Rhysa.

Od grupy oderwał się potężny robotnik, który kilkoma długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od Złego, uniósł łopatę i brutalnie uderzył go w połowicznie tylko widoczną głowę. Rhys upadł na podłogę i natychmiast został otoczony. Jego ciało zaczęło wibrować, lecz nim zdążył przeskoczyć między światami, spadł na niego deszcz wściekłych ciosów i kopniaków. Gdyby ktoś w tym momencie wszedł do sali, pomyślałby, że odbywa się tam wyjątkowo brutalny mecz rugby. Mimo niesłabnących uderzeń Zły z wielkim wysiłkiem zdołał się podnieść, lecz natychmiast został złapany przez konduktora za ramiona i szyję i ponownie ściągnięty do parteru, gdzie czekała go nowa seria kopniaków. Wells i Jane z przerażeniem przyglądali się spod ściany temu pokazowi bestialstwa. Gdy stało się jasne, że Rhys nie wstanie ponownie ani nie ucieknie do innej rzeczywistości, pisarz chwycił żonę za rękę i poprowadził do wyjścia, omijając skupionych na swoim wyrafinowanym okrucieństwie oprawców. Nim doszli do drzwi, za ich plecami zaległa cisza. Odwrócili się i zobaczyli, że agresorzy odsuwają się zdyszani, z pokrwawionymi pięściami, a wewnątrz utworzonego przez nich kręgu leży nieruchoma postać Złego.

- Boże - wymamrotała Jane. - Zupełnie jak w... - Przerwała w pół zdania, zbyt przerażona i zdezorientowana, by dokończyć.

- Zupełnie jak w końcu *Niewidzialnego człowieka*. Rhys zginął w ten sam sposób i z rąk tych samych ludzi co ten wariat Griffin.

- Ale jak to możliwe?

- Jest możliwe, bo to wymyśliłem - odparł Wells.

Jane spojrzała na niego skonsternowana.

- Naprawdę nie rozumiesz, co się wokół dzieje? *Wyspa doktora Moreau, Wojna światów...* to moje książki, Jane, ale wygląda na to, że są jednocześnie istniejącymi gdzieś światami. A teraz zderzają się z naszym i najwyraźniej moje wytwory, o ile rzeczywiście nimi są, w pewien sposób lgną do mnie.

- Więc pomyślałeś, że jeśli się skoncentrujesz, zdołasz urzeczywistnić końcową scenę *Niewidzialnego człowieka* - podsumowała z podziwem Jane.

Wells przytaknął i oboje spojrzeli na zwłoki Marcusa Rhysa, człowieka z przyszłości, który zabił ich tyle razy. Jego ciało było już w pełni widoczne, substancja zgęstniała i zmatowiała. Wyglądał jak zwykły mężczyzna o atletycznej sylwetce i ostrych, nieco topornych rysach, częściowo skrytych pod gęstą i zaniedbaną brodą. Garnitur miał podarty i zbroczony krwią. Posiniała od ciosów twarz zastygła w wyrazie furii i rozpacz.

- Już nic nie zagraża księdze - rzekł Wells.

Ale koniec świata trwał. Wellsowie ruszyli biegiem do Krypty Osobliwości, gdzie jakiś czas temu zostawili agenta Claytona, kapitana Sinclaira i jego ludzi na pastwę kosmicznej dziury. Przebiegając przez hol, omijali wzrokiem główne drzwi: krzyki i wybuchy dobiegające z ulicy dobitnie świadczyły o tym, że festiwal zniszczenia się nie skończył. Znalazłszy się w podziemiach, usłyszeli ryk huraganu dobywający się z otworu, i kierując się nim, dotarli do krypty. Stanąwszy w drzwiach, zobaczyli, że jego siła znacznie się wzmogła, i obserwowali łańcuch utworzony przez Sinclaira, Claytona oraz Doyle'a i Murraya, którzy musieli się tu zjawić pod ich nieobecność. Rzeczywistość coraz bardziej się kurczyła, szczelina wciągała coraz większe przedmioty i szarpała ludźmi. Jedyne z agentów, który nie został jeszcze wessany, na oczach Wellsów opuściła resztkę sił. Jego dłonie ześliznęły się z obejmowanej skrzyni, a ciało pofrunęło ku żarłocznej dziurze, wirując wraz z trąbą. W tym

momencie kolumna, do której przywierał kapitan, wydała złowróżbny chrzęst.

- Kolumna pęka! - krzyknął Sinclair.

- Bertie, oni zginą! - zawołała Jane, trzymając się framugi, podczas gdy falbany koszuli nocnej łopotały na wietrze.

Wells skinął ponuro głową, ze smutkiem przyglądając się trzymanej w rękach księdze.

- Do diaska, tu podobno znajduje się klucz do powstrzymania tego, ale żadne z nas nie ma pojęcia, jak go użyć! - wykrzyknął sfrustrowany.

- Nie byłabym tego taka pewna, Bertie.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że słyszy głos Jane, ale żona stała obok, spoglądając nań błagalnie i w milczeniu, a głos dobiegał spoza krypty. Odwrócili się więc i ujrzeli pośrodku korytarza osobliwe trio: drobnutką i kruchą staruszkę przyglądającą im się z czułością, obok niej dryblasza o końskiej twarzy i spojrzeniu kapryśnego erudyty, a za nimi niemal dwumetrową postać owiniętą długą czarną peleryną, o twarzy ukrytej za szerokim rondem kapelusza. Usiłując stłumić dreszcz, Wells wbił wzrok w staruszkę, która uśmiechnęła się, by go uspokoić. W jednej chwili przypomniał sobie wszystko, co mu opowiedział Rhys, i rozpoznał te buńczuczne, inteligentne oczy.

- Jane...

Przytaknęła, z melancholią wpatrzona w trzymaną przez Wellsa książkę.

- W końcu do ciebie dotarła - szepnęła.

Skinął głową, wypinając pierś w żalosnej próbie wydania się godnym tego skarbu. W końcu to jemu, ostatniemu z długiego łańcucha identycznych Wellsów, przypadło w udziale uratowanie książki z narażeniem życia; to on musiał zapobiec zniszczeniu jej przez nikczemnika wszech czasów.

- Pora ją oddać „tym, którzy przybyli z Drugiej Strony” - kontynuowała staruszka, wskazując eleganckiego dżentelmena, a ten przytaknął uroczyście.

Wells podał mu książkę, czując przy tym raczej ulgę niż powagę chwili. Mężczyzna zaczął wprawnymi palcami przerzucać strony, od czasu do czasu kiwając głową. Pisarz tymczasem przyjrzał się postarzałej Jane, która patrzyła na niego z tęsknym uśmiechem, i poczuł wielki przyływ podziwu: ileż musiała przecierpieć ta kobieta, odkąd jej mąż zginął z rąk Złego, a jednak nigdy się nie poddała, a co więcej, dopięła swego, oddając księgę ludziom „z Drugiej Strony”.

- Jestem z ciebie dumny, Jane - powiedział, odwzajemniając uśmiech. - I myślę, że mówię w imieniu wszystkich Wellsów wszechświata.

Staruszka uśmiechnęła się szerzej, po czym zrobiła krok ku niemu i przez chwilę z czułością patrzyła mu w twarz. Wells zrozumiał, że wspomina mężczyznę, którego kochała i który wiecześnie temu zginął na jej oczach od strzału w serce. Zbliżyła usta do jego twarzy, a on przymknął oczy, sądząc, że chce go pocałować. Przygotował się na to, że zostanie depozytariuszem pocałunku przeznaczonego dla innego z Wellsów i mającego doń dotrzeć poprzez sieć niewidzialnych więzów łączących ich wszystkich. Zamiast pocałunku poczuł jednak, że staruszka dotyka czołem jego czoła i trwa tak przez chwilę, jakby mogła w ten sposób usłyszeć rój myśli kłębiących się w jego czaszce. Gdy się odsunęła, ujęła za rękę swoją bliźniaczkę i powtórzyła gest. Stały tak przez kilka sekund: jedna wsparta o kobietę, którą kiedyś miała się stać, druga o tę, którą kiedyś była.

Magię chwili zniweczył mężczyzna studiujący księgę, wydając okrzyk triumfu. Pokazał jedną ze stron egzekutorowi, ten przytaknął ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy, po czym dotknął rączki swojej laski, a ona natychmiast się rozświeciła.

- Musimy iść - oznajmił, nie poruszając ustami. - Ja mam wszechświat do uratowania, a pani do napisania szczęśliwy finał.

Staruszka pożegnała ich uśmiechem i ustawiła się przed egzekutorem, który niczym iluzjonista przykrył ją płaszczem. Powietrze zadrżało lekko i po chwili Wellsowie zostali sam na sam z naukowcem. W tym momencie wewnątrz krypty rozległ się głośny szcęk. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli, jak kolumna, której trzyma się kapitan Sinclair, pęka na pół, a ich przyjaciele fruną ku dziurze.

- Boże! - wykrzyknęli jednogłośnie Wellsowie.

Pierwszy w kolejce agent Clayton nie zdążył jednak przelecieć przez szczelinę, bo ta niespodziewanie zniknęła, jakby nigdy jej tam nie było, a wraz z nią ucichła wciągająca ich trąba powietrzna. Uwolnieni od jej siły czterej mężczyźni i deszcz przedmiotów runęli na ziemię. Stojący w drzwiach Wells i Jane odetchnęli z ulgą. Pozostali - w tym Clayton, który odzyskał przytomność po uderzeniu o posadzkę - podnieśli się, stękając z bólu, i wodzili wokół zdezorientowanym wzrokiem.

- Co się stało? - zapytał agent, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Jane z porozumiewawczym uśmiechem spojrzała na męża.

- Chcesz wiedzieć, co się stało, Bertie? - szepnęła. - Dzięki swojej wyobraźni uratowałeś wszechświat.



## XL

Każdego ranka strażnik Muzeum Historii Naturalnej, zaledwie osiemnastoletni chłopak o imieniu Eric, wchodził po schodach i otwierał majestatyczne podwoje, wyobrażając sobie, że jest Goldrym Bluszco, jednym z wojowniczych demonów walczących z Gorice'em XII, królem Wiedźmolandii. Sprytny czarodziej zawsze otaczał się bandą podłych nekromantów, z których każdy mógł służyć za wzór nikczemności, więc nietrudno było wyobrazić sobie szcęk szabel i zobaczyć karmazynową krew zalewającą wypaloną ogniem bitewnym ziemię. Eric od dziesiątego roku życia fantazjował o tym świecie, kreśląc w zeszycie sceny i postacie, a teraz chętnie do niego wracał, by ubarwić sobie banalną pracę strażnika, jakże odległą od jego aspiracji. Przemierzając puste sale, zapalając światła i sprawdzając, czy wszystko jest gotowe na przyjęcie zwiedzających, uciekał w rojenia o czynach dzielnego i szlachetnego Goldry'ego w świecie tak odmiennym od jego własnego i istniejącym tylko w snach; świecie, gdzie pojedynki na szpady, czary i makiaweliczne intrygi były na porządku dziennym. W wędrówce towarzyszył mu metaliczny pabrząk pęku zawieszonych u pasa kluczy otwierających wszystkie drzwi w muzeum z wyjątkiem jednych. Był to jedyny moment dnia, w którym Eric czuł, że wszystko jest w porządku. Przez większość czasu uważał bowiem, że jego dusza kompletnie nie nadaje się do takiego życia i że powinna należeć do arystokraty lub genialnego artysty, a w każdym razie do kogoś, komu pisane są wielkie czyny, lecz z powodu jakiegoś kosmicznego błędu trafiła do ciała żyjącego w niewdzięcznym świecie i skazanego na bylejakość.

Rankiem dwudziestego trzeciego września chłopak był jednak zbyt zmęczony, by uciekać w fantazje. Wspiął się na schody, ziewając

wniebogłosy i zachodząc w głowę, co się z nim dzieje: wstał tego dnia z wrażeniem, że przez całą noc nie zmrużył oka, choć jednocześnie czuł, jak mgliste pozostałości dziwnego koszmaru bezskutecznie próbują się przebić do świadomości. Pamiętał jedynie, że uciekał skądś przerażony, a wspomnienie owej ucieczki okazało się tak realistyczne, że nawet po przebudzeniu bolały go nogi. Stanąwszy przed drzwiami, potrząsnął głową, by otrzeźwieć, i sięgnął do kieszeni po klucze. Musi przestać wymyślać te historyjki, bo zwariuje. Jaki z nich pożytek? Nie jest pisarzem, choć marzył o tym w dzieciństwie, ani nawet poważnym urzędnikiem Brytyjskiej Izby Handlowej czy kimś w tym rodzaju, tylko zwykłym strażnikiem muzealnym. I nic nie wskazuje na to, by sytuacja kiedykolwiek miała się zmienić. Może zresztą powinien być za to wdzięczny losowi, jak doradzała mu matka, ilekroć ośmielił się wspomnieć jej o swoich marzeniach. „Wyobraźnia jest dobra dla bogatych - mawiała - ale talerza z ciepłym jedzeniem nie przyniesie”...

Nim zdążył włożyć klucz do zamka, drzwi muzeum otwarły się gwałtownie, omal go nie przewracając, i ze środka wybiegł wysoki mężczyzna o końskiej twarzy.

- Patrzcie! Wszechświat jest bezpieczny! - wykrzyknął, rozkładając szeroko ręce. Potem mrugnął do towarzyszącej mu dziwnej pary i dodał: - A wszystko dzięki wyobraźni!

Para, ku zdumieniu Erica ubrana w piżamy, wydawała się równie zachwycona jak dryblas. Chłopak z zaciekawieniem przyglądał się osobliwej grupce. Oprócz dwójki, która rozanielonym wzrokiem wpatrywała się w niebo, i rozglądającego się w ekstazie człowieka o końskiej twarzy było tam dwóch korpulentnych mężczyzn, jeden z wąską jasną bródką, a drugi z sumiastym wąsem, wykazujący nieprawdopodobne podobieństwo do znanego pisarza Arthura Conan Doyle'a. Oni też wydawali się oczarowani faktem, że tego ranka niebo jest lśniaco błękitne, i co rusz klepali się po ramionach, rozchichotani niczym psotne dzieciaki. Na samym końcu z półmroku wyłonili się chudy i posępny młody człowiek, od stóp do głów odziany w czerń, oraz gruby osobnik z dziwną soczewką na oku. Ten ostatni wbił przeszywające spojrzenie w Erica. Chłopak uznał, że czas zażądać

wyjaśnień, przywołał całą odwagę, jaką w sobie miał, i wyjął cichutko:

- Przepraszam, ale skąd się państwo wzięli w muzeum? Przecież jest jeszcze zamknięte. Obawiam się, że będę musiał zadzwonić na policję...

Gruby dżentelmen i posepny młodzieniec przykręcający pod rękawem metalową protezę wymienili lekkie uśmiechy. Soczewka grubego skoncentrowała się na strażniku i wydała głuche brzęknięcie. Eric cofnął się o krok.

- Jak się nazywasz i czym się zajmujesz w muzeum, chłopcze?

- Eric Rücker Eddison - wybąkał zapytany. - O... od paru dni jestem strażnikiem...

- Ach, to dlatego nie spotkaliśmy się wcześniej. Jestem jednak pewien, że słyszałeś o Krypcie Osobliwości. Prawda?

Obaj mężczyźni rozpięli górne guziki koszul, by mógł zobaczyć ozdobione anielskimi skrzydłami kluczyki, które mieli zawieszane na szyjach.

- Ojej... to są klucze do...? - wyszeptał, a oni przytaknęli. - O rany. Zawsze się zastanawiałem, co tam jest.

- Nic ciekawego. Zapewniam cię, że przyjemniej jest sobie to wyobrażać, niż widzieć - odparł młodszy, mrugając do Erica w sposób, który wydał mu się raczej arogancki niż miły.

- Mogę cię o coś prosić, chłopcze? - wtrącił mężczyzna o końskiej twarzy. - Powiedz, czy w ciągu ostatnich godzin widziałeś coś nietypowego?

- Coś nietypowego? To znaczy co?

- Coś w rodzaju... - Rozmówca zerknął niezdecydowanie na resztę grupy. - Cóż, nie wiem... coś niezwykłego. Innego. Na przykład patrząc na budynek, miałeś wrażenie, że jest go więcej niż jeden, albo mijane osoby wydawały ci się nieco przezroczyście... Coś, co mogło sprawiać wrażenie halucynacji, a przynajmniej złudzenia.

Oszołomiony Eric pokręcił głową.

- Na litość boską, co to za pytania? - wykrzyknął niecierpliwie ten z jasną brodą. - Słuchaj, chłopcze... Widziałeś dziurę w powietrzu, która wchłaniała wszystko wokół? Przeszła przez ciebie na wskroś armia elfów? Strzelał do ciebie automat z przyszłości?

- Nie, proszę pana. Jak pan widzi, wszystko wygląda tak jak zawsze - odparł nieco przestraszony Eric, ruchem ręki omiatając Cromwell Road.

Wielkolud prychnął niecierpliwie i wraz z pozostałymi rozejrzał się po ulicy, na której niczym puszysty dywan rozpościł się ciepły jesienny poranek: chodnikami szli pierwsi przechodnie, ulicą przemieszczały się senne powozy, z północy napływało kilka białych obłoków...

- Można by uwierzyć, że nic się nie wydarzyło - mruknął ten podobny do Conan Doyle'a. - A jednak zaledwie parę minut temu na własne oczy widziałem wytwór swego umysłu, Sherlocka Holmesa, walczącego z Moriartym na szczycie...

Eric zrobił wielkie oczy.

- Na Boga... pan jest Arthurem Conan Doyle'em?

- Owszem, synu, a przynajmniej tak sędzę - odparł Szkot, nie odrywając wzroku od pobliskich budynków.

- Nie do wiary! - wykrzyknął podekscytowany chłopak. - Jestem pańskim wielbicielem! Bo widzi pan, ja tu pracuję tylko tymczasowo, a tak naprawdę jestem pisarzem... No, nie takim prawdziwym pisarzem - dodał z pokorą. - Amatorem. Piszę dopiero pierwszą powieść, chociaż biorąc pod uwagę fakt, że mogę to robić jedynie w wolnych chwilach, pewnie nigdy nie skończę...

- Chłopcze - przerwał mu autorytatywnym tonem Doyle - możesz sobie wymyślać wymówki albo tworzyć opowieści. Twój wybór. Ja stworzyłem Sherlocka Holmesa w gabinecie lekarskim, do którego nikt nie przychodził. „Prawdziwy pisarz”! - zakpił. - Chciałbym wiedzieć, co to takiego jest, u diabła. Dlaczego nie powiesz jednocześnie, że jesteś „nieprawdziwym strażnikiem”?

Na twarzy Erica wykwitł uśmiech.

- Tak - przyznał w zamyśleniu. - Dokładnie tak czuję. Że wszystko, co mi się przydarza, powinno wyglądać zupełnie inaczej, tak jakby to nie było moje prawdziwe życie. - Potem spojrzął na pisarza z powagą. - Czy mógłbym przysłać panu swój manuskrypt z prośbą o opinię? - zapytał uroczyście.

Na widok przerażenia Doyle'a z pomocą przyszedł mu Murray.

- Jeśli potrzebujesz opinii znanego pisarza, chłopcze, polecam ci wysłanie powieści obecnemu tu H.G. Wellsowi. - Wskazał kciukiem człowieczka w piżamie, na którego Eric z racji samego stroju nie zwrócił większej uwagi. - Nigdy nie znałem nikogo, kto byłby bardziej szczerzy w swoich ocenach ani delikatniejszy w ich wygłaszaniu.

- Ojej... pan Wells! - wykrzyknął strażnik. - Proszę wybaczyć, nie rozpoznałem pana w tym... hm... Oczywiście jestem również pańskim gorącym wielbiciele... Czytałem pańskie książki po kilka razy, zwłaszcza moją ulubioną, *Wyspę doktora Moreau*. - Niespodziewanie urwał i zrobił wielkie oczy. - Dziwne, zdaje mi się, że śniłem dziś o niej, choć nie mogę sobie przypomnieć szczegółów...

- Może śniło ci się, że stado zwierząt goniło cię po muzeum? - zapytał spokojnie Wells.

Strażnik rozdziawił usta.

- Tak! Właśnie tak! Ale skąd pan to wie?

Wells machnął lekceważąco ręką.

- Taki sen dość często przydarza się... hm... początkującym pisarzom i strażnikom muzealnym.

- Teraz przypominam sobie więcej - kontynuował Eric, mówiąc do siebie powoli, jakby właśnie się ocknął z pijackiego otępienia. - Był tam też Uroboros, mój smok, który z powietrza podpalał ulice i...

- Uroboros? - zapytał mężczyzna o końskiej twarzy.

- Tak. Zatyłowałem swoją powieść *Wąż Uroboros*. - Eric uśmiechnął się nieśmiało. - To nawiązanie do skandynawskiego mitu o czymś w rodzaju smoka pożerającego własny ogon. Symbolizuje

cykliczne odradzanie się. Zawsze lubiłem skandynawskie sagi, a moja powieść to próba naśladownictwa...

- Dobrze już, dobrze - przerwał mu młody człowiek z metalową dłonią, zerkając znacząco na pozostałych, tamci przytaknęli. - Wracaj do pracy. Zdaje się, że masz parę rzeczy do zrobienia przed otwarciem muzeum. - Położył protezę na ramieniu chłopaka, popychając go lekko. Eric zerknął na sztuczną dłoń z lekką obawą. - Aha, i nie przejmuj się, jeśli w paru miejscach zobaczysz coś... nietypowego i spotkasz agentów Scotland Yardu robiących notatki. Wszystko jest w porządku. To rutynowe działania, które nie mają większego znaczenia, choć mimo wszystko prosilibyśmy o dyskrecję. Jeśli pokażesz, że potrafisz zachować milczenie, dostarczę ci adresy, pod które będziesz mógł posłać swoje rękopisy panu Doyle'owi i panu Wellsowi... zgoda?

Eric przytaknął i rzuciwszy ostatnie wniebowzięte spojrzenie na tę osobliwą gromadkę, zniknął we wnętrzu muzeum.

- I pamiętaj: to zaledwie jedna z twoich możliwych egzystencji! - zawołał za nim Doyle. - Są inne możliwości! Niezliczone!

- I na miłość boską, jeśli chcesz zostać pisarzem, skróć sobie nazwisko! - dodał Wells.

- Niewiarygodne! - rzekł Murray, gdy chłopak zamknął za sobą drzwi. - Nic nie pamięta. Myśli, że to wszystko mu się przyśniło! I jemu też ukazały się jego pisarskie fantazje, tak jak mnie kapitan Shackleton!

- A mnie Sherlock Holmes! - wykrzyknął Szkot.

- Mnie ukazały się marsjańskie trójnogi - wtrącił Wells - i jak już wam mówiłem, podczas ucieczki przed Rhysem przywołałem nawet...

- Do diaska - przerwał mu Doyle - to znaczy, że wszystko, co sobie wyobrażamy, gdzieś istnieje!

- Ale gdzie się teraz podziały te wszystkie stworzenia? Co się stało ze zniszczonymi budynkami? I ze zwłokami? - zapytała Jane. - Spójrzcie, jacy spokojni są przechodnie. Wygląda na to, że nikt nic nie pamięta!

- W istocie - przytaknął milioner. - Czy to oznacza, że końca świata nie było?

- Ale my go pamiętamy - zauważyła kobieta. - A ten chłopak o nim śnił...

Sinclair poprosił ich o ciszę, po czym zwrócił się do doktora Ramseya:

- Jeśli dobrze zrozumiałem to, co mi pan powiedział, kiedy wychodziliśmy z muzeum, pochodzi pan z tego samego wszechświata co pani Lansbury, znacznie bardziej zaawansowanego niż nasz. Być może zdoła pan rzucić na tę kwestię odrobinę światła.

- Właśnie, doktorze, co się dzieje? - dodał Clayton. - Najwyraźniej egzekutor zdołał zapobiec zakażeniu i wszystko potoczyło się tak, jakby tamten pies nigdy nie ugryzł bliźniaka pana Wellsa. Wszyscy jednak doskonale pamiętamy, co niedawno przeżyliśmy.

- Pamiętamy też Baskerville'a i tego przeklętego Rhysa - dodał Wells. - Tylko jakim cudem spotkaliśmy przybyszów z innych światów, jeśli nigdy nie było epidemii? A przede wszystkim, dlaczego moja żona i ja wciąż jesteśmy w piżamach?

Ramsey uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Panowie, pani Wells... wydaje mi się, że nie docenicie cudownego świata, który zamieszkujecie. Nie winię was zresztą. Prawdę powiedziawszy, wasz świat jest tak wyjątkowy właśnie dlatego, że żaden z jego mieszkańców nie potrafi go w pełni pojąć. Żyjecie w fascynującej krainie, gdzie wszystko jest możliwe, gdzie wszystko, co możecie wyśnić lub wymyślić, już gdzieś istnieje... i może gdzieś w innym miejscu ktoś śni albo wyobraża sobie was... Czy koniec świata się wydarzył? Tak. Czy nigdy się nie wydarzył? Również tak.

- Ale obie odpowiedzi nie mogą być prawdziwe jednocześnie! - zaoponował Murray.

- Myślę, że mogą, Gilliamie! Nie słyszałeś, co mówił doktor?! - wykrzyknął Doyle, patrząc na niego rozgorączkowanym wzrokiem. - Wszystko jest możliwe! Wszystko! Historie, które poznaliśmy

i przeżyliśmy, wszystkie te zagubione światy gdzieś istnieją. Epidemia, przygody Baskerville'a, odyseja Rhysa czy dzień chaosu istnieją, dokładnie takie, jakie pamiętamy, właśnie dlatego, że je pamiętamy! Ale historia, w której żyjemy teraz i w której to wszystko się nie wydarzyło, historia, w której udało nam się uniknąć epidemii i jej straszliwych skutków, też i s t n i e j e, ponieważ ktoś może ją teraz wspominać lub opowiadać. Być może wszyscy jesteśmy wspomnieniem innego wspomnienia innego wspomnienia, i tak w nieskończoność.

- Co to niby ma znaczyć? - jęknął Murray.

- Być może, panie Doyle - przytaknął zadowolony Ramsey - życie nie jest niczym innym, jak tylko ciągłym powielaniem samego siebie, niczym ten wąż, który zjada własny ogon...

- Albo jedną z tych rzeczy, które dzieją się tylko dlatego, że mogą - dodała z enigmatycznym uśmiechem Jane.

Mąż spojrział na nią zdziwiony.

- A dlaczego wszyscy oprócz nas wydają się nic nie pamiętać? - zapytał Clayton.

- Bo wy wszyscy mieliście kontakt z Wiedzą Najwyższą. Zrozumieliście głęboką prawdę tego, co się dzieje. Byliście obserwatorami. A to w pewien sposób uczyniło z was obcych we własnym świecie, przynajmniej na jakiś czas. Dla nich natomiast - Ramsey wskazał przechodniów - dzień chaosu nigdy nie nastąpił, bo nigdy nie przestali należeć do tego świata, w którym rzeczywiście go nie było. A sami rozumiecie, że nie można pamiętać czegoś, czego nie było. Wy jednak posiadacie uprzywilejowane umysły, wyspecjalizowane w sztuce wyobraźni i otwarte na wszelkie możliwości; umysły, które pozwoliły wam przez pewien czas być jednocześnie widzami i aktorami. Dlatego nie potraficie zapomnieć. Widzieliście coś, co się nie wydarzyło, lecz wydarzyć się mogło, a to oznacza, że w pewien sposób zaistniało. - Ramsey rozradowanymi oczami przyglądał się każdemu po kolei, szukając w twarzach oscylujących między dezorientacją a koncentracją odzwierciedlenia własnego entuzjazmu. Potem westchnął i energicznie wskazał drzwi



muzeum. - Ten młody strażnik ma podobny umysł i dlatego potrafił przeczuć, że istnieją inne przeznaczone dlań egzystencje. Być może nawet w głębi duszy przeczuwa istnienie licznych światów, w których wiedzie zupełnie inny żywot. Z pewnością w każdym razie dzięki umysłowi wytrenowanemu w wyobrażaniu sobie innych możliwych rzeczywistości pamięta to, co się zdarzyło, choć tylko w postaci snu, jako że w przeciwieństwie do was nie miał dostępu do Wiedzy Najwyższej. Nie próbujcie jej rozumieć. Pozwólcie sobie po prostu ją odczuwać. Na tym polega urok waszego świata: na dominacji uczuć, magii, tajemnicy... Dostapiliście dziś Wiedzy Najwyższej... Powiedzcie, czy czujecie się szczęśliwsi od tych spokojnych przechodniów? Nie. Pewnie, że nie. Żądza wiedzy, dyktatura rozumu - oto wirusy, które zniszczyły mój świat i omal nie doprowadziły nas do zniszczenia waszego. Po Drugiej Stronie od zarania naszej cywilizacji z takim zapałem badaliśmy wszystkie tajemnice, że udało nam się jedynie przyspieszyć rozpad własnego świata... Jestem przekonany, że prawdziwą tkanką wszechświata, ostatnim ogniwem po najdrobniejszych poziomach subatomowych, jest wyobraźnia. A ten, kto próbuje zrozumieć magię, na zawsze ją niszczy. Ci z nas, którzy przyswoili już tę lekcję, będą musieli przekazać ją innym z naszego świata, gdy już odrodzimy się w jednym z waszych. Możemy potrzebować waszej pomocy, przyjaciele. Pomocy tych z was, którzy nie zapomnieli...

- Może pan liczyć na pomoc Wydziału Specjalnego Scotland Yardu tego świata, doktorze Ramsey - zadeklarował Sinclair.

- Dziękuję, kapitanie. Agencje Clayton, wspominał pan, że te cudowne kolumny, które zatrzymały Rhysa, zaprojektował pan William Crookes... - Agent przytaknął. - Cóż, wygląda na to, że mam coś do omówienia ze starym znajomym, którego w przeszłości zdradziłem i któremu jestem winien wiele.... zbyt wiele wyjaśnień. - Ramsey marzycielsko uniósł twarz ku niebu. - Tyle jest do zrobienia! Kościół Wiedzy będzie musiał zmienić nazwę, może na Kościół Snów...

Clayton chrząknął znacząco.

- A skoro o snach mowa... kiedy zemdlałem w Krypcie Osobliwości, choć może najpierw powinienem wyjaśnić, że podczas omdleń śnię o świecie, w którym... hm, niełatwo go opisać. W każdym razie w tym świecie także nastał dzień chaosu, a ja... opowiedziałem o wszystkim, co się dzieje... k o m u ś stamtąd.

- Pańskie sny są mi znane - uśmiechnął się Ramsey - i proszę mi wierzyć, że mam panu mnóstwo do powiedzenia na temat tego, jak istotne były dla ostatecznego zwycięstwa. Zapewniam pana, że umiejętność śnienia uratowała pański świat, i nie mówię tego w przenośni. Z przyjemnością to panu wyjaśnię, nie pomijając kwestii świętego użytku, jaki zrobiono z pewnej starej próbki krwi... - Doktor znów się uśmiechnął na widok zdezorientowanej miny Clayтона. - Ale na to jeszcze przyjdzie czas. Co chciałby pan wiedzieć już teraz, synu? Czy ten k t o ś będzie to wszystko pamiętał, skoro miał dostęp do Wiedzy Najwyższej? Czy przekleństwo pańskich omdleń ma jakiś związek z epidemią kronotemii? Czy będzie pan mógł nadal przeskakiwać umysłem do innego świata?

- Cóż... bardzo chciałbym otrzymać odpowiedzi na te wszystkie pytania, ale przede wszystkim chcę wiedzieć... czy jakiś egzekutor mógłby mnie przenieść do świata z moich snów. Umysłem i ciałem.

Ramsey przez dłuższą chwilę wpatrywał się weń bacznie. Potem ze smutkiem pokręcił głową.

- Dobrze pan wie, że ona w każdym obcym sobie świecie będzie wybrykiem natury. A jeśli pan trafi do któregoś z jej pierwotnych światów, pańska natura będzie dla jego mieszkańców równie potworna... Przykro mi, ale sądzę, że żadne z was nie zaznałoby szczęścia w świecie drugiego. Pochodzicie ze zbyt odmiennych rzeczywistości. Być może wasza miłość należy do tych, które mogą się urzeczywistnić tylko w snach.

Jeśli jego odpowiedź zabolala Clayтона, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Niespodziewanie jednak z grupy wystąpił Doyle.

- Ale przeniesienie kogoś do świata podobnego naszemu jest możliwe, prawda? - zapytał, ciągnąc Murraya za ramię.

Ramsey przytaknął. Doyle pchnął lekko Gilliama, a ten przez dłuższą chwilę spoglądał na niego bez zrozumienia.

- Zaraz... - bąknął w końcu. - Zaraz... Chcesz powiedzieć, że gdybym poprosił jednego z tych ponurych olbrzymów o przeniesienie mnie do świata, w którym moja narzeczona żyje... zrobiłby to? Czy taka rzecz jest możliwa?

- Moglibyśmy spróbować, panie Murray - zaczął ostrożnie Ramsey - chociaż...

- Słyszałeś, George? - przerwał mu Gilliam z rumieńcem na twarzy. - Słyszałaś, Jane? Mogę poszukać Emmy z lustra... Mogę ją odnaleźć, Arthurze!

- Najpierw muszę wraz z innymi naukowcami przebadać stan tkanki wieloświata - wyjaśnił spokojnie Ramsey - i sprawdzić, czy egzekutorzy odzyskali całkowitą kontrolę nad swoimi laskami. Muszę się niezwłocznie udać do klubu, gdzie moi towarzysze z pewnością czekają już na pierwszą z wielu narad. Obawiam się zatem, że nadszedł czas pożegnania... Pani Wells, panowie, obiecuję, że jeszcze się spotkamy, lecz teraz muszę odejść, by wraz z pozostałymi przybyszami z Drugiej Strony omówić szczegóły Wielkiego Exodusu. Panie Murray, jeśli zechciałby pan mi potowarzyszyć, możemy po drodze przedyskutować kwestię pańskiej ewentualnej podróży.

Murray przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na doktora i go ucałować. Na szczęście w porę się zreflektował.

- Oczywiście! - wykrzyknął entuzjastycznie. - A jeśli wszystko będzie w porządku, czy będę mógł udać się tam natychmiast?

- Jeśli takie ma pan życzenie, nie widzę przeszkód.

- Takie mam życzenie.

I nigdy jeszcze, w żadnym z niezliczonych światów, nie wypowiedziano trzech bardziej szczerych słów. Po tej deklaracji Murray odwrócił się do swoich przyjaciół, by ich pożegnać, a Ramsey z tym samym zamiarem podszedł do Sinclaira i Claytona.

- Arthurze... - mruknął wzruszony Gilliam, podchodząc do Szkota.

- Wiem, wiem. Nie musisz mi dziękować. Obiecałem ci, że znajdę sposób na dotarcie do Emmy z lustra, i dotrzymałem słowa. - Doyle uśmiechnął się z zadowoleniem, zatykając kciuki w kieszenie kamizelki.

- Cóż, mam wrażenie, że nie tylko twoja w tym zasługa, ale... ech, co tam. - Murray schwycił Doyle'a za ramiona, jakby chciał go wyrównać do pionu. - Dzięki, Arthurze. Za wszystko. Nie wiem, czy tam, dokąd się wybieram, będę miał telefon... więc od czasu do czasu opowiadaj mi telepatycznie, co u ciebie słychać.

- To będzie znacznie skuteczniejsze, biorąc pod uwagę kiepskie wyniki twoich służących w odbieraniu telefonów - zakpił Doyle.

Murray wybuchnął śmiechem. Uścisnęli sobie dłonie, a drugimi rękami pokleпали się po ramionach. Potem milioner zwrócił się do Wellsa:

- George... - Kaszlnął, by ukryć drżenie głosu. - Drogi George'u, tyle ci zawdzięczam... Dzięki tobie zdobyłem uczucia Emmy...

- Gilliamie - przerwał mu zniecierpliwiony pisarz - dobrze wiesz, że to nie ja napisałem ten przeklęty...

Nie zdążył skończyć, bo Murray zamknął go w niedźwiedzim uścisku, który Wells chętnie odwzajemnił. Gdy się pożegnali, milioner objął wielkimi dłońmi twarz Jane i soczyście ucałował kobietę w usta, czemu i tym razem Wells nie zdołał zapobiec.

- Pilnuj go, Jane - rzekł, wskazując podbródkiem pisarza. - I nie pozwalaj, żeby tyle nad wszystkim deliberował.

- Możesz być o to spokojny. Ucałuj od nas Emmę - odparła ze łzami w oczach pani Wells.

Na koniec Murray podszedł do rozmawiających z Ramseyem policjantów, wyciągnął rękę do Sinclaira, kłaniając się lekko, zawahał się przez moment, a potem podał dłoń także Claytonowi.

- Mam nadzieję, że w jakimś innym świecie będziemy w lepszych stosunkach, agencie - rzekł z serdecznym uśmiechem.

- Któż to wie, panie Murray - odparł Clayton, ściskając mu rękę. -  
Widzieliśmy już rzeczy bardziej niewiarygodne.

Milioner dał Ramseyowi znak, że jest gotów, i obaj ruszyli w dół po  
schodach, odprowadzani spojrzeniami przez pozostałych. Na  
ostatnim stopniu Murray przystanął nagle, jakby coś sobie  
przypomniął, i zawołał do Doyle'a:

- Arthurze, pamiętaj, że musisz spisać historię o psie! I zadedykuj  
ją Gilliamowi Murrayowi, najlepszemu kusznikowi wszystkich  
światów!

- Zobaczymy, co się da zrobić - odparł ze śmiechem Doyle, zegnając  
przyjaciela gestem.

Oddalony o kilka kroków od Doyle'a i Wellsów Sinclair kątem oka  
obserwował Claytona, który spoglądał za odchodzącymi tęsknym  
wzrokiem zmokniętego kruka.

- Chodźmy, chłopcze. - Kapitan westchnął i poklepał  
podopiecznego po ramieniu. - Zapraszam cię na kawę do swojego  
gabinetu. Panna Barkin pewnie już przyszła, a wiesz, że zawsze robi  
taką...

- ..jaką lubię - dokończył za niego Clayton, wznosząc oczy do  
nieba. - Naprawdę pan sądzi, że filiżanka kawy rozwiąże wszystkie  
moje problemy?

Sinclair wzruszył ramionami.

- Nie wiem, synu... Ale wiem jedno: mimo tej całej gadaniny  
doktora nie samymi snami człowiek żyje. Uwierz mi. I zdecyduj sam.

Po czym ruszył w dół schodów z rękoma w kieszeniach,  
pogwizdując wesołą melodię i skinieniem głowy zegnając Doyle'a  
i Wellsów. Wkrótce potem agent Wydziału Specjalnego Scotland  
Yardu Cornelius Clayton uznał, że jeśli chce trochę odpocząć,  
przynajmniej w tym świecie, nie ma innego wyjścia, jak tylko iść za  
przełożonym i wypić tę przeklętą kawę.

Gdy dwaj agenci szli Brompton Road, oddalając się od muzeum,  
Doyle, któremu najwyraźniej pozostała odrobina energii do  
wykorzystania, zaoferował, że poszuka powozu - mając nadzieję, że

ten wciąż stoi tam, gdzie go pozostawili w ten szalony poranek - i odwiezie Wellsów do domu. Zgodzili się, nie mając wielkiej ochoty paradować po Londynie w piżamach. Szkot zbiegł po schodkach energicznym truchtem, jakby chciał odcisnąć ślady w kamieniu, a wycieńczeni Wellsonie przysiedli na jednym ze stopni.

- Jane, ja nie czuję się snem ani niczym wspomnieniem - wyznał George, wracając do nurtującej go kwestii. - Naprawdę sądzisz, że to, co mówił Ramsey, jest prawdą? Że jesteśmy tu tylko dlatego, iż ktoś opowiedział naszą historię? Bo jeśli tak, to nie zamierzam już nigdy w życiu napisać ani słowa... - Jane parsknęła śmiechem. - Co cię tak bawi? No już, oświeć mnie. Wiesz, że nie znoszę, jak zachowujesz swoje zdanie dla siebie.

- Śmieję się, bo nie wiem, co oprócz pisania mógłbyś robić.

- Wiele rzeczy - odburknął z urazą Wells. - Ot, choćby uczyć. Przypominam ci, że szło mi to całkiem nieźle.

- Mój drogi, nienawidziłeś tego.

- Cóż... w takim razie poświęciłbym się sztuce bycia najbardziej romantycznym małżonkiem na świecie. Codziennie przylatywałbym do domu balonem i dokonywał niewiarygodnych czynów...

- Ależ ty właśnie dokonałeś najbardziej niewiarygodnego czynu, Bertie: uratowałeś moje życie i cały świat. Cóż może być lepsze?

- Ech... racja. Wysoko postawiłem sobie poprzeczkę. Nawet Murray nie zdołałby zrobić nic lepszego, prawda?

Jane uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Posłuchaj, kochany - powiedziała, kładąc głowę na jego ramieniu - jeśli pisanie wydaje ci się w tej chwili czymś strasznym, to dlatego, że łączysz je z traumatycznym przeżyciem, którego doświadczyliśmy. Pamiętaj jednak to, co zawsze ci powtarzam: musisz zignorować czynnik destabilizujący. Lubisz pisać. Zawsze to lubiłeś i nie przestaniesz. Co za różnica, czy twoje wymysły żyją w innych światach? Nie sądzę, żebyś miał je jeszcze kiedyś zobaczyć...

- A jeśli na przykład napiszę o matce, która traci syna? Nie zniósłbym poczucia odpowiedzialności za...

- Ale jakie to ma znaczenie? - przerwała mu Jane. - Jakiś inny Wells z całą pewnością napisze o tej samej matce, która go nie traci. A co do hipotezy, że jesteśmy jedynie wytworem czyjejś wyobraźni... - Jane wzruszyła ramionami. - Mogę jedynie mieć nadzieję, że autor będzie miał dobry gust w wyborze imion dla dzieci.

Wells spojrział na nią zdezorientowany.

- Dlaczego?

- Nie sądzisz, że byłoby okropnie, gdyby nazwał nasze pierwsze dziecko Marmaduke albo Wilhelmina?

I z czułością pogłaskała swój brzuch. Wells zerwał się na równe nogi.

- Chcesz powiedzieć, że... ale jak to? I od kiedy wiesz?

- Nie sądziłam, że biolog zapyta j a k. Co do drugiego, znacznie rozumniejszego pytania, muszę ci się przyznać, że wiem od kilku dni, ale nic nie mówiłam, bo... Powiedzmy, że nie chciałam zawracać ci głowy, biorąc pod uwagę nadciągający koniec świata.

- Nie chciałaś mi...

Wells przyglądał się żonie w zdumieniu, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Oto jego ukochana siedząca na brudnych schodach i starająca się schować nogi pod cienką białą koszulą nocną, z potarganą kasztanową czupryną opadającą na oczy, które widziały niewyobrażalną grozę; kobieta drobna i krucha niczym porcelanowa figurka, a zarazem zdolna do wbicia szpilki w oko najgroźniejszemu z możliwych Złych, jeśli miałyby to pocieszyć jej męża po tym, jak jakiś krytyk zmieszał z błotem którąś z jego książek.

- Najdroższa... - wyjąkał ze ściśniętym gardłem, przyklękając obok niej. - Trzymałaś to w tajemnicy przez te wszystkie dni, kiedy czekaliśmy na Niewidzialnego Człowieka? Wysłuchiwałaś mojej nieustającej gadaniny o Claytonie, o księdze, o końcu świata i o tej przeklętej pułapce, nic mi nie mówiąc, tylko dlatego, że nie chciałaś zawracać mi głowy? Przetrwałaś grozę ostatnich godzin, wiedząc, że...? Na Boga! Jesteś najdzielniejszą kobietą świata! A ja jestem... nicponiem. - Ujął w dłonie jej twarz. - Będziemy mieli dziecko! -

wykrzyknął, jakby właśnie to sobie uświadomił, a ona przytaknęła ze łzami. - To najlepsze, co mogło nam się przytrafić, najcudowniejsze, niewiarygodne... - Pokręcił głową, nie znajdując więcej słów. - No i widzisz? Jestem nie tylko nicponiem, ale i okropnym pisarzem. Nawet nie umiem znaleźć właściwego przymiotnika na określenie tego cudu.

- Daj spokój, Bertie - odparła Jane, z radością pozwalając, by ją objął i pocałował. - Być może to jedna z tych rzeczy, które wydarzają się tylko dlatego, że mogą.



## XLI

Spacerując po ogrodzie swoich rodziców wczesną jesienią, Emma smutniała po dwakroć. Drzewom towarzyszył tragiczny poblask ochry, uschnięte liście psuły cudną geometrię ścieżek, oczka wodne odbijały ołowiane niebo, a zimny wiatr wyskakiwał zza każdego węgła niczym psotny dzieciak. Mimo to Emma nie zamierzała zrezygnować ze spacerów, które były jedynym wytchnieniem dla jej duszy, odkąd zatruta apatią postanowiła ograniczyć swój świat do rozmiarów rodzicielskiej posiadłości. Nie miała ochoty przechadzać się po Central Parku, chodzić do teatru czy opery ani spotykać się z ludźmi. Nie chciała, by ktokolwiek współczującym spojrzeniem mierzył jej siłę lub słabość. Nie chciała otrzymywać fałszywych kondolencji od osób, które mieszały ją z błotem, gdy ogłosiła swoje zaręczyny z milionerem Montgomerym Gilmore'em. Nowy Jork nigdy jej nie ciekawił, a teraz nie ciekawił jej cały świat ani ci, którzy go zamieszkiwali, bo jego wśród nich nie było. Pozostał jej tylko ten ogród, dość duży, by mogła godzinami błędzić po jego licznych zakątkach, uciekając przed litościwym wzrokiem matki. To było jej drugie schronienie.

Pierwszym były sny. Dziwne, powtarzające się z określoną częstotliwością sny. Po przebudzeniu nie pamiętała szczegółów, ale czuła w zlodowaciałej duszy ślad przyjemnego ciepła, który pozostawał tam do końca dnia. I nie miała najmniejszych wątpliwości, że zawdzięcza je faktowi, iż we śnie rozmawiała z ukochanym. Zawsze wyglądało to tak samo: znajdowała się w jakimś pokoju, zajęta czymś, i nagle z lustra dobiegał jego głos. Podchodziła bliżej i widziała jego odbicie, blade, wynędzniałe i rozczochrane, jakby był uwięziony w krainie śmierci. Długo

uśmiechali się do siebie, a potem próbowali się dotknąć poprzez szkło, lecz nigdy nie zdołali; w końcu Monty z rozpaczą uderzał w powierzchnię lustra, wściekły, że są tak blisko, a jednak tak daleko. Gdy się uspokajał, przeproszała go za to, że uparła się, by kierować autem, bo w przeciwnym razie on wciąż by żył, a on potrząsał głową i mówił, że to nieważne, po czym ze łzami w oczach zapewniał, że wróci; że znajdzie drogę powrotną do jej świata. Emma nie miała pojęcia, co oznaczają te sny, choć ich wyrazistość sprawiała, że zdawały się rzeczywiste, w związku z czym również za dnia od czasu do czasu zaglądała w lustro z mieszaniną ostrożności i nadziei, jakby się spodziewała, że zobaczy tam coś innego niż własne odbicie. W takie dni, gdy ślad jego głosu rozgrzewał jej serce, Monty stawał się mniej martwy niż zwykle.

Pogrążona w rozmyślaniach przemierzyła jedną ze ścieżek i dotarła do oczka wodnego. Przyjrzała się swemu odbiciu w szarej wodzie i zobaczyła postać w żałobie, podobną do czarnej rozedrganej łyzy. Westchnęła, otoczyła się ramionami i kołysała powoli. Zamknęła oczy, starając się przywołać emocje, które towarzyszyły jej w snach - te ciepłe, przyjemne echa wibrujące w duszy. „Przyjdę po ciebie - mówił Monty. - Obiecuję. Znajdę sposób dotarcia do twego świata. Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych!” A ona jak zawsze mu wierzyła.

Tak. Monty znajdzie sposób dotarcia do niej, zmniejszenia dzielącej ich odległości. Jak mogłaby nie wierzyć komuś, kto poprosił ją o rękę, umieszczając na polu w Horsell marsjański pojazd i tworząc cały odrębny świat wewnątrz świata tylko dla niej? Komuś, kto poznał tajemnicę jej śmiechu? Jak mogłaby nie wierzyć, że mężczyzna, który dokonał cudu zdobycia jej serca, zdoła ją odnaleźć?

Ogród był jej schronieniem, bo tylko tu potrafiła zapomnieć o śmierci i udawać, że ukochany spóźnia się w nieskończoność, jak to często bywało, lecz ona znosi to w spokoju, bo wie, że prędzej czy później się pojawi z tak absurdalną wymówką na ustach, iż zamiast się wytłumaczyć, tylko się pograży. W takich sytuacjach Emma nigdy nie miała najmniejszych wątpliwości, że Monty przyjdzie, więc dlaczego teraz miałyby w to nie wierzyć? Tylko dlatego, że obietnica

została złożona we śnie? Dlatego, że mężczyzna, który ją złożył, spoczywa dwa metry pod ziemią?

Otworzyła oczy. Jej odbicie wciąż drżało w wodzie, ale w tle, kilka kroków za nią... w podartym garniturze, z kilkoma plamkami krwi na ramieniu, jakby przybył tu zaraz po śmierci w wypadku drogowym, nie przebrawszy się nawet... Nie odwracała się, choć odbicie zdawało się tak realne... Zastanawiała się, czy postradała rozum, póki nie usłyszała jego głosu.

- Witaj, Panno Smutko. Mówiłem ci, że wrócę.

Emma zacisnęła zęby, bojąc się, że serce wyskoczy jej gardłem.

- Czekałam, Panie Niemożliwy - odparła po chwili.

Dopiero wtedy się odwróciła. Skrzyżowali spojrzenia.

- Spóźniłeś się - skarciła go.

Uniósł brwi.

- Bardzo przepraszam - próbował się tłumaczyć - ale... pomagałem ratować świat.

Uśmiechnęła się, postąpiła ku niemu i nadstawiła usta - usta, które myślały, że nigdy już nikogo nie pocałują.

A świat zmniejszył się do rozmiarów dzielącej ich odległości.

*Sant Feliu de Guíxols,  
maj 2012-wrzesień 2013*

# PODZIĘKOWANIA

**K**iedy wystukiwałem pierwsze słowo niniejszej trylogii, nie miałem pojęcia, że będę musiał napisać ich jeszcze ponad sześćset tysięcy. Tak jednak się stało: ponad dwa tysiące stron i siedem lat poświęciłem temu projektowi, którego ostatnią księgę, szanowny Czytelniku, właśnie skończyłeś czytać. I jeśli twoja cierpliwość mi na to pozwoli, chciałbym dołożyć jeszcze parę słów, by ci podziękować za towarzyszenie mi w tej długiej przygodzie. Mam nadzieję, że sprawiła ci ona równą przyjemność jak mnie.

Przygoda ta nie byłaby jednak możliwa bez pomocy pewnych osób, takich jak moi redaktorzy, David Trías i Emilia Lope, którzy wspierali ją bez zastrzeżeń, czy Antonia Kerrigan, Hilde Gersen i reszta ich cudownego zespołu, który sprawił, że oczarowała pół świata.

Jednakże, jak wspominałem przy innych okazjach, tylko geniusze potrafią napisać powieść bez pomocy. Reszta śmiertelników potrzebuje kogoś, kto umie na nią spojrzeć z boku już w trakcie pisania, by podnieść alarm, ilekroć się pogubimy. W moim przypadku takim stróżem podczas długiej przeprawy był Lorenzo Luengo, osobisty przyjaciel i kolega po fachu, któremu pozostaną do zgonnie wdzięczny za okazywany memu dziełu entuzjazm.

Ów projekt nie dotarłby jednak do właściwego portu, gdyby nie busola mojej osobistej Jane, ukrywającej się pod inicjałami M.J. To ona była mi muzą przez cały ten czas i traktowała tę pracę tak poważnie, że nie ograniczała się do inspiracji: można powiedzieć, że wiele spośród stron podszepnęła mi na ucho. Bez niej książka byłaby całkiem inna, a może wcale by nie powstała. Mogę więc

jedynie spróbować jej podziękować, pisząc, że nie wyobrażam sobie bardziej emocjonującej przygody niż nieprzerwana miłość do niej.

Pragnę też podziękować Aleksowi za to, że jest takim chłopcem i synem, jakim sam chciałbym być.

Byłbym oczywiście nieuprzejmy, gdybym w swych podziękowaniach nie uwzględnił H.G. Wellsa, który na początku był tylko jednym z moich ulubionych pisarzy, by po siedmiu latach współlistnienia stać mi się bratem. Dzięki, Bertie, za pobudzanie swoją twórczością wyobraźni tylu czytelników, w tym tego, który pisze właśnie ostatnie słowa tyle ci zawdzięczającej trylogii.

- 
- <sup>1</sup> *Eppur si muove* - wł. „A jednak się kręci”. Słowa te podobno wyszeptał Galileusz, przekonany, że Ziemia krąży wokół Słońca, mimo że wcześniej przed sądem papieskim musiał się wyrzec m.in. tego poglądu (przyp. tłum.).
  - <sup>2</sup> George W.M. Reynolds, *Wagner the Wehr-Wolf* (przyp. tłum.).
  - <sup>3</sup> Erckmann-Chatrion, *Hugues-le-loup* (przyp. tłum.).
  - <sup>4</sup> W rzeczywistości Crookes wynalazł spintaryskop dopiero w 1903 roku (przyp. tłum.).
  - <sup>5</sup> Głośny skandal przy Cleveland Street wybuchł w 1889 roku, gdy policja miejska odkryła męski dom publiczny, a jego młodzi pracownicy w zeznaniach, wymieniając swoich klientów, podali nazwiska znanych londyńskich osobistości, w tym arystokratów. Homoseksualizm, potocznie zwany sodomią, był wówczas w Wielkiej Brytanii prawnie zakazany. Książę Albert Wiktor nie tylko nie został przyłapany na sodomii, lecz także jego nazwisko nie padło w zeznaniach męskich prostytutek. Krążyły o nim plotki na ten temat, ale nigdy nie zostały ani zdementowane, ani potwierdzone. Oscar Wilde, autor *Portretu Doriana Graya*, został oskarżony o homoseksualizm w 1895 roku i faktycznie w konsekwencji odbył dwuletnią karę więzienia z ciężkimi robotami (przyp. tłum.).
  - <sup>6</sup> Undershaw - dom, w którym Arthur Conan Doyle mieszkał i tworzył w latach 1897-1907 (przyp. tłum.).
  - <sup>7</sup> Aluzje do jednego z najsłynniejszych wierszy Lewisa Carrolla, *Żabrolaki*, zamieszczonego w książce *Alicja po drugiej stronie lustra*. Wymyślanie neologizmów było jedną z ulubionych rozrywek autora (przyp. autora).
  - <sup>8</sup> Pamiętacie? Opowiedziałem tę emocjonującą historię w *Mapie nieba* (przyp. narratora).
  - <sup>9</sup> Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, miły Czytelniku, zajrzyj do *Mapy czasu*, w której opisałem te niezwykle wydarzenia (przyp. narratora).
  - <sup>10</sup> Herbert George Wells, *Wyspa doktora Moreau*, przeł. Ewa Krasieńska, Prószyński i S-ka 1997 (przyp. tłum.).